ROK XXV. WARSZAWA. Og. zb. Tom XCIX.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE i LITERACKIE.

TOM III. — ZESZYT I i II.

Lipiec i Sierpień.

1900.



SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 26.

Druk ukończono d. 1 sierpnia 1900 r.

DRAMAT POLSKI

XIX wieku,

studyum impresyonistyczne.

I.

Kilkanaście razy już wpadł mi w ucho natrętnie konwencyonalny frazes, drażniący w wysokim stopniu swą płytkością, banalnością, a popularny, bo zbudowany niechybnie przez któregoś z naszych farsistów czy krotochwilistów w przystępie wyrzutów sumienia literackiego. Frazes ten brzmi: My, Polacy, nie mieliśmy i nie będziemy mieli poważnego dramatu nigdy, brak nam bowiem zupełnie zmysłu do syntezy, jak zresztą i do konstrukcyi, plastyki, architektury..... logiki..... statystyki..... Już nawet sam Sienkiewicz mówił gdzieś i t. d. i t. d..... A więc epikę mogliśmy mieć najświetniejszą, powieść była i jest poważną i kwitnącą, z całej nowelistyki europejskiej Polska zdaje się wybijać na pierwszy plan, od liryki aż rojno, gwarno, barwnie i hucznie, a gałąź poezyi dramatycznej schnie zwolna wskutek niemożliwości skupiania się, tężenia, koncentracyi i kształtowania spiżowych odlewów życia? I niema nadziei? Narazie lśnią już na firmamencie *poezyi* dramatycznej

małe gwiazdki, przebiegną czasem planetarne indywidualności, inne błędne zapadną gdzieś, ale zapowiedzianego zaćmienia wszystkich i wejścia nowej gwiazdy niema....

Nie łudźmy się. Frazes o niezdolności do syntezy jest tylko frazesem; ale z drugiej strony ze wszystkich młodych, których się przyjmuje obecnie na repertuar krakowski z taką u nas niebywałą serdecznością, których się krytykuje z takim optymistycznym alarmem, którym się psuje w początkach zalążki talentów przesadnem zasypywaniem eufemizmami i laurem; — ze wszystkich tych młodych, którzy tworzą „Młodą Polskę" w dramacie, ani jeden nie jest tak osobisty, oderwany, silny, nowy, ażeby w jego kierunku i jego drogą poszedł rozwój naszego dramatu; ani jeden tak mówiący myślami, dążeniami, wszechuczuciami i charakterem tylko swego specyficznie społeczeństwa wprost do swego tylko społeczeństwa, — ani jeden nie ma pomazania *indywidualności dramatycznej polskiej.* A każdy jest indywidualnością, już silnie zarysowaną, niejeden i przerysowaną. H. Becque i E. Rostand — to Francya marna, zgniła, ale i wesoła, gaskońska, Ibsen — to Norwegia, Eldorado wszystkich kłamstw socyalnych, Hauptmann — to Niemcy burżuazyjne, filisterskie, socyalistyczne, altruistyczne, doktrynerskie, filozofujące, d'Annunzio — to rafinada bankrutującego romanizmu, Maeterlinck — to dusza Belgii średniowiecznej, tchnienie gotyki belgijskiej, serce romantycznego pejzażu północnego, najświetniejszy, najszlachetniejszy bard Germano-Franków, symbol swego kraju. Gdzież polska poezya dramatyczna? o którym z młodych możnaby powiedzieć coś tak zasadniczo pochwalnego i rozstrzygającego w nacyonalnej krytyce literackiej? O którym z nich można powiedzieć, że jego prace są wskroś z nas i o nas, że ten jest Żeromskim, pracującym dramatycznie, tamten polskim Hauptmannem i t. d. A jest przecież talentów kilkanaście, i to czystych, zdecydowanych. W ich rękach spoczywają pisklęta, które mają puścić w świat, by zaszumiały wzrosłemi skrzydłami, z ich liczby musi się wysunąć jakiś najsilniejszy i stwierdzi, że i talent do syntezy mamy (my, naród analityków), jak go już mieli Słowacki, Fredro, Korzeniowski, Bliziński, Narzymski. I wielu, wielu go miało, ale i wielu zmusiło społeczeństwo do pisania fars ku uciesze pomywaczek i golarzy. Zresztą od tego była krytyka dziennikarska od wieków, konkursy imienia Protekcyi i Przypadku, od tego jest kuchenny poziom umysłowy i beznadziejnie zbarokowany smak publiczności warszawskiej, lwowskiej i krakowskiej, aby poeci dramatyczni marli z głodu, wstępowali do banków, rzucali dramata

i ambicye w piec, aby wszędzie ustępowano tylko miejsca kontrolerom wagonów sypialnych, Labiche'om, Bissonom, Kadelburgom, Wickom i Wackom. Kilkanaście talentów młodych z narodu, który niema prawie żadnych tradycyi dramatycznych, bardzo skromną literacko-sceniczną przeszłość, kilkanaście sił twórczych, które borykają się i walczą ciężko w swej duszy, a potem w swej formie, fakturze, — walczy z całem społeczeństwem.

W Warszawie utwór literacki dość rzadko widzi światło kinkietów na scenie, chyba tłómaczony z francuskiego, chyba kostyumowy, chyba firmowy. Niemcy mają 45,000 aktorów, 110 teatrów literackich, kulturę dramatyczną i publiczność kulturalną, u nas inaczej, inaczej, inaczej. Niema aktorów, są tylko wybitni, genialni artyści dramatyczni, „przechodzący wiecznie samych siebie”, kilku wprost niezrównanych starców bohaterskich i starców-amantów, trzy teatry dla literatury, kultura operetkowa i chroniczny brak publiki; materyalne zyski autorów są tak śmiesznie marne, że spis tantyem dramaturgów byłby już aktem oskarżenia przeciwko społeczeństwu, które takie fortuny rozdaje dyrektorom wodewilów, operetek, tinglów. Tu więc piętrzą się trudności natury zewnętrznej, faktycznej, które młody autor musi ostatecznie pokonywać, decydując się na jałmużnę tantyem za efemeryczną cenę sławy i uznania. Sztuka po trzech przedstawieniach upada, a autor, któremu starzy emeryci radzą być optymistą, odczytuje sobie ku nauce i pociesze piekielne harce swojsko chowanej krytyki i zabiera się do pisania następnej sztuki, w której już przez nie tak czarne okulary ma patrzeć w życie.

Nowy dramat polski wyszedł już z Krakowa, jak nowe malarstwo i poezya. Teatr tutejszy, w którym od czasu do czasu mówi się jeszcze z rewerencyą o *Halszce z Ostroga* i tradycyach Koźmianowskich, przez 6 lat dyrektoryatu Tad. Pawlikowskiego wystawił cały szereg eksperymentów, szkiców, studyów, fragmentów, nawet dzieł i wysunął w pierwszy szereg młodych ludzi, którzy nigdzieby byli nie przyszli do głosu, ani w Warszawie, ani we Lwowie, gdyż przekrzyczałyby ich chóry operetkowe i protesty mandarynów krytyki, żądnych zdrowej strawy duchowej i... trykotów. Tak przemknęło w tych kilku latach przez scenę krakowską kilka światów, które poeci zrzucili ze swej fantazyi, kilka problemów rzucono publice śmiało w zaspaną twarz, zbudzono myśl, wyuczono smaku i znawstwa ludzi, zdemoralizowanych estetycznie takimi elukubratami, jak *Ciotka Karola*, *Papa Pepy*, *Flirt* i t. p. Do tej grupy krakowskiej należeli już: Sawiczewski i Szut-

kiewicz, należą Kasprowicz, Kisielewski, Wł. Lewicki, Miciński, Orkan, Przybyszewski, Roniker, Rydel, Sten (Lud. Brunner), Szukiewicz, Wyspiański i Tetmajer, po części i G. Zapolska; cały nowy dramat polski dałby się może zamknąć, włączając w to: Gadomskiego, Ign. Grabowskiego, Grabowieckiego, M. Grodeckiego, Jasieńczyka, St. Jaroszyńskiego, Konara, Tad. Konczynskiego, St. Kozłowskiego, Mańkowskiego, ś. p. Mottyego, And. Niemojowskiego, I. Nowińskiego, Wł. Rabskiego, K. Sterlinga, Reymonta, Żyżkowskiego, D. Zglińskiego, Żegotę, Krzywdzica. Oto nazwisk wiele, bo może już i wszystkie, ale dzieł mało. Niektórzy z nich próbowali tylko sił swego talentu na arenie dramatycznej, niektórzy lutnie swoje pochowali do futerałów, niektórzy zmarli. W każdym razie wszyscy przebyli już ogniową próbę kłaniana się publiczności za oklaski, brawa i poparcie. W każdym razie od tej grupy pracowników na najniewdzięczniejszej glebie piśmiennictwa polskiego mamy spodziewać się w przyszłości tego — czego nam przeszłość nie dała.

II.

Ze wszystkich rodzajów scenicznych jedynie dramat i komedya obyczajowa w rozmaitych krzyżowaniach, jako to: komedya typów (molierowska), komedya satyryczna, dramat społeczno-satyryczny, komedya sytuacyjna -— wiodły u nas pełny i chlubny żywot. Dramat historyczny, ten wiecznie niezdarny beniaminek profesorów literatury, rozbijał się ciągle o postacie Jadwigi, Esterki, Halszki z Ostroga, Żółkiewskiego, Zebrzydowskich, Zborowskich. Cały szereg nazwisk autorów mówi nam już obecnie jedynie o nieudolnych, książkowych, pełnych cytat i sentencyi eksperymentach w niezliczonych odsłonach. Wszyscy ci pisarze budowali ciężkie, przedyalogizowane tragedye, przeładowane monologami, i to nawet nie w stylu Szekspira, ale w warkoczowej manierze Racine'a, Corneille'a, bal nawet Ronsarda, Chateaubriande'a, potem w pseudoromantycznej V. Hugo, trzymając się zawsze ślepo szaf bibliotecznych, studyów, pamiętników, ze swej fantazyi nie snując ni bogacąc niczem. W ten sposób suchymi, nudnymi wytworami nauką przesyconych mózgów zdyskredytowali literacko jedną z najciekawszych, kopalnianych, niezużytych historyi narodu i odstręczyli następców od chwytania się tematów zbanalizowanych i zepsutych. Nikt nie może zakwestyonować nawet tego, że podobne postacie z naszej historyi, jak Masław, Maćko Borkowic, Wincenty z Szamo-

tuł, Kostka Napierski, ksiądz Orzechowski, Władysław Herman, Jan Kazimierz, Samuel Zborowski, Hieronim Radziejowski, Bohdan Chmielnicki, Andrzej Morsztyn, M. Rey z Nagłowic, Michał Gliński, Adam Śmigielski, Kmita, Wit Stwosz, Jerzy Lubomirski, to mumie, które oddech poety może natchnąć nowem życiem, aby mówiły o wielkiej przeszłości i o dziwnej zagadce swych dusz niedzisiejszych. Mamy w historyi naszej i duchy prometejskie, mamy i Savanarolów i Giordana Bruna, i męczenników nauki, i Bayardów rycerzów bez skazy, i socyalnych buntowników, i anarchistów ducha, mamy królów Don Juanów, i Hamletów o buławach hetmańskich, i Machiavellów, i proroków, i kresowych wojewodów Don Quichotów, i Hudibrasa Radziwiłła Panie Kochanku, i królów Szekspirowskich i królów - Mignonów. Nakoniec (niestety), która historya ma tak dociągnięty do ostatnich konturów typ i n t e l l e c t u e l l a , bezdogmatysty, wyrafinowanego sceptyka, schyłkowca, aktora, na tronie, jak ten ostatni..... Tu są kopalnie cierpienia, grozy wstrząsającej, tragedyi beznadziejnych, a i stąd także można czerpać wspomnienia dumne, jasne i pocieszające. Dla przyszłej polskiej tragiczki znalazłyby się imponujące głębią nieszczęścia ludzkiego role Anny Oświecimówny, Barbary Glińskiej, Gryzeldy Batorówny, Zochny Potockiej, Maryny Mniszchówny, Pojaty, Barbary Rusinowskiej, Zofii Morsztynówny, Barbary Gasztołdowej i wielu innych tragicznych egzystencyi, które, przeniesione w życie kinkietów, większe pole popisu dawałyby, niż damy kameliowe i kierowe, Toski, Dory, Fedony, Teodony, Eldoradory.

Chlebicki, Humnicki, Zaborowski, Supiński, Romanowski, Odyniec, Gorczyński, Antoniewicz, Kondratowicz, Olizarowski, hr. Przeździecki, Hoffmann, Chrzanowski, Pilat, Szaynocha, Zacharyasiewicz, Łętowski, Ładnowski, Szujski — oto autorowie, którym nieudało się stworzyć nic trwalszego, którzy nie dali ani jednej rzeczy bezwzględnie cennej. Z całej powodzi ich cztero-i pięcioaktowych, wieloodsłonowych dyalogowanych studyów historycznych, pisanych to we francuskim duchu Corneille'a i Racine'a, to po calderonowsku, to po szekspirowsku, przepełnionych milowymi monologami, upstrzonych akcesoryami i epizodami, porozrzucanymi w Matejkowskim nieładzie, ale bez Matejki geniuszu, wyłowić można byłoby zaledwie kilka, w których pulsuje przynajmniej prawdziwe życie, krew historycznej intuicyi, umiłowanie przeszłości, z których prześwieca koloryt epoki, wybija się duch poetyczny. To Ant. Małeckiego „List żelazny", Wacł. Szymanowskiego „Salomon", Bełcikowskiego „Mieczysław II" i „U kolebki narodu", wreszcie

K. Szaynochy: „Wojewodzianka Sandomierska". Z całej wielkiej spuścizny dramatycznej Szujskiego, odbijającej w sobie wszystkie wady i nieudolności współczesnych mu autorów dramatycznych, wyciągających z historyi materyał surowy do swych równie surowych dzieł, wybijają się na pierwszy plan właśnie te, które wziął Szujski z historyi obcych, jak: „Wallas", tragedya szkocka, „Savanarola", tragedya włoska, „Nero", tragedya rzymska. Każdy temat, wzięty przezeń z naszej historyi, lepiej, silniej i choćby efektowniej obrobił albo któryś z jego poprzedników, albo rówieśników. Lepszego „Jerzego Lubomirskiego" dał K. Szaynocha, a i lepszą „Marynę Mniszchównę", dzieje „Halszki z Ostroga" lepiej udramatyzowali i Kraszewski, i Przeździecki, głębiej pojął charakter Hieronima Radziejowskiego Magnuszewski, a „Kopernik" W. Rapackiego jeszcze teraz może budzić szersze zainteresowanie, podczas gdy Kopernik Szujskiego jest wprost bardzo... nudny, płytko pojęty, jako indywidualność genialna, a jako dramat, akademicki, rozwlekle i nierównomiernie zbudowany. Już więcej nowożytnie istotę, prawa i cele dramatu historycznego pojęli J. Kościelski w swym „Władysławie Białym", Aureli Urbański w „Watażce" i „Kseni", Karol Brzozowski: autor „Maleka", dalej Adam Asnyk w swym „Kiejstucie", Stanisław Kozłowski, autor „Wójta Alberta", „Esterki" i „Taborytów" i Wincenty Rapacki. Niektórzy z nich, szczególnie ostatni cierpieli już na pewnego rodzaju gorączkę tryumfów, czego wyrazem ten pociąg do sytuacyi operowych, nastroju melodramatycznego, do napuszystości. Wincenty Rapacki w pogoni za efektami teatralnymi, a nawet aktorskimi naginał prawdę historyczną do anegdoty, anegdotę do efektu sytuacyjnego i, tą drogą fałszywą idąc, pozwalał sobie na kłamstwa historyczne, psychologiczne i anachronizmy niezrównane. W każdym razie Rapacki, jeden z najzasłużeńszych dla dramatu polskiego, poważnych pracowników, dał szereg dramatów (*Acernus*, *Mazur Czart*, *Kopernik*, *Odsiecz Wiednia*, *Odbijanego*, *Pro honore domus*, *Figlik Stańczyka*), choć utworów, wartością nierównych i zbyt naginanych do... kulis, ale czekających na głębsze, treściwe rozstrząsanie ich znaczenia i wagi... Studyum ich zachęciłoby niejednego może autora do zagłębienia się w przeszłość, w epoki czynów wielkich i wielkich ludzi, w czasy walk, klęsk, zwycięstw, cnót, zbrodni, rozmachów, do zagłębienia się w psychologię olbrzymów z przeszłości zamiast ciągłego, nużącego już wywlekania dzisiejszych karłów przed oczy karłów. Niezależnie od tego bardzo nieznacznego postępu w fakturze i stylu

dramatu historycznego, przechowują nadal antyczne tradycye metody Szujskiego i Gorczyńskiego Bron. Grabowski i Deotyma.

Tak więc pozornie bez organicznych węzłów i jakiegokolwiek łączącego ogniwa z dramatu akademickiego w najstarszem tego słowa znaczeniu przeskakujemy do Stanisł. Wyspiańskiego i jego dramatycznych poematów historycznych: „Legendy", „Warszawianki" i „Lelewela". Myślę, że pozornie tylko, ponieważ nie wyobrażam sobie ukształtowania się dramatycznego stylu St. Wyspiańskiego bez gruntownego studyum *Snu srebrnego Salomei*, *Lilli Wenedy*, *Złotej Czaszki*, *Horsztyńskiego*, bez głębokiego odczucia tajemniczego tła, mającego tak szerokie perspektywy pejzażowe i tak nieznane, nadzwyczajne barwy, bez przyswojenia sobie owej atmosfery mistycznej, jaka otacza Mindowę, Salusię, Księżniczkę, Leona, dwunastu Derwidów, Ślaza, Salmona, Kirkora, Horsztyńską, bez kultu dla ich niespodziewanych odruchów wielkiej woli lub potężnego sentymentu, wreszcie bez intuicyjnego odgadnięcia i rozwiązania zagadek tej przepięknej, płynnej, jak roztopione złoto, mowy, czasem dyszącej, namiętnej, orgiastycznej, czasem melancholijnej, sennej i bladej. St. Wyspiański to jeden z tych melancholików, dla których, jak mówi Słowacki, melancholia jest skrzydłem anioła, unoszącem w zaświaty jego poetycznych światów, ale i z tych znowu, o których mówi Oskar Wilde, „że krew ich nigdy nie była czerwoną, jak koral, ich uczucie nigdy tak zapalnem, jak krew.... bohaterów i młodzieńców Grecyi". Poeta „Legendy" jest z wielkiej rodziny znużonych życiem współczesnem, kwestyami rynków i gazet, z wielkiej rodziny natur poetycznych, wrażliwych, jak mimozy, i jak mimozy, zamykających się pod dotknięciem życia. To też nie tworzy on z celem, ani dla pocieszenia, ani dla podniesienia, ani ku uciesze, ani ku pokaraniu, ale tworzy, bo musi, bo ma w sobie wielki popęd fantazyi, a chce wypowiedzieć się przed sobą samym, chce myśli i marzenia z dziś i wczoraj utrwalić, aby jutro mógł dumną ręką zebrać razem wszystkie drogie kamienie i klejnoty, jakie w życiu oszlifował i oprawił w przygodną dlań formę dramatu... lirycznego. Dlatego też jednak i rodzaj dramatyczny Wyspiańskiego jest tylko dla niego samego, a z jego kierunku żadnej wytycznej dla historycznego dramatu polskiego przeprowadzić się nie da. Jest to indywidualność nie pierwotna, ale złożona, mająca cały szereg protoplastów, których bogactwo stało się własnością dziedzica. I to skonstruowanie jego stylu poetycznego, niekiedy nawet mozolne, ale uwieńczone tak

świetnym skutkiem, można, analizując jego dramaty, powoli poznawać dokładnie. Poważny dramat grecki, jego tragizm, oparty na fatum i fatalizmie, jego chóry, jako sędzia i głos sumienia tłumu, i jego akcya naiwna, a tak szlachetna to pierwsza i zasadnicza podstawa; druga — to Maeterlinck, fatum nowożytniej, jeszcze pesymistyczniej pojęte, ludzie wobec niego, jako maryonetki, ich czyny od nich nie zawisłe, wystąpienie potęg tajemniczych, wziętych z romantyzmu, jak przeczucia, grozy, strachu, tłum, jako mrowie istot bezsilnych, psychologia czynów ustępuje miejsca psychologii uczuć, panowaniu duszy. Dodać do tego wpływ romantyzmu Słowackiego, neoromantyzmu Hauptmanna, a choćby jeszcze wpływ mitologii germańskiej Wagnera, nadto bardzo poważne studya językowe, wczucie się i wniknięcie w ducha języka ludu, a znowu umiłowanie języka Kochanowskich, Szarzyńskich, Bielskich i Starowolskich — oto są pyszne, stare ruiny, z których wykwitł niespodziany i, bądź co bądź, egzotyczny styl dramaturgii Wyspiańskiego. Krytyk sędzia śledczy wszystkie te wpływy musi wybadać, znaleźć i zważyć, aby uwydatnić, w jakiej potędze objawia się twórczość artysty pierwotna, a jaki ślad w niej wyżłobiło życie, świat, ludzie i dzieła. Wyspiański to poeta subtelny i szczery, zapalny a obliczający, patrzy w życie współczesne, ale choć je widzi, nie widzi w niem tchnienia nawet poezyi ani barw, któreby go oślepiły, ani czynów, któreby go wprowadziły w zdumienie, ani ludzi, którychby sobie mógł upodobać, jako przedmiot artystyczny. Dlatego stwarza sobie swój bardzo odrębny świat, dlatego ucieka do czasów minionych i ludzi, którzy przecież byli tak całkiem inni, tak silni i barwni, tak szlachetni i porywający; dlatego też poezya jego jest często tak sztuczną, prawie już że cieplarnianą, choć przetykaną myślą męską i dojrzałą. Gdy się myśl jednak pragnie uchwycić, wymyka się w przesadnie zaciemnionych obrazach, w alegoryach nieprzystępnych szerszym kołom, w mowie bezsprzecznie gnieniegdzie przepięknej, ale archaizowanej za swobodnie, za ryzykownie. St. Wyspiański koncypuje swe utwory obrazowo (*Legenda*, *Warszawianka*) w wielkich płótnach dekoracyjnych i na tle przecudownie rysowanych sytuacyi stawia ludzi, którzy jakby tylko zeszli z makaty, aby, gdy inni mówią, w makatę wejść na nowo, a istnieją tylko formą i barwą. To też na przeciwną szalę musi się położyć ten zarzut, że postaciom tym brak szpiku pacierzowego i krwi gorącej. Czy to będzie Czartoryski, idealista w dyplomacyi, fantastyk w polityce, a człowiek żarty ambicyami i nadziejami jabłka królewskiego, czy Lelewel, idealista w swem opętaniu demagogicznem, fanatyk epoki, czy generał de-

spota dziś, jutro fantastyk, czy ksiądz, grzesznik dumny i zatwardziały w swym grzechu, ale spokorniały wobec potęgi zabobonów i tradycyi i etyki tłumu (*Klątwa*), wszystko to ludzie o silnie narysowanych konturach, ale bez ciała, bryły, miąższu. Jakże w nich jednak przedziwnie odzwierciedla się dusza współczesna z jej najsubtelniejszemi pulsacyami i wibracyami, jakżeż w nich wiele poetyczności, a przedewszystkiem duszy samego poety. Dlatego tak tu też wiele dekoracyjnego kolorytu historycznego, a tak mało gruntownej barwy epoki, dlatego język dramatyczny Wyspiańskiego jest tak charakterystyczny dla niego, a tak mało charakterystyczny dla jego postaci, dlatego wreszcie senne jego dramaty powoli hypnotyzują, ale i nużą. Jest to pewnego rodzaju monotonia barw poetycznych, przewlekanie jednego motywu muzycznego w nieskończoność, ubóstwo koncepcyjne w figurach bocznych, w sytuacyach podrzędnych, w konfliktach równoległych do głównego konfliktu dramatycznego. Czartoryski i Lelewel (w „*Lelewelu*") są nadnaturalnej wielkości w dramacie, choć nie byli nimi w życiu, inni wobec nich są tak miniaturowo rysowani i blado kolorowani, że w tej akwareli dramatycznej Wyspiańskiego wobec mrowia wypadków, które się przeczuwa za sceną, wobec tych bladych ludzi z otoczenia obaj „statyści" zdają się mieć „nóżki chude" krawców z bajki Andersena, chude, ale za to bardzo długie. To się może nazywa nieznajomością ekonomii psychologicznej, ale to jest jeden z przywilejów neoidealizmu, przykładów tego, że najwyższa poezya istnieć może bez przeciętnej prawdy.

Wyspiański, jak Maeterlinck, stoi sam, odrębny i jedyny; życzyćby mu należało ciągłego rozwoju, i to właśnie w kierunku tej nowej stylizowanej formy historycznej, wyzbycia się pewnych zbyt ryzykownych, akademickich zakusów co do odrodzenia nowego dramatu starożytnego (*Protesilaus i Laodamia*, *Meleager*), i życzyćby mu należało, aby w jego ślad nie wstąpił żaden z młodych uczniów-naśladowców, gdyż, o ile Maeterlinckowi udał się uczeń Wyspiański, o tyle Wyspiańskiego każdy naśladowca tylko zdyskredytuje. Mistycznego drzewa jest to gałąź najdelikatniejsza, przeszczepić na nią nic się już nie da.

III.

Dość słabo reprezentowany jest w naszej twórczości dramatycznej dramat historyczny z dziejów obcych narodów, w każdym

jednak razie choćby dobrym początkiem była „Odprawa posłów greckich” Jana z Czarnolasu, dobrym dalszym ciągiem filozoficzne dramaty Okońskiego, w greckie szaty ubrane. Cóż jednak, kiedy między Kochanowskim a Okońskim nie było żadnego dzieła, któreby na jakiekolwiek wyróżnienie zasługiwało, bo przecież ani Al. Fredry *Rewolwera*, ani Orzeszkowej *Westalki* inną, jak dyletancką miarą mierzyć nie można. J. Szujskiego trzy dramaty: „Wallas”, „Savanarola” i „Nero” mogłyby jeszcze równać się z poważnemi stylowemi pracami Kochanowskiego i Okońskiego, tembardziej, że za sąsiadów na półkach bibliotecznych mają Olizarowskiego (*Dziewice z Erynu*), Chlebickiego (*Bona w Bari*), Łętowskiego (*Firdusi*), Rzętkowskiego (*Livia Quintilla*), Bełcikowskiego (*Francesca di Rimini*), a więc próby dramatyczne mniej lub więcej nieudane, słabe i nieinteresujące. Już Asnyka *Cola Rienzi trybun ludowy* daje świadectwo prawdzie, że obok wiedzy antykwarycznej i kostyumowej winien autor dramatów historycznych być jeszcze tylko... poetą. Asnyk zadokumentował to w *Colu Rienzim* równie silnie, jak w *Kiejstucie*, a więc dramacie o wątku, z naszej historyi zaczerpniętym, jak i w innych dramatycznych utworach: *Gałązce heliotropu*, *Przyjacielach Hioba*. W *Colu Rienzim* chodzi już poecie o ideę historyczną, nie zaś tylko o wypadek historyczny, illustrowany, jak dotychczas, charakterami, konfliktami i sytuacyami, wziętemi niewolniczo z historyi albo nieudolnie domierzonemi fantazyą poprzednich literatów... nie poetów; tymi też szlakami oświetlenia pewnej idei przy ustawianiu akcesoryów historycznych, wziętych z dawnych wieków, poszli i następni: St. Kozłowski, autor *Taborytów*, w swym *Turnieju* i Józef..t Nowiński w swej *Białej gołąbce*. I „Turniej” i „Biała gołąbka” mają za bohaterów artystów, interes historyczny zestawiają na stanowisko drugorzędne, a na pierwszy plan wydobywają problem artystyczny, bardzo specyalny, subtelny i wyjątkowy. Różnice między obydwoma dramatami są przeliczne, zasadnicze chyba tylko te, że pierwszy jest jednak scenicznym, drugi lirycznym, że pierwszy ma role, drugi charaktery, że pierwszy pisany słabym wierszem, drugi prześliczną prozą, że pierwszy ma wierny i ciekawy koloryt historyczny, drugi zaś ośmiesza chyba epokę *Renaisance'u*, którą ma odtworzyć, i że pierwszy jest elegią dramatyczną artysty mistrza, który ustąpić musi nowym czasom, nowym ludziom i nowej sztuce, a drugi elegijnym hymnem ku czci tego wszystkiego, co słabem, chorobliwem, niewieściem, refleksyjnem, rozkładowem w psychicznej organizacyi artysty-dyletanta. *Turniej* jest sztuką, po męsku obmyślaną, skomponowaną

i napisaną, silną w figurach, interesującą w sytuacyach, *Biała gołąbka* jest dramatem książkowym, obmyślanym lirycznie, skomponowanym szeroko i wygodnie, bo z pominięciem techniki dramatycznej, ale bardzo ciekawym i absorbującym fantazyę, umysł i serce czytelnika dla swego bardzo nowoczesnego problemu. Po J. Nowińskim-poecie można się tak wiele spodziewać na przyszłość, ile po St. Kozłowskim-dramaturgu. Obaj mają wytknięty bardzo świetlany cel: oderwanie interesu poetycznego czytelników i widzów od szarego i codziennego życia, a zwrócenie oczu ich duszy w kierunku czystszych, podnioślejszych i idealniejszych problemów, problemów piękna i pracy dla piękna. Obaj mają tę gorącą tęsknotę wielkiej sztuki, jaką odczuć można i u autorów obcych: u d'Annunzia, u Rostanda, u Hauptmanna i wielu innych. Do jakich rezultatów dojdą, to najbliższe czasy pokażą; w każdym razie wdzięczność im się należy, i to wielka, że nie z brudów czerpią swe natchnienie i że o brudach codzienności pozwalają zapominać. Jest w tem nawet coś symbolicznego, że z arki twórczości naszej nad potopem codzienności i szarzyzny wyleciała już *Biała Gołąbka. Towarzysz pancerny*, komedya historyczna, Wołowskiego, przypomniała miłośnikom sztuki dramatycznej mimowoli o zaniku podrzędniejszego rodzaju twórczości scenicznej, który u nas tak dobrze się zapowiadał, mianowicie komedyi historycznej. Małecki ten rodzaj powołał do życia na deskach teatralnych jeszcze w 1855 roku swym *Grochowym Wieńcem* czyli *Mazurami w Krakowskiem.* I w tej dziedzinie mamy kilka dobrych prac, nadających się do wznowienia na scenach, na których z takim zapałem wznawiają *Podróż po Warszawie* i *Madame Angot.* Więc W. Szymanowskiego *Dzieje serca*, Kraszewskiego *Radziwiłł w gościnie*, *Panie Kochanku*, *Miód Kasztelański*, *Równy Wojewodzie*, Szujskiego *Adam Śmigielski*, Bełcikowskiego *Król Don Juan*, *Dwaj Radziwiłłowie*, Rapackiego *Chłopcy Cześnika.* Rodzaj to dramatyczny pomniejszy, ale zawsze szlachetny i literacki i dający się także zużyć, jako broń, w walce z farsą i operetką.

Z dramatem ludowym, tym ochwaconym konikiem wszystkich patryotycznych dziennikarzy, działo się u nas pod ich patronatem najsmutniej. W tym kierunku rządy konwencyonalizmu kostyumowanego, obserwacyi z balkonu dworku szlacheckiego, psychologii najpłytszej, godnej łyków miejskich, drwiących z „kmiotka", gdy tańczy lub gdy się upił, rządy miernot, zaczęte od J. K. Gregorowicza, ciągnęły się i dalej w dramatach Fryd. hr. Skarbka, Dębickiego, Ant. Wieniarskiego, Ładnowskiego aż do Galasiewicza.

Wł. Anczyc dał kilka sztuk z pijanym chłopem, sentymentalną chłopką i karykaturalnym Żydem, wszystko to przesadnie przeidealizowane, miało przynajmniej jakieś dalekie perspektywy prawdy, było prawie że z życia wzięte, ale szczery, szorstki, czysty realizm bezpośredniej obserwacyi walczył tu z konwencyonalnym gustem burżuazyjnej publiki, która lubiła chłopa w balecie, chłopa klowna, ale nie ginącego z głodu, podpalającego, zbrodniarza, grzesznika, człowieka — walczył i zostawał zwyciężanym. Autor *Tyrteusza* przynajmniej kochał lud, który przenosił na scenę, i pełen tej miłości szczerej i dojrzałej, chciał go uczyć, radzić mu, podnosić go, ba! nawet zaczepiał o aktualną kwestyę szkodliwej emigracyi za ocean i koło tej kwestyi osnuł najlepsze swe dzieło *Emigracyę chłopską*, byle tylko lud oświecać i podnosić. „Kmiotek" wciąż jednak jeszcze tańczył i upijał się, publiczność klaskała.

Galasiewicz, Ad. Staszczyk, Leop. Świderski realizm Anczyca pogłębili, a starali się równocześnie cały balast pierwiastków komicznych, groteskowych, śmiesznych z życia ludu przenieść w komedyę ludową, wytworzoną na wzór już istniejącej komedyi drobnomnieszczańskiej warszawskiej, np. Skarbka (*Intryga w straganie*, *Popas*) i Wieniarskiego (*Nad Wisłą*, *Ulicznik Warszawski*). Oczyściwszy w ten sposób atmosferę poważnego utworu scenicznego, wziętego z życia ludu, t. j. dramatu ludowego, dają Galasiewicz świetnych *Ciarachów*, Staszczyk — *Wiarę, nadzieję i miłość*, Świderski nagrodzonego na konkursie *Antka*.

Odtąd kilku autorów zaczyna sił swych próbować w dramacie ludowym: Junosza, Dygasiński, Gutowski, Kosiakiewicz, przeważnie z temperamentu pisarskiego noweliści, eksperymentują bez powodzenia scenicznego, a przytem nie przejechawszy linii demarkacyjnej, jaka oddziela od literatury niezliczone fale fabrykatów dla repertuaru. Jedynie Sewer Maciejowski podtrzymuje egzystencyę prawdziwej sztuki ludowej, dając *Dla Świętej Ziemi*, a ostatecznie, wsparty współpracą Tadeusza Micińskiego, wzbogaca i repertuar, i literaturę wspaniałem studyum psychologicznem, świetnym dramatem *Marcinem Łubą*. I ten dramat żywy, współczesny, poważne malowidło freskowe z życia chłopskiego, wstrząsające tragizmem szczerym i fatalistycznym, kładnące u nas po raz pierwszy z desek scenicznych duszę chłopów bez wódki lub armat przed oczy publiki, nawykłej do harców cyrkowych i rozbijania dekoracyi krakowiakiem, to kamień węgielny naszego dramatu ludowego, słup graniczny, wskazujący drogę następnym. Zmarły Sawiczewski swym dramatem *Na Bezdrożach* był jakby

forpocztą dramatu ludowego, pierwszy wskazał, że w duszy śmiesznego „chamity” fakta zewnętrzne wygrywają najlżejsze, najsubtelniejsze wibracye, że proces rosnącego lub schnącego uczucia chłopskiego jest tak zagadkowy i oślepiający, jak dzieje Konradów, Gustawów, Astolfów.

Drugą forpocztą dramatu ludowego mieszczańskiego był zmarły Szutkiewicz; choć uginał się pod skarbami i bogactwami obserwacyi, która krztusiła go poprostu i zasypywała sytuacyami, typami, figurami, szczegółami, zawsze jednakże umiał on i w postać naczelną dramatu tchnąć życie, siłę i prawdę tragicznego losu, wiedział, że życie choć ma i wesela, drużbów i piosenki, ale zato całe lata cierpień a szarzyzny. A jego poprzednicy widzieli w życiu tylko wesela, więc tańce dawali w akcie I i w akcie II, III i IV... optymiści z ramienia publiki. Ci dwaj młodzi i głodni zmarli zawsze nieuleczalnymi pesymistami, zarzucano im młodość, przesadę w używaniu czarnych barw, nagą brutalność ich prawdy i bezczelnie smutny koniec ich bohaterów. Jeden był problematykiem, drugi nawet psychologiem, a tego właśnie brak teraz, i to dotkliwy. Ale podstawy dramatu ludowego są, dali je Galasiewicz, Sewer, Miciński, Szutkiewicz, Sawiczewski i G. Zapolska, której żydowskie obrazy wprawdzie nie przejdą do literatury, bo wyblanszowanie melodramatem i podwatowane efektami podmiejskich teatrzyków, ale prostują scieżki Pańskie i przygotowują umysły na przyjście „des kommenden Mannes”, dramaturga z ludu, dla ludu i o ludzie. Również prostują drogi temu przyszłemu Piotrowski (aut. nagr. *Na wsi*), Kasprowicz (*Swiat się kończy*), Feldmann (*Sądy Boże*), And. Niemojewski (*Familia*), Kośmiński („*Walka*”, „*Zły duch*”, „*Ziarna i plewy*”), Dygasiński (*Szwagrowie*), Orkan, Grabowiecki, Jaroszyński, Siedlecki i wielu innych; oby któryś z nich torował już drogę samemu sobie.

IV.

W całej naszej dotychczasowej twórczości dramatycznej jedyna komedya obyczajowa ma tak zwane wielkie tradycye. Nie lekceważmy ani ks. biskupa warmińskiego, ani szkolarskich moralizowań Bohomolca, nim dojdziemy do magnackiej spuścizny Al. hr. Fredry. Tu są świetne zasadnicze podstawy do studyów charakterystycznych i obyczajowych, tu Fredro humorysta, psycholog, poeta, a znowu Fredro problematyk, satyryk, rezoner i moralizator

z dramatów pośmiertnych, społecznik i reakcyonista, zawsze szlachetny, wzniosły charakter. Nie trzeba tak obojętnie zapominać spółczesnych Fredrze Apollina Korzeniowskiego, który z takim ferworem i animuszem zaciekłym chłostał hulaszczą, zdemoralizowaną szlachtę („*Dla miłego grosza*"), ani sekundującego mu dzielnie Karola Drzewieckiego, autora osławionych („*Kontraktów*"), gdzie z jowialną, ale gryzącą satyrą maluje zepsucie, zgniliznę, szulerstwo szlachty ukraińskiej, ani Karola Frankowskiego, ani polskiego Feuilleta, Witolda hr. Borkowskiego, ani wielu innych mniej znanych i popularnych wówczas, jak Dyzmę Tomaszowskiego, Grozę, Gabryelę Puzyninę, Miecz. Dzikowskiego.

Józef Korzeniowski podnosi kulturę teatralną, poziom i smak publiczności, rozwija szeroką działalność literacką i daje w każdej dziedzinie rzeczy skończone i doskonałe, jak w dramacie historycznym *Mnicha*, *Andrzeja Batorego*, tak w ludowym *Karpackich Górali* (bez wpływu na następców), tak w komedyi i dramacie obyczajowym całe mnóstwo rzeczy poprawnych i więcej, niż przeciętnych, a kilkanaście rzeczy świetnych, które autora przeżyły i przeżyją: *Klara*, *Autorka*, *Żydzi*, *Piąty akt*, *Panna-Mężatka*, *Piękna Kobieta*. Potem Narzymski, dalej Bliziński, Lubowski podnoszą tradycye Fredry i Korzeniowskiego i poważni w pracy psychologicznej, doświadczeni w ekonomii sytuacyjnej, wprawni w uplastycznianiu niezliczonych charakterów, rutyniści w architektonice swych sztuk, dalej bardzo współcześni swej epoce, swym ludziom, ówczesnym prądom myśli, ideom, intrygom, dążeniom, ambicyom, trzymają rękę na pulsie społecznym i odczytują społeczeństwa dyagnozę. Przygotowali im grunt poważni pracownicy, reżyserzy, krytycy, redaktorowie, aktorzy wielcy i autorowie pomniejsi: Stan. Bogusławski, Paulin Święcicki, Jan Chęciński, przygotowało im grunt wystawianie poważnych dzieł z obcej literatury, arcydzieł klasycznych i romantycznych, świetne tłómaczenia Goethego, Schillera, Szekspira, V. Hugo, Oehlenschlägera, Calderona, wystawiane i grane przez najświetniejsze polskie siły sceniczne: Bakałowiczową, Rakiewiczową, Modrzejewską, Rychtera, Żółkowskiego, Królikowskiego, Rapackiego, Panczykowskiego. Od roku 1865 do roku 1880 była komedya polska obyczajowa i dramat w najwyższym rozkwicie, i ten okres możnaby nazwać złotym okresem teatru polskiego. W tym okresie na scenach dają sztuki tak nieposlednie a poważne, tak pełne uszlachetniającej myśli społecznej, wyższej, szerszej tendencyi, pretensye artystyczne publiki są tak wielkie, że wymagają najwyższych

dopełnień ze strony aktorów i autorów, a poziom obu stron jest nawet wyższy, niż za granicą. Autorowie dramatyczni trzymają społeczeństwu zwierciadło przed oczyma, a społeczeństwo widzi w niem dokładnie swe zmarszczki, pryszcze i brzydotę, autorowie chłoszczą grzechy ciężkie warstw inteligentnych i jednostki wybitne poddają sądowi ogółu. Ci wszyscy ówczesni: Narzymski, Sabowski, Sarnecki, Bliziński, Bełcikowski (*Protegujący i protegowani*), Szaynocha (*Stasio, Zonia*), Szymanowski (*Lichwiarze*), Syrokomla (*Wiejscy politycy*), Ilnicka, Łoziński, Koziebrodzki, Koźmian, Gaszyński, smagają karyerowiczostwo, giełdziarstwo, żądzę spekulacyjną, pijactwo, bizantynizm szlachecki, przesądy arystokratyczne, bigoteryę, obłudę, kłamstwa towarzyskie, społeczne, wogóle wszystko, co czarne lub marne. Już z tytułów, a potem z uplastycznienia sobie wspomnień widzieć można, jak ówczesni dramaturgowie stali wysoko etycznie, jak ostrym był kąt ich obserwacyi, jak silne to były inteligencye i jak w stosunku do społeczeństwa stały jego talenty i indywidualności: nad niem, nie w jego przedpokoju. Oto kilka tytułów: „Chleb ludzi bodzie", „Lekkoduch", „Bezinteresowni", „Dworacy niedoli", „Gra namiętności", „Rozbitki", „Kalecy", „Przesądy", „Epidemia", „Febris aurea", „Pół miliona", „Karyery", „Pozytywni", „Żony uczonych", „Sąd honorowy", „Nietoperze", „Skąpiec", „Obce Żywioły", „Pracowici-Próżniacy", i t. d., i t. d. Wymienię jeszcze tytuły „Walka stronnictw" i „Wielkie Bractwo", gdyż z nich wyczytać można charakterystykę ówczesnego społeczeństwa całego, dalej walkę dwu światów: starego, rozpadającego się w gruzy, szlacheckiego i powolne kształtowanie się nowego społeczeństwa demokratycznego. Ten cały proces odbywa się przed naszemi oczyma na scenie, widzimy, co ci ludzie widzieli, i współczujemy z ich upadkiem. Z tych tytułów wyczytać można, jak wysokie pojęcie mieli ówczesni dramaturgowie o swej misyi i celach, i jak silnie, dodatnio mogła wtedy działać scena na społeczność. Wszystko to, cały ten zapas dokumentów o przejściowym okresie naszej kultury narodowej, przechodzi już zwolna do bibliotek teatralnych, w pył i w historyę literatury. Przeciążone tendencyą aktualną, miały aktualną tylko misyę i interes; ich twórcom należy się wdzięczność, bo na ich dziełach chowało się pokolenie poprzednie, z nich mogło, powinno i brało zapewne swe racye i braki racyi.....

Podczas jednakże największego rozkwitu dramatu i komedyi obyczajowej, kiedy Narzymski, Lubowski, Bliziński pisali najlepsze, swoje rzeczy, a ich torami szli Sarnecki, Urbański, Zaleski, Choiński,

Graybner, kiedy tacy poeci, jak Asnyk [1]), Okoński [2]) i Faleński [3]) wspierali dramat świetnemi sztukami, już to tezowemi, już to o głębokich zagadnieniach filozoficznych, już to o tematach, z obcych dziejów zaczerpniętych, kiedy z Europy zaczęły się do nas przedostawać pierwsze echa o Ibsenie i Björnsenie, potem o Hauptmannie, Włochach, Echegarayu, równocześnie rosła, dojrzewała wesoło polska farsa, czasem skrywana pod etykietą fałszywą komedyi, czasem zwąca się z ujmującą naiwnością fraszką sceniczną lub „sztuką sceniczną". I tu szeroko porozbijali swe namioty Bałucki, Dobrzański, Abrahamowicz, Ruszkowski, Madejski, Jordan, J. Al. hr. Fredro, Lasocki, Urbański, Gawalewicz, Zyg. Przybylski, Koziebrodzki, Pieniążek i t. p. i powoli, ale systematycznie poczęli obniżać poziom pisania, poziom fantazyi, poziom etyczny, aż do zera artystycznego, krzywić smak publiczności, zyskiwać popularność aż do punktu, w którym się zdawało, że poza drobnomieszczańską farsę krakowską i poza drobnoszlachecką farsę mazowiecką sztuka dramatyczna polska już nie wyjdzie. Taki stan królowania farsistów był zresztą i we Francyi, i w Niemczech, minął jednakże pewnie że nie bezpowrotnie, ale narazie, w walkach, jakie skończyły się na polach całej literatury zwycięstwem tych, do których należy jutro.

V.

W opłakanych czasach hegemonii farsistów powoli i dawne jędrne talenty zaczęły się przekrzywiać, paczyć, zastosowywać do nowych prądów, upodobań publiki do fars, i oto na dawniej silnych przychodzą czasy osłabienia i upadku. Narzymskiego, Blizińskiego już niema, Lubowski po świetnych *Protegowanych*, *Nietoperzach*, *Karyerach*, *Pogodzonych z losem* lekkomyślnie rzuca w repertuar farsy (*Jacuś*, *Przez wdzięczność*, *Wycieczka z przeszkodami*), albo też buduje nie zawsze zgrabnie dramata ibsenowskie, skombinowane w stylu francuskich *pièces* (*Osaczony*, *Bawidełko*, *Przyjaciółki żon*). Tożsamo Kazimierz Zaleski: albo rzuca w repertuar pieprzno cyniczne farsy, jedyne w swej arogancyi na całą naszą literaturę (*Oj*

---

[1]) Walka stronnictw, Bracia Lerche, Komedya Konkursowa, Żyd, Cola Rienzi, Przyjaciele Hioba, Kiejstut.

[2]) Niewinni. Za maską, Piękna, Helwia, Aspazya, Poddanka, Błazen, Na targu, Antea, O. Makary.

[3]) Syn gwiazdy, Alhea, Królowa, Junius Brutus, Florynda.... i kilka fars....

mężczyzni mężczyzni), albo znowu, płytko przejęty socyalnym krytycyzmem Ibsena, jego idealnie rewolucyjnym światopoglądem, jego pesymizmem męskim, a także i fakturą sceniczną, buduje sztuki tezowo-mieszczańskie w typie Augiera (*Królowa opinia*, *Prawa serca*, *Syn*, *Jak myślicie?*, *Łotrzyca*, *Lichwiarskie swaty*). Podobnie Sarnecki albo łapie w lot prąd duchowy, jaki powiał ostatnio i płytko i powierzchownie illustruje go dramatycznie na scenie (*Urocze oczy*, *Lekkoduch*, *Półdyable*), albo pisze dwunasto obrazowe epopee sceniczne z świata bajek dla dzieci i na niedzielę (*Szklana góra*, *Boruta*), w których na strzępy roździera resztki swego jędrnego niegdyś talentu, talentu, z jakim pisał: *Febris aurea*, *Kaleków*, *Zemstę -pani Hrabiny*, *Dworaków niedoli*. Teod. Choiński, Wołowski, Koziebrodzki, Graybner i Mellerowa zasilają repertuar sztukami, które robią swoje w bardzo małym zakresie, t. j. zbierają publiczność, powodują krytyków do krytykowania, autorów do pisania następnych sztuk, z których żadna nie wydobywa się o tyle ponad mierność, aby mogła zainteresować publiczność po 10 latach od jej wystawienia; chyba, chyba Wołowskiego *Nasze anioły*, chyba Mellerowej: *Fałszywe blaski*, chyba Graybnera *Maruder*....; być może, że wielka obfitość konkursów w tych czasach przyczyniła się do tego, że pisało wielu, a miernie, i że na zbyt wielką liczbę wybranych i tych wezwanych już było za wielu.

Nowe horyzonty dopiero otworzyły konkursy Bogusławskiego, jedyne szczęśliwe z dotychczasowych, wydobywając na jaw męską, dojrzałą indywidualność Jasieńczyka (Karczewskiego), autora znakomitej *Leny*, a następnie Mańkowskiego (Tad. Zaremby) i jego świetnego *Minowskiego*. To są nowi ludzie w dramacie polskim, współcześni, nowożytni, psychologowie-analitycy w robocie koncepcyjnej i ustawianiu charakterów, ale syntetycy w lepieniu tych charakterów, w stwarzaniu żywych, żyjących, myślących, cierpiących ludzi. *Lena* może stanąć obok *Heddy Gabler*, jak *Minowski* obok *Kolegi Cramptona* śmiałymi, skończonymi konturami charakterów, konsekwentnym biegiem wypadków akcyi, głębszym i szerokim podkładem myśli i intencyi u obu polskich autorów. Jasieńczyk i Gadomski (autor *Larika*) zamilkli, Mańkowski dał bardzo dobrą rzecz: *Dziwaka*, potem słabszą: *Mędrca* i również zamilkł, trzeci nowy człowiek dramatu polskiego, psycholog i poeta Daniel Zgliński nie zamilkł, ale zagłuszyli go zgiełkliwi farsiści. Świetny autor *Jakóba Warki*, *Mściciela*, *U wspólnego stołu* nie mógł u nas znaleźć sceny dla wystawienia swego *Świtu* wśród stosunków, gdzie przed potęgą ciemnoty, farsy i intryg zakulisowych nic ujść nie zdolne.

Tak tedy trzy pierwszej siły talenta dramatyczne: Jasieńczyk, Mańkowski i Zgliński przestali być produkcyjnymi i opuścili ramiona w czasach, kiedy Bałucki tworzył *Bajki*, Przybylski fanatyzował publikę *Babami*, a Gawalewicz pisał: *Stare długi*.

Ale żywi nie tracili nadziei, a ożywcze prądy z zagranicy, odświeżające atmosferę swojskiej twórczości, podziałały impulsywnie na pogłębienie inteligencyi artystycznych u autorów, na skierowanie się ich do poważnej przygotowawczej pracy psychologicznej, zachęciły do coraz śmielszego odkrywania zasłonek z duszy człowieka współczesnego. Młodzi zaczynają budować swe dzieła już nie na rusztowaniach faktury tylko, ale na fundamentach prawdy, czy nagiej, czy bezwzględnej, czy brutalnej, ale zawsze prawdy. Arystarchowie krytyki, ci sami, którzy Szekspirowi zarzucają geniusz i brak kompromisów z publiką, przychodzącą do teatru z córkami i spowiednikami, lepią z gliny i błota kulki i gałki i zasypują debiutantów zarzutami naturalizmu, braku kompozycyi, intrygi, braku wzniosłych i szlachetnych postaci w ich „dramatach reporterskich", braku wielkich i skrzydlatych idei, których w życiu przecież tak pełno, tak pełno... że się je aż nogami deptać musi. Rydel, Roniker, Szukiewicz, Kisielewski to grzesznicy estetyczni, wywlekający w światło kinkietów *kawały życia (Z dobrego serca*, *Nieszczęśliwi*, *Ułuda*, *Karykatury*), zaobserwowane przez pryzmat pesymistyczny, bez fajerwerków moralnych w czwartym akcie, bez kontrastów charakterów czarnych a... różowych, bez niesłychanie interesujących intryg. Krytyka teatralna dokumentuje uroczyście swoją tęsknotę za ideałami lotnymi, za eterycznemi dziewicami, za promiennymi młodzieńcami, którzyby siłą i potęgą swych uniesień i zapałów wiedli ją, znużoną staruszkę, w zaziemskie światy. Tęsknota za optymizmem i różowymi okularami dla młodych autorów prześwieca silnie w manifestach krytyki *à propos* takiego Hauptmanna, Schnitzlera, Rovetty i *à propos* wystawienia takich *Nieszczęśliwych* Ronikera lub Kisielewskiego *W sieci*. Już przedtem powodzenie *Leny* Jasieńczyka i *Minowskiego* Mańkowskiego zachęciło autorów, wstępujących w szranki, czy już w nich się potykających, do pogłębienia studyów obserwacyjnych analitycznych, do szukania w wirze życiowym zagadnień głębszych od zagadnienia Numy i Pompiliusza, do rozwiązywania poważniejszych węzłów psychologicznych od rehabilitacyi demimondek lub potępienia *mondain*, wprowadzających w krąg świetlany lampy, wiszącej w jadalni, kochanka o szerokich barkach i szerokich hory-

zontach myśli. Wobec niechęci autorów starszych, nie dopuszczających do głosu młodych, młodym brzydnie wszelka intryga wogóle, tak że w dramatach coraz mniej treści, pięknych pokojówek, gubiących listy, niespodziewanych przyjazdów męża, czarnych charakterów o rudych włosach, komicznych Żydów, niezgrabnych parobków, stawiających kabałę ciotek, coraz mniej sztuczności, banalności i ordynarnego komizmu, a coraz więcej zamiłowania do stawiania silnego jednostki niezwyczajnej, nowoczesnej, walczącej z otoczeniem przeciętnem, złem, apatycznem, brutalnem w swej ospałej głupocie, nizkiem w swych celach i czynach. Malowanie charakterów zdaje się być punktem wyjścia dla wielu; *renaissance* t. zw. bohatera, t. j. pana lub pani, cierpiących na nadmiar lub brak energii, skierowanej ku celom, wchodzącym w starcie z celami otoczenia, kasty, sfery, mas, społeczności, *renaissance* Prometeusza, Edypa, Antygony, Tymona z Aten, Hamleta, Otella, Fausta, Manfreda (o ile nie w zanadto karykaturalnej już przemianie występują we współczesnem życiu)... oto zadanie, jakie sobie stawiają niektórzy. Tak więc publiczność patrzy z krzeseł na kolizye dramatyczno-życiowe *Nauczycielki*, *Awanturnicy*, *Łotrzycy*, *Toli*, *Hrabiny Sylvii*, *Hrabiego Jerzego*, *Hrabiego Witolda*, *Królewicza*, a autorowie przez cztery akty, wskazując palcem na indywiduum, ginące w walce z makrokosmem, po czwartym wdzięcznie kłaniają się makrokosmowi publiki, rozkochanej przez 3 godziny w miniaturowych tytanach i krzyżowanych męczenniczkach emancypacyi. Ci autorowie poprzedniego pokolenia, biorący z nowych prądów myśli i formy „to, co zdrowe”, racyonalne i potrzebne: Koziebrodzki, Popławski, Urbański, Zaleski, Konar, Graybner, hr. Rzewuski, Lubowski, mają w sobie jednakże wiele z makrokosmu, siedzącego w krzesłach, lubią sensacyę i jej syna—melodramat, postacie swoje biorą o tyle wprost z życia, że nawet z publiczności, siedzącej w lożach, postacie drugorzędne i komparsowe bywają u nich „bardzo interesujące”, „ogromnie nasze”, „sympatyczne a ciekawe”, a sztuki mają w sobie coś połowicznego, trącą Dumasem synem i Augierem, choć wnoszą i zapaszek modernizmu skandynawskiego i niemieckiego. Są to niejako bukiety, w których dziewanna, tymianek i jaskier sąsiadują z tuberozą, asfodelą i orchideą, w każdym razie jednak to już prace współczesne, odzwierciedlające życie z końca wieku w społeczeństwie, tkwiącem duchowo w latach 1870-tych. A społeczeństwo to jest już tak dalece demokratyczne, że lubi arystokracyę na scenie, lubi, aby wielkie tragedye odgrywały się na tle pałacowych

kominków i portretów kasztelańskich, aby Żydzi byli zawsze trywialni i śmieszni, demokraci zawsze szlachetni i idealizujący, arystokraci zawsze utracyuszami, a areną walk sercowych szlachetnego „syna mieszczańskiego" i „rwącej kajdany konwenansów" hrabianki zawsze piękny salon. Z czasem i ten przywilej publiczności upada, a już większość wspomnianych sztuk odgrywa się bądź w jadalni, jak lubi Ibsen, bądź w sypialni, jak lubią Francuzi i... krytyka. Przez wszystkie te sztuki prześwietlają gdzieniegdzie promienie geniuszu Ibsena, najrozmaiciej załamane w pryzmatach temperamentów autorskich. Jak Hauptmann, Sudermann, Hirschfeld, Fulda, Hartleben, Dreyer, jak Bracco, Rovetta, Praga, jak Lemaitre, de Curel, Dounay, Ancey, Lavedan, Becque, Germain, Brieux i tylu, tylu innych wyszło ze szkoły północnej sowy, tak i u nas pomniejsi uczyli się na Ibsenie, niektórzy go tylko podglądali, niektórzy prawie że parodyowali. Obok więc wspomnianych, już ibsenizujących silnie autorów, nie domawiających w dyalogu, radykalnych w pojęciach, starających się usilnie o „przeciętną rzadkość" w charakterystyce, jaką mają figury Ibsena, wchodzi w szeregi Ibseńczyków także Wł. Rabski, rzucający społeczeństwu silnie, po męsku narysowaną postać z duchowej rodziny *Wrogów ludu* na tle społeczno-politycznem w Poznańskiem. Bog. Roniker, debiutujący dość zresztą hałaśliwie naturalistycznym dramatem *Nieszczęśliwi*, otwiera szeroko wrota pesymizmowi, który dumny i potężny stąpa odtąd pewną już nogą po deskach teatru polskiego, będącego, jak każdy teatr, zwierciadłem życia. Jaskrawy problem, egzotyczne akcesorya, sensacyjna sól atycka i dość udatna technika konstrukcyjna, przytem prawie apodyktyczne rozwiązywanie kwestyi zawiłych w malowaniu charakterów — oto były wadliwe przymioty pierwszej zaraz pracy — rękojmia jędrnego talentu. Z czasem przymioty te, zgrubiałe, strywializowane, rosną *in minus* i zmieniają się w kokietowanie filisteryi sensacyjną kwestyą dnia, a ustawianie ryzykowne karcianych domków z problemów społecznych—w jarmarczną egzotyczność nazwisk, tytułów, charakterów, warunków, wśród których charaktery się rozwijają, komplikacyi losu, w jakie wpadają, w pewnego rodzaju *foot bal* ideami. Ronikerowi zaczynają jakby uśmiechać się paryskie tryumfy innego dramaturga, Stanisława Rzewuskiego, tryumfy z *Théâtre libre*, zaczyna troszkę spekulować na kosmopolityczną sensacyę, jak autor *Don Juana* i *Cesarzowej Faustyny*, i eksperymentować w technice konstrukcyjnej dramatu, przejaskrawiając przytem naturalizm i stylizując ideę, przez innego wielkiego dramaturga już przeprowadzoną.

Dyktatorska mania operowania tłumami, tak wybitna i interesująca u Rzewuskiego, budzi się i w Ronikerze; w Niemczech ten bardzo współczesny objaw charakterystyczny skłonności autorskich znalazł ujście w t. zw. *Armeleute-Drama*, w socyalistycznych dramatach naturalistów, u nas w anti-demagogu Ronikerze, w walce z tłumem. W *Czy warto?* pali Roniker świeczkę Ibsenowi, indywidualizmowi i, dość zresztą zgrabnie tańcząc wśród mieczów kwestyi patologicznych, jakie sobie poustawiał, głosi z emfazą potępienie „liberalnej większości", a hymn ku czci nauki i jej rodzicielki — prawdy. Czuć tu już przytem coś z atmosfery angielskich „*detectivs tragedy*", dla pikantnego posmaku dodawane kryminalistyczne *attitudy*, widać nabrzmiewającą niebezpiecznie „rinaldistyczną żyłkę" utalentowanego pesymisty. Następne jednoaktowe studya Ronikera są chyba potknięciem się talentu, są niedojrzałymi owocami z roku suchego, które nie wchodzą zupełnie w rachubę, o ile się sądzi autora ze stanowiska *literackiego*, nie ze stanowiska reżyseryi teatralnej. *Zgaszeni* i *Karyery*, następne dramata Ronikera, mają wiele wspólnych znamion, tak silnie wybijających się na światło krytyczne, że dają już pewną dyrektywę w poglądzie na indywidualność autora. A więc jest to jakby Pankracy najnowszy z epoki Baedeckera, snobizmu i plakatów artystycznych, Pankracy-hrabia, trybun ludu — wróg ludu, bojownik prawdy, walczący za nią kłamstwami konwecyonalnemi i szarżą w nakładaniu czarnych barw, rewolucyonista idei i... krojów fraka, rzucający brudną rękawiczkę w twarz umierającemu na wyschnięcie szpiku pacierzowego feudalizmowi. Autor *Czy warto?* byłby najtęższym pesymistą w dramacie europejskim, gdyby nie było Germaine'a, Becque'a, Rovetty, Strindberga, jego ojców duchowych, i ich dziadka.... Ibsena, byłby niesłychanie smutnym sceptykiem, gdyby w jego sceptycyzmie nie widziało się tylko fanfaronady arystokratycznej, byłby rzecznikiem nauki i jej tryumfów, gdyby ją poznał zblizka nie... z felietonów, byłby dramaturgiem najbardziej męskim, dojrzałym, stanowczym i jedynym w swym problematycznym rodzaju, gdyby silny swój talent oczyścił z pleśni melodramatycznej, gdyby szpitale i kryminały przestał uważać za dyogi życia współczesnego, dzienniki galicyjskie za kastalskie źródła poezyi dramatycznej, a na świat nie patrzał z okna, z którego patrzą już sędzia śledczy, doktór psychiatra i komisarz policyi. W każdej pracy jednakże Roniker walczy, potyka się to ze „zwartą liberalną większością", to z nihilizmem etycznym sfer, używających za każdą cenę, to ze zezwierzęceniem i gan-

greną moralną skarłowaciałych feudałów; w każdym dramacie widać syzyfową pracę autora z problemami, które przerastają go znacznie, widać myśliciela, którego, co prawda, podniecają tylko jaskrawe i krzykliwe myśli, ale który obskurantyzmu nienawidzi we wszystkich sferach i zwalcza go wszystkimi rodzajami broni, jakimi rozporządza. Roniker nigdy nie będzie autorem popularnym, gdyż jest zanadto problematykiem i rewolucyonistą (choć uperfumowanym), nigdy może nie uzyska akademickiego stopnia z ramienia krytyki i tytułu cenionego, głębokiego dramaturga, gdyż za wiele kokietuje galeryę oraz flagelantów i fanatyków modernizmu. Smutne to, że taki kolorysta w dramacie tak mało jest luministą, tak mało widzi słońca w duszy ludzkiej, tak mało patrzy w serca; śmieszne to, że wobec tych fresków, malowanych smołą i sadzą, że wobec tej galeryi typów, gdzie obok histeryczki stoi kryminalista, a przy erotomanie kobieta poliandryczna musi się mimowoli zakrzyknąć wraz z areopagiem nestorów krytyki kuryerkowej: *Pas du tout! Pas des choses!* Słońca! Dość tych pohukań sowich — jak mówił Ola Hanson do Ibsena. Dość tej brawury naturalistysznej, zdawna już w Europie przebrzmiałej, dość tego spiętrzonego pesymizmu, którym się dyskredytuje prawdziwy pesymizm, płynący z życia niepowstrzymaną falą, pesymizm Garborga i Strindberga, Czechowa i Żeromskiego. Społeczeństwu dokształcającemu się bardzo są potrzebni problematycy autorowie, analitycy, nawet pesymiści, ale, mając atuty takiego talentu, jak Roniker, zagrywać nieszczęśliwe społeczeństwo tylko czarnemi kartami, wyrwanemi z skandalów dnia bieżącego, to lekkomyślnie i niepotrzebnie.

Zapolska, K. Sterling, Żyżkowski, Brunner (Jan Sten), Żegota Krzywdzic — to ostatnie gwiazdki, obracające się lub odrywające z sfery półświateł, nastrojów, charakterów i problemów zachodzącego słońca północy.

Zapolska, bezsprzecznie najtęższa siła naturalistycznego pisarstwa u nas, jest też w posiadaniu wszystkich zagadek i tajemnic gustu i smaku teatralnego publiczności. Przyswoiła sobie technikę francuską, tak, jak nikt u nas, jest naturą refleksyjną i poważnie myślącą o sprawach społecznych, jak mało u nas autorów, a że więcej, niż inni, odczuła ducha czasów i świty nieznanej przyszłości, więc jej jedynie trzeba zawdzięczać w dobrym stylu skonstruowane melodramaty pouczające i zrozumiałe wszystkim i wobec groźnej, coraz rosnącej apatyi nacyonalnej bardzo potrzebne nawet wtedy, jeżeli są tak chybione i płytkie w opracowaniu psychologicznem, jak ostatnia *(Jan z Czarnolasu)*. Pracowita i płodna autorka *Kaśki Ka-*

ryatydy dała jednakże jedną rzecz, wybijającą się ponad poziom wszystkich dzieł, rzecz doskonałą, zamkniętą i śmiałą, bez tezy, bez tendencyi, bez efektów, jaskrawości, kompromisów teatralnych, sztukę psychologiczną z zagadnień magicznego trójkąta męża, żony i tego trzeciego: *Żabusię*. Wiele w tej historyi o bardzo głupim mężu i bardzo naiwnie zdradzającej go żonie jest ibsenowskich motywów, wiele psychopatycznej teoryi o *moral insanity*, wiele praktyki życiowej, a i coś nawet z wyuzdania płciowego Marcela Prevosta. Nadto i Becque'a „Paryżanka" z warszawską „Żabusią" zaprzyjaźniłyby się bardzo prędko, gdyż są to mężateczki, które małżeński trójkąt łatwo zmieniają na czworobok, a ten na wielobok, nie przestając przytem bardzo kochać i swego męża, i dziatek, i separatek, i teściowej, i teścia, i wiosny, i słońca, sukni — wszystkiego, co Bozia żabusiom, muszkom, myszkom, gołąbkom dała. Zapolska specyficzny ten gatunek współczesnej kobiety skreśliła z wielką siłą i plastyką i dała indywiduum genialnie wyrwane z życia, jak ibsenowska „Pani z morza"; tylko że Elida Wrangel ubiera swą tęsknotę wolności i sensacyi życiowych w symboliczną szatę morza i filozofuje, odchodząc w świat z „czarnym panem z morza" (skąd słusznie nazwana Frau von Mehreren"), a warszawska Maniuta „jasnowłosego pana z Ogrodu Saskiego" wprowadza do domu i właśnie nad sobą i swoim postępkiem nie filozofuje — tem się więc różnią.

O ile jednak trudno jest współczesnym młodym dramaturgom europejskim przejść obok geniuszu Ibsena, nie nauczywszy się lub nie podpatrzywszy niczego z jego dzieł, o tyle wpływ ten ibsenizmu, zresztą pożądany, rozmieniony na drobne liczmany sudermanizmu i podany z trzeciej ręki przez K. Zaleskiego, Konara, M. Szukiewicza, wydaje już kwiaty ordynarne, nieszczere, więdnące po pierwszym spektaklu. M. Szukiewicza *Ułuda*, rzecz na pierwszy rzut oka krytycznego młoda i z talentem pisana przy poważniejszych oględzinach staje się wzorowym obiektem sekcyjnym do badań t. zw. sudermanizmu, choroby antypatycznej, a dość częstej. Składa się na nią: kompromis autora ze sobą, poczem z „solidną publiką", teza dramatyczna płytka, jak gust, ideały i ambicye autora czy publiki, realizm w meblach i frazeologii dyalogów, ostatnia starokawalerska lubieżność, maskowana, skrywana, ale fosforyzująca; gdy sztuka ma przytem „roie", na których „stanie", i autor zadowolony, i publiczność. Takie zalety w całej pełni ma właśnie „Ułuda" M. Szukiewicza, autora symbolicznych poematów scenicznych: *Śmieżników* i *Kwiatu pleśni*. I tu stoimy przed naszym, swojskim fenomenem literackim, niestety, ujemnym i przykrym. Czem

się to dzieje, za sprawą jakiego złośliwego Skierki, że poeta tej miary, co Felicyan (Faleński), Cellini drobnych form poetycznych, pisze farsy: „*Krzyżyk na drogę*", „*Pogłoskę w Ryczywole*", „*Tam i z powrotem*", a inny poeta bardzo szczery, autor „*Anny Firlejówny*", „*Almanzora*", poważnych dramatów historycznych, K. Gliński wyrabia takie farsy, jak: „*Na wakacyach*", „*Szaławiła*", „*Hop! Hop.*"? Mówi Flaubert bardzo bezwzględnie: *Si l'artiste n'a pas de rentes, il doit crever du faim.* Zdanie to obok Dantejskiego: *Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate* powinno być chyba złotemi głoskami wybite nad bramą do grodu sławy polskich dramaturgów i powieściopisarzy. Wobec faktu, że nie można tego kłaść na karb braku godności pisarskiej czy na karb braku poważnego przeświadczenia o misyi duchów przewodnich narodu, trzeba objaw ten uważać za fenomem złośliwy, za figiel Muzy. Wobec jednak „*Pogłoski w Ryczywole*" F. Faleńskiego i *Hop! hop!* Glińskiego....... trudno się dziwić potem M. Szukiewiczowi, że swoją jaźń literacką rozszczepia na dwie tak sprzeczne części składowe, jak kompromisowy realizm dla małomieszczaństwa, oraz zawrotny, somnambuliczny, ekstatyczno-panteistyczny, niezdecydowany a przepastnie ciemny mistycyzm dla dekadencyi galicyjskiej. Jak Roniker to Ibsenowi, to Zaleskiemu pali świeczkę, tak M. Szukiewicz jest sudermanistą od dnia powszedniego, a mistykiem w prostej linii od Maeterlincka dla odświętnych smaków i upodobań. I to jet Scylla i Charybda tego talentu, te porywają go naprzemian i nie pozwalają z tym zasobem talentu, jaki bezprzecznie ma ten subtelny poeta, rozwijać się, mężnieć i być szczerym wobec siebie, publiczności i sztuki. Jeżeli sudermanizm miałby być Scyllą dla autorów młodych, to Charybdą nazwałbym Życie, ale nie to rwące, wypalające łzy, to do rozpaczy wiodące, nie to wartkie, huczne, barwne życie współczesne, którego każda fala w umysł poety rzuca tyle zagadnień, myśli, problemów niepokojów, tajemnic, ale to małe, zamknięte na świat, pełne dusznych omamień, otumanień haszyszowych, górnych i pusznych okłamywań „Życie" krakowskie, okopy św. Trójcy dla potentata stylu i poezyi Przybyszewskiego, dla kilku talentów górnych i dumnych (jak J. Żuławskiego, Kleczyńskiego, Stefanyka, St. Pieńkowskiego, Kasprowicza), lecz i, niestety, mrowia beznadziejnie naśladujących demokratów sztuki, nie mających z poezyą symboliczną nic wspólnego, chyba dźwięk eskamotowanych tonów, przepych podpatrzonych barw i niezrozumiałość niezrozumianych czy nierozumnych idei. Jak upajająco i trująco działają abstrakcyjne

tajemnice mistycyzmu, metafizyki, t. j. kierunku ducha dla głębokich duchowo, na ludzi prostszych, przeciętniejszych i więcej ku słońcu zwróconych, jak osłabia i otumania poezya symboliczna, t. j. sztuka wyrafinowanych artystycznie, talenty silne, związane swą istnością z życiem, realne, chociażby niezwykle poetyczne, talenty, więcej zwrócone ku słońcu, to już zadokumentowali w dramacie naszym i Tetmajer, i Rydel. Tetmajerowi nie dopisała fantazya w przefantastycznej fantazyi maeterlinckowskiej *Sfinks*, w której wszystko, co mistycznie malownicze, groźne, efektowne, złożyło się na tem silniejszy kontrast z brakiem szczerości, ciągłości i górnej wytworności mistycznego nastroju, z ekscentryczną banalnością figur. L. Rydel dla swej kosmicznej, symbolicznej fantazyi *Dies irae* zasięgnął głęboko po akcesorya mistyczne aż do Flauberta „Kuszenia św. Antoniego", w *Matce* pokusił się o stworzenie realnego dramatu z nastrojem, wiernie znów skopiowanym z „Intruza" i „Wnętrza" Maeterlincka, by wreszcie, „oceniwszy swe siły i odnalazłszy siebie", dać prawdziwe arcydzieło psychologicznego dramatu, drobnostkę, ale perłę: *Z dobrego serca*; poczem wreszcie dzieło dekoracyjne współczesnej twórczości dramatycznej, jak wszystkie dzieła dekoracyjne (a więc dostępne tłumom), konwencyonalne w założeniu, epigoniczne, nawiązujące stargane nici z przeszłością, z tradycyą, z wzorami z historyi literatury ojczystej, pełne reminiscencyi i „zdrowego smaku artystycznego", a jak wszystkie *Zaczarowane Koła* — błędne. Rydel otrząsnął się, coprawda, ze wszystkich naleciałości współczesnej literatury zagranicznej, ale przytem stracił też i wielki nabytek bojów ostatnich dziesiątków lat — wyniosłą miarę dla myśli artystycznej. Braku męskiej górnej i chmurnej idei poetycznej, godnej współczesnego umysłu, idei, która zawsze jest i będzie szpikiem pacierzowym Piękna, braku świetlanej, potężnej i oryginalnej fantazyi, która zawsze będzie „skrzydłem archanioła", nie zastąpią ani biżuterye tryoletów, ani sentymenty pastusze, ani meiningeńskie dekoracye, ani sympatyczne szatany szlacheckie i chłopskie, Boruta i Kusy. *Zaczarowane Koło*, dzieło wielkiego mozołu i opracowania poetycznego, ma rzadką i dziwną równowagę pierwiastków dramatycznego i lirycznego, stawia swego twórcę w rzędzie pierwszych wirtuozów i mistrzów języka jest kopalnią motywów malarskich, szczegółów folklorystycznych, jest prawdziwą lukullusową ucztą dla muzycznego ucha. Powiedziałbym, jest to okręt, przepełniony bogactwami i skarbami treści, języka, formy poetycznej, który po

przydługiej jeździe wreszcie osiada na mieliźnie, na piaskach... myśli. Konwencyonalność węzłów intrygowych, banalność konfliktów psychologicznych, szablonowość postaci Wojewody, Jaśka, Boruty ciężą tak silnie na całym dramacie, że nawa jego osiada na mieliźnie, z której jej już nic wyciągnąć nie zdolne, ani nawet górnolotny frazes o spadku po Słowackim, ani drugi frazes o upragnionem dziele wielkiej sztuki dramatycznej polskiego.... Hauptmanna. Rzeczywiście bowiem, w *Zaczarowanem Kole* za wiele było słychać dźwięków *Zatopionego Dzwonu*, a w zestawieniu kilku światów szlacheckiego, chłopskiego i świata bajek leśnych, dalej we wdrażaniu zderzeń psychologicznych np. młynarki i parobka, dalej wojewodzianki i Maciusia-muzykanta za mało było rozmachu szekspirowskiego, silnych i choćby jaskrawych barw *Balladyny* i *Lilli Wenedy*. To też *Zaczarowane Koło* jest raczej stylizowanem dziełem poetycznem romantyzmu, jak stylowem, więcej też daje reminiscencyi z techniki dramatycznej z przeszłości, niżby miało wskazywać szlaki dramatu na przyszłość. Interesujące, piękne i potrzebne to dzieło jest jakby epilogiem romantyzmu w dramacie naszym, romantyzmu szekspirowskiego, rozkwitłego na fantazyi ludu, ale jest zarazem literackiem *requiem*, śpiewanem wszystkim postaciom, które, niegdyś młode, świeże i barwne, dziś już zbladłe, zszarzałe i podstarzałe rażą konwencyonalnością. Konwencyonalnym bowiem w całem tego słowa antypatycznem znaczeniu jest i Maciuś ze swoją fujarką wierzbową, cudowne dziecko mazowieckie, symbol żywiołowej poezyi prostej, szczerej, nieuświadomionej.... a nudnej, nieuznany przez świat pieśniarz z lnianym włosem, słowiańskiem niedołęstwem i repertuarem muzycznym tęsknych, tęsknych a słodkich, słodkich prześpiewań. *Zaczarowane Koło* stoi w takim stosunku do *Dzwonu Zatopionego*, jak poeta Maciuś do poety mistrza Henryka; ale, o ile mistrz Henryk reprezentuje potężnie i głęboko wdzierającego się na niedostępne wyżyny geniusza, duszę tęskniącą, niepohamowaną i pierwotną, umysł wielki i skrzydlaty germańskiego Prometeusza, bóstwo Loki, walczące z karlim narodem Azów o święty ogień dla ludzkości — o tyle Maciuś mimo namaszczenia kilku krytyków nie będzie wcale symbolem słowiańskiej twórczości artystycznej, ani pratypem polskiego pieśniarza, ani reprezentuje też jednostki ze stygmatem geniuszu w naszych warunkach narodowych, gdyż reprezentują to inni, jak: Konrad-Gustaw, Kordyan, *least not least* nawet Orcio, nawet ...Płoszowski. Maciuś to dziecię płaczliwego sentymentalizmu i małej fantazyi ludu z nizin, jedna z figur folkloru,

ale przenigdy typ rasy lub symbol duchowej energii naszego ludu. Geniusz bez teki w płótniance i z fujarką nawet cudnie śpiewną nie może być najwyższem skupieniem sił niezmożonych, choć drzemiących ludu. Ani więc Maciuś symbolem, ani typem, ani ideałem, ani *cor cordium* ludu polskiego, ani w jego postaci nie schwytał, ni zamknął Rydel duszy ludu. *Zaczarowane Koło* zaś nie rości pretensyi do tytułu tragedyi artysty (jakby można wywnioskować z niektórych intencyi autora i tendencyi niektórych krytyków), gdyż generalną ideą autora — a achillesową piętą utworu — było namalowanie wielkiego obrazu obyczajowego z XVII wieku, Baśni romantycznej z magnatem, szlachcicem, chłopem i biesem, akcesoryami z romantyzmu i z rokoka i oprawienie obrazu w kosztowne ramy przepięknego rymowanego słowa. Ponad indywidualne siły twórcze *nemo obligatur*. Rydel to poeta, który przejść musi jeszcze jedną kwarantannę artystyczną, to jest samotność, rodzicielkę myśli filozoficznej, i jeden kryzys indywidualny, t. j. zrzucenie niewoli przestarzałych i obcych czasom postulatów estetycznych, wymagających deptania szlakiem starych myśli i starych form, ponieważ szlaki te wskazali nam wielcy poprzednicy. Następca Słowackiego zawsze będzie tylko Słowackiego naśladowcą, naśladowca epigonem, a do epigonów należy tylko przeszłość.

Jak na Tetmajera, Rydla, Szukiewicza Maeterlinck wywarł wpływ wielki, ale organicznie nie pokrewny, paczący i przelotny tak na najmłodszego dramaturga J. A. Kisielewskiego sataniczny monakord Przybyszewskiego podziałał oślepiająco, głuszaco i oby przelotnie. Dziwny to objaw u nas, że młodzi adepci pióra zdają się iść ku przyszłości, jak konie dorożkarskie. Ich młode Pegazy zdają się mieć klapy przy oczach i biegną albo ubitym gościncem najcodzienniejszej, wczorajszej, banalnej prozy, albo, wierzgnąwszy, fatalnie skręcają w bok na łąki symbolizmu. Czyż są tak mało inteligentni, aby nie wiedzieli o tem, że można być bardzo współczesnym, mieć w umyśle syntezę dnia dzisiejszego, wróżyć jutrzenki jutra i być młodym w ideałach, pragnieniach, wiarach i celach, nowym w formie ich wypowiadania, nie będąc koniecznie zakapturzonym Teophilem Bombastem Paracelsusem ani żonglerem Absolutu? Czyż ich talent ma tak słabe, gliniane nogi? Czyż są ślepi na piękno i potrzebują przewodników, czy też pod królewskim gronostajem władców i mocarzy chcą się prześlizgnąć do sławy grodu? Kisielewski napisał dotychczas trzy dramaty: *W sieci*, *Karykatury* i *Sonatę cierpienia*, rzecz świetną, rzecz średnią i rzecz marną. Jest to ewolucya talentu *in minus*. Sonata cierpienia, skrofuliczne dziecię

jego ducha, inscenizowany szkic powieściowy, wymuszony, nieszczery, przykry w swej hałaśliwej, egzotycznej pozie przykre wywołuje refleksye. Dlaczego realista z temperamentu, ale to realista *par excellence* z krwi i kości, urodzony satyryk, obserwator życia tak detaliczny i przesadnie skrupulatny, że zdaje się czasem, jakby był genialnym agentem policyi nad duszą drobnomieszczańską, szpiegiem myśli filisterskiej, fotografem uczuć powszednich i prozaicznych, duchem niepochwytnym, unoszącym się w atmosferze jadalnych i dziecinnych pokojów urzędniczej inteligencyi, dlaczego ten jedyny w swej ironicznej, dickensowskiej manierze genialny odtwórca szarego środowiska, młody dramaturg, wpatrzony hypnotycznie w życie codzienne, monotonne, płaskie, płytkie i brzydkie, kopiujący to życie prawie mechanicznie — sam nagle wchodzi niejako na scenę z bandą młodych aspirantów sztuki dla sztuki, z ową operetkową kolonią krakowskich dzieci szatana, tak zjadliwie i złośliwie przeniesioną od stolików kawiarnianych na deski teatralne i ustami satanisty z panoramy, jakiegoś „Hanswursta" mistycyzmu, doktora Leliwy (*Sonata cierpienia*), szerzy propagandę haszyszu, opium i dżynu, żółtego dżynu? Kisielewski nie ma humoru i vis comica w swym talencie, ale miał vis maior, bo zgryźliwość i szyderstwo, a więc bardzo nowoczesną broń w zwalczaniu snobizmu, filisterstwa, apatyi parafiańskiej i łokciowych horyzontów. Dlatego i w dramacie *W Sieci* i w *Karykaturach* miał broń, miał *personnage* do chłostania i choć sam przybierał pozę i maskę sfinksa, czuć tu było, że autor drwi z modernizmu, z modernistów, z indywidualizmu i nadludzi, z dekadencyi i jej apostołątek wobec tego faktu, że znał to wszystko tylko w karykaturalnej miniaturze *de petite paroise*. Dlatego Jerzy-Jura ze *W Sieci* ma tyle niezrównanego komizmu w swej ewolucyi z dekadenta na Europejczyka, dlatego tak cyrkowo wyglądają młodociane klowny literatury (w V akcie), dlatego tak obrzydliwie głupiem jest to wszystko, o czem paplą papugi o żółtych dzióbkach a zielonych główkach z dziedziny sztuki i literatury (w *Karykaturach*). Wstępującego w życie młodego poetę uderzył przedewszystkiem kontrast i dysharmonia wielkich idei i myśli, a karlich ludzi, uderzyło wszystko to, co bezbrzeżnie śmiesznem było w otoczeniu, to, co ząbkujący nadczłowiek ma z... małpy. Że jednak był poetą, a nie farsistą, więc na tle groteskowego życia i karykatur z Abdery i bardzo głupich, biednych zjadaczy chleba, na tle małostek, drobnostek i śmiesznostek dostrzegł tragizm jednostki wyjątkowej, szlachetnej, egzaltowanej, dostrzegł egzystencye smutne, walczące, ginące i z szarzyzny życia wydobył złote bryły

charakterów Julii (*W sieci*) i Relskiego (*Karykatury*). W opracowaniu tych dwu postaci, spokrewnionych duchowo z całą galeryą podobnych im z literatury współczesnej wszecheuropejskiej jednostek, okazał się Kisielewski greckim plastykiem; te dwie postacie wołają wielkim głosem o rzeźbiarza, któryby ich dusze zaklął w marmurze, a w skurczu tragicznym ich mięśni twarzowych napiętnował bezbrzeżną gorycz, zniechęcenie cierpkie i rozpacz, to znaczy wszystko, co zdobywa wyższa natura w zetknięciu z środowiskiem niższem. Te dwa dramaty *można* uważać i za naturalistyczne dokumenty, ale *trzeba* oceniać, jako dwie „epopee psychologiczne", którym przypadałby w zupełności tytuł: Żywot i przypadki duszy, serca i umysłu młodzieńca (lub dziewczęcia), upadającego ciągle z obłoków, żądnego niepotrzebnie prawdy, słońca i wolności, zwanego przez pp. krytyków wczoraj romantykiem, dziś dekadentem, jutro nadczłowiekiem, a przez rozsądnych zwanego krótko — głupcem (albo poetą). Są sceny w obu dramatach, napraszające się o karykaturzystę, któryby je na wieczną rzeczy pamiątkę zillustrował, są inne ważniejsze, targające sercem... młodem, są inne tak słabe i niezdarne, jak niektóre sceny w dramatach Hauptmanna, Rovetty, d'Annunzia. Wiązanką takich niezdarnych scen jest właśnie „Sonata cierpienia". Opuścił w niej młody autor znane do szpiku kości rodzinne środowisko przedwcześnie, utracił grunt bezpośredniej obserwacyi pod nogami, wzgardził satyrą na tych, których rozumiał, bo odczuwał z nimi, i dramat jego z ekscentrycznego świata śpiewaczek, obłąkańców, teozofek, satanistów, z całą swą fatalistyczną atmosferą a jasełkową techniką nie daje już ani pokłosia obserwacyi, ani satyrycznej rozkoszy, ani też znowu nie drażni wyjątkowych apetytów artystycznych czarną analizą, psychologią nagiej duszy. Jest on raczej mozaikowym zlepkiem źle strawionych frazesów z kuchni symbolicznej, pretensyonalnym amalgamatem nonsensów napuszonych i źle stopionych, które Przybyszewski byłby może tak stopił, że w przepychu królewskiego stylu, w prawdzie jednostronnej, ale jednostronnie genialnej charakterystyki natur wyjątkowych i dostępnych do stwarzania tylko genialnym, byłaby ta „Sonata cierpienia" pełna artystycznych dysonansów, w kompozycyi autora „Nad morzem" Beethovenowskiem arcydziełem, krzykiem tęsknicy, smutku, cierpienia i rozpaczy. Krytyka, ta sama, która pchnęła Kisielewskiego na ślizgawicę obcych mu tematów, zagadnień i charakterów, którą nudziło już środowisko dramatyczne poprzednich dramatów i która ma na sumieniu tę krzywiznę w rozwoju jego talentu, ta krytyka potępiła,

rzecz oczywista, „Sonatę cierpienia"; surmy i fanfary powitały wschodzącą gwiazdę, hejnały i tusze żegnały schodzące z afisza dramaty, radościom i interwiewom nie było końca. Nikt nie przyszedł do skromnego wniosku, łatwego choćby dla przewlekłej akcyi, fatalnej budowy dramatów, epicznej kompozycyi, drobnostkowej charakterystyki, że to urodzony nowelista czy może nawet powieściopisarz zjadliwy, narrator o życiu bezmózgiego mrowia ubogiej inteligencyi, Krezus w obserwacyi, rewolucyonista w państwie idei, ale przenigdy rewolucyonista formy dramatycznej. Nieumiejętność początkującego wzięto za modernizm „des kommenden Mannes", przesadę w obserwacyi drobiazgowej za nową metodę, ostatni wyraz psychologii. Słodycze i łakocie, jakimi zasypała krytyka debiutującego w dramacie młodego Balzaca dramatu polskiego, zepsuły mu żołądek. Ale nad zdrowiem jego talentu nie załamujmy rąk. Za silny był i za szczery, niespodziewany i samorodny, aby jeszcze długo trwał w odurzającym półśnie po haszyszach krytyków i... dekadentów, szukających na gwałt i dla dramatu... Przybyszewskiego. Poezya wymaga kłamstw, urojeń i marzeń. teatr — dramatu, a dramat wymaga faktów i prawd, choćby faktów z bajek, a prawd fantastycznych; ani orgie kosmiczne, ani tortury erotyczne dwojga istot, ani Gehenna płciowa monomana, choćby geniusza nie znoszą płótna dekoracyi i desek sceny. Jest to pewnik estetyczny tak twardy i obojętny na kierunki i prądy literackie, jak i to, że dwa razy dwa, choć dla geniusza w przystępie dobrego humoru mogą być milionem, w iloczynie dają — cztery.

Słabsi duchem od Kisielewskiego ocknęli się już z upajającego snu na kwiatach orchidei i asfodeli stylowych. Największe pająki wychodzą już z jaskiń ku słońcu. We Francyi Occitaius, Felibry i Mistrale, w Niemczech poeci prowincyi i ziemi rodzinnej stają na czele ruchu literackiego, Ibsen dał pieśń swą łabędzią, miserere symbolizmu, a pean bachiczny na cześć życia, Tołstoj głosi Rezurekcyę miłości bliźniego, d'Annunzio *Renaissance* piękna słonecznego, Maeterlinck napisał złotą ewangelię o potężniejącej wciąż mądrości człowieka, a faktycznej bezsilności odwiecznego Przeznaczenia — tak, że, zdaje się... *lux in tenebris lucet.*

Miałżeby właśnie polski dramat przed świtem nowych dni grząźć w konwencyonalizmie optymistycznym czy konwencyonalizmie pesymistycznym, wogóle w zastoju?

A. Neuwert-Nowaczyński.

PONAD SIŁY.*)

POWIEŚĆ.

Nazajutrz o godzinie piątej rano Tadeusz z mapą Wyżnicy i dwoma leśnymi zajechał przed kopalnię spółki, zabrał z sobą Władysława i kazał się wieść na najwyższy północny punkt tego rozległego majątku.

Dzikość przygniatała. Mimowoli nasuwało się na myśl, że się żyje w pierwotnych czasach. Nagie dzieci uwijały się obok małych, schowanych do połowy w ziemi, czarnych chatach. Ponuro i strasznie. Drogi nie do przebycia, gnijące kłody drzewa, pustka i cisza dziewiczych lasów, bez bogatej południowej roślinności.

— Inaczej tu będzie wyglądać za lat trzy, rzekł, budząc się z zamyślenia, Tadeusz.

— Musi wrzeć życie! pochwycił Władek, rad, że może swój optymistyczny zapał wyładowywać.

— Jeżeli tylko moja linia naftowa zbiegnie się z waszą.

— Musi! przecież Zuber zna swój przedmiot i ma wielką praktykę — ty jesteś geolog, my również nie jesteśmy w rzeczach górniczych idyoci. Musi, musi, musi! Padnę, a zrobię swoje!

— Wielka jest siła własnej woli, lecz wtedy, gdy wejdzie na

*) Ob. „Ateneum“, styczeń — maj, 1900 r.

drogę możliwości. Tej właśnie możliwości będziemy szukać. Czy to jest „Koci łeb”? spytał leśnych, pokazując szczyt.

— A tu — drożyna, która na niego wiedzie.

— Stój!

Wyskoczyli, idąc szybko pod górę. Na szczycie Tadeusz wezwał do siebie leśnych.

— Na południe leżą dwa wielkie jary, zagłębiają się i zwężają w wąwozy. Wiele miejsc wąwozów ma nagie ściany. Z tych ścian młotkami delikatnie odejmijcie kamienie, tak, jak one się same łupią, i przynieście mi po jednym z każdego jaru po lewej stronie drogi. Prawą stroną będziemy wolno schodzić. Wołajcie na nas, odezwiemy się...

Leśni poszli z górniczymi młotkami spełnić rozkaz.

Młodzi zostali sami.

— Ach, żebyś ty wiedział, mówił przejmująco Tadeusz, jak gorąco pragnę czynu, walki, wielkich odkryć. Jak dusza moja pragnie się nurzać choćby w niepodobieństwach, byle się coś działo potężnego, byleby nasze kopalnie dawały zarobek i chleb setkom tysięcy ludzi.

— Swoboda! szepnął Władek.

— Dziś prawie miasto, czuć bogactwo, lecz już na dokończeniu, lecz mam wstręt do tego miejsca! Nieraz w snach moich, jak widmo przekleństwa, ukazuje mi się Swoboda i straszy mnie. Nie cierpię Swobody — podeszli mnie — i ze Swobody zamiast z milionem kapitału wychodzę z milionem długu. Dałem zarobek tysiącom, dobrobyt setkom, sam wychodzę, zgnieciony milionowym długiem. Dług ten jest cichy, tajemniczy, oparty tylko na zaufaniu we mnie. Wyobraź sobie, jak pragnę zdobyć milion, żeby raz zrzucić ten ciężar, co mi gniecie serce i żelazną obręczą opasuje głowę. Gdy go zrzucę — odrodzenie!

Odetchnął głęboko i zamilkł.

— Tadziu, odezwał się wzruszony Władysław, ściągnąłeś nas do kraju, wskazałeś miejsce, z którego będziemy mogli wydobywać bogactwa, tyś nam gotów zawsze pomagać serdeczną przyjaźnią i gotówką... Przysięgam ci, podniósł rękę w górę, że jeżeli my pierwsi wydobędziemy się, oddamy ci wszystko, choćbyśmy nazajutrz musieli wracać do Argentyny.

— Dziękuję ci, lecz oby losy inaczej sprawami naszemi pokierowały...

— Oby! zawołał Władek, ale świadomość, że nie jest się sam w ciężkiej walce, dodaje sił i otuchy.

— Pieniądze potrzebniejsze na wiele innych rzeczy, niż na ratowanie jednego bankruta.

— Ale ten chwilowy bankrut nasz! On tworzy wartości, działa, kocha... Dosyć o tem, nie targujmy skóry na niedźwiedziu, gdy jeszcze jest w lesie. Mów lepiej, jakie masz nowe projekta?

— Marzę o wielkiej spółce, któraby obejmowała całe Podkarpacie od Kołomyi do Gorlic!... Jeśli tu jest nafta, w Swobodzie nafta, dlaczego nie miałaby być na stu innych punktach w tych samych geologicznych pokładach?

— Cóż robić? — pochwycił Władek.

— Szukać! Rzucić na to milion i za rzucony znaleźć sto, dwieście milionów...

— Tadziu, ty mi mózg rozpalasz do białości, a w serce lejesz fale nadziei.

— I ten milion, który wydobędziecie z ziemi, powinniście rzucić dla zdobycia stu, a nie płacić czyjeś długi, to nie ekonomicznie! Dopiero z tych zdobytych stu spłacajmy długi i te głupie moje dwa miliony!..

— Najprzód twoje dwa — zawołał Władek.

— Zobaczysz, czy tak powiesz, gdy je będziesz miał. Czy będziesz mógł tak powiedzieć, gdy ci się w głowie spiętrzy sto projektów. Zrozumiesz, że postąpiłbyś egoistycznie, gdybyś miał wszystko oddać prywacie, przyjaźni, gdy ziemia czeka na milion, który ci dała, aby za ten jeden dać sto lub dwieście.

Władysław stał zamyślony.

— Pierwej twoja etyka, mówił dalej Tadeusz — twoje publiczne sumienie ścisnęłoby ci gardło i dusiło cię, zanimbyś się odważył swą gorączkę czynu topić w kasie, płacąc mój dług!.. Władek, my jesteśmy jacyś inni, pragnienie nas pali, pcha, nawet zaślepia. Ono nam nie daje spać, a czyżby dało milion guldenów schować w kasie?... Gdyby dzieci twoje umierały z głodu, chowałbyś wtedy milion do kasy?... Głodni mieszkańcy Podkarpacia — nasze dzieci.

Hop, hop, hop, hop! przeciskało się przez drzewny gąszcz.

— Leśni wyszli z parowu i niosą odbite kamienie, rzekł Tadeusz, —chodźmy. Władysław przyłożył dłonie do ust i zawołał młodym, silnym głosem:

— Bywaj!..

Nasłuchiwali chwilę i pędem z góry puścili się w kierunku nawoływania.

Na dole zeszli się z leśnymi.

Strona południowa posiadała łupek twardszy i łamanie się kamienia prawie pod kątem prostym.

— Trzymajmy się południa, rzekł Tadeusz.

— Jest to samo i w naszej kopalni, odrzekł Władek.

— Przyrzekłeś nie podpowiadać.

— To też mówię już po zdaniu przez ciebie lekcyi. Szwarcenberg kopał na pochyłościach północnych.

— I szybko przestał... Ciekaw jestem, czy, idąc w tym kierunku, dojdziemy do kopalni księżnej.

— Tylko w tym kierunku.

— Przyrzekłeś nie podpowiadać.

— Ty mówisz pierwszy, a więc podpowiadać nie mogę.

Stanęli nad parowem i własnemi oczyma badali odkrywki. Tadeusz podług busoli oznaczył drogę.

Przeszli napotkane parowy. Odkrywki pokazywały ten sam twardy łupek z tymi samymi kątami pochyłości.

— Idąc ciągle w tym samym kierunku, czy jeszcze spotkamy po drodze jary? spytał Tadeusz leśnych.

— Jeszcze cztery.

-- A potem?

— Kopalnię księżnej.

— Czy ją przetniemy na długość?

— Pójdziemy wzdłuż od szybu do szybu.

Tadeusz spojrzał na Władysława i rozśmiał się wesoło.

— Spotkanie z kopalnią księżnej— cud! — szepnął.

— Niezawodnie!

— A kopalnie Szwarcenberga? zwrócił się do leśnego.

— Zostaną kawał na lewo.

— Więc idziemy dobrze.

— Jak strzelił! Zaraziczko po za dwoma jarami spotkamy ścieżynę, prowadzącą do kopalni księżnej, wydeptaną przez żony i dzieci robotników... We wszystkich odkrywkach na południowej stronie kamień ten sam, tak samo twardy i łamiący się na dziewiątej godzinie busoli...

W dwie godziny przykrej drogi po wybojach i parowach napotkali ścieżkę, któraich w wskazanym przez busolę kierunku prowadziła do przedłużenia kopalni księżnej.

Zmęczeni, ocierając pot z czoła, siedli na wysypisku. Starszy kopacz poczęstował ich czarnym chlebem, smakował im. Rozprawa z tymi praktycznymi ludźmi dużo rozjaśniła wątpliwości. Dowiedzieli się, że kierunek pokładów na całej południowej stronie jest ten

sam. Badań w innych kierunkach już nie było potrzeby i szkoda czasu.

— Wyeksploatujmy to, co jest na początek, zadecydował Tadeusz.

— A możemy zdobyć kilkanaście milionów, dodał Władysław.

— Jestem urodzonym optymistą, lecz ty, kochany Władku, jesteś ode mnie mocniejszy.

— Bo świat w rękach optymistów. Nie miejmy nadziei, czyli inaczej nie starajmy się o miliony, to ich nigdy nie będziemy mieli. Nie wierzmy, nie ufajmy, uciekajmy od każdej inicyatywy — co będzie?

— Wtedy będziemy się starać o zaspokojenie głodu.

— I miłości, dodał Władek. Chuć mają bezczelność nazywać miłością?!..

— Świetnie powiedziałeś. Miłość to kwiat duszy ludzkiej, chuć—rozwścieklenie ludzkich zmysłów.

— Oddzielajmy jedno od drugiego.

— Zawsze, zawsze i idźmy ze swym optymizmem w świat, bo co tylko wzniosłego zrobimy, to jego siła, jaką niesie w sobie zawsze...

Na kopalnię wpadł wózkiem pan Marcin.

— Księżna pani przyjechała, wołał wystraszony. Kazała mi pana szukać i prosić go na obiad. Kucharz zapowiedział, że za pół godziny każe podawać — a pan tu, posmolony, nieubrany?!... Księżna pani potem mi za to głowę zmyje. Księżna pani nie lubi czekać. Księżna pani...

— Widocznie jedno mamy z księżną usposobienie, przerwał Tadeusz. Musisz mnie pan zawieźć swym wózkiem do dworu.

— Jedź sobie pan sam, mnie księżna pani nie prosiła na obiad... Pewno nowe plotki...

Obaj młodzi ludzie wskoczyli na wózek, woźnica zaciął konie.

— Cobyś zrobił, gdybyś był na mojem miejscu? rzucił pytanie Tadeusz.

— Na to, cośmy widzieli dziś, nie wahałbym się i brał.

— Warunki...

— Ponieważ nafta, nie ulega wątpliwości, jest płytko, to można — można dać...

— Ile, powiedz najwyższą cyfrę!

— Dwadzieścia pięć procentów.

— Boję się!...

— Koszta produkcyi niewielkie. Eksploatacya weźmie najwyżej dwadzieścia pięć, zostanie ci na czysto pięćdziesiąt.

— W Swobodzie mam dwadzieścia na czysto — i to zaledwo wystarcza na spłacenie procentów.

— Tu będziesz spłacał długi.

— Stój, zawołał Tadeusz na woźnicę, rozkładając mapę.

— Patrz, mówił Władysław, pokazując, kopalnia nasza leży na przedłużeniu kopalni księżnej, a więc na oznaczonej linii.

— A teraz powiedz, co Zuber znalazł?...

— Zapomniałem!... Tę samą, zupełnie tę samą po trzech dniach pracy, gdy nam udało się w jednym dniu.

— A więc biorę!

— Serce mi drży z radości, tylko wyżej nad dwadzieścia pięć procentów nie wolno ci ryzykować. Daj słowo!

— Ależ daję — oto ręka. Jeśli Wyżnica pozwoli mi wybrnąć z długów, mogę mieć szczęśliwe dnie, realizować wielkie projekta i posiadać przy boku tę, która mi zabrała duszę...

Wyskoczyli z wózka.

— A wiesz, z czego ja się najwięcej cieszę? Że będziemy razem. Gdy skończysz z księżną, przychodź do nas na kwaterę.

Tadeusz pobiegł do siebie przebrać się. Władysław z rozradowanem sercem pomykał do kopalni. Zobaczył zdaleka Witolda, ręką go przywołał.

— Księżna przyjechała, Tadeusz u niej na obiedzie, niezawodnie weźmie Wyżnicę. Odrazu, idąc od północy, trafił na linię naftową, którą Zuber wytknął.

— Bierze i zostaje z nami! Nie masz pojęcia, jaką mi to radość sprawia.

— Mam! Pójdziemy razem. Z tym człowiekiem iść, żyć, pracować, oddychać jego atmosferą szczerą, serdeczną i tak szeroką, jak całe widnokręgi... Nic dla siebie, a wszystko dla idei, którą ukochał: wydobyć z nędzy biedną tę prowincyę. Niech oddycha!... Czyż pomagać mu to nie radość serca?.. Po całych dniach trzymać sztangę świdra i kierować nią, żeby jeść i pić, a zebrane guldeny trzymać w skrzyni — czyż to życie?

— Lub uciekać z nimi do Lwowa i tam topić...

— Jak jeszcze głupio i nędznie, dokończył Witold. Nie mówmy o tem!... Z Tadeuszem z jego rzutkością i odwagą — można roztworzyć ramiona....

— I objąć całe Podkarpacie, zawołał Władek. Właśnie mówiliśmy o tem przed chwilą, zdobyć Podkarpacie...

— A tymczasem, rzekł, przysłuchując się rozmowie zimny i spokojny Józef, miejmy za co doczekać się ropy w pierwszym szybie, potem dopiero...

— Józiu, powiedz sam, rzekł Witold, coby znaczyło życie bez wielkich planów, marzeń i olbrzymich projektów.

— Po mojemu bez idei, dodał Władysław cicho.

— Bylibyśmy praktyczniejsi, rzekł Józef.

— Nieprawda, bo jesteśmy nimi, tylko bylibyśmy głupsi, chciwsi i pospolitsi zjadacze chleba.

— Ty przecież takim nie jesteś i dlaczego zlewasz nas zimną wodą?

— Ależ nie zlewam, lecz mówię wam o możności sił ludzkich. Pamiętajcie, że gotówka w kasie wystarczy na tydzień. Po ostatniej wypłacie pustki.

— Tydzień to wiek! pożyczkę wyrobi Tadeusz.

— A jego długi?

— Będzie ich miał więcej o kilka tysięcy, które zaraz po wybuchu u nas nafty — spłacimy.

— Gdyby tak się stało! Robotnika nie można odstraszać.

— Któż zaprzecza?... Płacić go to pierwsza rzecz.

— Ale czem? czem? kochani idyoci, czem? kiedy w kasie starczy gotówki na jedną wypłatę. Przybyło dzisiaj trzech nowych robotników, setne Mazury.

— Brać ich, kredyt musi się znaleźć! wołał Władysław.

Józef wzruszył ramionami.

Robotnik przybiegł do nich z pierwszego szybu i zawołał zdyszany.

— Dobra nasza! świder oblany ropą!

— Łyżka? spytał Józef zwracając się do kopalni.

— Pewno już na dziesiątej sztandze.

Biegli razem. W otworze wieży leżał na ziemi świder, powalany brunatno-przezroczystą ropą.

— Dobra nasza! powtórzył wiertacz! Jeśli na pięćdziesiątym metrze jest ropa, co będzie dalej?

— Tę się zaruruje, bo pewno odrobina i jazda!

— Jazda do końca, powtórzył wiertacz. U mnie koniec na pięciuset metrach. Byłem wiertaczem w szybie, który doszedł pięciuset pięćdziesięciu metrów!

— Potrafisz jechać na pięćset? spytał zaciekawiony Józef.

— Umiem rurować na pięćset metrów, bo trzymać świder to bagatela.

— Skądeś się wziął?

— Pracowałem w Horchówce pod Krosnem, i niech tylko będzie do czego, to się powoli zwołamy tu! Oj! zaroi się, zaroi!...

Wydobyto łyżkę z szybu. W górze napełniona była ropą, w dole startym na błoto od uderzeń świdra kamieniem.

— Dobra nasza! zawołał znowu wiertacz.

— Cóż myślicie! rzekł Witold.

— Rurować, zawołał Władek, nie mamy czasu tracić na pompowanie tej odrobiny.

Józef wyprowadził przyjaciół z wieży.

— Może nam los zsyła, mówił cicho, trochę gotówki na przetrzymanie, na robotnika i dzienne wydatki.

— Jeśli się wypompuje chociaż ze dwieście beczek — pompować, rzekł Witold.

— A ja was błagam rurować, zawołał Władek. Czas jest tu wszystkiem.

— Tysiąc guldenów w kasie — szepnął Józef.

— Rurować, powtórzył rozpaczliwie Władek. Zresztą niechaj Tadeusz zdecyduje, idę do niego, wywołam go i przyniosę odpowiedź. Pewno już po obiedzie.

Pobiegł.

— Władek swojem ryzykiem, rzekł Witold, jest na drodze do milionów...

— Albo do Argentyny.

— Los rozstrzygnie!

Władek pędził, jak piętnastoletni chłopiec, przeskakiwał błota, przelatywał wzgórza. Fantazya zapalała mu nowe światy pod czaszką i wspaniałe obrazy. Umysł świeży, bezkrytyczny, widział tylko to, co chciał zobaczyć, uznawał, co kochał, wierzył w szlachetność świata i ludzi. Organizacya nawskroś optymistyczna, oddychająca przyszłością, którą stroił fantazyą młodej duszy.

Rzucona przez Tadeusza myśl rozpierała mu serce, zapalała wyobraźnię.

— Zdobyć Podkarpacie, powtarzał szeptem z coraz większym zapałem. Od Kołomyi do Gorlic — my! Nikt—tylko my... i wtedy pokażemy światu, co umiemy, co możemy i czego chcemy. Spółka podkarpacka. Tysiąc szybów, tysiąc wież! Co?! dziesięć tysięcy szybów i dziesięć tysięcy wież!? Całe Podkarpacie zasiane wieżami — albo jestem idyota! Niechno się tylko z Tadziem schwycę za ręce!

Wszedł do dworu, kazał przywołać do siebie Tadeusza, czekając na niego w jego pokoju.

Wszedł Tadeusz.

— Skończyłeś? szepnął.

— Dopiero zaczynam traktować!

— Na pięćdziesiątym metrze są ślady ropy. Józef chce pompować.

— Na co czas tracić?

— I ja jestem tego samego zdania, tylko już kończy się nasza gotówka. Mamy na jeden raz na zapłacenie robotnika.

— Wiele wam potrzeba?

— Dziesięć tysięcy.

— Ponieważ jest nafta, wystawcie skrypt dłużny na dwadzieścia tysięcy guldenów, pieniądze przyślę wam ze Lwowa.

— Pewno?

— Żartów nie wolno robić. Żarty to zbrodnia.

— A więc rurujemy.

— W nafciarstwie tylko energia, pomnożona przez czas, daje pomyślne rezultaty. A więc są nadzieje?....

— Wielkie, odpowiedział Władek i wybiegł.

Dwadzieścia tysięcy!... Nie powiedziałem, że tydzień to wiek! Dwadzieścia tysięcy, a toż my za nie możemy się dokopać milionów. Dwadzieścia, niech żyje Tadek! Jakiż świat ten jest piękny! o Boże, jaki piękny, jeśli się na niego patrzy przez pryzmat dwudziestu tysięcy, gdy są potrzebne do milionów! Niech żyje spółka podkarpacka.

Wpadł do wieży.

— Rurować, zawołał, rurować natychmiast. Wybiegł Witold i Józef za nim.

— Tadzio żąda skryptu dłużnego na dwadzieścia tysięcy, pieniądze odeśle ze Lwowa. Uścisnęli się, wrócili do wieży, i zaczęło się z gwałtownością rurowanie. Każdą straconą godzinę chciano powetować energią.

— A możeby uciułało się pięćset albo tysiąc beczek, rzekł wiertacz.

— A opóźniłoby się o miesiąc wydobycie milionów, odpowiedział mu Władysław.

Od tej chwili robotnicy uwierzyli w wielkie pieniądze młodych panów.

— Teraz wierzę, że nie pojedziemy do Argentyny, odezwał się Józef.

— Nie przypuszczałem ani na chwilę, aby to stać się mogło, dodał Witold.

— A ja nawet nie pomyślałem, zawołał Władek, abym o tem naprawdę myśleć mógł — i, zdejmując czapkę, krzyknął: Niech żyje spółka podkarpacka, a przez nią zabicie biedy galicyjskiej.

Tadeusz wrócił do salonu.

— Przebacz, księżno, kolega nafciarz zażądał ode mnie rady.

— Mówił mi rządca, że młodzi ludzie z Argentyny kopią szczęśliwie.

— Maszynami i znają się na swym przedmiocie.

— Jak to dobrze, żeś ich tu pan ściągnął. Będziesz miał dzielnych towarzyszy.

— I serdecznych przyjaciół, dodał Tadeusz.

— Dla Wyżnicy reklama. A więc to ludzie wykształceni?

— Europejczycy, dodał.

— Wyborne określenie w naszych stosunkach.

— Więc już wiąże pana z Wyżnicą wielkie słowo — przyjaźń — i może dla niej zostaniesz.

— Gdybyś księżna pozwoliła, zostałbym, a może Wyżnica stałaby się dla księżnej źródłem milionowych dochodów—dla mnie... zamilkł.

— Przywiózłbyś pan Marynię! Zamieszkalibyście u mnie na górze, zanimbyś własny dom postawił.

— Jak pragnę, jak pragnę, poświadczył cicho Tadeusz. Tyle dni zmarnowanych, tyle myśli straconych...

— A zatem kończmy, rzekła księżna.

— Pragnę...

— Powiedz pan ostatnie słowo.

— Dwadzieścia pięć procentów. Jest to cena. którą można ściągnąć miliony z Wyżnicy. Pięćdziesiąt procentów, oddanych memu przyszłemu teściowi, wprowadziło mnie w chwilowe bankructwo. Ryzykuję wszystko, ostatnią siłę kredytu, gdy księżna spokojnie czeka. Uda się, zabierasz czwartą część dochodów bez najmniejszego wysiłku i wkładu. Gdy się nie uda, zostajesz przy tem, co masz. My oddajemy wszystko, nasze zdolności, kapitał, pracę, przykucie do miejsca strasznej pustki i, co najważniejsza, stratę czasu!

— Więc to pana ostatnie słowo?

— Ostatnie, wierzaj mi, księżno, że chcę tu zostać, i że we mnie

niema chciwości. Będziesz księżna miała jeszcze tę korzyść, że nie będę żałował pieniędzy, aby znaleźć naftę, i gdy ją znajdę, wydobędę...

— Między innemi ciągnie mnie do skończenia z kochanym panem to, że jeśli ty nie wydobędziesz bogactw z tej ziemi, to nikt. Może jakiś Amerykanin za sto lat, gdy nam obojgu idzie o dziś.

— A więc? spytał wzruszony Tadeusz.

— Skończone, rzekła księżna, wyciągając rękę. Dwadzieścia pięć procentów — oznacz pan sobie terytoryum trzystu morgów do stałej eksploatacyi i kop. Nie dość na tem, daję panu pierwszeństwo do kupna eksploatacyi nafty za lat dwa na całej Wyżnicy za milion guldenów, z tem samem prawem 25-ciu procentów od wykopanej nafty.

Tadeusz ucałował rękę księżnej i wzruszony siadł na fotel.

— Oby ta chwila, mówił, była zapowiedzią mego odrodzenia. Obym mógł znalezioną tu ropą spłacić dług, który mnie dręczy, i obym potem mógł mieć tu Marynię....

— Przed spłaceniem długu nie może być pańską żoną? — spytała księżna zdziwiona.

— Nie, rzekł smutno, nie może.

— I to ostatnie pańskie słowo?

— Do tego dziewczęcia, co Marynia, do żony, jeśli się ją kocha szczerze, przychodzi się odrodzony, bez obaw, bez skołatanej myśli. Nie pojmuję tajemnic przed własną żoną, powiedziałbym jej wszystko i odrazu wciągnął ją w walkę z własnem sumieniem. Na wstępie nowego życia byłoby to ciosem dla niej. Wyrzucałaby sobie, że jest sprawczynią mego losu.

Głowę pochylił.

— Któż nie ma długów? rzekła księżna.

— Nie mam na nie pokrycia! Jedynie wiara we mnie była pokryciem. Wiara ta pada...

— Nie, nie, wiara rośnie, przerwała księżna.

— Dotąd pada, bo jeszcze nie oddałem...

Krótka chwila ciszy.

— Na Wyżnicę trzeba znowu pożyczyć! Swoboda spłaca procenta od długu i bardzo małe cząstki kapitału...

Posmutniał, głowę oparł na dłoni...

— Pragnę, mówił dalej, wprowadzić moją młodą żonę w zaczarowane koło nowych prac, projektów, wielkich horyzontów, w których żyjąc, wzlatywałaby wysoko!... Takie jej chciałem dać wiano. Cóż wart pan młody, jeżeli żonie swej nie przynosi nic

z lepszych wartości ducha, nic z wielkich pragnień, nic z tych jasnych horyzontów, w którychby myśl młodej kobiety żyć mogła i kochać twórcę tych myśli, wierzyć w niego i odczuwać z nim razem przyszłość. Dziś cały ten świat zamknięty przede mną. Muszę pracować, aby długi oddać, i żyć pod strachem, że ich mogę nie oddać.

— Pojmuję pana i oceniam jego drażliwość, chociaż, powtarzam, dług nie jest zbrodnią.

— Ale staje się klęską przy niemożności oddania.

— Wyżnica zapłaci.

— Pragnę i wierzę, lecz przedtem Marynia nie może być moją żoną. Cóż jej powiem? A wszystko inne, cobym powiedział, byłoby kłamstwem, deklamacyą bez celu, lataniem po powietrzu! To mnie tak boli.

— Oboje jesteście jeszcze do tyla młodzi, że możecie zaczekać....

— Czekać—wielkie słowo, dla zakochanych straszne. Miłość ciągnie ku sobie!

Zarumienił się i oczy zmrużył. Księżna odczuła drażliwą chwilę i dokończyła wesoło.

— Nie podzielam skrupułów pańskich, lecz nareszcie rozumiem. Marynia ma prawo posiadać nie tylko pańskie serce, lecz i nieskazitelność myśli i czystość twego idealizmu.

— Zasługuje na to, szepnął Tadeusz.

— Może Marynia namówiła pana, abyś się zgodził z ojcem na pięćdziesiąt procentów, pod naciskiem wiary, że to wszystko jej będzie, a zatem i pana.

Milczał.

— Byłby to cios dla dziewczęcia, szepnęła.

— I nie wolno nam tego ciosu mu zadawać.

Księżna się zamyśliła.

— Pozwolisz pan, pomówię z Marynią, nie zdradzając prawdziwych powodów.

— Gdybyś to księżna zrobiła!

— Gdzie jest obecnie Marynia?...

— Wywieziona do Otocka, majątku swej matki. Tam ojciec jej robi wysilenia, aby z wielkich posiadłości, jako wielki przemysłowiec, pójść do Rady państwa.

— Córkę pragnie wprowadzić na salony wiedeńskie i wydać. Domyślam się tej gry. Zostaję pańską pośredniczką, a opiekunką Maryni. Zrobię wszystko, aby ją uspokoić! Ponieważ ufa panu,

łatwo mi to przyjdzie. Dam przez to panu swobodę działania i pracy. Będę to robić we własnym interesie. Jak to nieraz dobrze zrozumiany egoizm, jeśli idzie prostemi ścieżkami, dźwiga i najidealniejsze zamiary.

— Księżna się poświęcasz, a z delikatności uczuć mówisz o egoizmie. Cóż księżnę może obchodzić boleść mego serca?...

— Bardzo dużo, odrzekła serdecznie. Najprzód ludzie chorzy na serce są słabymi górnikami, niedołężnymi nafciarzami. A przecież moje starania powinny być skierowane, aby wspólnik mój był dzielny i genialny, miał nie tylko naukę, lecz i szczęśliwe przeczucia.

Zniżyła głos.

— Odziedziczyłam wielkie i pogmatwane interesa. Dzieciom nie powinnam zostawić mniej, lecz, jako uczciwa matka, więcej. Liczę na kochanego pana, że mnie z tej niedoli wyprowadzisz na jasne słońce, wierzę w szczęśliwą gwiazdę pańską. Za to przyrzekam matkować Maryni. Przyjdzie mi to łatwo, bo ją bardzo lubiłam, dziś kocham. Domyślam się, kto jest, po miłości pańskiej do niej... Tego pokroju ludzie, co pan, nie kochają lalek, kochać nie mogą...

Wszedł służący.

— Na rozkaz księżnej pani rządca i dyrektor tartaku czekają w kancelaryi.

Dała znak ręką — służący odszedł.

— Zagadaliśmy się ze względu na ważność poruszonej sprawy. Może to i dobrze, że Marynia przeniesie się do Wiednia, będzie miała więcej swobody i szerszy świat, aniżeli we Lwowie, więcej ludzi.. Zimę zwykle przepędzam w Wiedniu, przyjmuję poza arystokracyą i świat artystyczny. Będzie się pan u mnie swobodnie spotykać z Marynią, zanim wybije godzina. Nie trać pan wiary w siebie, to byłoby najgorsze. Jutro o dziesiątej w Borysławiu, najprzód w starostwie górniczem, później u notaryusza. Dziś odmierz pan trzysta morgów, które weźmiesz do eksploatacyi i wykreśl je na mapie. Dowidzenia. I ja, natchniona przez pana, zaczynam odczuwać, że dzień dzisiejszy jest drugim etapem w tworzeniu w Galicyi wschodniej wielkiego przemysłu naftowego. Czuję, że i ja się przecież na coś przydaję memu społeczeństwu. Cieszę się z naszego zbliżenia, wspólne interesa nas łączą i mam nadzieję, że najlepiej na tem wyjdą...

— Dziękuję za zaufanie. Jutro rozpoczynam roboty na gruncie z całą energią młodości i wiarą w przyszłość.

— Jestem dumną z pana, z mego wyboru, z mej znajomości ludzi i z pozyskanej pańskiej przyjaźni.

— Księżna mnie dobrocią onieśmielasz.

— Dowidzenia w starostwie górniczem...

Tadeusz rozradowany wybiegł, księżna za nim patrzała z sympatyą, jaką zdobywa szczerość.

— Cóż za wyrafinowane odcienia uczuć u dzisiejszej młodzieży. Wprawdzie są to wyjątki, lecz kiedy byłam młodziutką dziewczyną, nie było ani jednego, któryby miał to przekonanie, że długi są zaporą do ożenienia. Właśnie wszyscy oni żenili się i po dziś żenią dlatego, że długi mają. Ten jeden i pewno jedyny w Galicyi nie może, chociaż przyczyną jego długów jest przyszły teść, który powinien je zapłacić, a raczej oddać zabrane pieniądze. Zdawałoby się, że to przerafinowanie uczuć, lecz tak być powinno. Cieszę się, że stan psychiczny młodego człowieka odczuwam. Uczę się przy nim nie tylko myśleć o dzieciach i sobie, lecz i delikatność jego uczuć brać za zwykłe objawy serca ludzkiego! Za to wszystko muszę mu się odwdzięczyć, myślę nie tylko o sobie i nie tylko dla dzieci. Są jeszcze ludzie i obowiązki!... Czuję, że zaczynam wkraczać w zaczarowane jego koło — i nie lękam się, czy mi to da szczęście.

Zamyśliła się głęboko.

— A któż tu jedynie dla szczęścia chce żyć, działać, myśleć?... Jakiego szczęścia? Głupcy tylko pragną nagrody za swe czyny jakiemś szczęściem, które jest utopią, pragnieniem słabych lub egoistów, wyciągających rękę do Boga, losu, kraju po zapłatę — szczęściem. Najwyższą radością życia jest to przeświadczenie, że czynię dobrze i jestem dobrą, bo złą być nie mogę. Kocham ludzi, bo ich nie kochać nie mogę, mam orli wzrok, bo przyzwyczaiłam się patrzeć daleko, pragnę, bo żyć bez pragnień niepodobna. Odczuwam dobro, gdyż posiadam w tym kierunku wydelikacone uczucie...

Stała zapatrzona.

— Może to ciasne pojęcia, lecz dla jednej kobiety wystarczą, jeśli się raz przejdzie zaczarowane koło koteryjnych stosunków.

Zamyśliła się głęboko, szepcząc.

— My możemy się odradzać przez zetknięcia się z tego pokroju ludźmi. Oni nas tylko mogą zwrócić do rzetelnego życia, wlać w nas nowe prądy, nowych sił dodać na drogę przyszłości. Inaczej będziemy powoli zamierać, otuleni we własnym egoizmie i obstrukcyi do nowych idei życia — aż umrzemy.

ROŹDZIAŁ XXI.

Tadeusz szedł na kopalnię. Rumieńce wypiekły mu twarz, oczy świeciły. Podniecony wezbranemi, jak potok górski, myślami, zdawało się, że gonił wylatujące z pod czaszki. Prawie biegł, tak mu było pilno do przyjaciół. Serdeczna natura pragnęła kochać o tyle, o ile umysł chciał tworzyć i działać.

— Może się wyplączę z tajnego kredytu i wyratuję starca i siebie. Jakże tego pragnę! Serce mi drży z radości na samą myśl, że to być może, że to się może stać.

Zobaczył go zdaleka Władek i poskoczył naprzeciw.

— Cóż? cóż? wołał.

— Wziąłem!

— Za dwadzieścia pięć?

— Jutro w Borysławiu podpisuję kontrakt.

— Niech żyje księżna, Tadzio, Wyżnica! Niech żyją miliony!

— Gdyby chciały przyjść, szeptał Tadeusz, ocierając chustką zroszone czoło.

— Przyjdą, muszą... Rurujemy z wściekłością. Robotnik pod naszem okiem i za naszym przykładem wyrabia się w oczach. Mazur to chodzący spryt!

— Przyślę swoich ludzi z Swobody! Kaspra wiertacza nad wiertaczami!... Obejmuję kopalnię w posiadanie. Jako więcej obeznani z terenem, wykażcie, które z całego obszaru wziąć trzysta morgów pod eksploatacyę?...

— Myślałem o tem i już wybrałem. Od granicy naszej kopalni na lewo, jestem pewny, że tereny są jeszcze lepsze, niż nasze. Gdy kopalnię puszczam w ruch, w chwilach odpoczynku badam tereny Wyżnicy na gruntach księżnej i dochodzę do przekonania, że najlepsze są te, które idą w przedłużeniu na zachód od naszych terenów.

— Ponieważ jednak Wit mądry, jak rabin niech on poświadczy...

— Musimy po wybraniu i oznaczeniu na gruncie, wykreślić na mapie te trzysta morgów...

— Do tego jedyny Wit, jako wiedeński technik. Z teodolidem obchodzi się, jak z cygarniczką...

Weszli do wieży. Józet i Wit pracowali z robotnikami. Zaczęli również pomagać Władek i Tadeusz. Robota szła, osadzona rura pomykała w głąb szybu, Władysław, jako najlepszy wiertacz

posuwał ją zwolna na dno i gwintował, opowiadając kolegom o warunkach ugody z księżną.

W chwili przerwy Tadeusz wyprowadził Witolda z wieży, za nim wyszli Józef i Władysław — robotnicy tymczasem znosili rury.

— Zostajesz z nami, rzekł Wit, to szczęście. Warunki niezbyt ciężkie. Można przy nich mieć trzydzieści procentów dla siebie, to już wiele.

— I nimi spłacić głupi milion, który ci tak ciąży.

— Położono go na mojem sumieniu, dlatego tak boleśnie ugniata.

— Zdejmiemy go wspólnemi siłami. A teraz czem ci możemy służyć?

— Najważniejszą kwestyą: rozstrzygnąć, które trzysta morgów wybrać z Wyżnicy na kopalnię?

— Ależ jedynie Wit ci wskaże, a wybierzesz najlepiej sam. On się włóczy po lasach, szuka, patrzy, śpiewa. Bierz Wita i do roboty, czas leci, za dwie godziny zachód słońca.

Rozstali się, Wit pociągnął z sobą Tadeusza.

— Wybornie się składa, że kopalnie nasze będą z sobą graniczyć.

— Jeden jest pas naftowy, i nim będę szedł na północ, jak wy poszliście na południe.

— Trzeba tylko oznaczyć szerokość.

— Sądzę, że brzegi potoku są granicą wschodnią, a grzbiet spadku południowo-zachodniego—zachodnią.

— Ależ znakomicie, to jest jedyna możliwa, naturalna granica, innej niema.

— Oznaczymy kontury w pularesie, a potem je odetniemy na mapie.

„Wit wyjął książeczkę i w niej oznaczył miejsca.

— Potok się raptownie łamie na zachód.

— My za nim w górę, wołał Tadeusz, zsunąwszy się na iego dno.

— Przed zakrętem mamy pięćdziesiąt morgów.

— A dwieście pięćdziesiąt w górę —dokończył Tadeusz, może będą jeszcze lepsze. Spotkaną na drodze kopalnię księżnej zabierzemy. Widziałeś w załamie ścian potoku odkrywki?

— Badałem je, odparł Wit, ten sam kąt na busoli dziewiątej godziny, a nawet prostszy o pięć setnych, niż u nas.

— Wybornie — idźmy brzegiem potoku do kopalni księżnej

mając wzrok zwrócony na prawo. Przybycie wasze do Wyżnicy staje się dla mnie opatrznościowem, mówił wzruszony Tadeusz.

— Tyś nas sprowadził, czekało nas bankructwo, ty nas ratujesz i dajesz nam w ręce bogactwa, bo dajesz nam miejsce do pracy, tereny dobre i kredyt. I jeszcze nie koniec, bo miliony, na które czekamy — tak wspaniale, tak szeroko lokujesz!... Jesteś dla nas opatrznością, dobrym duchem, przyjacielem, mistrzem!

Tadeusz zaśmiał się serdecznie.

— Pomyśl, coby było, rzekł, gdyby zamiast was stanęło tu trzech przeciętnych Lwowiaków, synów kamieniczników, urzędników akcyzy lub magistratu — i gdybym im ukazywał szerokie horyzonty do rozmieszczenia zdobytych milionów?!... Coby mi odpowiedzieli, domyślasz się! Wszystko robią ludzie, ludzie i jeszcze raz ludzie... Montecuculi mówił: pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy — Danton odwagi, odwagi i jeszcze raz odwagi, a my powinniśmy wołać: ludzi, ludzi i jeszcze raz ludzi. Mając ludzi, mamy odwagę, a z nią przychodzą środki — pieniądze.

Urwał — zamyślili się głęboko obydwaj.

— Widocznie, mówił, jakby kończył snującą się myśl, niedawnymi jeszcze czasy nie brakowało ludzi. Dziś jest inaczej. Wszystko czeka na ludzi, a ludzi jak niema, tak niema.

— Zabija ich, dodał Wit, regulamin, szablon, protekcya i panowanie partyi, która, bojąc się o swe prawa posiadania, wstrzymuje rozwój!... Biedny kraj pod jej władzą, ogłupiały, nie można nawet od niego wymagać, aby ludzi wydawał i tworzył.

— I dlatego trzeba się śpieszyć, aby temu biednemu krajowi dać środki do wytwarzania się w największem bogactwie — w ludziach...

Tadeusz był tak wzruszony, że mu z niecierpliwości ręce drżały, a oczy świeciły.

— I dlatego żal mi każdego dnia, kończył, każdej godziny. Nerwy moje drżą z gorączki oczekiwania. Mam jedną namiętność— to szybkość działania i jedną ambicyę — zrobienia jak najwięcej w jak najkrótszym czasie. Czuję, że ta gorączka zaślepia mnie nieraz — i dlatego potrzebuję przyjaciół, którzyby mnie trzymali za poły... Powodzenie mnie oślepia, idę naprzód, jak rozhukany koń. Wstrzymajcie mnie!

— A nas kto będzie wstrzymywał? zapytał Witold.

Tadeusz ujął go pod ramię.

— Widać, że mamy skrzydła i dlatego lgniemy do siebie, odgadujemy i wyszukujemy się.

— Byle tylko ich nie zobaczono. Bo jeśli są, a ród ludzki je dojrzy, w tej chwili pomknie na nas z nożycami i — obciąć!...

— A przy tej sposobności poobcina nam i głowy, dokończył wesoło Tadeusz.

— Zmiażdżą nas z samej nienawiści, że nie jesteśmy do nich podobni...

— A więc cicho, ostrożnie, niech nas nie widzą, tylko odczuwają nasze czyny. Kryjmy się.

— A przynajmniej skrzydła chowajmy — dodał Tadeusz.

Weszli do kwatery i w tej chwili zabrali się do wykreślenia na mapie trzystu morgów terenów, wybranych przez Tadeusza. Łatwo im poszło — obaj byli biegli w tego rodzaju pracy.

Wieczorem przyszli z kopalni Władek i Józef. Pito herbatę, palono papierosy, rozprawiano. Niecierpliwość czynów burzyła im krew, a nadzieje wstrząsały sercami.

— Co spowodowało wycofanie się twoje z Swobody przy tak niesłychanem powodzeniu? zagadnął Tadeusza Józef.

— Powodzenie schwyciło mnie za gardło i powaliło na ziemię. Wobec szalonego powodzenia nie bałem się niczego. Najprzód pana Edwarda i podziału z nim do połowy zysków, dalej wielkich wkładów i wielkich nakładów. Na wieść o wielkiej wydajności ropy w tak płytkiej głębokości zrobiła się do Swobody wędrówka narodów. Pan Edward, wystraszony, aby naszej kopalni nie osaczono, postanowił skupować grunta do dalszej dla nas eksploatacyi za dochody z nafty. A że odrazu potrzeba było dużo gotówki, zażądał ode mnie pół miliona zaliczki! Wystraszony, że mogę nie mieć na czem kopać, dałem ją z osobistego kredytu. Lecz cóż, obfitość ropy zaczęła się zmniejszać, pan Edward posprzedawał nabyte grunta trzy razy drożej, niż kupił, zrobił świetny interes, a mnie...

— Nie poszedłeś z nim przynajmniej do spółki? zawołał zdziwiony Józef...

— Nie!... Swoboda zmieniona w miasto, narodowości dały sobie tam schadzkę i stronnictwa francuskie... Wierzyłem, że wszystkie szyby będą podobne w obfitości do pierwszego. Bo na jakiej zasadzie nie miałem wierzyć? Forsowałem w wielkie magazyny na ropę, rurociągi, budowle, składy — i zadłużyłem się nad miarę. Pierwszy szyb „Wanda” był najobfitszy. Teraz płaci procenta Feliks i kapitału tyle, ile może.

— Wspólnik cię ociął, pozwoliłeś na to — rzekł smutno Józef.

— To nie ja, przerwał Tadeusz. To moja wiara w ludzi. Dobrym być tak łatwo — złym tak ciężko. Czegóż ludzie wybierają cięższą drogę?... Winna tu moja wiara w powodzenie i ten rozpęd, przywieziony z Anglii, że jeżeli jechać, to całą siłą pary—jeśli robić, to dobrze...

Usiadł zmęczony, ocierając chustką czoło.

— Stało się, mówił cicho, pierwszy raz w życiu pisałem kontrakt, pierwszy raz w życiu handlować zacząłem, pierwszy raz w życiu stykałem się z ludźmi w interesach! Czyż to tak łatwo zmienić własną naturę — stać się innym, niż się było całe życie?

Przyjaciele zasłuchani milczeli. Tadeusz, zdenerwowany tą krytyką milczenia, zerwał się.

— Czyż nie jestem jeszcze młody? Czyż nie mam przyszłości przed sobą? Czyż nie potrafię się wydobyć, nie spłacę i jeszcze na dalsze inwestycye nie zarobię milionów?...

— Zarobisz, rzekł z siłą, spokojnie Władysław. Zarobisz je tu, przy nas, z nami. Wierzę w to, jak w zwycięstwo sprawiedliwości.

— I ja wierzę, przyświadczył, wybuchając radośnie, Witold... Będziemy się wspierać, bronić, dobra twego pilnować!... Nie damy cię.

— Kontrakt z księżną jest możliwy do przyjęcia i uczciwy w założeniu.

— Tylko się trzeba śpieszyć, dodał Józef, aby po dwu latach mieć milion na zapłacenie eksploatacyi ropy w całej Wyżnicy.

— Śpieszyć się trzeba, zawołał Tadeusz.

Gorączka czynu, pracy, własnej energii brały go.

— Śpieszyć się trzeba, powtórzył Władek. Licz na nas!

— Dziękuję wam, dziękuję — powodzenie w Wyżnicy zdecyduje o naszej przyszłości i da mi możność spełnienia najgorętszych pragnień duszy mej.

Myślał o spłaceniu długów i wzięciu ślubu z Myrynią, o rozkosznej wolności bez strasznych widm z tą, którą ukochał po Bogu i idei...

— Spółka podkarpacka! podsunął tę myśl Władek, czekając niecierpliwie na chwilę wprowadzenia jej do rozpraw.

— Niech się tylko nam w Wyżnicy uda! już zaczął się rozpalać Tadeusz. Mam parę miejscowości, znalazłem je w podróży po kraju!... Tylko umieć szukać, a możemy znaleźć równie dobre pokłady, jak w Swobodzie. Gdy wypompujemy tu miliony, ludzie w nas uwierzą, kapitały, leżące bezczynnie, obciążające kasy, przyj-

dą same do nas. Galicya zakwitnie, inwestycye w kraju weźmiemy w swe ręce...

Na ten temat rozwinęła się pogwara, podobna do wzbierającego morza, obejmującego coraz szersze widnokręgi!... Marzyli głośno młodzi idealiści. Prześcigał wszystkich Władek, Wit usiłował pomysły krystalizować w systematy, Tadeusz był nieporównany w odkrywaniu nowych dróg, nowych światów.

— Wysoko latacie, rzekł Józef, a co na wasze wysiłki powie świat?... Jak przyjmie wasze marzenia jego banalność i złośliwość, która we wszystkiem, a najwięcej może w ekonomicznym rozwoju, idzie utartemi ścieżkami starych nałogów?... Czyż ci mali, źli, zawistni i ograniczeni nie podniosą na was kamieni?!...

— Pod koszulę skrzydła, jeśli ludzie mają kamieniami w nie godzić, zawołał Wit. Miejmy je dla siebie. Tłum mści się na tych, którzy je przed nim roztaczają...

— Nie! niech je widzą, zaprzeczył Władek. Skrzydła nasze niech biją ślepych w oczy... I czyny nasze niech mówią o nich. Skrzydła nasze niech świecą w słońcu. Miejmy odwagę zawsze być tymi, kim jesteśmy. Starych będziemy oburzać, lecz młodzież będzie pracować, aby i jej skrzydła urosły...

W cichą, jak łagodny sen, noc jechał Tadeusz z Wyżnicy. Wyciągnięty na wozie, utkwił wzrok w milczący, ciemny horyzont i tajemniczo migocące gwiazdy. Konie pod górę wolno szły, przy nich boso woźnica — dokoła ciemny, zasłuchany w wieczność las.

Marzył.

— W bezmiarze świata z maleńkiego punkciku, jakim ja jestem, idzie myśl, obejmująca błyskawicznym rzutem jego ogromy. To są zdobycze człowieka i ludzkości... Po tysiącu latach pracy, katuszy i wylanej krwi wyostrzyliśmy wzrok, wydelikacili mózg, uskrzydlili myśl — i bez odetchnienia idziemy dalej i dalej!.. Że nie możemy stanąć chwilki, to nasze przekleństwo, lecz i odrodzenie — wieczna walka i nadzieja zwycięstwa. Naprzód, naprzód do nieznanego a upragnionego...

Ale gdzie — dokąd?... Cały świat i światów ogromy pytają: gdzie? i chociaż odpowiedzieć nie mogą — idą wciąż, bo muszą.

Ten Wielki, który je rzucił w przestrzeń — milczy.

Iść to prawo, praca, zadośćuczynienie przeszłości, konieczność, fatum.

Idę bo muszę, ale również idę, bo chcę, i to mi sprawia radość, budząc we mnie rozkosz człowieczeństwa! Idę, bo nareszcie czuję z całego pochodu ludzkości, że zbliżam się tam, gdzie:

„Miłość słońce porusza i gwiazdy" [1]).

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

TOM II.

ROŻDZIAŁ I.

Niebieski widnokrąg czysty, jak w dniu stworzenia, w górze słońce białymi promieniami otula ziemię, południowy wietrzyk uśmiecha się wiosną. Woda w rzece cicho rozpowiada o przyjściu czarodziejki, gałązki drzew, trącając się, roznoszą leciutkim szmerem wesołą wieść. Ciepło; płuca z rozkoszą wciągają powietrze i rodzą wolną myśl, przebijającą błękity.

Z brunatnego podłoża lasu wyglądają sasanki, przylaszczki ze snu patrzą wystraszone, witają się uśmiechami. Czas już? czy można żyć? pytają. I wychylają główki z poza gałęzi drzew do słońca, kradnąc białe promienie...

Wiosno, jesteś uśmiechem świata, radością ludzkości, siłą narodów i nas, biedne kwiatuszki, odradzasz, abyśmy stroiły przyjście twoje i upajały się tobą w naszej młodości!

Po gliniastej, twardej drodze, pełnej wyboi, przesuwała się wolno setka wozów, wioząca żelazo, stal, węgiel, blachy, zboże, mąkę, skóry. Zmęczone konie stawały, piana połyskiwała na ich szerści, z nozdrzy szła para, nogi drżały. W dołach świeciły końskie żebra i potłuczone łby.

— Co się tu dzieje podczas roztopów! zawołał młody człowiek do raźnego starca, idącego przy krzepkim koniku, ciągnącym ładowny wózek.

— Skóra z przerażenia cierpnie, odparł starzec o białych, jak mleko, wąsach. To Berezyna, tylko że tam przyszła raz i poszła, tu dzień po dniu, noc po nocy, całe sześćdziesiąt dni. Wozy, konie, ludzie zbici w jedną gromadę, w śmiertelnych zapasach. Wrzaski woźniców, charkanie koni, trzask łamiących się wozów, a w górze szumy i wycie wiatru. Pada koń, zapychają jego cielskiem dół i da-

---

[1]) Dante.

lej po nim. Pada człowiek, nie oglądają się. Wóz się łamie, wyrzucają go poza drogę i jazda. Sto wozów nie może czekać na jednego. Maszyny parowe muszą pracować. Mus to więcej, niż rozkaz, to powodzenie, to przyszłość. Niech się piekło wali, a zrobić swoje trzeba.

— Dlaczego nie budują drogi? zawołał młody.

— Skąd pan przybywasz? z Ameryki? odparł gniewnie stary. Właścicielka Wyżnicy, jako kobieta, nie może być marszałkiem w powiecie, i drogi niema. Marszałkowie budują u nas drogi, a każdy przez swe majątki, do swych dworów.

— Tu miliony spływają na kraj — przerwał nerwowo młodzieniec.

— Na kraj, ale nie dla i do marszałków. To tylko droga do fabryk, które dopiero tworzą miliony, a droga do dworu marszałka to gotowy splendor i jego bezpośredni zysk. Goście marszałka to także dygnitarze powiatowi i pragną jeździć gładko i twardo. Tu padło sto koni, ja biedak— swego straciłem, to i nie dziwota, że piana na wspomnienie straty wydobywa się z ust... Niech żyje pańska „*antonomia*”, ona to sprawia nam Berezyny najmniej dwa razy do roku, po parę miesięcy każda. A że splendor nie lubi przemysłu, to już taki jego rozum. Przemysł bogaci kraj, o splendor nie dba.

— Byliście, ojcze, pod Berezyną? przerwał towarzysz.

— A gdzie artymetyka? Ojciec mój był tam i ranny wrócił do domu. Ja byłem gdzieindziej.

— Przepraszam, szepnął młodzieniec.

— To i ja przepraszam. Ale bo wy, młodzi, coraz więcej głupiejecie!...

Wjechali na płaskowzgórze, las rzedł, świeżość powietrza radowała zmysły, słońce zukosa rzucało snopy ciepłych promieni. Przestrzeń widnokręgu odkryła się raptownie.

Z podnóża dźwigała się po łagodnej pochyłości wązkim pasem w górę płaszczyzna. Na niej rozsiane wieże, kominy maszyn parowych, wielkie, czerwone zbiorniki nafty, jak kościoły, białe domki robotników, warsztaty i olbrzymie kuźnie. W pośrodku jedna wielka ulica miasteczka, pełna wesołego gwaru. Jechali wolno wyżłobioną drogą.

— Sześć lat temu przeszło polowałem ostatni raz w tych lasach na niedźwiedzie. Dawniej Szwarcenberg własną ręką zabił ich tu ze dwadzieścia.

— Tylko sześć lat? powtórzył ździwiony młodzieniec.

— No, to dziesięć, a dodać trzeba, kończył stary, że po ostatniem

polowaniu była tu jeszcze lat parę głucha puszcza. Najprzód Szwarcenberg kopał tu ropę, zabrał, co mógł, i poszedł. Po nim próbowała księżna, lecz jakoś nie szło. Dopiero dwa lata temu zjawiło się trzech Argentyńczyków, a za nimi przyjechał ten, co od księżnej wziął kopalnie, i patrz, co się stało w przeciągu dwu lat? Widzisz, co to mogą ludzie, gdy dobrze trafią, chcą i mają głowę na karkach. Pięć tysięcy ludzi żyje z nich i z tej ropy którą kopią i pompują. I ja na starość, mając całego majątku dwieście papierków, przyciągnąłem za innymi. Dostałem na zięcia wiertacza, córka ma troszkę grosza — i gdyby tak dalej szło, toby się chwaliło Pana Boga. Kościół stoi, szkoła polska stoi, córka ma dwu chłopaków, mają się gdzie uczyć.

— Jacy to ludzie ci Argentyńczycy?

— Do nich jedziesz?

— Po kawałek chleba.

— To ci powiem, żebyś wiedział, nim ich poznasz. Jak tu zjechali, na rządcówce przy ojcu i matce mieszkała urodziwa dziewczyna, grała, biegała po górach i śpiewała pono cały dzień, aż się dusza radowała. Młodzi, jak młodzi, kiedy tylko mogli ukraść czas robocie, latali na rządcówkę, śpiewywali razem z dziewczyną, i, co tu długo gadać, jeden z nich wpadł w sidła, a pewno i dziewczyna zaplątała się w nie. Jak ci buchnęła ropa, pan rządca rozwarł ramiona i uściskał wplątanego, jako zięcia, pobłogosławił. Dla ubogiej dziewczyny był to los, kawaler zaczął się budować, no i byłoby wesele, gdyby nie nieszczęście, co często wściubia nos między ludzi. Pan młody pojechał po błogosławieństwo do matki, tam dostał nowomodnej choroby, co pono zwie się „influencya". Śpieszyło mu się z powrotem, zerwał się zawcześnie i ledwo dobił do Lwowa — zmarł.

Zostało drugich dwóch, radzą, co robić z dziewczyną?

— Za tamtego niech wybierze jednego z nas, postanowili. Idą i mówią: „Tamten poszedł do chwały Bożej, ale my tu jeszcze zostali, może ci który trafi do gustu?..."

Na to dziewczyna zalała się łzami i powiedziała: „Tamtego kochałam i jemu wierną zostanę"... Po roździeleniu majątku matka i brat nieboszczyka swą część zabrali — a ci dwaj ze swego niby na rachunek przyszłych zysków wręczyli matce dziewczyny dwadzieścia tysięcy papierków, mówiąc, że gdyby nie umarł, miałby do dziś tyle!

— Pono matka z córką po wzięciu pieniędzy pojechały do familii. Z takimi będziesz miał sprawę, kończył, jeśli ci przyjdzie z nimi kawałek chleba jeść!...

— Więc może nie przyjść? szepnął wystraszony młodzieniec.

— Ha, wszystko być może. Ropa w cenie się cofa, ludzi mają huk, robotników, praktykantów, majstrów... Bóg wie, nie kogo, a tu ropa wciąż spada i spada.

— Dlaczego dawniej nie spadała?

— Spytaj się jej! Mnie się widzi, że jak tu zjechał ten trzeci, pewno ich starszy: kapitan, a może i pułkownik, zaraz zaczął się wielki ruch. Odrazu dziesięć szybów wiercono. A do każdego szybu jeden kocieł, jedna parowa maszyna, ludzie na zmianę, bo to dzień i noc!... Kuźnie, domy, pompy, rury, magazyny. Nie zliczysz. Jak zaczęli wiercić, potem pompować, rurami ropę słać do Borysławia, tak pewno całe państwo zalali naftą. A może i gdzieindziej takie same źródła odkryli? Jak ceny tak spadną, że nie będą mogły opłacić robotnika i procentów, to serce schnie, co się tu będzie dziać? Zjechali tu i Francuzy, i Holendrzy i również grunta pobrali — ludziska ciągną do zarobku, jak ćmy do światła, a tu zarobek może się urwać. Skóra drży!

Stanęli na rozstajnych drogach, wrzawa pracy ludzkiej i maszyn, pełna energii, że aż ziemia drżała, obejmowała ich i rozweselała.

— Tu się rozstaniemy, rzekł stary, widzisz mostek, rzucony na rzeczce? Przejdziesz po nim i zaraz drogą na lewo, tuż koło szeregu domków robotników, zobaczysz napis ich kopalni. W środku wielki dom, zbudowany w kwadrat. No, śmiało — niech Pan Bóg prowadzi! Gdy dostaniecie miejsce, to może zajrzycie w niedzielę do starego Korsunia — ludzie pokażą.

Władysław w niebieskiej bluzie, wysokich butach chodził nerwowo po obszernej kancelaryi. Pierś jego, zbudowana na miarę Fidyasza, wznosiła się i opadała wolno. Czoło koloru słoniowej kości i oczy niebieskie pogodne, jak niebo, głębokie, jak morze. Na czole siadała troska, z głębi niebieskich oczu szedł smutek... Prostował się, jakby przed samym sobą chciał dowieść, że nie upada na duchu, że energia w nim mieszka i działa.

— Za co los, myślał, tak srodze nęka biedny ten kraj! Za co, za co? Ledwożeśmy się wydrapali na powierzchnię, a już niewidzialna ręka chwyta nas i dusi. Ja z Witem wrócimy do Argentyny, lecz co się stanie z kilkoma tysiącami ludzi, żyjącymi z nas, co z kapitałami, uwięzionymi w kopalni, co z wiarą społeczeństwa

w rodzący się przemysł w biednym kraju?... Jeżeli ceny się nie podniosą, nie będziemy mogli opłacić procentów od długów. Dla nas wystarczy rocznie na życie paręset papierków, lecz przemysł daje miliony i chłonie miliony.

Patrzał w rozłożoną na stole księgę.

— Cena ropy, szeptał dalej pół głośno, opłaca zaledwo produkcyę wydobywania ropy. Jeden suchy szyb, zagwożdżenie drugiego szybu, a już bankructwo....

Zacisnął pięści nerwowo.

— Ha, to ta dzicz mongolska, krzyknął, opanowawszy w środkowej Europie najpiękniejsze naddunajskie ziemie, ssie teraz naszą krew. A jeśli nie może ssać, okrada. Kiedyż biedna Słowiańszczyzna wyciśnie ten wrzód ze swego ciała! Boże, Boże, co pracy, co pracy, a Mongoły w zarodku duszą nas!

Zastukano cicho.

— Proszę, zawołał zdenerwowany. Otworzyły się powoli drzwi.

— Śmiało, śmiało, proszę się nie bać...

Wszedł młody człowiek.

— Czego sobie pan życzysz? raz, dwa, czasu niema.

Młodzieniec podał list.

— Ha, to od Jacka, mówił wesoło Władysław, patrząc na pismo. Siadaj pan — rozdarł kopertę. Po skończeniu gimnazyum realnego szukasz zarobku?

— Pracy, rzekł młodzieniec.

— Fatalnie trafiłeś.

— Nie lękam się najcięższej, byle czemś być, coś robić, służyć.

— Komu? spytał.

— Komu? odparł młody chłopak, przecie pan wiesz, komu się tu służy.

— Wiem, odparł schwytany za serce, służymy wszyscy...

— Tak mi mówił pan Jacek, i dlatego stawiam się pod komendę.

— Przepraszam, trafiłeś nieszczęśliwie. Nie wolno nam żadnych nakładów robić, ani jednego więcej szybu postawić, ani jednego więcej człowieka przyjąć! — Nie wolno!...

— Któż zakazał?

— Węgrzy, którzy nas aż z nad morza Adryatyckiego tu dosięgli i łupią straszliwie.

— Pan Jacek, odezwał się smutno młodzieniec, powiedział mi: „Jedź napewno". Nie mam za co wracać....

Cisza męcząca.

— Wracać mi wstyd. Nie mam żadnego widoku znalezienia pracy. Rąbać drzewo, nosić węgle, powozić końmi.... Cokolwiekbądź... nic? — nic?...

— Czekaj, czekaj, szepnął Władysław. Nie przyjmować do armii ochotnika to zgroza, zdrada. Co my jesteśmy wtedy warci, my, niby jenerałowie— powiedz sam?

W młodzieńca wstąpiła otucha.

— Czekajno, i niech co chce będzie, zostaniesz! Żeby te szelmy Węgry nie pozwalały mi nawet na przyjęcie dzielnego chłopaka, który chce służyć... Czembyśmy byli?

Zwrócił się do chłopca. Ten milczał.

— Niech się dzieje, co chce, biorę cię na praktykanta--za rok powinieneś być wiertaczem, później kierującym.

— Postaram się, odparł.

— Pierwsza pensya praktykanta czterdzieści na miesiąc...

— Zgoda...

-- Kwatera, opał, światło darmo. Przydzielam cię do kopalni Łodzińskiego — szukaj go!

Uszczęśliwiony młodzieniec wybiegł, a wszedł Wit, rozrośnięty i jeszcze piękniejszy. Nos prosty, oczy niebieskie, rozmarzone, wzrost smukły i czary łagodnego uśmiechu, którym ludzi brał.

— Czytaj, rzekł Władysław, podając mu list Jacka.

— Nafta znowu spadła, odrzekł, składając list.

— Ale jutro może się dźwignąć. Nie przyjąć niepodobna. Chłopak chce służyć idei — nasz duszą i ciałem.

— Skąd wiesz?

— List Jacka—i spojrzyj na chłopca. Odpędzimy wszystkich dobrych, to kruki przylecą.

— Co będzie robił?

— Wszystko, chce drzewo rąbać.

— To zuch — brać go—niema co. Nie zbankrutujemy o wydatek czterdziestu papierków na miesiąc... Jeśli mamy paść, to czterdzieści papierków nas nie uratuje.

— Wit, ty ze swym pesymizmem i swoją trzeźwością nieraz mnie dzielnością zawstydzasz, urodzonego optymistę. Mało co nie odpędziłem chłopca!..

— Czuję, że zwołują się do nas najlepsi, a my, idyoci, jesteśmy gotowi z samego strachu odpędzić ich!...

— Co zrobił w Riece Tadeusz, przerwał Wit, „oto jest pytanie". Niepokój tak we mnie nurtuje, że całą noc spać nie mogłem. Jeżeli Tadeusz nie uratuje przemysłu naftowego, padamy wszyscy!

— Przeczuwam wielkie szacherstwo. Rotszyldy tracą miliony na nafcie w Baku i, chcąc się ratować, nas duszą... Tadeuszu, ty jeden rozluźnisz powróz, zaciskający nam szyje,—deklamował energicznie Władek.

Tętent galopującego konia zelektryzował przyjaciół, przypadli do okna.

— Telegram, szepnął Wit. Władysław już był na dworze. Jeździec oddał telegram. Rozdarli siną pieczątkę — czytali razem. „Tajemnica odkryta — konie na południe do Borysławia.

— Skąd telegram?

— Lwów, 7-ma rano. Wysłał go przed wyjazdem na kolej. Wit nacisnął dzwonek elektryczny. Wpadł chłopak.

— Konie na południe do Borysławia, na stacyę. Chłopiec wybiegł.

— Tadek nie śpi, działa, zawołał wzruszony Władysław.

— Bo tu i o jego skórę chodzi, dorzucił Wit.

— Jego skóra tyle go obchodzi, co mnie skóra na niedźwiedziu. Tu chodzi o przyszłość, i to jedna i jedyna jego skóra.

— Prawda, poświadczył Wit — w niej widzi wszystko. Dziwnie się w nim wszystko splata, łączy, dopełnia. I dlatego padnie lub musi zwyciężyć.

— Włosy stają na głowie na samą myśl grożącej katastrofy. Stoimy na kredycie. O nasze, mówmy prawdę, barki oparło się pięć tysięcy ludzi: ich życie, byt, przyszłość, nadzieje. Padniemy my, padną za nami i oni w przepaść nędzy, bezrobocia. Zabić odrazu jednym zamachem pięć tysięcy egzystencyi...

— To tu, dodał Wit, a między Gorlicami a Krosnem sto tysięcy — i miliony, które te sto tysięcy wydobywają.

— Wszystko to awarsko-mongolska dzicz od jednego zamachu niszczy.

— Może się jeszcze nie damy. Tymczasem, Władku, przygotuj raporta, ty z kopalni, ja wyciągi z ksiąg. Nie wiemy, jak długo zabawi, niech ma wszystko gotowe. Pewno mu będzie potrzeba cyfr — a zatem damy mu je, a nie mamy więcej nad trzy godziny czasu. Władysław pochwycił kapelusz i wybiegł, Wit został sam.

Rozłożył księgi i z nich wypisywał potrzebne szeregi cyfr.

O drugiej godzinie młodzi przyjaciele wytężonym wzrokiem wpatrywali się w białą wstęgę drogi.

Z załomu wypadła para siwków i wózek — na nim Tadeusz.

— Jest, szepnęli, głęboko oddychając.

Władysław lornetę przyłożył do oczu i przez nią obserwował twarz Tadeusza.

— Pogodnie patrzy, mówił, lecz kiedy on patrzy niepogodnie?... Gdyby go prowadzili na stos, jeszczeby się uśmiechał.

Za chwil parę Tadeusz wyskoczył z wózka i padł w objęcia przyjaciół.

— Mam w ręku tajemnicę, a od naszej energii zależy zwycięstwo.

Weszli razem do kancelaryi.

— Jadę prosto z Fiume. Czekajcie. Otworzył walizkę, wyjął z niej flaszkę brunatnego, pół przezroczystego płynu.

— Patrzcie, to jest ropa, sprowadzana morzem do dystylarni węgierskich, Rotszyldowsko-wiedeńskich....

— Po odparowaniu jaki procent czystej nafty? spytał Wit.

— Ośmdziesiąt, ośmdziesiąt pięć do dziewięćdziesięciu pięciu ..

— To rozbój na bitym gościńcu.

— W Fiume, w Wiedniu i tam, gdzie mają dystylarnie, odparowują malutki procent smoły i czystą naftę rozwożą po całej Austryi. Cóż wart nasz produkt, który posiada zaledwie czterdzieści procentów czystej nafty — w porównaniu z ich falsyfikatami?!...

— Wykazać szacherstwo łatwo ci przyjdzie.

— Łatwo, odparł Tadeusz, lecz Węgry mają w Wiedniu silną rękę. Milionerzy Niemcy idą z nimi razem!...

— Niezawodnie. U nich wszystkie kwestye przecina rachunek. Szacherstwa w Fiume dają czystego dwadzieścia milionów rocznie, a więc po wydaniu miliona na kubany zostaje im dziewiętnaście. Wydają więc ten milion z uśmiechem. I dlatego nam należy działać głośno i energicznie, poruszyć niebo i ziemię, aby się nie dać. Awarowie to przecie nie Aryowie, nie mają w swej krwi naszej etyki aryjskiej, i ona ich nic nie obchodzi. Łupić ze skóry, póki się da, a co dalej?!... Węgier i Tatar nie zadają sobie tego pytania. Co dalej? kiedy oni żyją dniem dzisiejszym lub jako już zdobycz kultury rokiem naprzód, a najwyżej dziesięcioma latami. Rabusie chciwi krwi ludzkiej i uciech.

— Więc co, więc co? przerwał Wit, spragniony czynu i ratunku.

— Zwołałem wielki zjazd nafciarzy do Lwowa, na zjeździe tym wybierzemy ankietę do sformułowania wszystkich powodów ruiny naszego nafciarstwa i deputacyę do Wiednia, z którą pojadę.

— Minister obłożył nas podatkami, że z trudnością udźwignąć

je możemy, a teraz pod jego opiekuńczem okiem obdzierają nas Hunny z wiedeńskimi Żydami, zawołał namiętnie Władek.

— Przyjechałem naradzić się z wami, nabrać otuchy i odwagi.

— A my ledwo bokami robimy.

— I wziąć cyfry potrzebne.

— Przygotowałem niektóre, dodał Wit.

— Siłę podatkową z całej Wyżnicy i, jeśli się da, ze wszystkich kopalń naftowych w Galicyi.

— Przyszlę ci do Wiednia.

Tadeusz wyciągnął ręce, wyprostował się i padł na krzesło.

— Nie takich spodziewałem się rezultatów. Boże, jak to się wszystko plącze, szarpie! Nieprzyjaciele wyrastają u brzegów Adryatyku, i to ci sami, co zgnietli państwo Wielkomorawskie. Jeden wielki błąd dziejowy ciągle się powtarza. Gdyby się Wielka Morawa utrzymała choćby jeszcze sto lat, dopókiby Chrobry się nie zjawił, jakżeby była potężna Słowiańszczyzna zachodnia, a my w niej zabezpieczeni przed zachłannością Hunnów i Germanów... Lecz walczmy do ostatniej kropli i ostatniego tchnienia. Walka taka zostawia zawsze po sobie następców i siłę. Zerwał się.

— Jak kopalnie?

— Idą świetnie. Mazury wyrabiają się w oczach na dzielnych robotników.

— Długi?

— Stoją. Przy dzisiejszej cenie ropy kopalnia zaledwo się opłaca. Spadnie cena choćby o pięć centów jeszcze, a już padamy.

Tadeusz drgnął, dreszcze nerwowe zatrzęsły nim.

— Trzeba się śpieszyć i bardzo śpieszyć. O ileż węgiel jest pewniejszy, trwalszy, rzeczywistszy od nafty.

— Ponieważ jednak mamy tylko naftę, musimy w niej pracować, rzekł Wit. Wytrwałość....

— Jecz jeśli jest i węgiel? przerwał cicho Tadeusz.

— Jest? powtórzyli razem zaciekawieni.

— Jest z pewnością.

— A woda? spytał Wit.

— Musi być, ale w jakiej ilości, na to pytanie górnik nie odpowie.

— Woda może zabić...

— Jako i piorun z pogodnego nieba! A więc nie chodzić po świecie!

Zamilkli.

— Węgiel, ciągnął Tadeusz, rzecz droga, pewna, trwała... Kopalnie nafty tańsze...

— Tańsze!

— Lecz gdy się raz dostaniemy do dobrego węgla, dalej już idzie łatwo, i miliony płyną.

— Więc? odezwał się nerwowo Władysław, przerażony o egzystencyę Wyżnicy, robotników i siebie samego.

— Rzucasz naftę? dodał Wit.

— Broń Boże, po co? Walczę o naftę, jako o jedyną podporę przyszłości naszej. Nafta jest dziś wszystkiem, wiemy, że ją mamy, płynie obficie; gdyby nie szacherstwo Węgrów, ceny musiałyby się utrzymać, i w dwa lata bylibyśmy uratowani. Spłacamy dług i opieramy się na wielkim kapitale. Nie opuszczałbym was wtedy. Byłoby mi z wami dobrze, byłbym sam, dodał ciszej, a wielkie nasze marzenia miałyby z czego nabierać ciała i żyć.

— I żyć, powtórzył Władek, i żyć, i żyć! Twórczość jest życiem! Życie, które nie tworzy, to przygotowywanie sobie łożyska na wieczny sen, to wolne usychanie na śmierć!...

— Władek, twoje towarzystwo działa na mnie podniecająco. Czuję rosnące ciepło w sercu, ciepło nadziei. Radbym tu z wami zostać, a dziś na noc jechać muszę. Wit, oto kartka z wypisanemi pytaniami, wypisz na nie odpowiedzi na podstawie waszych ksiąg. Korzystając z schyłku dnia, idę do kopalni z Władkiem nabrać sił i energii.

— Kiedyż będziesz spał? spytał go Wit.

— W wagonie. Najmilszy sen w wagonie. Jadąc z Pesztu, wybornie się wyspałem. Mam cztery godziny czasu na sen z Borysławia do Lwowa. Cztery godziny dla mnie jeszcze dziś wystarcza z dokładką raz na miesiąc dwunastu.

— Chodźmy.

Wit zasiadł do ksiąg — Tadeusz z Władysławem poszli do kopalni.

— Gdyby się ceny utrwaliły!

— Muszą, przerwał nerwowo Tadeusz. Koło polskie, które ma wielką wagę w parlamencie, stanie, jak jeden mąż, za przemysłem krajowym.

— Zdaje się, że większość „Koła" jest nieprzyjacielem krajowego przemysłu.

— Ależ to oszczerstwo!...

— Oni chcą być sami w kraju, jako wielkie własności, z jednym głupim chłopem. Wtedy to dla nich raj. Nikogo obok siebie nie znoszą, choćby to groziło upadkiem i nędzą ogólną.

— Wiesz, jestem jeszcze obcy w kraju, lecz jeżeliby tak było, jak wasze demokratyczne plotki mówią, to zdaje mi się, przekonam ich i oczy otworzę przykładem Anglii.

— Tadziu, Tadziu, chcesz przekonywać stronnictwa, uczyć ich rozumu, gdy właśnie brak w sądzie bezstronności jest siłą stronnictwa. Czemże stoi stronnictwo konserwatywne u nas? zaprzeczeniem wszystkiego, i z tem mu dobrze i tem żyje!... Uczyć lub przekonywać stronnictwo, a jeszcze nasze, czyż nie szkoda życia?... Czyż za lat kilka nie będziesz rozpaczał nad zmarnowanem życiem?...

— Nie, — odparł Tadeusz.

— Czy nie będziesz przeklinał ustępstw, jakie porobisz tej partyi, aby ją przekonać?

— Nie powinienem przeklinać, odpowiedział.

— Przekonasz się, jak ona za twe poświęcenia mścić się na tobie będzie. Czyż nie szkoda życia?

Zamilkli — walka w ich głębiach wrzała. Szeroka natura Tadeusza, jego kultura, jego wychowanie, jego wiara w ludzi, nie rozumiejąca zachłanności stronniczej, nie była w stanie zrozumieć tej zasady: „Jeżeli nie dla mnie, i tylko nie dla mnie — to dla nikogo! Jeżeli nie ja, to nikt!... Jeżeli nie ja i nie dla mnie, to niech się świat zapadnie ze wszystkiemi swemi uczuciami i wiarami"... Szlachetna ta natura pół mistyczna, żyjąca dobrem i miłością, nie miała o złych skłonnościach ludzkich pojęcia! Władysław, wychowany w Galicyi, w twardej szkole biedy i przebijania się przez świat, na własnej skórze odczuwał nieprzejednanie stronnictw i ich bezgraniczny egoizm. Chcąc przerwać męczące milczenie i zwrócić uwagę Tadeusza na inny przedmiot — odezwał się spokojnie:

— Wydarłem Kanadyjczykom sposób głębokiego wiercenia, i to razem z Witem.

Tadeusz rozwarł oczy.

— Jest prawie pewność, że druga warstwa ropy będzie pięćkroć razy bogatsza od pierwszej!...

— Jeżeli macie pewność, zaczynajcie.

— Na twoim terenie rozpocząłem, już jestem na czterysta metrów głębokości!...

— Co za świetna wiadomość! szepnął Tadeusz. Nowa energia we mnie wstępuje.

— A więc nie będę więcej osłabiał twego zapału. Trzeba zawsze iść do boju z nadzieją zwycięstwa. Niech ci się zdaje, że Koło nasze złożone z samych bohaterów.

— Przyjdę, jak do bohaterów. A tymczasem głębokie wier-

cenie wielka zdobycz!... Odnajdziemy bez wielkich nakładów drugą Wyżnicę!...

— Jeżeli drugi pokład jest obfitszy od pierwszego, jesteśmy w dwa lata grubymi panami, będzie nas czuć w Galicyi.

Ujęli się pod ręce, idąc żywo.

Wybiegł naprzeciw nich Kasper, sprowadzony z Swobody.

— Witaj — zawołał do niego wesoło Tadeusz.

— To mój pomocnik, przedstawił go Władysław.

— Wykierowałeś się, rzekł Tadeusz, i winszuję ci. Widok twój sprawia mi otuchę. Wiara zaczyna we mnie grać!...

Kasper, wzruszony, dumny pocałował w ramię Tadeusza.

— Nie napróżno pan dyrektor prawił nam, że każdy robotnik dźwiga w swym tobołku, jak żołnierz w tornistrze—buławę! U pana dyrektora i jego przyjacieli jest tak, to też robotnicy pazurami się ich trzymają! Co łajdak abo leń, sam się miarkuje i w nogi. Idzie do Żyda albo Frajcuza — i spokój.

— A cóż ty, mój Kasprze?

— Mam pod sobą cztery szyby! Chodzę od jednego do drugiego, próbuję — i albo łyżkę każę spuścić do zebrania śmietany, albo świder zmienić, wyciągnięty dać do kuźni, albo walić dalej, byle prosto, byle ostro, byle prędko, byle czasu nie tracić, to najważniejsza.

— Zrozumiałeś, że czas to pieniądz!

— Miarkuję, że strata czasu, to tyle, jakby kto okradał dyrektora z pieniędzy.

— Wybornie zmiarkowałeś. A teraz oprowadź mnie po swem królestwie.

— To pierwszy szyb, zawołał radośnie Kasper, wskazując ręką.

Raptem stanął, zbladł, pięście zacisnął.

— Gdyby te psiakrwie Węgrzyny, jak mówią, zniszczyli nas, że musielibyśmy zamknąć budy i pójść stąd, poszedłbym, ale tam za góry do nich i paliłbym psiakrwiów do ostatniego tchu. Żeby oni nam naszą krwawicę odbierali złodziejstwem — ha!

Podniósł pięść w górę.

— Mam dziesięciu gotowych, co polecą za mną w ogień, po drodze znajdę ich więcej, a wtedy Cygany, poznacie, co to znaczy, jak krew zakipi we wnętrzu mazurskiem.

Władysław, rozpromieniony dzielnością i energią Kaspra, uśmiechnął się, pokazując szeregi białych zębów, co jeszcze więcej podjudzało Mazura.

— Będziemy się bronić, Kasperku, i może obronimy. Szkodaby cię było, gdybyś złapany wisiał na gałęzi dębu węgierskiego.

— A tego nie szkoda?! Kasper przeciągnął ręką z wielkim rozmachem po widnokręgu, usianym wieżami. A tego nie szkoda, powtórzył, a to przecie praca ludzka i krwawy pot ludzki. Jak to skapie, co ja będę wart i tu wszyscy Mazury?!..

Dmuchnął na dłonie...

— Tyle, mówił dalej, co piórko, przez ptaka rzucone na wiatr. Czem ja będę?... Babie ziemniaki będę skrobał — co?... Zanim powieszą, dużo im się jeszcze gorącej juchy upuści.

Robił piersiami, jak miech kowalski.

— Kochasz swój zawód, zapytał Tadeusz.

— Ba-a! cóżbym kochał? A pan dyrektor nie kocha go? Wiele tu głowy wlazło w tę robotę pana dyrektora? A wiele naszego znoju i spekulacyi — i to ma iść na marne, że złodziejom Cyganom chce się nas kraść.

— Nie damy się, mam nadzieję!

— Kiedy pan dyrektor tak mówi, to i we mnie otucha wstępuje. Strach i wściekłość po grzbiecie chodziły i trzęsły ciałem, jak w febrze. Nieraz w nocy człek się zrywa, siada i słucha, czy świdry jeszcze biją, czy już wszystko skończone i śmierć. Świdry biją, a że dobrze biją, czuje się to po równym jęku ziemi. Człek się żegna, pochyla głowę i zasypia. A czy to ja jeden, panie dyrektorze?!.. Czy ja jeden? Wszyscy drżymy o nasz los i życie....

— Sami Mazury jesteście? spytał Tadeusz.

— Sami i nikogo!

— Rusini?

— Ruśniacy nie są sposobni do takiej delikatnej roboty.

— Delikatna, niech ją Bóg kocha, przerwał wesoło Władysław.

— My ją nazywamy delikatną, bo do niej potrzeba delikatnej ręki, żeby odczuła w drżeniu sztangi kierunek świdra — i słuchu, aby po jęku ziemi poznawał, co w niej świder robi, a co ziemia obok świdra — i głowy potrzeba.....

— A Rusini?

— Ruśniaki, jak Ruśniaki — dobry naród, ale leniwy, woli kupczyć, zajmować się zwózką, mitrężyć, drzewo rąbać, kamienie tłuc. Naszej roboty nie chwyta się, delikatna na niego—i już. W całej kopalni mamy dwu tylko Ruśniaków, a i ci bez to jeszcze do nas przystali, że matki mieli Mazurki. Gadają po naszemu i noszą się po naszemu.

— Górą Mazury!

Kasper się zaśmiał szeroko i głośno.

— Górą — niech ino będzie robota, ale jeśli Cygany chcą nas złupić.... zaklął wściekły. I Ruśniaki się panoszą. Piją i panoszą się. Co do picia, Mazury przy nich kpy! Bo Mazur, jak tylko ma uciułanych dziesięć papierków, inakszy się z niego robi człek.

— Jakiż?

— Zupełnie inakszy. Ino patrzy, jakby dorobić drugą dziesiątkę i schować! Potem trzecią i dziesiątą. Mazur z dziesięcioma dziesiątkami już pan, juści łeb w górę nosi, juści mu cholewy u butów błyszczą, juści babę stroi, juści dzieci gna do szkoły.

— A jak ma uciułanych dziesięć stówek? spytał Władysław.

— To do niego bez kija nie przystępuj.

W szybach pod zarządem Kaspra panował wzorowy porządek.

— Kasper, w twoich szybach nie będzie zagwożdżenia! rzekł Tadeusz.

— Chyba nieszczęście, odparł Kasper, pewny siebie. Naprzykład w drewnianej sztandze ukryty wewnątrz sęk, i sztanga pęka od ciągłego tłuczenia, a świder się zahacza, ziemia go osypie i wyciągnąć nie można! Inaczejbyśmy jeszcze wyglądali, żeby nie te psiakrwie!... Wież i kominów nie objąłby okiem ludzkiem. Ale cóż na nas, biedaków, i kozy cygańskie skaczą...

Poszli dalej.

— Takich wytwarzamy robotników, szepnął Władysław.

— Gdy takich stanie milion w kraju — inaczej będzie on wyglądał.

— A ten milion, dodał Tadeusz, będzie miał raz na tydzień kawałek mięsa, a na codzień omastę i szklankę herbaty.

— Minimum zabezpieczonego bytu, a postać całego kraju się zmieni.....

Władysław spojrzał serdecznie na Tadeusza.

— I ty to zrobisz!..

— Razem! Czem ja byłbym bez was? Ptakiem, rozbijającym skrzydła o szczeble klatki.

— Szczyt moich marzeń, aby ci, orle mój, horyzonty rozszerzyć, szepnął wzruszony Władysław.

— W zbiorniku sto gotowych wagonów ropy.

— Ilość ta przedstawiała nie dalej, jak zeszłego roku najmniej pięćdziesiąt tysięcy guldenów, a dziś piętnaście. I handlarze jeszcze udają, że nie mają ochoty kupić!

— Jeśli możecie, nie sprzedawajcie, póki nie dam znać z Wiednia.

— W takim razie znowu do kasy trzeba wyciągnąć ręce.

— Wiele wszystkiego macie?

— Przeszło dwakroć pięćdziesiąt tysięcy.

— A na ile dyrektor daje wam kredytu?

— Więcej nad trzykroć nie da — i to jeszcze dlatego tyle daje, że mówi, iż rozwój przemysłu naftowego to jego dzieło.

— Dociągniecie z łatwością do pół miliona, jeżeli wykażecie na nie pokrycie.

— Pokrycie mamy dziś na dwa miliony dla fachowca, jakim jest naprzykład Zuber.

— A dla niefachowca, jakim jest dyrektor, milion wystarczy. Przekonajcie go o milionie pokrycia, a jechać do połowy...

— Śmiało!.. Gotówka to ciepła krew w żyłach organizmu przemysłowego. Brak krwi to anemia — a za nią śmierć. A ty jak stoisz w kasie?

— Milion ośmkroć tajnego kredytu, lecz mam również pokrycie. Powiedz mi, wiele kopalnia moja w Wyżnicy warta?

— Dziś najmniej trzy miliony, lecz gdy po głębokiem wierceciu pokaże się druga warstwa ropy, to dziesięć, a może i więcej. Teraz tylko idzie o utrzymanie cen, aby nie zbankrutować.

Tadeusz się zamyślił i zaczął:

— Istotnie, mówił wzruszony, znalezienie drugiej warstwy ropy tak małymi kosztami — to miliony. Lecz żyć pod strachem bankructwa, sprowadzonego szacherstwem — to rozpacz, rozstrój, demoralizacya, upadek!...

— Musisz coś stanowczego zrobić!

— Dziś — a jakie przyniesie jutro nowe szacherstwo? Jest jedna rada — na Węgrzech znaleźć ropę.

— Prawda!...

— Węgrzy mają swoje kopalnie, w tej chwili będą ich bronić przed wyzyskiem swych współbraci, Żydów i Niemców.....

— Dlaczego sami nie szukają?

— Są za głupi i za dzicy — cóż na to poradzisz?...

— W takim razie wyprawmy własnym kosztem ekspedycyę, zawołał Władysław.

— Zgoda, tylko za co?.. Dobry projekt na przyszłość.

— Wściekła mamona, ona to ludzi dusi!..

— Nieszczęśliwe ubogie kraje, nie wolno im pracować, nie mogą się rozwijać, nie mogą walczyć. Żeby to pożyczyć skąd odrazu dziesięć milionów z terminem dziesięcioletnim!

Tadeusz zaśmiał się cicho.

— Toby tylko mógł zrobić kraj przez swą reprezentacyę.

— Przecież mamy i kraj, i reprezentacyę.

— Są, ale ludzi niema. Jedni chcą zatrzymać to, co posiadają, drudzy chcą im odebrać. To głównie zajmuje jednych i drugich. Któż ma się zająć krajem, gdy pierwsi nie chcą jego przemysłu, a drudzy nie umieją go stworzyć, poprostu nie rozumieją jego wartości.

— Twórzmy sami, zawołał Władek, i idźmy naprzód.

— Brak mamony, odrzekł Tadeusz. Szczęściem, żeśmy znaleźli, jak w korcu maku, jednego, który nas zrozumiał, ocenił i może pomódz.

— Tak, tak, szeptał Władek, cóż za szczęście dla nas, dla kraju, żeśmy znaleźli tego jednego! Inaczej tu byłaby pustynia, a my w Argentynie.

— A ja w Swobodzie na sześciu szybach, otoczony ze wszystkich stron terenami Anglików, Amerykanów, Francuzów — wiódłbym żywot wiertacza ze stoma tysiącami kapitału lub długu, — mała w ogólnem pojęciu różnica.

— Nie wolno, nie wolno nam, a tem więcej tobie zasklepiać się w ciasnem kółku malutkiego dobrobytu. My dla siebie nic nie chcemy, bo po co nam! Tobie do swobody życia potrzeba wyjść z tajnego kredytu, połączyć się z tą, którą kochasz!... Spółka podkarpacka od Gorlic do Wyżnicy!... Wszystko, co się znajdzie, od nafty i węgla do złota, cynku, ołowiu. I pomyśl, wszystko w naszych rękach, wszędzie my, skupiamy przemysł i kapitał!

— Do tego potrzeba w pierwszym rzędzie zwyciężyć Węgrów i Niemców.

— Jedź i zwyciężaj!

Obeszli szybko kopalnię, jako specyaliści, szukając miejsca na dwa nowe szyby.

— Czy przynajmniej księżna odbiera swoje procenta? zapytał Tadeusz.

— Ani jednego dotąd dnia nie czekała! Lecz cóż — i jej dochody spadły. Zeszłego roku kopalnia twoja wypłaciła jej sto tysięcy guldenów z czubem, tego roku trzydzieści pięć.

— Jest w Wiedniu. I ona musi pomagać — wytrwała, zawzięta, wielkie nazwisko i wielkie stosunki.

— Trzeba się wziąć z milionerami za bary.

— Silni oni w Wiedniu.

— A pan Edward, zbawiający monarchię Habsburgów, prowadzący wielką politykę i dom otwarty, grający szczęśliwie na giełdzie w dzień, a w nocy w klubie, — również ci pomoże, bo o jego skórę idzie.

— Powinien, chociaż wiele gruntów, nabytych w Swobodzie, posprzedawał. Chyba, że minister mu pogrozi, prezes każe milczeć... Obiecają mu kompensatę, wezmą go tytułem lub komplementami.

— Minister cóż, on rodak ?!..

— Tego się najwięcej boję. Każdy rodak, jako minister, przedewszystkiem na to się wysiła, aby go nie posądzono przypadkiem, że jest więcej rodakiem, aniżeli cesarsko-królewskim ministrem państwowym. Ten szalony strach przed „rodakowością” robi go często wrogiem kraju. Aby dowieść, że jest tylko Austryakiem, wysila się na obciążanie kraju podatkami. Takie korzyści przynosi krajowi każdy minister-rodak, a rząd nominacyę rodaka, a za nim Koło polskie ciskają nam w oczy, jako wielką łaskę, zrobioną krajowi.

— Co za fatalizm, że w tak krytycznej chwili dla nas skarbem austryackim rządzi rodak.

— Gotowi mi w „Kole” polskiem powiedzieć, że to nie patryotycznie robić trudności rodakowi.

— To niepodobna!

— Nie znasz jeszcze naszego „Koła”, które twierdzi, że patryotyzm polega na tem, aby rodakowi ułatwiać pobyt na wysokiem stanowisku, z którego patrzy na niego Europa. Europa w Kole wielki wyraz. Europa patrzy, Europa słucha. I biedny szlachcic polski uczy się w „Kole” drżeć przed Europą, a nic sobie nie robić z kraju.....

— A tymczasem kraj może stracić sto lub dwieście milionów rocznego dochodu, rząd dziesięć milionów podatku naftowego. Lecz cóż, najprzód obłożono przemysł naftowy wygórowanym podatkiem, a teraz z obawy przed narażeniem się milionom dobijają go.....

— Bylebyśmy tę ostatnią zmorę zmogli, a wypłyniemy, dorzucił Tadeusz.

— Musimy koniecznie.. Pomyśl, zostajemy na lodzie, biedny kraj, dyrektor i my.

Zamilkli, tylko ziemia od uderzeń świdrów jęczała.

— Ratujmy przedewszystkiem człowieka! Jest on opatrznością naszego przemysłu, nas samych i pięciu tysięcy robotników. Ratuj go, Tadziu!...

— Pragnę więcej, niż siebie, niż własną duszę, więcej, niż przyszłość tej, którą kocham. Nikogo się nie zlęknę, stanę, choćby sam przeciw całej burzy.

— Jedź!

Obeszli całą kopalnię — porządek i ład panowały.

— W którym szybie zacząłeś głębokie wiercenie?

— W tym — na twoim terenie, szyb Jakób — od majstra, który go zakładał. Wszystko przemawia, że napotkamy wielkie źródło. Może mi się uda dociągnąć do sześciuset metrów, jeżeli wcześniej nie nastąpi wybuch.

— Nastąpi, zdaje mi się, rzekł Tadeusz, na pięciuset metrach. Powinien nastąpić!...

— Tem lepiej.

Wracali silni, pokrzepieni, odmłodzeni. Do rozradowania własnych serc potrzebowali paru garści ciepłych myśli, wydobytych jasnymi promieniami nadziei....

Wit przygotował potrzebne cyfry i z nich prawdopodobieństwa wypadkowych w całej Galicyi. Tadeusz czytał je i robił uwagi.

— Powinno się udać, rzekł w końcu, choćby dlatego, że przecież my dla siebie nic nie chcemy — nic!....

— My dla siebie chcemy pracy i szerokich horyzontów, dodał Wit.

— Funt mięsa, pół funta chleba i szklankę herbaty.

— To niewiele, na Boga, zaśmiał się Tadeusz. Porównajmy siebie z niemieckimi fabrykantami. Ich pałace, roje służby, ekwipaże i haremy....

— A moglibyśmy lepiej podołać uciechom, aniżeli oni.

— My nie jesteśmy do tego rodzaju kultury; my mamy do niej wstręt i wstyd poprostu. Wyobraźcie sobie mnie, otoczonego lokajami? w salonach, lśniących od złota, w towarzystwie kurtyzanek. Cobym robił i jakbym wyglądał?

Rozśmiali się serdecznie.

— A my? zawołali Władek i Wit. A my? Skonać ze śmiechu.

— To nie przylega do naszej skóry, do naszej natury, do naszego organizmu. Jest wprost inne — i dlatego wyglądalibyśmy komicznie!...

— My wiemy, co zrobimy z milionami, gdy je będziemy mieć, dodał Wit.

— I musimy je mieć!.....

— Musimy, musimy, szeptał nerwowo Tadeusz. Dziwnie się splotło życie moje. Miliony dadzą mi spokój, szczęście, wrócą mi

cześć. Siwe włosy starca i jego głębokie spojrzenie żądają ode mnie milionów. To dla mnie — a dla biednego Podkarpacia o chudej ziemi, przymierającego głodem?

— Dla niego wszystko! dodał z entuzyazmem Władek.

Zajechał wózek.

— Telegrafuj!

— Dobrze — na pisanie nie będzie czasu... Szczegóły znajdziecie w dziennikach.

Odjechał.

— Zawsze nam kawał swej duszy zostawia, powiedział cicho Władysław.

— A my tę jego duszę wcielamy w nasze dusze, bratamy je, łączymy i z tego wytwarza się.....

— Uczciwa, może za serdeczna, ale za to nasza polska ogólna dusza....

— Ej, Władek, czy to nie zakrawa na wzajemną adoracyę?

Władek się zarumienił, jak panna, i oczy spuścił. Zdrowa jego natura nie miała pojęcia o adoracyi.

— Myślałem, że wobec przyjaciela wolno myśleć głośno, powiedział.

— Ależ wolno, mówił Wit, obejmując wpół przyjaciela. Za serce, które nam daje Tadek, kopiemy dla niego na akord naftę, opiekujemy się jego kopalnią, jego interesami i nim samym.

— Ha, nareszcie zaczęliśmy głębokie wiercenie! Może znajdziemy i drugą, obfitszą warstwę, zawołał nerwowo Władysław.

— Wtedy znajdą się i miliony, dokończył Wit. Na usta naszego starca ściągniemy wesoły uśmiech. I znowu zacznie z oczu ciskać pioruny jowiszowe, brwi ściągać, rozkazywać, śmiać się z paragrafów, statutu, jak ongi śmiał się z latających kul pod Budą!

— Starcze, tyś nas dźwignął i postawił na nogi, dałeś nam środki na własne ryzyko, pod grozą własnej hańby! My ci znów ściągniemy na twe siwe włosy promienie słońca i osrebrzymy je jasnością.

ROŹDZIAŁ II.

Ciotka Urszula wpatrywała się w kopertę listu, tylko co odebranego: „Wiedeń” i pod jej adresem małemi, jak perełki, literami: „dla Tadzia”.

— Od Maryni! A więc i on tu już jest albo dziś będzie. Zakochani najlepiej się przeczuwają. Ona pewno całemi godzinami

oblicza, gdzie i jak długo bawi jej ukochany i kiedy będzie w tem lub tamtem miejscu — i zawsze trafi. On za tym listem zjawi się tu dziś! List go, jak magnes, przyciągnie. Był dwa razy we Lwowie, do mnie nie zajrzał. Boi się mnie!

Zaczęła chodzić po pokoju.

— Jakże się mnie nie ma bać! Dziewczyna więdnie i marnieje w Wiedniu, on lata po całym świecie. Nie śmie mi spojrzeć w oczy i nie przychodzi.

Stanęła, zamyślając się.

— Gdybym starego w dwadzieścia cztery godziny później po Maryni zawiosła do Swobody, jużby zapomnieli, kiedy się pobrali! A tymczasem, gdyby siostra moja stanęła przede mną i zapytała się: Gdzie dziecko moje?...—cóżbym jej powiedziała?... Żyje z Niemcami w Wiedniu, bawi się z Niemcami, a może zaczyna myśleć po niemiecku! Niech tego Edwarda pioruny zatrzasną — no i tego naftowego gagatka! Głupiec, bawi się w sielankę bezinteresowności czy poświęcenia, a dziewczyna pewno w oczach mizernieje!.. Czego on chce?... Dożyłam czasów, że dziecko mej siostry może chcą wydać za Niemca?! Za samą myśl przekleństwo wam, bo o Marynię jestem spokojna.

Rozległ się dzwonek.

— To on, szepnęła i wyprostowała się, a list schowała do biurka.

— Gdybym ci go dała zaraz, czytałbyś, gagatku, całą godzinę, potem schował list, pocałował mnie w rękę, nie rzekłbyś słowa i odszedł. Dostaniesz go wieczór do poduszki, tymczasem pogadamy szeroko.

Drzwi się uchyliły, na progu stanął Tadeusz.

— Jesteś nareszcie, piękny Adonisie! Z dzienników dowiaduję się o twych przejazdach przez Lwów, tu nie zajrzysz.

Przybiegł do ciotki i całował jej ręce.

— Jeżeli przyjadę na cztery godziny i mam sto spraw przez ten czas do załatwienia? Dwa razy byłem w Wiedniu i nie widziałem Maryni.

— Co?!.. jak śmiesz mi to mówić?

— Nie widziałem się z nią, nie miałem czasu, nie mogłem.

Urszula cofała się, mierząc go groźnie wzrokiem.

— Że nie masz czasu dla starej ciotki, przebaczam ci i rozgrzeszam. Ale jeżeli go nie masz dla narzeczonej, dla jedynej kobiety na świecie, którą kochasz, to w tem musi się coś kryć.

— Ciociu, nic innego prócz zobowiązań, które są pierwsze.

— Pomyśl, jak to długo się ciągnie. I możesz jeszcze wytrzymać?

— Muszę!

Zamilkli oboje, ciotka chodziła po pokoju z założonemi za siebie rękoma...

— Dlaczego nie bierzesz dziewczyny, spytała gwałtownie, jeżeliś się rozszedł z Edwardem?.....

Tadeusz ukrył twarz w dłonie i milczał.

— Dlaczego? odpowiadaj.

Milczał.

— Dlaczego!?... Może jesteś zaangażowany z inną kobietą? Honor, obowiązek wdzięczności.... Ja to wszystko zrozumiem — mów przede mną, jak przed matką! Masz we mnie jedyną przyjaciółkę. Mówże raz, jeśli nie chcesz, żeby mi z bólu serce pękło. Im prędzej, tem lepiej... Biedna Marynia, szepnęła, odwróciła się i łzy otarła.

Tadeusz odjął dłonie od twarzy i znowu milczał. Urszula zbliżyła się do niego, szepcząc.

— Wyspowiadaj się, będzie ci lżej. Spowiedź to wielka instytucya, kojąca zbolałe serca. „Spowiadajcie jedni drugich"....

— Bankrutujemy, mówił cicho, drżącym głosem Tadeusz. Milionerzy wiedeńscy duszą i zduszą jedyny nasz przemysł.

Spojrzał na ciotkę błagalnie.

— Na ten przemysł dyrektor dał mi kredytu do dwu milionów. Kredyt jest tajny. Gdy przyjdzie katastrofa, starzec przyłoży lufę do skroni — ja go zabiję! Broniąc nieskazitelności jego imienia — powiem: tajny kredyt to ja!.. Czy tak obciążony mogę wyciągnąć rękę i łączyć z mem nazwiskiem córkę twej siostry — istotę czystą, jak niepokalanie?...

Wstał i mówił dalej cicho:

— Tragedya!.. Przychodzi fatum i druzgoce nas! Któż się spodziewał takiego wroga, i tak silnego?! Czyż mogę dziś wyciągać rękę po Marynię, gdyż jutro mogę być obdarty z czci — i stać pod pręgierzem!?..

— Możesz, rzekła ciotka. Marynia nie jest prokuratorem, Marynia nie jest bezmyślnym tłumem, który gotów wołać: „śmierć Chrystusowi, niech żyje Barabasz!" Marynia jest kochającą kobietą—i ty to rozumiesz. Marynia wie, co to jest walka dla idei — jest zdolną kochać tylko bohatera. Bohaterowie nie objawiają się w szczęściu, lecz w tragizmie, który ich druzgoce. Jeżeli Marynia chce być twoją żoną, to wie, że ty należysz do dziejowej tragedyi, i dlatego cię

kocha. Nie bój się, nie odwróci się od ciebie, gdy tłum będzie ci urągał.

— Niezawodnie, ale ja nie mam prawa ciągnąć jej za sobą na Golgotę dla rozkoszy, że będę miał przy sobie duszę, która boleść moją będzie koić i sama w bólu się tarzać. To byłoby nędzne.

— Nie — krzyknęła ciotka, to już się stało. Ona jest twoją duchową żoną i tego nie odwrócisz, nie przemienisz, nie wyrąbiesz! Marynia jest sobą, a będąc sobą, jest twoją — i twoją zostanie do śmierci. Taką ją znam i taką kocham.

— Drżę o jej los, szepnął — boję się jej dobroci.

Oczy zaszły mu łzami. Ciotka objęła jego głowę, tuląc do swych piersi.

— Rozumiem cię, nie jesteś egoistą, sam chcesz iść swą krzyżową drogą. Ale się już stało, — drugich z niej zepchnąć nie możesz. I całe twoje zwycięstwo polega na tem, że kiedyś rzesze pójdą za tobą.

— Po rozciągniętem ciele starca.

— Za nim, za jego duchem! On żołnierz, jeśli padnie, to na placu boju.

Milczeli oboje długą chwilę.....

— Czy nie macie środków, choćby nadziei obrony?

— Wytężymy wszystkie siły. Bez walki nie padniemy. Lecz czy zwyciężymy?.. Niemcy wiedeńscy bronią siebie i bronią Węgrów, jako gnębicieli Słowian. Wspierają się wzajemnie, obdzierają nas wspólnie. Z dwoma wrogami na nas walka ciężka i trudna.

— Zwycięstwo nie jest wykluczone, rzekła Urszula.

— Dziś po południu w sali ratuszowej wielkie zebranie galicyjskich nafciarzy. Jutro jedziemy do Wiednia!.. Pragnę zobaczyć dyrektora, lecz nie chcę mu się pokazywać z twarzą, na której mógłby zobaczyć rozpacz.

— Nie chodź, póki czegoś nie postanowicie. Do żołnierza idzie się z rozkazem lub po rozkaz.

— Cioteczko, o jedną łaskę proszę — o jedną. Przed Marynią nie poruszać spraw majątkowych. Nie zniósłbym tego i uciekł... Nasz stosunek nie znosi nawet cienia, padającego od pieniędzy.

— Idealisto, dlaczego występujesz przeciwko memu romantyzmowi?.. Czyż on nie jest również idealizmem?

— Jest, lecz nieco zamazany pozą, udrapowaną w czarny płaszcz, kapelusz śpiczasty i sztylet u boku, nazwany puginałem. Nawet Henryk w Nieboskiej jest romantykiem, patrzy w lustro, aby

się przekonać, czy ma bladą twarz i jak zgrabnie ułożone fałdy na hiszpańskim płaszczu.

— Może masz racyę!.. Jaki projekt na dzisiejszy dzień?!...

— Odpocząć parę chwil, posilić się.

— A potem?

— Przygotować się na posiedzenie. Nawet jestem już przygotowany, tylko mi brak ze zmęczenia przytomności i energii. Jadąc do Lwowa, nie spałem, to już druga noc.

— O której posiedzenie?

— O czwartej.

Ciotka zadzwoniła, wbiegła służąca.

— Śniadanie dla pana, poduszka na sofę — szal.... Nikogo nie wpuszczać do mego powrotu.

Ubrała się, Tadeusz wyciągnął do niej ręce.

— Pamiętaj to sobie: mogą cię wszyscy odstąpić, wszyscy uciec od ciebie, ale nie nasze kobiety. A nasze to Marynia, ja i kilka innych, które znam.

Pocałowała go w czoło i wyszła.

Młoda, ładna, ukuta z samego zdrowia dziewczyna przyniosła mu śniadanie. Z pewnym wdziękiem kokieteryi, a rumieńcami na białej twarzy położyła na sofie poduszkę i pled. Nie widział tego. Wyszła na palcach, nie spostrzegł jej... Cisza go ogarnęła, jadł zamyślony, pochłonięty w sobie. Wypił dwa kieliszki wina, owładnął go sen młodości, sen żołnierza po całodziennej bitwie. Wstał, zatoczył się, padł na kanapę i za chwilkę o świecie nie wiedział.

W tym samym czasie Urszula stała przed dyrektorem, kończąc do niego mowę. Starzec, uśmiechając się smutno, podniósł papier z rogu olbrzymiego biura.

— Powiedz mu pani, że rewolweru nie znalazłaś. Umyślnie go schowałem, aby mnie chętka nie porwała. Rozumiem położenie. Dziś nie idziemy do szturmu, lecz bronimy się, zamknięci losem w fortecy. Niewielu nas!.. Narażać w takim wypadku życie żołnierza to zbrodnia, a cóż dopiero wodza? Niech będzie spokojny, potrafię wytrwać do ostatniego tchnienia, do ostatniego ładunku. Lecz nic jeszcze nie jest stracone. Może rząd zrozumie, że mniej o dziesięć milionów bezpośrednich podatków to dość znaczny ubytek dla Przedlitawii, więcej, niż gdy się zamkną uśmiechy Rotszyldów i „teremtete" Węgrów. Przelewałem za tych łajdaków krew!?! Za co myśmy ją lali?...

Zaklął po węgiersku.

— Nie szkoda to krwi, młodości i życia?dodał ciszej, wzdychając.

— Nie, zawołała Urszula. Gdyby nie twoja młodość wśród błyskawic, starość miałbyś inną.

— Starość moja byłaby wypoczynkiem w pogodzie zachodzącego słońca.

— Byłby to zachód bez promieni wspomnień, bez gorącego południa chwały i pragnień. Byłby to zachód blady i senny, podobny do śmierci za życia.

— Dziś czuję tragizm w sobie i powietrzu, rzekł poważnie starzec.

— Całe twoje życie to jedna tragedya. Dziękuj Bogu, że ci jej na starość nie odbiera. Cobyś bez niej robił?...

Starzec rozśmiał się smutno.

— Cobyś ty robił na świecie bez tragedyi życia!?... Umarłbyś z nudów, z braku czynu, z braku tych dreszczy rozkosznych, które podtrzymuje walka, niepewność jutra i to uczucie, że mimo wszystko robi się swoje, że się odradza w czynach, że się tworzy wielkie dzieła, przyszłość...

— Tak, tak, wściekła to powinność, powtórzył dyrektor, żeby jednak ją wykonać, popełnia się zbrodnie względem statutu i paragrafów. Rozumiem to, powtórzył ciepło, a mimo to idę naprzód.

— Chociaż kule latają — idziesz naprzód zdobyć Podkarpacie!..

— To dosyć na mnie.

— Tyle możesz udźwignąć i dźwigasz. Nie dźwigać już nie możesz.

Zaśmiała się serdecznie.

— Nie mogę, rzekł z rezygnacyą. Ta walka jest siłą mej starości, moją energią, czuję, że jeszcze jestem potrzebny na świecie..

Zamyślił się głęboko.

— Cóż za pustka przerażająca objęłaby moją duszę bez walk i pracy?!..

— A weszłaby w ciebie dusza pierwszego lepszego Żyda z bankierskiego kantoru lub dusza pierwszego lepszego dyrektora towarzystwa zaliczkowego w małem miasteczku.

— Dusza psa na łańcuchu, szepnął. Teraz czuję, że jestem panem, artystą — tworzę w wschodniej połaci naszego kraju przemysł.

— Tadeusz boi się tu przyjść, boi się twej bladej twarzy i smutku w twoich oczach.

— Ha! ha! zaśmiał się wesoło. Niech się nie lęka. Kocham go, jak syna — daje mi udręczenia, ale i rozkosze. Daje mi przera-

żenie, ale i nadzieję. Boję się, a jednak idę z wiarą w zwycięstwo On mi pokazał na starość wielki, potężny cel: ochronić od nędzy Podkarpacie! Milionowi góralskiego ludu dać do ust kawałek chleba, aby do sił przychodził. Niech się nie boi, padnie nafta, weźmiemy się do węgla, — ten nie zawiedzie. Węgiel nie zawodzi. Węgry nas z niego nie okradną. Powiedz mu pani, coś słyszała. Rewolwer poszedł precz!

Wyciągnął rękę.

— Nie zapominaj pani o starym. Miło mi żyć w towarzystwie. wtajemniczonych, z którymi wolno mi marzyć głośno. Gdyby się dowiedzieli inni, mało byłoby milionów do opłacenia ich milczenia.

— Zawsze mnie rozbrajasz, i kocham cię, rzekła Urszula, żegnając się.

— Stara gwardya niech się trzyma i wierzy w siebie, że jeszcze nie przyszła na nią Berezyna!

Urszula wypadła z gmachu, spojrzała na zegar.

— Całą godzinę siedziałam, lecz Tadeusz niech jeszcze śpi. Bo kiedyż będzie spał, jeśli dziś poleci do Wiednia? Stary dzielny,— tacy nie boją się śmierci. Jest w tych dwu postaciach, młodym i starym, jakaś potęga, co imponuje i przygniata. Wyszukali się, jak dwie pokrewne dusze, i złączyli. Ja ich zbliżyłam. A jeśli przyjdzie katastrofa? Boję się o tem myśleć, bo znowu brud i złe instynkta zakotłowałyby się w naszem społeczeństwie i wypłynęły na wierzch!.. Jakiż wtedy smutny obraz, jaki zapach zgnilizny, jak ciężko żyć w takiej atmosferze i patrzeć na biedne społeczeństwo, oszpecone własną etyką!... Boże, Boże! dosyć już nieszczęść! Żyję trzydzieści lat w samych nieszczęściach. Daj chociaż jeden rok jasnych promieni, jeżeli jesteś wielki i sprawiedliwy!

Stanęła, patrząc na przechodniów.

— Twarze zmęczone, sterane walką o kawałek chleba, zbiedzone, wyglądają sympatycznie. Ale, gdy się ich złe instynkty poruszy, gdy żółcią zzielenieją im twarze, gdy zazdrość i chciwość zaczną je pożerać... Panie, nie daj mi dożyć tej chwili!

Poszła wolno dalej.

— Jakże Tadeusza zmuszać do porwania Maryni, kiedy mnie samą dreszcze ze strachu przechodzą... Dziewczę nic nie wie, zakochane, marzące, oczekujące oblubieńca, jak Messyasza, który niebo daje. Dziewczę to nazajutrz po ślubie dowiaduje się o dwumilionowym tajnym kredycie. Miły prezent! a jednak bez tego kredytu niby nie było, a narzeczony byłby pospolitym nafciarzem, cieszącym się sześcioma szybami ropy. Niech i ona dziękuje Bogu za tajny

kredyt. Tadeusz dźwignął się nim, stanął, wie, gdzie iść, czuć w nim męża o szerokich myślach, wielkich projektach, o pracy dla drugich. Czuć go w kraju, ma czcicieli, wytwarza się jego własna szkoła! Takiego będzie mieć Marynia męża, takim go zrobił mój stary! Tadeusz zbudził go, a starzec sprawił skrzydła jego duszy i dał jej lot. Dopełniają się przedziwnie... Że go Tadeusz hypnotyzuje, to wielka wiedza i wielka dusza na wielkie serce zawsze tak działa...

Spojrzała po tłumie.

— Ty, niewolniku swej biedy, pracujący, żeby jeść, jedzący, żeby żyć, ty tego nie odczujesz. Ty, gdybyś się prawdy dowiedział, gotów jesteś schwycić za kamień. A jednak po latach będzie ci lżej w pracy, nie będziesz okradany przez obcych, owoce twej pracy będą większe, a sama praca lżejsza. Będzie cię stać na kupienie książczyny, i czasu starczy na jej przeczytanie. Ty, biedny tłumie, jeszcze tego nie rozumiesz, ale kiedyś podniesiesz głowę w górę i będziesz patrzał na błękit i Boga. Oni ci ją dźwigną, ci dwaj — ten stary i ten młody.

Zdawało się Urszuli, że wypowiedziała mowę do tłumu, odetchnęła głęboko, chustką otarła twarz i dopiero się roześmiała.

— Czas wracać, szepnęła, gagatek się wyspał, zjemy razem obiad—i na wielką naradę. Nafciarze, wystraszeni o własną skórę, pewno już są.

Tadeusz spał cicho, uśmiechał się przez sen.

— Pewno śni o Maryni. Mówi coś...

Nachyliła się, żeby usłyszeć. Tadeusz oczy otworzył.

— Złapałeś mnie na podsłuchiwaniu. Chciałam się dowiedzieć, do kogo mówisz przez sen, Pewno do Maryni.

— Niestety nie, za dużo myślę o niej na jawie, i dlatego we śnie nie przychodzi. Przemawiałem do nafciarzy.

— To ci się wyśni! Za godzinę posiedzenie, plakaty już są. Obiad i jazda.

— Cioteczko, czy ty nie jesteś za dobra dla mnie.

— Dlaczego mam być zła? Wyobraź sobie, co za szczęśliwy traf, spotkałam się z dyrektorem.

Tadeusz zbladł. Urszula udała, że nie widzi jego wzruszenia.

— Człowiek ten, odlany z bronzu, pełen nadziei, wiary w wasze zwycięstwo, rad cię uściskać. Mówił mi, że rewolwer wyrzucił z biurka. „Dziś życie moje warte milion, na mem życiu spoczywa nasz przemysł. Tę wielką wartość życia mego zawdzięczam Tadeuszowi.”

Tadeusz wyciągnął ręce, jak gdyby do ducha starego przyjaciela.

— Jeżeli padniemy, to obaj lub obaj zwyciężymy.

— Zwyciężycie — siadaj do stołu.

Otworzyła drzwi do jadalnego pokoju, kryjąc wzruszenie.

Wielka sala ratuszowa wypełniła się po brzegi nafciarzami i ich przyjaciółmi. Na galeryi wśród kobiet postać Urszuli dominowała.

Na przewodniczącego wybrano prezesa zawiązanego towarzystwa naftowego. Po ukonstytuowaniu się posiedzenia przewodniczący udzielił głosu Tadeuszowi.

Sława go poprzedzała, zrobiło się cicho. Stanął na podniesieniu, przyjęto go oklaskami: zaczął.

Jasno i zwięźle skreślił historyę nafciarstwa. Galicya pierwsza znalazła naftę na kuli ziemskiej, za nią poszła Kanada... Bez poparcia państwa i kraju, bez poparcia kapitałów i społeczeństwa garść ludzi dobrej woli, wiary i energii stworzyła przemysł naftowy. Gdy się ukazały obfite źródła, zgraje cudzoziemców, tych wiecznych uganiaczy za złotem, zaległy kopalnie. Kraj na to patrzał ospałemi oczyma i pozwalał się rabować, większość sejmowa, trzymająca władzę w kraju, poza rolnictwem, drobnym handlem i urzędem nie uznaje innych zajęć i nie proteguje ich. Większość rządząca nie wie dotąd, co to jest przemysł naftowy, i porównywa go z spekulacyą i grą hazardową. Na hazard ma Monaco i giełdę wiedeńską, nie potrzebuje więc nafty.

Ogólna wesołość i oklaski. Za plecami Urszuli chude, białe ręce biły zawzięcie. Obejrzała się.

— Ach! to ty, dyrektorze.

— Gagatek nasz dobrze się sprawia, świetna wymowa, trzeba go posłać do sejmu.

— Pierwszy raz go słyszysz?

— Pierwszy.

— To dopiero początek. Dlaczego nie jesteś na dole?

— Na złodzieju czapka gore, szepnął jej do ucha i zaśmiał się smutno, choć serdecznie. Boję się najmniejszego cienia domysłu i wolę być z panią, bo mi się zdaje, że jestem w kółku rodzinnem.

Tadeusz mówił dalej.

— Minister skarbu dostrzegł jednak, że ta spekulacya i hazard mogą dać rządowi milionowe korzyści. Śrubą podatkową zakręcił

tak silnie, że aż z naszej biednej nafty dziesięć milionów rocznie haraczu składamy.

Szmer oburzenia i podziwu w sali...

— Jeśli śruba podatkowa potrafi utoczyć krwi naszej dziesięć milionów, to nie ulega wątpliwości, że dochody całego przedsiębiorstwa dochodzą do stu... Owe sto milionów rocznego dochodu, wydobyte naszą pracą — padają!... Zazdrościli nam Węgrzy tego jedynego u nas przemysłu i wspólnie z bankierami wiedeńskimi postanowili odebrać go nam, a przemysł zniszczyć...

Groźne poruszenie w sali.

— Stworzyli falsyfikat — czystą i dobrą naftę farbują, przywożąc ją z zagranicy, jako surogat, wolny od cła. Odbarwianie falsyfikatu kosztuje nic nie znaczącą sumę i tym sposobem zalewają nas czystą naftą — nasza zaś ropa, mająca 45 procentów nafty, konkurować z falsyfikatem nie może. Falsyfikat zastępuje naszą ropę — padamy, bo cena ropy już dziś nie przenosi kosztów produkcyi.

— Nie dać się, bronić, wołano ze wszystkich stron. Węgrzy nas zdzierają na każdem polu! Gdzie namiestnik, marszałek, radcy wydziału krajowego! W biednym kraju zniszczyć dochody stu milionowe to zbrodnia! Czy ojcowie narodu wiedzą o tem, czują to, rozumieją?

Burza rosła. Tadeusz wśród wrzawy i fali poruszonych namiętnością stał śmiało, z podniesioną głową, wyprostowany, uśmiechnięty, pewny siebie...

— Umie z tłumu niewidzialnymi środkami wydobywać ognie oburzenia, odezwał się dyrektor do Urszuli.

— Patrz, jak patrzy, jak się uśmiecha, odparła. Tu powinna dziś być z nami Marynia. Ej, stary, stary! o wiele byłoby dziś łatwiej, gdyby Marynia była jego żoną.

— To niech ją bierze, przerwał dyrektor, bojąc się wymowy swej towarzyszki.

— Z „tajnym", szepnęła Urszula, za nic na świecie!

— Będzie się śpieszył usunąć go, odpowiedział.

— Ale i życie się śpieszy.

— Nic im się nie stanie. Będą się jeszcze więcej kochać.

Przewodniczący uspokoił wrzawę, Tadeusz mówił dalej.

— Ufam i wierzę, że minister kocha tyle Galicyę, co i Austryę. W nafcie serce i rozum ministra skarbu związane są z Galicyą przez dziesięć milionów rocznego podatku... Suma nie do pogardzenia, zasługuje, aby stanęła na szali miłości do Węgier i grzeczności dla bankierów wiedeńskich. Pocieszam się tem i nabieram [otuchy, że

w tej ważnej dla nas sprawie będę mógł przemówić wprost do austryackiego serca ministra rodaka. Jako Galicyanin, mógłby stracić dziesięć milionów rocznego podatku za łaskawy uśmiech dygnitarzy węgierskich. Jesteśmy narodem rycerskim, lecz minister austryacki musi być przedewszystkiem stróżem skarbu austryackiego...

— I dlatego nasza sprawa może być uratowana, wołali nafciarze. Minister będzie musiał bronić Austryi... Gdyby interes Austryi w tej sprawie nie był na pierwszym planie, musielibyśmy paść i padlibyśmy!

— Co większość Koła naszego obchodzi byt i nędza chudego Podkarpacia, które za nadmierną pracę nie daje wyżywienia. Co ich obchodzi, że tysiące ludzi na linii Gorlice-Krosno żyje z nafty, a drugie tyle we wschodniej Galicyi! Nałożony podatek na młode przedsiębiorstwo kopalń jest za wielki, za ciężki. Żadna inna prowincya nie zniosłaby go. Lecz któż ma nas bronić?...

Wrzawa i roznamiętnienie nafciarzy rosły. Komisarz rządowy, nałogowy tchórz galicyjski, wystraszony krytyką rządowej większości, groził rozwiązaniem zebrania.

— Za co, zawołał jeden z nafciarzy. Czy my napadamy na rząd, na władzę, na porządek społeczny? My mówimy o naszych braciach, którym udało się skutkiem naszego niedołęstwa pochwycić mandaty w swe ręce...

— Za co? wołał podniecony tłum, za co? jakiem prawem?...

Dyrektor ręce zacierał radośnie. Urszula biła brawo.

— Moi nafciarze górą — dzielni. Śmiałość z nich idzie, o jakiej się nie śni przeciętnemu Galicyaninowi.

— To już szkoła Tadzia. A jeszcze niema tu najbliższych z Wyżnicy.

Przewodniczący, porozumiawszy się z Tadeuszem, zabrał głos.

— Wiemy wszyscy, że krzywda nam się dzieje, a ostatnia zagłada nadchodzi. Bronić się musimy. Tu wypowiadamy nasze bóle, lecz w Wiedniu działać trzeba, jeśli chcemy żyć. Otóż proponuję wysłać komisyę z pięciu, i ta niech jedzie do Wiednia i wraca z odpowiedniem ocleniem surowca. Nie umiemy się bronić, lecz gdy nas za gardło ściskają, a ręce kładą do kieszeni po nasze dobro ..

— To musimy, wołano, choćbyśmy byli największymi tchórzami...

— Wybierajmy pięciu pełnomocników, głosowanie kartkami cicho, wybierani są tylko nafciarze. Na każdej kartce pięć nazwisk.

Zaczął się ruch, narady grupami, zabieranie kartek ze stolika.

Tadeusz na galeryi zobaczył Urszulę i za jej plecami dyrektora. Porozumieli się wzrokiem i uśmiechem.

Wybrano najrozumniejszych i najodważniejszych, Tadeusz przeszedł jednogłośnie, po nim przewodniczący i trzech członków towarzystwa naftowego.

Posiedzenie skończone, nafciarze swe żale, rozpacz i gniew wynieśli na ulicę.

W godzinę później minister dostał telegraficzne sprawozdanie z posiedzenia. Był to człowiek szorstki, nie odznaczający się ani świetnem wychowaniem, ani głębiami uczuć — za to bardzo zdolny, znający swój przedmiot, oryentujący się szybko, energiczny i pracowity.

Rzucił telegram z pewną odrazą.

— Głupcy, zawołał, właśnie mam czas zajmować się nimi i ich naftą. Wiele tam może być szybów — sto!... A wiele wagonów ropy — tysiąc! I o tę drobnostkę chcą mi suszyć głowę. Nie przyjmę żadnego!...

Zapomniał na chwilę, że ogólna suma podatku naftowego daje państwu dziesięć milionów.

Lwów tego wieczoru we wszystkich kawiarniach i restauracyach huczał krzywdami, wyrządzanemi przez rząd przemysłowi krajowemu. Bezwzględni zwolennicy rządu wobec podniecenia umysłów cicho siedzieli, obiecując sobie robotę, gdy namiętności przycichną.

W kancelaryi kasy Tadeusz i dyrektor radzili cicho, nerwowo.

— Stoimy nad przepaścią, mówił starzec, lecz po drugiej stronie zieleń nadziei, słońce wesoło świeci... Przeskoczymy przepaść i padniemy sobie w objęcia. Lecz czy tylko przeskoczymy?...

— W każdym innym kraju musielibyśmy zwyciężyć. W Austryi rządzą niespodzianki. Gdybym był ministrem, jedną ręką śrubowałbym podatki, a drugą wyśrubowane miliony rzucał krajowi, aby miał czem i za co się dźwigać. Lubecki okradał kraj, a za okradzione pieniądze bogacił go. I kradzieże stały się fikcyą. Podatków od nafty nie przeląkłem się...

— Aleś się przeląkł oszustwa, rozboju na publicznej drodze!

— A nie znam usposobienia rządu dla tego rozboju. Nie wiem, o ile Węgrzy są dziś potrzebni rządowi i jaką mają siłę w Wiedniu. Nie wiem więc, czy nie poświęcą szacherstwu Węgrów i wiedeńskich bankierów jedynego wielkiego przemysłu w kraju, rozwijającego się

własnemi siłami. Wobec tych niespodzianek cóż znaczy prawda, sprawiedliwość, logika, wykazanie milionowych na przyszłość korzyści, geniusz przekonywujący, nędza w kraju? To wszystko jest niczem, mrzonką wobec rozkazu z góry. Posłuszeństwo z samej rozkoszy usłużności to jedyna cecha, to idea przewodnia naszej delegacyi, naszego Koła! Czy o takiej roli marzyliśmy w parlamentaryzmie austryackim, gdy jeszcze parlamentaryzmu nie było w Austryi?..

— Co robić? szepnął starzec, stając nieruchomo.

— Walczyć do ostatniego tchu. Lepiej zginąć na barykadzie prawdy, bo wtedy stworzymy następców, a gdy zginiemy od rewolweru, zrobimy koło siebie pustkę i będzie po nas.

— Prawda, szepnął, rewolwer rzuciłem.

Podniósł papier z rogu biura.

— Przysiągłem nie mieć go ani w domu, ani w biurze. Wolę więzienie. Z więzienia nie zrobi się po mnie pustka...

Patrzeli sobie w oczy i rozumieli się. Czuć było, że żołnierza dopełnia idealna natura, głęboki umysł i wytrwałość, zawsze zwyciężająca.

— Jeżeli w Wiedniu, rzekł po chwili milczenia dyrektor, uzyskasz sprawiedliwość, co dalej?...

— Jeśli zwyciężę, to Wyżnica jest złotą miną, która wystarczy na pięćdziesiąt lat. Mam nadzieję, jestem tego pewny, że sam wypompuję z niej dwadzieścia milionów, nie licząc moich towarzyszy. A niewiadomo jeszcze, jak daleko się ciągnie linia naftowa. Lecz jeżeli rząd, co sprzyja krajowi, i „Koło", które jest siłą rządu, zabiją u nas przemysł naftowy, to, co poczniemy dalej, nie wiem jeszcze.

— Straszne to będzie dalej. Znowu musimy się wziąć za bary ze społeczeństwem i mocować z niem do zwycięstwa lub upadku.

— I w końcu paść, dokończył cicho Tadeusz. Walki nie za przestaniemy, nigdy nie powiemy dosyć, nie staniemy, bo nie możemy. To jest wielkość natury ludzkiej i wielkość postępu. Musimy iść, wiecznie pchani fatalnością konieczności, która w nas żyje, grzeje nam serca i mózgi rozsadza. Niespożyta siła, pchająca ludy i narody naprzód, wiecznie naprzód, aż póki nie przejdzie ponad siły nasze i nie powali nas. Taki los, taki bohaterski tragizm ludzkości i wielki tragizm ludzi, którzy niosą w sobie łunę tej siły. Na przód! do ostatniego tchu!..

— A więc naprzód, rzekł spokojnie, lecz z nieugiętą mocą starzec. Gdyby jednak pozwolono nam chociaż dziesięć lat baro-

wać się ze społeczeństwem, zanim padniemy, coby jeszcze zrobić można?!

— Dużo — odparł Tadeusz.

— Węgiel — szepnął dyrektor. Węgrzy go nie ukradną.

— Węgiel, gdyby był — wielka wygrana, i gdyby woda go nie zalewała.

— Przecie jest.

— Jest, lecz nic więcej nad to, że jest, nie wiemy. Węgiel we wschodniej Galicyi—to bogactwo całego kraju, to przyszłość nasza!..

— Czemuż go nie kopiesz?...

— Dwa miliony tajnego kredytu to zaciśnięty sznur na gardle. Wydobądźmy się z jego obroży, a znowu świat stanie przed nami otworem, i znowu będziemy się mogli do niego uśmiechać i ręce wyciągać...

— Ty do Maryni!

— Niezawodnie, Marynia będzie moją nagrodą, przyszłością, może odpoczynkiem po walce.

— Edward uciekł z nią do Wiednia przed tobą.

— Czyż jest dziś na świecie odległość, któraby mogła nas dzielić — dzieli nas tajny kredyt.

Dyrektor stanął przed Tadeuszem i konspiratorskim zwyczajem zaczął cicho:

— Jeżeli dwa miliony nas gubią, to może trzeci wyratuje — bierzmy trzeci. Jeśli powieszą nas za dwa, to i za trzeci nie będą ćwiertować, lecz tylko powieszą, moćdzieju. A tymczasem możemy tym trzecim zapłacić dwa i podnieść dobrobyt kraju o sto milionów. Jeżeli Bóg nas odepchnął — chodźmy do szatana,

— My z nim nie pójdziemy, rzekł Tadeusz spokojnie. W tym spokoju była siła tak wielka, że gniotła. Wolę być grzesznikiem Boga, niż sługą szatana. Wolę kraść w imię Boga, niż brać z rąk szatana królestwa jego, okryty purpurą i chwałą świata. Odpycham jego królestwa i czekam aż przyjdzie sam, jako sługa sług, i u nóg mych będzie się czołgał.

— Nie chcesz iść do ogrójca szatana?...

— Nie! odrzekł stanowczo Tadeusz, jestem z ogrójca Chrystusa. Czuję, że padnę, lecz padnę przy Nim.

— Otóż nie padniesz, a szatan musi ci służyć. Dam ci trzeci milion, nie jako wielkiemu tego świata, lecz jako pracownikowi winnicy. Nie uprawiam filozofii i gotów jestem nawet bratać się z dyabłem, aby coś pożytecznego dokonać. Jestem wzburzony, wściekły,

zdaje mi się, że cały świat wali się na nas, że w całej Galicyi niema nikogo — prócz mnie i ciebie.

— Gdy padniemy w dobrej sprawie, przyjdą po nas następcy. Im społeczeństwo będzie więcej umęczone, tem więcej „ludzi" miejsca nasze zajmie. Tak było w czasach, gdy idea chrześciańska miała w egzaltacyi i upojeniu wielką siłę rozrodczą.

— Brońmy się więc i walczmy. Jeśli pada nafta, bierzmy węgiel. Mam już sześćdziesiąt pięć lat, pamiętaj, niewiele czasu do walki zostaje!... Niedługo będę stał na posterunku, a nie chciałbym cię zostawić z tajnym kredytem. Zdusiłby cię. Aby trwać, trzeba mojej niespożytej energii i siły.

— Czekajmy, co da Wiedeń. Jeśli Wiedeń obroni nas, Wyżnica usunie tajny kredyt.

— Jakaś mnie gorączka bierze, pali mi stopy, żeby życia na tem stanowisku nie zmarnować. Marnowałem je dwadzieścia lat. Tyś mnie natchnął, byłeś dla mnie iskrą, co stworzyła nowy świat we mnie. I zaraz na początku mamy tonąć, wszystko zwalać na barki następców, a sami, obciążeni dwoma milionami, kłaść się na wieczność?!... Nie, na Boga, nie! Patrz! jestem silny, spokojny, zdrów. Mam więc dosyć w sobie energii, aby walczyć.

Spokojny, zamknięty w sobie, w głębiach swych zdenerwowany wracał Tadeusz przez puste ulice. Jakieś dzikie, nieznane dotąd myśli obsiadły mu mózg.

— Gdyby rzucić wszystko, zabrać Marynię i pojechać z nią do Londynu? O ileż byłbym szczęśliwszy! Uciekać, uciekać, uciekać. Walka ta zdławi mnie, poszarpie mi serce, zamorduje... Uciekać za każdą cenę!

Z szarych cieniów nocy wyłoniła się blada twarz starca o mlecznym włosie, jowiszowym wzroku, — stanęła przed nim milcząca. Zamrużył oczy—stała w ciemnościach, otworzył je—stała w białem świetle lamp...

Skoczył do dorożki, wysiadł przed mieszkaniem Urszuli, postać starca o srebrnym włosie i jowiszowem spojrzeniu szła przed nim... Wpadł zdyszany do mieszkania.

— Co, co? pytała wystraszona ciotka.

Usiadł na fotelu, oczy zasłonił rękami — milczał.

— Mówże, nie szarp mi serca.

Ujął ręce ciotki i położył na oczach.

— Byłem podły i wstydzę się samego siebie, wyszeptał.

— Coś zrobił?

— Chciałem popełnić mord, zawołał, zrywając się. Idąc tu, myślałem, aby porwać Marynię i uciec z nią do Anglii, Ameryki, na Przylądek Dobrej Nadziei, schować się, przeklęty i zapomniany...

— Otrzeźwiłeś się?

— Otrzeźwiła mnie blada o srebrnych włosach postać. Wytworzyła się z nocnej mgły, światła lamp i stała przede mną z oczyma pełnemi smutnych głębi.

Zbliżył się do ciotki i mowił szeptem:

— On jeszcze młody, kocha życie, kocha dobre swe imię, sławę swej nieskazitelności. Pragnie żyć, rozkazywać, rządzić. Drży o tajny kredyt i radby się go pozbyć za wszelką cenę. Rzuciłby jeszcze pięć milionów na krótko, aby się z matni wydobyć. Ma siłę wytrwania, lecz pragnie, jak dawniej, żyć ze spokojem jasnego wzroku w przyszłość.

— To jego całe szczęście, że młody, zawołała Urszula. Gdyby był starym, dałby ci pięćdziesiąt tysięcy i kasę zamknął. A tak już drugą wielką kopalnię funduje w kraju. A że pragnie żyć, to jego siła i energia... A że się boi? to pragnienie życia... nierozerwalny łańcuch. Boi się, a jednak pójdzie na śmierć i swoje zrobi. Starzec ukuty z żelaza, a do rozgrzania żelaza pali go krew. Takich już dziś niema... Czuję, że stary chce żyć, i za to go kocham! A i ty nie uciekniesz. Nie śmiałbyś tego powiedzieć Maryni. Gdybyś się ośmielił, czyż onaby cię usłuchała?... Pomyśl tylko, czyby cię usłuchała. Czyby cię mogła usłuchać?...

Wyjęła z biurka list.

— Wieczorną pocztą przyniesiono go. Może znajdziesz w nim odpowiedź.

Tadeusz nerwowo rozdarł kopertę i czytał:

Drogi mój!

„Nareszcie jestem w Wiedniu!...

„Nie chciałam jechać, lecz skargi ojca na swe sieroctwo, żale na samotność, opuszczenie, na brak serca u młodego pokolenia, do tyla mi podraźniły nerwy, że musiałam ustąpić — jak widzisz, i ustąpiłam."

„Ojciec z wdzięczności za poddanie się jego woli otoczył mnie zbytkiem. Mieszkamy na Kolovrathringu w wielkim apartamencie, umeblowanym wykwintnie. Mam do dyspozycyi własne konie i amerykankę, którą cię woziłam po Lwowie. Tu wożę nią Koczalską do Prateru lub ojca do parlamentu...

„Życie moje smutne i monotonne. Ojca widuję zaledwie przy

śniadaniu, mało zwykle mamy sobie do powiedzenia. Dalej siesta z Koczalską, która mnie zwykle czesze, skarży się na tyraństwo ojca — i cisza, jestem sama, uciekam do swego pokoju, czytam, piszę, marzę i czuję, że schnę! — Młodość potrzebuje życia, a życie to walka.

„Z jakąż rozkoszą zobaczyłabym się dziś w Wyżnicy w dwu pokoikach waszego domu!... Nie miałabym chwilki czasu na marzenia. Czyn chłonąłby mi czas!... Ty rozumiesz, czem dla młodości jest czyn?!.. Tu mimo całej mej energii zabija mnie monotonia i nudy w tłumie obcym, obojętnym, zimnym, zajętym sobą podwójnie: każdy zosobna — i wszyscy razem. Tłum ten dręczy mnie, nuży, i dlatego tęsknię za ciszą naszej wioski, za jej ludźmi i dziećmi, które się do mnie garną!...

„Na ulicy, w Praterze, w teatrach i na koncertach zawsze ten sam tłum bezmyślny, obojętny, zimny, jak stal. Egoistyczna jego stalowość przerażać umie.

„Życie moje, pełne tęsknoty, byłoby jeszcze cięższe, gdyby nie księżna, pani Wyżnicy, twoja naftowa wspólniczka i wielka przyjaciółka....

„Mimo, że nas różnią całe światy pojęć, a może i uprzedzeń, kocham ją za jej szczerość, wielki przymiot w jej sferze, i za to, że jest twoją przyjaciółką. W dziedzinie sztuki i poezyi rozumiemy się, jednako oceniamy wartość życia, kochamy czyn i jego energię. Księżna sama administruje swymi majątkami, obecnie mieszka w Wiedniu z powodu wielkiego procesu, który prowadzi.

„Przyjechała pierwsza po mnie, zabrała do siebie i nie puściła cały dzień. Ojciec mój dumny, że przyjaciółką moją jest księżna wielkiego rodu, wprowadzająca mnie w świat arystokracyi wiedeńskiej... Jeździmy na koncerta, bywamy razem w operze. Ojciec uszczęśliwiony odwiedza mnie w loży, witany poufale przez Szwarcenbergów i Lobkowiców......

„Znalazłam w księżnej opiekunkę i, co najważniejsza, przyjaciółkę. Mówię z nią o tobie, jak z siostrą. Tak samo rozmawiałabym z moją matką. Nie mam przed nią tajemnic i rada jestem z tego. Myśleć głośno należy do rozkoszy życia.....

„Wielki świat, przesuwający się w dniach przyjęć przez salony księżnej, jest również tłumem! Banalny, stalowo zimny, obojętny, jak każdy tłum... Przewyższa go jednak wielką kulturą form i wielką umiejętnością pogardy, jaką umie pokazać tym, którzy, nie dorównywając mu majątkiem i urodzeniem, cisną się do niego.

„Co do mnie, nie chcę sprawdzać na sobie tej jego umiejętności, trzymam się zdaleka, o ile formy towarzyskie na to pozwalają, bo znowu nie chcę, aby mnie posądzono o dzikość. Księżna zaś z właściwą jej zręcznością rzuciła wzmiankę o milionach mego ojca. Odporność moja i miliony zrobiły tyle, że goście księżnej, stanowiący najwykwintniejszą cząstkę stolicy, są dla mnie uprzedzająco grzeczni...

„Wśród nich znalazł się jeden (nie chcę cię przerażać), patrzy na mnie dziwnie niebieskiemi oczyma, zamglonemi zadumą nie z tego świata, — młody Podiebrad, potomek czeskiego królewskiego rodu, wychowany w kulturze niemieckiej. Artysta z Bożej łaski, lecz za wielki pan, aby mógł lub chciał być w tej winnicy pracownikiem. Kocha sztukę, jak bóstwo, lecz się jej nie dotyka rękoma. Zna ją, jak powiernicę, lecz ona nie jest jego kochanką, na której zdobycie poświęca się pracę, czas, siły, energię, bezsenne noce. Nawet pragnień tych nie rozumie. Robi wrażenie, że nigdy do niej nie wyciągał rąk, oko jego nie błyszczało szlachetnem pożądaniem.

„Oczytany w filozofii nietzscheanowskiej, ma się w głębiach swego serca za nadczłowieka.

„Człowiek musi zawsze wierzyć w to, co jest nad nim lub w nim, czy nazwie to bóstwem, ideałem, nadczłowiekiem... Jeśli zaś siebie uważa za bóstwo, to i sobie samemu oddaje cześć, jak bóstwu.

„Podiebrad jest na tej drodze. Artyzm jego z Bożej łaski urobił go na dekadenta aleksandryjskiego z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Dekadentyzm ten umie misternie wplatać w swe nadczłowieczeństwo. Zarówno się upaja wonią kwiatów, jakby się upajał wonią ciepłej krwi, jak się upaja pięknością linii ciała ludzkiego. Duszę ludzką rad kochać w oderwaniu s a m ą! U niego cnota to siła, — a siła to ujarzmienie. Lecz nie ma on celu ujarzmiania drugich, a zatem i ta siła jego w braku celu marnieje.

„Z dekadentyzmu artystycznego, z nietzscheanizmu własnego bóstwa wytworzył się Podiebrad, któremu czy z kaprysu, czy z przeciwieństwa, czy mej dla niego obojętności, do tyla się podobałam, że mnie nazywa Aryą (jako reprezentantkę rasy aryjskiej), zaczyna kochać siebie we mnie i modlić się do mnie, a to znaczy, że do siebie samego.

„Jest wykwintny i młody. Mgły w wielkich niebieskich oczach zmieniają się w tęcze nieujętej melancholii... Tajemnicza tęsknota za nieznanem i nieujętem wygląda mu z oczu i rozchodzi

się po białem, równem czole. Wiotki, zgrabny, silny — mógłby łamać, gdyby chciał, lecz bóstwo, które uwielbia w sobie, robi go łagodnym, rozmarzonym, leniwym. Ambicya jego jest tak wielka, tak niedościgłe widnokręgi zajmuje, że aż mu jej brak dla zwykłych przejawów życia.

„Bywam często u księżnej. Za mną i dla mnie przychodzi Podiebrad, mimo, że powiedziałam mu o narzeczonym, którego kocham i tylko jego żoną zostanę.

— Aryo, odpowiada, pozwól mi uwielbiać cię, jako narzeczoną obcego i zakochaną w obcym. Żądam, a raczej proszę o tak niewiele........

„Czyż mogę zamknąć się na klucz, dlaczego? po co? To byłoby śmieszne i dziecinne i zakrawałoby na hipokryzyę lub tchórzostwo.

„Często u księżnej wieczorami przedłużamy do późna siestę, Podiebrad rozmarzony mówi nam o sztuce asyryjskiej, o ogrodach Semiramidy, o życiu w Babilonie, o kiełkującej myśli ludzkiej, jako opozycyi, jako filozofii, jako spadającej kropli, a jednak przeobrażającej w przyszłości ludzkość....

„Mówi o duszy ludzkiej oderwanej, samej w sobie, pięknej, silnej, niepokalanej, która pragnie wydobyć się z ciała i ujawnić się sama przez się... szuka możności swego objawienia bez nędznych organów życiowych.

„Marzenia te są bardzo ciekawe, odkrywają nowe widnokręgi, nowe przestwory myśli ludzkiej, nowe jej pragnienia i tęsknoty.

„Są to jednak rzeczy zbyt oderwane, zbyt oddalone od ziemi i ludzi, od ich cierpień, od ich zapasów i walk... Zdaje mi się, że to uciekanie w chmury abstrakcyi jest wygodnem lenistwem, podszytem filozofią sybarytyzmu, a robi wrażenie, że to raczej upozorowany egoizm—lub nie znam się na tem...

„Nie przeczę, że badanie indywidualizmu, absolutu, a jak nasi młodzi chcą, „nagiej duszy" stwarza nowe światy. Nie przeczę, że marzenia o zmianie typu człowieka, o możności udoskonalenia go i podniesienia do nadczłowieczeństwa ma w sobie pewne czary i może stworzyć nowe światy badań dla ludzkiej myśli i nowe rozkosze dla marzeń, dla nauki i dociekań. Lecz wszystko to dobre dla narodów, które dużo zrobiły — i już słońce ich dziejów, ich kultury chyli się na zachód... Dla narodów nieszczęśliwych, zdobywających, walczących, a młodych — to jeszcze zawcześnie. One muszą najpierw wyprostować drogi swego pochodu, iść prosto do celu,

ustalić się, zrobić to, co im nakazuje przeznaczenie ich dziejowej konieczności i ich młodości.

„Ukochałam w tobie młodość mego narodu, jego energię, jego walkę!... Ukochałam w tobie cierpienia mego społeczeństwa, jego zapasy, jego zdobycze i chwilowe upadki, — ukochałam w tobie miłość dla maluczkich, ukochałam pracę dla nich i twoją w pracy wytrwałość.....

„Jeżeli to potrafiłam pokochać — czyż mogę kochać dekadentyzm zachodu, choćby najwykwintniejszy, najsilniej zbliżony do odgadywania absolutu, najsubtelniejszy w dociekaniu „nagiej duszy", choćby miał formę pięknego Czecha, przesiąkniętego kulturą germańską i narkotyczną wonią kwiatów gorącego południa i wschodu, wypielęgnowanych na zachodzie.

„Czyż mogę?.. powiedz i osądź! Znasz moją duszę, moje myśli, moje marzenia — sądź i przyjeżdżaj!

„Kocham i tęsknię — przyjeżdżaj,

Marya".

ROŻDZIAŁ III.

Kuryer wiedeński, pędzący ze Lwowa przez Kraków, przeleciał pustą i szeroką płaszczyznę Wagram, kratowany most na Dunaju, prostą linią wyżłobił sobie drogę wśród tysiąca kominów i fabryk, przeciął Josephstadt i z hukiem buchającej pary wpadł na północny dworzec Wiednia.

Konduktorzy otwierali szybko drzwi, służba przelatywała, ludzie, zgromadzeni na peronie, z radosnymi wykrzyknikami powitań cisnęli się do wagonów. Było w tem wszystkiem coś świątecznego i wesołego.

Tadeusz zerwał się, wyciągnął, wstrząsnął całą budową, zabrał pled i torebkę — wyszedł.

— Tadziu, usłyszał poza sobą.

Stanął, obejrzał się, biegł do niego pan Edward.

— Szukam cię całą minutę, — pocałował go w oba policzki — myślałem już, żeś nie przyjechał. Lecz mam dobry nos i nie pomyliłem się, dobrze obliczyłem. Stawiłem się umyślnie, aby cię złapać, abym ja pierwszy z tobą się porozumiał przed innymi. Obaj, Tadziuniu, będziemy bronić krajowego przemysłu przed rozbojem Węgrów. Ślicznie powiedziałeś na zebraniu we Lwowie, nazywając szacherstwa Węgrów do spółki z Rotszyldami — rozbojem!..

Tak — to rozbój, dokonywany na Austryi i na nas. Jestem deputowany monarchii!

Tadeusz uśmiechnął się.

— Nie dziw się i nie uśmiechaj, że wymawiam najprzód „monarchię". Gdy wejdę do sejmu, będę mówił o kraju. Ale czy tak, czy siak, kocham kraj, jak własną matkę, i muszę jego przemysł ratować....

Wsunął Tadeuszowi rękę pod ramię.

— Ratujmy się oba, bo zginiemy, jak rude myszy. Przez całe sześć miesięcy dostałem ze Swobody razem wszystkiego piętnaście tysięcy guldenów procentów. Dawniej miewałem tysiąc dziennie!.. Wprawdzie produkcya spadła o trzecią część, powinienem więc mieć podług ówczesnych cen 300 guldenów dziennie, czyli pięćdziesiąt cztery tysiące, razem mam piętnaście!.. Rozpacz, hańba, upadek, nędza. Cóż ja! i to przeżyję, lecz biednemu krajowi grozi śmierć z głodu. Życie oddam, aby kraj ratować od głodnej śmierci.

Tadeusz obudził się z zamyślenia.

— Kiedy najbliższe posiedzenie Koła polskiego?

— Za dwa dni. A czy wiesz, zapomniałem ci powiedzieć, sam minister skarbu czytał sprawozdanie z posiedzenia waszego we Lwowie.

— I?.. rzekł Tadeusz, stając.

— I nic, tylko że czytał, — i to dużo. On, co ma całe państwo na głowie, chcesz, żeby się zajmował ciągle naszym krajem?!. Galicya, kochanku, patrząc na nią z Wiednia — maleje, bardzo maleje, prowincya zaniedbana i bezradna.

— I dlatego, gdy się w niej jedna gałąź przemysłu dźwiga, zabić go, chociaż daje państwu — dziesięć milionów podatku, bo to prowincya zaniedbana....

Teraz pan Edward stanął.

— Czy to sprawdzone?

— Gdybyśmy się omylili o sto tysięcy guldenów, dzienniki wasze podniosłyby wrzask, że kłamiemy bezczelnie!..

— Tadziu drogi, nie nasze, nie nasze — to centralistyczne niemieckie, my Polacy!...

— Popierający centralizm i Niemców.

— Ale z wyższej polityki!....

Tadeusz patrzał mu w oczy i uśmiechał się litościwie.

Przyniesiono rzeczy, celnicy je rewidowali.

— Przyjechałem własnym powozem! Muszę w Wiedniu trzymać konie. Służba nie drużba, a cóż dopiero służba reprezentacyi

narodu. Gdzie stajesz? odwiozę cię, na jednokonkę włożymy rzeczy.

— Do Meisla, na Kertnerstrasse, odparł.

— Radzę ci stanąć w Metropol lub u Sachera, bo może cię odwiedzić który z radców ministeryalnych — lub jakiś bankier wiedeński.

— Znajdą mnie i u Meisla!

— Nie wypada, jesteś Polak, a Polacy tutaj uważani są, jako arystokratyczny naród.

— Który powinien zdemokracieć, jeżeli jest obdzierany przez Węgrów i Niemców.

— Niech nie widzą naszej nędzy.

— Dlaczego mamy się z nią kryć?....

— I tak już mówią, żeśmy bierną prowincyą, nic nie dajemy państwu. Maciek zrobił, Maciek zjadł.

— Dobrze, że Maciek nie wyciąga ręki, aby jeść. Jesteśmy na tej drodze....

Służba zamknięty kufer pochwyciła.

— Chodźmy, zawołał pan Edward i znowu ujął pod rękę Tadeusza.

Ludzie się przed nimi rozstępowali, czemu pan Edward był rad. Policyant sprowadził konie — lando prześliczne, zaprzężone parą gniadoszy, którymi Marynia obwoziła Tadeusza po Lwowie....

— Jestem pewny, że jutro przeniesiesz się do Sachera.

— Jakie wrażenie przebieg naszego wczorajszego posiedzenia zrobił na Kole polskiem?

— Silne, lecz nie wierzą w dziesięć milionów podatków!....

— To nadzwyczajne! Czemuż nie sprawdzą? to kwestya pół godziny.

— Pół godziny dla dyplomaty to nieraz wieczność.

— Ależ do krocset, nie jesteście politykami, dyplomatami, nie wypowiadacie wojen, powinniście być prawodawcami i stać na straży interesów kraju.

— Ja sprawdziłem i pokazałem im wyciąg z ministeryum skarbu.

— I cóż?

— Jakoś chłodno wzruszali głowami. To całe nieszczęście, że tylko nas sześciu — co jesteśmy zaangażowani w nafcie....

— To całe nieszczęście, że ich do działania w obronie kraju pobudzają osobiste interesa....

— Powiem ci prawdę, większość nie lubi przemysłu, nazywa go fabryką socyalizmu. Dlatego przestałem być u nich popularny, moja sprawa naftowa nie ma uznania.

— Nasza to sprawa — nie pańska, sprawa całego kraju.

Pan Edward uczuł, że jest zbyt szczery. Silna odpowiedź Tadeusza była dla niego ostrogą.

— Myślę, mówię, krzyczę, że całego kraju! Jakżeś chciał, czy może być inaczej?.. To nasza większość tego nie rozumie i nie chce zrozumieć. Co ich nafta, biedna nasza nafta, choćby dawała sto milionów podatków, obchodzi, — jeśli oni nie chcą przemysłu, a każdy z nich i wszyscy razem mają osobiste interesy, za którymi, latają, a naftą nie chcą się narażać rządowi, który trzyma z Rotszyldami i Węgrami.

Odetchnął głęboko, nabrał w płuca powietrza — powóz zatrzymał się przed hotelem.

— Dwa pokoje na pierwszem piętrze, zawołał na służbę, — a odwracając się do Tadeusza, dodał: jestem twoim spólnikiem, pozwól więc — abym miał u ciebie swoją kancelaryę.

— Gdybym przyjechał sam, odparł Tadeusz, wziąłbym jeden pokój na drugiem piętrze, lecz niema czasu na drobiazgi.

— Niema czasu, powtórzył Edward. Drobiazgi precz!

Weszli do pokoju, służący drzwi zamknął, pan Edward objął w pół Tadeusza i uścisnął.

— Brońmy się, szepnął, to jest—brońmy kraju, poprawił. Słuchaj, co ci powiem: ja nie mam ani twego wykształcenia, ani twej wymowy, ani twej świadomości, ale mam spryt, w rodzinie nazywano mnie „czwaniem" od czwanego lisa. Cały mój spryt, całą moją „czwaność" oddaję ci na usługi w tej sprawie. Rób z nią, co chcesz, i kieruj, jak ci się podoba. Walcz do ostatniego tchu, a nie dajmy się mordować, nie dajmy zabijać naszego przemysłu.

— Wierzę, rzekł Tadeusz, że tak będzie na początku akcyi, lecz w dalszym rozwoju możesz pan uledz wpływom prezesa Koła, ministra, wpływom obietnic...

— Tadziuniu, Rotszyldy dziś spadkiem ceny nafty okradają mnie na dwakroć sto tysięcy rocznie!.. Jakież musiałyby być dary, któreby wartość dwustu tysięcy rocznego dochodu zrównoważyły?! Tadziu, ja znam wartość mamony....

— Tytuły...

— No, tytułu księcia mi nie dadzą, a zamieniać rentę dwustu tysięcy na tytuł hrabiego nie głupim, gdy w Rzymie można go mieć za dwadzieścia tysięcy lirów. Daję ci siebie, jako bardzo

sprytnego pomocnika i wykonawcę, tylko tajemnica, że idziemy razem. Należę do większości Koła, do prawicy. U nas największem przykazaniem partyi posłuszeństwo, jak w zakonie. Niem kneblują nam usta, na mózgi kładą płyty żelazne, na myśli munsztuki, ale solidarność takie nam, panującej w kraju lidze, oddaje przysługi, że wszystkie niedogodności, z tego płynące, są niczem, prochem, marnością!

— Niczem? powtórzył Tadeusz.

— Dla ciebie, jako dla filozofa, pewno wszystkiem, a dla nas, „przeciętnych"—to dobra filozoficzna nazwa dla nas, szlachciców,—fikcyą. Myśli za nas prezes, myśli piątka... My żołnierze — komenda w prawo, w lewo! Ale za to solidarność pozwala nam bawić się, używać miasteczka i chodzić za swymi interesami. Adwokat niech ma głowę, a koń nogi — wyborne szlacheckie przysłowie....

Tadeusza męczyła wymowa Edwarda.

— No, zgoda, rzekł, a gdy pan zaczniesz nas zdradzać, pójdziemy sami.

— Gdy ja was zacznę zdradzać, już obaj tak będziemy dobrze stać, sprawa tak będzie wyświetlona, że już mnie nie będziecie potrzebować.

Tadeusz patrzał mu w oczy. Szlachcic śmiał się z dobroduszną podstępnością wschodu.

— Gdy ja was zacznę zdradzać, to już nafta będzie uratowana. Rozumiesz mnie?

— Zaczynam, nie chcesz pan stracić względów przywódców, a swoje uratować.

— Niezawodnie! po batalii wezmę karabin na ramię i pomaszeruję do mego obozu.

— Zręczne!... przyświadczył Tadeusz, wyjął flaszkę, napełnioną ciemnym płynem.

— Oto falsyfikat, czyli najczystsza nafta, zafarbowana 17-ma lub 10-ma procentami smoły. Proszę więc pana, abyś zaraz pojechał do rządowego laboratoryum i kazał najlepiej przy sobie odparować w retorcie naftę i ściśle obliczyć, wiele przypada smoły na sto kilogramów nafty.

— Chcesz dowieść fałszerstwa.

— Pokazać, o czem może nie wie minister, a pewno prezes Koła i cała prawica, wszyscy interesowani. A może nie chcą wiedzieć, należy im powiedzieć, że my wiemy, a wiedząc, nie będziemy robić tajemnicy i bronić się.

— Tu w tej flaszce uwięziona prawda, obrona nasza i jej siła! Dobrze, żeś mnie wybrał do tej czynności. Nie zapomnę najmniejszego drobiazgu, ani jednej pieczęci. Jutro rano będziesz miał czystą naftę i zważoną na gramy pozostałą smołę!

Wybiegł, idąc po schodach, uśmiechał się.

— Ani razu nie wspomniał, nie spytał się o Marynię. Gdyby wspomniał, musiałbym go zaprosić do siebie. A tak—on nic, ja nic, — świetnie się układa! Jakaś bije od niego tęsknota niepojęta z niebieskich jego oczu i bladej twarzy, jakby z nieba ukradziona. Te tęsknoty, bijące od tych głupców, są niebezpieczne dla rozmarzonych dziewczyn, którym głowy pozawracały matki do spółki ze Słowackim. Mógłby mi czeskiego Niemczyka zdmuchnąć z serca Maryni, chociaż Niemczyk delikatny, fajnisty, aż strach, wielki pan, miliony go obsiadły i ciążą na nim, że aż widać. Gdy stanie przy nim Tadziunio ze swemi melancholiami w oczach, zgaśnie biedaczysko, jak świeczka przy lampie. I czeski Niemczyk mój ma melancholię w płowych ślepkach, lecz jakąś inną. Nie znam się na tem, ale mi się zdaje, lubieżną, o czem nie ma pojęcia Marynia i nic się na tem nie rozumie. Melancholia Tadzia pełna boleści i smutku, jakby nie z tego świata, a tak bestyjka serdeczna, że aż się serce ściska. Gdym go zobaczył, pomyślałem, co za szczęście, że Marynia go nie widzi w tej chwili! Co robić? zamyślił się. Ha! niema rady, niech płynie woda—przed Marynią sza, jak gdyby go w Wiedniu nie było. Gdyby przyjechał za miesiąc, jużby było dla niego zapóźno. Marynia lgnie do mojego grafa w królewskiej koronie!... I w nim płynie krew słowiańska, a powinien do dziś siedzieć na tronie w Hradczynie... obok niego moja córka, piękna, wyniosła, dumna, łaskawa pani. Marynia umie być wyniosłą, dumną i łaskawą.

— Marzysz, stary! zawołał. Niech ona tylko będzie hrabiną, dopóki Niemczyk księciem nie zostanie. A musi zostać księciem— i basta. Ja jestem w tem! Dopiero wtedy przywiozę ją, jako księżnę, do Lwowa. Narody, klękajcie, co za szyk, jaka pompa, jaka zazdrość. Będziemy żyć z samymi książętami — na hrabiów patrzeć z góry. Księżna musi Maryni mówić: księżno, bywać u niej, kłaniać się jej — a na obiedzie u arcyksięcia siedzieć za Marynią— Podiebrady pierwsi — ha — ha! Ale na to wszystko trzeba obronić naftę od szacherstw i pojechać na niej jak można najdłużej! Tadeuszek ma rozum, energię i wytrwałość... Ma i odwagę, co najważniejsza, i nie da się zbić z tropu za żadną cenę.

Powóz zatrzymał się przed laboratoryum chemicznem.

Tadeusz gorączkowo się ubierał.

-- Zanim się zobaczę ze swymi, muszę być u księżnej i od niej dowiedzieć się, co mówią wielkie firmy bankierskie o posiedzeniu nafciarzy we Lwowie i jak się zapatrują na naszą sprawę. Księżna, jako właścicielka największych dziś kopalń jest bezpośrednio zainteresowana. Pewno mnie oczekuje. Może będzie u niej Marynia, ręce mu zadrżały, na bladej twarzy zakwitł rumieniec i powoli znikał. „Czwanio" nie wspomniał o niej ani razu, ja również panowałem nad sobą. Pewno rad jest czeskiemu hrabiątku z królewskiej rodziny; hrabia, w którego żyłach płynie krew królewska, musi dumę jego łechtać, miliony, jakie ma, stare zamki, rezydencye w górach czeskich pewno go upajają do zawrotu głowy.

Biedna Marynia! na jakie walki narażona. Jeżeli dostrzegę w niej najmniejsze wahanie, najmniejszą niepewność, odrobinę sympatyi dla Podiebrada, cofnę się cicho. Przykuwać dziewczę do ciężkich mych losów byłoby zbrodnią. Do tego rodzaju egoizmu nie jestem zdolny.... Odejdę cicho!

Wargi mu drżały, zęby szczękały. Ściągnął brwi, wargi zacisnął.... Była to jedyna miłość jego duszy i na całe życie.

— Jeśli to prawda, że my tylko kochamy tęsknotą i jej głębią cierpienia, to jej nigdy kochać nie przestanę, — a przez życie pójdę sam.

Sam, sam — powtarzał. Samotność rosła w nim do olbrzymich rozmiarów, że aż zobaczył się sam na bezludnej pustyni.... Później opuszczony przez ludzi — przyjaciele go odstąpili, a tłum bezwiednie, zarozumiale głupi przeklinał go, urągał mu, szydził z niego, jak to zwykł czynić ze swymi prorokami.

Sam, sam, szeptał, wszystko to zniosę. Nie powinienem ciągnąć jej za sobą. Ona nie powinna przy mnie stać i dzielić ze mną hańby mojej, jeśli hańba przyjdzie. Dla niej stare zamki Podiebradów, niech tam króluje i rozdaje łaski — ja pójdę sam. Samotność moja będzie moją siłą, moją potęgą! Samotność moja będzie wtedy moją rozkoszą .. Być sam, tylko sam wśród tłumu i urągać mu spojrzeniem litości i wzgardą milczenia—to także duma samotności i siły.

Otworzyły się z animuszem polskiego rycerstwa drzwi — weszli delegaci nafciarze. Zaroiło się — gwar, buta, energia tryskały z oczu spracowanej gromadki.

— No, mistrzu, rzekł delegat z pod Krosna, barczysty, uśmiechnięty, wesoły szlachcic, patrzący na świat przez poczciwe, wiel-

kie, niebieskie oczy — przyszliśmy po rozkazy. Znamy subordynacyę i nic nie chcemy robić na własną rękę.

— Dziękuję panom, i ja nie myślę brać na siebie odpowiedzialności czynu, wszystko będziemy robić gremialnie i rozstrzygać większością głosów. Dziś niechaj każdy z nas zasięga języka, jutro o ósmej rano u mnie.

— Gdyby ich można było wyzwać szelmów na pojedynek i uszy im poobcinać!

— Habdank kwestyęby załatwił w paru dniach!

Zaśmiali się chórem.

— Może się i uda, rzekł Habdank. Węgrzy, chociaż szachrują, jak zwykle Cygany, lecz udają, że są Europejczykami i że na nich średnie wieki odcisnęły swe piętno.

— Z Rotszyldami trudniejsza sprawa.

— Na nich piętno swe odcisnęły starożytne wieki, w których honoru absolutnie nie znano. Średnie wieki przesunęły się po ich skórze, jak krople deszczu, nie zostawiając żadnego śladu. Niepodobna ich wyzywać za honorowe sprawy.

— Zostaje tylko spuścizna XIX wieku, obrona prawdy — dokończył Tadeusz.

— I nią musimy zwyciężyć albo padniemy.

— Zwyciężyć lub paść, bo niema po co do ruin wracać! Nie rzucą nam w twarz obelgi, że nas zostało pół rycerzy żywych.

— A więc jutro o ósmej rano tutaj. Tymczasem każdy na swoją rękę niech zasięga języka. Wiedzieć to pół zwycięstwa.

Tadeusz roztargniony, pochłonięty rozpaczą, spotęgowaną fantazyą, stanął przed pałacem, w którym mieszkała księżna. Szwajcar mu salutował, w przedpokoju powiedział mu kamerdyner, że księżna pani poleciła wprowadzić go bez meldowania.

— Księżna pani jest w swoim gabinecie i raczy czekać na pana.

— Chodźmy, odrzekł żywo Tadeusz, kobiety, a szczególnie księżne nie lubią czekać.

Kamerdyner, nieco zgorszony swobodną odpowiedzią szlachcica, otworzył drzwi.

Przeszli po miękkich dywanach dwa salony w stylu odrodzenia i trzeci niewielki, początek siedmnastego wieku. Za ciężką portyerą w ciemno-zielonym gabinecie ze złoceniami księżna pisała przy biurku.

Kamerdyner wygłosił imię i nazwisko Tadeusza. Zerwała się nerwowo.

— Nareszcie, rzekła, wyciągając rękę, którą Tadeusz poniósł do ust. Od rana oczekuję pana, a w tej chwili mam gorączkę niecierpliwości.

— Spóźniłem się zaledwie o dwanaście godzin.

— Ale te dwanaście, przerwała, były mi wiekiem. Najprzód winszuję panu wystąpienia we Lwowie—śmiało i energicznie. Wyobraź pan sobie, że minister skarbu dopiero ode mnie dowiedział się, że Galicya daje państwu za naftę dziesięć milionów gotówką podatku. Pokazałam mu dzienniki lwowskie, przypuszczał, że blaga. Zabawił u mnie dziesięć minut, wrócił do ministeryum i sprawdził. Gdy się przekona — tyle jest dobrym Austryakiem, że musi nas bronić. Rotszyldy nie dadzą do kasy państwa dziesięciu milionów za falsyfikaty... Powiedz pan, co to za kabała!?...

— Najzwyklejsze szacherstwo, mające na celu wprowadzenie do prywatnych kieszeni milionów, które powinny iść do skarbu państwa.

— Masz pan wszystkie nici tej intrygi w rękach?

— Całę machinacyę odkryłem.

— To wygramy.... Niepodobna, aby wobec takich faktów...

— Księżno, Austrya jest krajem niepodobieństw!... Najszlachetniejsze postępki państwowe są tu nieraz zbrodniami, a zwykłe zbrodnie koniecznościami państwowemi...

— Lecz tu idzie o biedną, skromną naszą naftę.

— Zbrodnia jej w tem tkwi, że my tylko mamy naftę w Austryi, a nawet w Europie.

— Rozumiem, jesteśmy sami, słabi, bronić się nie umiemy. Gdyby Węgry, Tyrol, niższa Austrya miały razem z nami naftę, nasi posłowie byliby jej zażartymi obrońcami, lecz ponieważ nafta jest bogactwem galicyjskiem... Widziałeś pan już którego z nich?

— Na dworcu czekał na mnie pan Edward, zawiózł mnie do hotelu. Przebrałem się i jestem u księżnej.

— Myślałeś, że zastaniesz u mnie Marynię? Czeka pana od wczoraj, pewno dziś u mnie będzie. Pragniesz ją widzieć?...

Zarumienił się, jak ośmnastoletni chłopiec, i szepnął.

— Bardzo!

— Czaruje tu ona ludzi. W Wiedniu wyższa kultura, aniżeli we Lwowie, pozwala ludziom oceniać wdzięk i subtelność jej umysłu. Rozmowa jej sprawia rozkosz ludziom o szerokiej inteligencyi.

Piękność jej i wykwintność tutaj dopiero świecą. Jest to królewna, bije piękne Węgierki i córy arystokracyi wiedeńskiej.

— Gdybym był egoistą, mógłbym zazdrościć.

— Pan i zazdrość, nędzna zazdrość, która mi zawsze przypomina zwierzę. Pan nie możesz być zazdrosnym. Mógłbyś zazdrościć o Marynię, gdybyś przestał w nią wierzyć.

— Nie wiem, czybym i wtedy zazdrościł, gdyż w Marynię nie wierzyć dla mnie niepodobna. Może mnie przestać kochać, to sprawa jej serca. Lecz przestać w nią wierzyć? czyż to podobna? Czyż człowiek może przestać wierzyć w kobietę, dla której ma cześć, chociaż się dowie, że go nie kocha. Marynia, nie kochając mnie, nie przestaje być serdeczną, dobrą, szeroką w swych pragnieniach, a w miłości wierną ideałom.

— Ponieważ wierzysz pan w Marynię i oceniasz ją tak oderwanie, nie przestanie cię ona kochać, bo nie może. Gdyby przestała, byłaby inną, nie tą, którą znamy... Czy się może zmienić? Nawet tego przypuszczać nie mogę.

Zarumieniona skutkiem wymowy i zapału oddychała szybko. Przed Tadeuszem stała inna kobieta. Nie ta, którą poznał w wagonie, i nie ta w Wyżnicy, układająca z nim kontrakt o kopalnię.

Nareszcie roześmiała się wesoło.

— My, kobiety, jesteśmy niepoprawne, zawsze gotowe entuzyazmować się w rzeczach miłości, chociaż przed nami stoją sprawy naszego bytu, przyszłości naszych dzieci!... Powiedz, czy w tej chwil, nie dowiodłam tego?

— Dowiodłaś, księżno, głębokości swych myśli — i szczerości uczuć.

— A teraz powiedz pan, w czem mogę ci być tymi darami użyteczną?

— Już mi jedną wielką rzecz księżna wyjaśniła, a mianowicie, że minister bywa na salonach księżnej i że dziesięciomilionowy podatek z nafty, jaki płaci Galicya, zrobił na nim wrażenie.

— Ogromne! Przestraszył się.

— Przyjmujesz księżna u siebie posłów do Rady państwa?

— Niewielu, lecz mogę przyjąć, ilu pan zechcesz.

— Dziękuję — idzie mi w tej chwili o jednego Niemca.

— Niemca — powtórzyła przestraszona.

— Idzie mi o profesora uniwersytetu, wielkiego geologa, rozumnego mówcę, należącego w parlamencie do lewicy—Niemca.

— Suessa? — spytała księżna.

— Mógłbym do niego iść, jestem z nim w naukowej korespon-

dencyi , wolę się jednak z nim spotkać u księżnej. Lecz ostrzegam, że jest on uprzedzony do naszej narodowości, ma nas za pół Azyatów, zostaje pod wpływem romansów, pisanych przez Francoza...

— Francoza i Sachor Masocha—dodała.

-- Pragnę go olśnić i zjednać dla naszej sprawy.

— I do olśnięcia Niemca wybierasz mój salon?...

— Sądzę, że wybór trafny...

— Źle mówię po niemiecku.

— On dobrze po francusku.

— Postaram się, aby czuł się u mnie w Europie.

— Suess inaczej będzie mnie słuchał, gdy go tu spotkam.

— Prawda, to zmienia postać rzeczy! Lecz w imię czego mam zaprosić do siebie wielbiciela Francoza?

— Do otwartych salonów księżnej.

— Nie wystarcza, bo dlaczego dawniej go nie prosiłam?...

— Może księżna poprosić uczonego o geologiczne wyjaśnienia, a o jakie, napiszę na kartce.

— Zgoda, poproszę go dziś jeszcze.

— Na jutro, przyjdę i ja.

— Piszmy więc—ja list, pan dla mnie notatkę, której się nauczę na pamięć i zaimponuję profesorowi... Ale co dalej?...

— Dalej on będzie już sam mówił, i ja nadejdę.

— Wybawić mnie?

— Z geologicznej niewoli.

Spojrzał na zegarek.

— Marynia może nadejdzie — odezwała się księżna.

— W tak ważnych chwilach serce musi milczeć i czekać.

— Nie będziesz pan dziś u niej?...

— Pan Edward ani jednym wyrazem nie zaprosił mnie do siebie. Ofiarował mi swe usługi, poszedł pod moją komendę, lecz nie zaprosił do siebie. Ma mnie za zbankrutowanego. Bankrutów nie wpuszcza się do porządnych domów. I ja, jako zbankrutowany, nie śmiem się cisnąć.

Księżnę rozweseliła odpowiedź Tadeusza.

-- A jednak ten sam Edward dołoży wszelkich sił, aby pana wydobyć z chwilowego bankructwa.

— Dziwnie się plecie, bankrutujemy razem—tylko on traci dochody, ja, jak zwykle, ryzykuję wszystko.

— A zatem ostateczne dla mnie rozkazy?

— Prośby — poprawił. Wszystko, co księżna możesz się w sprawie naszej dowiedzieć. Wiadomość o ministrze jest dla nas nieocenioną. Wielcy dygnitarze wobec kobiet zamało grają.

— Liczymy na to.

— Suess u księżnej duże dla nas ułatwienie.

— Cóż mam powiedzieć Maryni od pana?

— To, co może mówić zakochany.

— A więc kocha, kocha, kocha. Bądź pan dobrej myśli. Rotszyldzi są wprawdzie silni, lecz my mamy czystość sprawy za sobą...

— Czystość może być w Wiedniu jej grzechem.

— I dziesięć milionów podatków, których ukryć niepodobna!

— To jedno.

— O dziesiątej wieczór? — dokończył Tadeusz, ucałował rękę księżnej, wyszedł.

Księżna została sama.

— Ważą się losy moje, Maryni, Tadeusza, paruset nafciarzy i kilkudziesięciu tysięcy biednych ludzi. Z jednej strony my—praca, wytrwałość. Stworzyliśmy sami, własną energią, bez niczyjej pomocy dla całego świata tanie, błogosławione światło—Kanada poszła za nami i Kaukaz za nami. Przychodzą Rotszyldy z sześcioma innymi milionerami i mówią nam: idźcie precz, umierajcie z głodu, bo nam się podoba waszymi pieniędzmi ładować własne kieszenie. Stoicie nam na drodze, usuńcie się w przepaść nędzy, bo się nam udało oszachrować was. Dla nas miliony, dla was? co chcecie: nędza, głodna śmierć! Musicie paść pod ciężarem naszych milionów i ich potęgi, która łamie prawa, sprawiedliwość, łamie energię, opór...

Dreszcze ją przeszły—wstrząsnęła się cała.

— Jeżeli miliony mają taką potęgę, że stają się niezwyciężone, jak fatum, jak ślepa siła, druzgocąca swoją egzystencyą, to dzieci moje muszą mieć miliony, aby ich nie zdruzgotał rozkaz lub wola Rotszylda...

Ze mną sprawa!—zawołała. Dzikie Węgry i milionerzy wiedeńscy! Poznacie, co może matka, kochająca swe dzieci, umiejąca żyć i pracować dla nich. Jeżeli miliony są rezultatem pracy i zabiegów ludzkich, są dumą narodów i wolnością ludzi, jeżeli miliony robią z nich półbogów—dzieci moje, będziecie mieć miliony!

Rozgorączkowana chodziła żywo po swych salonach, wysłanych miękkimi dywanami i, marząc, układała plany akcyi...

Stanęła przed lustrem.

— Nie jestem jeszcze brzydka, swadę mam, przytomności i zręczności mi nie brak. Nikt jeszcze i niczem nie zaimponował mi! Muszę być w jaknajkrótszym czasie na dworze, rozmawiać z cesarzem i rzucić mu w serce wątpliwości w nieskazitelność Rotszyldów,

a sprawę oświecić nędzą stu tysięcy jego poddanych. Uczciwość cesarza wzburzy się, przejrzy, będziemy mieli sprzymierzeńca. Wszystkimi środkami, jakie posiadam, będę bronić mych dzieci.

Kamerdyner zaanonsował Marynię. Księżna rzuciła się ku niej gorączkowo...

— Tadeusz był przed pół godziną—zawołała.

— Nie czekał?

Dziewczę stanęło zdziwione.

— Nie mógł, nie miał chwili czasu, posiedzenia nie można odłożyć. Broni naszej przyszłości, własnej sprawy i moich... chciała zawołać milionów, lecz powiedziała: dzieci!

— W takim razie jestem winna. Spóźniłam się.

Stała smutna, zdziwiona, roztargniona, rozczarowana, sama nie wiedząc, dlaczego.

— Biada dziewczętom—mówiła cicho—jeśli kochają szaleńców, których myśli, jak dym, nad dach wybiegają.

— Szczęśliwe dziewczęta, jeśli potrafią kochać szaleńców, pochwyciła księżna, bo miłością swą odkrywają skarby swych serc. Szaleńcy to mężowie siły i geniuszu. Rozkosz oprzeć się na sile i geniuszu. Dziewczęta, kochane przez szaleńców — to wybranki, nie losu, lecz odczute sercami wielkich mężów. Widzisz, jak w szkole twego szaleńca nauczyłam się myśleć i mówić.

Marynia wyciągnęła do niej ręce.

— Za myślą idzie czyn, cóż my, biedne, robić możemy?

— Kochać tych, co czynią, rozumieć ich i pomagać im. To wszystko, co możesz, moje dziecko. Pocałowała ją w czoło i posadziła przy sobie, a bawiąc się jej grubym warkoczem lśniących włosów, mówiła dalej:

— Z pewną przyjemnością nazywam cię dzieckiem, bo pragnę, aby córki moje były w dobroci podobne do ciebie. Nie chcę tylko jednej rzeczy. Mogę powiedzieć?

— Proszę, odparła Marynia, przenosząc na księżnę głębię swego spojrzenia.

— Nie chcę, aby tak patrzały, jak ty. Nie chcę, aby z ich oczu płynęła poezya, melancholia, tęsknota nie z tego świata. Pragnę, aby córki moje były więcej światowe, więcej kobiety, więcej powszednie, trochę banalne, bo przez powszedniość swą będą szczęśliwsze na tym świecie, na którym jedynie banalność króluje. Dam im miliony, niechże ich więc używają i piją miód, który one dają.

— A jeżeli one powiedzą, że szczęście ich nie jest z tego świata?!...

— Właśnie tego się boję. Bo gdyby to powiedziały, szczęście tego świata w tej chwili uciekłoby od nich.

— Ale za to przyszłoby to, które nie ucieka nigdy, to, które mieszka w nas, i my jedynie możemy wykrzesać je z siebie. Co to jest szczęście „n a s z e g o" świata?!

— Nie zapominaj, przerwała księżna, że to są dziewczęta, które zamąż iść muszą — nie za tych, których same znajdą, lecz za tych, za których iść będą musiały. Miliony dadzą swym mężom, a oni obdarzą je dziećmi, które na swą modłę wychować muszą. Tyś szczęśliwsza, tyś znalazła, kochasz i wytrwasz. Ciebie miłość twoja dźwiga, daje ci tyle czaru, tyle potęgi i siły, że bez niej nie wyobrażam sobie ciebie. Lecz gdyby o moją córkę starał się Tadeusz i Podiebrad, córka moja musiałaby iść za Podiebrada, chociażbym wiedziała, że kocha Tadeusza. Takie już są prawa i obowiązki „n a s z e g o" świata i w nim naszych rodów, taka konieczność ich egzystencyi. Gdyby więc moja córka była podobną do ciebie, byłaby bardzo nieszczęśliwa, a gdyby miała twą siłę woli, byłaby złamaną. Padłaby lub poszła do klasztoru, została starą panną, oddałaby majątek siostrze....

Podiebrad lub nikt. Takiby rozkaz wyszedł z ust matki, rodziny, opiekunów, rozkaz niecofnięty. Gdyby tobie Podiebrada narzucił twój ojciec, uśmiechnęłabyś się w duchu i nazajutrz wyjechała z Tadeuszem do Węgier wziąć z nim ślub! I toby było dobre, uczciwe, konieczne. Tego jednak córka moja zrobić nie może — i żeby nie zrobiła — trzeba ją odpowiednio wychować, odebrać jej twoją samodzielność i ukołysać powszedniością. Powiedz, o ile jesteś szczęśliwszą od mych córek ?!..

Córki moje muszą być przystosowane do powszedniości swych mężów, muszą na świat patrzeć ich wzrokiem, w pragnieniach — i upodobaniach być do nich podobne. Wiemy o tem dobrze, że w „n a s z y m" świecie, jak we wszystkich innych, o ludzi wybranych, nadzwyczajnych bardzo trudno, — za to zwyczajnych wielu. Z tych wielu córki moje wybierać muszą i wybiorą.

— Mnie Bóg uwolnił od takiego wyboru, rzekła cicho Marynia.

— I w tem tkwi twoje szczęście, a raczej w twojej sile, przed którą musi się korzyć twój ojciec i korzy się. Szczęście twoje, że nie należysz do rodów tego świata. Podiebrad mimo swej nadzwyczajności, mimo filozofii modernistycznej, mimo „nietscheanizmu", mimo rozkochania w nagiej duszy sztuki i kultury jest tak dobrym arystokratą, jak ja i mój ojciec. A że jest bardzo bogaty, należy do rodu, wysoko cenionego w naszym świecie, jest dobry, dystyngowa-

ny, o manierach nadzwyczajnych, pomijając inne przymioty, — postanowiłam go zachować dla mej najstarszej córki. Będzie miał trzydzieści trzy lat, kiedy córka moja może już zostać jego żoną. Dla mężczyzny najwłaściwszy to wiek do ożenienia.....

My, matki, musimy zawczasu kombinować, obliczać, pracować• Miłość Podiebrada do ciebie jest szczeblem do ożenienia się jego z moją córką. Zostanie przyjacielem mego domu i częstym gościem. Gdy pójdziesz za Tadeusza, nie zapomni o mnie dla samych wspomnień, będzie się przede mną zwierzał, skarżył, narzekał. Muszę łagodzić jego ból — aż raptownie, po roku lub dwu latach, stanie przed nim rozkwitający kwiat — córka moja... Znamy mężczyzn — resztę zrobi przyroda, bieg wypadków, serce i przerażona miłość dziewczęcia.

Marynia milczała, księżna pochwyciła.

— Jeżelibyś jednak zdecydowała się zostać żoną Podiebrada, to wszystkie moje kombinacye padają, i również kochać cię będę, jako hrabinę Podiebrad, i razem z tobą szukać mężów dla mych córek.

— Kombinacye niech nie padają, kochaj mnie, księżno, tylko, jako Marynię. Nie mogę być inną. Sama siebie nie umiem wyobrazić inną. Mogę się tylko dźwigać na wyżyny, lecz nie zmieniać. Można być lepszą, lecz inną niepodobieństwo...

— Zmienić natury nie można, dodała księżna. Ciebie wychowywał „Król duch", a edukacyi córek moich dokończy „Irydyon". Ty potrafisz chmury roździerać, a bohater mój i moich córek spać dwa tysiące lat, aby zobaczyć krzyż w Coloseum i zamiast cezara— papieża!....

— Za długo dla przyjemności tego widoku spał, szepnęła Marynia.

— Córki moje nie odczują tego. Będą kochać śpiącego Irydyona, a Masynissy się bać — i będzie im lepiej na świecie! Rodzice, jeśli kochają szczerze swe dzieci, powinni umieć ich przystosowywać do świata.

— Co do mnie, kochałabym Masynissę. W Greku tym prócz pospolitej zemsty niema nic.... Grek ten nie rozumie Hellady, nie odczuwa jej piękna, jej wielkości, nie umie tęsknić za nią, za jej czarami, za jej wolnością i sztukę, za baśnią, zmienioną z filozofii w religię narodu, za jej dramatem, za jej Peryklesem i Aspazyą, za jej Sokratesem i Platonem. To nie Grek, to zaledwo wyzwoleniec, sprowadzający siostrę swą cezarowi.

— Arya... dał się słyszeć szept.

Kobiety drgnęły nerwowo, posyłając wzrok za szeptem. O hebanowy fortepian oparty stał młody człowiek, wysoki, wiotki, szczupły, lecz o fidyaszowskiej piersi. Owal twarzy podłużny, otoczony rzadką, delikatną, popielato-złotawą brodą. Oczy wielkie, niebieskie, słowiańskie, patrzały serdecznie. Nos chudy, prosty, arystokratyczny i usta wązkie, silnie wycięte, wydobywały się z poza delikatnych, jak jedwab, małych wąsów. W postawie i ruchach pan, w głosie artysta, w spojrzeniu kochanek... Piastunkę miał Polkę i od niej nauczył się naszego języka. A że to był pierwszy jego język, piastunka została w zamku. Kochał swoją piastunkę, nie zapomniał języka dzieciństwa swego, którego się później uczył literacko. I to jeden wielki jego urok wobec Maryni i księżnej. Mówił po polsku wolno, z czeskim akcentem, lecz dobrze. W chwilach zadumy deklamował: Litwo, ojczyzno moja, Ty jesteś, jak zdrowie... Znał poezye naszych mistrzów, lecz jej nie odczuwał, bo nie mógł. Było to nad jego siły i możność dlatego, że mózg miał wypełniony filozofią niemiecką, później metscheanizmem. Miał się za nadczłowieka, a względem ludzi nieraz nie mógł się dźwignąć do człowieczeństwa w miłości do nich. Wierzył tyko w jedną rasę Aryów—innemi pogardzał. Marynię nazywał Aryą—dla księżnej był łaskaw, często serdeczny, jako dla powiernicy miłości jego do Maryni.

Księżna i Marynia patrzały na niego sympatycznie, pierwsza z lubością, jako na przyszłego męża swej córki, druga, jak na dobrego przyjaciela, który za swą miłość żąda tylko przyjaźni i zadawalnia się nią.

Podiebrad się skłonił i zbliżył.

— Nie chciałem przerywać—mówił melodyjnym głosem—aby nie stracić wyrazu z tego, co mówi moja Arya, której dusza długi czas gościła w Atenach, dlatego dziś odczuwa Helladę, kocha ją i umie za nią tęsknić. Dusza waszego mistrza, tego, który pisał Irydyona, nie była nigdy grecką, dlatego i on swemu Grekowi każe być politykiem, mścicielem, ale nie Ateńczykiem, tęskniącym za sztuką, utajonym absolutem piękna, za swą filozofią, wcieloną w bajkę, zmienioną w religię, wcieloną w krew narodu. Grek oddaje Cezarowi swą siostrę i mści się, lecz nie tęskni za Grecyą, bo jej nie zna, nie odczuwa. W żyłach jego nie płynie krew Ateńczyków peryklesowskich, nie ma grozy tragicznej Sofoklesa i przeczuć duszy Sokratesa. On nie zna Grecyi... chociaż uratowany za to jedynie, że kochał Grecyę, jako państwo, lecz nie umiał kochać jej w Prometeuszu. Mistrz wasz, jako arystokrata polski, nie mógł odczuć „Prometeusza", to było za trudne dla niego. Arya odgadła tę

jego nieudolność, bo dusza jej nawskroś grecka, zabłąkana w sercu Polki!... Dlaczego dusza twa, zaklęta w sercu Polki, wyzbyć się z tej niewoli nie może?...

Marynia, wzruszona i zasłuchana w muzykę słów Podiebrada, deklamowała cicho:

. . . .

Przeklnij! lecz ciebie przepędzi ma dusza,
Jak Eumenida, przez wężowe rózgi,
Boś ty jedyny syn Prometeusza;
Sęp ci wyjada nie serca, lecz mózgi!
Choć Muzę moją w twojej krwi zaszargam,
Siegnę do wnętrza twych trzew—i zatargam.

. . . .

Podiebrad wlepił łagodny, zasłuchany wzrok w deklamujące dziewczę, a księżnej serce się ściskało bólem, nerwy szarpał gniew.

— Na jakież wyżyny będę musiała prowadzić moje dziecko, aby mogło w sercu Podiebrada zastąpić Marynię! To hazard, bo gdy nie zostanie jego żoną, nie będzie szczęśliwą i gotowa siostry swe zawieść tam, gdzie sama zajdzie. Fatalizm w zetknięciu się z tego rodzaju ludźmi! Trzeba iść naprzód do celu lub upadać— życie lub śmierć! Kto tę dziewczynę zrobił tem, czem jest? Słowacki! Córki moje muszą poprzestać na Irydyonie. Duch Słowackiego za wielki dla nich, zgniótłby je...

Marynia wzruszona milczała, Podiebrad odezwał się cicho:

— Nie wiedziałem, że tak wielkich macie poetów. Jedyny syn Prometeusza, któremu sęp wyjada nie serce, lecz mózg...

Zamyślił się, Marynia patrzała daleko.

— Całej Słowiańszczyźnie sęp wyjada mózg, do serca jeszcze się nie dobrał... I przez serce się odrodzi—dodała spokojnie.

— Bez mózgu—dokończył szeptem.

— Rozkuj Promoteusza, a sępy od niego odlecą — odpowiedziała.

— Kto go rozkuje?—zapytał.

— Pan, ja, rozkuwajmy siebie samych, mój Słowianinie, i stańmy na brzegu niemieckiego morza...

— Z czem?

— Z ogniem, ukradzionym z nieba! „Boś ty, Słowianinie, dziś jedyny syn Prometeusza”...

— A niemieckie morze, pełne drapieżności?

— Wysycha kulturkampfem, wysycha zdziczeniem, wysycha szematem państwowości, zabijającym ludzi niemieckich. A ty nie-

siesz ogień, ukradziony z nieba, jesteś jedynem synem Prometeusza i pytasz się: czem?...

— Niemieckie morze szaleje...

— Stoisz już na wysokim brzegu, morze niemieckie huczy, wzdyma się, lecz cofa—i dlatego szaleje gniewem i wściekłe ciska pianą złości.. Zamilkła, Podiebrad nie śmiał przemówić. W sercu księżnej wzmagał się żal do Maryni. Bała się, aby Podiebrad pod wpływem entuzyazmu pięknej dziewczyny nie przekroczył dozwolonej miary przyszłemu mężowi księżniczki.

— Gotowa go zrobić zapaleńcem—myślała wystraszona.

W uroczystą tę chwilę ode drzwi wymówiono nazwisko pana Edwarda. Na czole Podiebrada siadł gniew, Marynia patrzała spokojnie, nie cucąc się z zamyślenia, księżna dziękowała Bogu za zesłanie w porę szlachcica.

— Bałem się, czy nie zastanę Maryni z Tadeuszem—myślał uradowany szlachcic. Księżna go proteguje! A tu moje dzieci skryły się, jak dwoje gołąbków u książęcych stóp. Skryły się przed nafciarzem i politykiem. Co może obchodzić nafta królewicza i moją jedynaczkę!...

Księżna wstała, witając radośnie gościa.

— Co słychać?—zapytała żywo. Pracujesz razem z panem Tadeuszem, aby przeciąć sznury, którymi chcą nas udusić?

— Jestem jego pełnomocnikiem i jednocześnie Mentorem. Mało zna Wiedeń, a ja nie mogę zbyt otwarcie i jaskrawo występować, należę do większości „Koła".

— Dobra kombinacya.

— Myślałem, że go zastanę u księżnej.

— Był i zostawił mi rolę do odegrania. Pośpieszył się do towarzyszy. Poźniej przyszła Marynia, za nią Podiebrad—powiedziała umyślnie.

Edward z wdzięczności ucałował jej rękę.

— Masz pan wiadomości w naszej sprawie?

— Wielkie — szepnął.

— Mów, mów, kochany panie.

— Tadeusz przywiózł z Fiume falsyfikat nafty, który wchodzi do Austryi, jako surowiec.

— I...

— Kazał mi go w rządowem chemicznem laboratoryum przedystylować.

— Można tą bronią zwyciężyć?!...

— Niema innej.

— Więc jest nadzieja?!..

— Powinna być i musi być, inaczej padamy!

— Co pan myślisz robić?

— Lecę na posiedzenie nafciarzy z preparatami.

Zniżył głos.

— Dziękuję księżnej za opiekę nad Marynią! Dzieci się kochają—dodał jeszcze ciszej.

— Co do Podiebrada nie wątpię.

— A ja, jako ojciec, nie wątpię w rozum i dobry smak Maryni.

— Należy się jej spytać o to...

— Za rozumem idzie zwykle serce. Księżno, broń córkę moją przed nafciarzami!

— Ona tylko sama decyduje o swym losie.

— A ojciec?

— Ojciec należy do większości „Koła" i musi słuchać, co rozkaże prezes. Marynia w tym wypadku prezesem.

— Niech tylko dalej tak pójdą sprawy, jak dziś—wskazał oczyma na Podiebrada i Marynię.

— Będę się cieszyć...

Ucałował rękę księżnej i, nie żegnając się z dziećmi, nie chcąc im przeszkadzać, wyszedł cicho. Stanął na ulicy i odetchnął całą piersią. Uczucie dumy głaskało go po sercu, pieściło mu nerwy. Powiedział adres woźnicy, siadł do powozu.

— Księżna—dyplomatka, nie chciała się do niczego zobowiązać. A może mi zazdrości Podiebrada? I cóż tu zadrość pomoże? Co to dobra rasa znaczy u mej córki i rozum rasy, który zawsze w porę przychodzi! Bo gdzieżby oczy podziała. Przez oczy i słuch droga do serca. Podiebrad piękny, a jak mówi, co za czułość w głosie, jaka łagodność, elegancya. Jak to się dobrze stało, żem kształcił moją jedynaczkę. Prawda, wielka prawda, że Lwów był dla niej za głupi, teraz to widzę, czuję, rozumiem. I że mnie wtedy nie usłuchała i została przy swojem postanowieniu, jakiż miała rozum!

Zaśmiał się wesoło.

— Jestem „czwanio", ale córka moja jeszcze większy ma ode mnie spryt. Niech ma, proszę ją o to, błagam!... Wiedeń oniemieje na wieść o Podiebradzie, Lwów padnie plackiem, a krakowski stańczyk gębę roździawi. Arcyksiąże w zastępstwie cesarza poprowadzi moją córkę do ślubu, ja od ołtarza w Kapucinerkirche, dokończy z radości po niemiecku... Wtedy stara księżna nie powie o szlachciankach, źle wychowanych. Na dworze, luba księżno, ustąpisz miej-

sca młodym Podiebradom, i chociaż się w język ukąsisz, nie będę cię żałował.

I znowu zaczął się śmiać serdecznie.

— Cesarz, arcyksiąże, księżna, Podiebrad — szeptał wzruszony—byle jeszcze parę lat utrzymać cenę naszej ropy. Parę lat, czyż dużo żądam? A więc do roboty, do roboty!...

Krzyknął na woźnicę, aby śpieszył.

— Niech wiedzą, że pędzi teść Podiebrada, którego Podiebrad będzie nazywał ojcem... Pędź!

ROŹDZIAŁ IV.

W sali przyjęć ministeryum skarbu panuje ruch. Wchodzą eksperci, członkowie Koła polskiego, delegaci towarzystwa naftowego... Wśród nich góruje Tadeusz, podniecony, z błyskawicami w oczach. Ruchliwy Edward chce być wszędzie, ze wszystkimi w zgodzie, wszystko słyszeć.

Grupa delegatów polskiego nafciarstwa łączy się z posłami, zawiązuje się żywa dyskusya, w której namiętności zaczynają wrzeć. Z jednej strony zrujnowany przemysł, z drugiej egoizm i absolutna nieznajomość rzeczy... Drzwi boczne rozwarł szeroko woźny, i przez nie najprzód weszło trzech hofratów w mundurach ze złotymi kołnierzami. Za nimi drobny, szczupły, o świdrujących oczach i ostrych rysach twarzy minister w czarnym anglezie.

Posłowie z prawicy Koła, mamelucy rządu, pośpieszyli witać hofratów, delegaci nasi zbliżyli się do zielonego stołu.

Minister spojrzał na zegarek i ze źle ukrywaną niechęcią rzekł:

— Niewiele czasu, słucham panów.

Nafciarze spojrzeli na Tadeusza, wysunął się naprzód, skłonił, na co mu ruchem głowy odpowiedział minister.

— Przychodzimy — mówił Tadeusz spokojnie, choć głos mu drżał — ze skargą na przemytnictwo, dokonywane na wielką skalę, które zabija nasz przemysł, niszczy siłę podatkową państwa o dziesięć milionów, a zatem i skarb państwa o tyleż milionów okrada.

Minister rękę zwinął w pięść i silnie położył ją na stole, chciał przemówić, głos uwiązł mu w gardle... Głowa, okuta w złoty kołnierz jednego z hofratów, zaczęła się trząść. Oczy wszystkich zwróciły się na Tadeusza.

— Ciężkie oskarżenie, jakie pan rzucasz rządowi, zmieni się w potwarz, a wtedy sąd będzie dochodził naszych krzywd — rzekł podniesionym głosem minister.

Z ust latającej głowy hofrata, okutej w złoty kołnierz, zaczęły wylatywać wyrazy: kłamstwo, nieprawda, potwarz!...

Tadeusz schylił się, wyjął z pod stolika dwie flaszki. W jednej była czysta, opieczętowana nafta, w drugiej na dnie nieco smoły. Stojący przy nim towarzysz wyjął trzecią flaszkę. Tadeusz wziął ją w rękę.

— Oto, rzekł, falsyfikat, który ma 15 procentów w sobie smoły, a ośmdziesiąt pięć czystej nafty. To jest nafta, to jest smoła. Zafarbowana ta nafta jest przemycana przez sześciu milionerów, którzy rujnują nas, a okradają skarb państwa.

— Nieprawda! zawołała głowa w zakutym złotym kołnierzu.

— Co to znaczy „nieprawda"? zwrócili się delegaci do trzęsącej się głowy.

— Nieprawda, bo może być surowiec, posiadający 85 procentów czystej nafty.

— Może być, przerwał Tadeusz, lecz fabrykowany na statkach, przewożących z Baku naftę do portów austryackich. Surowiec bakuński posiada od 30 do 36 procentów czystej nafty i więcej mieć nie może, bo nie ma.

— Może, jeśli ma, krzyknął czerwony z oburzenia sekcionsrath.

— Nikt tu z nas nie jest głuchy, rzekł spokojnie szlachcic z pod Krosna, niepotrzebnie więc wysilasz pan głos, prawdy nie zakrzyczysz.

Minister spojrzał na hofrata — zrobiła się cisza.

— Skarb państwa, zaczął Tadeusz, jest okradany przez przemytników na cetnarze nafty o kwotę 4 złr. 50 centów. Konsumenci płacą tę kwotę, albowiem nafta sprzedaje się o wysokości cła, to jest 12 złr. 75 centów drożej, aniżeli wynosi koszt nieoclonej nafty, a państwo pobiera od falsyfikatów, przerobionych w Austryi, tylko kwotę 8 złr. 25 c. Kwota 4 złr. 50 ct., chociaż zapłacona przez konsumentów, nie dostaje się do skarbu państwa, lecz wpływa do kieszeni prywatnych owych sześciu milionerów przemytników, którzy z tego opłacają koszta przeróbki, a resztę zatrzymują, jako nagrodę za swoją przemyślność, to jest nagrodę za to, że, niepotrzebnie dodawszy zagranicą smoły do nafty, już dystylowanej, tęż samą naftę w Austryi z tej niepotrzebnie dodanej smoły oczyszczają. Obciążenie konsumenta nie wychodzi więc na korzyść państwa ani na zmniejszenie deficytu państwowego, ale na tuczenie owych milionerów, z których każdy już i tak posiada więcej milionów, aniżeli wszyscy galicyjscy nafciarze, razem wzięci, a nawet, gdyby się do

milionów naftowych dodało połączony majątek całego „Koła" polskiego.

Wszyscy zwrócili jednocześnie wzrok na ministra i hofratha, któremu głowa z gniewu przestała się trząść, twarz zbladła.

Minister rzucił mu zimne spojrzenie. Sfinksowata twarz sekcionsszefa milczała.

Na początku mowy Tadeusza weszła wielka, chuda postać prezesa Koła, ubrana po polsku. Usiadł na boku i słuchał. Po skończeniu zbliżył się do ministra i z miną wielkiego pana podał mu rękę.

Spojrzeli sobie w oczy i zrozumieli się. Minister znowu spojrzał na zegarek i rzekł:

— Przebaczcie, panowie, idę na audyencyę do cesarza — spóźniać się nie można. Kiedy znowu będę mógł panów przyjąć — uwiadomię...

Ujął prezesa pod ramię, wyszli. Hofraci nie byli przygotowani do obrony, brakło im argumentów, zaprzeczać faktom nie mogli, wyszli za ministrem.

Koledzy i przyjaciele otoczyli Tadeusza, winszowali mu, ściskali za ręce. Z drugiej strony stołu przybiegł do niego pan Edward.

— Uratowałeś mnie, zawołał, uratowałeś przemysł krajowy, Galicyę, naftę, honor nasz... wszystko, wołał. To ten hofrat, któremu głowa latała z poza złotego kołnierza, jest twórcą falsyfikatu! On go wynalazł, pomysł swój sprzedał Rotszyldom i obłowił się. Wiem doskonale. Urzędnicy w laboratoryum pomagali mu. Gdym przyniósł flaszkę, zaraz odgadli i za godzinkę odłączyli smołę od nafty. Jakże mu się nie miał łeb trząść, kiedy to pachnie zdradą.

Wrócił na salę prezes poważny, zimny, małomówiący, grzeczny, zwykle uśmiechnięty, dziś zamyślony. Na jego widok pan Edward odskoczył od nafciarzy, przechodząc na drugą stronę stołu. Prezes zwrócił się do gromadki, w której stał Tadeusz.

— Dotknąłeś pan, rzekł do Tadeusza, w najdrażliwsze dwa punkty ministra—w jego nieskazitelność, której mu nawet wrogowie nie mogą zarzucić, i w jego miłość do kraju, która dotąd świeciła bez cienia.

— Jeżeli tak, ekscelencyo, rzekł z pewną namiętnością Tadeusz, to tylko pomogłem ministrowi do zrealizowania miłości do kraju i jego nieskazitelności do obrony skarbu państwa.

Ekscelencya wzruszył litościwie głową i po długiej a denerwującej chwili dodał:

— Gdybyśmy żyli w abstrakcyach, lecz żyjemy i pracujemy

w państwie, raczej w dwu państwach, kruchą obręczą opasanych. Nad nami ciąży, jak fatum, konieczność państwowa i racya stanu.

— Państwo, jako organizm, odparł żywo Tadeusz, wtedy się tylko może prawidłowo rozwijać, jeżeli składowe jego części są zdrowe.

— Lecz nie do zbytku zdrowia, harmonia jest duszą rozwoju, dodał z uśmiechem ekscelencya.

— O zbytek rozwoju zdrowia Galicyi chyba nikt się tu nie lęka. Pierwszy przemysł w tym biednym kraju, jaki zaczął się organizować, a już fałszerze i przemytnicy go duszą.

— Protestuję przeciwko potwarzy, rzekł, marszcząc czoło, prezes. Macie panowie memoryał?

— Naturalnie, odparł jeden z nafciarzy, dwa egzemplarze. Jeden dla Koła polskiego, składamy na ręce prezesa, drugi dla ministra skarbu.

— Dlaczegoście nie przyszli najpierw do Koła, jako do swojej prawej reprezentacyi?...

— Byliśmy, zawołał zamaszysty nafciarz, lecz nam odpowiedziano, że musimy czekać tydzień na posiedzenie „Koła"...

Prezes milczał, wpatrując się w podany papier.

— Zrobimy, co będzie w naszej mocy i naszym świętym obowiązkiem, proszę tylko pamiętać, że konieczność państwa ma niecofnione wymagania, pod które musimy drobne nasze sprawy podporządkować.

— Nie znam tego rodzaju konieczności państwowych, lecz mam zaszczyt ostrzedz ekscelencyę, że każda cyfra, każde cło mniejsze od nieprawego zysku przemytników stanowi premium dla nich z kieszeni skarbu państwa za ich fałszerstwo...

— Przemytnicy, fałszerstwo, powtórzył smutno prezes, wyrazy, które nie powinny nawet być tu wymawiane. Memoryał zabieram, zrobi się wszystko, co będzie można. Nie wolno nam zbytecznie forytować jednego przemysłu nad drugi. My jesteśmy specyalnie krajem rolniczym. Gdyby nasi rolnicy zażądali premii za swoją pszenicę?...

— Będą mieli prawo żądać, lecz w takim razie, jeżeli przemytnicy naftowi zatrzymają swe premie...

Wielki, chudy prezes poprawił pas na kontuszu. Zwykle to czynił dla ukrycia i pokonania gniewu. Nie odpowiedział Tadeuszowi, bo nawet sprawy nie rozumiał, popatrzał na zgromadzonych oczyma zimnemi, jak stal, zagadkowo, jak nierozwiązana tajemnica,

i wyszedł. Za nim wysunęli się ci, co nie mieli kopalń nafty w Galicyi.

— Zwycięstwo, zwycięstwo! wołali delegaci, skupiając się koło Tadeusza.

— A ja, co znam swoich ludzi i mam wyostrzony węch, mówił pan Edward, ostrzegam was, że się kuje intryga. Rotszyldy tu silni, Węgrzy jeszcze silniejsi. Ugoda z Węgrami wchodzi w tych czasach do parlamentu. Sekcionsszef, wściekły za zdemaskowanie, zrobi wszystko, aby nas zmiażdżyć i ukazać swoją niewinność. Minister i prezes poświęcą nas dla konieczności państwowej — ugody z Węgrami.

— Kobyła od parady, przerwał Bolek, na której jeździ kurc—galopa pan prezes, nazywa się koniecznością państwową, a to tylko szkapa, wożąca wodę serwilizmu rządowego.

Rozśmiano się smutno.

— Z serwilizmem rządowym walczyć, gdy idzie właśnie o dobro tego rządu — to znaczy walczyć z nieświadomością z jednej strony, a złą wolą z drugiej.

— Padniemy, a nie damy się, zawołał Bolek. Jeśli mamy umierać z głodu na naszych szybach, to lepiej tu, lecz przynajmniej poprzednio porozwalajmy łby Węgrom i Niemcom.

— Tymczasem jesteśmy głodni, jak wilcy — a głód zwykle jest złym doradcą. Proszę kochanych kolegów do Sachera, odezwał się pan Edward—tam ułożymy dalszy plan kampanii. Dziś jesteśmy zwycięzcami, nie dajmy się więc wyrugować ze zdobytych pozycyi.

— No, no, gdy tylko jednego Rotszylda naznaczę, a po nim dygnitarza węgierskiego, zmieni się postać rzeczy, mówił wesoło Bolek.

— Memoryał towarzystwa naftowego jest świetny, zabrał głos Edward, czytałem go, jako wzór logiki i sprawiedliwości.

Wychodzili, gwarząc swobodnie Woźni spoglądali na nich z dumą ministrów, lecz musieli stać i pochylać głowy ze strachu przed polskim animuszem. Pańskość Polaków przygniatała ich.

— A więc za godzinę zobaczę u siebie uczonego, sławnego profesora, znającego wnętrze naszej ziemi, jak żaden z Polaków, a ludzi na niej z dzieł Francoza i Sachor Masocha, mówiła księżna, patrząc przez lornetkę na wyszukaną elegancyę swych salonów, na ich wykwintny smak, na rozsiane czarodziejstwa sztuki i na zanie-

dbanie pozorne, w którem mieszkaniec lub przybysz czuje się, jak u siebie.

— Może ten wielki Europejczyk zobaczy pierwszy raz u pół-Azyatów salon, wykwit kultury europejskiej.

Uśmiechnęła się.

— Może a zawsze sądzę, będzie choć troszkę wzięty, choć troszkę oczarowany.

Zadzwoniła, wszedł kamerdyner w pończochach, ubrany czarno, stąpał cicho, jak złudzenie.

— Mój Bartłomieju—rzekła—proszę, aby służba zachowywała się podczas dzisiejszego wieczoru cicho, jak tylko można.

— Niech księżna pani będzie spokojna. Cała służba i ja z nią nie przemówimy słowa — chodzą, jak duchy.

— Dziękuję ci z góry, bo ufam, że tak będzie. Przyjmuję dziś ważnego gościa, któremu się zdaje, że my, Polacy, jesteśmy dzicy.

— Niezawodnie jest to Niemiec, rzekł spokojny Bartłomiej.

— Niemiec i profesor, otaczaj go niewidzialną opieką... Wina do wieczerzy przygotowane?

— Wytworne... Mościa księżno, my tego Niemca spoimy.

— Niech mu tylko będzie wesoło na sercu, z czupryny niemieckiej niech się kurzy.

— Jeśli tylko to jest zamiarem księżnej pani, to się tak stanie...

— Jeszcze jedna uwaga.

Kamerdyner wyprostował się.

— Dzieła profesora Suessa, przyniesione od oprawy, nieznacznie umieścić na wierzchu, wśród innych dzieł w salonie.

— Już to uczyniłem stosownie do pierwszego rozkazu księżnej.

— Dziękuję ci.

Księżna znowu spojrzała przez lornetkę.

— Istotnie, salony moje mogą przyjąć panującego lub lepiej człowieka wielkiego smaku i wyjątkowej kultury.

— A nie zwykłego mieszczanina wiedeńskiego, powiedział cicho kamerdyner.

— Protestuję, mój Bartłomieju — niezwykłego, wielkiego uczonego.

— Co mu nie przeszkadza mieć pojęcia przekupki, która za Wiedniem mieszkających ludzi ma za dzikich.

— Uprzedzenia te wybijemy mu z głowy.

Wbiegła Marynia, ucałowała księżnę, podała rękę staremu słudze, którą z czcią poniósł do ust.

— Jestem, rzekła, rozbrajać zaciętość niemiecką.

Spojrzała pytająco na księżnę.

— Wyobraź sobie, księżno, dotąd nie widziałam Tadeusza!

— Wyobrażam sobie, jak jest zapracowany. Dziś Tadeusz być musi. Będzie nas dobrana czwórka, ty, Tadeusz, Podiebrad i ja — a wśród nas niemiecki mieszczanin.

— Uczony, dodała Marynia — i to go dźwiga.

— Prawda, bo inaczej nie oglądałyby go nasze oczy.

— Poseł parlamentu i uczciwy człowiek. Ach, ten Tadzio! jakże on mnie dręczy — szepnęła.

— Wytrwałości!

— Trzeci dzień czekam, to już może dosyć...

— Kochasz go!!

— Czy to pytanie?

— Nie, odparła księżna, to potwierdzenie. Lecz cóż będzie z Podiebradem?

— Podiebrad wie, że mam narzeczonego, a jeżeli mam, to znaczy, że go kocham.

— Powiedział mi, że nie traci nadziei.

Marynia wzruszyła ramionami.

— Nadzieją swą ubliża mi. Nie śmiał mi o niej mówić.

— Ależ, dziecko — nadzieja, jak kwiat życia, sama rodzi się w naszem sercu i rozwija.

Dziewczę usiadło zmęczone i smutne.

— Jeżeli Tadeusz dowiedział się, mówiła cicho, o nadziei Podiebrada, to może dla tego unika mnie.

— Ależ, dziecko, o swej nadziei mówił do mnie w tajemnicy. Czyż sądzisz, żem powtórzyła Tadeuszowi?

— Nie, nie sądzę i przepraszam.

Zerwała się, księżna ją uściskała.

— Dręczy mnie trzy dni — całe trzy dni. Jest blizko mnie, czytam o nim, a nie widzę go.

— Wiesz, jak ojciec twój jest za Podiebradem. Tadeusza czekał na dworcu, odwiózł go do hotelu, razem pracują, lecz go nie prosi do siebie.

— Tadeusz jest wyższy nad konwenanse światowe. Niewiele sobie robi z form, ma odwagę, a brakuje mu jej przyjść do mnie, do narzeczonej?... do duchowej żony?

— Nie mógł, nie śmiał, nie chciał...

— Jakże mnie męczą te wszystkie nędze, te ukrywania, cała gra, pożerająca myśl, a nie dająca nic, nic, nic. Tadeusz się wyco-

fał ze spółki z mym ojcem, cóż stoi na przeszkodzie do połączenia się naszego?...

— Wyszedł ze Swobody, lecz nie uwolnił się z jej długów.

Dziewczę powstało nerwowo.

— Cóż mnie długi obchodzą? Co one mogą mnie obchodzić? Gdy zostanę jego żoną, będziemy je mieli razem!

— On pragnie stanąć przy tobie bez ciężarów, któreby myśli jego mąciły.

— Czyż będę jego żoną tylko w chwilach podniosłych, w wybuchach uniesień i ekstazy. Czyż nie powinnam być raczej towarzyszką jego walki i pracy. Cóż mnie jego długi obchodzą? Powinnam uwielbiać jego długi, bo nimi dźwigał z nędzy lud...

Kamerdyner odchylił portyerę i cicho wymówił:

— Profesor Suess.

Uczony wszedł z rozmachem, jak zwykle profesorowie wchodzą na katedrę uniwersytecką, lecz się w tej chwili zatrzymał, głos mu zamarł w piersiach, stanął w salonie pół-Azyi i oniemiał.

Księżna powstała i, idąc przy cichym chrzęście jedwabiu, mówiła po francusku.

— Dziękuję ci, panie profesorze, za dobroć, nie odmówiłeś prośbie kobiety.

— Ależ nie przyjść na rozkaz damy to zbrodnia. My, mieszczanie, nie mamy w krwi dżentlemenii, lecz ją zdobywamy przez rozum.

Skłonił się Maryni.

— Moja przyjaciółka, córka pana Edwarda...

— Koleguję w parlamencie z ojcem pani, — tylko że...

— Jesteście panowie, jak dwa bogi na dwu przeciwnych krańcach.

— Wyrażenie za silne dla nas obu. Jesteśmy raczej baranami w dwu stadach — i jeśli ja idę za głosem niemieckiego, to ojciec pani słucha rozkazów polskiego pasterza. Parlamentaryzm zmienił się w owczarstwo.

Zaśmiał się głośno i przeląkł się swego głosu. Cisza salonu, wytworność dwu młodych kobiet, czar otoczenia zamknęły mu usta.

— Jeśli wielkie idee, rzekła Marynia, za które lała się krew, tak się zmieniają w zastosowaniu?

Uczony zręcznością dziewczęcia uczuł się na swem właściwem polu, w swym żywiole. Z salonowca zmienił się odrazu w profesora i mówił:

— To tylko dowodzi, że ludzkość skazana na ciągłą walkę, na nieustanną przemianę. Formy się zużywają i zmuszają ludzi do szukania nowych. W pochodzie ludzkości nie może być doskonałości, bo wtedy ludzkość pada... Tworzymy rzeczy niedoskonałe i tą niedoskonałością żyjemy. W każdym razie dzisiejsza forma jest lepszą od poprzedniej, w której urzędnik austryacki był naszym prawodawcą, uczył nas moralności, patryotyzmu i rządził naszem społecznem mieniem.

Chciał się znowu głośno rozśmiać, lecz zapanował nad sobą.

— Były to czasy wesołe tragizmem i rozpaczą niewolnika, odparła Marynia. Dziś jesteśmy niewolnikami partyi, do której należymy.

— Lecz wolno nam uwolnić się z niewoli.

— Nie zawsze! Partya skuwa, jak łańcuchem, moralnością partyjną.

Służba wniosła samowar i zastawę. Księżna rozlewała herbatę sama. Wytworność i cisza robiły przyjemne wrażenie. Uczony, patrzący na Polaków oczyma Francoza, był olśniony i przybity. Podaną filiżankę wziął od księżnej z uśmiechem podziwu. Woń herbaty rozchodziła się po salonie, koniak wyśmienity, rozmowa czarująca. Profesor, jako człowiek kultury, zapomniał o swej skórze mieszczańskiej i przylgnął do arystokratycznej atmosfery salonu.

Niemcy z radością zmieniają się w arystokratów. Radość tę mają w krwi, jako społeczeństwo, zbudowane na organizacyi wojskowej.

Księżna zręcznie zwróciła rozmowę na nasze Karpaty, zadając uczonemu pytania z geologii, podyktowane przez Tadeusza w kwestyi nafty. Uczony dziwił się w duchu i rad odpowiadał.

— A więc nafciarstwo w Galicyi może się rozwinąć?...

— Powinno — rzekł.

— Lecz cóż, kiedy rząd, mówiła księżna, pozwala zabijać nasz przemysł.

— Słyszałem o tem, szwindel Węgrów zdemaskowany. Rząd zawsze trzyma z tymi, których na razie potrzebuje — i to się nazywa rząd większości, głodzący setki tysięcy ludzi dla ładowania kieszeni siedmiu milionerom.

Śmiałe i rzetelne wystąpienie profesora wydobyło rumieńce na twarz księżnej. Wyciągnęła do niego rękę.

— Mówią, że jesteś pan nieprzyjacielem Polaków...

Marynia nie pozwoliła mu odpowiedzieć.

— Profesor, odezwała się, jest przyjacielem prawdy i sprawiedliwości.

— Dlaczego miałbym być nieprzyjacielem biednego narodu? Nie lubię jego reprezentacyi w naszym parlamencie za jej serwilizm, nie lubię jego panów, trwoniących majątki, gdy w kraju ich bieda. Lecz dla polskiego ludu mam sympatyę i pragnę poprawy jego losu. To mi nakazuje moja „ludzkość”, a raczej moja ludzka kultura.

Wszedł cicho Podiebrad. Gdy profesor skończył, przywitał księżnę i Marynię. Z uczonym znali się od czasów geologicznych jego prac w okolicach Podiebradu. Niespodziane zjawienie się czeskiego pana zdziwiło profesora. Odetchnął, nie był sam z kobietami, przygniatającemi go dystynkcyą.

— Kochany hrabio, rzekła księżna, zjawiasz się w porę, jak przeznaczenie.

— Przeznaczenie, odparł czeski pan, sprawia nam często niemiłe niespodzianki i zjawia się w chwilach, kiedybyśmy chcieli, aby odmiennym przeszło szlakiem.

Usiadł obok Maryni.

— Ależ ono nigdy nie zmienia drogi, odezwał się profesor.

— A nam się zdaje, że kokietuje z nami, że raz się do nas uśmiecha, drugi raz dokucza nam.

— Mimo to wszystko my jesteśmy panami swego losu, rzekła Marynia.

— Niezawodnie, poświadczył profesor, o ile na to pozwala nam nasz charakter, jaki ze sobą na świat przynieśliśmy, zdolności, namiętności, otoczenie, w które nas los rzucił.

— Więc czem my jesteśmy? spytała.

— Dziećmi tej ziemi i tylko jej — ona nas sobie wypracowała i dalej tworzy. Rozwijamy się, póki ona chce i póki ten nasz rozwój może utrzymać.

— A jeśli nie może?

— Niszczy nas — aby wytworzyć przemianę dla siebie odpowiedniejszą...

Nastała cisza... Marynia chciała protestować, formułowała myśli, gdy na ciemnem tle kotary zarysowała się postać Tadeusza. Stanął, jak zjawisko, z wlepionemi w nią oczyma. Dziewczę zbladło, chciało wyciągnąć ręce — nie miało sił. Przykuta do miejsca, blada, z falującą piersią patrzała.

Tadeusz nerwowo, szybko, jak człowiek czynu, któremu czas nie wystarcza, zbliżył się do księżnej.

— Oczekiwany, rzekła księżna, i upragniony, dodała.

Podiebrad odgadł w nim zwycięzcę, również pobladł, ściągnął na jedno mgnienie oka brwi i rozsunął je — powstał. Marynia odzyskała przytomność i swobodę. Zatrzymując dłoń Tadeusza w swem ręku, rzekła cicho, lecz stanowczo do Podiebrada po polsku:

— Mój narzeczony.

— Niechaj pierwszy złożę panu życzenia, rzekł szybko czeski pan.

Księżna przedstawiła Tadeusza uczonemu.

— Ależ my się znamy, zawołał Niemiec z przyjacielską gemüthlichkeit, znamy się z korespondencyi. Dziękuję panu za wiele odkryć i pomysłów. To pan złapałeś Węgrów na przemytnictwie, a rząd na nieświadomości tego rodzaju szacherstwa lub na świadomem jego tolerowaniu? Dużo na tem tracił, a o mało co nie zrujnował jednej ze swych prowincyi. Będziemy bronić Galicyę.

Profesor powstał.

— Wracam z ministeryum, mówił Tadeusz, zwracając rozmowę do kobiet.

— I cóż? i cóż?—pochwyciły.

— Wybrana ankieta z członków parlamentu i ludzi fachowych do wyświetlenia całej sprawy. Pan profesor jesteś na liście, jako członek lewicy.

— Dobrze, jestem gotów walczyć za wasze dobro.

Uściskali się za ręce, jako towarzysze broni. Księżna promieniała radością z pozyskania dla sprawy wielkiego geologa, stojącego w opozycyi do rządu i przedstawienia Tadeusza Podiebradowi, jako narzeczonego. Odrazu zyskiwała miliony i w perspektywie tak świetnego zięcia. Serdeczność jej dla Czecha, wdzięczność dla Tadeusza, uprzejmość dla uczonego wzrastały.

Tadeusz opowiadał, o ile niechęć i uprzedzenie ministra skarbu do galicyjskiej nafty topniały pod ciepłem logiki faktów i dziesięciu milionów podatku. Zwołana ankieta zasłoni go przed Węgrami i Rotszyldami.

— To fatalne, że rządowi idzie tylko o zasłonę, rzekł profesor.

— Od nas zależeć będzie pokazać mu prawdę w dobrem świetle.

— A więc, kochany kolego, rzekł uczony, i biorąc go pod ramię, uprowadził do sali bilardowej.

— Cieszę się, mówił, (jako centralista i człowiek partyi), że będziemy mogli rząd nauczyć rozumu, a ministrowi dowieść jego zależności od Węgrów...

— Czybyś profesor nie postawił samodzielnego wniosku, rozstrzygającego kwestyę przemytnictwa?

— Z radością, lecz dotąd nie znam kwestyi w szczegółach.

— Służę najdrobniejszymi szczegółami.

— Proszę o nie — kiedy się zbiera ankieta?

— Prawdopodobnie jutro wieczór.

— A więc o czwartej u mnie.

— Nie lubię waszego „Koła", nie lubię „polnische szlachcicen" — ale kocham sprawiedliwość.

Zaśmiał się, i nachylając się ku Tadeuszowi, szeptał:

— Cóż za „famoz" kobiety—księżna i jej przyjaciółka, wykwintna i rozumna młoda dama.

— Córka jednego z członków Koła, a moja narzeczona.

— Serdecznie winszuję, myślałem, że również jest, „polnische princessin", tyle ma w sobie królewskości i swobody. Podiebrada wziąłem za jej narzeczonego. Wiecie, czem wy stoicie i trzymacie się? kobietami! Wasze kobiety są „famoz", i wy, jeżeli jeszcze jesteście czemś, to przez nie...

— Dziękuję za kobiety, odparł Tadeusz, a co do nas, dużo w tem postrzeżeniu prawdy, lecz nie cała, bo my jesteśmy ojcami i mężami naszych kobiet.

— O to się nie sprzeczam, lecz wy jesteście takimi, jakimi one chcą. W tem kwestya!

— A one takiemi, jakiemy my je kochamy.

— Niezupełnie, niezupełnie. One wam każą kochać siebie takiemi, jakiemi są. W tem tkwi kwestya...

Zostawiona trójka w salonie milczała. Księżna snuła rozkoszne projekta, Marynia patrzała w głąb bilardowej sali. Zdawało się jej, że Tadeusz przywitał się z nią zbyt chłodno, że jest tak oddany sprawie nafty, że niema czasu i ochoty spojrzeć na nią ...

— Teraz pojmuję, dla czego wybór pani padł na jej narzeczonego, odezwał się Podiebrad cicho do Maryni.

— Słucham? spytała. Ona wiedziała dlaczego.

— Jest to człowiek przedewszystkiem czynu, energii i samodzielności. Kobiety—powoje, lubią oplatać miękkim liściem dęby. Nie jestem dębem: i to całe szyderstwo mego losu.

— Ma on jeszcze jeden przymiot: jest człowiekiem idei.

— Jakiej?

— Postępu.

— Droga moja Aryo, dzisiejsi socyologowie dowodzą, że postęp jest w ludziach, jako szósty ich zmysł. Ludzkość i narody póty

żyją, póki idą naprzód. Postępu nie można narzucić, ani przyśpieszyć — rozwija się niezależnie od nas — świeci, jak słońce, którego nie możemy zgasić, lub gdy zajdzie, nowego zapalić.

— A więc?

— Wysilenia w tym kierunku są zbyt kosztowne w stosunku do owoców, jakie dają.

— A jeżeli praca jego jest również koniecznością jego życia, jest w nim słońcem, którego zgasić nie może?

— Świetnie go pani bronisz i w tej obronie dowodzisz, jak dobrze zrozumiałaś istotę postępu.

Dziewczę się uśmiechnęło.

— Tak, prawda, bo i ja innym być nie mogę, chociażbym pragnął i pragnę w tej chwili.

— Komplement bardzo zręczny i wytwornie podany.

Podiebrad smutno wstrząsnął głową.

— Pozostań pan takim, jakim jesteś, mówiła dalej Marynia, i panem rządzi ta sama siła, która jest w nim i ponad nim. Jesteś tem, czem być możesz i musisz.

— Prawda, szepnął, lecz dlaczego nie mam jego energii i jego zapału — dlaczego?

— Bo nie masz jego młodości, nie przyniosłeś jej na świat z sobą. Dekadentyzm narodził się podczas wyczerpania starożytnego świata. Wytworny, subtelny, pełen newrozy i narkotyzmu— usypiał, gdy na północy nowe ludy wzrastały.

— Jednak należę do rasy, która dzielnie walczy, jak mówisz, moja Aryo.

— Lecz jesteś z rodu, który walczył setki lat i musiał się zmęczyć.

— I kładzie się do snu? zapytał.

— Subtelność odbiera mu siłę czynu, bo czyn w samem swem założeniu jest brutalny. Chcąc działać, trzeba zdobyć miejsce. Walka jest brutalnością życia, ale i jego energią...

Popatrzała w bladą, delikatną twarz towarzysza i w jego szare, głębokie, wielkie oczy.

— Pracowaliście ciężko, rzekła serdecznie. Krew wasza broczyła pola bitew i komnaty zamków. Mordowano was. Czas odpocząć.

— Czas spocząć, poprawił ją spadkobierca roli swego rodu.

— Tego nawet nie pomyślałam. Bo kto wie, czy syn hrabiego nie odrodzi energii rodu?...

— Synowie odradzają się przez matki, powiedział smutno.

W tej chwili wracali do salonu Suess z Tadeuszem.

Suess zwrócił się z zapytaniem do księżnej, Tadeusz podszedł do Maryni i Podiebrada.

— A zatem, mówił wesoło, siadając, Niemiec centralista, w panowaniu Niemców widzący szczęście i dobro ludzkości, z nienawiści do własnego rządu będzie nam pomagał do rozwoju naszego przemysłu.

— To wyborne, pochwyciła Marynia. Jeżeli to pańskie dzieło...

— Własne i dzieło Suessa—i szczęśliwego trafu.

— Że? zapytał Podiebrad.

— Że sto tysięcy robotników polskich będzie miało zarobek, a dziesięć tysięcy ludzi utrzymanie...

— Czy pan pozwolisz na jedną uwagę?

— Z przyjemnością.

— Celem jest tu byt?...

— Niezawodnie.

— Nie wszystkoż jedno? jeśli sto tysięcy trzyma gęby swe przy trawie: czy to są gęby niemieckie, polskie lub czeskie?

— Nie, nie wszystko jedno, odparł poważnie Tadeusz. Bo jeśli postęp jest prawem rządzącem, to na gęby, trzymane przy trawie, przyjdzie czas, że oderwą wzrok od trawy i spojrzą na „błękit i Boga". A więc wolę, aby gęby, jedzące dziś trawę, były polskie lub czeskie, a nie niemieckie.

— I to jest tajemnica różnic naszych poglądów, powiedziała Marynia — i to jest dzisiejsza praca dla kultury naszego społeczeństwa. Nie narzucamy postępu, jeśli on jest składową cząstką naszego organizmu, lecz mamy prawo dać tyle miejsca gębom, dziś trzymanym przy trawie, aby one, mając jej dosyć, zapragnęły spojrzeć „na błękit i Boga". I wtedy spojrzą bez nas...

Nastała cisza, w której Tadeusz przemówił do Podiebrada.

— Ziomkowie pańscy, Czesi, wybornie tę walkę rozumieją. Dosyć zdobywają miejsca.

— Zdawało mi się, że to tylko walka gąb o żer.

— Historya wasza ostatnich pięćdziesięciu lat poświadcza moje twierdzenia. Czechy zdobywają na Niemcach miejsca dla gąb, a jednocześnie i ich duchowe życie rośnie zadziwiająco.

Podiebrad milczał, Tadeusz mówił dalej ciepło.

— I ja rozumiem rozkosz w spędzaniu życia na odczuwaniu cudów natury i sztuki i jej szlachetnych wpływów wśród wielkiej, proroczej poezyi, wstrząsających dramatów... Upajam się dziełami malarstwa i tonami muzyki. Odczuwam nawet najdelikatniej-

sze tchnienia dekadentyzmu, jak gdybym był Aleksandryjczykiem w pierwszym wieku chrześcijaństwa... Lecz cóż, nurzać się w abstrakcyach, choćby wydelikaconych nieskończonością, czerpaną z poza świata, nie wolno mi, nie wolno, nie wolno... Jeżeli postęp jest koniecznością ludzką, konieczność ta tkwi i we mnie i woła na mnie o formę. Zdaje mi się, że jestem w mgławicy jądrem, czerwonym punkcikiem, przyszłem sercem w tworze... Obowiązkiem moim poruszać się — czyż mogę stanąć na cześć choćby najsubtelniejszego dekadentyzmu?... Nie!... Lud biedny, czując, że mgławice nasze nie ruszają się — ucieka za morza do gotowych form i tam składa krwawicę swoją i z uciułanym groszem wraca na ojczysty zagon...

Oto — jakich dróg szuka postęp do swego istnienia. Nie jestem jego twórcą, lecz pragnę być sercem mgławicy, nagromadzonej w mym kraju. To jest powinność i idę tą drogą, bo muszę. To jest także moje osobiste prawo postępu i idę za jego rozkazem. Gdybym nie poszedł, uważałbym się za zdrajcę względem siebie samego i praw, które mną rządzą.

Marynia nie śmiała spojrzeć na Podiebrada, bojąc się, aby nie wyczytał z jej oczu dumy. Za to z rozkoszą patrzała na Tadeusza.

— Gdybym była na jego miejscu, myślała, czyniłabym to samo. Dekatentyzm ma się do życia, jak marzenie do czynu. Przez czyn jesteśmy młodzi — marzą starcy. Dekadentyzm jest wypadkową pracy tysiąca lat, jest jesiennym kwiatem ludzkości — my jesteśmy w wiośnie młodości i życia. Podiebrad ma za sobą tysiąc lat wydelikaconej kultury swego rodu, my za to jesteśmy młodzi i silni.

Paliło ją pod stopami, miała tyle do powiedzenia Tadeuszowi, że w chwili, gdy profesor z księżną zbliżył się do nich, powstała, skinęła na narzeczonego i uprowadziła go na drugi koniec salonu,

— Jakaż to para „wunderschön”, pochwycił Suess, patrząc za oddalającymi się. Zwrócił się do księżnej:

— Kobiety wasze są nadzwyczajne, my takich nie mamy.

— I niemi nie dajemy się wam, dodała księżna z uśmiechem.

— Gdyby kobiety wasze miały podobnych do siebie mężczyzn, zostalibyśmy zawojowani, chociaż zawsze radzi w niewolę samych Polek idziemy....

Podiebrad milczał, utkwiwszy wzrok w jasny otwór odchylonej kotary, za którą znikła para narzeczonych. Stara, rasowa krew burzyła się w nim. Pierwszy raz był wściekły, pierwszy raz czuł chęć walki za kobietę, którą uważał za swoją własność. Chciał powstać,

iść i zmiażdżyć szczęśliwego współzawodnika! Jemu, Podiebradowi, staje na przeszkodzie jakiś polski szlachetka z zagona. Istniały ich całe armie... Jakiś społecznik, deklamator, przemysłowiec, ubierający stare formy w nowe frazesa.

— A więc szanowny poseł, odezwała się księżna do profesora, stawiasz na ankiecie wniosek, broniący naszą naftę.

— Na ankiecie zaproponuję, a postawię go w izbie i bronić będę....

W bibliotece, przylegającej do salonu, za odchyloną kotarą oparta o stół stała młoda para. Milczeli długą chwilę, on trzymał jej rękę w swej dłoni. Dreszcze przebiegały po ich ciałach, sprowadzając szybkie bicia serc. Myśli ich przebiegały przez mózg z szybkością elektryczności. Nie mogli mówić, chociaż tyle mieli do powiedzenia.

— Jesteś, szepnęła nareszcie Marynia, czekałam, drżałam z niecierpliwości, płakałam... Nie przychodziłeś!?...

Poniósł jej rękę do ust, całował w milczeniu.

— Jesteś, powtórzyła, przebaczam ci wszystko, co przecierpiałam. Ale cię błagam, nie dręcz mnie więcej... Myślałam, że się nie pokazujesz ze zbytku szlachetności — nie cierpię tego rodzaju szlachetności i gardzę nią. Myślałam, że się usuwasz, aby zostawić pole Podiebradowi i zaczęłam nienawidzieć twój egoizm, podszyty bezinteresownością. Człowiek dzielny i uczciwy broni swej własności i nie da jej sobie nikomu wydrzeć. Teraz, gdy patrzę na ciebie, na twe poczciwe oczy, fantazye moje, jak czarne kruki, odleciały. Jedna rozmowa twoja z Podiebradem oddała mi ciebie takim, jakim jesteś.

Patrzała na niego z rozrzewnieniem.

— Odgaduję całą zagadkę, szepnęła cicho. W tej chwili na twych skroniach dostrzegłam dwa srebrne włosy — znak widomy twych walk, twej pracy i nocy bezsennych. W imię tego srebra na twych włosach przebaczam ci i rozumiem wszystko.

— Jak pragnę tej chwili, szepnął z namiętnością Tadeusz, klęknąć przed tobą i całować twe kolana.

— Jeśli pragniesz — jam twoja. Z ojcem spółka skończona, cóż może stać na przeszkodzie? powiedz: co?

— To, że dziś muszę być oddany tylko walce, tylko obronie. Poza tem nie wolno mi nic, nie wolno mi o niczem myśleć. A zasłużyłem sobie przecie na to, żeby choć jeden miesiąc w mem życiu być szczęśliwym, odpocząć bez troski, kochać i marzyć... Lecz, aby

ten miesiąc zdobyć, trzeba pracy miesięcy, trzeba przerąbać drogę do nieba, choćby dla wzroku i dla swobody myśli.

— Zasłużyłeś, lecz jeżeli długo będziesz czekać na zdobycie tej drogi do nieba, dla swobodnego wzroku i swobodnej myśli? To boję się, aby kochanie nie zmieniło się w przyjaźń, a przyjaźń w zapomnienie.

Tadeusz patrzał na dziewczę z tak głębokim żalem, że pchane koniecznością i instynktem serca zarzuciło mu ręce na szyję.

— Przebacz, szepnęła, bo i ja cierpię, a my, córki Ewy, jesteśmy pierwsze buntownice tego świata.

Przytulił ją do siebie.

Usłyszeli szmer i ciche, głębokie westchnienie — spojrzeli. Z poza portyery patrzało na nich dwoje niebieskich, rozmarzonych oczu, oprawnych w owal bladej twarzy.

— Ach to pan, odezwała się Marynia.

— Przepraszam za ciekawość, lecz chciałem widzieć, jak wygląda para narzeczonych sam na sam po kilku miesiącach rozłąki.

— Chodź pan, siadaj i patrz. Uprowadziłam Tadeusza umyślnie. Niechaj raz przecie będzie mną wyłącznie zajęty. Miłość jest egoistyczną, chce wyłączności, posiadania, chce własności.

— Cieszę się z pani szczęścia i z uśmiechu tryumfu. Lecz dlatego się w panią wpatruję, że szczęście i tryumf zmienił cię. Jako tęskniąca i czekająca, byłaś pani inna.

— Jakaż? zapytała wesoło.

— Bliższa memu sercu. Wyrabiało się w naszych sercach braterstwo uczuć, bo i ja tęskniłem. Tryumf jest zawsze egoizmem!

W drzwiach stanęła księżna z profesorem.

— Skryliście się, mówiła po francusku do narzeczonych, Podiebrad was znalazł, a ja przychodzę przerwać sielankę i zabrać was do stołu. Pakie Bożymir, podaj rękę Maryni. Narzeczony jest gospodarzem, u mnie zresztą takie jest prawo.

W sali jadalnej czekała wykwintna zastawa, kwiaty na stole i wyborna wieczerza. Księżna miała obok siebie Tadeusza i profesora, Marynia narzeczonego i Podiebrada. Rozmowa ze względu na kobiety i profesora toczyła się po francusku. Uczony, chcąc coś dokładnie określić, mówił do mężczyzn po niemiecku.

Przy deserze rozlano szampana, rozmowa się ożywiła, oczy kobietom świeciły, uczony podnosił głos, rozrzewniony i wniebowzięty.

Księżna spojrzała na Tadeusza, a potem wzrok przeniosła na uczonego i, dotykając swym kieliszkiem kieliszka narzeczonego, szepnęła po polsku:

— W uznaniu dla pańskiego talentu dyplomatycznego!...

— Ach, księżno, pochwycił Tadeusz, to nakazywała najprostsza kombinacya. Gość księżnej jest powagą w nauce, Niemcem i szowinistą w wychowaniu, centralistą w polityce, a uczciwym człowiekiem w życiu społecznem. Czyż mógł być lepszy wybór w wyszukaniu sprzymierzeńca?

— I ten wybór mówi o pańskim talencie.

— Księżna wprowadza tajemnice wśród nas, rzekł Podiebrad po francusku.

— Tak, tak, mówi językiem dla nas obcym, pochwycił profesor. Do dziś uważałem wasz język za zgrzyt zardzewiałych zawias, lecz w tej chwili w ustach księżnej zmienił mi się w szept, graniczący między rozkazem a prośbą.

— Jeżeli tak, powiedział Podiebrad, to chciałbym tylko tym językiem rozmawiać. Rozkazywać i prosić. Módz rozkazywać, a tylko prosić pieszczotą najwyszukańszych wyrazów musi należeć do rozkoszy mocarzy tego świata, zmienionych w kochanków.

— My, ludzie ostatniej doby, nie rozumiemy rozkoszy władców tyranów, rzekł Suess, którzy proszą dlatego, że ich bawi prośba. Proszą, gdy oprawców mają za drzwiami.

— Mylicie się, rzekł Podiebrad tonem wielkiego pana, to ich nie bawi, lecz wolą prosić, niż rozkazywać, wolą tarzać się u nóg, aniżeli żądać lub grozić, i w tem jest ich rozkosz.

— Lecz gdyby prośba nie była wysłuchaną, odezwała się Marynia, wtedy biada odrzucającej prośbę. Wie o tem ofiara prośby, i wie o tem władca. Ofiara ulega ze strachu o swe życie, władca jest tyranem, ulegająca prośbie—ofiarą. Jest to gra hipokryzyi. Lecz tyrani lubują się w wyrafinowanem tyraństwie hipokryzyi, nazywając ją wspaniałością i łaską.

— Oto wyborna obrona tezy, zawołał profesor, na którą nie zdobyłby się każdy socyolog...

— Kobiety uczą socyologów uczuciem, dodała księżna, rada z Maryni za tak stanowczą odpowiedź Podiebradowi.

Lecz Podiebrad spojrzał na zarumienione dziewczę oczyma pełnemi miłości i cicho rzekł do niej:

— Gdybym był władcą, poszedłbym za tobą bezbronny na pustynię i tarzał się u nóg twoich.

Księżna nieznacznie swym kieliszkiem dotknęła o kieliszek Podiebrada.

— Władcy, który stracił królestwa i moc swej władzy wzamian za uczucie, którem podbija.

— Księżno, raczej jestem pobijany przez uczucie, które posiadam.

Tadeusz i Marynia prowadzili ze sobą cichą rozmowę po polsku, profesor pił wolno szampana i marzył. Przyszła na niego niemiecka zaduma i owładnęła nim. Szampan i urocza wykwintność kobiet upajały go i kołysały.

Po wieczerzy i przejściu do salonu Marynia, aby złagodzić odpowiedź, daną Podiebradowi, grała dla niego preludya i nokturny Chopina, którymi go kołysała.

— Ten wasz Chopin, powtarzał — ten geniusz Słowiańszczyzny, kołysze serce każdego Słowianina i wszystkie serca świata — serce całej ludzkości... Wy, Polacy, macie przyszłość, bo macie Mickiewicza, Słowackiego i Chopina! Któż wam na wielkiem morzu słowiańskiem dorówna w poezyi i muzyce, chociaż my, Czechy, jesteśmy ludem muzykantów—lecz wędrownych, dodał z uśmiechem. Mamy konserwatorya muzyczne — operę...

— Lecz nie wydaliście jeszcze kwiatu ludzkości — geniuszu, my mamy te kwiaty, i to cała nasza siła. Na was również przyjdzie kolej, musi przyjść, bo walczycie i idziecie naprzód — mówiła do Podiebrada serdecznie Marynia.

Profesor spojrzał na zegarek.

— Jutro o ósmej uniwersytet, o dziewiątej parlament, o pierwszej posiedzenie.

Księżna zadzwoniła, za portyerą ukazał się kamerdyner i cicho powiedział.

— Karety czekają.

— Moja dla pana profesora, rzekła po niemiecku księżna.

Profesor, zwracając się do Tadeusza, odezwał się przyjacielsko.

— Pójdę piechotą, jeśli pan będziesz mi towarzyszył—ułożymy wniosek naftowy. Pragnę w tej chwili przechadzki i dzielnego towarzysza.

Nie było rady, Tadeusz ucałował rękę księżnej, Marynia podała mu obie. Przyciskał je do ust, dziewczę oddawało mu duszę swą przez oczy.

— Przyjdź! szeptała, przyjdź do mnie samej, chcę być z tobą długo, długo. Przyjdź jutro, proszę, czekam, tęsknię....

Podiebrad się odwrócił, krew w nim wrzała.

Uwierzył, że przywabi dziewczę do siebie miękkością, a wyrafinowaną kulturą dekadentyzmu opląta, słodką muzyką słów, delikatnością form i oderwaniem od świata przykuje do siebie... Dziś wiarę tę stracił, wysilenia runęły. Zdrowie dziewczęcia ratowało je od zamąceń serca i wyobraźni. Wytrwała w harcie swej duszy i jasności wzroku, wytrwała w szczerem, serdecznem przywiązaniu i wierze, że człowiek, któremu powierzyła losy swoje, dźwiga na swych barkach losy kraju i pracuje dla niego.

W salonie została księżna, Marynia, Podiebrad.

— I co dalej? rzekła raptownie księżna, pewna wytrwałości Maryni w uczuciach do Tadeusza.

— Co Bóg da, odrzekło dziewczę, jestem jego w dobrych i złych losach, zawsze jego, tylko jego.

— A ja, dodał Podiebrad, zawsze twój, chociaż losy są dla mnie wrogie, losy, które Arya moja trzyma w swych rękach.

— Ależ, panie hrabio, odpowiedziała poważnie, pokochałam, zanim ciebie poznałam. Czyż jest w świecie siła, któraby mogła wydrzeć z serca uczucie, jeśli je posiadam i nie chcę stracić.

— Nikt nie pragnie starać się o to, rzekła księżna.

— Ja pragnę, powiedział spokojnie Podiebrad.

— Jakim sposobem?

— Wszystkimi sposobami.

— W takim razie zaczynam się pana bać, a bojąc się—unikać.

Pocałowała księżnę, skłoniła się Podiebradowi, wyszła z salonu — odjechała.

Księżna zwróciła się do Podiebrada.

— A teraz co dalej?...

— Musi być moją, rzekł głosem, w którym wrzała zaciętość czeska i stara krew tyranów...

— Nadto jesteś pan dekadentem, a mówi przez ciebie atawizm starej rasy, stara krew, która się jeszcze błąka w twych żyłach. Lecz dzisiejsza twoja kultura, która w tobie panuje, zaprzecza i twemu atawizmowi, i starej krwi...

Podiebrad siadł na kozetce, patrząc melancholijnie w przestrzeń.

-- Kocham ją i pragnę, aby się wiła w moich objęciach.

— Pragnienia są marzeniami rozkoszy.

— Czuję bezsilność, a przez myśl przechodzi mi, czy nie wyzwać lub kazać zabić tego społecznego działacza?

— To tylko myśli, jako fantazye gniewu. Dziewczę nie zostałoby żoną mordercy...

— Co robić?—szeptał cicho, co robić?

— Puścić łódź — niech płynie, ster i wiosła nic tu nie pomogą.

— I gdzież popłynę?

— Może na szczęśliwą wyspę.

— Bez niej?

— Jeśli to będzie wyspa szczęścia bez niej?

— Nie, to niepodobna, — nadto dusza moja jest przez nią pochłonięta, aby mogła żyć świadomie bez niej, w poczuciu swej samodzielności. Smutno mi i smutek mój pragnę złożyć na falach myśli mych, niech płynę, lecz z nią, o niej, dla niej...

Wyszedł pijany smutkiem.

— Są wszelkie dane, myślała księżna, patrząc za znikającym, że będzie z niego „un mari model”. Jeżeli do jednej zakochanej szlachcianki potrafił w cztery tygodnie zapałać taką dziecinną miłością? Cóż dopiero będzie wtedy, gdy pokocha dziewczynę na równej z sobą wysokości, lepiej zastosowną do siebie, więcej dystyngowaną, a w dekadentyzmie równą jemu.

Rozpromieniła się.

— Poczciwy Tadeusz zrobił mi dwie wielkie rzeczy, uratował mi miliony i przygotował dla córki mej najświetniejszą partyę w Austryi. Lubię go za to, lubię ich oboje, Marynię nawet kocham. Dzielna dziewczyna, lecz jakże byłabym zrozpaczoną, gdyby córka moja była do niej podobną! Nam tej dzielności nie potrzeba, my tylko możemy płynąć z biegiem rzeki spokojnie, a zawsze na czele... Teraźniejszość jest nasza, musi być zawsze nasza, zawsze w naszych rękach, oparta na przeszłości!... Przyszłość oddajemy wam, kochani marzyciele, społeczniki—i nie wiem, jak się tam jeszcze nazywacie, bawcie się w zmianę starego świata, a nam zostawcie owoce, które *dziś* w ogrodzie życia dojrzewają...

Podiebrad wsiadł do otwartego powoziku, wdział palto, otulił nogi pledem, kazał jechać do Prateru. Potrzebował powietrza, miarowego pędu powozu, szerokiego horyzontu, potrzebował, aby za jego wzrokiem i myśli jego biegły do gwiazd lub tonęły w ciemnej, tajemniczej oponie, okrywającej ziemię. Wiatr przeciągał od Dunaju, grając na wierzchołkach starych drzew. Gdy nadjechał nad rzekę,plusk jej fal, monotonny a rzewny, roztęsknił jego serce. Był

sam wobec uśpionej przyrody i milczącej nieskończości, patrzącej na niego majestatem swych tajemnic.

— Życie tylko jedno, takie marne, takie krótkie, takie biedne— takie nic! Troszkę uniesień, trochę podziwu, trochę czaru, nieco bicia serca i pragnień... Pragnień—zawołał, małych, drobnych pragnień, i te nie mogą wytworzyć formy, oblec się w ciało, nie mogą być zaspokojone, nie mogę być przez nie pochłonięty .. Jedno życie— i mam je tak głupio marnować... Cóż w tej dziewczynie jest?—rozum, który mnie razi, lodowatość, która ją równa z posągiem, szorstkość, drażniąca mi nerwy... A razem wszystko—i formy jej ciała, i wdzięk jej szorstkości, i marmurowy chłód, idący od niej, i oczy nieba północy, i smutek na czole, i mądry uśmiech, wszystko razem jest czarem. Czar ten ciągnie mnie, przykuwa i więzi.

— Przecież ja jestem panem najpiękniejszego ciała w Wiedniu o aksamitnych oczach i uśmiechu dziecka...

— Wracaj—zawołał na woźnicę. Opernring, pędź!

Konie leciały, jak szalone, do samej bramy. Za bramą przeszły w wyciągnięty kłus. Przed jedną z kamienic bocznej ulicy Opernring wysiadł, zadzwonił. Za chwilę drzwi się otwarły, odźwierny skłonił się nizko, przepraszając za powolność w otwieraniu. Podiebrad biegł naprzód po schodach, na drugiem piętrze zadzwonił; drzwi się cicho odchyliły. Służąca przyjęła młodego pana z oznakami czci, zdjęła mu palto, odebrała kapelusz.

— Pani moja śpi — szepnęła, lecz to nic nie szkodzi, zbudzi się uszczęśliwiona. Może pan hrabia sam ją zbudzi. Jakaż będzie radość!

Po miękkim dywanie przeszedł przez salonik, oświecony lampą, odchylił portyerę—na białem łóżku, na białych puchach, pod białem okryciem spała młoda dziewczyna. Z góry różowe światło padało na jej białe, odkryte ramiona. Oddychała wolno, pierś falowała w takt cichego, głębokiego oddechu. W pokoju unosiła się delikatna woń fijołków, zmieszana z zapachem młodego ciała, drażniącego nerwy...

Usiadł w fotelu obok łóżka i pieścił wzrok pięknością młodziutkiego ciała. Rozrzucone włosy widocznie parzyły jej pierś, bo je przez sen ręką odgarniała i spała, jak śpi młodość, pełna zachwytów nad rozkoszą snu. Patrzał i pieścił wzrok białością ramion i marmurem piersi, na których migotały różowe blaski lampy. Usta miała zamknięte, lecz nozdrza rozwarte, na oczy długie rzęsy rzucały cień.

— Dlaczego ona nie jest Marynią lub Marynia nią — pomyślał i westchnął.

Westchnienie zbudziło dziewczynę. Oczy rozwarła, ręce wyciągnęła lubieżnie... Zobaczyła, zerwała się, usiadła.

— Ach to ty, hrabio—szepnęła, zarumieniona z radości, zapierającej jej oddech. To ty, nie obudziłeś mnie?

— Spałaś tak rozkosznie, że przepraszam cię za westchnienie, które cię zbudziło.

— Dobroć twoja i pamięć zbudziła mnie, hrabio, dziękuję ci za nie.

Poprawiła włosy, chcąc je związać w węzeł.

— Zostaw je — rzekł hrabia — tak rozkosznie pieszczą twoje ciało!

— Jeżeli ci się podobają, dobrze!

Rozwiązała węzeł, wstrząsnęła głową, włosy rozsypały się po całem ciele.

— Pieszczą, ale i parzą — szepnęła.

— A usta?— zapytał.

— Twoje, hrabio, im więcej są gorące, tem większą rozkosz sprawiają.

Wyciągnęła ręce, aby go pochwycić za szyję i całować, lecz w mgnieniu oka ręce jej opadły. Hrabiego nie porwał ten namiętny ruch, siedział w fotelu zimny i badawczy.

Patrzeli na siebie chwilę. Dziewczę z niemą rozpaczą zaplotło ręce i założyło je za szyję; chciała zapłakać, krzyczeć, lecz się bała. Usta zacisnęła i z założonemi za szyję rękoma kołysała się w takt swych żalów, płynących przez jej mózg, w takt bólu, szarpiącego jej serce. Piękna była w swym smutku, rzewności, przestrachu o byt, a pełna pragnień pieszczot i uznania dla swej piękności.

Hrabia wpatrywał się w nią z wewnętrznem roztargnieniem i niespokojnością myśli. Dziewczynie głowa opadła na poduszki, wlepiła wystraszony wzrok w swego pana i milczała.

Nie wiedzieli oboje, jak długo trwała ta niema chwila. Hrabia wstał, całując ją w czoło. Przerażona uchwyciła go za rękę.

— Czy ci się już nie podobam? — spytała drżąca.

— Więcej, niż kiedykolwiek—odpowiedział łagodnie.

— Nie odpędzisz mnie precz od siebie?

— Nie, zostań całe życie.

— Zostanę, rzekła i pocałowała go w rękę. Może się nawrócisz. Jestem młoda, cały rok brakuje mi do dwudziestu lat—i zdrowa... Tylko się wstydzę i cierpię przez wstyd, szeptała zarumienio-

na, że nie mogę ci się odwzajemnić za twoją łaskę dla mnie... Przyjmować dobrodziejstwa za nic—to boli i upakarza... Rada była wybuchnąć, chciała płakać—nie śmiała.

Hrabia pogładził ręką jej złotawe, bujne włosy, mówiąc łagodnie:

— Nie obawiaj się o swój los, jest zabezpieczony. Ludzie, którzy się stykają ze mną, nie cierpią nędzy i głodu.

Dziewczę schowało twarz w dłonie, hrabia cicho wyszedł.

— Gdyby w tem białem ciele mieszkała dusza Maryni!? Wtedy zapragnąłbym i ciała. Niestety, dusze mają swoje własne ciała.

Stanął raptownie.

— Dlaczego na mnie nie działa pachnące, zdrowe ciało dziewczyny? ciało, wykute z marmuru?! Mam dwadzieścia ośm lat i siły niesterane, mam poczucie formy, kocham sztukę i z lubością patrzę na piękne ciało, malowane na płótnie.

Zamyślił się.

— To sztuka, a gdy patrzę na żywe ciało, Marynia ze swym smutkiem, ze swemi głębiami w oczach, ze swym uśmiechem bogini zasłania mi żywe ciało dziewczyny...

Tupnął nogą.

— Czego ona chce ode mnie?... Gdyby chciała, lecz ona nic nie chce. To jest straszne, to jest mojem przekleństwem!...

Służąca pocichu wsunęła się do sypialni swej młodej pani.

— Hrabia był łaskaw przyjechać umyślnie — szeptała. Jakiż on piękny, jaki pan, ot—zmysły z radości można stracić.

Dziewczyna odjęła ręce od twarzy.

— Można zmysły stracić, lecz z bólu i zemsty.

Zeskoczyła z łóżka, darła na sobie koszulę, strzępy rzucała.

— On mną gardzi, już mnie ma dosyć, sprzykrzyłam się jego wielkości!...

Stanęła przed stojącem lustrem.

— Patrz, taką pięknością gardzi! Czego chce? niech w całym w Wiedniu znajdzie piękniejszą!... Malowane na obrazach nie są ode mnie ładniejsze. Czego on chce? czego chce ode mnie? i za co mnie poniewiera?

Zalała się łzami, służąca położyła ją do łóżka...

— Uciekajmy stąd, dziś, w tej chwili, natychmiast, nie chcę nic od niego, nic, nic...

Rozsądna sługa tuliła młodą panią.

— Uciekać byłoby bardzo głupio, kiedy można zostać, mścić się, zdradzća.

— Ja go kocham — mówiło dziewczę wśród łkań.

— Można kochać i zdradzać.

— Można? — spytała zaciekawiona.

— I jak jeszcze. Ja najwięcej zdradzałam wtenczas, gdym najwięcej kochała. Zdrada daje zajęcie w życiu. Kryjemy się, boimy, potem mamy miłe wyrzuty sumienia, przysięgamy poprawę i znowu zdradzamy. Życie ma powab, jest praca, są intrygi, uciechy, niebezpieczeństwa. Ach! jak ja lubię niebezpieczeństwa!...

— Lubisz? — spytała, ocierając oczy.

— Nadzwyczajnie.

Nachyliła się do ucha dziewczyny, szepcząc.

— Młody nadporucznik od dragonów z trzynastego pułku, także hrabia, dwa razy mnie zaczepiał.

— I cóżeś mu powiedziała?

— Żeby napisał list, bo moja młoda pani lubi odbierać listy.

— A on co na to?

— Uszczęśliwiony mówił, że lubi pisać i napisze.

— Ładny?

— Malowany! W żółtym kołnierzu bardzo mu twarzy. Ale choćby był podobny do dyabła, gdy mundur ma na sobie, robi się piękny.

— Lubisz wojskowych?!

— Przepadam, ale tylko od kawaleryi...

— Działaj ostrożnie—mówiła obrażona dziewczyna—bo gdyby się nasz pan dowiedział, umarłabym ze wstydu. Przecie go kocham!

— A ja nie?!

— Zemścimy się, co?...

— Będziemy przecie miały jakiś cel w życiu!..

(*D. c. n.*) *Sewer.*

Wspólna własność ziemska

W GMINIE WIELKOROSYJSKIEJ *).

CZĘŚĆ DRUGA.

Przegląd teoryi „miru".

I.

Jednem ze zdań, najczęściej powtarzanych w literaturze, dotyczącej „miru", jest twierdzenie, że gminę wielkorosyjską odkrył baron August Haxthausen, autor dzieła o Rosyi, wydanego w latach 1847—52; twierdzenie to jednak przy bliższem zbadaniu sprawy wymaga pewnych ograniczeń.

„W 1765 roku — pisze Sołowjew [1]) — osoba niewiadoma (była nią cesarzowa Katarzyna II) zwróciła się do Wolnego Ekonomicznego Towarzystwa z zapytaniem: co korzystniejszem jest dla rolnictwa, czy jeśli ziemia jest w posiadaniu osobistem, czy też jeśli jest we wspólnem posiadaniu rodowem. Gdy w ciągu roku odpowiedzi nie było, cesarzowa przysłała nowe zapytanie: „na

---

*) Ob. „Ateneum", styczeń—marzec, 1900 r.

[1]) Historya Rosyi — wyd. Tow. „Obszczestwiennaja Polza". Ks. VI, t. 27, str. 379.

czem polega własność rolnika, czy na własności ziemi, którą on obrabia, czy też na własności ruchomości, i jakie prawa winny mu przysługiwać ze względu na dobro ogółu". — Przy tem drugiem pytaniu nadesłano — zawsze bezimiennie — sto dukatów na nagrodę za najlepszą odpowiedź. Na konkurs, ogłoszony przez Wolne Ekonomiczne Towarzystwo, nadesłano 160 odpowiedzi, z których 129 w języku niemieckim, 21 we francuskim, 3 w łacińskim i 7 w rosyjskim. Nagrodę otrzymała rozprawa księdza Béardé de l'Abbaye, zaopatrzona w dewizę „in favorem libertatis omnia jura clamant — mais — est modus in rebus". Béardé był zdania, że włościanin powinien być swobodnym i być właścicielem ziemi.

W ten sposób kwestya, pierwotnie przez cesarzową postawiona, dotycząca wspólnej, rodowej lub indywidualnej własności ziemi, została usunięta na drugi plan przez inną, jeszcze ważniejszą, palącą wówczas w Rosyi i prawie w całej Europie kwestyę wolności lub poddaństwa stanu włościańskiego, i ten wzajemny stosunek obu wymienionych kwestyi przetrwał aż do r. 1861, do epoki oswobodzenia włościan. W pojęciach ludzi końca XVIII i początków XIX wieku w Rosyi ziemia mogła być tylko własnością albo skarbu, albo szlachty. W komisyi, zwołanej w 1767 r. przez Katarzynę II (celem ułożenia nowego kodeksu praw), toczą się namiętne spory o to, czy fabrykanci, kupcy, duchowni, a nawet Kozacy, t. j. wszyscy ludzie wolni, mają prawo posiadać poddanych czy nie; a nawet czy osoby, które na służbie państwowej nabyły praw „dworiańswa", t. j. szlachta nierodowa— mają prawo nabywać ziemię, a tem samem i poddanych [1]). W komisyi tej brali udział przedstawiciele wszystkich prowincyi państwa i wszystkich stanów — byli nawet delegaci od włościan skarbowych — delegatów jednak od włościan prywatnych nie było — i gdy przy dyskusyi nad środkami zmniejszenia zbiegostwa włościan dep. Korobin zaproponował ograniczyć władzę pana nad majątkiem poddanego — wniosek jego odrzucono (większością 18 głosów przeciw trzem), motywując to odrzucenie tem, że prawo nad osobą włościanina nie da się ściśle oddzielić od prawa nad jego majątkiem; [2]) uważano, że w dobrach prywatnych grunta włościańskie są niewątpliwie własnością pana.

Była to też epoka, w której prawo obywatela nad osobą poddanego doszła do najwyższego rozwoju. Właśnie w r. 1767 wy-

---

[1]) Sołowjew. Historya Rosyi. T. 27, str. 352—361 i 366.

[2]) Sołowjew l. c., str. 373.

danym został ukaz, przepisujący: ażeby ludność rolnicza i służba dworska *(kriepostnyje* i *dworowyje liudi)* pod żadnym pozorem nie ośmielali się podawać skarg (bit' czełom) na swoich panów prócz wypadków, wyraźnie w prawie wskazanych; — przekraczający ten zakaz mają być publicznie bici knutem [1]).

Cesarzowa, zastanawiająca się nad tem, co bardziej odpowiada potrzebom rolnictwa: czy własność indywidualna, czy własność wspólna, nie była zrozumianą przez spółczesnych. W umyśle jej jednak kwestya ta nie powstała przypadkowo: w instrukcyi, którą w tymże czasie sama przygotowała dla wszystkich władz w państwie i którą ogłoszono w 1767 r. pod nazwą „Nakazu", w rozdziale o rzemiosłach i handlu — czytamy (Art. 295 i 6), „Rolnictwo nie może kwitnąć tam, gdzie nikt nic własnego nie posiada; — a to dla bardzo prostej przyczyny: każdy człowiek dba więcej o to, co jest jego własnością, aniżeli o to, co należy do innych, i nie ma żadnej pieczy nad tem, o co obawia się, że ktoś inny może mu odebrać [2]).

Przekonanie jednak, że ziemia w dobrach prywatnych jest wyłączną własnością szlachty, znalazło wyraźne potwierdzenie w wydanej przez Katarzynę II w r. 1785 t. zw. „*Żałowannoj Gramotie*", organizującej szlachtę w osobny stan, dającej temu stanowi prawo wybierania przedstawicieli (marszałków) i przyznającej mu wyłączne prawo posiadania poddanych; a przekonanie to tak głęboko tkwiło w umysłach inteligencyi rosyjskiej w początkach XIX w., że w 1811 r. znany historyk Karamzin w memoryale, złożonym cesarzowi Aleksandrowi I, zastanawiając się nad kwestyą uwolnienia włościan, powiada: że dać im swobodę mieszkania, gdzie chcą, odjąć panom wszelką władzę nad nimi, poddać ich wyłącznie władzy państwa można, lecz ci rolnicy nie będą mieć ziemi, bo ta — c o d o t e g o n i e m o ż e b y ć n a j m n i e j s z e j w ą t p l i w o ś c i, jest własnością szlachty." [3]). A mówił to człowiek, który całe życie poświęcił badaniom nad historyą Rosyi.

Kwestya własności wspólnej ziemi włościan zajmowała tylko bawiących chwilowo w Rosyi cudzoziemców. Wypędzony przez Napoleona I z Halli i osadzony na katedrze uniwersyteckiej w Charkowie (1806—1815) L. H. Jakob — jest tego przykładem.

---

[1]) Sołowjew l. c., str. 333.

[2]) Sołowjew l. c., str. 348.

[3]) M. O. Kojałowicz „Istorja russkawo samosoznanja", str. 168.

W wydanem w 1809 r. dziele p. t. *Grundsätze der Policeygesetzgebung und der Policeyanstalten* [1]), mówiąc o rolnictwie w Rosyi, potępia zarówno poddaństwo włościan, jak i wspólność gruntów, która jego zdaniem nie daje się pogodzić z rozwojem kultury rolnej.

Nic też dziwnego, że pierwsze dzieło, w którem własność gminna rosyjska była naukowo badana gruntownie, wyszło też z pod pióra Niemca, wspomnianego już wyżej bar. Haxthausena. Okoliczności jednak, śród których powstało, wywarły wpływ tak stanowczy na treść jego (szczególniej na część historyczną), że milczeniem pominąć ich nie możemy.

Lata od 1825 do 1855 były epoką, w której rząd rosyjski bardzo poważnie myślał o uwolnieniu włościan — i zarazem — a może i dlatego niechętnie patrzał na publiczne rozbieranie tej kwestyi w prasie. W tej także epoce rodziła się w Moskwie tak zwana szkoła słowianofilów, będąca niejako reakcyą przeciwko poglądom uczonych niemieckich na historyę Rosyi, poglądom, streszczającym się w zdaniu, że Rosya całą swą cywilizacyę zawdzięcza wyłącznie wpływom niemieckim [2]). Odszukiwanie pierwiastków narodowych w historyi własnego kraju i dowodów narodowej „samobytności" t. j. niezależności cywilizacyjnej, stało się celem uczonych dociekań garstki ludzi, którzy, hołdując jednocześnie cieszącemu się wtedy wielkiem powodzeniem filozoficznemu subiektywizmowi Schellinga — zgóry mieli wstręt do wszelkiego obiektywizmu — do wszelkiej indukcyi: „duch narodu" i „misya narodu" były głównymi przedmiotami ich badań.

Twórcy szkoły: Chomiakow, Kiriejewski, Aksakow (ojciec) byli patryotami, wyznawcami filozofii Schellinga i wielkimi właścicielami ziemskimi; usiłując stworzyć filozofię historyi Rosyi, musieli zwrócić uwagę na stosunki rolne w Rosyi — badać historyę stanu szlacheckiego i włościan. Określić ściśle historyę rozwoju ich poglądów na sprawę włościańską przy ówczesnych warunkach piśmiennictwa w Rosyi, jest prawie niepodobnem. Zdaje się jednak, że w epoce około r. 1840 byli oni w stadyum poszukiwania „zasadniczej komórki", jak mówi Kojałowicz, rosyjskiej organizacyi państwo-

---

[1]) Ciekawe losy polskiego przekładu tej książki opowiedział Wł. Smoleński w zbiorowej książce „Prawda" (str. 441). Wyszedł on po polsku w 1815 r. w tłómaczeniu Plichty.

[2]) Schlözera „Nestor" wyd. 1802 — tłómaczenie rosyjskie 1819.

wej [1]) i niechętnie zapatrywali się na teoryę Ewersa i Reitza, Niemców, utrzymujących, że pierwotną organizacyą plemion ruskich, tak, jak i wszystkich narodów europejskich, była organizacya rodowa [2]).

W tym właśnie czasie w sferze prawodawczej zaszedł wypadek, który pozwolił na poruszenie kwestyi włościańskiej w prasie.

W r. 1842 wydano nowe przepisy prawa o zwalnianiu włościan z poddaństwa. W porównaniu z przepisami, poprzednio obowiązującymi — wydanymi przez cesarza Aleksandra I, nowe prawo w pewnym stopniu ograniczało właściciela dóbr w udzielaniu wolności włościanom. Pozwalało ono oddawać włościanom ziemię nie na własność, ale w użytkowanie za pewne z góry oznaczone czynsze i powinności, — i zwalniać z poddaństwa tylko całe wsie, ale nie pojedyńczych włościan [3]). Prawo to poruszyło umysły. Chomiakow, wódz ówczesnych słowianofilów, pisał artykuły w tej materyi do „Moskwitianina". Sądził on, że gminę wiejską należy i nadal przy wszystkich możliwydh reformach utrzymać — uważał ją bowiem nie tylko za samorodny produkt życia narodowego, za środek zabezpieczenia włościan od wypadków losowych, których jednostka opanować nie może, ale i za moralną atmosferę, w której najlepsze elementy życia narodowego ratowały się od zarazy poddaństwa [4]). Sądził on także, że gminie łatwiej będzie, niż pojedyńczym włościanom, wykupywać się na wolność.

Polemika jednak i publiczna wymiana myśli w kwestyi włościańskiej długo nie trwały. Przerwano je jeszcze tegoż roku — a jednocześnie prawie zjawił się w Moskwie uczony Niemiec, przybywający specyalnie w celu zbadania stosunków rolnych w Rosyi — Haxthausen [5]).

---

[1]) Kojałowicz, l. c., str. -53.

[2]) Ewers i Reitz profesorowie uniwersytetu dorpackiego, pracowali nad historyą prawa w Rosyi.

[3]) Simkchowitsch, Die Feldgemeinschaft in Russland, 1898, str. 204.

[4]) Jurij Samarin „Chomiakow i kwestya włościańska". Dzieła. Wyd. 1877. Tom I, str. 249 i nast.

[5]) M. Kowalewski w książce p. t. „Le regime économique de la Russie" (str. 116) utrzymuje, że nie Haxthausen „odkrył Rosyanom mir" — bo już Chomiakow mówił o nim w 1848 r. Chomiakow, jakeśmy to stwierdzili wyżej, pisał o gminie w 184$^2/_3$. ale i to nie dowodzi twierdzenia Kowalewskiego. Haxthausen był w Moskwie 1842 i mógł ustnie Chomiakowowi swoje poglądy wyłożyć. Dla dowiedzenia ostatecznego, kto „mir odkrył", należy zbadać literaturę rosyjską przed 1842 r..

II

August baron von Haxthausen [1]) — królewsko-pruski radca tajny — z polecenia swego rządu objeżdżał państwo pruskie w latach 1829 do 1838 dla zbadania ówczesnych stosunków rolnych. Rezultat tej pracy ukazał się w języku niemieckim (i francuskim) w 1839 r. p. t. „*Die ländliche Verfassung der Provinz Preussen*". Polecony przez rząd pruski cesarzowi Mikołajowi I, udał się w r. 1842 do Rosyi—i tu przez 2 lata objeżdżał całe państwo, zbierając troskliwie dane, dotyczące stosunków ekonomicznych. Z polecenia cesarza dostarczano mu wszędzie urzędowych danych i otaczano troskliwą opieką władzy.

Rezultatem tej podróży było trzytomowe dzieło p. t. „*Studien über die inner Zustände, das Volksleben und insbesondere die ländlichen Einrichtungen Russlands*", wydane w Hannnowerze w trzech tomach w latach 1847 (dwa pierwsze) i 1852 (trzeci).

Haxthausen spisuje swe wrażenia chronologicznie; spisuje je jednak w 4 lata po podróży, przetrawiwszy i to, co widział, i to, co mu powiedziano. Cytuje źródła swych informacyi, co do faktycznych danych i wymienia osoby, z któremi się poznał. Wiemy więc z góry, że sięgał po informacye do najwybitniejszych przedstawicieli szkoły słowianofilskiej, Chomiakowa, Kiriejewskiego, i br. Aksakowych w Moskwie [2]), Srezniewskiego w Charkowie [3]). Chwali on słowianofilów i za ich usiłowania poznania historyi ojczystej, i za chęć konserwowania zabytków przeszłości — ale to, co więcej w tej szkole znajduje, uważa za szaleństwo i dzieciństwo. I wątpi, czy proponowany przez szkołę powrót na łono tradycyi narodowych jest możliwy. Cywilizacya nowożytna — mówi on przytem — jest jak biblijny owoc z drzewa wiadomości: kto go raz skosztował, ten nigdy o nim zapomnieć nie może [4]). Nie może też Haxthausen pochwalić antypatyi do wszystkiego, co nie jest narodowem, i do wszystkich innych narodowości, zamieszkałych w państwie; antypatye te nie są ani sprawiedliwe, ani dla państwa korzystne [5]).

---

[1]) Ur. 1792 † 1866. Po studyach w Getyndze zarządzał przez 3 lata własnemi dobrami ziemskiemi nad Renem, a w 1829 r. ogłosił studyum p. t. „*Ueber die Agrarverfassung in dem Fürstenthum Paderborn und Corvey*". Dzieło to zwróciło na niego uwagę sfer rządowych pruskich.

[2]) Tom III wyd. francuskie, str. 3.

[3]) Tom II wyd. niemieckie, str. 130.

[4]) Tom III wyd. francuskie, str. 4 i 5.

[5]) Tom III wyd. franc., str. 14.

Informacye o historyi Rosyi Haxthausen czerpie u słowianofilów; od nich też bierze on całą sympatyę dla wspólnej własności ziemi. Jest jeszcze i drugie źródło tej sympatyi, źródło ogólno politycznej natury: obawa rewolucyi socyalnej w Europie. Mówiąc o peryodycznych podziałach gruntu — stanowiących jądro systemu wspólnej własności „miru" — Haxthausen twierdzi, że „szkodliwe skutki (podziałów) ze względu na postęp rolnictwa są zbyt jasne, aby potrzeba było o nich mówić wiele" — ale dodaje zaraz „polityczne korzyści tej instytucyi przeważają jednak w takim stopniu, że nigdy ich na jednej szali kłaść się nie powinno [1]).

Praca Haxthausena ma dziś jeszcze wartość nie tylko, jako teoretyczny pogląd na gminę rosyjską, ale jeszcze jako zbiór danych bardzo dokładnych o rolnictwie w Rosyi w epoce, poprzedzającej reformę, a więc w epoce, w której pewne stosunki miejscowe utrzymały się tak, jak się były ukształtowały w XVII i XVIII wieku, a z których p. r. 1861 nie pozostało nawet śladów. Haxthausen, przyjąwszy teoryę historyczną gminy od słowianofilów, spotykał się w swej podróży z faktami, które z teoryami temi pozostawały w sprzeczności. Wobec takich faktów stawał zdziwiony — notował je — i przyznawał, że nikt mu ich wytłómaczyć nie może. Aby zrozumieć ważność tych wyjątków, musimy poznać to, co zdaniem Haxthausena jest zasadą — skreślić pokrótce historyę i teoryę gminy rosyjskiej, tak, jak ją pojmował Haxthausen.

Teoretyczne swoje zapatrywania na gminę Haxthausen wyłożył w krótkiej przedmowie, pomieszczonej na początku dzieła, i w roździale III tomu III-go. Wielkorosyjska gmina to nie jest ani francuska „commune", ani niemiecka „*Gemeinde*" — jest to powiększony związek rodzinny, — to rozszerzona familia patryarchalna, której ekonomiczną podstawą jest wspólna własność ziemi.

Pod wpływem cywilizacyi zachodniej stany wyższe w Rosyi przestały rozumieć wewnętrzną organizacyę kraju i tylko w najnowszych czasach pod wpływem nauki niemieckiej (Ewersa, Müllera, Schlözera) zaczęli badać życie ludu — obudził się w nich duch narodowy (*ein nationaler Geist*), który dziś w zrozumieniu własnej narodowości natrafia na przeszkody w przejętych z zachodu pojęciach i wyrazach. Ażeby zrozumieć życie ludu rosyjskiego, należy

---

[1]) Haxthausen, l. c., tom III str. 152.

zapomnieć wszystko, co się o tem czytało, i obserwować samemu z „szacunkiem i miłością” to życie niespaczone, nie otynkowane przez cywilizacyę.

Tak też postępował Haxthausen; zebrał on w swojem dziele wiele rzeczy nowych i nieznanych i sądzi, że przez to w pewnym stopniu nauce rosyjskiej nie tylko nowe drogi wskazał, ale dał też podstawę do nowych badań w tym kierunku.

W Rosyi feudalizmu nie było — państwo wyrosło wprost na gruncie ustroju patryarchalnego — i do dziś dnia (1842) jest państwem patryarchalnem. W rodzinie panuje zupełna równość praw członków rodziny i, póki żyją niepodzielnie, ojciec jest głową, który rodziną i jej majątkiem zarządza (*hat ein Dispositionsrecht*) i ma władzę nieograniczoną. Po śmierci ojca to samo prawo służy najstarszemu z braci. Głowa rodziny wyznacza pracę i wydziela każdemu członkowi rodziny według swego uznania to, co jest konieczne do zaspokojenia jego potrzeb. Jednostka ma prawo żądać wydzielenia jej na używanie pewnej, dla wszystkich równej cząstki gruntów, będących własnością rodziny „miru”, a prawa tego nabywa przez sam fakt urodzenia w gminie. Prawo dziedziczenia dzieci po ojcu nie istnieje. Synowie za życia ojca mają prawo żądać wydzielenia im gruntu nie od ojca, ale od gminy. W gminie fikcyjnym ojcem jest starosta, w Państwie — cesarz.

Skutki tej organizacyi podług Haxthausena są bardzo widoczne. Ponieważ, mówi on, każdy Rosyanin należy do gminy i, jako członek gminy, m a p r a w o do równego udziału w ziemi, niema więc w Rosyi proletaryatu z urodzenia. We wszystkich pozostałych krajach Europy nurtują nowe prądy, zwiastuny rewolucyi socyalnej, podżegając przeciw bogactwu i własności. Tłum domaga się zniesienia prawa dziedziczenia, a równy podział ziemi jest ich ewangelią (*ihr Sziboleth*). W Rosyi taka rewolucya jest niemożliwą — bo to, co jest w Europie utopią, w Rosyi już się urzeczywistniło [1]).

Nie jesteśmy w możności określić stanowczo, czy powyższy pogląd na związek „miru” z powstawaniem proletaryatu jest własnością osobistą Haxthausena czy też jest on tylko powtórzeniem poglądu szkoły słowianofilów, przekonania Chomiakowa, że organizacya gminna może zabezpieczyć włościanina od nieszczęśliwych wypadków losu. Pogląd ten przez długi czas — był, a może nawet

---

[1]) Tom I, str. XII.

i jest dotąd środkiem ciężkości, około którego obracały się poglądy na kwestyę wspólnej własności ziemi w Rosyi, był głównym argumentem obrońców „miru”. Sądząc z ogólnego charakteru szkoły słowianofilów, dalekiej od wszelkich ekonomicznych konsyderacyi, sądzić można, że szkoła ta początkowo na ten fakt ekonomiczny w kwestyi „miru” uwagi nie zwracała, i że dopiero Haxthausen w rozmowach z nimi w Moskwie zwrócił uwagę szkoły na znaczenie miru dla przyszłego rozwoju społeczeństwa rosyjskiego. W przypuszczeniu tem utwierdza nas pewnego rodzaju „miłość ojcowska”, z jaką Haxthausen obrabia ten pogląd, obszerny ekskurs w kwestyę saint-simonizmu i szczegółowe objaśnienia różnicy, jaka zachodzi pomiędzy mirem a teoryami socyalnemi Saint-Simona [1]).

Szczegółowy pogląd na historyę własności ziemi włościańskiej podaje Haxthausen w roździale VI tomu I, str. 113 do 118. Bawi on wtedy we wsi Piatnickaja Gora u Karnowicza, marszałka szlachty gub. jarosławskiej, i prawdopodobnie notuje to, co mu marszałek podyktował.

Poddaństwo w Rosyi powstało pod wpływem kultury zachodniej. Pierwotna ludność na Rusi była w zasadzie wolną i tylko nieliczni poddani, a raczej niewolnicy, tworzyli klasę dworskich ludzi (*Hofleute* i *Hausleute*), pochodzącą od jeńców wojennych. Chłopi byli wolnymi d z i e r ż a w c a m i (?) (str. 113), którzy każdego Św. Jerzego mogli pana opuścić. Po zniesieniu dzielnic, po połączeniu Rusi w jedno państwo Moskiewskie możność przenoszenia się wzrosła i w tej epoce — przy wrodzonej narodowi rosyjskiemu skłonności do koczowania [1]) — ruch włościan przyjął takie rozmiary, że niektóre okolice opustoszały zupełnie i, aby temu koczowaniu zapobiedz, Borys Godunow w r. 1601 wydał ukaz, znoszący swobodę włościan przenoszenia się z miejsca na miejsce. Stąd powstała władza policyjna panów, której dotąd nie było. Ale i w początkach tej epoki — aż do Piotra W-go poddaństwo nie miało tak dotkliwego charakteru, jaki miało potem. Folwarków nie było, pańszczyzna była mała, a często nie było jej całkiem, bo pan zwykle we wsi nie mieszkał; pobierał czynsze, zwane „*obrokami*”, pilnował, aby chłopi jego płacili regularnie podatki, bo za to przed skarbem odpowiadał — a pozatem pozostawiał włościanom zupełną swobodę; gminy

---

[1]) Tom I. wyd. niemieckie, str. 140—157.

[2]) Według Haxthausena Rosyanin ma „*eine mächtige Vaterlandsliebe, aber kein* „*Heimathsgefühl*“. Tom I, str. 113.

rządziły się same, jak chciały. Gmina była dobrze zorganizowaną respubliką, której rozkład podatków na dusze i solidarna odpowiedzialność za podatki dodawały siły. Piotr W. otwiera drzwi przemysłowi, zbytkom i cywilizacyi. Przypisywanie wsi do fabryk, t. j. obdarowywanie fabrykantów poddanymi zrodziło myśl, że pan jest właścicielem całej pracy poddanego, właścicielem jego osoby. Po za szlachtą rodową zjawia się szlachta z wysługi: ziemia przechodzi do rąk spekulantów, zrywają się węzły wierności i miłości, które dotąd łączyły pana z poddanym — a z biegiem czasu i szlachta rodowa, goniąc za zyskiem, zakłada fabryki, poluje na rangi i traci to, co było w niej szlachetnego i narodowego. Odtąd poddaństwo staje się nieznośnem. Biurokracya miesza się do wszystkiego i wytępia w ludzie stare idee prawa, które tylko w organizacyi gminy rosyjskiej przetrwały.

Idee te polegają na prawie każdego członka gminy męskiego do równego udziału w gruntach gminnych i do wspólnego korzystania z gruntów niepodzielonych: lasów, łąk i pastwisk. W zasadzie dzielą się ziemią na dusze męskie, ale w każdej okolicy prawie ta zasada ulega modyfikacyom. P o d z i a ł n a g ł o w y m ę s k i e j e s t z a c h o w a n y p r z e w a ż n i e w g m i n a c h w o l n y c h (niepoddańczych — skarbowych), w których ziemia jest własnością gminy, — tam zaś, gdzie gmina ziemię tylko posiada (*Besitzerin*), gdzie odbywa pańszczyznę w d o b r a c h p r y w a t n y c h — t a m p o d z i a ł o d b y w a s i ę n a „t i a g ł a". Tiagło to nie jest ani małżeństwo, ani familia, ale coś pośredniego — dodajmy od siebie — że to jest robocza, pańszczyźniana jednostka ekonomiczna. Podług Haxthausena pierwotnie cała gmina — t. j. rodzina — uprawiała ziemię wspólnie, i ojciec rodziny zarówno wyznaczał pracę jak i dzielił owoce tej wspólnej pracy między członków rodziny. Niemożliwość utrzymania tych stosunków przy rozrastaniu się rodziny wywołała podział gminy na rodziny mniejsze, które jednak wspólną własność ziemi utrzymały i dzieliły się nią tylko corocznie, a każda rodzina pracowała oddzielnie na siebie i dla siebie. W miarę postępów rolnictwa podziały stawały się coraz rzadsze. Najpierwotniejsza jednak forma własności wspólnej ze wspólną pracą i podziałem wspólnych plonów przechowała się na północy wśród sekciarzy „raskolników" w t. zw. *skitach* [1]).

---

[1]) L. c. t. III, wyd. francuskie, str. 134—136.

Pierwotnym, czysto słowiańskim dla Haxthausena jest podział na dusze męskie — bo ten właśnie odpowiada słowiańskiemu prawu jednostki do równego udziału w ziemi. W pojęciach ludu włościanin jest wprawdzie własnością pana, ale ziemia jest własnością chłopa — a właściwie nie jest ani własnością pana, ani własnością chłopa, tylko Boga.

Własność ziemi w Europie, tłómaczy nam dalej Haxthausen [1]), skrystalizowała się w dwu formach, dążących do dwu celów różnych. W Anglii organizacya rolna ma na celu otrzymanie jak największego dochodu z jak najmniejszym nakładem pracy; jest to system dzierżaw — ferm, zmniejszający liczbę rąk, pracujących na roli do minimum, system, tworzący masę proletaryatu. System francuski opiera się na zupełnej swobodzie w rozporządzaniu ziemią, na zrównaniu ziemi z innymi towarami, ułatwia nabycie jej robotnikowi, ale obniża kulturę i nie zapobiega tworzeniu się proletaryatu. Stosunki niemieckie są czemś pośredniem między stosunkami angielskimi i francuskimi; proletaryatu wiejskiego niema, istnieje on tylko w miastach [2]).

W Rosyi istnieje system trzeci, zbliżony bardzo do francuskiego, ale różniący się tem, że tworzenie się proletaryatu w państwie jest niemożliwe, dopóki obecna organizacya gminy istnieje. Rolnik może wszystko stracić, — a jednak proletaryuszem nie będzie, ani on, ani dzieci jego, bo i te mają zawsze prawo do udziału w ziemi gminnej. Przy takiej organizacyi własności ziemi rolnictwo w Rosyi nie może dojść do tego stopnia kultury, do jakiej doszło ono w Anglii, ale taka kultura, jaka istnieje we Francyi, osiągniętą być może. Podział gruntów nie przeszkadza w zasadzie postępowi kultury — a czy przy postępie rolnictwa utrzymać się może, to przepowiedzieć trudno. Karnowicz sądzi, że postępu nie będzie. Haxthausen jednak utrzymuje, że zdrowy rozsądek narodu rosyjskiego da sobie w tej sprawie radę. Podziały ogólne ziemi odbywają się rzadko — co rewizya — t. j. przy każdym spisie ludności, których w ciągu lat 130 (1712—1842) było tylko 8, średnio więc co lat 16¼. Po każdej rewizyi nowy podział ziemią jest obowiązkowy, i włościanie [3]) robią go, choć wiedzą, że jest on niedogodny i szkodliwy. Dla zaspokojenia słusznych żądań członków gminy w czasie między jedną

---

[1]) L. c. t. I, str. 134 i nast.

[2]) W 1842 r.

[3]) Tom I, str. 130—131.

a drugą rewizyą, zatrzymują oni w gruntach r e z e r w y, które dają na użytkowanie nowym robotnikom; po śmierci ojca starają się jaknajdłużej między braćmi utrzymać niepodzielność, aby dawny podział gruntów jak najrzadziej i jak najmniej naruszać. Wobec pewności użytkowania z gruntów przez 10—15 lat z rzędu podziały nie są tak szkodliwe, jakby się to napozór wydawało. Trzeba jednak przyznać, że gospodarstwo wiejskie prowadzi się niedbale, melioracyi się nie robi. Główne zło—zdaniem znów Karnowicza— jest to, że rola (mowa tu o północnym okręgu przemysłowym) dochodu nie daje, i nikt w nią kapitału nie wkłada. Bez pańszczyzny gospodarstwo rolne w gub. jarosławskiej jest niemożliwe. Dzięki zaprowadzeniu przemysłu zarobki są tam tak wysokie, że rolnictwo się nie opłaca. Majątki rosną w cenie o tyle, o ile dostarczają materyału, dającego się spieniężyć w przemyśle. Ziemia jednak i dotąd ma małą wartość, a przedewszystkiem, jeśli sprzedaje się majątek ziemski, to sprzedają się dusze — ziemia zaś jest do nich dodatkiem. Dopiero, jeśli z czasem wzrośnie przemysł, a z nim i ludność w kraju, wtedy rolnictwo może zacząć dawać dochód, a kultura wzrosnąć. Podziały ziemi nie są szkodliwe przy obecnej kulturze i nie są zasadniczo sprzeczne z jej postępem. Idzie tylko o to, aby nie zmuszano gmin do częstych podziałów przy każdej rewizyi — a niezawodnie lud sam znajdzie najodpowiedniejsze drogi do zastosowania istniejącego systemu do potrzeb kultury.

Nie będziemy tu tracić czasu na krytykę historycznych i teoretycznych poglądów Haxthausena, nim atoli pożegnamy się z tem cennem źródłem poglądów i faktów z epoki przedemancypacyjnej, musimy jeszcze zanotować z jego pracy te fakta, na które sam zwrócił uwagę, że z teoryą stały w sprzeczności.

Tuż obok majątków Karnowicza zwróciła jego uwagę ogromna wieś przemysłowa „*Wielikoje sieło*”, żyjąca tkactwem, dającem zarobek 65 kop. od arszyna — t. j. 65 kop. do 1.05 dziennie. We wsi tej bogaci włościanie są tkaczami; biedni zajmują się rolą. Pan, który wszystkich włościan uważa za swoją własność, aby uniknąć kłopotów, nakłada na całą wieś „obrok”, określa czynsz w jednej ogólnej sumie, pozostawiając jej podział samym włościanom. Gmina rozkłada tę sumę równo, ale nie na dusze, a na ziemię i zmusza bogatych brać tej ziemi większe działy, aniżeli biorą biedni. Bogaci stosują się do tej decyzyi, ale, aby nad rolą nie tracić czasu (bo tkactwo daje im większe zarobki), wydzierżawiają ziemię biednym. Haxthausen notuje fakt i podziwia uległość dla postanowień gminy, gminy, której właścicielem jest pan.

W gub. wołogodzkiej dowiaduje się Haxthausen, że we wsiach małych peryodyczne podziały ziemi nie mają już miejsca — do każdej osady włościańskiej należy pewna stała przestrzeń gruntów. Dlaczego? zapewne -- odpowiada Haxthausen — z natury stosunków miejscowych. Zaraz obok w obwodzie nikolskim trafia na t. zw. „zaimki", rodzaj własności ziemskiej, o której nigdzieindziej niesłyszał, a która polega na dziedzicznem użytkowaniu ziemi, świeżo wykarczowanej i pod rolę przygotowanej; peryodyczne podziały gruntami nie praktykują się. Kto chce karczować lasy gminne, temu gmina nigdy nie odmawia, pozwala zajmować ziemi, ile chce, i ziemię tę potem dzieci jego biorą w spadku. Rząd „n a d u ż y c i u" temu początkowo się sprzeciwiał, ale dziś postanowił je tylko uregulować.

W tej też gubernii wołogodzkiej spotkał się Haxthausen z najformalniejszym „*metayage*" [1]), znanem mu, jako organizacya rolnicza romańska, panująca we Włoszech i w południowej Francyi. Haxthausen opisuje, dziwi się, ale o teoryi gminnej nie wątpi. Szlachty i tu niema, a jeśli pomiędzy gminami włościańskiemi istnieją przestrzenie ziemi, należące do mieszczan i szlachty, to ta własność ziemi nie posiada „praw dworianskich", nie daje prawa mieć poddanych. Kto więc ma ziemię, a sam jej uprawiać nie może lub nie chce, musi znaleźć dzierżawcę, który zamiast czynszu płaci część urodzajów. Grunta dzielą się na sochy (około 6 dziesięcin). Budynki są własnością czasem dzierżawcy, czasem właściciela. Rodzina włościańska dzierżawi stosownie do swej siły roboczej i zamożności $\frac{1}{2}$, 1 lub 2 sochy. Pan płaci podatki, dostarcza nasienia i bierze $\frac{1}{2}$ plonów; ale w latach nieurodzaju musi w zimie dzierżawcę ziarnem wyżywić. Umowy są 6-cio do 20-to letnie; — w rzeczywistości trwają pokoleniami i idą z ojca na syna. Między dzierżawcami, zwanymi zwykle „*połowniki*", są zamożni, a nawet bogaci. Jak ten stosunek powstał, różnie o tem sądzą — mówi Haxthausen—on jednak myśli, że połownictwo jest organizacyą rolną właściwą rasie cudzko - fińskiej.

Przez Niżni-Nowogród i Kazań Haxthausen jedzie na południe do gubernii samarskiej i saratowskiej, do tych okolic niewyczerpanego czarnoziemu, o których wspomniał poprzednio [1]), że w nich przez 100 lat z rzędu, sieje się pszenicę, i to bez nawozu — nie orząc, tylko drapiąc ziemię [2]). Zblizka trochę to inaczej wygląda.

---

[1]) Przedmowa, str. XIV.

[2]) Tom I wyd. niem., str. 291. Tom III wyd. franc., str. 155.

Gospodarstwo tamtejsze to „*Nomadenwirthschaft*" — uprawa przenosi się z miejsca na miejsce. Notuje on we wsi Woskresienskoje (12 wiorst od Samary — własność hr. Nowosilcewoj) płodozmian następujący: na nowinie 4 lata z rzędu pszenica (daje 25 do 27 ziarn), potem ugór przez lat 6—7 (w tem 2—3 lat pastwiska, a 3—4 lat łąki kośnej) potem 2 lata pszenicy, 6 lat ugoru i potem znów 4 lata pszenicy. Płodozmian, jeśli to płodozmianem zwać wolno, trwa lat 18, w czem 6 lat pod pszenicą. W całej tej okolicy — według przepisów obowiązujących—powinno być po 15 dziesięcin na duszę męską, i tyleż wyznaczano przy zakładaniu wsi w końcu XVIII i w początkach XIX w. W 1842 już ilość ziemi na duszę jest o połowę mniejsza. We wsi Padowka, założonej w 1835 r., wypada na duszę 7 — 8 dziesięcin; w Dawydowskoje, założonej w 1812 r., tak samo 7—8 i t. d. Wszędzie więc słychać skargi na brak ziemi, i włościanie ratują się, arendując ziemię od obcych, nieraz o 80 i 100 wiorst od swojej wsi odległą. W dobre lata urodzaje są niesłychane, ale czasami zdarzają się 3—4 lata zupełnego nieurodzaju, które nie tylko rolnictwo rujnują, inwentarz żywy wytępiają zupełnie, ale nawet straszny głód sprowadzają. To wszystko już w 1842 r.

W niemniej żyznej gubernii charkowskiej — gdzie też powinno być i było dawniej 15 dziesięcin na duszę, także skarżą się włościanie na brak ziemi, i dlatego w ciągu ostatnich 10 lat (przed 1838 r.) wysiedlono z niej 10,000 ludzi do innych gubernii.

O stosunkach podatkowych gub. charkowskiej informuje się Haxthausen z dobrego źródła, bo od prezesa izby dóbr państwa w Charkowie, Majewskiego, który sądzi, że kadastr ziemski w Rosyi ze względu na czas i koszta przeprowadzić się nie da — i chybiłby celu, bo nie usprawiedliwiłby zamożności indywidualnej pojedyńczych gospodarstw. *Obrok* (czynsz), nakładany przez skarb czy to na głowy, czy na dziesięciny, nie odpowiada wymaganiom sprawiedliwości podatkowej. Jedynie sprawiedliwe oczynszowanie jest to, które wprowadzono w dobrach prywatnych, wyznaczając sumę ogólną, którą już poddani sami rozkładają, biorąc pod uwagę ilość i jakość ziemi, inwentarz i „indywidualność włościanina, jego fizyczne i umysłowe siły, jego pilność, zamiłowanie porządku, przezorność, nabytą zręczność—tworząc z tej całości, jakby kapitał" — z którego pan oblicza sobie rentę [1]). Repartycya gminna odpowiada

[1]) Tom II wyd. niemieckie, str. 123.

bardzo blizko rezultatom kadastru. Z rozporządzenia ministra próbowano robić kadastr w kilku powiatach i różnice oszacowań kadastralnych nie różniły się od sum, wybieranych w rzeczywistości o więcej, jak o 1—3%. Podatki, pobierane w gub. charkowskiej z włościan, wynoszą obecnie (w 1842 r.) 5,414,713 rubli ass. rocznie, niedobory zaś 16,803,940 rubli. Haxthausen sądzi, że, jeśli skarb nie zechce na rachunek niedoborów brać zboża w naturze, to niedoborów tych w całości nie pokryje nigdy.

W gubernii tambowskiej [1]) w okolicy miasta Lipiecka Haxthausen po raz pierwszy spotyka wsie jednodworców.

Są to, mówi, potomkowie wojowników (*kriegdienstpflichtige Leute*), osadzanych tu — na stepowej granicy państwa Moskiewskiego wzdłuż wału i szeregu forteczek dla obrony od Tatarów. W wołosti Zagorst jest ich 7000 dusz męskich, wszyscy ze „szlachty ko-

---

[1]) Dla illustracyi stosunków włościańskich w tejże gubernii w epoce przed 1861 pozwolimy sobie przytoczyć tu dosłownie wyjątek z Haxthausena, pomieszczony w rozd. XVIII, t. II, str. 72: „Przejeżdzaliśmy przez wielką wieś hr. Szeremetiewa, Pain, mającą 2300 dusz męskich; były tam całe ulice wspaniałych domów, które tej miejscowości dawały całkiem inny wygląd, niż go ma niejedno nędzne miasteczko. Trafiały się między nimi murowane pałace z kolumnami, balkonami i blaszanymi dachami. Mieszkańcy prowadzą obszerny handel bydłem i łojem. Hrabia Szeremetiew, najbogatszy posiadacz ziemski w Rosyi, uważa za punkt honoru być właścicielem bogatych poddanych i ma między nimi wielu takich, którzy milionami rozporządzają. Są to włościanie, którzy nabywają — na jego, rozumie się, nazwisko (bo na własne imię włościaninowi prawa rosyjskie tego zabraniają) —majątki ziemskie z 600 i 700 poddanymi — a posiadają je spokojnie, bez podwyższenia z tego powodu przez hrabiego *obroku* (czynszu). Hrabia bardzo rzadko pozwala się wykupywać swoim poddanym; większa też ich część nie pożąda tego — gdyż hrabia udziela im swej silnej opieki. Niektórzy, którym jednak z powodów wyjątkowych zależało na wolności, płacili chętnie za nią 80 do 100,000 rubli. Do hrabiego Szeremetiewa należy także i rosyjski Manszester — wieś Iwanowo — która zatrudnia przeszło 42,000 ludzi, mieszkających we wsi i po za wsią w fabrykach bawełnianych, produkujących rocznie do 900,000 sztuk perkalu wartości 2.340,000 rubli. Hrabia nigdy swych ludzi nie uciskał; pobiera z nich opłaty niższe, aniżeli skarb od włościan państwowych, ale czy niektórzy z jego oficyalistów ich nie uciskają, to pozostaje niewiadomem — a słyszeliśmy tylko, że we wsiach tych bogatsi włościanie silnie uciskają biednych. Potem przejeżdżaliśmy przez wieś, należącą do hr. Uwarowych. Domy nie wskazywały na wielkie bogactwo mieszkańców, ale raczej na równą zamożność. Ludność ma pozór zamożnych rolników. Hrabia Uwarow ma podobno w tej okolicy 12 wsi z 5000 ludności męskiej (*dusz*) i 38,000 dziesięcin gruntu. Dochód jego z *tiagła* obliczają tu na 200 rubli. Na drugiej stronie Wołgi ma leżeć wieś, należąca do pewnego właściciela, w której mieszka 300 dusz i daje dochodu 80—100,000 r. (t. j. do 333 r. z *duszy*).“

zackiej". Unikają oni związków małżeńskich z okolicznymi włościanami. Ziemia jest ich własnością — dlatego też płacą do skarbu poduszne, a obroku nie płacą. Ale też tylko tem różnią się od włościan, bo zresztą tworzą gminy i gruntami dzielą się, jak chłopi, na dusze w równych działach. Przechowuje się tylko tradycya, że ongi dzielili się ziemią inaczej, według stopni wojskowych i zasług. Nie są to prawdziwi jednodworcy, jak na północy, bo ci prawdziwi nie mieszkają we wsiach i nie tworzą gmin. Jednodworcy drogą działów i sprzedaży stracili dużo ziemi i niektórzy wynieśli się do dóbr skarbowych, gdzie już płacą obrok narówni z włościanami. Między nimi są i potomkowie szlachty, którą Piotr W. za niespełnianie służby wojennej zdegradował i do jednodworców zapisać kazał. Dużo też w tej okolicy znalazł Haxthausen drobnej szlachty, siedzącej po 10—15 w jednej wsi, a mającej czasem tylko 2 poddanych (*dwa tiagła*).

O jednodworcach na północy mówi Haxthausen jeszcze w tomie III-ym. Uważa ich za ludność rasy fińskiej, czudzkiej [1]) — posiadają oni ziemię na własność osobistą, co właśnie dowodzi ich nierosyjskiego pochodzenia. Niektórzy historycy wyprowadzają ich od szlachty — ale to Haxthausenowi nie wydaje się prawdziwem.

Za Woroneżem wieś Szeremoszna zwraca uwagę Haxthausena. Mieszkańcy jej podobno 100 czy 200 lat temu przybyli tu z gub. riazańskiej w 27 rodzin, z których każda dostała po 60 dziesięcin ziemi. Wielu z nich zubożało i ziemię sprzedali. Z dawnych 1620 dziesięcin, dziś gmina posiada już tylko 540. Ziemia jest dziedziczną własnością; po śmierci ojca ziemią dzielą się tylko synowie w równych częściach, a o własność domu ciągną losy. W braku synów córka lub córki biorą w dożywotnie użytkowanie grunt, który po ich śmierci przechodzi na najbliższych krewnych linii męskiej. Prawo to córek ustaje, jeśli wychodzą za mąż za człowieka z innej wsi [2]).

Odwiedziwszy Ziemię Wojska Dońskiego, którą w III tomie opisał szczegółowo, jako przykład „miru prowincyonalnego", i Krym, Haxthausen przez Odessę, Besarabię, Podole i Kijowszczyznę powraca do Moskwy. W gub. czernihowskiej styka się znów z wiel-

---

[1]) Tom III wyd. fr. str. 152.
[2]) Tom II wyd. niem. str. 115 i 116.

korosyjską gminą wiejską. We włości Komarowskoje mieszka 5114 dusz męskich, z których 4487 kozaków, a 627 (w 12 oddzielnych wsiach) włościan skarbowych, prawdopodobnie kolonistów z Wielkorosyi. Kozacy mają grunta własne, które w spadku przechodzą na synów (córki dostają tylko wyprawę) — grunta te zowią się „*czetwiertnyja ziemli*" w odróżnieniu od „*duszewyja ziemli*" dóbr skarbowych, które dzielą się od czasu do czasu obyczajem rosyjskim na dusze.

„Czy ten obyczaj jest śród Małorosów przeważającym, mówi Haxthausen, dowiedzieć się nie mogłem". Nie badał więc już także, dlaczego w całej Małorosyi niema własności gminnej. Wyręczyli go w tem następcy, którzy jednak, jak to zobaczymy zaraz, nie tylko jego opinie dopełniali, ale — i to w wielu ważnych kwestyach — zmieniali.

III.

Rok 1856 był rokiem przełomu dla całej kwestyi włościańskiej w Rosyi. Zaznaczył się on też wyraźnie w historyi literatury naszego przedmiotu.

Manifest, ogłaszający zawarcie pokoju w Paryżu, i mowa cesarza Aleksandra II w Moskwie nie pozostawiały najmniejszej wątpliwości, że sprawa włościańska zostanie wkrótce załatwioną, że poddaństwo będzie w najbliższej przyszłości zniesione.

Wkrótce potem — w końcu tegoż roku w uniwersytecie Moskiewskim magistrował się młody prawnik, dziś jeszcze żyjący profesor prawa państwowego, Borys Czyczeryn, i bronił rozprawy na temat: „Prowincyonalny zarząd w Rosyi w XVII i XVIII wieku". Rozprawa ta, poprzednio drukiem ogłoszona, i artykuł, pomieszczony przez niego w tymże roku w Gońcu Ruskim „Zarys historyi gminy wiejskiej w Rosyi" wywołały niezwykłe poruszenie umysłów. Czyczeryn twierdził, że „mir", jako jednostka ekonomiczna, jako właściciel ziemi włościańskiej, nie jest bynajmniej „czcigodnym zabytkiem zamierzchłej przeszłości". Twierdził, że do końca XVI w. właścicielem ziemi w Rosyi był wolny włościanin, że „mir" powstał razem z poddaństwem i wskutek poddaństwa, na gruncie rozporządzeń fiskalnych, przyczem zaprowadzony przez Piotra W. podatek pogłówny ostatecznie tę formę własności utwierdził.

Przedstawiciele szkoły słowianofilów nie omieszkali zarówno przy samej dyspucie w uniwersytecie, jak i potem w miesięcznikach

i w osobnych dziełach, wystąpić ze stanowczą krytyką i potępieniem zasadniczych tez Czyczeryna.

Wobec zbliżającej się reformy, wobec konieczności ustanowienia na przyszłość podstaw własności włościańskiej, kwestya na pozór czysto historycznego znaczenia nabierała wysokiego znaczenia praktycznego. Spierano się o to, co było, lecz jednocześnie z tej przeszłości, starano się wyciągać wnioski o tem, jak w przyszłości być powinno. Opozycya przeciw kierunkom i praktycznym zadaniom szkoły sławianofilów — zwana zwykle szkołą „Zapadników" lub partyą liberalną — widziała przyszłość Rosyi w rozwijaniu reformatorskich tradycyi Piotra W., Katarzyny II i Aleksandra I, w „doganianiu" Europy, w braniu od niej wszystkiego tego, co uchodzi za zdobycze zachodniej cywilizacyi europejskiej. Dla tej szkoły — mir nie był godnym przechowania zabytkiem historycznym, był organizacyą ekonomicznia szkodliwą, i należało go przy reformie włościańskiej usunąć stanowczo, przyznając włościanom prawo własności osobistej gruntu takie same, jakie mia włościanin na zachodzie Europy.

W ciągu kilku lat, poprzedzających reformę — 1856 do 1861— kwestya miru należała do kategoryi kwestyi palących, z kwestyi ogólnej włościańskiej wypływających, które żywo obchodzily całe społeczeństwo rosyjskie. Starano się wyjaśnić, czy poddaństwo ma być zniesione odrazu i stanowczo, czy też należy je najprzód za mienić na określoną prawem pańszczyznę, a dopiero potem po pewnym czasie i pańszczyznę samą usunąć; czy włościanin ma dostać tylko osadę i ogród, czy też i grunty; czy właściciel *(pomieszczyk)* ma za tę osadę i grunty dostać wynagrodzenie, czy ma i na jak długo zachować władzę policyjną, czy też władza ta ma być powierzoną autonomicznym gminom; rozbierano: jak ma być oznaczona ilość gruntów, oddawana włościanom: czy drogą umów dobrowolnych, czy też rozporządzeniem władzy; jak ma być obliczona ich wartość i jak ta wartość lub procent od niej ma być właścicielom dóbr wypłacana. Dla właścicieli były to kwestye najważniejsze, dotyczące ich bytu materyalnego, wobec których kwestya: jak zorganizowaną zostanie własność włościańska na przyszłość, mniej już ich interesowała. Dla tych jednak sfer inteligencyi rosyjskiej, które i o przyszłości kraju myśleć czuły się obowiązane, kwestya „miru" była kwestyą najważniejszą i w dodatku kwestyą bardzo zagrożoną, bo niewątpliwie, biorąc na uwagę ogólne tło umysłowe lat 1856—1861, zarówno w sferach rządowych, jak i w najszerszych kołach inteligencyi, przeważały prądy liberalne,

zachodnie, nie czujące żadnych dla „miru” sympatyi. Prace naukowe Czyczeryna, krystalizujące w sobie poglądy liberalne na powstanie „miru”, rozpaliły walkę na pióra za i przeciw „mirowi”. „Goniec Ruski” (Russkij Wiestnik) i „Wiadomości Polityczno, ekonomiczne”, redagowane przez ekonomistę Wernadskiego, ogłaszały stale artykuły przeciw wspólnej własności ziemskiej; argumenty jednak, które przytaczały, były czysto teoretyczne, wzięte z podręczników ekonomii klasycznej; statystyka rolna w Rosyi naówczas nie istniała; jedynym autorem, który badał „mir” poważnie, naukowo, ze stanowiska ekonomicznego i mógł stanowić autorytet, był Haxthausen, a ten był, chociaż ze względów politycznych, za utrzymaniem w Rosyi wspólnej własności gminnej.

Leszkowa „Ruski Naród i Państwo” (1858), Bielajewa „Włościanie na Rusi” (1860), artykuły Kryłowa w Ruskiej Biesiadzie (1857) zwalczały teorye historyczne Czyczeryna. Dzięki tej walce słowianofilska filozofia miru — teorya, oparta na specyalnym pojmowaniu historyi — teorya, której wpływ ciąży do dziś dnia na przekonaniach inteligencyi rosyjskiej w tej sprawie, skrystalizowała się ostatecznie. Postaramy się tu ją naszkicować jak najtreściwiej, biorąc w tem za przewodnika Kojałowicza i łącząc w jedno to, co było wypowiedziane przed, jak i po 1861 r.

Najwyższe dobro człowieka stoi po za wpływami państwa w moralnym charakterze indywiduum; polega ono na wewnętrznej prawdzie, na zgodzie z wewnętrznym nakazem moralnym. Państwo jest reprezentantem prawdy zewnętrznej, zewnętrznego przymusu, a prawda wewnętrzna ześrodkowuje się w społeczeństwie — ziemstwie, które, nie krępując w niczem swobody państwa, żyje pełną swobodą wewnętrzną. Dla państwa czasami potrzebna jest w szczególnie ważnych wypadkach prawda wewnętrzna, tem więcej, że władza państwowa ześrodkowywuje się w osobie samowładnego monarchy, który też żyje prawdą wewnętrzną. Ziemstwo (społeczeństwo) ze swej strony potrzebuje także prawdy zewnętrznej. Stąd konieczność łączności i zaufania stron obu, państwa i ziemstwa (społeczeństwa), konieczność, wyrażająca się w historyi Rosyi w wiecach i soborach państwowych, na których do władzy dochodziły życzenia i opinie społeczeństwa, nie krępujące i nieobowiązujące władzy państwowej. Komórką pierwotną, przechowującą w sobie prawdę wewnętrzną, siłą, podtrzymującą losy Rosyi, była zawsze gmina wiejska, której wszyscy członkowie są związani węzłami solidarnej pomocy, i w której szczęście i interesy osobiste d o b r o w o l n i e podporządkowywują się dobru ogól-

nemu. Z niej rozwinęło się i państwo rosyjskie i życie historyczne narodu [1]). Osobistość człowieka w gminie jest tak wysoko szanowaną, że najostatniejszy nędzarz jest zawsze uczestnikiem w prawach i przywilejach gminy, ale zupełnej samowoli, a tem więcej zaspokojenia celów egoistycznych gmina jednostce dać nie może. Jednostka, stawiająca sobie takie cele, może swobodnie gminę opuścić. Prawo wyjścia z gminy przysługiwało jednostce zawsze, zarówno bohaterom i ascetom jak i egoistom. Zasada gminna jest równoległą do zasad kościoła wschodnio-greckiego, w którym władza soboru jest władzą najwyższą. Jeszcze przed przyjęciem chrzescijaństwa, przeczuwając wielkie jego prawdy, naród rosyjski wyrobił w sobie zasadę gminną, którą potem chrześcijaństwo uświęciło. Wydzieliwszy z siebie państwowość, jako element zewnętrzny, naród rosyjski zachował dla siebie autonomię życia wewnętrznego i poruczył państwu obowiązek umożliwić mu to życie wewnętrzne. Naród rosyjski nie chce rządzić, ale żyć, i to żyć nie w jednem zwierzęcem znaczeniu tego wyrazu, lecz w znaczeniu jego ludzkiem. Nie szuka on swobody politycznej, lecz tylko swobody moralnej, społecznej, życia narodowego, wewnętrznego. Jako jedyny może na ziemi naród prawdziwie chrześcijański, trzyma się on zasad: „oddajcie cesarzowi, co cesarskie, a Bogu, co Boskie", bo „państwo moje nie jest z tego świata" — i „Królestwo Boże jest wewnątrz was [2])".

Obok tych argumentów, silnie trącących metafizyką, musiano jednak w latach 1856—1861 szukać innych, bardziej realnych. Chodziło o wprowadzenie do przygotowujących się przepisów urządzenia włościan zasady wspólnej własności ziemi; redagowano więc memoryały, składano je władzom, wskazując zasady, na których własność włościańska powinna być w przyszłości zorganizowana. W dziełach jednego z najznakomitszych ówczesnych rosyjskich, mężów stanu, Jerzego Samarina, znajdujemy memoryały jego, składane komisyi do spraw włościańskich, które kwestyę miru rozbierają z mniej abstrakcyjnego punktu widzenia.

Dla Samarina prawo włościanina do własności ziemi, którą uprawia, stoi po za obrębem wątpliwości, chociaż prawa tego nie określa żaden przepis „Zbioru Praw" (*Swoda Zakonow*). Przed

---

[1]) Kojałowicz „Istorja Russkawo samosoznanja", str. 252 do 259.

[2]) W charakterystyce tej zasad szkoły słowianofilskiej Kojałowicz trzyma się głównie Aksakowa; zasady te w znacznej części stanowią dziś podstawę filozofii hr. L. Tołstoja.

XVI w. każdy posiadacz ziemi był jej właścicielem. Pytania abstrakcyjnego: co to jest własność ziemi? w starożytnej Rusi nie stawiano. Pytanie to nie istniało, a z ziemi korzystano tak, jak z powietrza i wody; były to dobra naturalne, znajdowane w nadmiarze, niezawłaszczalne, „*inappropriable*". W swojem mniemaniu włościanin jest właścicielem ziemi, obowiązanym do ponoszenia pewnych ciężarów na rzecz obywatela i państwa. Stąd powstaje niewątpliwie istnienie dwu sprzecznych ze sobą praw: prawa posiadania włościanina i prawa własności obywatela. Rozwiązanie kwestyi: ile ziemi ma dostać włościanin, należy pozostawić dobrowolnej umowie i można być przekonanym, że tam, gdzie włościanie dobrowolnie gruntów się zrzekną, tam oni ich istotnie nie potrzebują. Za ziemię, oddaną włościanom, właściciel powinien dostać wynagrodzenie, i ziemia ta powinna być uznaną za własność gminy. Przeciwnicy gminy walczą dwoma argumentami: 1) sądzą oni, że niekarność pojedyńczych obywateli jest mniej niebezpieczną, niż nieposłuszeństwo zorganizowanych gmin; 2) że zorganizowanie włościan w osobny stan prowadzi z konieczności do uznania praw innych stanów, a wzmocnienie praw innych stanów nie da się pogodzić z zasadami nieograniczonej monarchii. Samarin zwalcza oba te poglądy i dodaje, że istnieje jeszcze opinia, iż gmina wiejska powinna być utrzymaną tylko jako instytucya administracyjna, a zniesiona, jako organizacya ekonomiczna. Zdanie to jest wynikiem wpływów polityczno-ekonomicznych, rezultatem teoryi zachodnio-europejskich. Gmina ekonomiczna (wspólna własność ziemi) jest podstawą gminy administracyjnej, i gdzie nie wiążą ludzi interesy ekonomiczne, tam interesy pozostałe są zbyt marne (*nicztożnyje*), żeby wiązać ludzi w jedną silną całość, a wtedy całość tę trzeba podtrzymywać sztucznymi środkami. Obie zasady, gminna i indywidualna, mają swoje wady i zalety. Pozostawione sobie, indywiduum, nie ma prawa niczego się od drugich spodziewać: wolno mu umrzeć z głodu w bogatem mieście, a za to nie odpowiada za nikogo i myśli tylko o sobie. Żywy człowiek w powstałej organicznie (*samorodnie*) gminie musi poddać się pewnym ograniczeniom swych praw, musi ponosić ofiary na rzecz gminy, ale za to ma on prawo spodziewać się od innych członków gminy nie tylko pomocy, ale i udziału w dobrach ogólnych, proporcyonalnego do jego p o t r z e b i p r a c y. Gmina administracyjna, która nie jest jednocześnie gminą ekonomiczną, jest tylko ciężarem, który państwo wkłada na ludność w celach finansowych.

Co się tyczy mniemanej szkodliwości ekonomicznej miru, to wniosek ten wyprowadzano z faktów, odnoszących się do stosunków ekonomicznych Europy Zachodniej. W Rosyi gmina — mir — to z a r o d e k, który wśród warunków niekorzystnych nie mógł się rozwinąć. W gminie obecnej podstawą podziału jest „*tiagło*". Mir ustanawia i zabezpiecza proporcyonalność roboczej siły i potrzeb do ilości ziemi. Ziemia nie może być oddana temu, kto jest niezdolnym do użytkowania z niej, ani też temu, dla kogo jest ona nieprzydatną. Przeciwnie ten, kto ma chęć i ś r o d k i do pracy, ten ją zawsze dostanie, nie opłacając się nikomu, a to rzecz niesłychanej wagi, choć się na nią mało zwraca uwagi.

I tuż zaraz na następnej stronnicy Samarin pisze: kres dzielenia ziemi ustanawia się sam przez się: w guberniach Tulskiej, Kazańskiej, Penzeńskiej i Kurskiej, w dobrach, nie mających, wielkich obszarów gruntu, ilość „tiagoł" nie ulega zwiększeniu, bez względu na wzrost ludności. Pięciu męskich robotników siedzi na 2 lub 3-ch tiagłach, nadliczbowi i d ą n a z a r o b k i l u b d o f a b r y k. I nie właściciel dóbr broni dalszego drobienia „tiagła", bo dla niego nawet to rozdrobnienie byłoby korzystnem, ale sama ludność, obyczaj. Już i dziś niektórym gminom braknie ziemi, najmują więc wspólnie grunty i wspólnie je uprawiają; ze zniesieniem poddaństwa zwyczaj ten się rozszerzy. Głównym zarzutem przeciw wspólnej własności ziemi jest szkodliwość częstych podziałów. Lecz w zarzucie tym jest dużo przesady. Urodzaje na gruntach dworskich nie są lepsze, niż na gruntach włościańskich — a obyczaj, jak każdy obyczaj, jest elastyczny i terminy, podziałów ustanawiają się stosownie do warunków miejscowych. W guberniach stepowych urodzaj zależy więcej od warunków meteorologicznych i długości ugorowania, aniżeli od ilości nawozu, którego tam nie używają. Pola dzielą się co roku, i nikt nie narzeka.[1] W guberniach środkowych i północnych ogrody nie dzielą się całkiem, a grunta orne co 10 lub 12 lat.

Zniesienie gminy ekonomicznej — przewiduje Samarin — spotkałoby straszne przeszkody. Należałoby każdemu gospodarzowi dać pole w jednem miejscu, rozgraniczyć grunty, zrujnować wszystko, co dziś istnieje. Zadanie to nie do rozwiązania. Można nie być zwolennikiem gminy, można wzdychać do innych, lepszych stosunków, tak, jak się tęskni za lepszym klimatem, jak przekłada się charakter

---

[1] Samarin. Dzieła, t. II, str. 161, wyd. 1877.

narodu angielskiego nad charakter narodu rosyjskiego; ale w prawodawstwie niema miejsca na osobiste upodobania. Gmina ekonomiczna w Rosyi — „mir" — to fakt pierwszorzędnego znaczenia, powstały organicznie i stanowiący podstawę bytu narodowego (*pierwostiepiennyj*, *samorodnyj*, *bytowoj*). Nie można nad nim dysputować, trzeba go uznać. „Jakikolwiek będzie jego los, czy się on rozwinie, czy też ustąpi innym formom własności, nie my o tem powołani jesteśmy decydować"; to tylko dla Samarina jest pewnem, że jeśli zajdzie potrzeba, łatwo będzie własność wspólną zmienić na własność osobistą. Ale jeśli się „mir" lekkomyślnie usunie, to nigdy do niego nie można będzie wrócić, „bo raz rozpadłszy się na jednostki, nigdy nie skupi się w jedną całość" [1]). Gmina rosyjska zdaniem Samarina powstała naturalnie i organicznie (*jestiestwienno i swobodno*) i jednostka oddziela się od niej naturalnie, aby wejść w skład innych stanów. Rząd powinien dbać o utrzymanie miru — jeśli tylko dba o siłę organizmu państwowego [2]).

Prawodawca 1861 r. utrzymał mir, jako jednostkę ekonomiczną, wszędzie tam, gdzie istniała ona, jako fakt, pozostawiając miejscowe obyczaje w zupełnej sile. Podzielił on Rosyę na 2 części i w jednej z nich wprowadzono podział peryodyczny ziemi, jako obowiązkowy. Jakie motywy kierowały sferami prawodawczemi objaśni nas najlepiej ustęp listu J. I. Rostowcewa, prezesa Komisyi redakcyjnej, przytoczony u Skrebickiego [3]): „W literaturze występują obecnie (w Rosyi) dwie sprzeczne opinie, jak należy zorganizować życie włościan: czy gminnie, czy też pojedynczemi familiami? Wiele tu można mówić *pro* i *contra*, ale życie historyczne Rosyi i obecne warunki stanu przejściowego rozstrzygają to pytanie, mojem zdaniem, bardzo prosto. Organizacya gminna jest w tej chwili dla Rosyi konieczna: lud potrzebuje s i l n e j w ł a d z y, k t ó r a b y w ł a d z ę p a n a z a s t ą p i ł a. Bez gminy ani pan nie będzie mógł dostać swoich dochodów — c z y n s z ó w i p a ń s z c z y z n y, ani skarb swoich

---

[1]) Samarin. Dzieła, tom II, str. 144—191.

[2]) Samarin l. c. t. II. str. 84.

[3]) „Oswobodzenie włościan za panowania Aleksandra II. Zbiór materyałów do historyi oswobodzenia włościan". Tom I, 1862 r. str. 922. — Jakób Iwanowicz Rostowcew studyował wówczas kwestyę oswobodzenia włościan z polecenia rządu za granicą; po powrocie w 1859 r. mianowany został prezesem Komisyi redakcyjnej. Umarł w lutym 1860 przed ukończeniem reformy, a miejsce jego zajął hr. Pahlen.

podatków i powinności. Pytanie, albo właściwiej, ten przewrót w historycznem życiu ludzi nie może być decydowany na podstawie teoryi, ale tylko na podstawie historyi. Jeśliby w historycznym rozwoju swego życia społeczeństwo rosyjskie uczuło potrzebę roździelenia własności gminnej między pojedyńczych włościan — łatwo będzie temu dopomódz. Wtedy w danym momencie wystarczy Najwyższy Ukaz, polecający, aby gmina grunta między pojedyńczych swych członków na dziedziczne używanie podzieliła. Wogóle w każdej sprawie łatwiej jest rozrywać, niż łączyć"...

O ważności względów finansowych w 1861 r. mówiliśmy już poprzednio. Solidarna odpowiedzialność za sumy wykupowe i podatki prowadziła za sobą logicznie wspólną własność ziemi, i dlatego, mimo, jak to powiedzieliśmy bardzo silnych prądów liberalnych, „mir" utrzymanym został. Zostawiono tylko gminom prawo rozwiązania go przez postanowienie gminne większością $^2/_3$ głosów i pozwolono każdemu członkowi gminy, złożywszy całkowicie sumę wykupu wyłączyć się z gminy bez żadnych ograniczeń. Liberalni „zapadnicy" sądzili, że gmina powoli rozpadnie się sama. Ekonomiczna jej szkodliwość stała po za obrębem kwestyi, i jak widzieliśmy, szkoła słowianofilów słabo argumentowała przeciw tej szkodliwości, utrzymując tylko, że zarzut ten jest przesadzonym. Ogólna opinia nie była bynajmniej za „mirem".

Na kongresie rolniczym w Petersburgu w 1865 r. referent tegoż kongresu von Buchen wyrażał opinię wspólności ziemi nieprzychylną, a zagraniczni pisarze, którzy się tą kwestyą zajmowali, widzieli w niej przeszkodę do wszelkiego postępu w rolnictwie. Uznany dziś za znakomitość, a wówczas początkujący ekonomista, Ad. Wagner, twierdził przytem, że włościanin rosyjski z poddanego pana stał się poddanym gminy [1]).

Gdy fakt został dokonanym, gdy wspólna własność ziemi włościańskiej weszła do prawodawstwa, opozycya liberalna musiała kontentować się rolą Kasandry, przepowiadając zupełny i niezwłoczny upadek rolnictwa. Fakty przyszły jej z pomocą. W latach 1860—1870 wydarzył się szereg nieurodzajów, z których nie-

---

[1]) Ad. Wagner. „Die Abschaffung des Privateigenthums". Lpzg. 1860 str. 57.

urodzaj r. 1865 dotknął 44 gubernii co do ozimego i 24 gubernie co do jarego zboża. Pojawiły się zdania o złym stanie ekonomicznym włościan, i w r. 1872 Ukazem z d. 26 maja ustanowiono komisyę celem zbadania istotnego stanu rzeczy. Prezesem tej komisyi został minister dóbr państwa, Wałujew, stąd często i sama komisya nazywaną jest Wałujewską. Rezultatem prac tej komisyi był memoryał, którego wnioski streszczały się w następującej opinii końcowej:

„Wspólność gruntów i solidarna odpowiedzialność (za podatki i sumy wykupowe) wstrzymują wprost rozwój dobrobytu ludności wiejskiej, a między innemi wywołują zmniejszenie ilości bydła rogatego i ilości koni roboczych. Porządny gospodarz nie ma interesu w powiększeniu, a nawet zachowaniu właściwej ilości inwentarza, gdyż inwentarz ten każdego dnia może być sprzedany na zaspokojenie zaległości podatkowych niedbałych gospodarzy. Każdy postęp zaczyna się od pojedyńczych indywiduów, które, dzięki wyjątkowej swej działalności lub zbiegiem szczęśliwych okoliczności nadzwyczajnych wydzielają się z tłumu. Każde prawodawstwo ekonomiczne musi być obliczone na zachęcenie takich indywidualnych usiłowań i na zapewnienie rezultatów indywidualnej pracy. Wspólna własność gruntów i solidarna odpowiedzialność działają wprost w przeciwnym kierunku [1].”

Opinia ta wywołała protesty, ale brak postępu w rolnictwie był faktem niewątpliwym. Zachodziła potrzeba wskazania, w czem leży przyczyna tego faktu, jeśli nie jest nią wspólna własność ziemi.

IV.

W tym właśnie czasie, kiedy dyskutowano nad przyczynami zastoju (ewentualnie upadku) kultury rolnej na gruntach włościańskich, zjawiło się dzieło księcia Wasilczykowa „Własność ziemska i rolnictwo”; [2]) praca klasyczna w kwestyi miru dla jednych, praca dyletanta i bez wartości dla drugich. W gruncie rzeczy jest to praca klasyczna z punktu widzenia szkoły słowianofilów. Trzymajac się w zasadzie teoryi tej szkoły, książę—uczeń Samarina—po-

---

[1]) W. Simchowitsch: „Die Feldgemeinschaft in Russland“, str. 169—170.

[2]) „Ziemlewładienje i Ziemledielje“. St.-Ptbg. Wyd. I—r. 1876, II—r. 1881.

piera tezy swych mistrzów zebranym pracowicie materyałem ekonomiczno-statystycznym, którego brakowało jego nauczycielom; broni miru i stara się dowieść, że nie brak ziemi jest przyczyną nędzy włościanina rosyjskiego, ale zbyt wysokie oszacowanie gruntów, oddanych włościanom przy uwolnieniu z poddaństwa, zbytnia wysokość sum podatkowych i wykupu.

Dla czytelników „Ateneum" praca ks. Wasilczykowa nie jest obcą: doskonałe jej streszczenie, piórem W. Spasowicza skreślone, pomieściło „Ateneum" w r. 1877. Pozwala to nam ograniczyć się do ogólnej charakterystyki pracy i przypomnienia jej najważniejszych punktów.

Książę, jakkolwiek zna pracę Laveleya o „Własności pierwotnej", protestuje przeciw opinii, aby własność wspólna rosyjska ziemi mogła być sprowadzona do tego samego źródła. co własność ziemska na Zachodzie.

Idąc też za Samarinem, Wasilczykow rozróżnia 3 formy władania ziemią: indywidualną, komunistyczną i mirską, w której prawo własności należy do rodziny, gromady, a użytkowanie jest indywidualne. Ta trzecia forma, mirska jest wyłącznie typową słowiańską i znikła u innych Słowian, przeszła we własność indywidualną tylko pod wpływem idei zachodnio-europejskich.

Cechą charakterystyczną rosyjskiego władania ziemi jest peryodyczny podział wspólnej własności na indywidualne użytkowanie rodzin w równych częściach. Jest to forma równie daleka od własności indywidualnej, jak i od komunistycznej. Własność miru nie ma nic wspólnego z komunizmem i socyalizmem (u Haxthausena z Saint-Simonizmem [1]), przeciwnie włościanin rosyjski ma stanowczy wstręt do wspólności majątkowej, do wszelakiego komunizmu.

Pod tym samym wpływem idei zachodnio-europejskich, przenikających do Rosyi przez prowincye nadbaltyckie, za przykładem „*ostzejskich baronów i polskich szlachciców*" — powstało poddaństwo w Rosyi, która nie przeszła ani przez podbój, ani przez feudalizm, ani przez wydziedziczanie z ziemi ludności pierwotnej.

Rozróżnienie *wotczyny*—dóbr szlacheckich, dziedzicznych, rodowych; *pomiestja*—dóbr ziemskich, danych na utrzymanie dworzanom i wojennej służbie; i *kormlenia*—dóbr, przywiązanych do danego urzędu, było zawsze niepewne: Piotr W. zrównał pomiestja z wot-

[1]) Porównać Haxthausena, l. c., t. I, str. 138—157.

czynami, Katarzyna i Piotr III zwolnili właścicieli pomiestij od służby urzędniczej i wojskowej. Zdaniem księcia (niejednokrotnie wyrażanem), pojęcie własności ziemi było zawsze w Rosyi *mętne i ciemne*, a rozwój historyczny nie sprzyjał jego wyrobieniu i wyjaśnieniu. W pojęciach ludu dzierżenie, posiadanie ziemi nie było prawem, ale obowiązkiem, i pojęcie to skrystalizowało się w pojęciu „tiagła". „Tiagolnym" był i chłop i pan. Pan brał ziemię od monarchy i obowiązanym był ciągnąć tiagło na dworze, w prykazie (służba administracyjna) lub w wojsku; chłop brał „tiagło" i płacił skarbowi podatek, a panu „*obrok*" (czynsz).

I jeszcze jedną widzi książę szczególność w historyi swego kraju, różnicę, która historyków prawa ruskiego bardzo obchodzić musi. Twierdzi on, że rozporządzenia rządowe nigdy ściśle wykonywanemi nie były, że zawsze w państwie panowała samowola władzy i ludu („*swojewolje*" i „*samonaczalje*"), że dlatego też historyk, piszący historyę na podstawie rozporządzeń władzy, aktów państwowych, nigdy tej historyi ani dobrze zrozumieć, ani jasno przedstawić nie potrafi (to pod adresem Czyczeryna). Prawa pisano, ale ich nie wykonywano; szczególniej odnosi się to do gminy. Gmina rosyjska, „mir" nie ma historyi. Mir trwał i trwa, jak powstał, dzięki i wbrew prawom, które go regulowały i regulują, życiem własnem, bezwiednem, a jeśli książe nie mówi „żywiołowem", to tylko dlatego, że wyraz ten w r. 1870—80 nie był jeszcze modnym.

Prawa historycznego rozwoju są dla Rosyi inne, niż dla Europy, i Rosya może i powinna skorzystać z tej nauki, jaką jej daje historya Europy zachdniej. Podbój, wydziedziczanie chłopa w epoce rozwoju rolnictwa i wzrostu folwarków, złe prawodawstwo, zawsze sprzyjające panu wbrew interesom chłopa, i fałszywe teorye ekonomiczne, nie rozróżniające dobrobytu ogólnego od absolutnego bogactwa narodu, wszystko to przyprowadziło Europę nad brzeg przepaści, doprowadziło ją do stanu, który się streszcza w jednym wyrazie „*proletaryat*".

Kwestya robocza—to kwestya wydziedziczonego rolnika, to kwestya rolna. Robotnik europejski co roku jest w coraz gorszej pozycyi, i jeślibyśmy nawet stwierdzili, że ilość żywności, jaką nabyć może za swój zarobek, stale się powiększa, to, biorąc na uwagę ogół jego potrzeb, dziś dowieść można, że wydatki jego na mieszkanie, światło, odzież, opał, etc. etc., rosną szybciej, aniżeli jego zarobki. Los jego stale się więc pogarsza, a pozycya jego ogólna tem szczególniej staje się bez wyjścia, że stosunek zarobków do ceny ziemi odejmuje mu coraz bardziej nadzieję zostania kiedykolwiek

jej właścicielem—pracowania dla siebie [1]). Emigracya, ten smutny objaw, trwający już wieki, w którym człowiek zrywa najdroższe mu więzy, aby szukać kawałka wolnej ziemi, wtedy, kiedy we własnym jego kraju całe przestrzenie leżą nieuprawne lub źle uprawne—jest objawem tej ciężkiej i strasznej choroby społecznej, od którego książe rozpoczyna i którym kończy swą pracę.

Jedną z kwestyi, którą zupełnie bezcelowo zajmują się ekonomiści, jest, zdaniem Wasilczykowa, kwestya t. zw. małej i wielkiej własności ziemskiej. Ważniejszą od niej jest kwestya; kto ziemię uprawia? kto uprawą kieruje: właściciel czy dzierżawca?

Praca, powtarza książę z naciskiem, wtedy tylko jest wolną i produkcyjną, kiedy producent jest właścicielem środków producyi, kiedy rolnik jest właścicielem ziemi. Taka praca—i to już książę twierdzi bez przytoczenia nawet cienia dowodu—daje produkty o 25 o 33 procent większe od pracy najemnej. Połączenie wielkiej własności z drobną, krótkoterminową dzierżawą, szczególniej, jeśli między właściciela a dzierżawcę wsuwa się pośrednik, „*middleman*", wyzyskujący obie strony, oszukujący właściciela i obdzierający chłopa, jest stosunkiem najgorszym, prowadzącym do niechybnej ruiny rolnictwa w kraju. W krajach, gdzie rolnictwu grozi takie zwyrodnienie stosunków (Irlandya), rząd ma prawo i obowiązek interweniowania i nie powinien stosunków agrarnych pozostawiać uregulowaniu przez „zwyczaje miejscowe", których nikt nie zna, a które każdy nagina do własnych interesów. Jednym z najczęstszych błędów w Rosyi, zdaniem księcia, jest to, że sądzą, iż praw jest za dużo, „że reglementuje się" za nadto. Rzecz się ma przeciwnie: przepisów prawa—szczególniej w sferze stosunków włościańskich—jest za mało, stosunki te wymagają poprawy i dopełnienia.

„Mirska" własność ziemi jest siłą niespożytą, elementarną, która chroni Rosyę od proletaryatu, t. j. od kwestyi socyalnej i, należycie uregulowana, w przyszłości uchronić ją może od tej klęski. Złe, jakie ona za sobą prowadzi, nie wynika z natury tej formy własności, ale ze złego jej zrozumienia i wykonania, ze zbyt częstych podziałów ziemi. Jeśli prawodawca drogą odpowiednich przepisów podziały te ureguluje, „mir" w niczem postępowi rolnictwa przeszkadzać nie może. Należy tylko zapobiedz częstym podziałom i zapewnić wynagrodzenia za melioracye, a wtedy stosunek włościa-

---

[1]) Książę oblicza, że dziesięcina ziemi kosztuje dni roboczych: w Anglii 1660, we Francyi 1250, w Niemczech 423, w Ameryce 7.

nina do miru w niczem różnić się nie będzie od stosunku angielskiego fermera do landlorda. Klęską równie doniosłą, jak częste podziały, jest absenteizm właścicieli folwarków oddawanie gruntów folwarcznych w arendę kupcom, którzy ziemię drobnemi cząstkami wydzierżawiają okolicznym włościanom, zarabiając na tem 75, 100 i 300%. I pan, i chłop—mówi książę—zmówili się, aby wyjałowić ziemię — dzikim, barbarzyńskim. systemem gospodarowania. Największa w tem wina właścicieli dóbr, którzy, uganiając się za łatwym zarobkiem na urzędzie, porzucili majątki i zamiast służyć za przykład gospodarowania włościanom oddają swą ziemię w dzierżawę hurtem pośrednikom, wysysającym krew z chłopa. Wycięcie lasów, rozoranie łąk, zmniejszenie ilości inwentarza rolnego są to zatrważające oznaki, które winny skłonić rząd do interwencyi, do wydania rozporządzeń, których treść książę proponuje.

Oprócz uregulowania podziałów (ustalenia ich terminów i zapewnienia wynagrodzenia za melioracye) należy, zdaniem księcia [1]), określić prawem:

1-o że właściciel, oddający ziemię w dzierżawę, traci cenzus majątkowy przy wyborach do ziemstwa, a włościanin traci głos na zebraniu gminnem;

2-o że umowy o dzierżawę ziemi z terminem krótszym niż 3-letni nie mają prawnej wartości, a wszelkie umowy z terminem 3-letnim i dłuższym od tegoż muszą zawierać warunek, że dzierżawca ma prawo kontrakt przedłużyć na dalsze 3-lecie, przy podniesieniu ceny dzierżawy o pewną sumę, w procentach od sumy początkowej dzierżawy określoną (2%);

3-o że dzierżawca ma prawo żądać wynagrodzenia za melioracye;

4-o że dzierżawca nie ma prawa ustępować dzierżawy i brać od poddzierżawcy większej ceny dzierżawnej, niż ta, którą sam zapłacił.

Książe nie wątpi, że takie naruszenie prawa własności wywoła wściekły opór ze strony tej klasy próżniaczych właścicieli ziemskich, którzy od wieków schronili się do stolicy lub marnują kolosalne swe dochody z renty ziemskiej za granicą; nie zastanowia się jednak nad wykonalnością tych przepisów, wykonalnością więcej, niż hypotetyczną

Niedostatek, brak zamożności śród rolników rosyjskich wywołany jest, zdaniem księcia, w pewnej części i złem prawodawstwem

---

[1]) L. c., t. II, str. 107.

finansowem. Włościanin płaci podatku z dziesięciny 1 rb. 64 kop. (za czasów księcia było w tem poduszne), a dochody jego z ziemi średnio nie wynoszą więcej nad rb. 1 kop. 63. Właściciele dóbr płacą mniej, o wiele mniej, jak książę oblicza, czasem dwadzieścia razy mniej.

Ilość roli, jaką posiada włościanin rosyjski, zdaniem księcia, jest raczej za dużą, niż za małą. Książę rozróżnia przestrzeń roboczą i przestrzeń spożywczą normalnego gospodarstwa włościańskiego (*Arbeitsfläche* i *Nahrungsfläche*). Pierwsza to *maximum* przestrzeni, jaką obrobić może bez najmu rodzina, złożona średnio z $1\frac{1}{2}$ robotnika męskiego lub 3-ch głów roboczych płci obojej. Druga przestrzeń, spożywcza—normalna, potrzebna dla dostarczenia rolnikowi do zaspokojenia jego potrzeb: pożywienia, odzieży, podatków, etc. etc. etc. Zdaniem jego prawodawstwo r. 1861 nie powinno było brać za podstawę przestrzeni spożywczej, ale przestrzeń roboczą. Przestrzeń ta wynosi na jednego robotnika w Anglii około 8, w Niemczech około 10-ciu dziesięcin. W Rosyi, ponieważ sezon roboczy w rolnictwie jest o 3—4 miesięcy krótszy, przestrzeń ta powinna być mniejszą (!) i wynosi 6—7 dziesięcin na robotnika męskiego. Tymczasem w Rosyi na 13 do 14 milionów robotników włościańskich wypada 122,700,000 dziesięcin, czyli po 8,71 do 9,38 dziesięcin ziemi tylko włościańskich [1]). Jest to za dużo, i w tem kryje się powód i przyczyna ekstensywności i rabunkowości rolnictwa włościan. Włościanin rosyjski nie uprawia dobrze roli, bo nie ma na to czasu. W epoce reform sądzono, że „chłop“ wszystko uprawi, wszystkiemu podoła, że niema dla niego za ciężkiej pracy. Fakta, zdaniem księcia, zaprzeczyły tej tezie. Nie dowodzi to bynajmniej, zastrzega się książę, aby w pewnych okręgach państwa włościanin nie miał tej ziemi za mało. Owszem, tak jest, i z tych okręgów powinna nadmierna część ludności być przeprowadzoną na urodzajne stepy za Wołgą i Uralem, i na rozważaniu obowiązków rządu odnośnie tej kolonizacyi kończy ks. Wasilczykow swą pracę.

Musimy jeszcze dotknąć paru szczegółów, przytoczyć argumenty, którymi walczy książę.

Autor sądzi, że gdyby mirskie władanie ziemią nie było formą prastarą, to należałoby dowieść, gdzie, kiedy i dlaczego ono powstało. Sądzi też, że przechowanie się jego na północy Rosyi, w prowincyach, które zaludniały się samorzutnie, najpóźniej, i których władza

---

[1]) Wasilczykow, t. II, str. 99.

administracyjna w XVII i XVIII w. prawie nie dosięgała, jest najlepszym dowodem narodowego, żywiołowego ich pochodzenia. Prawodawca rosyjski XVI i XVII nie mieszał się do spraw wewnętrznych gminy, nakładał podatki na włość, pozostawiając ich rozkład członkom włości, i żaden akt rządowy takiego władania ziemią gminy nie sankcyonuje i nie zaprowadza.

Jest rzeczą dla księcia niewątpliwą, z natury rzeczy wynikającą (ten argument uwalnia księcia od przytoczenia wszelkich innych), że kolonizacya północy, w klimacie tak surowym i na gruntach tak niewdzięcznych, śród lasów tak nieprzebytych nie mogła się odbywać inaczej, jak wspólnemi siłami, gromadą, i rezultat tej pracy kolonizacyjnej — ziemia, rola był też własnością gromady, która każdemu z członków wydzielała na użytkowanie część równą zdobytej ciężką pracą ziemi.

Wspólna własność wstrętna człowiekowi, jeśli jest komunistyczną lub służy za środek wyciskania podatków, w formie mirskiej własności jest śród włościan lubiana i weszła w krew ich. *Podział na dusze nie jest urządzeniem* pierwotnem: wywołało go „poduszne", a *formą prastarą jest podział na tiagło.* Każda nowa rodzina upomina się u gromady o swoją część gruntu bez względu na to, czy rodzice jej żyją; nie wyczekuje śmierci ojca, aby dostać kawał roli, ale dostaje go za jego życia i nie od niego, ale od miru.

O własności ziemi indywidualnej w Rosyi najdawniejsze pomniki prawa nic nie mówią. Nie ma o niej wzmianki w „Russkiej Prawdzie". W epoce Państwa Moskiewskiego, gdy we włości są puste osady—a w tej epoce puste osady zdarzają się często—włość osadza w nich gospodarzy; włość zapewnia im swobodę od podatków na pewien czas; włość gra rolę właściciela, a właściwie reprezentuje właściciela ziemi, którym w gruncie rzeczy jest tylko monarcha. W dokumentach historycznych nie można szukać dowodów, że mir istniał, bo to była forma prastara, na obyczaju oparta, i gdyby pojawiła się w epoce po XV wieku, byłoby jej zjawienie się w dokumentach ślad zostawiło. W dokumentach i księgach XVI i XVII w. gospodarstwa we wsi nie są sobie równe, ale zależało to od okoliczności i woli gospodarza, czy mógł, czy nie mógł obrobić całej przestrzeni *tiagła—wyti.* Jeśli mu umierała żona i dzieci szły „na swoje", mógł oddać gromadzie $^1/_4$, $^1/_2$ i $^3/_4$ *tiagła* v. *wyti*, a sobie zatrzymać $^3/_4$, $^1/_2$ lub $^1/_4$ „na przeżycie (*prokormlenie*)".

Zwolennicy własności indywidualnej zarzucają mirskiemu władaniu ziemią przedewszystkiem drobienie ziemi, powiększanie

szachownic i wstrzymywanie wszelkiego postępu z powodu niepewności trwania posiadania. Oba te zarzuty są, zdaniem księcia, niesłuszne. Szachownica przy własności indywidualnej istnieje tak dobrze, jak przy mirskiem władaniu ziemią, a nawet jest trudniejszą do usunięcia, bo wymaga zmiany tytułu własności, kiedy przy mirskiej własności może być usuniętą przy pierwszej repartycyi gruntów. Postęp w rolnictwie utrudnia nie wspólny tytuł własności, ale częste repartycye i „*pieredieły*", które ograniczyć należy z zapewnieniem wynagrodzenia za melioracye. Porównanie stanu kultury rolnej w centralnych, wschodnich i północnych guberniach, gdzie przeważa mirskie władanie ziemią, ze stanem kultury w Małorosyi i w guberniach zachodnich, gdzie przeważa własność włościańska indywidualna, „podworna", nie mówi nic na korzyść którejkolwiek z tych form własności—owszem, jeśli czegoś dowodzi, to tylko na korzyść własności wspólnej, bo na zachodzie i proletaryat wiejski jest liczniejszy i zarobki jego niższe. Ks. Wasilczykow twierdzi, że sfery decydujące o reformie r. 1861 były mirskiej własności przeciwne. Zdanie księcia w tej mierze jest dość wiarogodne, bo sam w pracy tej udział przyjmował. Niechęć ta wyraziła się w pozostawieniu gminom wolności wyjścia ze wspólnego władania mocą prostego postanowienia „miru". A jednak z zezwolenia tego nie korzystano prawie wcale, nieraz spisano postanowienie o podziale ziemi i nie wykonano go zupełnie, często, wykonawszy, wracano do wspólnej własności. Przykłady zaprowadzenia wspólnej własności w gminach, posiadających dotąd ziemię we własności indywidualnej—jak np. między kolonistami niemieckimi gub. saratowskiej—były nierzadkie. Śród gmin rosyjskich wzmaga się przekonanie o szkodliwości częstych podziałów, a gdy to przekonanie się ugruntuje i rozszerzy, gdy podziały wykonywać się będą co lat 10, 20, a może 30, cała szkodliwość mirskiego władania ziemią będzie prostą fantazyą. Włościanina gnębi solidarna odpowiedzialność za podatki i częste podziały, ale nie mirskie władanie ziemią. Autor mówi, że nawet śród włościan gubernii kijowskiej, wołyńskiej i podolskiej, gdzie obowiązują małorosyjskie przepisy miejscowe i istnieje własność indywidualna, zdarzają się podziały ziemi, nie cytuje jednak ani miejscowości, ani czasu.

V.

Dzieło ks. Wasilczykowa, w chwili gdy opuszczało prasę drukarską, było już dla znacznej części ekonomistów rosyjskich prze-

starzałem. Opierało się ono na teoryach t. zw. klasycznej szkoły ekonomistów, teoryi, którą stojący na wysokości *najnowszej nauki* ekonomiści uważali za złożoną do archiwum akt dawnych.

W r. 1867 ukazał się pierwszy tom „Kapitału" Marxa, tom, który, jak wiadomo, wzniecił największy zapał i zjednał jego teoryom największą liczbę zwolenników. Zapał ten osłabł znacznie po ukazaniu się tomu II-go (r. 1885) i obniżył się prawie do zera po wyjściu tomu III-go (r. 1894); w latach jednak 1870—1875 „Kapitał" cieszył się śród młodych ekonomistów całej Europy największem powodzeniem, i na te lata przypadają pierwsze próby połączenia teoryi Marxa z teoryami „miru", próby, z których powstała w Rosyi nowa szkoła obrońców wspólnej własności ziemi, szkoła „ludowców" — „*narodniki*". Szkoła ta, daleka od subiektywnego pojmowania filozofii historyi, przeniosła środek ciężkości swych badań z przeszłości na przyszłość, nie szukała usprawiedliwienia miru, jak słowianofile — w historyi, ale starała się przewidzieć, jakim będzie dalszy rozwój organizacyi ekonomicznej społeczeństwa, i oceniała wspólną własność ziemi z punktu widzenia tej właśnie przyszłej, prawdopodobnej, czy też koniecznej organizacyi.

Ludowcy jednak nie byli ślepymi adoratorami Marxa: przyjmowali oni jego teorye z pewnemi zastrzeżeniami, wskutek których stoją oni bliżej t. zw. szkoły „katedralnego socyalizmu", aniżeli czystej szkoły Marxa. Uznają oni, że wartość prócz pracy ma jeszcze i drugorzędne źródła, a co jeszcze ważniejsze, sądzą, że w ewolucyi społecznej oprócz czynników czysto ekonomicznych grają jeszcze rolę elementa intelektualne—rozwój nauki—„krytycznie rozwinięte indywiduum", które wpływem swoim na rozwój stosunków ekonomicznych oddziałać może i powinno.

Przekonana o dążeniu ludzkości do coraz to sprawiedliwszego podziału dóbr ekonomicznych, do podziału, przy którym podstawą wymiany byłaby wartość, odpowiadająca ściśle ilości włożonej w dobra ekonomiczne pracy, szkoła ta zaprzecza konieczności jednakowego przebiegu ewolucyi społeczno-ekonomicznej dla całej ludzkości i sądzi, że dla narodów, opóźnionych w swym rozwoju, istnieje możliwość ominięcia pewnych stadyów tego rozwoju i świadomego kierowania ewolucyą ekonomiczną. Widząc ideał ludzkości w uspołecznieniu narzędzi produkcyi i oceniając całą nędzę obecnego ustroju ekonomicznego, opartego na kapitale, szkoła ta sądzi, że Rosya może ominąć epokę kapitalistyczną, uniknąć „sproletaryzowania" ludności rolnej, zatrzymując i poprawiając organizacyę gminy.

„Trzeba więc dbać, jak o źrenicę oka, o ten nierozwinięty jeszcze, ale cenny zaczątek prawidłowej organizacyi społecznej i nie śpieszyć się ze zmianami, dopóki wszystkie właściwości jego nie będą zbadane ściśle i wszechstronnie" [1]).

Naturalnym wynikiem tego zapatrywania się na własność gminną jest to, że powstanie i dzieje własności gminy schodzą na drugi plan, a najważniejszem jest zbadanie ekonomicznych skutków wspólnego władania ziemią. Pogląd na tę własność wiąże się ściśle z całością poglądów ekonomicznych tej szkoły, i dlatego dla jej zrozumienia uważamy za najwłaściwsze streścić go podług pracy b. prof. Uniwersytetu Warszawskiego, Iwaniukowa, w którego książce, obejmującej całokształt nauki ekonomii politycznej, sprawom wspólnej własności gminy i stosunkom włościańskim w Rosyi poświęcono rozdział V ks. I [2]) i część rozdziału II księgi czwartej, t. j. 1/8 całego dzieła.

W społeczeństwach pierwotnych — mówi profesor Iwaniukow w formie akryoomatu, nie ulegającego zakwestyonowaniu—nie spotykamy indywidualnego prawa własności nie tylko nieruchomych, lecz nawet i ruchomych dóbr. Przyczyną powstania własności indywidualnej jest wyosobiona praca, i jako ślad tego pochodzenia przechował się w pojęciach ludu pogląd, że tylko praca jest jedynym, całkowicie słusznym sposobem nabycia prawa własności. Odstąpienie od tej zasady w prawodawstwach ludów cywilizowanych wynikło z tego, że pisali te prawa przedstawiciele klas posiadających, którzy wzorowali się na prawie rzymskiem więcej, niż na zasadzie pracy. Zasada pracy utrzymała się tylko częściowo w Rosyi, Serbii i Bulgaryi, gdzie większą część ludności stanowią włościanie i gdzie wskutek tego zachodzi większa łączność między pracownikiem i produktem jego pracy, niż w Europie zachodniej. Opierając się na pracach pani Eflmienko (o której wspomniemy poniżej), autor twierdzi, że w umyśle włościan rosyjskich ziemia nie jest produktem pracy, a tem samem i nie powinna być obiektem bezwarunkowego prawa własności, takiego prawa, jakie posiada każdy robotnik względnie do produktu swej pracy. Dlatego też w umyśle ludu rosyjskiego, wielkorosyjskiego i małoruskiego istnieje jakiś ideał *„czornawo pieredieła"*, ogólnego podziału ziemi, przekonanie o konieczno-

---

[1]) Iwaniukow. „Ekonomia Polityczna", przek. polski. str. 189.

[2]) Rozdział ten, jak nas zapewnia autor w przedmowie, był przeglądany i poprawiany w rękopisie przez K. D. Kawelina, autorytet naukowy kwestyi historyi prawa rosyjskiego.

ści takiego podziału; a czy w danej chwili właścicielem ziemi jest gmina czy indywiduum, to wszystko jedno; prawo do ziemi łączy się bezwarunkowo z pracą, użytą do jej uprawy. „*Summum jus*" do ziemi spoczywa w ręku władzy najwyższej, i dlatego włościanin spokojnie patrzy na obecny porządek rzeczy w przekonaniu, że władza najwyższa czeka tylko sposobności, aby urzeczywistnić prawo robotnika do ziemi. Nawet w Małorosyi, znanej ze swego indywidualizmu i przysłowia „*hurtowe-czortowe*", oczekują „słusznego czasu" podziału ziemi między chłopów. Dla rezultatów pracy ludzkiej, dla własności produktu włościanie żywią—mówi autor—„religijny szacunek", ale w latach nieurodzaju—mówi o 15 wierszy dalej—biedni *samowolnie pożyczają* od bogatych to, czego potrzebują, a po 2-ch lub 3-ch latach zwracają im w większej ilości, kładąc na tem samem miejscu.

Większa część przedmiotów, jakie są w gospodarstwie włościańskiem (mowa tu o inwentarzu gospodarczym żywym i martwym) są własnością zbiorową, rodzinną, i dlatego właściwie niema dziedziczenia, ale podział własności wspólnej. Uczestniczący w spadku, a raczej w podziale są nietyle członkami rodziny, ile członkami asocyacyi robotniczej i udział ich w tej własności jest proporcyonalny raczej do udziału w pracy, niż do stopnia pokrewieństwa. Synowie i bratankowie otrzymują jednakowe części, gdyż pracowali jednakowo.

W przekonaniu p. Iwaniukowa władanie ziemią przeszło przez 3, kolejnie po sobie idące formy, formy, które rozróżnił Samarin: wspólna, mirska i indywidualna. Nie objaśnia jednak nas przytem, czy uważa te formy za konieczne, powszechne stadya rozwoju, czy też za specyficznie rosyjskie.

Przyczyny ewolucyi, rozkładu własności gminnej na indywidualną są wewnętrzne i zewnętrzne, a z nich najważniejsze: z wewnętrznych — wzrost intensywności rolnictwa, z zewnętrznych — prawodawstwo.

Im bardziej gospodarstwo staje się intensywnem, tem więcej każdy nowy podział narusza interesy skrzętnych rolników na rzecz niedołężnyyh—mówi Iwaniukow—i dlatego rozkład własności gminy na zachodzie Europy dokonywał się zwolna, w miarę zwiększającej się intensywności, przez odraczanie terminów i usunięcie niektórych części gruntu od podziałów. Ewolucya taka—mówi autor (a opiera się w tem na pracach Orłowa, statystyka gub. Moskiewskiego ziemstwa)—odbywa się i w Rosyi. Podziały peryodyczne w długich

odstępach czasu są ogólnem zjawiskiem w tych włościach, w których grunta są lepiej uprawne i mają stosunkowo większą wartość. Naodwrót w tych włościach, które odznaczają się dużym obszarem gruntów, złą ich uprawą i nizką ceną dzierżawną, praktykują się często nowe podziały, czasem są nawet one bezterminowymi. W Rosyi zagroda—osada, oddawna już wyłączona jest od podziału; a grunty, około domu położone, sady, ogrody, konopniki, tylko w niektórych miejscowościach należą do podziału.

Różnice w produkcyjności gruntów w powiecie moskiewskim są bardzo znaczne—dają one od 50 do 1000 rubli dochodu, i wobec tego istnieje bardzo wyraźne dążenie do wyłączenia ich z podziału, albo w razie podziału, do ściągnięcia z gospodarzy, którym je dano w posiadanie, odpowiedniego wynagrodzenia (sprawa w r. 1870 we wsi Czarkanow). Niemniejszą też wadą tego władania ziemią jest tworzenie się szachownic i przymus w płodozmianie. Te właśnie przyczyny wywołały upadek wspólnego władania ziemią w Europie, a prawodawcy pod wpływem idei ekonomii manchesterskiej ułatwili ten upadek.

Sprawę historycznego pochodzenia własności gminnej prof. Iwaniukow uważa za załatwioną ostatecznie. „Teraz, gdy wiemy, że władanie gminne istniało u wszystkich narodów", niema powodu dowodzenia istnienia jego specyalnie dla Rosyi, a dowodzenie Czyczeryna, że jest ono rezultatem poddaństwa i solidarnej odpowiedzialności za podatki, „straciło na wartości". Poddaństwo i system podatkowy rosyjski przyczyniły się tylko do utrzymania w Rosyi tej formy władania aż do naszych czasów. W innych warunkach historycznych, w Małorosyi, na Litwie mir zniknął.

Pomieszanie pojęć w kwestyi gminnego władania ziemią pochodzi głównie, zdaniem Iwaniukowa, z tego źródła, że powszechnie uważa się, jakoby istniejąca obecnie w Rosyi forma tego władania w zupełności wyczerpywała treść władania gminnego. *Peryodyczne podziały ziemi nie stanowią istoty gminnego władania* ziemią, i ocena drobienia ziemi, szachownic i trójpolówki nie może wpływać na ocenę tej formy władania ziemią. Gminne władanie ziemią pozwala na różne formy użytkowania z ziemi, a między innemi i na takie, któte odpowiadają wymaganiom najwyższej kultury. Wyjaśnienie tej zasadniczej myśli uważa p. Iwaniukow za rzecz najwyższej wagi.

Jeśli tylko formy władania ziemią nie odpowiadają wymaganiom kultury, muszą niezawodnie ustąpić. Rolnictwo w Rosyi znaj-

duje się obecnie w chwili podobnego przesilenia, ale zniesienie władania gminnego nie jest koniecznością i władanie to może zmienić tylko swą formę; kierunek, w jakim zmiana powinna nastąpić, wskazuje rozpowszechnienie się upraw wspólnych (*obszczestwiennyja zapaszki*). Przyszłość tylko pokaże, czy z biegiem czasu własność wspólna przyjmie charakter *uprawy kooperacyjnej*, czy też rozpadnie się na własność prywatną, a losy te zależą w znacznej części od tego, czy państwo i szkoła—te dwa ważne czynniki życia społecznego—będą się opiekować władaniem gminnem, czy też przyczynią się do jego upadku.

Dla p. Iwaniukowa głównem zadaniem ekonomisty jest przekonać się, czy i o ile wspólne władanie ziemią jest zgodne z postępem kultury, jakie są ekonomiczne dodatnie i ujemne strony jego, i dlatego wielką on przywiązuje wagę do rezultatów badań p. A. S. Posnikowa [1]), na których się w dalszym ciągu opiera.

Posnikow, porównywając istniejące formy organizacyi rolnej w Anglii, Prusach i w Rosyi, przychodzi do przekonania, że władanie gminne ziemią nie przeszkadza w niczem melioracyom i postępowi kultury. W Anglii na roli pracuje fermer, a czasowość jego posiadania zgadza się i z melioracyami i z postępem rolnictwa. W tym kraju niezależności i swobody $^2/_3$ właścicieli ziemskich może zmusić pozostałą $^1/_3$ do przedsięwzięcia robót melioracyjnych na wspólny koszt, jeśli to uzna za niezbędne. Zarzut więc, że władanie gminne przeszkadza oczyszczaniu, osuszaniu, nawadnianiu pól i łąk, opiera się na fantazyi, a nie na faktach. I w Rosyi są wypadki osuszania bagien przez gminę; opowiada o jednym z nich Jakuszkin. Gmina, jako stały i nawykły do wspólnego działania związek, prędzej i łatwiej dokonać może takich melioracyi rolnych, niż niezorganizowana gromada małych właścicieli ziemskich.

Czasowa używalność wpływa niekorzystnie tylko na takie ulepszenia gruntowe, które należą do zakresu działalności indywidualnej i głównie wtedy, jeśli czasowy posiadacz nie ma nadziei otrzymania wynagrodzenia za dokonane przezeń ulepszenia. Ale temu może zapobiedz prawo (jak wiemy, już zapobiegło) przedłużeniem terminów i postanowieniem o obowiązkowem wynagrodzeniu za melioracye. Terminy 18—20-letnie podziałów są zupełnie wystarczające, aby posiadacz uznał za korzystne dla siebie wszelkie rodzaje ulepszeń gruntowych. W Anglii zwykłe terminy dzierżawy są

[1]) Posnikow „Obszczinnoje ziemlewładenie“, r. 1878.

9-o do 12-letnie, i pomimo to gospodarstwo rolne doszło do wysokiego stopnia kultury, a w najwyższym rozkwicie jest w tych hrabstwach, gdzie przyjętym został zwyczaj (?) zwrotu fermerowi po skończonym terminie dzierżawy kosztów poniesionych przez niego nakładów. Posnikow sądzi nawet, że wynagrodzenie za melioracye byłoby łatwiejszem do przeprowadzenia przy władaniu gminnem, niż przy władaniu indywidualnem.

Z pod obowiązkowego wynagrodzenia wyłączonemi tu są z natury rzeczy wszystkie te ulepszenia, które dokonane zostały wspólną pracą gminy (irygacya, osuszanie, etc.), a także i te, które dotyczą budynków i osady, które są w Rosyi w osobistem posiadaniu rodzin. *De facto* pozostałoby tylko niewiele melioracyi do uregulowania, które szczególniej przy rzadkich terminach podziałów nie byłyby trudne do uregulowania. Przeszkody, jakie się znajdą na tej drodze, leżeć będą nie w formie gminnego władania ziemią, ale w ubóstwie ludności i w jej oporze przeciw wszelkiej nowości.

Co do uprawy przymusowej, szachownic i t. d., wynikających z rozdrobnienia ziemi między wieloma użytkownikami, to zniesienie pasania inwentarza w polu, wprowadzenie zwyczaju utrzymywania go w oborze, już wiele uprości położenie. Zresztą szachownica jest także przynależytością i drobnej osobistej własności ziemskiej, a przymusowa uprawa nie powoduje wstrzymania postępu kultury.

Własność więc gminna, zdaniem p. Iwaniukowa, nie krępuje postępu. W Rosyi wogóle włościanin licho gospodaruje, ale gospodaruje tak samo tam, gdzie istnieje własność ziemi indywidualna, jak i tam, gdzie panuje wspólne władanie ziemią. Niepotrzebne zwiększanie granic i miedz, a temsamem i chwastów nie jest wyłącznie złem gminnego władania ziemią. Usuniętem być może inną metodą podziałów, jak ta, która dotąd istnieje: wyznaczaniem na użytkowanie każdemu gospodarzowi proporcyonalnego działu w każdem polu, różnem co do dobroci gleby i odległości od wsi. Nie sądzi też autor, aby zbytnia odległość pól od zagród, dochodząca niekiedy do 15 i 20 wiorst, a wywołana zbyt wielką liczbą głów w gminie i zbyt wielkim obszarem, przez jedną gminę objętym, mogła być zapisaną na karb wspólnego władania ziemią. Stosunkowo ogromna liczebność wsi wywołaną jest na północy trudnościami komunikacyi, na południu—rzadkością wody. Wody te są wadami klimatyczno-geograficznego charakteru i usunięcie ich nie da się przeprowadzić, a z powodów socyalnych byłoby niepożądane.

Co się tyczy utrudnień, jakie organizacya gminna w Rosyi stawia swobodzie jednostki w przenoszeniu się z miejsca na miejsce,

to, zdaniem p. Iwaniukowa, trudności te nie mają związku z istotą władania gminnego, ale wywołane są wymaganiami fiskalno-policyjnego charakteru. W końcu p. Iwaniukow twierdzi, że wspólne władanie ziemią nie jest bezwarunkowo związane z solidarną odpowiedzialnością gminy za podatki, solidarnością, która, zdaniem niechętnych ustrojowi gminnemu, zmusza skrzętnego i oszczędnego gospodarza do odpowiedzialności za leniwego i marnotrawnego. Zdaniem autora, przymusowa i niedobrowolna poręka oddawna wywołuje liczne i słuszne zarzuty. Pozornie związek jej z gminnem władaniem ziemi jest przypadkowy, zależny od okoliczności podrzędnych, a to tem więcej, że solidarna odpowiedzialność za podatki (nie sumy wykupowe) istnieje i tam, gdzie niema gminnego władania ziemią. Nawet w miastach i osadach płacono do r. 1763 pogłowne pod solidarną odpowiedzialnością wszystkich opodatkowanych.

Mimo to na tej samej stronicy autor mówi, że gminne władanie ziemią „*w zasadzie zawiera obowiązkową solidarną odpowiedzialność, jako swe następstwo konieczne*"; że jeśli właścicielem ziemi jest gmina, to cała też gmina musi odpowiadać za każdego swych członków w wypadkach podatkowej zaległości.

Złe następstwa solidarnej odpowiedzialności leżą nie w tej odpowiedzialności, ale w nadmiernej wysokości podatków i sum wykupowych, przewyższających często dochód z ziemi.

Zamiana solidarnej odpowiedzialności na zabezpieczenie podatków wprost ziemią mogłaby, zdaniem p. Iwaniukowa, być tylko dokonaną tam, gdzie niema sum wykupowych. Stanowi to więcej, niż połowę ludności wiejskiej. Lecz zamiana taka nie ma żadnej racyi praktycznej wszędzie, gdzie dochód z ziemi przewyższa podatek, a naraziłaby skarb na straty wszędzie, gdzie dochód ten jest niższy od podatku. Sprzedaże gruntu miałyby za skutek powiększenie „bezdomnej" ludności rolnej, t. j. proletaryatu, a jeśli się patrzy na rzeczy niejednostronnie, jeśli się wnika w ich przyczyny, to ten skutek jest jeszcze gorszym, szkodliwszym i niebezpieczniejszym, niż solidarna odpowiedzialność. Jest ona złem bez zaprzeczenia, jest ona chorobą, która dotyka gospodarzy pracowitych, zapobiegliwych i zamożnych, ale choroba ta rozwinęła się dlatego, że w ogromnej większości wypadków podatki nie odpowiadają dochodom z gruntów włościańskich.

Z powyższych danych—tak streszcza sam autor swój pogląd—wynika, że odpowiedzialność solidarna rzeczywiście pozostaje w ści-

słym związku prawnym z gminnem władaniem ziemi [1]), lecz najprzód odpowiedzialność ta nie sama przez się jest tak uciążliwą i niesłuszną, bo te cechy jej zależą od ciężaru podatków, obarczających stan włościański, a powtóre zniesienie gminnego władania i wraz z nim solidarnej odpowiedzialności włościan przy pozostawieniu teraźniejszych rozmiarów podatków, nie usuwając złego, zrodziłoby dla skarbu, społeczeństwa i państwa jeszcze większe niebezpieczeństwo w teraźniejszości i przyszłości, aniżeli niesprawiedliwość i uciążliwość odpowiedzialności solidarnej przy teraźniejszych jej warunkach [1]).

Po rozbiorze zarzutów, stawianych wspólnej własności ziemi, przechodzi autor do rozbioru jej stron dodatnich. Strony te są dla prof. Iwaniukowa tak jasne i niewątpliwe, że poświęca im zaledwie dwie stronice.

Gminne władanie ziemi nie pozwala na koncentracyę własności ziemskiej. Własność prywatna, zdaniem jego, działa szkodliwie na drobną własność: z ziemi robi towar i *wcześniej lub później oddaje masy pod władzę klas posiadających—proletaryzuje lud.* W krajach z kulturą wyższą, gdzie wydziedziczeni rolnicy znajdują zatrudnienie w handlu i przemyśle, szkodliwe wpływy indywidualnej własności ziemi w części paraliżują się, w części uchodzą z pod oka badacza. Ale w Rosyi, gdzie handel i przemysł są słabo rozwinięte i niewiele rąk zatrudnić mogą, gdzie większość ludności utrzymuje się z uprawy roli, upadek drobnej własności ziemi wpływa zgubnie na dobrobyt mas. Gminna własność usuwa przyczyny, daje mniej powodów i sposobności przeistoczenia rolnika w najemnika, proletaryusza; jest instytucyą, ubezpieczającą przed wydziedziczaniem rolników, jest jakby specyalnem zastosowaniem *praw przeciw marnotrawstwu.* Stawia ona tamę rozpasanej, nie znającej granic walki ekonomicznej interesów prywatnych i chęci nadmiernych zysków śród mas ludowych. *Zapewnia rolnikowi schronienie pewne i kawałek chleba na starość*, daje podrastającym pokoleniom możność dojścia do dojrzałości, nie narażając ich na koczowanie śród obcych na bruku miejskim.

Te dobrodziejstwa są tak wielkie, że nie można kwestyi władania ziemią w gminie rozpatrywać z samego tylko punktu widzenia produkcyjności pracy. Jeśli nie chcemy widzieć w Rosyi wcześniej lub później całych mas proletaryatu, nie powinniśmy podkopywać

---

[1]) Str. 180

zwyczaju ludowego, który zawiera w sobie wszystkie *zarodki prawidłowej organizacyi* ekonomicznej agrarnej, ale starać się o jej utrzymanie. Szczególniej w chwili obecnej, kiedy *zasada indywidualizmu rozkłada* powoli dawną organizacyę społeczną, ważnem jest, aby zasada ta nie zrujnowała tego, co stanowi trwałą podstawę dobrobytu włościanina rosyjskiego.

Nie powinniśmy zatem znosić, lecz przeciwnie, wszelkiemi siłami *podtrzymywać władanie gminne* aż do tej chwili, kiedy wyższy stopień kultury, lepsze pojmowanie prywatnych i ogólnych interesów uczynią opiekę zbyteczną. Podniesiona na stanowisko instytucyi społecznej, wzmocniona sankcyą prawodawczą, sformułowana i określona prawnie, swobodna od napływów i domieszek postronnych — gmina da możność spokojnie i szczęśliwie przeżyć trudny dla każdego narodu peryod indywidualizacyi.

Dlatego też, zastanawiając się nad postulatami realnego życia ekonomicznego, prof. Iwaniukow zastanawia się i nad tem, jakby można było wprowadzić gminne władanie ziemi i w tych okręgach państwa, gdzie go dotąd niema, „gdzie zasada prywatnej własności ziemskiej w zupełności już wyrugowała władanie gminne i zagładziła do szczętu ślady dawnych zwyczajów i nawyknień ludu wiejskiego.” Tu, zdaniem jego, należałoby powoli skupować grunta włościańskie i na podstawie postanowień gromadzkich zamieniać je na wspólną własność gromadzką. Gdy się włościanie przekonają, że sprzedane przez nich grunty pozostaną w ich bezterminowem i dziedzicznem władaniu (?), to cała operacya wyda im się korzystną, bo za zrzeczenie się prawa sprzedaży zostaną hojnie wynagrodzeni ceną równą wartości tej ziemi. Będzie to tylko zmianą tytułu własności. Przy sprzedaży tej, wedle prof. Iwaniukowa, dostaną oni całkowitą cenę ziemi i ziemię zatrzymają dla siebie. Niedokładności i złe skutki gminnego władania ziemią powinny być usunięte w miarę tego, jak się one zjawiają; tam, gdzie są szachownice, tam sposób, metoda podziału powinna być usunięta. Powinny też być określone terminy repartycyi gruntów; terminy te mogą być przedłużane, a nawet *peryodyczny podział ziemi może być usunięty*: każdy gospodarz otrzymywałby wtedy do użytkowania bezterminowego, dziedzicznego oddzielny kawał gruntu, tak, jak to ma miejsce z zagrodą. Nakoniec możliwem jest przejście do wspólnej uprawy wszystkich gruntów, do kooperacyjnego stowarzyszenia gminy przez t. zw. „uprawy wspólne”—„*obszczestwiennyja zapaszki*”. Gdyby te wszystkie formy zastosować się nie dały, gdyby wspólne władanie z pe-

ryodycznymi podziałami okazało się szkodliwem, to istnieje forma władania gminy, która łączy zalety drobnej własności prywatnej i usuwa wszystkie jej wady. Tą formą jest indywidualne użytkowanie dziedziczne z ziemi. Usuwa ono drobienie gruntów i szachownice, a nie dozwala na wywłaszczanie włościanina. Prof. Iwaniukow nie określa nam wyraźnie, na czem ta forma własności polega. Z tego jednak, co dalej mówi, wnosić należy, że różnica tej własności od własności prywatnej polega na odjęciu właścicielowi prawa sprzedaży gruntu. Wychodzący z gminy może ją przekazać członkowi tejże gminy i tylko za jej zezwoleniem. Nikt też w gminie nie może użytkować więcej, niż z jednego działu gminnej ziemi. Wydzierżawianie i zastawianie tej ziemi jest prawem wzbronione Ziemia gminna nie może być sprzedawaną na pokrycie niedoborów podatkowych. Osobistą własnością włościanina są tylko: inwentarz ruchomy, żywy i martwy, i budynki, które widocznie w przekonaniu autora są zawsze drewniane. Posiadanie jest bezterminowem, dziedzicznem, ale nie wiecznem, i za zgodą większości członków gminy odbywa się nowy podział gruntów, nowe wyznaczenie działów, zwiększanie lub zmniejszanie rozmiarów, przyczem przy każdym podziale musi być dokonane wynagrodzenie za niepokryte, niezaamortyzowane nakłady.

Narazie, zdaniem autora, należy upoważnić gminę, aby większością $^2/_3$ głosów miru mogła stanowić bezterminowe, dziedziczne użytkowanie ziemią gminną. Czy i jaki ma być termin najkrótszy repartycyi gruntów przy tej formie władania, autor nie dodaje.

VI.

Prace wspomnianej wyżej komisyi „Wałujewskiej" stwierdziły niezbicie już w r. 1872 ogólny zastój, a w niektórych miejscowościach i upadek rolnictwa. Co do środków jednak zaradzenia złemu kwestyonowano wniosek ostateczny tej komisyi: potrzebę zniesienia miru.

Wojna wschodnia i wynikłe z niej kłopoty finansowe odsunęły jednak na razie sprawę włościańską na drugi plan, i dopiero w latach po r. 1880 sfery prawodawcze zajęły się tą kwestyą. W r. 1881 wydano prawo o obowiązkowym wykupie czynszów i pańszczyzn od dnia 1 stycznia r. 1883. W roku 1883 (15 maja) umorzono 40,000,000 rubli zaległych podatków i sum wykupowych i obniżono sumy wykupowe dla 40 gubernii o 11,000,000 rb. rocznie. Jednocze-

śnie wydano prawo o rozkładzie zaległości podatkowych, ciążących na gminach wiejskich. W r. 1880 zniesiono podatek od soli, a w latach 1882—5 podatek poduszny. Sądzono, że cały ten szereg ulg pozwoli włościanom los swój poprawić.

Organizacyi jednak gminy—samego „miru"—nie dotykano się: była to niewątpliwie epoka, w której poglądy „ludowców" znalazły drogę do sfer prawodawczych, i dlatego w sferze stosunków wewnętrznych miru ograniczono się tylko do prawa (r. 1886), ograniczającego swobodę działałów rodzinnych, oddającego te działy pod decyzyę miru. Uznając tylko, że funkcyonowanie miru pozostawia wiele do życzenia, uznano konieczność wzmocnienia nadzoru rządu nad gminą i w r. 1889 zaprowadzono naczelników ziemskich.

Nieurodzaj i głód r. 1891/2 przekonał, że środki zarządzone są jeszcze niewystarczające, że same ulgi finansowe i wzmocnienie dozoru nad gminą do celu nie prowadzą. W r. 1893 wydano znów dwa prawa, wspomniane przez nas wyżej, ograniczające swobodę miru co do podziałów gruntu i utrudniające wyjście z gminy, sprzedaż i obciążanie ziemi długami (str. 84 i 319 t. I). Jednocześnie i w sferze teoretycznych poglądów na mir w szkole „ludowców" zaszła stanowcza ewolucya, z której powstała szkoła najnowsza, szkoła, którą można nazwać szkołą historycznego materyalizmu; szkoła, która, wychodząc z przesłanek wbrew przeciwnych szkole liberalnej, doszła do wniosków z wnioskami szkoły liberalnej identycznych. Szkoła „ludowców" przyszła na świat z zarodkiem śmierci: opierała się ona na teoryach ekonomicznych Marxa, w pewnej części zmienionych, upadła wskutek ścisłego zastosowania zasadniczej historyoficznej tezy Marxa do Rosyi. Sama torowała drogę przekonaniom, które byt jej podkopały.

Według historyczno-socyologicznych zasad teoryi Marxa, zwanej „teoryą historycznego materyalizmu", historya ludzkości rozwija się w fazach odpowiadających heglowskim: tezie, antytezie i syntezie — pierwotnego komunizmu, indywidualizmu i uspołecznionej organizacyi pracy, które każdy naród, każde społeczeństwo przejść musi koniecznie i niezawodnie. Czynnikami ewolucyi historycznej są wyłącznie tylko czynniki ekonomiczne: od postępów techniki i warunków naturalnych geograficznych zależy organizacya ekonomiczno-socyalna społeczeństw, z której bezpośrednio wypływa organizacya jego polityczna; a wszystko inne: religia, etyka i prawo—to tylko nadbudowa, superstruktura, wynalezione przez umysł ludzki dla wytłómaczenia, usprawiedliwienia i utrwalenia władzy jednej klasy społecznej nad innemi.

Jak Comte chciał przykroić cały rozwój ludzkości do trzech zasadniczych peryodów umysłu ludzkiego: teologicznego, metafizycznego i pozytywnego, tak samo Marx wykroił nowy szemat, oparty na wyłącznem działaniu czynników ekonomicznych. Wspomnieliśmy, że szkoła „ludowców", przyjmując zasady Marxa, zlekka je zmieniła, uznając jeszcze drugie źródło postępu: „rozwój krytycznie myślącej jednostki". W dalszym ciągu ewolucyi pojęć ekonomicznych usunięto z zasad szkoły resztki słowianofilskiego subiektywizmu, kryjące się tam pod postacią krytycznie myślącej jednostki i możliwości ominięcia pewnych stadyów społecznej ewolucyi i przyjęto w całości teoryę Marxa: konieczności jednakowego rozwoju dla wszystkich bez wyjątku społeczeństw; porzucono zatem ostatecznie grunt, na którym stała szkoła sławianofilów, i ograniczono badanie gminy wielkorosyjskiej do sprawdzenia i określenia, czem jest ona w ewolucyi rozwoju stosunków ekonomicznych w Rosyi.

Przedstawicielem tego najnowszego kierunku jest profesor ekonomii uniwers. petersb., Piotr Struve [1]. W teoretycznych swych poglądach różni się on od Marxa przedewszystkiem w tem, że usuwa z rozwoju społecznego wszelką myśl socyalnej rewolucyi, ekspropriacyi, etc. Społeczeństwo, jego zdaniem, idzie drogą powolnej, ale koniecznej ewolucyi, której pojedyńczych stadyów ani przeskoczyć, ani wyminąć nie można. W badaniach swych opiera się on (w porównaniu ze swymi poprzednikami) nie tylko na nowych teoretycznych poglądach, ale i na nowym materyale faktycznym, na wydanych do r. 1892 pracach statystycznych ziemstw gubernialnych.

Ten materyał służył Struvemu do ugruntowania swego zdania na stan obecny i przyszłość gminy wiejskiej. Przeszłość, historya, specyficzny charakter narodowy „miru" autora — jako wyznawcę teoryi historycznego materyalizmu—wiele obchodzić nie mogą.

Charakterystyczną cechą mirskiego posiadania ziemi—mówi on —jest peryodyczny, ogólny lub częściowy podział gruntów. Gdziekolwiek podziały te stają się rzadsze lub ustają, tam mir zanika i przestaje istnieć, przechodzi we własność dziedziczną, a raczej w niewypowie-

---

[1]) Porównać: „Ueber oekonomische Entwickelung" Russlands (r. 1894) i w Braun's Archiv für soziale Gesetzgebung u. Statistik tom V i VI r. 1892: recenzya wyżej wymienionej pracy statystycznej „Zbiór" etc. tom VII: rozbiór książki Nikołaj—ona i „Najnowsze prawodawstwo rosyjskie co do własności wspólnej" (str. 626) i tom XIV „Die Marx'sche Teorie der sozialen Entwickelung" str. 657--705.

dzialną, bezterminową, dziedziczną dzierżawę. Badania statystyków ziemskich, zdaniem Struvego, dowodzą, że zwolna 1-o masa włościaństwa różniczkuje się i dzieli na bogatych i biednych, na wiejskich kapitalistów i proletaryat, i 2-o że podziały stają się coraz rzadsze. Ten drugi objaw powolnego posuwania się ku władaniu indywidualnemu Struve uważa za nieunikniony i nawet z punktu widzenia socyalnego pożądany. Gmina, jako obiekt socyalnego badania, powstała i trwa pod wpływem państwa, a szczególniej skarbu, a jej historya jest ściśle związana z historyą systemu podatkowego.

Przed r. 1861 gmina żyła tylko w dobrach skarbowych, i to z wyjątkiem gmin, które zdegradowano do stanu włościańskiego (jednodworcy—u Haxthausena), i z których bardzo niewiele wspólną własność akceptowało. W dobrach prywatnych obywatel decydował o wszystkiem, a nie gmina.

W umyśle włościanina rosyjskiego idea własności ziemi z trudnością się zaszczepia; uznaje on ją odnośnie do osób trzecich o tyle, o ile opiera się ona na pracy, faktycznem posiadaniu i zrywa ideę równości między członkami gminy. Podatkowy system, wkładający pewną sumę podatków na gminę i pozostawiający gminie jej rozkład na oddzielnych gospodarzy, działa w tym samym kierunku. Pojęcie prawa własności mirskiej pozostaje pod wpływem idei pierwotnej komunistycznej równości i „duszy skarbowej", a objaśnienie mirskiego posiadania ziemi tylko jednym z tych elementów musi być niedostatecznem. W okręgach, gdzie okupacyi ziemi dokonano w czasach pierwotnych, mogła własność ziemska rozwinąć się wprost z idei komunistycznego posiadania.

Zastanawiając się nad pytaniem, czy i o ile „mir" zasługuje na poparcie i ochronę, i czy ta ochrona zgadza się z kapitalistycznym rozwojem Rosyi, Struve sądzi, że prawodawstwo może proces proletaryzowania się włościan co najwyżej opóźnić i zrobić go przez to samo jeszcze boleśniejszym; ale usunąć go nie może, bo wynika on z górującego ponad wszystko procesu produkcyi. Cele i środki dzisiejszej polityki włościańskiej wtedy tylko jasno oświecone zostaną, jeśli się zrozumie, że niema możliwości wszystkich, obecnie żyjących producentów, jako takich, utrzymać. W tym kierunku prawodawca powinienby nietylko dozwolić pojedyńczym włościanom wykupywać się z gminy nawet bez jej zezwolenia, ale i zabronić wszelkiego nowego podziału gruntów i zarządzić kadastr ziemski w połączeniu z usunięciem szachownic i przyznać własność ziemi gminie lub całe-

mu narodowi, a prawo dziedzicznej dzierżawy poszczególnym gospodarzom. Ale takie środki wydają się Struvemu bardzo trudne, i przy dzisiejszym stanie cywilizacyi nawet niemożliwe ze względów ekonomicznych, prawnych i socyalnych. Prawodawca, zdaniem jego, ma do wyboru: albo własność gminną tak, jak ona jest, lub własność indywidualną, a ze względów socyalnych i ekonomicznych prof. Struve woli już tę ostatnią. Silny stan włościański może się rozwinąć tylko na gruzach dzisiejszego miru. Głód r. 1891/2 przywrócił w wielu okręgach idealną równość między członkami gmin. Dowiódł on ważności momentu produkcyi. Dalsze zachowanie wspólnego posiadania jest już błędem: gminne posiadanie nie jest kotwicą zbawienia dla przeciętnego, statystycznego, średniego włościanina; ażeby zaś ta własność miała do postępów rolnictwa pomagać, tego nawet jej obrońcy nie twierdzą. Ani własność gminna, ani inne środki socyalnego prawodawstwa nie uratują niezależności uboższych warstw włościańskich; szkodzą one tylko zamożniejszym i średnim, powstrzymując lub nie dopuszczając przystosowania się ich do zmieniających się warunków życia ekonomicznego. Utrzymywanie śród włościan równości sprowadzi tylko smutne następstwa i wyda cały świat włościański na łaskę i niełaskę kapitału.

Im prędzej społeczeństwo rosyjskie postępować będzie na drodze kapitalistycznej, tem prędzej zaniknie w nim i duch, i forma prawna gminy, i tem łatwiejsze będzie przejście, nie dające się nigdzie na świecie uniknąć, przez indywidualizm do kolektywizmu.

Najdobitniejszym dowodem rozkładu gminy rosyjskiej jest dzierżawienie przez włościan ziemi włościańskiej, oddawanie przez biednych ziemi bogatszym za pewną cenę. W trzech powiatach gub. taurydzkiej więcej, niż $^1/_4$ własności gminnej, w gub. samarskiej więcej, niż $^1/_{10}$ tej własności są w takiej dzierżawie.

Struve nie sądzi, aby przyczyną biedy śród włościan był brak ziemi, i aby nędzy dało się zaradzić przez powiększenie własności gminnej kosztem własności indywidualnej. Jest to tendencya utopijna, nie rachująca się z tem, że Rosya idzie do indywidualizacyi własności ziemskiej i że jej na tej drodze nic powstrzymać nie może. Kapitalizm to siła elementarna, której i władza państwowa nie powstrzyma. Do dziś dnia w rosyjskiej literaturze ekonomicznej przeważa sentymentalizm, traktujący, jako wstecznika i antidemokratę, każdego, który nie idzie za utopijnymi ideałami słowianofilów, które nie miały ani historycznej, ani socyologicznej (teoretycznej) podstawy. Mniemanie, że chłop rosyjski jest urodzonym kolektywistą—

tuła się dotąd, jak mara, i zaciemnia poglądy pisarzy naukowych. Tylko przez rozwój przemysłu można dać zajęcie masom rolników, których rolnictwo już nie potrzebuje, i którzy na stanowisku niezależnych przedsiębiorców rolnych utrzymać się nie mogą.

Przesilenie w dzisiejszym gospodarstwie włościańskiem rosyjskiem ma wielce rozmaite i skomplikowane źródła i dotychczasowy rozwój przemysłu i kapitalizmu mało z nim ma do czynienia. Drogi żelazne podkopały gospodarstwo naturalne włościan, co razem z psychicznym wpływem zniesienia poddaństwa znacznie podniosło procent zwiększania ludności w latach 1860—70. W latach 1834—58 ludność słabo się powiększała, a ilość poddanych nawet zmiejszyła się; podatki i czynsze stale podnosiły się; postępu w rolnictwie nie było żadnego i grunta jałowiały. Rozwój po r. 1861, drogi żelazne, przemysł, rozszerzały zakres gospodarstwa pieniężnego, wymiennego, i stworzyły dla Rosyi epokę przejściową, w której gospodarstwo naturalne jeszcze istnieje na większej przestrzeni rolniczej Rosyi, a jego nizki stan wpływem kapitalizmu objaśnić się nie da. Nędza włościańska wynika ze wzrostu ludności, której nie towarzyszyło zwiększenie produkcyjności i której zabrakło swobodnej pod uprawę ziemi. Czwarta część, a może połowa włościan rosyjskich dokupuje ziarno na własne potrzeby, a to dlatego, że społeczeństwo jest mało zróżniczkowane, co prowadzi za sobą małą produkcyjność pracy.

Dalszy rozwój Rosyi wymaga koniecznie większego zróżniczkowania ludności, rozwoju gospodarstwa, sproletaryzowania pewnej części włościan i wytworzenia z pozostałej silnego stanu chłopskiego, wzrostu miast i przemysłu, jednem słowem, przerodzenia się Rosyi z państwa rolniczego na państwo—jak je określił jeszcze List—rolniczo-przemysłowego (*Agricultur-manufakturland*).

Postęp kultury rolnej, wzmocnienie produkcyjności ziemi jest dla rolnictwa w Rosyi kwestyą kardynalną. Nie może on jednak mieć miejsca bez usunięcia gospodarstwa naturalnego i przetworzenia potrzeb rolnika. Wymaga to wytworzenia się małej burżuazyi włościańskiej (*sic!*—ma to być małych kapitalistycznych gospodarstw rolnych), której interesy będą z interesami mieszczaństwa w miastach wspólne. W Rosyi kapitalizm nie upada, ale się dopiero rodzi, i tu Struve, mówiąc o dalszej fazie rozwoju kolektywizmu, twierdzi za Engelsem, że jest historyczną niemożliwością przechodzić do stopni wyższych rozwoju, pomijając stopnie pośrednie. Pierwotne formy rodowego kolektywizmu mają z kolektywizmem przyszłości tylko to wspólnego, że pewne produkty i środki produkcyi są własnością

pewnych grup społecznych, ale mimo to kolektywizm przyszłości nie może powstać wprost z kolektywizmu rodowego, którego przeżytkami są zadruga i gmina wiejska indyjska, powstałe w epokach dzikości lub barbarzyństwa. Struve nie zalicza tu „miru"; mir nie jest dla niego przeżytkiem czasów pierwotnych, powstał on w Carstwie Moskiewskiem i, być może, nie da się przystosować do nowych warunków kapitalistycznego rozwoju. Szkoła ludowców, zdaniem Struvego, śpiewa obecnie swój śpiew łabędzi, a przejęcie się rzeczywistością i istotne zrozumienie teoryi Marxa (historycznego materyalizmu) powinnoby raz na zawsze rozwiać jej złudzenia o wyjątkowym charakterze historycznej ewolucyi narodu rosyjskiego.

Zdaniem Struvego, prawo r. 1861 nosi wyraźne piętno przekonania, że dni wspólnej własności gminnej są policzone, i jeśli mimoto prawo r. 1861 wzmocniło mir, jako jednostkę ekonomiczną, to miały tu wpływ przedewszystkiem względy finansowe i polityczne. Nawet w przepisach miejscowych dla Małorosyi ziemię chłopską nazwano ziemią gminną, choć tam o peryodycznych podziałach gruntu nigdy mowy nie było. Oddzielenie i zamknięcie w sobie stanu włościańskiego, wyłączenie go od wszelkiego zetknięcia się gminy z innymi stanami wywołało konieczność feudalno-biurokratycznej opieki, mającej go ochronić od dalszych wtrętów ze strony byłych panów. Rozwój indywidualny został tem niewątpliwie wstrzymany.

Przytem ekonomiczne warunki reformy wytworzyły położenie, sprzyjające niewątpliwie utrzymaniu gminnego władania ziemią. W okręgach Rosyi nieczarnoziemnych dochód z ziemi przeważnie jest mniejszym od podatków i ciężarów z ziemi. Tam też i „duch gminny" wydał swe najpiękniejsze kwiaty—tendencye „wyrównania" rozwinęły się tam najsilniej, a tem samem „prawo do ziemi" stwierdziło, że źródło jego pochodzenia leży w zniesionem „przytwierdzeniu do ziemi", że trwająca przez dwa stulecia „solidarna odpowiedzialność" gminy miała na prawo do ziemi wpływ decydujący. Solidarność ta uwalniała skarb państwa od kłopotów ściągania podatków od każdego gospodarza zosobna. Stosunek między tą odpowiedzialnością a własnością gminną większość badaczy gminy odwróciła do góry nogami. Nie gminne posiadanie, twierdzi Struve, obejmuje w sobie solidarną odpowiedzialność, ale, przeciwnie, solidarna odpowiedzialność prowadzi za sobą koniecznie (przy braku równowagi między ciężarami a dochodem z ziemi) do mirskiego władania ziemią. Solidarna odpowiedzialność, zdaniem Struvego, polega na następujących momentach:

1) na określeniu indywidualnego podatku według pewnej danej, przez gminę obranej zasady;

2) na ściągnięciu, zachowaniu i wniesieniu do kasy skarbowej całej sumy podatku gminnego;

3) na zastosowaniu środków przymusowych przez gminę do zaległywch jej członków, a przez skarb w razie zalegania gminy do całej gminy.

Przytem solidarna odpowiedzialność, oznaczenie przez skarb podatku w jednej sumie z całej gminy zamyka drogę do ocenienia, czy podatek jest proporcyonalny do dochodu.

Dlatego też zmniejszenie podatków z ziemi i wzrost dobrobytu muszą podkopać gminne władanie ziemią. Wykup w końcu wnoszą poszczególni gospodarze, i tam, gdzie dochód z ziemi jest wyższy od ciężarów, rodzi się pojęcie, że każdy gospodarz swój udział „wykupił”.

Pogląd na kwestyę włościańską po r. 1861 uległ zmianie. Liberalizm, panujący w latach 1857—60, uznano za wypływ szkodliwych indywidualistycznych tendencyi, a nawet tam, gdzie się utrzymał, zmienił on zdanie i łącznie ze słowianofilskim konserwatyzmem dziś twierdzi, że gminne władanie ziemią powinno być nadal utrzymane w jak najczystszej formie, i że władze jak jaknajenergiczniej w tym kierunku działaćby powinny. Jednocześnie w sferach najskrajniejszego konserwatyzmu i najskrajniejszego radykalizmu (tutaj z argumentami, wziętymi od najnowożytniejszych teoryi ekonomicznych) gmina ma służyć za środek powstrzymania tendencyi zachodnio-europejskich i uchodzi za szczyt narodowej polityki [1]).

Wymagania jednak produkcyi—twierdzi Struve—muszą przeważyć nad względami politycznymi, a postęp produkcyi z „mirskiem” władaniem ziemią pogodzić się nie da. Przejście do form kapitalistycznej produkcyi jest koniecznością, bez niego produkcyjność pracy narodowej nie wzrośnie. Jest to dziwnem zaślepieniem twierdzić, że kraj jakiś może kapitalistycznej epoki uniknąć. Najlepszem stwierdzeniem tej prawdy są peryodyczne głody. I nie bez racyi; każdy nowy głód jest hasłem do nowej napaści na wspólną własność. W napaściach tych dowiedziono, że zapobieżenie proletaryatowi przez własność gminną jest tylko „*fable convenue*”.

W najnowszych czasach wystąpiono z projektami (Kawelin i Keussler) wspólnej własności na zagrodowej zasadzie (Gemeindebesitz nach Hofrecht—*Obszczinnoje władienje na podwornom osno-*

---

[1]) Braun's Archiv., t. VII, str. 630.

wanii), które rozwinęło się u kolonistów niemieckich na południu Rosyi mniej więcej w następującej formie:

1-o Każdy członek gminy ma udział w ziemi, którego obszar jest stały i niezmienny idealnie; w rzeczywistości zaś nadziały losują się i mogą po losowaniu wypaść w innem miejscu; losowanie znosi niesprawiedliwości, wynikające z różnej dobroci gruntów, zmniejsza ilość parcel i wyłącza szachownice;

2-o Gmina dzieli pola na jare i ozime, ustanawia, gdzie ma być pasionem bydło, i wogóle reguluje uprawę (Flurzwang). Postęp więc rolny nie zależy od indywiduum, ale od gminy.

Struve nie sądzi — choć nie twierdzi tego stanowczo — aby ta organizacya mogła w czemkolwiek pomódz postępowi; sądzi tylko stanowczo, że w miarę zmiejszania się „nadziału", podziały będą przynosić coraz więcej szkód, a coraz mniej korzyści; i dziś już własność gminna, czy to jako przestrzeń produkcyjna, czy jako przestrzeń spożywcza (*Nahrungsfläche*, *Arbeitsfläche*), jest już względnie do zaludnienia za mała.

Przy nowym podziale gospodarstwa, którym umniejsza się ziemi, są narażone na wielkie straty. Ziemię odebraną oddają najczęściej takim, ktorzy sami gospodarstwa nie prowadzą, nie mają inwentarza i od pracy na roli odwykli.

Istnieje granica, poza którą dalszy podział ziemi prowadzi do ruiny i włościanin wie o tem dobrze. Na południu Rosyi granicy tej jeszcze nie przekroczono, ale w niektórych okolicach przybliżono się do niej bardzo, i daje się to uczuwać przedewszystkiem tam, gdzie niema sposobności wziąć ziemi w dzierżawę. Nie mogąc utrzymać się na swoim gruncie, włościanin idzie na zarobki, prawo do ziemi staje się fikcyą, a właściciel ziemi jest proletaryuszem. W wielu gminach z tego mianowicie powodu, spróbowawszy przez pewien czas podziału na dusze rzeczywiste, powrócono do podziału na dusze rewizyjne z r. 1858.

Zdaniem Struvego, rząd winienby postanowić, aby zrobiono jeden ostateczny podział, i na przyszłość podziały skasować. Podział ostateczny na nowo jest konieczny, aby nie zostało wiecznem to, co zrobiono z charakterem czasowym, i aby usunąć szachownice, które w wielu wypadkach były główną przyczyną utrzymania wspólnej własności lub też przejścia do niej od władania indywidualnego (*Czetwiertnyje*). Dlatego Struve sądzi, że prawo (r. 1893) powinno było dozwolić na częste częściowe podziały, o ileby-te prowadziły do usunięcia szachownic bez zmniejszenia przestrzeni nadziału.

„Indywidualizm ekonomiczny — mówi Struve — jako potężny motor rozwoju społecznego, musi być traktowany z uszanowaniem, nie może być zapoznawanym nawet przez tych, dla których prawdziwa treść wszelkich świadomych dążeń na polu polityki społecznej polega na przezwyciężaniu indywidualizmu. Istotnie postępowy pogląd na świat nie może tracić z oczu ani ścisłego związku, jaki istnieje pomiędzy ekonomicznym i politycznym rozwojem kraju, ani też tego faktu, że kapitalizm sam nagromadza najważniejsze cegły dla tej organizacyi ekonomicznej, która go ma w przyszłości zastąpić" [1]).

Za najpilniejsze potrzeby stanu włościańskiego Struve uważa: 1-o wydanie norm postępowania dla gmin przy jednoczesnem zwolnieniu ich od opieki policyjnej, i 2-o oddanie wszystkich spraw spornych, z gminnego władania ziemią wynikających, pod rozpoznanie sądów, złożonych z doświadczonych prawników.

Możliwie swobodny rozwój indywiduum jest dla Rosyi koniecznością, oddanie go w niewolę gminie jest podstawą biurokratycznej opieki i zakneblowania gminy. Paragrafy prawa nie mogą powstrzymać normalnego rozwoju.

Jeśli w Europie w obecnej epoce stan włościański średni zagrożony jest w swem istnieniu z dwu stron, przez wielką własność ziemską (*latyfundya*) i własność drobną, to w Rosyi klasa zamożnych włościan dopiero się wytwarza; musi ona złamać gospodarstwo naturalne, które dziś jest nieracyonalnem, i musi zająć średnie miejsce między wielką własnością a wiejskim proletaryatem. Walki klas uniknąć nie można: ona już istnieje, już się zaczęła, i wobec niej, jak powiedział Schultze-Gävernitz, trzymać się polityki reakcyjnej, chcieć powstrzymać upadające klasy i przeżyte instytucye— jest próżnem i pożałowania godnem usiłowaniem.

* * *

Wspomnieliśmy Schultze-Gävernitza i nie możemy zakończyć streszczenia poglądów teoretycznych na mir bez powołania się na świeżo wyszłe dzieło jego p. t. „Studya ekonomiczne nad Rosyą" [2]). W zimie r. 1892/3, a więc równo w 50 lat po Haxthausenie, Schultze-Gävernitz, profesor uniwersytetu freiburskiego, przebywał w Ro-

---

[1]) Braun's Archiv., t. VII, str. 684.

[2]) Volkswirthschaftliche Studien aus Russland, Leipzig, Duncker und Humblot, 1899, str. VIII i 617.

syi, przeważnie w Moskwie, dla osobistych badań nad ekonomicznymi stosunkami kraju. Główną jednak uwagę jego ściągają stosunki wielkiego przemysłu fabrycznego, któremu już poświęcił znane w całej Europie dzieło p. t. „Wielki przemysł" [1]). W „Studyach" kreśli on historyę przemysłu w Rosyi w XVIII i XIX wieku, bada szczegółowo przemysł bawełniany, opowiada historyę główniejszych kierunków politycznych XIX w. (Rożdział III-ci: Słowianofile i Panslawiści) i zajmuje się polityką handlową rządu rosyjskiego w ostatnich latach; stosunkom rolnym poświęca cały rożdział V (*Agraria*) i kończy uwagami nad reformą monetarną i bilansem handlowym Rosyi, przyczem, jak szydło z worka, wyłazi życzenie obniżenia ceł rosyjskich od produktów przemysłu niemieckiego.

Na dane, zebrane przez autora, i na poglądy jego w kwestyi rolnictwa rosyjskiego będziemy się niejednokrotnie powoływać w dalszym ciągu naszej pracy. Nie będziemy więc ani streszczać całości, ani rozbierać niektórych niesłychanie ciekawych ustępów jego pracy, dotyczących czy to konkurencyi przemysłu moskiewskiego z przemysłem łódzkim, czy też przyczynowego związku, zachodzącego pomiędzy polityką słowianofilów i panslawistów a protekcyjną polityką celną „królów bawełnianych" środkowego okręgu przemysłowego. Zauważymy tylko, że co do ogólnego poglądu na wspólną własność ziemską von Schultze-Gävernitz podziela w zupełności zdanie swego „przyjaciela" von Struvego. Zaznaczymy też, że w „Studyach" znajdujemy uzasadnienie dwu nowych punktów widzenia na własność ziemi „miru".

Zdaniem Schultzego zarobki tygodniowe robotnika w fabryce bawełnianej w Rosyi w gotówce są 3—5 razy niższe, aniżeli w Anglii, a mimo to tak, jak za czasów Haxthausena, praca ludzka jest droższą. Robotnik fabryczny rosyjski nie umie skupić uwagi, w robocie nie znajduje przyjemności, nie ma należytej wprawy i wyrobienia, pracuje wolniej i psuje dużo surowego materyału. W skutek tego mimo nizkich zarobków koszta produkcyi są wielkie [2]).

Główną przyczyną tego zjawiska jest na wpół-rolny, na wpół-fabryczny charakter robotnika, który na lato ucieka ua wieś, aby tam, podrapawszy ziemię, często na zasiew nie zebrać. Rozwój przemysłowy Rosyi wymaga stanowczo wydzielenia ze sfer rolnych

[1]) Der Grossbetrieb ein wirtschaftlicher u. sozialer Fortschritt. Eine Studie aus dem Gebiete der Baumwollindustrie, 1892.

[2]) v. Schultze-Gävernitz. „Volkswirthschaftliche Studien aus Russland". Str. 118 i 131.

klasy robotników, i tylko po tem wydzieleniu, po tem zróżniczkowaniu możliwem jest i podniesienie się produkcyjności pracy i podwyższenie zarobków. Dla rozwoju więc zarówno ogółu stosunków ekonomicznych, jak i dla dobra sfer roboczych, koniecznym jest jaknajprędszy upadek „miru” i indywidualizacya własności ziemskiej.

Utrzymanie waluty złotej wymaga stałego aktywnego bilansu płatniczego, t. j. stałej przewyżki wartości wywozu ponad sumę wartości przywozu *plus* wypłaty zagranicznym wierzycielom Rosyi, posiadającym czy to tytuły długu państwowego, czy to akcye przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych rosyjskich—i jeszcze *plus* wydatki rosyjskich poddanych zagranicą. Na długie zaś lata jeszcze wywóz z Rosyi opierać się będzie, jak i dotąd, na produktach rolnictwa—i to przeważnie na ziarnie. Podniesienie produkcyjności rolnictwa jest koniecznym warunkiem utrzymania waluty złotej w kraju, a podniesienie to przy utrzymaniu wspólnej własności ziemi tam, gdzie ona istnieje, jest niemożliwem. Tylko po usunięciu z gminy, po odjęciu własności ziemi jednostkom, źle gospodarującym lub nie mającym ani inwentarza, ani gospodarstwa, po usunięciu szachownic i skupieniu własności włościańskiej w gospodarstwa indywidualne, po 30 do 60 dziesięcin mające, można liczyć na produkcyę rolną, dającą możność dostatniego wyżywienia całej ludności państwa i takiego wywozu za granicę, który zapewni bilans płatniczy aktywny i utrzymanie w kraju złotej monety [1]).

Pięćdziesiąt tylko lat oddziela von Schultze-Gävernitza od von Haxthausena. Porównanie ich prac jest jednem z najciekawszych studyów, jakie nad historyą ekonomiczną Rosyi zrobić można, a mimo całej różnicy punktów wyjścia, poglądów, przekonań i osobistych sympatyi, jaka między nimi panuje, jest jedno twierdzenie, na które obaj się zgadzają, które powtarzają w odstępie lat 50-ciu: „*la main d'oeuvre est chère en Russie.*

(*D. c. n.*). *Stanisław Piotrowski.*

---

[1]) Zaprowadzenie złotej waluty stanie się poronionym i kosztownym eksperymentem, jeśli nie można liczyć na wzrastający wywóz płodów rolnictwa i jeśli nie jest się przygotowanym na stanowcze popieranie tego wzrostu wszelkimi środkami. Von Schultze-Gävernitz, l. c., str. 594. Porównać str. 593 i rozdział V. str. 308—441.

Miączyński i Dumouriez.

Wizerunki i sceny historyczne z dziejów Polski i Francyi

(1769—1793) *).

XVII.

Rozkazy Dumourieza.—Zamachy na Valenciennes i Lille. — List Dumourieza do Miączyńskiego. — W Orchies. — Biesiada. — Przezorność S. George'a i Dumasa.— List Miączyńskiego do Dumourieza. — Pochód na Lille. — Raport o wypadkach 2 kwietnia 1793 r. — Miączyński w pułapce. — Zmiana frontu. — Aresztowanie Miączyńskiego.

Rzuciwszy w tak zuchwały sposób rękawicę Konwentowi, Dumouriez tej samej nocy jeszcze wystosował proklamacyę do wojska, w której oświadczył, że „nadszedł czas, by uwolnić Francyę od morderców i wichrzycieli i zapewnić jej spokój, zakłócany zbrodniami mniemanych reprezentantów ludu".

W tym duchu wystosował odezwę i do zarządzców prowincyi północnych, lecz przedewszystkiem postanowił zabezpieczyć sobie

*) Ob. „Ateneum" styczeń—maj 1900 r.

opanowanie fortec: Lille i Valenciennes, tem więcej, że wiedział, iż w pierwszej z nich znajdują się Carnot i Lesage Senault.

Zamach na te fortece powierzył sprawności Lescuyer'a, który miał zawładnąć twierdzą Valenciennes, i Miączyńskiemu, któremu wyznaczył zadanie opanowania twierdzy Lille.

Lescuyer zabrał się energicznie do dzieła i, przybywszy do Valenciennes, zwierzył się ze swoją misyą komendantowi fortecy, lecz gdy zwęszył, że komisarze Konwentu: Cochin i Lequinio, świeżo wysłani do Valenciennes, wiedzieli już o odstępstwie Dumourieza, był tyle ostrożnym, że w porę jeszcze cofnął się przed następstwami zdrady i sam udał się do komisarzy, by im wydać otrzymaną od Dumourieza instrukcyę. To go ocaliło.

Mniej zręcznym, a może mniej szczęśliwym był Miączyński.

Wiadomo nam, że ten ostatni w chwili aresztowania komisarzy w S. Amand przebywał w Orchies i dwuznacznem postępowaniem swojem ściągnął na siebie podejrzenie jednego z delegatów.

Nie ulega wątpliwości, że pod wpływem otrzymanej admonicyi znajdował się w usposobieniu niezbyt przychylnem ku władcom ówczesnej Francyi i że brakło jedynie bodźca postronnego, by to usposobienie przeszło w otwarty bunt przeciw Konwentowi.

Na nieszczęście dla Miączyńskiego w takiej właśnie chwili nadeszła doń odezwa generała Dumourieza następującej treści:

„Kochany Miączyński! Właśnie poleciłem aresztować ministra Boernonvilla i komisarzy, przysłanych w celu uwięzienia mnie, a raczej zamordowania. Wyrusz bezzwłocznie, z brzaskiem dnia do Lille i oświadcz generałowi Duvalowi, że koniecznem jest aresztować komisarzy, o ile jeszcze nie wyjechali, i wyprawić ich do Orchies. Wskażę ci później, co z nimi masz uczynić. Powiedz Duvalowi, by zabrał kasę i dostawił tu Petitjean'a. Powiesz mu, że armia domaga się przywrócenia konstytucyi, którą zaprzysięgliśmy w latach: 1789, 1790 i 1791, a która wyzwoli nas z anarchii i tyranii Robespierre'a i Marata. Spełnij tę misyę oględnie i energicznie. Następnie podążysz do Douai, gdzie przyaresztujesz generała Moretona i oddasz dowództwo nad fortecą aż do nowego rozporządzenia miejscowemu komendantowi artyleryi. Obejmiesz dowództwo w Cambray, poczem pośpieszysz z awangardą trzystu, do czterystu ludzi do Peronne i obsadzisz je tą załogą.

„Ściskam cię, mój kochany Miączyński" [1]).

---

[1]) „Monitor" z r. 1793. № 96.

Rozkaz ten przesłał Dumouriez przez gońca Langueta, któremu na pożegnanie rzucił słowa:

— Mam nadzieję, że mnie nie opuścisz wobec ludzi, dążących do zguby Francyi!

Bądź z rozmysłu, lub z przypadku Languet zbłądził w drodze i przybył do Orchies dopiero nazajutrz o 8-mej rano.

Właśnie wtedy Miączyński siedział przy śniadaniu w towarzystwie oficerów, którzy w wilię tegoż dnia eskortowali byli ujętych komisarzy i dostawili ich do placówek austryackich. Powitawszy Langueta, udał się z nim Miączyński do przyległego pokoju, z którego po chwili wyszedł i, rzuciwszy na stół list Dumourieza, rzekł:

— Generał główno dowodzący, przyaresztowawszy ministra i komisarzy, nakazuje mi udać się do Lille. To się nazywa działać energicznie! Rozkaz ten wykonam ściśle. Saint George! Wszak pójdziesz ze mną i wy, panowie, również nie opuścicie nas!"

Mulat St. George zawahał się:

— Niepodobna, generale! Zostaję pod rozkazami Duvala i rozkazu twego usłuchać nie mogę...

— A ty, Dumasie?

— Ja pozostaję pod rozkazami mego pułkownika...

— A więc, panowie! Chcecie, czy nie chcecie ruszyć ze mną na Lille?

— Nie, generale! zawołali jednocześnie St. George i Dumas. — Wyprzedzimy cię tam i doniesiemy o tem, co tu zaszło...

Jakoż, zawoławszy „na koń! wybiegli z pokoju i ruszyli do Lille [1]). Spostrzegł poniewczasie Miączyński, że go nierozwaga zbyt daleko uniosła i, ratując sytuacyę, zawołał do oddalających się śpiesznie jeźdźców:

— A więc dobrze! Niezadługo i ja za wami pośpieszę...

Jednocześnie wszakże, ulegając rozkazowi Dumourieza, napisał doń słów kilka z zapewnieniem, że odpowiada za wojsko i że instrukcyę otrzymaną wykona lub zginie...

„Ściskam cię, generale—nadmienił w końcu—i kocham jeszcze silniej za twój krok energiczny!"

Nieszczęsna ta kartka, znaleziona w przejętym surducie Dumourieza już po ucieczce tego ostatniego z Francyi, stała się wyrokiem śmierci dla Miączyńskiego...

---

[1]) E. d'Hauterive: *Un soldat de la révol. Le général Alex. Dumas* (1762—1806). Paris, 1897, (str. 29 — 31).

Poleciwszy uderzyć w bębny na pobudkę, ruszył Miączyński z kawaleryą do Lille w godzinę po nadejściu rozkazu Dumourieza.

Wyprzedzili go tam strzelcy, którzy poszli za śladem S. George'a. Jeden z nich, Collin, mając rączego konia, ubiegł mil ośm w ciągu półtorej godziny. Dopadłszy do Lille, udał się do komendanta Duvala, uprzedził o aresztowaniu komisarzy i o pochodzie Miączyńskiego.

Stwierdzili tę wiadomość po chwili S. Georges i Dumas.

Bezzwłocznie wszyscy udali się do ratusza, gdzie zwołano władze miejscowe na naradę nadzwyczajną. Tymczasem zaś polecono pilnować bram miasta i po nadejściu oddziału Miączyńskiego zatarasować je i obsadzić wojskiem.

Oto, jak się przedstawia dalszy przebieg sprawy według raportu, złożonego przez Carnota Konwentowi pod tyt.: „*Précis des faits, qui se sont passés à Lille, le 2 Avril 1793 et jours suivants, à la suite de la trahison de Dumouriez.*"

Raport ów zredagowanym został przez władze miasta Lille [1]).

„Dnia 2 kwietnia 1793 roku Rada okręgu Lille zebrała się na posiedzenie o godzinie 9-ej rano. W godzinę później generał Duval w towarzystwie St. George'a i Dumasa zgłosili się z oświadczeniem, iż mają zakomunikować Radzie sprawę pierwszorzędnej wagi, że więc należy zwołać bezzwłocznie wszystkie władze naczelne okręgu celem uchwalenia środków wyjątkowych, doniosłości sprawy odpowiadających.

„Zwołano natychmiast Radę generalną gminy i wszystkich dowódców wojskowych, przed którymi generał Duval oświadczył: iż pułkownik St. George przybył, co koń wyskoczy, z Orchies z wiadomością, iż Dumouriez nocy ubiegłej aresztował czterech deputowanych Konwentu wraz z ministrem wojny, że nadto rozkazał generałowi Miączyńskiemu, dowódcy jednej z dywizyi armii północnej, udać się bezzwłocznie do Lille i do Cambray.

„W trakcie tego przybył goniec Ludwik Languet i potwierdził powyższe wiadomości.

„Rada, wysłuchawszy powyższego raportu, uznała za konieczne zabezpieczyć przedewszystkiem spokój w mieście i w tym celu rozkazała zamknąć bramy miejskie z zakazem wpuszczenia do miasta siły zbrojnej z wyjątkiem dowódców, którzy bezzwłocznie do naczelników okręgu dostawionymi być mieli.

---

[1]) *Archives nation.* Carton W. 1. 171 doss. 31.

„Około południa Rada ujrzała przez okna sali obrad kilku jeźdźców, a następnie i generała Miączyńskiego.

„Gdy ten wszedł do sali, na dane mu zapytanie: skąd przybywa i jaką ma do spełnienia misyę? odpowiedział: że przybywa z Orchies i że otrzymał rozkaz udania się do Cambray.

„Zwrócono mu uwagę, że dziwnem jest, iż jadąc do Cambray, wstąpił do Lille, gdy istnieje droga krótsza z Orchies do Cambray.

„Odpowiedział, że otrzymał rozkaz udania się i do Lille dla porozumienia się z generałem Duval.

„Obecny generał Duval oświadczył, iż nie chce z nikim rozmawiać na osobności, a tylko wobec władz, wśród których się znajduje.

„Zażądano od Miączyńskiego przedstawienia pomienionego rozkazu.

„Na to oświadczył, że rozkaz był ustny, zakomunikowany mu przez jednego z adjutantów Dumourieza.

„Zapytano go, czy nie otrzymał nad ranem listu od Dumourieza za pośrednictwem umyślnego gońca?

„Wówczas Miączyński wyjął z kieszeni ów list i złożył go na stole.

„Po odczytaniu jego osnowy zapytano Miączyńskiego, ilu ze sobą przyprowadził żołnierzy?

„Odpowiedział, że wszedł do miasta z eskortą. złożoną, ze 150 ludzi, że dowodzony przezeń oddział składa się z trzech tysięcy żołnierzy, i że oddział ten pozostawił w odległości ćwierć mili od bramy miejskiej.

„Zażądano, by rozkazał owemu oddziałowi ustawić się na stoku fortu Magdaleny, wprost strzałów fortecznych.

„Zastosował się do tego żądania natychmiast, oświadczając, iż dalekim jest od wszelkich intryg i knowań i że jest szczerym republikaninem.

„Wówczas oświadczono mu, że Rada wie już o wszystkiem, co zaszło w St. Amand skutkiem zdrady Dumourieza, i że Rada gotową jest zginąć, a miasta nie wyda nieprzyjaciołom Rzplitej.

„Miączyński zażądał, by go do przysięgi na wierność Rzplitej dopuszczono. Jakoż wykonał ją za siebie i za swe wojska, poczem nadmienił, że ma w Orchies jeszcze inny oddział dwutysięczny, który gotów jest sprowadzić tutaj i złączyć go z oddziałem, stojącym pod murami miasta, by go usunąć z pod zdradzieckich intryg Dumourieza.

„Chętnie to oświadczenie, przyjęto, i Miączyński wydał stosowny

rozkaz. Poczem oświadczono mu, że dla własnego bezpieczeństwa i dla spokoju publicznego należy mu nie opuszczać murów ratusza. Zgodził się na to z zastrzeżeniem, by miano pieczę o żywność dla wojsk.

„W czasie pobytu swego w Lille Miączyński nie okazywał obaw co do swego losu. Jego rozmowy i wynurzenia były oddźwiękiem wrzekomych przekonań człowieka, oddanego gorliwie sprawie Rzplitej.

„Chęć sprawdzenia rzetelności owych wynurzeń skłoniła wielu członków do interpelowania go w przedmiocie dotychczasowego jego postępowania. Przedstawiono mu między innemi, że gdyby nie miał istotnie zamiaru stosowania się do otrzymanych instrukcyi, nie należało mu starać się o rozmowę z generałem Duvalem, gdyż nie mógł podejrzywać tego ostatniego o chęć zawiązania konszachtów z Dumouriezem.

„Odpowiedział na to, iż gdyby miał w rzeczy samej zamiar wykonać otrzymany rozkaz, nie wkroczyłby do miasta, wiedząc, że bramy jego były zawarte.

„Zwrócono mu uwagę, iż, jeśli nie miał intencyi zastosowania się do rozkazu Dumourieza, należało mu przedstawić list, jaki od tego ostatniego otrzymał, zaraz po wejściu do miasta.

„Na to odpowiedział, że tłum, przez który przeciskać się musiał, zanim się dostał na salę, był zbyt liczny i przeszkodził mu uczynić tak narazie, że zresztą Rada miejska była w tak wielkiej liczbie zebraną, iż nie mógł sądzić, by to mieli być przedstawiciele prawni władzy, że zresztą miał obawę, by lud, nie znając jego istotnych intencyi, nie dopuścił się gwałtów na osobie generała Duvala i jego własnej. To jedynie stało się powodem zwłoki w wydaniu listu.

„Wyraził następnie życzenie odczytania osnowy dekretów Konwentu i proklamacyi jego komisarzy oraz innych rozporządzeń. Przedstawiono mu odnośne akta, dążące do uspokojenia umysłów i podtrzymania ducha republikańskiego w armii. Przesłał bezzwłocznie kopie owych aktów swemu zastępcy z rozkazem ogłoszenia ich w armii i dopilnowania ścisłego ich wykonania.

„4 kwietnia jeden z dowódców jego dywizyi zgłosił się z prośbą o dopuszczenie go do widzenia się z generałem. Nie odmówiono tej prośbie. Rozmowa ich odbyła się w obecności kilku członków Rady. Dowódca ów zapytał, z jakiego powodu zatrzymują go tutaj, zdala od armii?

„Uspokoił go Miączyński oświadczeniem, że mu tu na niczem nie zbywa, że jest wśród swoich braci i szczerych republikanów,

polecił mu uspokoić armię i zalecić jej karność i uległość dla Rzplitej.

„Tegoż dnia, po południu wszyscy dowódcy armii mieli przemowę do Rady, w której zapewnili, iż gotowi są zginąć, a nie dopuszczą, by się coś złego stać miało mieszkańcom Lille.

„Przemowa ta przyjętą była oklaskami. Postanowiono, że odtąd armia, w której imieniu była wypowiedzianą, nosić będzie tytuł: „armii Rzplitej, skojarzonej z mieszkańcami miasta Lille" [1]).

Nie trzeba zbytniej przenikliwości, by między liniami powyższego suchego i bezbarwnego raportu, kryjącego w sobie wszelkie znamiona nierozwagi i lekkomyślności Miączyńskiego, doczytać się nagłej zmiany frontu w postępowaniu owego dowódcy.

Miączyński już po wyrazach odmowy ze strony St. George'a i Aleksandra Dumasa spostrzegł poniewczasie, że się zagalopował w gotowości usłużenia Dumouriezowi i przyjęcia udziału czynnego w uplanowanym przez tegoż zamachu.

Cofnięcie się wszakże przed czynem, które nakazywała podówczas logika faktów, widocznie jeszcze nie skrystalizowało się w umyśle Miączyńskiego do tego stopnia, by, odesławszy list Dumourieza do Lille w ślad za zwiastunami zdrady, wytrwać wreszcie na stanowisku dowódcy wojsk Rzplitej i pozostać w Orchies.

Miączyński popędził do Lille na czele swego batalionu... Bądź, że pragnął sprawdzić na miejscu stan umysłów i w miarę przekonania się o bezowocności zamachu cofnąć się w porę przed jego następstwami, bądź też, że łudził się jeszcze nadzieją, iż za Dumouriezem pójdzie garnizon miasta Lille, faktem jest, że dopiero postawa Rady miejskiej i słowa Duvala, odmawiające porozumienia na osobności, sprawiły nagłą zmianę frontu w postępkach Miączyńskiego.

Napróżno jednak usiłował tym zwrotem zagładzić winę odstępstwa od sztandaru.

Rada miejska wiedziała już dobrze, z kim ma do czynienia, a jakkolwiek w raporcie jej przebija pewien obiektywizm i chęć złagodzenia winy nieopatrznego dowódcy, usiłowania te jednak nie mogły już wpłynąć na zmianę doli nieszczęśliwego. Raport stanowił dlań akt oskarżenia, dowodził bowiem, że Miączyński nie w in-

---

[1]) Wobec owego raportu urzędowego przesadną jest opowieść Chuqueta. (*Trahison* str. 188), według której przed okazaniem listu Dumourieza, gdy zażądano od Miączyńskiego wydania owego dokumentu — ten ostatni zmieszał się... „Déjà les assistants proposent de le fouiller. Il donne au president, qui la lit a haute voix, la lettre. *Aussitôt il est arreté, desarmé, garde à vue*"...

nym celu przybył do Lille, tylko, by spełnić rozkaz naczelnego wodza, o którym wiedział, że wodzem republikańskim być przestał i być nim nie chciał...

Mogłaby być niejakiem dla Miączyńskiego usprawiedliwieniem karność jego wojskowa wobec naczelnego dowódcy, gdyby rozkaz tegoż nie nosił na sobie cech poufnej zachęty do wspólnictwa w zamachu przeciw prawnie podówczas funkcyonującej władzy Konwentu. Osnowa listu Dumourieza winna była oświecić Miączyńskiego, że, wypełniając jego rozporządzenia, staje jawnie po stronie buntu. Refleksya przyszła, niestety, zbyt późno.

XVIII.

Wrzenie w Paryżu.—Posiedzenie Konwentu.—Utarczki Robespierra z Brissotem.—Dumouriez ogłoszony zdrajcą.—List Carnota.—Relacya gońca z Lille.

Wiadomość o zdradzie Dumourieza i o wypadkach w Lille wywołała w Paryżu niesłychane wrzenie.

Na posiedzenie wieczorne Konwentu z dnia 2 kwietnia 1793 r. przybiegł goniec z wiadomością, iż armia północna z pogardą odrzuciła proklamacye zdradzieckiego generała, i że można na jej wierności dla Rzplitej polegać.

— Czas, by już ta komedya się skończyła! — woła z trybuny Konwentu Robespierre. — Nie przez nowiny pomyślne lub złowrogie usypia się czujność narodu. Słyszałem dotąd o półśrodkach, zmierzających ku zapobieżeniu klęskom i cierpieniom naszym. Należy zarządzić środki stanowcze, dyktowane przez zasadę wolności, lecz środków tych nie należy nam szukać w łonie Komitetu Bezpieczeństwa! W komitecie tym panują zasady, które wolność potępia!.. (Szemranie).

— Odebrać głos mówcy — wołają — ośmiela się spotwarzać Komitet!...

Robespierre: Obywatele! W tej chwili stanowczej winienem sobie i ojczyźnie złożyć moje wyznanie wiary. Mianowany członkiem Komitetu Bezpieczeństwa, lecz przekonany, że środki konieczne dla obrony ojczyzny nie mogą być przez ów Komitet uchwalone, oświadczam, że nie uważam się już za jego członka. Nie jestem dostatecznie przeświadczony, czy systemat, w którymby królewkość skojarzoną być mogła z pewnego rodzaju konstytucyą arystokratyczną, nie znalazłby w łonie tegoż Komitetu zwolenników... Nie jestem przekonany, czy tego rodzaju systemat nie przypadłby

do smaku pewnym indywiduom, głoszącym pozornie patryotyzm, lecz w głębi duszy odczuwającym głęboką do równości odrazę.

„Nie chcę rozprawiać z ludźmi, którzy przemawiali językiem Dumourieza, z tymi, którzy spotwarzają Dumourieza, z tymi, co za przykładem Dumourieza spotwarzają Paryż i część Zgromadzenia, oddaną z poświęceniem zasadzie wolności.

„Jeśli mi nie sądzono wolność ocalić, niechaj przynajmniej nie będę wspólnikiem tych, którzy ją zgubić pragną; nie chcę być członkiem Komitetu, który jest raczej radą Dumourieza, aniżeli Komitetem Konwentu Narodowego! (szemranie po prawicy).

„Powołuję się w stwierdzeniu moich słów na świadectwo samego Dumourieza, gdyż w jednym z listów swoich oświadcza, iż ów Komitet jest wzorowym za wyłączeniem sześciu członków. Otóż, członkowie ci, do których rzędu mam zaszczyt należeć, nie stanowią większości. Nakoniec, nie chcę być jednym z członków Komitetu, którego większość prześladuje zawzięcie patryotów, a zachowuje się biernie wobec zbrodni generałów naszych!

Brissot: Żądam głosu po Robespierze!

Robespierre: „Dla stłumienia głosu wolności w chwilach krytycznych, dla zbawienia ogólnego osłabia się zazwyczaj energię patryotów pewnemi ideami, rzucanemi dla pozoru przed oczy ludu.

„Co do mnie, wyznaję, że tylko miłość wolności winna jednoczyć ludzi. Gardzę owymi zuchwałymi protestami, podnoszonymi w chwilach krytycznych, gdy się zdaje potrzebnem udawać zbliżenie, którego się w rzeczy samej nie pożąda. Gardzę tymi, którzy do mnie w chwilach krytycznych wyciągali rękę, a nazajutrz spotwarzali mnie. Ponieważ Brissot żąda głosu celem oszkalowania mnie, zwrócę przeto do Brissota to, co wypowiedziałem przed chwilą...

„Oświadczyłem, iż nie chcę rozprawiać z przyjaciółmi Dumourieza. Otóż Brissot należy do najzaufańszych owego zdrajcy przyjaciół. Z dziejami Dumourieza w ręku sądzić będę Brissota. Brissot jest wspólnikiem Dumourieza. Brissot skojarzonym jest nierozerwalnym węzłem ze spiskiem Dumourieza. Stawał zawsze w jego obronie. Zadaniem Dumourieza było wciągnąć nas w niebezpieczną wojną, by zwrócić ją następnie przeciw wolności. Dumouriez i Brissot pierwsi domagali się wojny z Austryą. Przypomnijcie sobie, cośmy im przed wojną mówili! „Usuńcie dwór i zmieńcie generałów!" Cóż odpowiedziano nam na to? Dwór usprawiedliwiano i mówiono: że sądzić źle o Lafayecie i o generałach znaczy to — naruszać karność wojskową, znaczy to — mianować się nieprzyja-

cielem Ojczyzny. Przedstawiano nam wszystkie narody, a w szczególności Belgię, jako życzliwie usposobione dla Francuzów, i wskazywano na sztandar wolności, powiewający z wyżyn pałaców królewskich...

„A jednak wojna rozpoczęła się od porażek, a jednak oszczędzano generałów, powierzano im władzę dyktatorską na wniosek przywódców stronnictw, wrogo względem patroytów usposobionych.

„Po dziesiątym sierpnia byliśmy osaczeni przez despotów, którzy się spiknęli na zgubę wolności i którzy się skojarzyli z wrogami zewnętrznymi. We wrześniu dowiedzieliśmy się o wzięciu Verdun i o pochodzie nieprzyjaciela na Paryż. Nikt nas przedtem o grożącem niebezpieczeństwie nie uprzedzał. A któż to w owej epoce pełnił urząd ministrów? Ci, których zalecił Brissot! Kto ustanowił komisyę dwudziestu jeden? Brissot i jego stronnicy! A ministrowie, mianowani przez Brissota, doradzali nam opuścić Paryż z królem i rodziną jego, będącą w Temple, i gdyby nie to, że Danton uprzedził Francyę o tem, co przed nią ukrywali jej rządcy, gdyby nie pospolite ruszenie, wróg wtargnąłby do Paryża, i Rzplita byłaby zgubioną!

„Zamianowano podówczas Dumourieza naczelnym wodzem w miejsce Lafayetta, który armię był opuścił. Nominacya ta wyszła od Brissota i jego stronników. Nie wiem, coby uczynił Dumouriez, gdyby się Francya nie była ruszyła... lecz wiem to tylko, że Dumouriez odprowadził uprzejmie króla pruskiego do granicy... wiem, że armia była rozwścieczoną na widok wymykających się nieprzyjaciół, których mogła zmiażdżyć... wiem tylko to, że Dumouriez o tyle był wspaniałomyślnym względem króla pruskiego, ile jest obecnie zuchwałym względem przedstawicieli ludu francuskiego... nakoniec, wiem to, że żywił armię nieprzyjacielską w chwili, gdy była już blizką wyczerpania z nędzy i głodu!...

„Zamiast wytępić Prusaków, którzy się nierozważnie zapędzili w głąb Francyi, Dumouriez, spędziwszy dni kilka w gronie wrogów wolności, na festynach, udaje się do Belgii, gdzie rozpoczyna od szeregu zwycięstw niespodziewanych...

„Usadowiwszy się w części Belgii, śpieszy do Holandyi. Gdyby to był uczynił na trzy miesiące wcześniej, powodzenie wyprawy byłoby niewątpliwem. Sądziłem przez chwilę, że sława utrzyma Dumourieza w karbach obowiązku, i że nie poważy się na zamach przeciw wolności, zanim nie uprzątnie despotów, sprzysiężonych przeciw krajowi. Wtedy to był czas usunąć Dumourieza.

„Opanowawszy kilka fortów w Geldryi, Dumouriez obnaża w zupełności swą armię, i podczas gdy wszystko było przygotowane do opuszczenia Belgii, generałowie, po większej części zamianowani przez Brissota, dowodzący armią przed Maestrichtem, dopuszczają się zdrady!

„Jeśliby kto się ośmielił faktom tym zaprzeczyć, przedstawię dowody autentyczne.

„Po powrocie z Geldryi czyż Dumouriez użala się na zdradę? Przeciwnie! Rzuca zasłonę na wszystkie fakta, wysławia generałów Mirandę i Lanoue, znanych ze swej nieprawomyślności, przypisuje wszystkie klęski żołnierzom, wmawia w naród, że jego armia składała się przeważnie z nikczemników i złoczyńców. Porażki nasze mnożą się. Wydaje bitwę i przegrywa ją; oskarża o to skrzydło lewe swej armii, które, jak twierdzi, placu nie dotrzymało. Lecz skrzydłem lewem dowodził Miranda, jego przyjaciel. Nie zapominajmy, że Dumouriez mówił do armii:

— „Nie zniechęcajcie się, ufajcie generałom waszym! Są to moi uczniowie, moi przyjaciele!

„Dumouriez ustanowił arystokracyę w Belgii. Dumouriez zaciągnął olbrzymie pożyczki. Dumouriez zawładnął skarbem publicznym, uwięziwszy przedtem skarbników. Dumouriez zabezpieczył swoją fortunę, uknuł zdradę, a następnie wypowiedział wojnę Konwentowi!

„Oto fakta! Przekonają one tylko ludzi dobrej wiary, lecz oświadczam, że, dopóki Dumouriez będzie spiskował z Brissotem i z tymi, których wymieniłem... (Głosy: „Wymień ich!").. Nie chcę przekonywać spiskowców i nieprzyjaciół Francyi; chcę tylko mówić prawdę!

„Oświadczam tedy, że pierwszym środkiem ocalenia kraju winno być postawienie w stan oskarżenia wszystkich podejrzanych o konszachty z Dumouriezem, w pierwszym zaś rzędzie — Brissota!" (Oklaski).

Gdy wśród ogólnego zamętu zaledwie dopuszczono Brissota do słowa, prezydujący Konwentu Debry zawiadomił, że przed chwilą nadszedł raport od Carnota, i że dwaj deputowani miasta Lille pragną, by ich dopuścić przed kratkę Konwentu. List Carnota, wysłany z Douai 2 kwietnia, brzmiał, jak następuje:

— „Obywatele! Niewątpliwie dowiedzieliście się już o zamachach nikczemnika Dumourieza. Byłem w Arras w chwili, gdy otrzymałem rozkaz przyłączenia się do obywateli: Camusa, Bancala, Quinetta i Lamarque'a, komisarzy, delegowanych do armii belgijskiej.

Udałem się tam bezzwłocznie, lecz przybywszy do Douai, dowiedziałem się o ich aresztowaniu. W tem krytycznem położeniu Lesage Senault i ja uznaliśmy za jedyny środek ocalenia Rzplitej — nadanie znanym z patryotyzmu administratorom departamentów północnych władzy nieograniczonej. Zachodzi obecnie konieczność zastąpienia komisarzy aresztowanych. Przesyłamy jednocześnie raport, sporządzony w Lille, o zamachu Miączyńskiego. Na szczęście zdołano w porę zapobiedz zdradzie. Oburzenie spotęgowało energię obywateli. Zginą oni raczej, aniżeli dopuszczą zajęcia terytoryów Rzplitej.

Carnot".

W tem miejscu odczytano znany nam raport, z doniesieniem o aresztowaniu generała Miączyńskiego i o złożonej przezeń na wierność Rzplitej przysiędze.

Dopuszczony do kratki jeden z delegatów miasta Lille przemówił w te słowa:

„Obywatelu prezydencie! W chwili, gdy znajdowałem się na sesyi zarządu miasta Lille, obywatel Duval doniósł nam o aresztowaniu komisarzy Konwentu i ministra wojny. W godzinę później przybył generał Miączyński, do którego Duval przemówił: „Wykonałem przysięgę na to, że działać będę zgodnie z radą nadzorczą".

„Miączyński oświadczył, że miał zlecenie ustne, zakomunikowane sobie przez jednego z adjutantów Dumourieza. Gdy zaś zwrócono uwagę jego, że rozkazy tego rodzaju udzielają się na piśmie, i gdy Duval rzekł: „Generale, jeśli mi coś masz do powiedzenia, to powiedz to głośno!"—Miączyński wyjął z kieszeni list, którego treść odczytano. Oddział czterotysięczny pozostawiono pod miastem, lecz wprost strzałów twierdzy, w taki sposób, że się ruszyć nie może. Nakazano garnizonowi wyjść z miasta, bo żywność mogłaby się wyczerpać. Wysłano go do Bethune i Arras. Odwaga nie opuści mieszkańców Lille i, dopóki tylko mury miejskie nie runą, zagrzebią się oni raczej pod ich gruzami, aniżeliby się poddać mieli" (Oklaski) [1]).

---

[1]) *Monitor* z r. 1793. Nr. 96.

XIX.

Sesya Konwentu 4 kwietnia. Rozkaz dostawienia Miączyńskiego do więzienia Abbaye. Aresztowanie jego dzieci. Dumouriez dowiaduje się o nieudanym zamachu Miączyńskiego. Bunt wojska. Ucieczka Dumourieza.

Dnia 4 kwietnia 1793 r. o północy na posiedzeniu Konwentu Isnard imieniem Komitetu ocalenia publicznego wezwał zgromadzenie do podjęcia środków wyjątkowych celem stłumienia intryg przeciwrewolucyjnych.

— „Ujmijmy silną dłonią ster rządów Rzplitej — zawołał. Niema tu miejsca na kwestye formalne. Idzie nam o ocalenie ojczyzny! Zanim ustalimy kult wolności, należy zapewnić tej wolności zwycięstwo!"

Konwent ogłosił Dumourieza zdrajcą ojczyzny i wyjął go z pod prawa. Każdy obywatel winien powstać przeciw owemu nowemu Katylinie. Kto go ujmie żywym lub umarłym, otrzyma sto tysięcy liwrów i wawrzyn obywatelski. Zabroniono pod karą śmierci nazywać go generałem. Na wzmiankę jednego z członków komitetu Zgromadzenie uchwaliło, by ojcowie i matki, żony i dzieci oficerów armii Dumourieza aresztowani byli w charakterze zakładników do czasu wyswobodzenia ujętych komisarzy i ministra wojny.

Wniosek co do zakładników poparła jedna z obywatelek, stanąwszy u kratek Konwentu z tem obostrzeniem, by na wypadek ujawnionej zdrady któregokolwiek z wojskowych dzieci ich i żony duszono.

Wniosek ten odrzucono. W trakcie tego przybiegł oficer armii Dumourieza i zażądał, by mu pozwolono, jako naocznemu świadkowi, opowiedzieć to, co zaszło w St. Amand podczas aresztowania komisarzy.

Po wysłuchaniu wśród wrzawy relacyi owego świadka oraz po ponownem odczytaniu raportu Rady miasta Lille o przytrzymaniu Miączyńskiego i o zamianowaniu w jego miejsce generała Duvala dowódcą dywizyi legii ardeńskiej Konwent wydał dekret następujący:

„Generał Miączyński sprowadzonym będzie pod silną i pewną eskortą do Paryża i osadzonym w Abbaye" [1]).

W wykonaniu dekretu co do zakładników departament policyi

---

[1]) *Monitor* z № 1793 N. 97

komuny paryskiej uchwałą z d. 7 kwietnia polecił sekcyi Popincourt przyaresztować dzieci Miączyńskiego, jedno—dziewięcio, drugie pięcioletnie, pozostające pod opieką obywatela Sucheta [1]).

Takież rozporządzenie wydano dnia 11 kwietnia względem żony generała z oddaniem jej pod ścisły nadzór [2]).

Podczas gdy się rozgrywały wyżej opisane sceny, Dumouriez, zaniepokojony brakiem wiadomości o przebiegu uplanowanej akcyi, wysłał adjutanta Peraulta do Lille z rozkazem, by Miączyński przyśpieszył aresztowanie opornych władz miejscowych i dostawił je do obozu St. Arnaud.

Goniec ruszył pocztą, lecz dotarł tylko do Pont à Marcq. Tu spostrzegł wartę zmienioną i dowiedział się o aresztowaniu Miączyńskiego. Cofnął się przezornie w porę i pośpieszył do Dumourieza z wieścią o niefortunnym rezultacie wyprawy.

Pragnąc przynajmniej ocalić oddział Miączyńskiego, wysłał do Lille Filipa Devaux. Ten dostał się wprawdzie do Lille i, dowiedziawszy się, że tam bawi towarzysz jego bojów z pod Argonne, Macdonald, biegnie do jego mieszkania, zmęczony rzuca się na jego łóżko i zasypia.

Gdy się obudził, ujrzał Macdonalda, chciał się rzucić w jego objęcia, lecz ten usunął się i rzekł:

— Mój przyjacielu! Nie wiem, czego chcą od ciebie, lecz mam rozkaz aresztować cię na miejscu...

Tak wszystkie rachuby zawiodły Dumourieza. Zanim wszakże z armią mógł wyruszyć na Paryż, pragnął raz jeszcze odbyć naradę z dowódcą austryackim Mackiem i w tym celu wyznaczył mu w Boussu, między Mons i Condé, miejsce spotkania.

Wyruszywszy do Condé ze swym orszakiem przybocznym: księciem de Chartres, Thouvenotem, pannami Fernig i kilkoma huzarami oddziału Berchina, spostrzegł biegnącego traktem, co koń wyskoczy, pułkownika Neuilly, który mu doniósł, że w armii wielkie wrzenie, i że odzywają się jakieś buntownicze przeciw naczelnemu wodzowi głosy.

W tej chwili zjawił się oddział ochotników i na widok Dumourieza rozległy się okrzyki:

— Precz ze zdrajcą!

---

1) *Arch. Nat.* F. J. 4774. 44.

2) *Ibid.*

Dumouriez, zaniepokojony tymi objawami, zbacza z traktu i pędzi do pierwszego lepszego domku. Tu dosięgają go strzały, wymierzone przez ochotników.

Chcą otoczyć zdrajcę i przeciąć mu odwrót do Brouille.

Dumouriez rzuca się w pola, przesadza konno rów, zanurza się po szyję w wodę, dostaje się na przeciwległy brzeg Skaldy i uchodzi z życiem...

Wojskowa karyera zdrajcy zakończoną została.

XX.

Miączyński w więzieniu. Robespierre i Petion, Przedwstępne badanie Miączyńskiego. Prezydujący Montane i prokurator Fouquier Tinville. Protest Miączyńskiego. List jego, obejmujący przyznanie się do zamachu.

Dziesiątego kwietnia 1793 r. sprowadzonym został Miączyński do Paryża i osadzonym w dawnym klasztorze *Saint Germain des Prés* zakonu Ś-go Benedykta, nazywanym *L'Abbaye.* Ów dawny klasztor zamieniono na więzienie dopiero w lipcu 1789 r. po wzięciu Bastylii. Więzienie to przeznaczono dla przestępców stanu po ogłoszeniu konstytucyi 1791 r.

Był to gmach, zbudowany w stylu XVI wieku, czworograniatej formy, z okrągłemi basztami, kończącemi załamania murów. Urządzenie wewnętrzne opactwa wykończono w roku 1792. Tu, jak wiadomo, odbyły się straszne rzezie wrześniowe.

Tegoż dnia, w którym Konwent wydał proklamacyę do armii belgijskiej, piętnującą zdradę Dumourieza i wzywającą obywateli do ratunku zagrożonej Rzplitej, wzmocnione zostały atrybucye trybunału rewolucyjnego władzą sądzenia przestępstw stanu na prostą denuncyacyę obywateli, bez potrzeby wyjednywania aktu oskarżenia ze strony Konwentu. Wyjęto jedynie z pod tego przywileju członków tego ostatniego i generałow Rzplitej, których aresztować, oskarżać i sądzić zezwolono za poprzedniem wyjednaniem upoważnienia od Konwentu Narodowego [1]).

Pod ten właśnie wyjątek podciągnięto sprawę Miączyńskiego. Na burzliwem posiedzeniu Konwentu z dnia 12 kwietnia 1793 r., gdy z powodu zdrady Dumourieza rzucono podejrzenie na wszystkich generałów republikańskich, iż byli tajnymi jego wspólnikami,

[1]) *Monitor* z r. 1793, N. 98.

postanowiono wprowadzić w wykonanie dekret, mocą którego odtąd przy każdej armii mieli się znajdować trzej komisarze Konwentu dla czuwania nad postępowaniem dowódców.

Ponad wszelkie spodziewanie, pierwsze sprawy oskarżonych generałów: Mirandy i Stengela, przed specyalną komisyę wojskową wytoczone, zakończyły się uniewinieniem podsądnych.

Rezultat taki wywołał protest ze strony zaciekłych konwencyonalistów. Przypisano go niedostateczności form śledztwa. Zarzucono, że badanie obwinionych odbyło się bez sprawdzenia miejscowości, planów i bez powołania do zeznań żołnierzy.

Konwencyonalista Poultier zażądał, by komisarze delegowani nie poprzestawali na zeznaniach obwinionych, lecz zbierali na miejscu wszelkie dane i dopiero tak zebrany materyał dowodowy składali Trybunałowi rewolucyjnemu.

— W komitecie wojskowym — woła Poultier — przeważa skłonność do pobłażliwości, i to właśnie gubi Rzplitą! Nadszedł czas bezwzględnej surowości. Należy stawić czoło zdrajcom, karać ich bezlitośnie lub też wyrzec się wolności!

— Domagam się cenzury przeciw członkowi Konwentu — woła Petion — który poważa się wygłaszać osobistą opinię...

— A ja — woła Robespierre — domagam się cenzury przeciw tym, co pobłażają zdrajcom!

Petion dostaje się do trybuny.

— Tak jest — woła — domagam się w rzeczy samej, by zdrajcy i spiskowcy ukarani zostali!

— I ich wspólnicy! wtrąca Robespierre.

— Tak jest! I ich wspólnicy... i ty nawet! Czas już położyć tamę tym nikczemnościom! Czas już, by zdrajcy i potwarcy poddali głowy pod nóż gilotyny...

— Odpowiadaj na fakta! woła Robespierre.

— Rozpocznę od ciebie....

Prezydent Thouriot wzywa mówców do porządku.

— Niepodobna — ciągnie dalej Petion, — niepodobna przyjść do głosu! Panie prezydencie, oświadczam, iż niepodobna uczciwemu człowiekowi wstrzymać się od oburzenia na widok indywiduów, miotających potwarze i potępionych przez opinię ogółu! Tak jest! Wykonałem przysięgę na to, że ścigać będę zdrajców, a na czele ich—Robespierre'a! Cóż znaczą owe nieustanne potwarze, miotane na ludzi, broniących wolności? Lud pozna wkrótce tych, którzy pod maską obłudnego patryotyzmu oszukują go i pchają do zguby. Nie ustanę dopóty, dopóki nie ujrzę głów ich pod nożem gilotyny.

Zarzucają mi, że jestem wspólnikiem Dumourieza. Nikczemnicy!

Marat. Sam jesteś nikczemnikiem!

Petion. Mało mnie obchodzi, panie prezydencie, jaką o nas wygłaszają opinię. Lecz w tej chwili należy działać z bezwzględnością przeciw ludziom, którzy ujmę reprezentacyi narodowej przynoszą. Niepodobna ścierpieć, by nikczemnicy ciągle nam sztyletem grozili!

Malarz David wybiega na środek sali.

— Domagam się — woła — by mnie uśmiercono na miejscu, jestem bowiem obywatelem cnotliwym.

Petion: Cóż znaczy okrzyk Davida? To tylko, że człowiek ten jest pod wpływem opętania. Domagam się, by potwarcze zarzuty stwierdzone były dowodami piśmiennymi. To, cośmy słyszeli z ust Poultiera, jest potwarzą, rzuconą na członków komitetu wojennego i przeciwną dekretowi, już uchwalonemu...

Poultier wznawia wniosek o odczytanie zeznań generałów Stengela i Lanou...

Wśród takich to warunków podniecenia ogólnego i ogólnej nieufności przypadła sprawa nieszczęśliwego Miączyńskiego, oddana w ręce krwiożerczego prokuratora Fouquier Tinville'a.

Przedwstępne badanie obwinionego odbyło się dnia 22 kwietnia 1793 r. w jednej z sal bocznych trybunału pod przezydencyą sędziego Bernarda Marie Montane, w asystencyi sekretarza Stefana Massona i prokuratora [1]).

— Imię i nazwisko, wiek, stan, miejsce urodzenia i zamieszkania obwinionego?

— Nazywam się Józef Miączyński, mam lat 42, rodem z Polski, jestem dowódcą brygady *(maréchal de camp)* w armii republikańskiej. Miejscem mojego zamieszkania jest — armia.

— Jakim oddziałem dowodził obwiniony w końcu marca ubiegłego?

— Wkroczyłem z dywizyą swoją na schyłku października roku ubiegłego po wzięciu Namur do okręgu Rolduc; część zaś tejże dywizyi zajmowała pozycyę nad rzeką Roër.

— Jak długo przebywał obwiniony na swem stanowisku?

— Do 2 marca. Trzymałem się tam przez całą dobę dłużej, niż należało; stanowisko to bowiem bardzo było zagrożone. Uczy-

---

1) *Arch. Nation.* W I. b. Nr. 271, doss. 31.

niłem to w celu, by ułatwić odwrót wielu batalionom, które się składały z 60,000 żołnierza liniowego i ochotników, a którymby niewątpliwie nieprzyjaciel przeciął odwrót, gdybym im nie zaradził w opisany sposób.

— Następnie gdzie się obwiniony udał?

— Jedynym punktem, jaki mi pozostał, był Akwisgran. Cofnąwszy się tam, byłem napadnięty przez oddział nieprzyjacielski i przez mieszkańców, którzy do mnie z okien swych domów strzelali. Nie straciłem wszakże przytomności, gdyż nakazałem awangardzie, która już była opuściła miasto, cofnąć się i owładnąć bramą miejską, prowadzącą do Liège, by tym sposobem zabezpieczyć sobie odwrót. Odwrót ten pomyślnie uskutecznionym został przez as, wśród pościgu nieprzyjaciela na przestrzeni dwu mil aż do miejscowości Baptiste, między Liége a Akwisgranem. Tutaj zetknąłem się z generałem Stengel i w porozumieniu z nim przeniosłem się z dywizyą swoją na lewy brzeg, by nieprzyjaciel, opanowawszy miejscowości Wilbel i Maestrecht, nie przeciął nam odwrotu w kierunku Liège. Pozycyi tej broniłem przez całą dobę. Generałowie Stengel, Lanou, Valence i Dampierre znajdowali się podówczas w wiosce, której nazwy nie pamiętam, a która leży przy rogatce Liège. Walka trwała tu godzin ośm, od rana do nocy, lecz armia nasza ani piędzi ziemi nie utraciła. Po odbytej radzie wojennej nocnej postanowiliśmy cofnąć się z pod Liège. Rada polowa odbyła się pod prezydencyą generała Valence. Dla zabezpieczenia sobie odwrotu ja i towarzysze moi ukryliśmy przed nieprzyjacielem odwrót nasz nocny i z brzaskiem dnia przeszliśmy przez Liège, gdzie generał Miranda połączył się z nami na równinie, wyparty przez nieprzyjaciela z pozycyi Tongres.

„Uszykowaliśmy armię powyżej Liège i pomaszerowaliśmy do Saint Tron. Uszedłszy dwie mile, otrzymałem od generała Valence rozkaz udania się z oddziałem huzarów ardeńskich na trakt celem zrekognoskowania pozycyi. Tam natknąłem się na kilka furgonów i wozów z żywnością i amunicyą, zdobytych już przez Austryaków, którzy podówczas zajmowali Tongres. Natarłem na nich i zmusiłem do ucieczki, wziąwszy do niewoli kilkunastu. To zmusiło nieprzyjaciela do cofnięcia się pod kapliczkę o pół mili od traktu, gdzie ustawił armaty. Zawiązała się utarczka, trwająca do nocy, i to ułatwiło naszej armii odwrót do Saint Tron. Nazajutrz generał Valence dał mi rozkaz wyruszenia z lekką kawaleryą na Tongres. Takiż rozkaz otrzymał i Dampierre. Manewr ten miał na celu osłonić odwrót generała Hilaire, który, pozostawszy w Liège, miał zebrać

rozproszonych żołnierzy i poprowadzić ich do armii głównej. Po ukończeniu tego zadania generał Valence dał mi rozkaz zajęcia Islettes i wyparowania stamtąd nieprzyjaciela. Rozkaz ten wykonałem. Nazajutrz otrzymałem nowy rozkaz cofnięcia się do Tirlemont, zajęcia owego miasta i wysyłania częstego patroli do lewego skrzydła. Straż przednia armii, dowodzonej przez generała Lamarcha, zajęła stanowisko za miastem, na wyżynach i pozostawiła tam niewielką załogę.

„Armia pozostawała na tem stanowisku, nie nękana przez nikogo, gdy generał Valence bawił podczas tego w Louvain. Tam przybył 12 marca Dumouriez i dowiedział się, że komisarze Konwencyi wzywają go do Brukselli. Po powrocie Dumourieza do Louvain pojechałem tam, ale z nim rozmówić się nie mogłem, gdyż bardzo był zajęty pisaniem. Wróciłem tedy nocą na swe stanowisko, gdy nad ranem usłyszem kanonadę. Sam przeto, z własnej pobudki udałem się z kawaleryą i artyleryą do Tirlemont, gdzie już nieprzyjaciel z miasta był wyparty. Spotkałem następnie adjutanta Dumourieza, którego nazwiska nie pamiętam, i ten mi doręczył rozkaz generała, bym bezzwłocznie udał się z kawaleryą do Tirlemont, pozostawiając piechotę na dotychczasowej pozycyi. Byłem bardzo zadowolony z tego, że on rozkaz uprzedził, celem jego bowiem było osłonięcie lewego skrzydła. Zaatakowałem wioskę i wyparłem z niej nieprzyjaciela; lecz gdym tam obozował, nieprzyjacielowi udało się zdobyć pozycyę pod Neerwinden. Nazajutrz rano przybył Dumouriez osobiście i dał mi rozkaz posunięcia się na pół mili naprzód bez strzałów, z obawy, by walka nie rozpoczęła się wcześniej, zanim szyk bojowy ukończonym zostanie. Całą dobę spędziliśmy bezczynnie. Nocą otrzymałem od Dumourieza rozkaz zaatakowania mostu z brzaskiem dnia i zdobycia go bądź co bądź. Spełniłem to pomimo przewagi liczebnej nieprzyjaciela, który miał z sobą cztery armaty. Koń padł pode mną i otrzymałem ranę odłamem granatu. Doniosłem o pomyślnym rezultacie Dumouriezowi, i wtedy zarządził on atak ogólny. Na polu bitwy zastałem generała Miranda z wieloma batalionami piechoty. Był tam i generał Hilaire. Miranda okazał rozkaz Dumourieza, dotyczący ogólnego ataku, zgodny z rozkazem, jaki ja otrzymałem. Według niego miałem, przebywszy most, ruszyć na prawo, w kierunku kapliczki, lecz Dumouriez zabrał mi z mojej dywizyi oddział dragonów i ustawił go na prawem skrzydle, którem dowodził. Miranda miał atakować lewe skrzydło. Wykonałem wszelako otrzymany rozkaz, mając przeciw sobie cztery bateryе nieprzyjacielskie. Mimo takiej prze-

wagi trzymałem się przez kilka godzin, choć armaty moje zdemontowane były ogniem nieprzyjacielskim. Poprowadziłem naprzód piechotę i dywizyę generała Hilaire, lecz pilnowałem wciąż wzgórza, osłaniającego piechotę przed natarciem konnicy. Wtedy spostrzegłem, że ta ostatnia przypuszcza atak na piechotę generała Miranda. Pierwszy atak nieprzyjacielski odpartym został, lecz pod naciskiem drugiego piechota zachwiała się i wszczął się w naszej armii zamęt. Spostrzegłszy to, ruszyłem do mostu, gdzie pozostawiłem armaty, lecz już trakt zajętym był przez cofające się szeregi nasze. Musiałem przeto cofnąć się na poprzednie stanowisko. Od tej chwili wraz z innymi generałami zajętym byłem ewakuacyą Belgii. Nastąpiło to, ile się zdaje, 28 marca. Wyruszyłem następnie ze swoją dywizyą do Orchies, na terytoryum francuskie, gdzie pozostawałem do 2 bieżącego miesiąca do 9 ½ rano, wszystko, stosownie do rozkazów generała Dumourieza".

— Czy ma obwiniony owe rozkazy, o jakich wspomina, i czy mógłby nam je okazać?

— Niektóre z nich oddałem w Lille sztabowi dywizyjnemu.

— Gdzież udałeś się, generale, opuściwszy Orchies?

— Do Lille.

— Na zasadzie jakiego rozkazu?

— Z własnej pobudki.... (*De son propre mouvement*).

— Nie należało opuszczać stanowiska swego bez rozkazu głównodowodzącego. Tak stanowi regulamin wojskowy...

— Otrzymałem rozkaz od Dumourieza... bym się udał do Lille i oświadczył generałowi Duval, by aresztował komisarzy Konwencyi, tam będących, jak również komisarzy skarbowych, bym wydał skarb komisarzowi Malus, przysłał mu komisarza Petitjean'a, udał się następnie do Douay celem przyaresztowania Moretona i oddał dowództwo placu komendantowi artyleryi, którego nazwiska sobie nie przypominam, bym się udał następnie do Cambray i objął tam dowództwo aż do dalszego rozporządzenia, bym przysłał pięciu lub sześciuset ludzi do Peronne z przezornym oficerem, by tam stanęli załogą. Honor i sumienie nie pozwalały mi wykonać tego rozkazu, lecz wszystkie kroki, uczynione wówczas, gdy Dumouriez otoczonym był całą swą armią, nie powinny być uważane za naganne... (*Ni l' honneur, ni la conscience du répondant, ne lui permettoient pas d'exécuter cet ordre, et que toutes les precautions qu'il à pris, et qu'il devoit prendre dans le moment ou Dumouriez etoit encore entouré de toute son armée ne peuvent être nullemeut blamables...*)

— Czy mógłbyś nam, generale, okazać rozkaz Dumourieza, o którym wzmiankujesz?

— Wręczyłem go municypalności w Lille.

— Czy poznajesz list, który ci w tej chwili, generale, okazujemy, przez ciebie pisany i podpisany, z datą 3 bieżącego miesiąca?

— *Tak jest, podpiszę go i oparafuję „ne varietur"*.

— A czy poznajesz, generale, list drugi, w formie memoryału, pisany przez ciebie, bez daty, na dwu kartkach?

— *Tak jest; poznaję, i również gotów jestem go podznaczyć.*

— Czy odpowiedziałeś, generale, piśmiennie na rozkaz Dumourieza, lub też, czy pamiętasz treść udzielonej odpowiedzi?

— Potwierdziłem jedynie odbiór rozkazu, gdyż obawiałem się, by Dumouriez, nie mając ode mnie wiadomości, nie ruszył ku Orchies, jak to zresztą zapowiedział. Miałem pod swymi rozkazami różne oddziały, obozujące między Orchies i Saint Amand i dlatego lękałem się, by wojska te, blizko jego obozu konsystujące, nie przeszły na jego stronę. Miałem to na względzie podczas drogi i dlatego potwierdziłem odbiór jego listu przez jeźdźca, który udawał się do S. Amand. „*Le repondant prie* — słowa protokułu — *de ne point le juger sur les mesures qu'il avoit prises pour dejouer l' activité et l'astuce, dont Dumouriez est capable, mais de mettre en parallèle, ce qu'il à fait, avec ce qu'il auroit du faire, s'il eut été capable d'être son complice*".

— Czy pamiętasz, generale, dzień, w którym odpowiedziałeś Dumouriezowi?

— *Było to 2 bieżącego miesiąca na drodze do Lille.*

— Jakże się, generale, przedstawiłeś w Lille?

— Wyłuszczyłem to w memoryale bez daty, na dwu kartkach, które podpisałem.

— *Czy przyznajesz, generale, pismo, które ci w tej chwili się przedstawia, jako takie, które przesłałeś Dumouriezowi w odpowiedzi?*..

— Tak jest.

— Czy wybrałeś sobie, generale, obrońcę (*un conseil*), lub też czy zgadzasz się na wyznaczenie ci takowego?

— Wybrałem za obrońcę obywatela Julienne, jurystę, mieszkającego przy ulicy *des Postes* pod Nr. 48.

Po odczytaniu protokułu Miączyński oświadczył, że odpowiedzi jego są rzetelne, poczem protokuł podpisał z prokuratorem i sekretarzem.

Następuje dopisek:

„Dziewiętnaście przekreślonych wyrazów potwierdzono, po uczynionem zapytaniu: czy Dumouriez nie zwierzał mu się nigdy ze swymi buntowniczymi i przeciwrewolucyjnymi zamiarami, a głównie

z zamiarem owładnięcia twierdzami Lille i Valenciennes i ruszenia na Paryż? Na wszystko to Miączyński oświadczył, iż Dumouriez nigdy mu się z takimi zamiarami nie zwierzał". Podpisano: Generał Miączyński, Fouquier Tinville, E. Masson, I. B. M. Montane".

Wielce charakterystycznem jest, że przy wyrazach podkreślonych (w tekście odznaczono je kursywem), Miączyński, który zeznanie swoje składał w języku francuskim, w tej chwili stanowczej, gdy od zeznań jego — los sprawy i życie jego zależały, trzykrotnie własną ręką *po polsku* napisał wykrzyknik: „*Nie!*" —

Dowodzi to, że protokuł cały i zeznania spisano według z góry przygotowanego wzoru i że Miączyński po odczytaniu najbardziej go potępiających odpowiedzi, zdobyć się mógł jedynie na tak teoretyczny protest...

XXI.

Akt oskarżenia. Trybunał rewolucyjny. Obrońca Julienne. Odezwa Miączyńskiego do obywateli. Posiedzenie Trybunału. Przysięgli i świadkowie. Prokurator żąda odroczenia sprawy do 17 maja 1793 r.

Na podstawie zeznań przedwstępnych Miączyńskiego prokurator Fouquier Tinville uformował przeciw niemu akt oskarżenia w słowach:

„Antoni Kwintyn Fouquier Tinville, oskarżyciel publiczny przy Trybunale kryminalnym nadzwyczajnym i rewolucyjnym, ustanowionym w Paryżu z mocy dekretu Konwencyi narodowej z dnia 10 marca 1793 r., Roku II Rzplitej, bez prawa odwołania się do kasacyi, działając w myśl władzy, nadanej sobie artykułem 2-im innego dekretu Konwencyi z dnia 5 kwietnia r. b. w słowach: „oskarżyciel publiczny ma prawo aresztować, badać i sądzić na denuncyacyę władz ustanowionych lub obywateli", oraz w myśl dekretu Konwencyi narodowej z dnia 12 kwietnia, odsyłającego przed Trybunał kryminalny nadzwyczajny generałów: Lanou, Stengela, Mirandę i Miączyńskiego, przedstawia, co następuje:

„Józef Miączyński, generał-major (dowódca brygady) armii republikańskiej, aresztowanym został w zarzucie udziału w spiskach, uplanowanych przez generała Dumourieza przeciw Rzplitej. Dokumenta, odnoszące się do tegoż obwinionego, przesłane zostały oskarżycielowi publicznemu przez ministra sprawiedliwości w dniu 19 kwietnia r. b.

„Miączyński badany był przez jednego z sędziów Trybunału, a z rozpatrzenia dokumentów okazało się: że po ewakuacyi Belgii

przez wojska Rzplitej wzmiankowany Miączyński wyruszył ze swą dywizyą do Orchies, na terytoryum francuskie, gdzie obozował do dnia 2 kwietnia do godz. 9 rano, a to, jak utrzymuje, z rozkazu generała Dumourieza. Pozycyę tę opuścił, jak podaje, z rozkazu Dumourieza i udał się ze swoją dywizyą do Lille, gdzie miał oświadczyć i nakazać generałowi Duvalowi, by aresztował komisarzy Konwentu, tamże przebywających, wraz z komisarzami skarbu, skarb tenże wydał komisarzowi Malus i dostawił mu komisarza Petitjean'a; by następnie udał się do Douai celem aresztowania generała Moretona i zdania dowództwa komendantowi artyleryi, którego nazwiska sobie nie przypomina. Z Douai miał udać się do Cambray, tam objąć aż do dalszych rozporządzeń dowództwo, wysłać stamtąd pięciuset lub sześciuset żołnierzy z roztropnym oficerem do Peronne, lecz, jak utrzymuje, honor i sumienie nie zezwoliły mu spełnić owych roskazów, których nie przedstawił, oddawszy je poprzednio municypalności miasta Lille.

„Z tem wszystkiem, okazuje się, że Miączyński miał istotny zamiar wykonać rozkazy Dumourieza, co wynika z listu, pisanego przezeń do zdradzieckiego generała, którego to listu datę ustanawia Miączyński na dzień 2 kwietnia, a który znalezionym został w surducie Dumourieza, jak to poświadcza list, przesłany przez członków Komitetu Ocalenia Publicznego Konwencyi z dnia 18 b. m. do ministra sprawiedliwości.

„Osnowa listu Miączyńskiego brzmiała, jak następuje:

„Mój kochany generale! Otrzymałem Twój list i rozkaz, lecz dziwię się, że goniec, który mi go wręczył, przybył o 8-mej rano, gdy tymczasem według daty listu winienem był otrzymać go w nocy. Pozdrawiam Cię i kocham jeszcze serdeczniej za krok energiczny, jaki postanowiłeś. Za wojska swoje odpowiadam. Wyruszyłem o 9-tej rano do Lille. Spełnię twe rozkazy lub zginę".

„List ten, podznaczony inicyałami Miączyńskiego, był przez tegoż przyznanym po okazaniu jego oryginału w czasie badania, odbytego w tej sprawie dnia 22 b. m.:

„Niepodobna wątpić, że zamiarem Miączyńskiego było zastosować się w zupełności do niecnych planów Dumourieza, przeciw Rzplitej ukartowanych. Ujawnił ten zamiar, udawszy się do Lille na czele swego wojska i zapewniwszy Dumourieza w liście, o którym mowa, że rozkazy jego spełni lub zginie..

„Z tych zasad oraz z uwagi na wyłuszczone powyżej fakta oskarżyciel publiczny formuje niniejszy akt oskarżenia przeciw Józefowi Miączyńskiemu, generałowi wojsk Rzplitej, iż rozmyślnie

i w złej wierze do współki ze zdrajcą Dumouriezem, spełniając rozkazy tegoż, dążył do obalenia reprezentacyi narodowej, do przywrócenia królewskości we Francyi, że udał się do Lille na czele dowodzonego przez siebie wojska celem opanowania tegoż miasta i ułatwienia w taki sposób wtargnięcia wrogów na terytorym Rzplitej, aresztowania komisarzy Konwentu, zawładnięcia skarbem armii i oddania takowego w ręce Dumourieza.

„Z powyższych zasad oskarżyciel publiczny domaga się, by Trybunał, akt niniejszy zatwierdziwszy, nakazał po zakomunikowaniu niniejszego przez woźnego komu należy sprowadzić Miączyńskiego siłą i pod dobrą strażą z więzienia Opactwa do więzienia Conciergerie w Paryżu, osadzić go tam i zapisać do regestru po zakomunikowaniu municypalności paryskiej wydać się mającego w tym przedmiocie rozporządzenia.

„Działo się w gabinecie oskarżyciela publicznego dnia 23 kwietnia 1793 r. Roku II Rzplitej.

(podp.): *Fouquier Tinville.*

Jakoż tegoż samego dnia Trybunał kryminalny rewolucyjny pod prezydencyą Bernarda Marie Montane i członków: Foucault'a, Franciszka Krzysztofa Dufrischa i Antoniego Rousillona wydał zgodne z wnioskiem prokuratora rozporządzenie [1]).

Termin posiedzenia sądowego w tej sprawie wyznaczonym został na dzień 6 maja 1793 r.

Jakkolwiek obwinionemu dodano obrońcę Julliena, o którym roczniki sądowe z owej epoki nic nie wzmiankują, jednakże sam Miączyński, pragnąc korzystnie usposobić dla siebie opinię ogółu, skreślił w więzieniu Conciergerie odezwę do obywateli, która wszakże murów więzienia nie przekroczyła i przez czujnych strażników oddaną została Trybunałowi dla dołączenia jej do akt sprawy.

„Obywatele! — pisał w niej Miączyński — „Trybunał sądzić mnie będzie dnia 6 b. m. Publiczność oczekuje usprawiedliwienia się mego, a ja oczekuję wyroku ze spokojem, będącym cechą niewinności i zgodnym z uczuciami szczerego republikanina.

„Nie lękam się śmierci. Nauczyłem się być nieustannie na nią wystawionym. Dotkliwszem nad śmierć jest piętno, ciążące na mnie w opinii publicznej, na mnie, com uczynił wszystko, by zasłużyć na miłość i na zaufanie moich współobywateli.

---

[1]) *Arch. Nat.* 271. Doss. 31. Cart. VV. I. b.

„Raczcie zwrócić uwagę na mój memoryał i zwrócić mi szacunek, narażony na szwank z powodu poszlak, przeciwko mnie nagromadzonych". Obywatel-generał *Miączyński* [1]).

Protokuł posiedzenia Trybunału nadzwyczajnego z d. 6 maja 1793 r. nie obejmuje ani zeznań świadków, ani zeznań obwinionego, ani też treści wygłoszonej przez Julliena obrony. Z tem wszystkiem, suchy ów szkielet przewodu sądowego jest ciekawym przyczynkiem proceduralnym z epoki Rewolucyi, i na nim też poprzestać musimy.

Przed komplet Trybunału, złożony z Prezydującego Montane i członków: Dufricha des Madelaines, Foucaulta i Roussillona, przy asystencyi prokuratora i pisarza Józefa Paris, wprowadzono na salę Conciergerie Józefa Miączyńskiego w charakterze generała brygady armii, dowodzonej ongi przez Dumourieza i po zdjęciu z obwinionego kajdan ustawiono go w taki sposób, by ze wszech stron mógł być widzianym.

Poczem wezwano świadków, a obrońca, Jan Chrzciciel Krzysztof Julienne, zajął miejsce przy kratce.

Na ławie przysięgłych zasiedli obywatele: Dumont, Jourdenil, Fallot, Ganney, Hastinguet, Le Roy, Brochet, Chretien, Duplain i Saintexe, w liczbie dziesięciu.

Prezydujący odebrał od nich przysięgę w słowach:

„Przysięgamy i przyrzekamy wysłuchać sumiennie zarzutów, podniesionych przeciw obwinionemu Miączyńskiemu, nie znosić się z nikim aż do chwili wspólnej narady, nie powodować się ani nienawiścią, ani złością, ani obawą, ani współczuciem i wygłosić zdanie o winie lub niewinności oskarżonego po zbadaniu zarzutów i wysłuchaniu obrony, według sumienia i przeświadczenia wewnętrznego, bezstronnie i stanowczo, jak przystoi obywatelowi wolnemu".

Gdy przysięgli zajęli swoje miejsca, prezydujący oświadczył obwinionemu, iż może usiąść i rozpoczął od pytań, odnoszących się do generaliów.

Po otrzymaniu odpowiedzi na te pytania prezydujący wezwał obwinionego, by słuchał uważnie tego, co usłyszy, i rozkazał pisarzowi odczytać akt oskarżenia.

— Oto osnowa oskarżenia — nadmienił — a teraz wysłuchasz dowodów, przeciw tobie, generale, zebranych.

---

[1]) *Arch. Nat.* F J. 4774. 44.

Po oddaleniu świadków prezydujący wzywał ich pojedyńczo i od każdego przed zeznaniem odbierał przysięgę w słowach:

— Przysięgam i obiecuję zeznać przed sądem, bez nienawiści i obawy rzetelną prawdę, całą prawdę i nic więcej nad prawdę.

Wysłuchano następnie zeznań, które złożyli świadkowie:

Ludwik Languet, kuryer przy armii Dumourieza.

Henryk Hivrier, kapitan trzeciego batalionu.

Klaudyusz Vezu, podpułkownik tegoż batalionu.

Karol Filip Rambourg, subiekt.

Ludwik Lafleury, intendent szpitala.

Po wysłuchaniu tych świadków prokurator Fouquier Tinville oświadczył, iż pragnie przedstawić nowego ważnego świadka, którego zeznanie mogłoby rzucić na sprawę światło pożądane i oświecić sumienie przysięgłych. Skutkiem tego zażądał odroczenia sprawy do 17 maja.

Do wniosku tego Trybunał się przychylił [1]).

XXII.

Sesya Trybunału 17 maja. Wyrok śmierci. Tajemniczy list do prezesa Konwentu. Delegacya Rouzeta i Droueta do Conciergerie. Ździwienie Miączyńskiego. Poświęcenie jego żony. Bezładne oskarżenia. Wstrzymanie egzekucyi Miączyńskiego.

W dalszym tedy ciągu sprawy stawili się w dniu 17 maja 1793 r. przed Trybunałem następujący świadkowie:

Ze strony prokuratora:

Jan Evert Degland, chirurg z Lille. Szymon Dufuss, kancelista.

Ze strony Miączyńskiego:

Antoni Klaudyusz Collin, kapitan 13 regimentu strzelców z Lille. Józef Saint George, pułkownik tegoż regimentu.

Tomasz Aleksander Dumas, pułkownik.

Ludwik Jan Baptysta Lavalette, generał brygady z Lille.

Jan Franciszek Detondit, członek municypalności.

Feliks Józef Vautourante.

---

[1]) *Arch. Nat.* N. 271 Cart. W. 1. b. Doss. 31. Wallon w dziele *Hist. du Tribunal révol.* (T. I. 102.) błędnie podaje, jakoby odroczenie nastąpiło na prośbę Miączyńskiego, który jakoby powołał się na zeznanie Saint George'a. Zażądał tego prokurator.

Franciszek Józef Desfontaine, szewc i strażnik bramy miejskiej z Lille.

Karol Treve, kupiec.

Po wysłuchaniu zeznań tychże świadków, którzy stwierdzili fakta, już z poprzedniego nam wiadome, prokurator Fouquier Tinville powtórzył i uzasadnił akt oskarżenia, poczem obrońca Jullienne, powoławszy się w usprawiedliwieniu postępków Miączyńskiego na jawną jego nierozwagę, iż nie czynił sekretu z powierzonej sobie misyi do tego stopnia, iż zwierzył się z nią przed ludźmi, którzy go wyprzedzili w drodze do Lille, prosił o uwolnienie oskarżonego.

Lecz dowody potępiające były tak oczywiste, że, zestawiając zeznania Miączyńskiego z własnoręcznymi jego listami, prezydujący w krótkich jedynie słowach przedstawił *resumé* sprawy. Na wniosek Trybunału ułożono szereg pytań faktycznych dla przysięgłych i objaśniono ich o porządku narady z powierzeniem im aktu oskarżenia i dokumentów, w śledztwie zebranych.

Gdy przysięgli usunęli się do sali narad, prezydujący polecił wyprowadzić obwinionego, a gdy przysięgli zawiadomili, że mają już odpowiedzi przygotowane, wezwano ich do sali i każdemu z nich zosobna zadawano pytania faktyczne, na które odpowiadali.

Poczem wprowadzono Miączyńskiego ponownie do sali i prezydujący, oświadczywszy mu, że przysięgli na wszystkie pytania dali odpowiedź twierdzącą, rzekł doń:

— Oskarżony wysłucha wniosków prokuratora co do zastosowania przepisów prawa.

Po wypowiedzeniu wniosku prokuratorskiego prezydujący zapytał obwinionego i jego obrońcę, czy mają co do nadmienienia? a gdy zaszło milczenie, Trybunał ogłosił wyrok na podstawie zdań wszystkich swoich członków, od najmłodszego poczynając, wyrok, skazujący Miączyńskiego na karę śmierci [1]).

Według ustanowionego regulaminu, kara ulegała bezzwłocznemu wykonaniu.

Nieszczęśliwa żona Miączyńskiego, pragnąc zyskać na czasie i przedłużyć choćby na krótko życie skazanego, uciekła się bez jego wiedzy do środka wyjątkowego.

Przygotowawszy przy pomocy jednego ze swych znajomych list podrobiony w imieniu swego męża i podpisany jego imieniem i nazwiskiem, zaadresowała go do Prezesa Konwentu Narodowego.

---

[1]) *Arch. Nat.* 271. Cart. w. 16. Doss. 31. *Monitor* z r. 1793, N. 142, str. 434 (*reimpr.*).

Na posiedzeniu Konwentu, odbytem nazajutrz po sprawie, sekretarz zgromadzenia odczytał publicznie treść owego dokumentu w słowach:

— „Obywatelu prezesie! Mówiłem i powtarzam: nie byłem wspólnikiem spisku Dumourieza, lecz korzystałem z jego zaufania o tyle, że mogłem doskonale znać jego zamiary. Ośmielam się przeto, nim umrę, prosić Konwencyę Narodową o pozwolenie wykrycia przed nią faktów niezmiernej doniosłości, mogących posłużyć wojskom Rzplitej. Proszę o zawieszenie egzekucyi na dni trzy. Trzy dni takiego życia nie są łaską. Są tylko przedłużeniem męczarni, którą jednak chętnie zniosę dla dobra Rzplitej" [1]).

Wobec tak niespodziewanego oświadczenia Konwent Narodowy pod prezydencyą Isnarda nie zawahał się przychylić do prośby skazanego i delegował dwu komissarzy: Rouzeta i Droueta (ten ostatni głośnym był z epizodu aresztowania króla w Varennes) do wysłuchania w asystencyi Trybunału jego zeznań.

18 maja 1793 r. o godzinie 11-tej rano przybył komplet Trybunału do Conciergerie i, wezwawszy Miączyńskiego, odczytał mu dekret, zawieszający egzekucyę, i list, który się do tego przyczynił. Poczem wezwał go do złożenia zapowiedzianych zeznań.

Miączyński w pierwszej chwili zmieszał się i nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

„Niepodobna było rozpoznać — pisali o tej scenie komisarze Konwentu — czy wzruszenie skazanego wywołał list mu odczytany, czy też sytuacya, w jakiej się znajdował."

Po chwili jednak przyszedł Miączyński do siebie i domyślił się, że to jedynie żona jego mogła się zdobyć na ów ostateczny środek ratunku, i dlatego, pragnąc zyskać na czasie, w przewidywaniu, że wszystkie fakta, jakie przytoczy, ulegną uprzedniemu sprawdzeniu, zaczął w bezładnych słowach miotać oskarżenia przeciwko Dumouriezowi i różnym członkom Konwentu Narodowego.

Oświadczył przeto, że ze stosunków, jakie miał z Dumouriezem, przekonał się, iż zamiarem generała było zdobycie Brabantu dla siebie i skojarzenie małżeństwa syna księcia Egalité z młodocianą księżniczką, więzioną w Temple... Co zaś do królewicza, czynił zwykle generał ruch, oznaczający, że go uśmiercą... Przytoczył dalej, że widział członka konwentu Lacroix (d'Eure et Loir), wspólnika Dan-

---

[1]) *Monitor* z r. 1793, N. 139 ogólnikowo wspomina o treści owego listu, lecz przytacza ją według notat jenerałowej Miączyńskiej. *Przyj. ludu* z r. 1837, str. 396.

tona, w zażyłych z Dumouriezem stosunkach w epoce, gdy pierwszy był komisarzem w Belgii; że Dumouriez, snując swoje plany, polegał zawsze na większości Konwentu i pozostawał w korespondencyi z Petionem, Gensonne i innymi, których nazwisk sobie nie przypomina... że nadto znosił się z Custinem w epoce, gdy Prusacy byli na terytoryum francuskiem... Przyrzekał Dumouriez zeznającemu posiłki w liczbie sześciu tysięcy ludzi, by mógł następować na pięty armii nieprzyjacielskiej (*pour chatouiller le derriére de l'armée ennemie*), lecz że słowa nie dotrzymał... Dumouriez — mówił dalej Miączyński — prowadził rokowania z królem pruskim i, jak twierdził, odwrót Prusaków dużo kosztował pieniędzy... podejmował nadto ex-generał księcia Cobourga sutym bankietem, wysłał adjutanta swego Devaux do Londynu z listami do Pitta... że między oficerami Dumourieza, sprzyjającymi Orleanowi, przypomina sobie hrabiego de Flers... że Thouvenot był głównym agentem ex-generała, a Quentin, sekretarz tegoż, mógłby więcej jeszcze przytoczyć szczegółów o robotach tajnych swego ex-dowódcy. Ten ostatni mówił zeznającemu, że generał Valence ślepo mu jest oddanym, a w wielu okazyach zauważył dążność Dumourieza do wyróżniania syna ks. Egalité. W epoce przybycia komisarzy Konwentu Dumouriez pytał Miączyńskiego, czy może liczyć na jego dywizyę i czy znajdzie pomoc w razie, gdyby go aresztować chciano? W czasie pobytu w Belgii komisarz Lacroix oświadczył mu: „jesteś cudzoziemcem, możesz zatem łupić, ile ci się spodoba, podzielimy się, a ja ciebie bronić będę przed Konwentem."

Wreszcie nadmienił Miączyński, iż sytuacya, w jakiej się znajduje, wymaga pewnej zwłoki, by mógł doprowadzić swoje myśli do porządku i przypomnieć sobie inne jeszcze szczegóły, których obecnie wyłuszczyć nie może, między innemi np. że Chazot był pośrednikiem w doręczeniu listu Dumourieza...

Z powyższych zeznań sporządzono protokuł i opatrzono go podpisami obecnych. Poczem Miączyńskiego odprowadzono do celi więziennej.

Niezadługo wszakże sprowadzono go ponownie do sali Trybunału, gdzie sędziowie wezwali go do złożenia owych ważnych zeznań, o których w liście nadmienił. Na to Miączyński odrzekł, że w tej chwili czuje silny ból głowy, prosi zatem, by Trybunał i delegaci zaczekali do rana, a on przez noc postara się odświeżyć wszystko w pamięci [1]).

---

[1]) *Arch. Nat.* W. 1. b. 271 Doss. 31.

Poczem komisarze udali się z raportem na posiedzenie Konwentu i wynurzyli opinię, że byłoby niebezpiecznem podać to, co skazany zeznał, do wiadomości ogółu, i że należałoby przedewszystkiem zasięgnąć w tej mierze zdania Komitetu Ocalenia Publicznego.

Konwent na to się zgodził i polecił tymczasem wstrzymać egzekucyę [1]).

I komitet ocalenia publicznego uznał dotychczasowe zeznania za niedostateczne i wymagające uzupełnień. Jakoż deputowany Cambon, złożywszy tę opinię przed Konwentem, uczynił imieniem tegoż wniosek o wysłanie ponowne komisarzy do Miączyńskiego celem odebrania od niego ostatecznych zeznań. Wniosek ten przyjętym został, i nieszczęśliwy skazany uratował jeszcze kilkanaście godzin życia...[2]).

XXIII.

Memoryał La Roche'a do Lebruna w obronie Miączyńskiego. Nowa delegacya komisarzy Konwentu. Konfrontacya Miączyńskiego z Petionem, Lacroix i Gensonne. La Pallière. Deklaracye i bezładne zeznania Miączyńskiego.

Tegoż samego dnia, w którym z mocy dekretu Konwentu Narodowego odbyć się miała ostateczna w Concergerie wizyta u Miączyńskiego, doręczonym został ministrowi spraw zagranicznych Rzplitej, Lebrunowi memoryał, wzywający w imieniu sprawiedliwości, a nawet interesu Francyi o ratunek dla nieszczęśliwego. Memoryał ten podpisał La Roche, b. członek poselstwa francuskiego w Warszawie, osobistość zestosunkowana ściśle z emigracyą polską, podówczas w Paryżu przebywającą, na której czele stały tak wpływowe jednostki, jak np. adwokat warszawski Franciszek Barss, Wojciech Turski, inaczej *Albert le Sarmate* zwany, głośny ze swej mowy, wypowiedzianej przed kratkami Konwentu Narodowego w imieniu Polski i — Tadeusz Mostowski.

Agitujący się w owym czasie projekt utworzenia legionów polskich, złożonych przeważnie z dezerterów armii państw rozbiorowych, których zadaniem miało być wytworzenie ogniska ruchu narodowego za granicami Polski i przygotowanie pod wodzą Ko-

---

[1]) *Monitor* z 1793 N. 139, str. 416 (*reimpr.*).

[2]) *Monitor* z 1793 r. N. 140 str. 420 (*reimpr.*).

ściuszki powstania, stanowił dla Francyi ważny środek obronny i manewr strategiczny w celu odwrócenia Prus i Austryi od planowanego nowego najazdu na granice Rzplitej francuskiej.

Tego to właśnie argumentu użył La Roche w memoryale, wystosowanym do ministra Lebruna, by skłonić go do wstawienia się za Miączyńskim.

„Obywatelu ministrze! — pisał La Roche — gdy chodzi o interes Rzplitej, wolę raczej stać się ofiarą moich przekonań, aniżeli zatajeniem ich ubliżyć moim obowiązkom.

„Uczyniłbym to już wcześniej, gdybym mógł był przewidzieć nieoczekiwany pośpiech w potępieniu nieszczęśliwego Miączyńskiego.

„Sprawiedliwość i wspaniałomyślność narodu wolnego winny uczynić wszystko dla uniewinnienia człowieka, skazanego na podstawie poszlak o nieprawomyślne względem rządów Francyi zamiary.

„Ludzkość wymaga, by osobistość skazanego lepiej ocenioną była; sprawiedliwość żąda, by zestawiono tę osobistość z podniesionymi przeciw niej zarzutami; polityka wreszcie wymaga zawieszenia następstw nierozważnego dekretu.

„Józef Miączyński, rodem Polak, powołany został zaufaniem swoich współobywateli do kierownictwa konfederacyą, zawiązaną przeciw królowi.

Stał się on postrachem przeciwników, którzy, nałożywszy cenę na jego głowę, uwięzili go, lecz nie utrzymali w niewoli. Wydostał się Miączyński na swobodę i odrzucił zaszczyty i bogactwa sobie ofiarowane, za cenę powrotu do kraju. Wolał on pędzić żywot skromny, lecz chlubny i osiedlił się we Francyi, gdzie uległ prześladowaniom ze strony ministrów.

„Wstąpił on do szeregów wtedy dopiero, gdy się przekonał, iż nadeszła pora poświęcenia swej krwi w obronie ludu francuzkiego.

„Było więc, jak widzimy, życie owego człowieka długiem pasmem niedoli i poświęceń. Zaprawdę, nie byłoby powodu starać się o jego przedłużenie... gdyby nie to, że śmierć nieszczęśliwego osierociłaby żonę jego i dzieci...

„Czyż po tem wszystkiem, co tu przytoczono, nie należy sprawiedliwości mieć na względzie nikczemności zdrajcy (Dumourieza), który, nadużywając stosunków długotrwałej przyjaźni i polegając na biernem posłuszeństwie swego podwładnego oficera cudzoziemca, korzystając wreszcie z zaufania, które, niestety, naród cały przez czas zbyt długi podzielał, zwierzył się przed Miączyńskim ze swymi nikczemnymi zamiarami?

„Sprawiedliwość winna—raczej w działaniach swej ofiary i w sposobie, w jakim rozkaz sobie udzielony wykonał, dopatrzeć się chwiejności między obowiązkiem żołnierza a własnemi wątpliwościami, które się nastręczały jemu, obcemu zarówno Rzplitej, jakoteż i zdradzie...

„Z politycznego punktu widzenia wykonanie pośpieszne dekretu na człowieku, znanym we własnej ojczyźnie jedynie z cnót, stanowiących cechę uczciwości i obywatelskości, na ofierze wygnania, z powodu wykonywania tychże cnót, na osobistości, której niedole oddawna są wiadome Europie, stałoby się jedynie przedmiotem ogólnego zdziwienia i mogłoby sprowadzić bardzo zgubne następstwa.

„Jakaż to krzywda i boleść widzieć w tej właśnie chwili jednego z najszlachetniejszych ludzi, padającego pod nożem gilotyny, i to w jakim kraju? we Francyi, w roku II Rzplitej!

„Lecz wzgląd nierównie ważniejszy powinien powstrzymać miecz sprawiedliwości.

„Istnieje plan tajny, o którym, jak dotąd, nie sądziłem za rzecz potrzebną informować komitet wykonawczy. W obecnem położeniu Polski jest to środek jedyny, mogący pośrednio szkodzić i naszym nieprzyjaciołom. Projekt ten, o którym obywatel Descorches w Konstantynopolu i Ingeström w Stockholmie, jak również i ci, którzy w nim w głębi Polski współdziałają, posiadają instrukcye szczegółowe, polega na wywołaniu zbiegowstwa z całej armii polskiej, a zwłaszcza z tej, która obozuje nad brzegami Dniestru i na granicach Pomorza. Wszystko już do tego jest przygotowane, i obecnie chodzi już tylko o porozumienie się co do punktów zbornych na Wołoszy, Mołdawii i Pomorzu.

„Ten pobieżny motyw na teraz wystarczy. Komitet wykonawczy będzie miał w czasie właściwym bliższe jego rozwinięcie. Wynikiem jego jest, że należałoby oszczędzać uczucia wielkiej liczby przyjaciół Miączyńskiego, oddających mu należną sprawiedliwość i wierzących szczerze w niepodobieństwo skojarzenia jego winy z uczuciem miłości dla narodu, któremu służyć pragnął.

„Zależy zatem jedynie od Ciebie, Obywatelu ministrze, by sprowadzić pewien potężny efekt rewolucyjny *(d'opérer un grand éffet revolutionaire)* i wpłynąć na Konwent, by zawiesił wykonanie wyroku z uwagi na chlubną przeszłość oskarżonego. *La Roche.*

Dnia 19 maja, roku II Rzplitej [1]."

---

[1]) *Arch. Minist. Spraw Zagr. w Paryżu.* Vol. 321 (*Pologne*) str. 313 — 316.

Niestety, memoryał ten w okolicznościach ówczesnych, w jakich pozostawała Francya, mógł być jedynie świadectwem szlachetnych uczuć obrońców Miączyńskiego, lecz skutków praktycznych sprowadzić nie był w stanie. Minister Lebrun przesłał go Komitetowi Ocalenia Publicznego, gdzie między papierami utonął, a tymczasem cały skład Trybunału w dniu 19 maja udał się w asystencyi powołanych i poszlakowanych o konszachty z Dumouriezem członków Konwentu: Lacroix, Petionem i Gensonné'm do Conciergerie w celu dopełnienia ocznej między tymi ostatnimi a Miączyńskim konfrontacyi. Miączyński silnie był wzburzony, co protokuł przypisuje okoliczności, że w ciągu tegoż dnia skazany pił nadmiernie... *(on nous dit même, qu'il avait beaucoup bu dans la journée...)*

Konwencyonista Lacroix, sojusznik Dantona, spytał Miączyńskiego, gdzie słyszał słowa, jakoby przezeń wygłoszone?

— W Belgii, odrzekł skazany.

— Lecz gdzie? Mogłem się z tobą, generale, spotykać tylko w towarzystwie kolegów i dowódców. Dywizya twoja była zresztą o mil ośm od głównej kwatery oddaloną, a tu przecie rzadko bywałeś.

— Widziałem cię u La Pallière.

— Jest to niemożliwem. Epoka, o jakiej mówisz, uprzedziła bytność moją w Belgii...

Na tem się badanie skończyło. Stan niepoczytalności Miączyńskiego, w jakim się pod wpływem odurzenia znajdował, nie dozwalał na dłuższe badanie.

Nazajutrz ponownie wezwano Miączyńskiego i zapytano, czy już zebrał wszystkie myśli i wspomnienia?

W odpowiedzi na to złożył skazany na ręce komisyi memoryał piśmienny. Zanim wizyta się skończyła, odczytano Miączyńskiemu treść tego, co przedstawił, i zapytano, czysobie przypomina konfrontacyę wczorajszą z obywatelem Lacroix?

Odrzekł na to, iż chociaż dnia poprzedniego był bardzo wzburzonym, jednakże potwierdza w zupełności to, co w protokule napisano, i to, co obecnie przedstawia.

Oto osnowa owych przedśmiertnych, bezładnych zeznań Miączyńskiego [1]).

---

[1]) Część ich podaje Monitor z r. 1793. № 143, i ta naturalnie zredagowaną est poprawnie. Pozostałe zeznania, mieszczą się w dokumentach Archiwum narodowego w Paryżu *(W. 1. 6. N. 271. doss. 31)* i zdradzają bezład w myślach nieszczęśliwego. Są one miejscami nieczytelne i przepełnione błędami ortograficznymi

„Obywatele, przedstawiciele narodu—pisał Miączyński—wczoraj wieczorem, gdyście mnie wzywali do zeznań, mogliście się przekonać, że byłem nie swój... (*que je n'étois pas à moi*). Położenie moje, wzruszenie na widok ludzi, radość z powodu uzyskanej zwłoki w egzekucyi pozbawiły mnie mowy i słuchu... Dziś jestem już spokojniejszy i przemawiać do was będę językiem szczerego republikanina... Silny w poczuciu niewinności mojej, o czem wie żona moja, nie spodziewałem się wyroku skazującego... Oświadczam, co zawsze twierdziłem, że Lacroix często widywał Dumourieza. Jest on zbyt rozumnym, by nie był w stanie przejrzeć zamiarów wodza. Ulegał on niewolniczo Dumouriezowi. Postępowanie jego z Mirandą jest tego dowodem. Kazał on go aresztować na rozkaz Dumourieza. La Pallière jest przyjacielem Lacroix. (?) Chciał go podstawić w moje miejsce i otóż padłem ofiarą tej intrygi. Gdybym był wspólnikiem Dumourieza, miałbym przyjaciół i wyszedłbym z więzienia, lecz miałem za sobą tylko uczciwość moją—pomoc, niestety, zawodną!

„Jeżeli to, co uczyniłem, było zbrodnią, popełnił taką samą i Westerman; gdyż przybył 4 kwietnia ze swą dywizyą do Lille i tu oświadczył, że uznaje jedynie Dumourieza. A jednak Westermann dotąd wolnością się cieszy! Lacroix, który mi proponował podział zdobyczy, domagał się połowy bielizny, którąbym złupił w Rolduck... Nie zabrałem nic...

„Lacroix starał się dla mnie o rangę naczelnego wodza, by mógł zostać moim podkomendnym, lecz poznał, że moje zasady z jego zasadami nie są w zgodzie... Uważałem, że stronią od Dantona... Dampierre zrabował raz w Belgii pięćset luidorów... Wiem od jego adjutanta, że pieniędzmi tymi w pewnej kampanii się podzielił...

„W Rolduck słyszałem od pewnego oficera austryackiego, że będziemy zmuszeni opuścić Belgię, że Prusacy i Austryacy wtargną do Francyi, że zgromadzenie narodowe będzie rozdwojone i że poznają niebezpieczeństwo położenia, gdy ono groźnem już się stanie...

Na luźnych karteczkach zanotował Miączyński:

„Obywatel Tellier, komisarz sekcyi Pont-neuf, mówił mi, że metresą fałszerza asygnat była Marya la Pallière, i że Lacroix był z nią w stosunkach, na co mi komisarz ów rzekł: „Wiem o tem".

„Gdy nakazano mi ruszyć do Brukselli celem porozumienia się z obywatelem Carron, komisarzem Konwentu, po załatwieniu tej sprawy wracałem do siebie na obiad. W drodze spotkałem panią Batin, żonę oficera ewangelika w regimencie Clayrfaita. Dałem

owej pani swój adres, by zaprosiła do mnie swego męża. Przy obiedzie poróżniliśmy się z powodu pewnych poglądów. Radził mi, byśmy się cofnęli, gdyż będziemy atakowani, poczem oświadczył mi, że nas przymuszą do opuszczenia Belgii, na co mu odrzekłem, że mamy dosyć sił, by się w tym kraju utrzymać. On innego był zdania. Zapytałem go, czy Austryacy nie będą nas nękać przy odwrocie. Na to odrzekł, że chwilowo — nie, lecz ustawią wojska na granicy, by przeszkodzić naszemu odwrotowi... Na to oświadczyłem, że wtedy będziemy spokojni, każdy u siebie. „O nie! rzekł, postaramy się wzniecić u was wojnę domową”. Temu zaprzeczyłem, gdyż w departamentach pełno jest gwardzistów narodowych. Odrzekł na to, śmiejąc się: Spostrzeżecie się już po niewczasie, gdy zgromadzenie się rozpędzi... Wówczas ja na to: „Czekacie tylko wojny domowej, by napaść na nas!...” Otóż, zgadłeś, odrzekł. Ja na to: Nie uda się to wam...

„Wreszcie powołuję się na rozmowę, którą miałem wczoraj z obywatelem Lacroix. Mniemam, że jest ona zgodną we wszyststkiem z tem, co tu przytaczam”.

(podp.) Józef Miączyński.

Ne varietur:	*Drouet.*
Montane	*Rouzet*
Fouquier Tivnille	*E. Masson.*

XXIV.

Posiedzenie Konwentu 21 maja 1793 r.—Sprawozdanie Rouzeta i Droueta z zeznań Miączyńskiego. —Wniosek Lacroix.—Wnioski konwencyonistów Roux, Boursaulta i Chambona. — Konwent odrzuca wniosek o ponowne wstrzymanie egzekucyi Miączyńskiego.

Na posiedzeniu Konwentu narodowego z dnia 21 maja 1793 r. obywatel Rouzet złożył relacyę z odbytego z Miączyńskim badania, przyczem nadmienił, że w obecności Lacroix pytano skazanego o znaczenie przypisywanych pierwszemu z nich wyrazów: „*Pillez et nous partagerons*”.

Wyjaśnił je Lacroix w ten sposób, że gdy Miączyński w czasie pochodu w Belgii zatracił swój tobołek z rzeczami i zwrócił się o to z reklamacyą do komisarzy, Lacroix w obecności Dantona powiedział mu: Jesteś w kraju nieprzyjacielskim, pohulaj sobie trochę (*houssardez...*) i powetuj poniesioną stratę...

Co do Petiona i Gensonne, obecnych przy zeznaniach Miączyńskiego, ci oświadczyli, że na równi z całą Rzplitą cenili wysoce zasługi Dumourieza.. Petion nadto nadmienił, że raz tylko pisał do Dumourieza, lecz odpowiedzi od niego nie otrzymał.

Przytoczył wreszcie Rouzet, że sprowadzono mniemanego powiernika Dumourieza, Quinquaina, lecz przekonano się, że to był zwyczajny kopista, z którego trudno było coś ważnego wydobyć.

Zabrał następnie głos drugi komisarz, Drouet.

– Winienem zdać Konwentowi sprawę — mówił — ze spostrzeżeń, jakie uczyniłem podczas naszej delegacyi. Otóż, nasamprzód winienem nadmienić, że odczytany wam list jakoby Miączyńskiego, w którym prosił o wstrzymanie egzekucyi, nie od niego pochodził... Stwierdzono to przez porównanie i sprawdzenie charakteru jego pisma i podpisu. Przyznała się zresztą do mistyfikacyi żona Miączyńskiego, gdy ją zmieszaną zapytano o autorstwo listu.

„Miał go pisać jakiś przyjaciel jej męża, którego nazwiska wydać nie chciała.

„Przystąpiliśmy następnie do zbadania Miączyńskiego. Kolega mój już część jego zeznań przedstawił; chcę zatem ze swej strony wyjaśnić to, co się odnosi de Lacroix. Ten ostatni był z nami. Zapytał Miączyńskiego, czy widział go gdzieindziej oprócz u Dampierra? — Nie, odrzekł Miączyński.—Czy istotnie radziłem ci, byś łupił, ile możesz, a łupem się podzielimy?

— Powiedziałem już to—rzekł na to Miączyński—i powtarzam toż samo... Zresztą, zostaw mnie w spokoju... Mam silny ból głowy... Poczem wziął mnie na stronę i szepnął: Nie mogę nic więcej nad to przytoczyć, lecz jutro opowiem więcej o fałszerstwie asygnat, w której miał udział Lacroix...

— „W rzeczy samej nazajutrz opowiedział nam o odkryciu, uczynionem przez niejakiego Letellier. Sprowadziliśmy tę osobistość, lecz usłyszeliśmy od niej zaprzeczenie udziału Lacroix w tej sprawie. Oto fakta. Obserwowałem bacznie Miączyńskiego i przyszedłem do przekonania, że człowiek ten mówi nieprawdę, sądząc, że tem się uratuje. Lacroix natomiast jest człowiekiem uczciwym i silnym w swem sumieniu. Potwarzy się nie lęka...

„Z tych zasad, obywatele, mniemam, że należy nam znieść dekret, wstrzymujący egzekucyę."

Gdy Konwent przystąpił do deliberacyi nad tym wnioskiem, zażądał głosu Lacroix.

Przerwał mu konwencyonista Roux:

— Należy przedewszystkiem postanowić co do wniosku

uchwałę, a potem wysłuchamy głosu Lacroix. Niema to nic wspólnego z egzekucyą Miączyńskiego.

Lacroix. Jestem wdzięczny Miączyńskiemu za uczyniony mi zarzut rabunku w Belgii. Jest to tylko owoc intrygi, która, być może, gnieździ się w waszem łonie. Miączyński nic innego nie powiedział nad to, co z tej trybuny już przed nim wygłosili: Barbaroux, Teniéres, Lasource, Lallés i inni. Poddaję to światłej waszej rozwadze, obywatele. Nadmieniam, że list, jakiście otrzymali, nie był dziełem Miączyńskiego, co stwierdza raport komisarzy. Któż więc mógł ów list napisać, jeśli nie potwarcy moi... Ograniczam się zatem w tej chwili do żądania, by Konwent wydelegował specyalną komisyę celem rozpatrzenia mojej działalności w Belgii. Jeśli się okażę winnym, postawcie mnie w stanie oskarżenia... (Oklaski).

Wielu członków Konwentu domaga się przejścia do porządku dziennego.

Boursault. Chciałbym, by Konwent raczył postanowić wyświetlenie jednej okoliczności... Obywatel Beaulieu, który onegdaj jadł kolacyę z Miączyńskim, zapewniał mnie, iż ten ostatni wstrzymania egzekucyi nie żądał...

Drouet. Domagam się, by aresztowano żonę Miączyńskiego i znaglono ją do wydania nazwiska autora listu.

Osselin. Domagam się oddania tej kobiety pod sąd!

Kilka głosów. Raczej pod juryzdykcyę Komitetu Ocalenia Publicznego...

Inne głosy: Nie! Niechaj ją najprzód zbadają komisarze Konwentu...

Thuriot. Gdy prezydent list ów odczytał na początku posiedzenia, mało członków Konwentu znajdowało się w sali. Niech nam prezydent powie, od kogo ów list otrzymał?

Prezydent Isnard. Znalazłem go między papierami na stole.

Roux. Dowiaduję się właśnie od sekretarza Komitetu korespondencyi, że obrońca Miączyńskiego, przybywszy osobiście do biura komitetu między 8 a 9 rano, napisał tam jakiś list...

Zgromadzenie uchwala przejść nad tą sprawą do porządku dziennego.

Lacroix. Obstaję przy zamianowaniu komisyi, której się domagałem.

Duperret. W takim razie żądam w drodze poprawki, by zwłoka w egzekucyi Miączyńskiego utrzymaną została...

Po krótkiej deliberacyi Konwent uchwala delegowanie komisyi.

Boyer Fonfrède. Domagam się, by taż komisya rozpatrzyła i sprawę Petiona i Gensonne'a...

Propozycyę tę przyjęto.

Chambon. Żądam utrzymania zwłoki w egzekucyi Miączyńskitgo.

Konwent wniosek ten odrzucił, i tym sposobem ostatnia iskierka nadziei uratowania nieszczęśliwego — zagasła... [1])

XXV.

Przedśmiertne chwile Miączyńskiego. — Spowiednik ks. Lothringer. — Troski Miączyńskiego o los dynastyi Bourbonów. — Zagadka psychiczna. — List pożegnalny do żony. — Na wózku skazańców. — Ostatnie okrzyki — Paszkwil *Glaive vengeur.* Egzekucya.

Utrzymują że tonący, w chwili agonii, tracąc samowiedzę, widzi naraz przed oczyma duszy obraz życia swego w przelocie, i to, co w życiu tem było mu najdroższem, występuje przed nim w ułudnych barwach, jako osłoda, przypomnienie i nadzieja, zasnuwając się zwolna czarną osłoną — nieznanego.

Jakie uczucia miotały duszą Miączyńskiego, w ostatnich chwilach jego życia? Jakie obrazy, jakie wspomnienia budziło w nim przekonanie, że nadszedł nieodwołalnie moment obrachunku z przeszłością i że za chwilę na publicznym placu Paryża, wśród obcych tłumów, on, cudzoziemiec, marszałek konfederacyi barskiej złoży głowę pod nóż gilotyny za sprawę obcego kraju, za sprawę, której się w chwili zapału poświęcił, a którą, zdaniem dekretu ostatecznego przysięgłych, jakoby zdradził — podniesieniem sztandaru buntu przeciw ustanowionej z woli Francyi władzy za podszeptem złego ducha, uosobionego w postaci zdradzieckiego wodza Dumourieza...

Nieszczęściem dla Miączyńskiego posiadamy w dokumentach autentycznych odbłyski przedśmiertnych trosk i myśli skazanego, zarejestrowane bądź w piśmie jego do żony, bądź w świadectwie kapłana, który go na śmierć przygotować pragnął, bądź wreszcie w świadectwie współczesnych, opisującem postawę ofiary podczas smutnego korowodu na miejsce stracenia...

---

[1]) Monitor z r. 1793. № 143.

Wszystkie te świadectwa, wzruszające tragizmem sytuacyi, dowodzą, że po chwilach dziwnej i niewytłómaczonej w walecznym żołnierzu, jakim niezaprzeczenie był Miączyński, słabości ducha, ujawnionej w szukaniu ocalenia drogą zarzutów, przeciw towarzyszom broni podniesionych, nastąpiła reakcya, i że ów człowiek, łaknący sławy rycerskiej na polach bitew za sprawę obcą, poczuł się w stanowczej chwili na nowo żołnierzem, idącym odważnie, z podniesioną głową na śmierć. Reakcya ta do tego stopnia opanowała duchową istnością skazanego, że zamiast szukać pociechy religijnej w chwili, która najtęższym umysłom podsuwa pragnienie skruchy, rezygnacyi i rozpamiętywania, wdał się ze spowiednikiem swoim w dysputę natury politycznej i biadał jedynie nad losem „swego króla", nad smutną dolą jego więzionej w Temple rodziny...

W sercu Józefa Miączyńskiego, potomka sławnego rodu rycerskiego, nic nie rozbrzmiewa w przedśmiertnej męce wspomnieniami kraju rodzinnego, nic nie przypomina w owym generale brygady wojsk republikańskich, żołnierzu z pod Sedanu, Argonne, Jemappes, Akwizgranu, Tirlemont i Neerwinden — dawnego konfederata barskiego, marszałka bełskiego, rycerza z pod Lwowa, Lanckorony, Tęczyna i Krakowa, towarzysza broni Pułaskich!

Zdarzają się osobistości, w których życiu ujawnia się pewien dziwny rozłam, dzielący ich czyny na dwie odrębne grupy, żadnej ze sobą nie mające na pozór łączności, które wszakże w stanowczych chwilach tak się ze sobą kojarzą, iż dominującym w nich tonem staje się to, co ród, wychowanie i sama natura wyciskają niezmazalnem piętnem na osobistości duchowej człowieka, nadając mu pewien odrębny, ściśle określony charakter dziedziczności rodowej...

Wraz z Miączyńskim liczny zastęp Polaków szukał w końcu XVIII wieku karyery i rozmachu energii rycerskiej na odległych od rodzinnego kraju działalności polach. Nie mówiąc już o legionach naddunajskich i włoskich, zrekrutowanych z Polaków, znajdowali się współcześnie w Paryżu w przededniu teroryzmu Polacy w rodzaju: Łazowskich, Turskich, Barssów, Mostowskich, którzy wybitną, a czynną w wypadkach rewolucyi wielkiej odegrywali rolę, należeli do rozmaitych stronnictw politycznych, kierowali ruchem rewolucyjnym, lecz mimo to nie tracili nigdy z uwagi, że ich misyą zagranicą było nieustanne przypominanie Europie sprawy ich rodzinnego kraju.

Miączyński stoi wśród tej kategoryi ludzi na stanowisku odrębnem i psychicznie niewytłómaczonem...

Już list jego do żony, pisany w przededniu stracenia, dowodzi, że

w duszy skazanego nie tliła ani jedna iskierka uczucia dla swej przeszłości rodowej, i że tę duszę nękały jedynie troski o zasługach względem Francyi, niewdzięcznością jej obywateli odpłaconych...

„Otóż niesprawiedliwość spełniona — pisał Miączyński—zdradzony jestem nawet przez członków Konwentu, którzy mnie usidłać pragnęli... Powiedziałem to, com mógł i winien był powiedzieć... Szczerość moja nowych mi tylko zjednała wrogów. Nie przyszli mi z pomocą ludzie uczciwi, rzetelni republikanie, bo tych jest niewielu... Umieram ze spokojem. Sumienie mam czyste... Sędziowie zbłądzili, lecz ponieważ są sędziami, woleli poświęcić niewinnego, aniżeli przyznać się do błędu... Takimi są ludzie .. Bywaj mi zdrowa, serce moje, ściskam cię i polecam dzieci opiece twojej. Gdybyś mogła opuścić ów kraj niewdzięczny, dobrzebyś uczyniła. Unoszę ze sobą do grobu szacunek publiczny, i to mnie pociesza" [1]).

A oto relacya z przedzgonnych rozmów i wynurzeń Miączyńskiego, zachowana w zeznaniach spowiednika, księdza Franciszka, Lothringera, wikarego metropolitalnego paryzkiego.

W kilka miesięcy po straceniu Miączyńskiego, w czasie najkrwawszych dni teroryzmu wezwany został ksiądz Lothringer przed trybunał w celu złożenia zeznań o faktach i wynurzeniach, jakie miały miejsce podczas spowiedzi Miączyńskiego.

— Czy wyjawił Miączyński — zapytał prezydujący spowiednika—pobudki czynu, który sprowadził skazanie, i czy wyjawił wspólników?

— Byłem u Miączyńskiego dwukrotnie w epoce, gdy jego egzekucya wstrzymaną została. Pierwszym razem, gdym go odwiedził, oświadczył mi, że nie wie, kto list w jego imieniu do Konwentu napisał. Nie byłem z zachowania się Miączyńskiego zadowolonym gdyż wyspowiadać się przede mną nie chciał. Pozostałem mimo to przy nim w nadziei, że go do tego obowiązku nakłonię... To nie pomogło. Miączyński żalił się na swoją dolę lub też prowadził luźne rozmowy.

— Co było treścią owych żalów i rozmów?

— Mówił Miączyński, że opuścił Polskę z powodu zamieszek krajowych, powtarzał nieustannie, że umiera za swego króla, że mimo to czuje się szczerym patryotą i republikaninem... Nie pamiętam dobrze, czy to było już na wózku skazańców, czy u stóp rusztowania, gdy Miączyński rzekł do mnie: iż jest to zaszczytnem

---

[1]) „Przyj. ludu" 1837 r., str 406.

umierać za swego króla, i to na miejscu, gdzie spadła jego głowa... Wtedy, korzystając z chwili, starałem się skierować umysł skazanego ku obowiązkom religijnym i oświadczyłem mu: „Jeśli umierasz za swego króla, umrzej tak, jak i on, wyspowiadawszy się i spełniając, jak on, obowiązki religii. Uczyń więcej. Zamiast umrzeć za swego króla umrzej i poświęć się dla Boga, który jest królem królów i umarł za ciebie". Na to skazany odrzekł: „A może zapewnisz mnie, że wstąpię do nieba, by zasiąść do uczty z aniołami"?...

— Czy ci Miączyński nie wyjawił swych wspólników?

— Mówił tylko, że los taki, jak jego, spotka i generała Devaux. Wogóle wyrażał się pogardliwie o innych generałach i mówił, że ten, którego na jego miejsce zamianowano, był szulerem, oszustem i złodziejem...

— Wielu świadków zapewnia, że w czasie egzekucyi rzekłeś do Miączyńskiego, iż jest to chlubnem umrzeć na miejscu, gdzie zginął jego król. Z tego wynika, iż nie jesteś miłośnikiem Rzplitej?

— Niepodobna, bym się tak wyraził. Według zasad religii nie wolno mówić człowiekowi, iż umiera za drugiego człowieka. Gdy ktoś jest niewinnie potępiony, mówi mu się na pocieszenie, iż umiera dla zbawienia duszy własnej, za chwałę Bożą i religii, lecz nigdy, że umiera za innego człowieka".

* * *

A więc w tej chwili, gdy we własnej ojczyźnie Miączyńskiego przygotowywały się wypadki, o których *Monitor francuski* na czele każdego numeru zawiadamiał Francyę i świat ucywilizowany, w chwili, gdy jedynemi publikacyami we wstrząśniętym w posadach swoich społeczeństwie francuskiem, mającemi łączność z historyą państw i narodów słowiańskich, były dzieła, poświęcone dziejom współczesnej Polski [2]), Polak, były żołnierz konfederacki, idąc na śmierć, pocieszał się wyłącznie myślą, że umiera „za króla swego — Ludwika XVI".

Dnia 22 maja 1793 r. w godzinach rannych przybyli do celi

---

[1]) Arch. Nat. Cart. IV 285. Doss. 127. Campardon: Hist. du Trib. revol. I. 41.

[2]) „Monitor" z dnia zgonu Miączyńskiego wymienia, jako najnowsze publikacye:

1) *Annales de la rév. de Pologne* depuis 1789 jusq'en 1792. 3 Vol. in 4-o w 15 zeszytach.

2) *Recueil de pièces relat. à la revol. de Pologne* par un citoyen, qui n'a pas vendu sa plume a aucune puissance. 2 zesz.

3) *Observations sur le droit de succession au trone de Pologne.* 1 Vol,

więziennej w Conciergerie z rozkazu prokuratora Fouquier Tinville'a woźni audencyonalni trybunału: Karol Mikołaj Tavernier i Boucher celem wykonania ferowanego w dniu 17 maja t. r. przeciw Józefowi Miączyńskiemu dekretu śmierci...

Wezwawszy skazanego do sekretaryatu więziennego, wydali go w ręce kata Sansona i żandarmeryi.

Wózek skazańców potoczył się zwolna ze spowiednikiem ks. Lothringerem i ofiarą na plac Rewolucyi, na miejsce, gdzie spadła głowa Ludwika XVI, i gdzie się obecnie wznosi obelisk Luxorski.

Tłumy ludu zaległy plac wkoło gilotyny.

Pomimo że paszkwil ówczesny, *Glaive vengeur*, zapowiedziawszy chwilę egzekucyi, nie wahał się obrzucić skazanego obelżywem przezwiskiem: *„un lache"*, jednakże wobec męskiej i zrezygnowanej postawy idącego na śmierć Miączyńskiego, który w trakcie długiego korowodu od Conciergerie na miejsce stracenia nie przestawał wydawać okrzyków: „Niech żyje naród! Niech żyje Rzeczpospolita!" zmuszonym był przyznać: *„qu'il se rendit au supplice avec l'apparence d'une grande fermeté* (że szedł na szafot z wielką napozór stanowczością).

Tenże paszkwilista *Glaive vengeur* nadmienił następnie: [1])

„Taka maska odwagi nie imponuje nam, i przymus wewnętrzny, będący jej bodźcem, jest prawdopodobnie jednym ze środków niezawodnych, stosowanych przez skazańców, by stłumieniem wzruszenia okazywać przewagę nad prawami natury".

* * *

W protokule wykonania wyroku *(procès verbal d'execution de mort)* zanotowano lakonicznie: Józef Miączyński, skazany na śmierć z powodów, wyłuszczonych w wyroku, sprowadzony został na plac Rewolucyi, gdzie na rusztowaniu, wzniesionem na tymże placu, straconym został [2]).

Współczesny *Bulletin* podaje, że kat okazał ludowi głowę ściętą... Oblicze skazanego było tak rumiane, jak przed śmiercią...

---

[1]) „Mais ce masque n'en impose plus et la contrainte intime qui le fournit et le soutient est peut être un de moyens de distraction les plus infaillibles, que l'amour propre offre aux condamnés, pour le faire triompher, avec une sorte davantage, des lois de la nature, qui se refusent à une abnegation aussi totale de sensibilité, sur un intérêt aussi important et aussi prochain—bonne precaution pour tourner les sentiments de la foule contre ceux, qui se montraient ferme devant la mort. Vallon: *Hist. du Trib. rév.* I. 103.

[2]) *Arch. Nat.* Cart. IV 1. b. 271 Doss 31.

Oczy otwarte zdawały się zwracać spojrzenie na tłumy, otaczające plac Rewolucyi [1]).

XXVI.

Opinia potomności. — Charakter Miączyńskiego. — Zmienność przekonań. — Brak równowagi moralnej. — Głos Dumourieza.

Łudził się nieszczęśliwy Miączyński, iż szacunek ogólny pamięci jego towarzyszyć będzie...

W pamiętnikach współczesnych świadków, którzy generała na obczyźnie osobiście znali i sprawą jego żywo się interesowali, echa współczucia i szacunku, niestety, nie rozbrzmiewają.. Oddają, prawda, sprawiedliwość należną waleczności i bitności żołnierza, lecz bezwzględnie potępiają, zdaniem naszem, może nie całkiem słusznie, charakter człowieka, jego zmienność zasad i lekkomyślność.

Z punktu widzenia epoki, schyłku XVIII wieku, brzemiennego w tak groźne wypadki, które dały posiew do nowego ukształtowania się społeczeństw, do nowych poglądów w sferze uczuć, myśli i kierunków duchowych, ów wykolejony z orbity rodzimych stosunków człowiek do ujemnych charakterów bynajmniej nie należał. Nie był on ani lepszym, ani gorszym od Dumourieza, z którym zbiegiem okoliczności związawszy się na życie całe węzłem wspólności działań, w imię wolności i rycerskiego zapału, poszedł przebojem dla wywalczenia dla Francyi nowej, zdaniem ich, odpowiedniejszej formy rządów i uległ pod brzemieniem zarzutu złamania wierności i karności żołnierskiej, tem tylko winniejszy, że się w stosownej chwili przed następstwami nierozważnego kroku nie cofnął... Nie był on ani lepszym, ani gorszym od wszystkich bez wyjątku działaczy Konwentu narodowego, którzy gotowi byli w danej chwili poświęcić sprawę ogółu dla ambicyi własnej i żądzy pokonania współzawodników.

Byli to ludzie epoki wyjątkowej w dziejach świata, epoki, w której zasady moralności odwiecznej praktykować zaprzestano, i w której każdy, broniąc niby to haseł najświętszych: rowności braterstwa, swobody i miłości, szukał w morzu krwi ludzkiej, w bezprzykładnych gwałtach, mordach i nadużyciach rzekomego owych ideałów urzeczywistnienia.

---

[1]) *Bullet.* № 40 p. 160 „L'executeur a montré sa tête au peuple... elle était aussi vermeillée qu'avant sa mort..' Les yeux ouvertes semblaient promener leur regards sur la multitude innombrable, qui remplissait la place de la Révolution".

Każdy przewrót społeczny i polityczny powołuje na widownię działania takich tylko prowodyrów, którzy się bezwzględnością odznaczają. Właściwością charakteru Miączyńskiego był absolutny brak kierowniczej w politycznych przekonaniach zasady i awanturniczość, szukająca pola do rozmachu bez względu na cel i miejsce działania. Ujawniła się owa chwiejność przekonań Miączyńskiego już za młodu w epoce pierwszych jego na arenie bojowej zapasów. Chwyciwszy za oręż w imię nienawiści do króla i tych zasad, które konfederacya barska na swym wypisała sztandarze, z dziwną łatwością przerzucił się do obozu dworskiego, oddawszy się na ślepo usługom Stanisława Augusta...

Zrywa następnie bez powodu wszelkie z rodziną i krajem stosunki, przerzuca się do obcego kraju, staje się dworakiem cudzoziemskiego monarchy, wmawia we Francuzów, że milionową fortunę poświęcił sprawie wolności i domaga się od skarbu francuskiego zwrotu owych milionów. Choćby nawet nie wierzyć paszkwilowi Bertranda Molleville'a, faktem jest, że zatarg z ministrem Vergennem obracał się wyłącznie około sprawy pieniężnej.

Łatwości, z jaką się Miączyński przerzucał z jednego obozu do drugiego, od przywiązania do tronu do republikanizmu, od obowiązków żołnierza armii królewskiej do generała armii ochotniczej rewolucyjnej, dowodzą jego czyny w zaraniu pierwszej koalicyi. Łatwości tej w zmienianiu frontu dowodzi postawa jego w Lille, gdy w jednej chwili ze stanowiska zdecydowanego oponenta władzy Konwentu przeszedł na stanowisko obrońcy praw tejże władzy. Dowodzi tej chwiejności charakteru i zachowanie się jego po wyroku, gdy od uczuć przyjaźni dla Dumourieza przeszedł nagle do uczuć nienawiści i żądzy potępienia swego wodza i tych, którzy po jego stali stronie; dowodzi wreszcie spowiedź przed ks. Lothringerem, w której, przed chwilą republikanin, uważa się za ofiarę przywiązania do swego króla i pod rusztowaniem wydaje okrzyk na cześć wolnej i niepodległej Rzplitej...

Poza tymi ciemnymi rysami charakteru osobistość Miączyńskiego była wysoce sympatyczną dla tych nawet, których w ostatniej chwili potępić pragnął. Dumouriez przypisuje skargi skazanego jedynie intrydze swoich przeciwników [1]). Autor *Mémoire politique* ze współczuciem pamięć nieszczęśliwego podnosi [2]).

---

[1]) Ces impostures grossières lui furent sans doute suggerées par des scélérats, qui l'egaraient. *Mém. du gen. Dum.* Londres, 1794. str. 99.

[2]) De tous ceux qui perirent sur l'echafaud, par suite de la trahison de Dumouriez, celui, qui parut exciter un plus vif intérêt, ce fut Miączyński. T. I. 221.

Późniejsi biografowie francuscy, zarzucając Miączyńskiemu wspólnictwo w zdradzie Dumourieza, wysławiają jego talenta wojskowe, odwagę rycerską i z żalem wspominają o tej najpierwszej ofierze teroryzmu, który miał niebawem zawisnąć nad całem społeczeństwem Francyi [1])

W rzeczy samej, jeśli o żalu niewczesnym może być tu mowa, to raczej ze względu, że krew ta szlachetna poświęconą została sprawie nie tylko obcej, lecz i z punktu widzenia francuskiego osobistej — ambitnego Dumourieza, Był to zły duch nieszczęśliwego Miączyńskiego. W bitwie pod Lanckoroną on to kosztem wolności i poświęcenia się swego towarzysza broni wydostał się z rąk nieprzyjacielskich, i on to popchnął nierozważnego dowódcę na drogę buntu przeciw zaprzysiężonej władzy.

Miączyński uchybił obowiązkowi żołnierza, lecz stanął do walki z odkrytą przyłbicą. Uległ, bo miał przeciw sobie większość i siłę. Dumouriez przezornie uskoczył w stronę i jedynie dzięki chyżości swego konia uszedł gilotyny, pozostawiwszy po sobie niezaszczytną pamięć zdrajcy własnej ojczyzny, który podczas boju uważał za rzecz dozwoloną prowadzić rokowania z najezdnikami w sprawie wspólnego ruszenia na Paryż...

XXVII.

Dziedziczność zalet i wad charakteru Miączyńskiego.—Jego synowie.—Wychowanie w Prytaneum. —Armand Miączyński.—Konsul Bonaparte.— Samobójstwo Armanda i jego brata. — Generałowa Miączyńska. — Rola brata, Kajetana Miączyńskiego w konfederacyi targowickiej.

Nieuniknionem prawem dziedziczności, charakterystyczne cechy rodowe i duchowe Józefa Miączyńskiego: rycerskość, porywczość i brak zastanowienia, przeszły na jego potomstwo. Pozostawił on, jak wiemy, z małżeństwa z Francuzką Maryą, z domu Chaboteau, dwu synów. Starszemu na imię było Armand; imienia młodszego — nie znamy.

Młodzieńcy ci, oddani kosztem skarbu Rzplitej do kolegium *Louis le Grand*, przemianowanego w czasie rewolucyi na *Prytanée*, odznaczali się, jak to poświadczają współcześni, niezwykłem uzdol-

---

[1]) Miączyński fut une de premiers vectimes de ce regne de sang et de terreur, qui devait peser egalemant pendant un an sur les armées et les Français de toutes les classes. Michaud: *Biogr. univ.* XXXIII. 516.

nieniem i przykładnem sprawowaniem, które rokowały na przyszłość najświetniejsze nadzieje [1]). Nadzieje te, niestety, z woli niechętnych losów, nie ziściły się.

Oto, co nam o Armandzie Miączyńskim opowiada minister z czasów Dyrektoryatu, Konsulatu, Cesarstwa i Restauracyi Bourienne, w pamiętnikach swoich [2]).

„Konsul Bonaparte często wynurzał przede mną życzenie zreformowania wychowania publicznego, któremu przypisywał spaczony kierunek.

„Szkoły centralne nie podobały mu się; lecz żywił wielkie uznanie dla szkoły politechnicznej, najpiękniejszego zakładu naukowego, jaki kiedykolwiek był utworzony, a który skrzywił nadaniem mu organizacyi wojskowej. Jedyne tylko kolegium zachowało w Paryżu tradycyę dawnych nauk. Było to kolegium Ś-go Ludwika, któremu nadano nazwę Prytaneum.

„Pierwszy konsul zażądał od ministra spraw wewnętrznych raportu o stanie tego zakładu. Uczynił nawet więcej, gdyż udał się osobiście dla zwiedzenia Prytaneum. Przybył tam niespodziewanie w towarzystwie p. Lebruna i Duroc'a, pozostał przez godzinę, a następnie, spotkawszy mnie, rzekł:

— Czy wiesz, Bourienne, żem był właśnie profesorem?

— Ty, generale?

— Istotnie, a nawet wcale nieźle z tego się wywiązałem. Słuchałem uczniów z klasy matematyki i, przypomniawszy sobie Bezouta, zadałem im kilka przykładów do rozwiązania.

„Młodzi ci ludzie bardzo mi się podobali. Radbym mieć nazwiska tych, których słuchałem. Powiedziałem Duroc'owi, by mi o tem złożył raport. Rozdam im nagrody, to bardzo dobrze na nich oddziała i wywoła emulacyę między młodzieżą. Trzeba siać dla przyszłości. Dam niektórym z nich posady.

„Pierwszy konsul nie poprzestał na tym zamiarze. Duroc, ożywiony zresztą najlepszemi dla młodzieży chęciami, wziął tę sprawę

---

[1]) „Le deux enfants sont élevés au Prytanée français et donnent déja par leurs talents et leur conduite les plus hautes esperances". *Mém. polit.* z r. 1797. T. I., str. 222.

[2]) Querard w dziele *Supercheries litter. devoilées* w t. I z r. 1879 przypisuje autorstwo znacznej części owych pamiętników p. de Villemarest, który je z notat ministra miał jakoby ułożyć. Bliżej w tej materyi pisze Chuquet w dziele: *Jeunesse de Napoleon* 1898 i Gaston Deschamps w gazecie *Le Temps* z 14 listopada 1897 r.

do serca. Po naradzie z dyrektorem Prytaneum, wyznaczył kilku uczniom imieniem pierwszego konsula stypendya po paręset franków z własnej jego szkatuły, umieścił trzech w ministeryum spraw zewnętrznych z tytułem uczniów dyplomacyi.

„Otóż, przypominam sobie z okazyi tej wizyty pierwszego konsula w Prytaneum fakt, stwierdzający ambicyę charakteru polskiego.

„Był między uczniami owego zakładu syn generała Miączyńskiego, który zginął, walcząc pod sztandarami Rzplitej. Młodzieniec ów miał podówczas lat 16, 17-cie. Opuściwszy kolegium, zaciągnął się do szeregów i uczestniczył w manewrach, które Bonaparte odbywał na równinie Sablons.

„Przedstawiono go pierwszemu konsulowi, który rzekł doń:

— Znałem twojego ojca; był to waleczny żołnierz; bądź takim, jak on, a w sześć miesięcy zamianuję cię oficerem.

„Przeszło sześć miesięcy. Miączyński napisał do pierwszego konsula z przypomnieniem danej sobie obietnicy. Oczekuje miesiąc. Żadnej odpowiedzi. Wówczas Miączyński pisze do pierwszego konsula:

— Powiedziałeś mi, że zostanę oficerem po sześciu miesiącach. Upłynęło już miesięcy siedm. Gdy otrzymasz mój list, ja już żyć nie będę. Nie chcę służyć pod rządem, którego przedstawiciel danego słowa nie dotrzymuje..."

„Młodzieniec swego słowa, niestety, dotrzymał... Po napisaniu listu poszedł do swej komnaty i wystrzałem z pistoletu roztrzaskał sobie czaszkę.

„W kilka dni po tym wypadku tragicznym nominacya Miączyńskiego nadeszła. Bonaparte o niej nie zapomniał. Opóźnienie w przesyłce, dopuszczone w biurze ministeryum wojny, było powodem śmierci dzielnego młodzieńca.

„Bonaparte bardzo się uczuł owym wypadkiem dotkniętym i odezwał się do mnie:

— *Ces Polonais! C'est tout honneur! Mon pauvre Sulkoski* [1]) *je suis sur, qu'il en aurait fait autant* [2]). (Polacy! U nich wszystko dla honoru! Jestem przekonany, że i mój biedny Sułkowski w podobnym wypadku byłby tak samo postąpił).

---

[1]) Bohaterskie dzieje towarzysza wyprawy egipskiej, Sułkowskiego, zamordowanego w Kairze przez fanatyka muzułmanina, opisał Francuz St. Albin. Przekład polski w „Pamiętn. z XVIII w." Żupańskiego w Poznaniu, 1864.

[2]) Bourrienne: *Mémoires* t. IV. 62 i nast.

Wdowa po Miączyńskim, kobieta pełna poświęcenia, spodziewała się po tak strasznym ciosie pociechy od młodszego syna, lecz i te nadzieje ją zawiodły. Młodzieniec ten również odebrał sobie życie, lecz w mniej chlubnych od starszego brata okolicznościach... Osamotniona, oddała się już tylko wspomnieniom utraconej tak tragicznie rodziny. Poznała ją Klementyna z Tańskich Hoffmanowa w r. 1837 w Paryżu, jako ośmdziesięcioletnią przeszło staruszkę. Za Cesarstwa zbierali się u niej wszyscy wybitniejsi Polacy, świadkowie waleczności jej męża: Kościuszko, Stanisław Potocki, Barss, księżna Sapieżyna, hr. Wincentowa Krasińska. Staruszka marzyła o pozostawieniu pamiętników i w tym celu skrzętnie zbierała wszelkie dokumenta i pamiątki po generale. Co się z owemi notatkami stało po śmierci Miączyńskiej? niewiadomo.

Brat Miączyńskiego, Kajetan, znany z dziejów Targowicy, jako generał lejtnant świeżej z pisarza polnego kreacyi, „gracz" „gotów na wszystko" [1]), niezaszczytne po sobie pozostawił wspomnienie.

Znajdujemy w raporcie agenta francuskiego w Dreznie, Piotra Parandiera, z roku 1793 [2]) opowieść o misyi owego generała, jaką z rozkazu króla pruskiego po drugim podziale przyjął na siebie wobec wojsk polskich, rozłożonych obozem w województwach krakowskiem i sandomierskiem.

Król pruski upatrzył, że wojska owe złożone są z żołnierzy, pochodzących ze świeżo zabranych Rzplitej i przyłączonych do Prus miejscowości, i dlatego poruczył Kajetanowi Miączyńskiemu (*„frère du traitre de ce nom"!!*) zadanie sprowadzenia owych wojsk pod sztandary pruskie. Ten ostatni wziął od posła pruskiego Bucholtza piętnaście tysięcy dukatów, które miały mu to zadanie ułatwić. Lecz w odpowiedzi na propozycyę, wojsku uczynioną, jeden z żołnierzy wymierzył do generała kulę, która szczęśliwie minęła celu, i to skłoniło Miączyńskiego do porzucenia dalszej w tym kierunku akcyi. Pieniędzy wszakże, zareklamowanych przez Bucholtza, nie zwrócił [3]).

---

[1]) T. Korzon: „Wewn. dzieje za Stan. Aug." (wyd. I). T. IV. 64, 65, 210, IV 2, 271, 376.

[2]) Arch. ministr. spr. zagr. w Paryżu (Pologne). Tom 321 str. 602.

[3]) Miączyński s'était chargé de livrer ces troupes à distribuer entre elles, mais elles ne repondirent à ses propositions, que par le sentiment profond de l'indigation, qui fut si vive, dans l'âme d'un jeun soldat, qu'il sortit de son rang pour lui decharger sur la tête son pistolet, dont le coup manqua. L'envoyné de Prusse, Bucholtz redemanda à Miączyński cette somme, dont il n'a fait aucun usage, mais celui ci s'y refusa, en alleguant pour raison—les dangers qu'il à courus et la non reussit qui n'est pas de son fait".

Na sejmie Grodzieńskim 1793 r. dał Kajetan Miączyński folgę swoim uczuciom zemsty przeciw Francuzom Jakobinom z powodu stracenia brata, gdyż w listopadzie wystąpił z wnioskiem przed sejm, być pociągną wszystkich bez wyjątku Francuzów, w Polsce mieszkających, do wykonania przysięgi, iż nigdy nic wspólnego ze stronnictwem Jakobinów nie mieli i na przyszłość żadnych z nimi stosunków mieć nie będą..." [1]).

Uchwała sejmu Grodzieńskiego, wskutek powyższego wniosku powzięta, otrzymała w całej Polsce zastosowanie. Jedną z pierwszych jej ofiar stał się, jak wiadomo, agent dyplomatyczny Rzplitej francuskiej w Warszawie, Bonneau [2]).

Alexander Kraushar.

KONIEC.

---

[1]) Raport Parandiera z d. 21 Frimair'a de l'an II. „Arch. spr. zagr. t. 321; str. 605.

[2]) Conf. monogr. moją „Bonneau". (Lwów, 1900 r.).

Poezya polska

o świcie XX-go stulecia.

VII.

Jedyny walny, a rzeczywisty powód do zatargów o „starych" lub ze „starymi" istnieje u nas od lat bez mała sześćdziesięciu i polega na tem, że już ich wcale nie rozumiemy — tych „starych", że atmosfera ich moralna stała się dla nas obcą, żeśmy wzięli rozbrat z ich światem, z ich „nastrojem ogólnym" i przez to błąkamy się po manowcach, które często nic wspólnego z poezyą nie mają.

„Poezya po grecku znaczy *działanie*"...— zapewnia Mickiewicz w prelekcyi z d. 13 grudnia 1842 r., objaśniającej „Nieboską Komedyę". Twórca „Dziadów" zarówno, jak i Krasiński, przypisywał w ogólności „słowu" znaczenie wyjątkowo podniosłe. Poezya według niego nie jest tylko sztuką, rozrywką, szatą piękna, mową, ozdobnie wiązaną. „Kto się rzuca w rydwan wyobraźni i buja na tej tęczy po morzach, obłokach, — rozprasza i marnuje potęgę ducha". Wypisać się, wyśpiewać w tym sensie, — wychodzi na jedno, co poezyę „zdradzić", co ją pozbawić roli kapłańskiej i możności wpływania na losy ludzkie [1]). Rozległość tego poglądu nie po-

[1]) „*Kurs lit. słow.*", trzecie wyd. Wrotnowskiego, t. III, str. 14.

zwoliła mu utrzymać się i utrwalić w piśmiennictwie. Późniejsze pokolenia poprzestały na określeniu o wiele skromniejszem: „Poezya" — wyraz, używany już za Herodota (na sześć wieków przed Chrystusem) pochodzi z greckiego i znaczy *tworzenie*, poeta — to właściwie twórca, poemat to utwór" [1]).

Działaniem poezya czy tworzeniem, pobudką do czynów czy samym czynem natchnionym, — wyraz i wywód teoretyczny niewiele mówią tu same za siebie na rzecz zagadnienia, czem poezya faktycznie stała się dzisiaj, a czem była niegdyś i czemby u nas mogła być zawsze, stale. Zdobycze nauk ścisłych, postęp towarzyskości i oświaty, rozszerzając umysłowe nasze widnokręgi, podnosząc dobrobyt i moralność, zwężają i zacieśniają dziedzinę ułud wszelkich (przeto i poetyckich), ale też zarazem zacierają i gmatwają najprostsze niegdyś pojęcia i wyobrażenia. „Działamy" przecież i „tworzymy" na wielu różnorodnych polach: każda bez wyjątku gałąź „umnicza" (w znaczeniu, jakie do tego wyrazu przywiązywał Libelt w swej estetyce), — malarstwo, rzeźbiarstwo, budownictwo, nawet wynalazczość techniczna i przemysłowa nie mniejsze od poezyi miałyby prawo do tytułu i zaszczytów działalności twórczej. Etymologia grecka na nic się tu nie przyda, — a i nie jest to znów tak bardzo pożałowania godnem, skoro słoworództwo własne, rodzinne nastręcza założenia i wnioski bez porównania pewniejsze od postronnych. Poezya po polsku, któż tego nie wie? — to tyle, co *wieszczba*; poeta — to tyle, co wieszcz, wróżbita, człowiek świadomy i przewidujący. Źródłowo — wiedza i wieszczba mają jeden początek. W dobie przedhistorycznej, w zaraniu powolnego wiązania się dźwięków i głosek w słowa, obiedwie te nazwy powstały i rozwinęły się z jednego symbolicznego zarodka, z pierwiastku *wid*, którego liczne potomstwo spotykamy we wszystkich odłamach pierwotnego języka plemion aryjskich, indoeuropejskich, w sanskrycie *vida, vidya, veda, vetti* — nauka, *vidita*, *vidvas*, *vettar* — mędrzec; w zendzkim i łacinie *vide, video* — znać, widzieć; w narzeczach celtyckich i staro-gockich *gwydd, gwyddau* — nauka i wykład, *witan, wita, wizan* — wiedzieć; w litewszczyznie *waist*, *wysti*, *weidas*, *waidas* (skąd wajdelota) — obraz, wygląd, uświadomienie, w grecczyznie *eido* — wiedzieć i widzieć, idea, pogląd, odwzór, pojęcie, myśl [2]). Jako protoplasta tylu spraw na pozór różnych, różnolitych (uświadomienie i widzenie, wieść i przewidywanie, zwiady i zwiastowanie,

---

[1]) „*Poradnik dla samouków*", t. II, str. 61.

[2]) Pictet „Les origines", t. III, str. 285.

świadectwo i doświadczenie, wiedza i wieszczba)—*wid* byłby źródłowym wykładnikiem postrzeżeń realnych, rzeczywistych, innej zupełnie natury od tych, których ojcowstwo przypisujemy pierwiastkowi *diw* (starołacińskie np. *deivos*, późniejsze *deus*, sanskryckie *deva*, *devatra*, litewskie *dewas* i *deiwys*, celtyckie *dia*, *dew*, *duw* i prawdopodobnie nasze *duch*). Na mocy tego rodowodu poezya, jako wieszczba, miałaby narówni z wiedzą genezę ziemską, zmysłową, empiryczną, nie stwierdzającą wysokiego o niej rozumienia Juliusza Słowackiego, który w znanej przedmowie do „Balladyny" utrzymywał, że w głowie poety rzeczy odbywają się podług praw „b o s k i c h"... Na wzór wiedzy, nauki, zajmującej się — zgodnie ze znanym i upowszechnionym aforyzmem Comte'a: „savoir c'est prévoir" — badaniem tego, co *jest*, w celu wytłómaczenia tego, co być ma, poezya odgadywałaby przyszłość na podstawie stosunków, już istniejących, teraźniejszych; przepowiadałaby i przewidywała sposobami dostępnymi naszemu widzeniu, naszemu wrażeniu warunki przeobrażeń dalszych, nastąpić mających. Skromna i uboga na pierwszy rzut oka rola tak pojętej poezyi-wieszczby wyrasta po rozejrzeniu się bliższem do rozmiarów nieprzewidywanych, czyni zadość jednej z najgłębszych, najbardziej zasadniczych i pierworodnych dążności umysłu ludzkiego, dla którego uchylenie zasłony przeznaczeń człowieka na ziemi stanowiło zawsze synonim mądrości ostatecznej, najwyższej. Dobra połowa prastarych legend gminnych zarówno, jak i przeważająca część tegoczesnych naszych dociekań metafizycznych, znajdowałyby w wieszczbie swój węzeł środkowy, łączący i scalający. Wieszcz-poeta znaczyłby tyle, co zwiastun i tłómacz tajemnych, w łonie przyszłych dziejów spoczywających wyroków. Genezyjnie ze snów przedhistorycznych, kolebczano-rodowych poeta byłby owym „człowiekiem pierwotnym", który całą swych myśli przędzę i wszystkie swych uczuć kwiaty zamykał w mitologicznych znakach postrzeżeń nad życiem i światem, — znakach, po dziś dzień prawnukom jego wiejskim oznajmiających dowodnie, że, jak tylko jaskółka loty swe niespokojne ku ziemi zniża, niechybnie czyhają na ludzi słoty i burze, a ile razy pająk z kryjówki na siatkę wypełza, tylekroć niebiosa zapowiadają ciepło i pogodę. Promienny, serdeczny, natchniony posłańcze muz i bogów! Na podstawie metryk swych aryjskich miałbyś tę samą tkliwość i wrażliwość ustroju nerwowego, co i ukochane ludu naszego ptaszę, od wieków lepiące swe gniazdka pod nizką strzechą wieśniaczą! — i tę samą jeszcze posiadałbyś czujność lękliwą a przezorną, co i ów owad potulny, pracowity a chytry, roztaczający dziś swe tkaniny misterne —

wyłącznie niemal po głuchych zakątkach ruin, wśród cichych, opuszczonych komnat i dziedzińców zamkowych! I takie zaprawdę są losy wieszczów: z ubogich, ciemnych, posępnych, niekiedy brudnych przygód i złomków powszedniego bytu snują oni wielkie dzieło dziejów i przyszłości — jako pająk „nić ze siebie snuje", a ponad zawiejami lichych trosk, zabiegów i niesnasek zwiastują zbiedzonemu, skostniałemu światu lepszą dolę, — jak jaskółki wiosnę...

Cokolwiek wszakże narzucają poezyi wywody mitologiczne i lingwistyczne, zrządziły u nas wypadki, że pierwszy, Mickiewiczowski okres literatury wieku XIX-go, całe swe powołanie istotnie zamknął w wieszczbie, w niej się na zawsze i niepodzielnie streścił. Po straszliwym przewrocie z końca wieku XVIII, który we Francyi ludom europejskim wytknął i wyżłobił nowe gościńce trudu, obowiązku i nadziei, wysnuło się u nas pasmo klęsk ostrych, przecinających źródło zamierzeń i widoków samoistnych, otwarła się przed nami otchłań wahań, wątpliwości, cierpień i zgryzot bez końca. Wówczas to pierwsze zaraz słowo, pierwsza zwrotka wiązana, jakąśmy wśród zamętów i zwalisk posłyszeli, pierwsze rytmicze strofki, jakie się rozległy poprzez pustkowie i ugory, pierwsze wreszcie blaski bladego słońca, wschodzącego na niwach zaniedbanych lub wyjałowionych, gdzie — jak się użalał Brodziński — „krew sie wczora rumieniła, a dziś błyszczy tylko rosa", gdzie „zielone mogiły nad zagon się wyniosły", wiatr zaś „smutno świszcząc, chwieje chwast przerosły", — już się barwiły otuchą, zachętą i obietnicą wieszczą, że ludzi dobrej woli oczekuje znośniejsze, lepsze, weselsze i godniejsze jutro. Od chwili, jak wiekopomny twórca „Maryi" drżącemi usty wyśpiewał żałobne słowa: „a gdy się troski do duszy wkradną, hucząc w niej chmury czarnemi, a gdy nieszczęścia na kogo spadną, i postać wzniosłą, szlachetną, ładną rozpacz nachyli ku ziemi", od tej chwili nie będzie w poezyi polskiej jednego wiersza, jednej końcówki, którąby w sobie lub przed sobą nie mieściła, którąby w swych zwojach za sobą nie pociągała nieśmiertelnej wróżby: „wróci twój anioł, wróci", „wróci twój spokój, wróci", „wróci twe szczęście, wróci"... Życie, bezwątpienia, zwycięża; zawsze życie wieszczbę zwycięża. Ale w tem właśnie tkwi wiekuiste błogosławieństwo poezyi. Bo i cóżby się to stało, gdyby królestwo Boże zeszło ku nam od pierwszego pacierza? — Bez zawodów i upokorzeń, jakie rzeczywistość zadaje widzeniom proroczym, wieszczba nigdyby się nie wyplątała z zielsk i karczów niemowlęctwa, nigdyby nie wyszła z pierwocin dzikiego, skarlałego guślarstwa. Ale właśnie tam, gdzie się kryje możliwość niedoli, tam również spoczywa i mo-

żliwość pomyślnego wyjścia. Kłam, zadawany widzeniom proroczym przez ociężały, oporny, nic bez walk krwawych nie ustępujący realizm bytu, — kłam ten przepowiednia doraźnie chybiona ma czem odeprzeć: odpiera z pomocą twórczości, stałej i niedostępnej swej straży asekuracyjnej. Gdziekolwiek i ilekroć traf ślepy, który jest fatalizmem powikłanych w starciu żywiołów, albo też ilekroć względniejszy nieco od fatalizmu rygor praw przyrodzonych zmyli i splącze rachubę wieszczby, straż owa, nieposzlakowanie wierna, przybiera wraz postać i widoki przyszłości w danym zatargu najbliższej, przywdziewa jej rynsztunek, wchłania w siebie jej natchnienia i, nadbiegając z odsieczą zachwianej powadze wieszczby, powiada: oto są moje świadectwa i dowody, żeś prawdą i oczywistością jutrzejszą. Bez twórczości wieszczba byłaby tylko fantasmagoryą, przywidzeniem czystem, zachcianką i obiecanką błyskawicznej podróży po krainach próżni; bez wieszczby twórczość rozsprzęgłaby się i rozpierzchła na luźne i błahe sztukmistrzowskie łamańce amatorstwa, obciążające tylko niepotrzebnie znojny już i bez tego pochód ludzkości... niewiadomo — dokąd i po co. Wieszczba, wiedza, widzenie wskazuje i wytyka drogę postępu, drogę, która — zaznaczmy to — również należy źródłowo do prastarej rodziny pierwiastków *wid*, *weda* (sanskrycko-aryjskie *vaedża* — to ściek, ścieg, ścieżka szlak, przełaj, przejście); twórczość, ze swojej strony, zapala na tej drodze światła, rozwiera nowe okolice, dotykalnie stwierdza i utwierdza w przeświadczeniu, że się podąża naprzód, przed siebie, w przeświecającą zdala przyszłość, nie zaś wstecz, w okrywającą się mrokiem przeszłość. Cała dostojność i boskość poezyi gruntuje się na tej jedności świadomego przewodnictwa z przodownictwem czynnem, na tej syntezie inicyatywy wieszczej z wykonaniem twórczem. W skojarzeniu owem tkwią zasadnicze podniety i dźwignie duchowego rozwoju człowieka; zarazem też jest ono tych podniet uświęceniem, — sprawdzianem ich odpowiedniości i skuteczności. Wieszczba natchniona, podobna w tem do wiedzy usystematyzowanej, do umiejętności ścisłej, daje — w zarysie zwięzłym i w uogólnieniu streszczonem to, co następnie twórczość artystyczna szczegółowo kształtuje, wypełnia i odlewa; wtedy przychodzi działalność praktyczna i według odlewu realizuje historyę przyszłości. W wielkim procesie uświadomionego życia zadaniem i potrzebą najpierwszą jest bezwątpienia i długo zapewne jeszcze pozostanie: utrzymać się przy kawałku zagona, strzechy i chleba, które nam teraźniejszość ubezpieczają i znośną ją czynią; ale i chleb, i zagon, i teraźniejszość cała poszłyby z pewnością na podścielisko marne dla grubych ił,

przyrodzenia, gdyby nam wiedza i praca, wieszczba i twórczość nie wskazywały i nie zapewniały bezustannie miejsc i stanowisk, jakie zająć możemy i zająć powinniśmy wśród obszarów przyszłości, — gdyby na te dalekie przestworza, zasnute przed naszemi oczyma niewiedzą i niewiadomością, — jak matka dziecię, za rękę nas nie prowadziły.

Nas dokąd one zaprowadziły? —

Potężne prądy romantyzmu europejskiego wywiązywały się na Zachodzie z najrozmaitszych powodów, rozbiegały się w najsprzeczniejszych kierunkach: wstecznych, postępowych, mistycznych, racyonalnych, feudalno-średniowiecznych, nowożytno-demokratycznych. U nas, bez względu na pochodzenie i początki, stale i jakby pod parciem jakiejś potrzeby wyższej, niewiadomej w jedną podążały stronę: w bezmierną, niezbadaną mglistą, przystań przyszłości, — ją głównie przeniknąć i ogarnąć usiłowały. Raz czytelnie, drugi raz tylko domyślnie, tu w głośnym toaście na cześć „światła, ciepła, magnesu i elektrycznych promieni”, tam w skromnem spojrzeniu zawcześnie zakwitającego pierwiosnka, owdzie w uroczystej kantacie na dzień Zwiastowania, gdzieindziej w cichym szepcie do kochanki: „Spojrzyj, Marylo, gdzie się kończą gaje”, — wszędzie i zawsze, od jutrzennych powiewów umysłowego i społecznego odrodzenia się naszego w porankach XIX stulecia do jego zmierzchów, — każda niedopowiedziana głoska poezyi polskiej, każde niespokojniejsze jej drgnięcie, każdy w jej łonie odgłos zapadającego za widnokrąg pomruku dalekich gromów składać się zdawały na nieujęte, tajemnicze, — po wszystkich krańcach świata błyskawicami rysujące się słowo: zaświat, przyszłość... Że ta ziemia, dla wszystkich obiecana, istnieje, że jest rzeczywistością pewniejszą od wszelkiej bieżącej, o tem wiedziano powszechnie, ale nasza tylko w i e s z c z b a twórcza dotrzeć zdołała do jej granic, zajrzeć do wnętrza zaczarowanych jej dziedzin. Jej przepaściste krawędzie i szczytne ogromy okiem słońca przemierzał Mickiewicz z końca do końca, z jej uczuć-nawałnic, z jej gwiazd-myśli sprzęgał w pieśń „żywą i szczęśliwą” archanielskie swe klątwy i gniewy — długie, przeciągłe, jęczące żalem, ryczące burzą, świszczące w obłokach, jak wiatr, gdy fale morskie kołysze, rzucane w otchłań samotnej nocy, jak rozpalające się nowych światów ogniska, — istne komety gróźb i przeczuć, jasne, świecące, roziskrzone, olbrzymie, co, lecąc i rozsypując się po niebios nieskończonej toni, huczą, dzwonią, grają, płoną — i choć jej poeta „sam śpiewa w sobie”, „śpiewa samemu sobie”, z uśpienia budzą naturę przerażoną, nurtują wichru

powiewem redu ludzkiego wiry i głębie, wieków ponure niezadowolenie wciągają do głuchego z sobą wtóru — i „czując nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzą". W jej — w tej przyszłości oblicze, niby Wszechmoc Boża, milczące i zadumane, wpijał się duszą zbolałą a rozkochaną Krasiński; na jej starotestamentowe, syońskie, dziś ogołocone wzgórza zapatrzony, w jej galilejskie „vicisti" wsłuchany deptał wszystkie obcych ludów łany, przetrząsał wszystkie umarłego świata puszcze i pieczary; z jej chanaanejskich studzien gasił piekielne pragnienia i pożogi, przez które, jak Dant, przechodził za życia, jej zarodkowych przedświtów w legendach mogił, stojących wśród świata, poszukiwał, jej nieboskie komedye z sennych mar i widzeń postaciował, jej irydyonowe odpłaty po cmentarzach ludzkości obliczał, jej haniebne upadki w psalmach pokuty zażegnywał, jej blade uśmiechy i przyrzeczenia hymnami nadziei i miłości zarumieniał. Dla niej, dla tej dotąd niewymodlonej, po dziś dzień za dziewiątą górą, za dziesiątą rzeką schowanej „Ariany-vaedzy", którą jeszcze praojcowie nasi przed rozejściem się nad Dunaj, Dniepr i Wisłę „Krainą szczęścia" nazwali, Słowacki w cudowności zórz krwawych kąpał swe wenedyjskie Róże i Lilie, dla niej kryształowo-dziewicze rojenia cór Popiela przy krosienicach z mgieł srebrzystych przetapiał na arabeski brylantowe w ogniu piorunów złotych, dla niej perlistemi ulewami łez skamieniałych przytłaczał oniemiałą w piersi tłumów żałobę po zgonie Wandy, — dla niej wreszcie rodzące się serce dziejów naszych brał w „Królu Duchu" na tortury, by odtąd nie przestawało bić w rytm, nadany mu pchnięciem zamaszystego bolesławowskiego wiosła i uderzeniem mickiewiczowskich skrzydeł... I biło ono,— to serce najzgodniej z przykazaniem, w całej drużynie wieszczbiarskiej, — u jednych wolniej, u drugich mocniej, — w stal uderzając, jak młotem Goszczyńskich, błagalnie wznosząc dłonie ku górze w chorałach Ujejskich, buńczucznie i wytrwale pokrzepiając się u Pola mohortowem „czas do domu, czas", a rzewnie i tkliwie utyskując pod koniec na wioskowej lirze Syrokomli: „Nie wrócić lat — dziś inszy świat, już marzyć dość, jak dziecię... O, mgliste sny minionych dni, po co nalatujecie?... Czegoż ci żal? ubiegłych fal, chmur przeszłorocznych z nieba?... Rzuć stare sny, oszczędzaj łzy, bo ich na jutro trzeba". Biło to serce wtedy nawet jeszcze — choć bardzo już cicho i słabo, kiedy jeden z najstarszych romantyków naszych, Bohdan Zaleski, wybierając się ostatni ku swej Ukrainie w niebie i unosząc z sobą z Ukrainy dawnej, ziemskiej wszystko, co tam dotąd pozostało z szumiących, jak oczeret na stepie, wspomnień

o wielkości, o swobodzie, o sławie, o kozaczej, — powiadał na pożegnanie tych miejsc, kędy (według Malczewskiego) przyszłość do przeszłości po jasnym promieniu biegła, jak czuła siostra, łączyć się w spojrzeniu:

Co robić wśród cieni, połcieni?—
Doby, lata, stulecia
W niezmierzonej rozstrzeni
Są jak listki od kwiecia...

Liść spadł — zamilkło serce... Kto był na wawelskim pogrzebie Mickiewicza, odczuł to już niewątpliwie z pieśni, z zawodzenia dzwonu zygmuntowskiego. Skarżyło się w nim coś niezwykłego. Długo, przeciągle — jak i w „Dziadach" — tętnił on i dudnił, to się wznosząc, to opadając, znękany i szemrzący w tonach minorowych, drżący i ucinany w górnych; miał zawsze powagę królewską, ale już w nim nie było tej nuty świetlanej, prometejskiej, — tej, co w męce pociechą, a w niedoli dumą. Pochylając się, rzęził, prostując się — zacinał. Oddychał ciężko; hamował się i przystawał. Chwilami zdawało się, że zapłacze, że jęknie... Zadrżał tylko raz i drugi, wstrząsnął się — i zamilkł. Opowiadano, że miał pierś zranioną; wieść niesprawdzona niosła, że skutek to był ciosu, co paść miał ongi na duszę narodu. Nie, — w tem zakwefieniu wdowiem łkała tylko twórczość rozbita, od lat kilkunastu owdowiała i błędnie się tarzająca w kurzu i prochu znikomości po stracie w i e s z c z b y. W jakich wypadkach i kiedy mianowicie strata ta nastąpiła? Skąd wyniknęła rozterka ta w zasadniczych i niepodzielnych, zdawałoby się, funkcyach poezyi polskiej? — Datę i okoliczności w rysach ogólnych, lecz ściślejszych i pewniejszych od kronik pod względem psychologicznym zapisało jedyne dzieło wieszczby naszej z drugiego, pomickiewiczowskiego okresu piśmiennictwa polskiego,— dzieło, stawiane obok największych poetyckich utworów dawnych, „Sen grobów" Asnyka („Pisma", wyd. warsz., 1898, t. II, str. 5 — 39). Jest to rodzaj apokalipsy, obraz skonania przeżytego świata, przeżytych natchnień, przeżytej wiary: i w siebie, i w swe ideały, i w swe prawa do bytu. — przerażająca dyorama cieniów nocy wiekuistej i doszczętnego w niej zatracenia istnień i duchów małych, bezsilnych, skazanych na wymiecenie z dróg i ksiąg żywota powszechnego, — olbrzymi, potworny odblask rzeczywistości, zmarnowanej bez śladu i możliwego zmartwychpowstania, a odbity w jakiejś bezmiernej lodnikowej bryle, wchłaniającej i pochłaniającej

w sobie wszelkie ciepło żywotne, wszelką żądzę szlachetniejszą i wypromieniającej z siebie jedynie to, co liche, bezdarne, skarlałe i niecne, — w upadku swym starte, zmiażdżone, sponiewierane... Stąd żadnego niema już wyjścia, — i żadnej tu znikąd pociechy ni zmiłowania... Przełamała się karta losów na czarne, nikt teraz z Malczewskim nie nadbieży ze słowem kojącego współczucia: „choć złe i dobre w grubej żałobie, — sąd ostateczny jest w niebie"... Sądy zamknięte, wyrok wydany; anioł przeznaczeń wyraźnie ogłasza go przez usta poety: „Ja nie przychodzę, jako pocieszyciel, zatruwać przyszłość miłością zgnilizny, ale sąd niosę, wszechwładny niszczyciel... Ja więc przychodzę, jako burza, z trzaskiem deptać doszczętnie zgniecione owady, połowicznego istnienia obrazkiem zadowolone"... I, jak we wstępie spotkał nas poeta otwartą swej duszy spowiedzią, że nas uważa za wygładzonych z pocztu żyjących, tak i w epilogu żegna nas bezwzględnie szczerem, krew w żyłach ścinającem zapewnieniem, że nic już dalej do zrobienia niema. „Ha, gdyby znalazł się Tezeusz drugi, coby odszukał labiryntu wątek i spłacił za nas zaciągnięte długi i dał nam w ręce rapsodu początek — możeby jeszcze stworzyć było z czego dziwną krainę marzeń i pamiątek. Lecz tak — co robić?... — Życzę snu dobrego i tej odwagi, co zdrajcom przystoi... A sam do grobu wracam splamionego"...

I tyle? i to już wszystko?—

Wszystko. Wieszczba okresu mickiewiczowskiego oddawna — w rzeczy samej — pochowaną została... Ale życie zwycięża, — zawsze ono i złą, i dobrą wróżbę zwycięża. Zwyciężyło i Asnyka, zwycięża powoli i tę nową poezyę naszą, która w nim miała czczonego przywódcę, piastuna i mistrza... „I z łąk ziemi wciąż uderza i niedoli zgrzyt pochłania jeden wielki głos przymierza i zbratania, co, jak hymn, się w górę wzbił cudnym rytmem serc i sił"...

VIII.

Inne progi, inne bogi; „inne czasy, inne piosnki" — powiadał niegdyś poeta niemiecki.

U nas trzeba sobie ostrożnie poczynać z aforyzmami tak skocznymi. Przystosowywanie się twórczości do życia, natchnień do otoczenia w warunkach naszych nie odbywa się równie żwawo

i ochoczo, jak w społeczeństwach zachodnich, gdzie te warunki, — a przynajmniej ich kategorye, od woli zbiorowej zależne, przychodzą na zawołanie łatwiej jeszcze, być może, niźli gdzieindziej końcówki w wierszach. Najwybitniejsze, najbardziej charakterystyczne to znamię poezyi polskiej, nie tylko dawnej, mickiewiczowskiej, lecz i nowszej, że w niej zawsze istniał bardzo duży zasób sił głuchych, utajonych, niewiadomo skąd płynących — opornie i krnąbnie stawiających się względem wpływów i wymagań tryumfalnie narzucającej się rzeczywistości.

Wiara, nadzieja — niezbędnie i najściślej wiążą się z poezyą, stanowią *condicio sine qua non* jej natchnień; odgrywają one w świecie ducha — świecie moralnym, tę samą rolę, jaką w fizycznym przypisujemy powszechnemu prawu przyczynowości, wysnutemu z postulatów niezniszczalności materyi, ciągłości ruchu. Coby się stało z matematyką, gdyby w przesłankach jej nie tkwiła pewność, że wszędzie i zawsze dwa razy dwa czyni cztery, lub ktoby w gazecie spojrzał kiedykolwiek na wiadomości telegraficzne, gdyby nie był najzupełniej przekonanym, że elektryczność powierzonego jej sygnału „tak" nie zmieni, lecz przeniesie go najskrupulatniej od początku do końca w całości, bez żadnej ujmy i przeniewierstwa na rzecz jakiegoś „nie"... Nie miałaby też i wieszczba najmniejszej powagi, gdyby wiara i nadzieja nie przemawiały z niej silniej jeszcze, niż mędrca szkiełko i oko, gdyby nad nią, w krainie umysłowości powszechnej, sprawdzalnej lub tylko przypuszczalnej, nie czuwała jakaś zasada stała, niewzruszona, niedostępna ni skażeniu, ni umniejszeniu. Nie tylko twórczość, lecz wszelka uświadomiona działalność nasza zamilkłaby na wieki, gdyby ludzkość do głębi i niepowrotnie przejęła się bezdennem tem zwątpieniem, jakie ogarniało Miriama, gdy kreślił swe „Bez jutra"... „Kto wie, co jutro z człowiekiem się stanie?... Dziś, jutro glob nasz pryśnie w złomki, w główni... Prastare lądy, ras naszych siedziby w otchłanne głębie z trzaskiem się zapadną... Albo też straszne piorunowe starcie z błędnym olbrzymem zetrze nas w kurzawę, lub słońce nagle zagaśnie jaskrawe, arktyczne ziemi gotując wymarcie... Sto granic, kresów, śmierci, końców, zgonów grozi ludzkości, co pyłkiem jest w bycie; o najjaśniejszym wiosennym rozkwicie przyjść może straszny ten dzień żęcia plonów"... Ale wiara i nadzieja, trzymając straż nad krawędziami otchłani, odpychają od niej ducha ludzkiego nieustannem nawoływaniem: excelsior! excelsior! — idź dalej, idź ciągle, idź wyżej! I ludzie „nie wierzą w najcięższem żywota rozbiciu, że kółkiem są tylko posłusznem w maszynie, — nie

wierzą, że prochem bezwolnym są w życiu, że idą, iść muszą, gdzie los na nich skinie.. nie wierzą, że okrzyk excelsior! bez śladu przeminie... Szczęśliwi potrzykroć! — inaczejby czaszki w rozpaczy szalonej trzaskali o skały, nikt znieśćby nie zdołał złej losów igraszki — i tłumyby całe z rozkoszą konały"...

Życie — przez wiarę i nadzieję — niewątpliwie zawsze zwycięża. Często nawet jakby umyślnie po to zwycięża, by nową wiarą i nową nadzieją stare źródła natchnień poetyckich oczyścić, odświeżyć, odrodzić. Dowodów na to nie brak w piśmiennictwie — a mocniejszego, bardziej stanowczego niepodobna wymagać nad ów posępny Asnyka „Sen grobów", który na schyłku dawnego naszego romantyzmu legł, jako ciemna i ciężka płyta grobowa na wieszczbie polskiej — rozbitej, rozproszonej, na zawsze, zdawało się, pochowanej. Lirycznie spotęgowany oddźwięk uczuć współczesnego z poetą pokolenia, a zarazem przejrzyste, w napowietrznych przenośniach zarysowane streszczenie widzeń i widm historyozoficznych, przypominających z wielu względów ostateczny sąd Michała Anioła, poemat ten nosi na sobie wyraźne, twardo i głęboko wyryte znamię doby dziejowej, nic wspólnego już nie mającej z dobą poprzednią — znamię epoki, słusznie nazwanej „przełomową". Z tego tytułu — i o ileby w piersiach naszych wyłącznie chodzić mogło o ton, zabarwienie, koloryt realny, o wyraz i fizyognomię zewnętrzną, o „akord" w znaczeniu, jakie wyrazowi przypisuje Czesław Jankowski, o tyle, naturalnie, akord Asnyka, jako wtórujący okolicznościom zmienionym, jest istotnie nowym, zupełnie nowym, po heinowsku nowym. W poezyi wszakże może jeszcze być mowa o jej duszy, o syntezie uczuć, wyobrażeń, dążności wieszczych, — o tem, co u J. St. Wierzbickiego nosi miano „rytmu serc i sił"... Z tego zaś stanowiska koniecznie zaznaczyć wypada, że pod formalną osnową poematu Asnyka, pod grubą warstwą jego opisowości ponurej dobitnie słyszeć się daje odgłos szemrzących w głębi jakoby nurtów potoku, który, zhamowany i stłumiony w swym biegu, tłoczy się, kotłuje, wstecz się pnie: wywierca -- rzekłbyś — i wypłukuje w stwardniałej glebie pewniejsze, bezpieczniejsze przed sobą wyjście i łożysko. Jeśli przypuścimy, że jest to wydobywająca się w *nowym* akordzie *stara* wieszczba, wraz z d a w n y m i jej pierwiastkami wiary i nadziei, w takim razie zauważyć tylko należy, że pierwiastki te nie są już, nie mogą być w komplecie. Niektóre z nich z wszelką pewnością wyczerpały się same przez się, wygasły doszczętnie jeszcze przed katastrofą — w końcowych zwrotkach romantyki polskiej; zgon ich uważać należy w pełni słowa za naturalny. Były wszakże i inne —

były w niedociągniętych i niedośpiewanych zwrotkach pierwiastki takie, które katastrofa urwała nagle, ucięła, jak nożem... Czy one to w „Śnie grobów" wołają o ratunek i pomoc? Rozstrzygnąćby to zdołała jedynie szczegółowa analiza poematu i warunków jego powstania.

„W posępną nocy zaszedłem krainę"... — od tych słów zaczyna się „Sen grobów". O kilka strofek dalej kraina nocy staje się „teraźniejszości zniknioną mogiłą", tudzież „ruiną istnień, strąconych z życia powierzchni bez szczętów"... W przedmowie do warszawskiego wydania pism Asnyka (1898) przyjaciel poety, Stanisław Krzemiński, utrzymuje, że, jako doskonały idelista, Asnyk „nie widział rzeczy — widział tylko pojęcia, a raczej rzeczy dostrzegał poprzez idee oderwane". Tym razem wszakże oblicze czasu i topografia miejsc odmodelowane zostały tak wypukle, że nie sposób wątpić o bezpośredniości doznanych wrażeń. „Po śniegu, co się usuwał podemną, i przez powietrze zmrożone i sine rzucałem trwożne spojrzenia w pustkowie... Włos mi się jeżył przymarzły na głowie, na duszę dziwna przerażeń zmartwiałość spadła i skrzydła rozpostarła sowie... I oślepiała mnie ta śniegu białość, i obłąkały mnie te nocne cienie... O bycie własnym wątpiąc, znicestwiony, w białym tumanie, jak znikomość mgława, niknąc, leciałem tym wirem niesiony bez tchu, pamięci w milczące otchłanie... Ani to blade poranku świtanie nadeszło ująć martwości złowrogiej, co z chłodnych puchów utkała posłanie zniknionej ziemi; ani wśród tej drogi do zatracenia podobnej odmętów, nie rozdarł ciszy żaden szmer ubogi... Z razu myślałem, że w tę straszną ponurość wsiąknięty utonę głucho bez łez i bez jęku, zaprzepaszczony i w mgły rozpierzchnięty; lecz i ten koniec... pierzchał przede mną wśród męczarń przesytu, i wciąż płynąłem, jako rzecz bezwładna, poprzez wybrzeża samotne, przez mgieł powodzie, przez zaspy śniegowe, przez niebios brudne plamy i przez błotne zacisza bagien, przez stepy jałowe, gorzkie jeziora, piaszczyste wydmuchy, — pytając tylko siebie: gdzie są duchy, z rozbitych siedzib na wieki wyparte?... Wszystkoż zostało bez śladu zatarte?.. I żadne widmo nie przyjdzie mnie trwożyć, na swoje piersi wskazując rozdarte?...

Widma się zjawiły, duchów nie zabrakło. Stanęły ich całe legiony — i jeżeli to mają być pojęcia, idee, poprzez które poeta patrzał na rzeczy, w takim razie trudno sobie przedstawić zamęt wyobrażeń, jaki ogarniał i pochłaniał poetę w chwili, gdy opisywał wypadki, świeżo spełnione. W trzeciej części „Snu grobów", czyli w tak zwanym „epilogu", skreślonym w r. 1867, w półtrzecia blizko

roku po napisaniu dwu pierwszych, głównych części poematu, Asnyk usiłuje wytłómaczyć, sprostować, nadać właściwe znaczenie niektórym poglądom, jakie się doraźnie wylały były pod parciem wezbranej powodzi uczuć. Utyskuje, że go źle zrozumiano lub nie zrozumiano wcale, że łowiąc po przepaściach „epos bladą" i przywołując do życia pierzchłe obrazy z krain sennych, nie stawał w jednym szeregu z tymi, co ze wzgardą wywlekają trupa przeszłości. Broni się od posądzenia, iżby przytakiwał „rzeszy żyjących", złorzeczącej dziś temu, co wielbiła wczoraj. Nie zamierzał i nie chce wytykać zwyciężonym skaz ich ciemnych, ani zgłębiać mąk, które śmierć w uściskach swych ukoiła; nie należy do gromady, „co winy swoje w inne światy wlecze i gdy się żywi do spoczynku kładą, jeszcze w ciemnościach gdzieś krzyżuje miecze". Cienie, zbłąkane nad Letejską rzeką, „kończąc tragiczną dramatu osnowę", sądzą, biedne, że we wspomnieniach ludzkich „nieśmiertelności dokupią się mglistej", że im echo, wracające z tego świata powie „o serc pamięci wdzięcznej i wieczystej". Poeta nie urąga cieniom, nie naigrawa się z ich oczekiwań, z nimi owszem łączy się i solidaryzuje, wołając w jednem miejscu: „z wami straciłem duszę — idę po nią", a gdzieindziej znowu: „nieprzekupiony przetrwa świadek, co boleść naszą odda w ręce Bogu". Ale o przychylność i uznanie świata nie dba, nie stoi. „Świat ten tak dziwny! — powiada. Zrzuca on szaty wdowie, aby zapomnieć prędzej, czem żył wczora... Nowy obrządek i nowe bożyszcza biorą pokłony spłoszonego tłumu... Ani boleść, co serce oczyszcza, ani jaskrawa pochodnia rozumu do wyższych celów zaprzańców nie nagną, bo ci wśród szyderstw głuszącego szumu do swych poziomów wszystko zniżyć pragną... Tak więc, po smutnym przeszłości wyłomie, zostaje w spadku wielkie tylko bagno"... Że tego spadkowego bagna Asnyk w swym poemacie rozszerzać i pogłębiać nie miał zamiaru, to pewne; ale nie mniej pewne i to także, że nad bagnem rozwiesił nieprzeniknioną moc grubych i ciężkich oparów metaforycznej urazy i fantastycznego uprzedzenia do czegoś... do kogoś... nieodgadnionego, niezdecydowanego, nieokreślonego. Pod osłoną, żartkiej napaści skierowanej, nie wiedzieć, w którą stronę, wepchniesz lub zaprowadzisz do kałuż „zmarnowanego dziedzictwa ojców" — każdego, kto ci się w złą porę na oczy nawinie. W poecie zastrzęgł niewątpliwie kawałek dawnego sekciarza — polityka z lat 1857 — 59, kiedy z nim, wtedy jeszcze uczniem warszawskiej akademii medyko-chirurgicznej, obcował Krzemiński; że zaś sekciarz złożony był z wielu różnolitych żywiołów, przeto i kawałek, który pozostał, trudny jest do zdefiniowa-

nią. Dużo kłótliwych i burzliwych zaczynów przyniósł Asnyk z sobą na świat. Zdrowie miał wątłe, ciągle się chwiejące, temperament niezmiernie łagodny, ale też i nadczule wrażliwy, wybuchający w pożarach niedługich, a stale tymczasem, chronicznie ku melancholii się pochylający. Więcej jeszcze antytez wszelkich nalało się do tej duszy tkliwej z zewnątrz, przeważnie pod postacią wiedzy książkowej, obficie zasilanej od wczesnej młodości, lecz nierównomiernie hartowanej w ogniu refleksyi i wśród nieustających wstrząśnień społecznych raz po raz wyrzucanej z prawidłowego toru doświadczeń osobistych. „Skromny, cichy, nigdy o sobie nie mówiący (Krzemiński), wpadał on przecież w szał i gorączkę od pierwszego zadraśnięcia przekonań przeciwnych; nieprzepartym i niepohamowanym był wówczas w dowodzeniu, zasilanem ufnością w skarby niepośledniej wprawdzie, lecz młodocianej erudycyi. Atoli i sama ta erudycya rozbiegała się w kierunkach trudnych do pogodzenia. Poeta — medyk celował znajomością encyklopedystów francuskich; „okazywał wielkie umiłowanie starożytności, czarowali go prorocy biblijni, pociągali Grakchowie", ale jednocześnie „czuł nieprzezwyciężoną skłonność do mistycyzmu, znał Swedenborga, cuda Apoloniusza z Tyany podziw w nim wzbudzały"...

Do jakiej właściwie „gromady żyjących" zaliczał się wówczas Asnyk czy też należał? — Sulima w swej „Historyi dwóch lat" sprzęga go ze zwolennikami „ulicy", rządzącej się i rządzącej „kapryśnie, ślepo i namiętnie", spowinowaca z obozem najskrajniejszych „czerwieńców". O tym samym okresie życia przyszłego poety (boć chyba nie o tej samej partyi) Krzemiński wyraza się zupełnie w innym sensie. Asnyk — powiada — „był odrazu jednym z najwybitniejszych młodzieńców tego koła, którego przecież nie zakreślił promień pospolitości, użycia lub karyerowiczostwa, i które, może nawet przeciwnie, w duchowych dążeniach równego sobie nie miało". Do stanowiska Sulimy Asnyk nigdy się nie przyznał. W „Śnie grobów", o ile cokolwiek rozumiemy enigmatyczną scenę trybunalskiej apotozy Słowackiego (w części drugiej), nie do kogo innego, do ulicy, do krzykaczów „bez ręki i głowy" stosuje się przedziwny, niesłychanej obrazowej mocy ustęp o potępieńcach, wychodzących „z tajnych kryjówek" i pędzonych przez wiedźmę na sąd zagrobowy. Poeta zwie ich w jednym wierszu „chmurą p o ł o w i c z n y c h cieni" — i przez to mierzy jakby w kogo innego: w zawiązki późniejszych stańczyków; atoli w dalszym ciągu, kiedy ten „trupi zastęp bez głowy i ręki" staje przed lodnikowym tronem mistrza, grającego na lutni w obłocznem otoczeniu postaci z „Anhel-

lego" i „Lilli Wenedy", — najlżejsza wątpliwość zdaje się znika, bez śladu, zwłaszcza, jeśli pilnie baczymy na przymiotne cieniowania wyrażeń: „Tu, jakby pieśni porwany zamętem, stracić miał pamięć haniebnego zgonu, cały się łańcuch ożywił występny i w takt dzikiego kołysał się tonu. Z trwogą patrzałem na taniec posępny, na te szkielety, wsłuchane ciekawie w tok pieśni, dla ich bytów niedostępny. I kiedy lutnia zagrzmiała o sławie, żywiej zabłysła ich próchen bielizna — i w *wojowniczej* stanęły postawie, a kiedy lutnia wyjękła: „ojczyzna" — poodwracały swe *skrwawione* płótna i silniej od nich wionęła zgnilizna. Gdy coraz bardziej pieśń szalała smutna w pourywane chaotyczne spadki, na ziemię padła czereda p o k u t n a i wszczęła wyciem *głośno wzywać matki*... Aż dreszcz przejmował patrzeć na te wstrętne spróchniałych kości skrzypiące ostatki, jak się w targania rzucały namiętne, jak się przykrzyły niebu swemi modły i o *zniszczenie błagały namiętne*... Długo się w bólach pasował proch podły, nim się odważył powstać o swej sile i tam, gdzie harfy natchnienia go wiodły, iść na wiekowej oprzeć się mogile; lecz przy odgłosie wulkanicznych grzmotów zerwał się przecież — i wrzeszcząc o p i l e, *straszne przysięgi składał, że już gotów*... Ruszyły naprzód te *krzywoprzysiężne*, roznamiętnione do niezwykłych lotów mary wpółsenne, liche, niedołężne, gnane boleścią, przestrachem, rozpaczą, jako *upiorów hufce bezorężne*... I kędy orły nad grobowcem kraczą i kędy tylko nad przepaści łonem porozwieszane czarne świerki płaczą, w miejscu, grobową ciszą uświęconem, na okrwawiony szaniec uroczyska biegły ohydne za nikczemnym zgonem"...

Wobec tak straszliwego potępienia tłuszczy „bezgłowej i bezrękiej", wyciem głośnem dopominającej się o matkę lub zatratę i bezoręźnie lecącej oprzeć się na wiekowej mogile, nie może być nawet mowy o jakiemkolwiek z tą tłuszczą pokrewieństwie „koła młodzieńców", do którego, według Krzemińskiego, należał Asnyk i które w „duchowych swych dążeniach równego sobie, być może, nie miało". — Ale jeżeli sprawa istotnie tak się przedstawia z przeklętymi w *drugiej* części „Snu grobów", to z ubłogosławionymi odbywa się w części *pierwszej* metamorfoza zaprawdę cudowna: mamy tu apoteozę tych samych właśnie, czyli raczej takich samych przedsięwzięć chybionych, takich samych zamiarów spełzłych na niczem, a przecież czystych i świętych — o f i a r n y c h b e z s k u t e c z n i e, w z n i o s ł y c h j a ł o w o, s t r a t n y c h i d e a l n i e, z g u b n y c h w s z e c h z b a w c z o... Poeta, lecąc w „nieruchome nicestwa pustynie" i czując się „skonań myślą pogrobową, dla

której przyszłość nie świeci już żadna", oczekuje już tylko, czy go nareszcie „ból nie pokona" lub „wstręt nie zdławi, a przestrach nie oniemi" i czy ta „próżnia niebios potępiona, co bez powietrza zda się i bez ziemi", w nieruchome nie opasze go skręty i z cieniami nie porówna czarnymi... Czeka i, niosąc na swoich barkach w kraje bezpowrotne „całą przeszłość bezechową",—rozpamiętuje „jej umarłe słowo"... Rozpamiętywanie nie zawodzi; zjawiają się duchy, — duchy tym razem *bratnie*: „cienie w jasną odziane prostotę", co się rycerskiej pozbywszy kolczugi, krwi rycerskiej idą lać „szczodrotę"... „Przez świątyń łomy widzę żałobny wpół a wpół weselny, ciągnący orszak duchów mi znajomy, — wzniosły i święty, jako hymn kościelny, co się wylewa w ekstazie ofiary"... Zachodzi zupełna i bezwzględna zmiana — nie sytuacyi i zdarzeń wziętych przedmiotowo, lecz tłómaczeń i sądów podmiotowych. Tam, poprzednio, oglądaliśmy potworny taniec szkieletów Holbeina, pląsy piekielnie wykrzywionych sylwetek Dantego, tu obecnie stoją przed nami chóry anielskich twarzyczek Murilla i otwierają rajskie panoramy Miltona... Raj to, niestety, stracony, gdyż te białe, jasne duchy niczem się na punkcie przegranej nie różnią od tamtych, czarnych; tu i tam wynikłością ostatnią: znikomość, nicość usiłowań. Ale jakże inaczej nicość tę wykłada obecnie poeta! „Czy prawdą jesteś — o, ty, nieśmiertelny zawiązku kwiatów niewygasłej wiary, co bez owoców z drzewa życia spadasz, jak niedośniony tryumf nocnej mary, lecz ani barwy wiosennej postradasz, ani cię splami rozpacz albo trwoga?"... Czy prawdą jesteś — o ty, niepokalany zastępie dobrych chęci, który „choć ziemi ci braknie, lecz niebo posiadasz", ty, któremu „przyszłość zaświatowa" tak jest droga, „że otrząśnięty w girlandach przedwcześnie, z ochotą lecisz kwitnąć w ręku Boga?"... — Czy prawdą jesteś? — Prawdą — odpowiada poeta, — prawdą, ach! dla mnie, co powtarzam pieśnie, przebrzmiewające w tylu piersiach rannych, com się obłąkał w ciemnościach i we śnie — a was tum znalazł w jutrzenkach porannych, przez drogi mlecznej zamgloną gwiaździstość, w pragnieniach do was lecąc nieustannych... Prawdą jest dla mnie ta dziewicza czystość, z którą płyniecie w światy idealne, jak meteorów różowa ognistość... Serca! grobowców prochami zapalne, anielskich kwiatów upojone wonią! kwitnienie wasze będzie tajemniczem dla światów, zgiętych pod codziennym plonem; lecz w opadnięciu cichem, ofiarniczem pod Chrystusowe nogi — wczesnym zgonem — spoczywa natchnień nieujęta siła, co świat nastraja nadzmysłowym tonem... Cóż? że się w drżeniu eterów ukryła i błądzi srebrna po

księżyca sierpie... — Do niej się będzie zwracać ziemska bryła i brać swe blaski, nie wiedząc, skąd czerpie, — aż zwyciężona zgryzotą duchową: wstań, ideale! — zawoła — bo cierpię"...

Wcale nie jesteśmy pewni, czy wolno pisarzowi tak jakoś znienacka urwać nić swego wywodu i, zwracając się do czytelnika, użyć mniej krasomówczego zwrotu: baczność! Ale, bądź co bądź, trzeba w jakikolwiek dobitniejszy sposób zaznaczyć, żeśmy naraz stanęli na szczycie tegoczesnej naszej twórczości poetyckiej, że właściwie w tem miejscu Asnyk rzuca w glebę piśmiennictwa polskiego zarodkowe źdźbła *wieszczby nowej*: wiarę nową, nadzieję nową...

W trzeźwej, potocznej ocenie zjawisk umysłowych asnykowska owa siejba wygląda dość marnie, naprowadza myśl na analogie mdłe, przeżyte, przebrzmiałe. Krzemiński, mówiąc o pochyleniach duszy Asnyka ku mistycyzmowi, nadmienia, że „wierzył on *nawet* w moc ducha, urabiającą *dowoli* naturę przestrzeniową". Wyrazy: „dowoli" i „nawet" nie są bez ujemnego zacieniowania pod piórem człowieka, który słów na wiatr nigdy nie rzucał. W danym wypadku wiarę i nadzieję poety — co do owego tajemniczego oddziaływania poświęceń, zapieczętowanych zgonem przedwczesnym, na los bryły ziemskiej — sam Asnyk wystawił na próbę niezmiernie uciążliwą i niebezpieczną przez wprowadzenie do swych widzeń postaci środkowej, naczelnej, „jak płomień, jasnej a jak marmur twardej, nieugiętością zbrojnej", — postaci „gromowładnej, co się nie ugnie w gromach i nie ruszy, co nie rozbroi się litością żadną i póty miecza do pochwy nie włoży, aż wyrok spełni nad tymi, co padną"... Mąż ten okrutny, o „strasznej, świat łamiącej sile", posłaniec Boży, Anioł przeznaczeń, jest stanowczo jednym z potomków „Króla Ducha" Słowackiego i protoplastą „nadczłowieka" Nietschego. Głosi on u Asnyka prawdy tak twarde, kamienne, nieubłaganie upakarzające, zarówno dla duchów czarnych, potępionych, jak i dla cieni białych, ubłogosławionych, że odrazu miażdży wzajemne ich różnice i przeciwieństwa przymiotne, stapiając je w jedną wielką syntezę wspólnoty rzeczowej, której miano: nędza, słabość, nieudolność. „Długo was pieścił Cherub złotowłosy i nad lichemi próchnami się bawił, wmawiając wielkość w strzaskane kolosy, a przecież z gruzów kolumn nie wystawił i życia nie wlał w umęczone prochy, tylko je w tęczy krwawej przez świat spławił, mistyczną pieśnią napawając śpiochy, a odurzone siedmiu niebios blaskiem — rzucił w ciemności"... Do zalęknionego poety ozwie się on jeszcze ostrzej: „Chodź za mną w znojów nieprzebranych kraje! — lepsze są one, niźli wyobraźni kłamliwych widzeń utracone raje.

Niech cię nie straszy długość ciężkiej kaźni, ani zasmuca wierzchniej pleśni zgniłość, stąpaj bez wspomnień, żalu i bojaźni i zerwij dawną z grobami zażyłość — i całą przeszłość marzeń chciej zostawić, aby cię znowu nie zbłąkała miłość"... I obaj razem polecieli niebawem na owe roki piekielne, gdzie cienie „bez głowy i ręki", na całą wieczność potępione, karcił, sądził, skazywał, grając na lutni, największy z potępieńców —ten, „co deptał światów zwyczajne porządki i duchom — wstydu wypalił rumieniec, gnając je myślą w genetyczne wrzątki", a sam na cyplu lodowatej góry, w otoczeniu piorunów i wulkanów, na szczycie „posępnej swej doli jaśniał, jak niebem gardzące wyjątki"... Sędzia odprawił „bezgłowe karły" na „wiekowej oprzeć się mogile", ale gdy do niej dotarły i na niej się oparły, — z grobowców powstały skrzydlate cienie „rozmyślających dawnych bohaterów" i szemrać zaczęły, żalić się, z oburzeniem mówić „o pohańbionym teraz majestacie"... „Wszystkich żywiołów zmieszały się tchnienia i wszystkich potęg nadzmysłowe straże przyszły do ziemi szturmować sumienia, — a rozgrzebując milczące cmentarze, dojrzeć w ludzkości zapleśniałe serce: *czy nic — prócz pleśni — więcej nie pokaże*...

Krytyka nasza współczesna nie mogła po dziś dzień uporać się z tą kołowrotnością „Snu grobów", z tem ciągłem zachodzeniem ideału za rzeczywistość, wielkości za małość, odrodzenia za pleśń — i nawzajem. Chmielowski, zastanawiając się nad zakończeniem drugiej części poematu, wytyka gołosłowność jej wróżby, że w długim szeregu „zatraceń", od legendowych rajów Eufratu, „wśród ciągłych bojów i oczyszczeń", ukazać się kiedyś ma „anielska ojczyzna wszechludów", która spłynie „z rozbitej dziś kolebki ludów". „Na wyrażeniu tej ogólnikowej nadziei — pisze Chmielowski— poprzestał poeta, zapominając nawet, że wprowadzona przezeń postać Anioła przeznaczeń powinnaby była coś ze swej strony wypowiedzieć, a choćby te nauki, jakich udzieliła w pierwszej części poematu, ukazać w zastosowaniu do sceny (roki potępieńcze), która najwięcej miejsca zajmuje w części drugiej" [1]. Zdaje się jednak, że Anioł przeznaczeń nie po to w utworze powołany został. Rola jego polega wyłącznie na tem, aby jak najmocniej zaakcentować wewnętrzne przeświadczenie poety, iż ogólny problemat „Snu grobów" — upadek pewnej idei lub instrukcyi dobrej i zbawczej w swej

[1]. „Współcześni poeci", str. 101.

zasadzie i w swych intencyach — nie da się już obecnie, w świetle ostatnich zdobyczy wiedzy, rozwiązać na podstawie pierwiastków wieszczby dawnej, czyli, innemi słowy, że za dni naszych wiara i nadzieja w innem, jak przed laty, odżywiać się muszą powietrzu. W poglądach poetów poprzedniej generacyi duchowy wykładnik ustroju wszechświata znajdował swe uwydatnienie w symbolu nader prostym: nad zachowaniem i rozwojem istnień czuwa Opatrzność Boża, której sprawiedliwość, dobroć, miłosierdzie jest tem w przyrodzie uświadomionej i moralnej, czem słońce w przyrodzie przestrzennej naszego systemu planetarnego. Krzywda, klęska, zatrata, o ile są w pobudkach swych niezasłużone — to tylko drobne, chwilowe zboczenia od prawa czujnej opieki duchowej, która niezbędnie wolą własną, łaską własną zwichnięte koleje prostuje, naprawia, do równowagi doprowadza. W „Śnie grobów" znika pojęcie takiej samonaprawczej i wszechprostującej, a na wszelkie czujące byty rozciągniętej potęgi. Leczniczy, zagradzający i krzepiący balsam boskości wytwarza się stopniowo, w drodze pracowitych wysileń, cierpień, tryumfów istot i jestestw uświadomionych, uświadamiających się; przy nich, dokoła nich, nad niemi —jeśli się znajduje jakiś wtór współczujący, — jest on poznaniu naszemu niedościgły, obcy — cichy, utajony, niezbadany. W poemacie najwyraźniej spostrzegać się już daje cały zarys tej filozofii nowej, ktorej wczesne nasionka po wyjeździe Asnyka w r. 1859 z Warszawy za granicę zaledwie dopiero krążyły tylko jeszcze w atmosferze studyów uniwersyteckich i rzadkich wydawnictw książkowych. Znacznie później, w lat kilka po ukazaniu się trzeciej, epilogowej części „Snu grobów" poeta rozwinie i rozszerzy tę swoją metafizykę ewolucyjną w cyklu sonetów „Nad głębiami", wertujących i obracających w sposób dość oschły i monotonny parę empirycznych pewników tej oto np. osnowy, co w sonecie II-m: „nieraz, biedni, za prawdę bierzemy głuchy oddźwięk własnej wyobraźni, — sądząc, że słyszym tajny głos natury; lecz wszechświat stoi, tak, jak przedtem — niemy, i otchłań póty milczeniem nas drażni, póki nas w mrok swój nie wciągnie ponury"... Albo też o wiele barwniej w najpiękniejszym z całego cyklu sonecie IV-m: „Jak ptaki, kiedy odlatywać poczną, bez przerwy ciągną w dal przestrzeni siną i, horyzontu granicę widoczną raz przekroczywszy, gdzieś bez śladu giną — tak pokolenia w nieskończoność mroczną nieprzerwanymi łańcuchami płyną, nie wiedząc nawet skąd wyszły, gdzie spoczną, ani nad jaką wznoszą się krainą... W chmurach i burzy lub w blasku promieni, podległe skrytych instynktów wskazówce — lecą, badając

wązki szlak przestrzeni, który im znaczą poprzedników hufce, i tę przelotną grę świateł i cieni, jaką w swej krótkiej zobaczą wędrówce"...

Zaiste, nie tylko „ogólnikową", lecz wprost — jak martwa gałązka w burzliwym potoku — kruchą i marną byłaby zapowiedź „anielskiej ojczyzny wszechludów", gdyby się wszystko skończyć miało na niepewnem, urywanem, instynktowo powtarzanem przelewaniu z pokolenia w pokolenie doświadczeń *ptasich* na wązkim szlaku wędrówek od etapu do etapu, od fali do fali, od r. 1799 do r. 1899... Ale w epoce pisania „Snu grobów" Asnyk był o kilka lat — rzecby można, o kilka wieków młodszym, śmielszym, dzielniejszym od Asnyka z czasów „Nad głębiami"; więc faktem jest, że na skrzydłach nowej swej wiary i nowej nadziei zwycięsko przepaść niebytu przeskoczył wówczas... Nie napróżno snadź powiadał doń Anioł przeznaczeń:

> To, co upadło, musi w rdzy się strawić
> i pod martwości szatą taić skrycie —
> bez próżnych pokus, aby siebie zbawić —
> nienadwątlone niczem nowe życie,
> któremu niańczy grób ten, jak kołyska,
> nim niemowlęce odrzuci spowicie
> i rzeczywistą siłę lotu zyska...

Stwierdziwszy to, mógł sobie „mąż żelazny" — Anioł przeznaczeń odejść: żadnych dalszych rad i nauk nikt od niego nie potrzebował. „Zastosowanie" jego wskazówki fundamentalnej, sekret realizacyjny problematu formuły wyjawili poecie na parę sekund przedtem przelatujące cienie jasne, bratnie, — w tej samej właśnie chwili, kiedy dusza jego strapiona i umęczona, wytężając ku towarzyszom ramiona, wołała: „Kapłany gruzów, twarde sługi krzyża! — raz jeszcze wśród was padnę na kolana, zanim przekleństwo rzucę na wiek długi... Przez niebo wasze dziś rozmiłowana, błądząca dusza zapomni o gniewie, bo ojców swoich szuka rozpłakana... Tu przed oczami mojemi na nowo widzę was wszystkich, wieńczonych jemiołą, co jest odrodzeń godłem, — jak w różową toniecie światłość i wieśniacze sioło, niby betleemską narodzin stajenkę, rozpromieniacie gwiazdami wokoło... O, stójcie jeszcze!"...

> Lecz rajską jutrzenkę
> pokryła ciemność, lecąca w odmęty,
> i położyła mi na duszy rękę...

I to już wszystko? — i nic nie zostało więcej? — Owszem, została wieszczba nowa, nowonarodzona... Prolog do niej największy z poetów powtórnej młodej generacyi ubrał w szatę legendy ludowej, która—w oczach piszącego — niema sobie równej w literaturze wieków i narodów — i opromienił wspomnieniem czasów, które nie miały sobie równych w dziejach powszechnych, — czasów, „gdy jeszcze tęcze grały nad życia obłokiem”... „Więc znów ujrzałem świat ten tyle wdzięczny, w harmonii, wieczną uświęconej ciszą, tracący życia koloryt niewdzięczny — i otrząśnięty z tych łez, które wiszą nad ziemskiem piekłem nieustanną wrzawą, aż w sobie piorun piekłu wykołyszą... O, jakież zdroje czyste i szemrzące wiosennych kwiatów podsycają wonność, między olchami ściekając po łące! i złotym jaskrów błyszczące płomykiem pomiędzy gaje biegną i ogrody... Na wzgórzach spiętych dzikiej róży krzewem, ponad cichemi rozstawione wody, bieleją wiosek ubogie zagrody — kołyski marzeń dziecinnych — gdzie śpiewem porwane myśli lecą ponad błonie, ponad zielonym przyszłości zasiewem... Ta niemowlęca świętość, co tu wionie, prześniła wieki czysta, nieskażona, jak perła w muszli zachowana łonie, — i nie wie nawet, gdzie jest pogrzebiona ciężka spuścizna, którą przyjąć trzeba, rzucając w ziemię ojczystą nasiona: dość jej na dzisiaj ojczystego nieba i dymiącego ojcowizn ogniska, sosnowych borów i czarnego chleba... Gaje i chaty! jasne zdrojowiska! zielone łąki! wysmukłe topole! i na rozstajnych drogach wśród urwiska omszone krzyże w cierniach! — Was, pacholę, widziałem w tęczy migającej rąbku, a dziś was widzę”...

Dziś? — Lecz cóż to jest „dziś”? gdzie ono? Jest świat równie może rozległy i głęboki, jak ocean przyszłości, w którym dziś kropli nawet nie stanowi — atom jego niewidzialny: świat wierzeń, przeczuć, marzeń, stężałych pod młotem doświadczenia, doświadczeń, rozpryśniętych na meteory badań bajecznych... W kilku strofkach,—co prawda, najdźwięczniejszych, najbarwniejszych, na jakie się zdobyła mowa nasza, od tylu lat ograna i ośpiewana, Asnyk daje wątpliwościom dnia dzisiejszego ostateczną odprawę w imieniu doświadczeń świata przeżytych i złudzeń przebolałych poprzez otchłanie wieków, — świata, co

> mieniąc się barwą opalów jaskrawą,
> stanął (przed poetą) jak anioł, co klęknie
> ponad kołyską sierocą i łzawą
> patrzeć: czy serce dziecięcia nie pęknie,
> a z róż niebiańskich niosąc mu kolędę,

ani go dziwi ani też przelęknie...
miłość ma swoją słoneczną legendę,
co wspomnień zerwać nie daje łańcucha,
mówiąc sierotom: „Ja, matka, przybędę
„słuchać tych żalów, których nikt nie słucha...
„Nie wierzcie temu, że nas teraz dzieli
„nie zapełniona niczem przepaść głucha".

„Więc i ja — kończy poeta — z martwej podniesion topieli, kłamstwo zadałem śmiertelnej rozłące i w to wierzyłem, co mówią anieli".

Nazwaliśmy gwiaździsty ten wieniec „Snu grobów" prologiem wieszczby nowej. Na dzieła nowe, a choćby tylko na jedno takie dzieło długo zapewne czekać wypadnie. „Anielska ojczyzna wszech ludów", postawiona, jako ostateczny ideał rozwagi człowieczeństwa poprzez wieki trudu, cierpień i przebojów, nie łączy się bezpośrednio z zdobytym rozproszonym materyałem wytwórczości mitologicznej... Niezbędnem tu jest ogniwo środkowe—żywostan czynny, stopniowo przerabiający zmartwiałe skarby przeszłości na szereg przejść, zawieszonych w przeczuwanej dopiero gdzieś tam krainie przyszłości. Pośredniczący ten całokształt życia — gdziekolwiek ono jest i działa w pełni—ma własne swe wiary i nadzieje, własne cele, widoki, zabytki, przeżytki, sądy i przesądy — bardzo rzadko, szczęśliwym chyba tylko trafem przystające szczelniej do zamierzeń i zasobów, zakreślonych na skalę wszechświatową. Obsługa teraźniejszości—jej wymagań godziwych bezwątpienia, lecz do najwyższego nieraz stopnia marnotrawnie rozlicznych—pochłania tegoczesną poezyę, w ogólności wysysa z niej soki najżywotniejsze, wypromienia i niweczy ognie najwspanialsze. Między „szarą rzeszą", o której uwzględniająco jeszcze powiada Rossowski:

ty bezimienna idziesz w smutne życie
nakształt rzek owych, co do morza śpieszą,
i bezimienna giniesz także skrycie
o, szara rzeszo! —

między tą rzeszą a mądrością lub natchnieniem ksiąg, do których „wielkie imiona złotemi głoski wpisują potomni"—nieprzyjaźń była zawsze i jest może wieczną. Bój trwa ciągle. W stawce rzecz do wygrania—nieskomplikowana: albo byt, albo nicość; nic nad to i nic pośredniego. Łamiąc się okrutnie z sobą i z otoczeniem, Asnyk nie tracił, o ile się zdaje, do końca nadziei na możliwość wygrania „bytu", bo „wierzył w moc ducha, urabiającą swobodnie

naturę przestrzeniową". Zrywał się też raz po raz do zapasów z ociężałością powszednią, wygodnie i przestronnie zagospodarowaną na ziemi przez opasłych „zjadaczy chleba",—ale się zrywał coraz rzadziej i od powrotu w r. 1867 z obczyzny do kraju—coraz słabiej. Nie popłynął wprawdzie z prądem szerokiem a mętnem łożyskiem zachcianek i gustów, bądź wielkopańskich, bądź małomieszczańskich; oszczędzał się wszakże. Stanąwszy pod nietykalną w burzach chorągwią bezwzględnego, oderwanego piękna, snuł i tkał przecudne swe drobiazgi liryczne według wzorów i tematów nieposzlakowanych pod względem „wytworności poetyckiej"; o wytwórczości wszakże wieszczej nie może być z ich powodu mowy. Zatykał, zapychał senną nudę i próżnię współczesności bieżącej, czem mógł: naiwną erotyką, łagodną satyrą, obrazkami przyrody tatrzańskiej, wiązankami mitologii filozoficzno-niemieckiej, paciorkami galanteryi stańczykowsko-krakowskiej, — przy nadarzonej zaś lepszej sposobności kantatami jubileuszowemi na cześć Kraszewskiego lub żałosnemi przestrogami pod adresem wieku; — „wieku bez jutra, wieku bez przyszłości"... Wiek, ma się rozumieć, spokojnie szedł sobie dalej ze wszystkimi swoimi obchodami — śmierci czy urodzin. Asnyk się żżymał, martwił, gniewał, — ale i to mijało. Widziano go przecież, jak wśród dnia białego stawał niekiedy na Rynku, wpadał w głębszą zadumę i, przypominając snadź sobie niektóre zwrotki „Snu grobów", głośniej przemawiał do jakiejś pod kościołem Panny Maryi upatrzonej mary: „Taką, jak byłaś, nie wstaniesz z mogiły... Nie wrócisz na świat w dawnej swojej krasie... Musisz zatracić niejeden rys miły i wdzięk w dawniejszym uwielbiany czasie, a nową postać wziąć... i nowe siły... i nowych wieków oręż mieć w zapasie... Musisz do życia wrócić życia bramą... Musisz być inną, choć będziesz tą samą"...

Lubo poza obręb „wytwórczych", czysto artystycznych, wyłącznie sztukmistrzowskich założeń i widoków tegoczesna poezya polska nie wyszła od Asnyka po dziś dzień, to jednak nie wynika stąd wcale, iżby mistrze, jacy się po Asnyku ukazali, byli jego uczniami lub naśladowcami, urośli i wychowali się pod czarem jego pieśni, dali się pochłonąć jego wpływowi. Wszystkim im razem chłodną swą rękę położyła na duszy r z e c z y w i s t o ś ć nieubłagana — i wspólność jest tu zjawiskiem niemal atmosferycznem, tej samej, rzekłbyś, natury, jak kiedy po dniach spiekoty i upału chłód nocy ciemnej zarzuci jeden kobierzec rosy perlistej na cały przedświtowy obszar dnia następnego: na wzgórza i doliny, na lasy i ugory, na lepianki i pałace, na kopy skoszonego siana i na omszone wiekami wieżyce kościelne...

Czy w tej łzawej powodzi niebios wschodzące słońce XX stulecia zapali poezyę polską blaskami wróżby wieszczej na pogodę raczej, niżli na burzę? — odpowiedzi na to nikt dziś zapewne nie oczekuje od krytyków i recenzentów: spoczywa ona nie tyle w literze utworów dotąd wydanych, ile raczej w duchu zapowiadającej się dalszej twórczości naszych nieśmiertelnych czterdziestu i czterech. Przeczuć ją zaledwie można z „Baśni" Deotymy, z „Gwiazd" Konopnickiej, z „Toni" Szczęsnej, z „Fantazyi" Balińskiego, z „Obłoczków" Czesława, z „Wiośnianek" Glińskiego, ze „Wzlotów" Gomulickiego, ze „Zmroków" Kasprowicza, ze „Zmierzchów" Langego, z „Wieczorów" Miriama, z „Mgieł" Niemojewskiego, ze „Snów" Rossowskiego, z „Zamyśleń" Tetmajera, z „Płaczów" Wierzbickiego z „Vae soli" Zagórskiego, — z jaskółczych migawek i pajęczych przędziw Bełzy, Bogdanowicza, Bukowińskiego, Daniłowskiego, Dziubińskiego, Feldmana, Górskiego, Jankowskiego (Józefa), Konarskiego, Kościelskiego, Kutyłowskiego, Nitowskiego, Nowickiego, Oppmana, Pileckiego, Rydla, Sterlinga, Szczepańskiego, Urbańskiego, Wolskiego, Wyrzykowskiego, Zbrowskiego, Żuławskiego... Oni też tylko jedni wiedzą napewno, ile jest prawdy, wielkości i mocy w proroczych przykazaniach Asnyka, zawieszonych nad „zielonym zagonem" przyszłości: „musisz być inną, choć będziesz tą samą".

Kazimierz Włostowski.

Z Antologii Palatyńskiej.

XII. 98. Posidippus.

Psychę, słowikiem Muz zwaną, związawszy raz, Eros na łożu
Kładzie cierniowem iskry sypie żarzące jej w pierś;
Psyche zaś, która, wśród ksiąg dotąd żyjąc, o resztę nie dbała,
W bożka oddana dziś moc, w skargach wylewa swój ból.

XII. 102. Callimachus.

Strzelec, mój Epicydesie, na dzikie się wspina urwiska
I nie zważa na śnieg ni smagający go grad,
Tropiąc zająca lub łań; gdyby jednak ktoś rzekł doń w te słowa:
„Patrz, ugodzony padł zwierz!", nawet nie spojrzał by nań.
Taką i miłość jest ma: za marami próżnemi biedz rada,
Mija niebacznie zaś wciąż szczęście, leżące u stóp.

IX. 577. Ptolemaeus.

Wiem, że znikomą, jak liść, jest istota ma, lecz, gdy rozważam
Wieczną harmonię sfer, w zwarty toczących się krąg,
Ziemi nie czuję u stóp, bo już w bogów świetlanej krainie
Sam nieśmiertelny mi Zeus leje ambrozyę do ust.

XVI. 120. Asclepiades.

Smiałość i cały tu kształt Aleksandra boskiego oblicza
Lizyp odtworzył i w spiż — zda się — spiżową wlał moc.
Zda się — zawoła ten spiż, spoglądając w eteru przezrocza:
„Sobie zabieram ja świat, — Zeusie, ty Olimp swój dzierż!"

XII. 35.

Gdy witający raz sam powitany nie został, tak rzecze:
Ufny w piękności swej moc, Damon nie wita się dziś,
Zbliża jednakże się czas, co za wszystko go skarze: zgarbiony,
Będzie on witać się rad, lecz nie odpowie mu nikt.

Mimnermus: Nanno.

ELEGIA I.

Czemże jest ziemski nasz byt, czem rozkosz bez złotej Cyprydy?
Umrzeć radbym, gdy już powab utraci i czar
Miłość tajemna — ten dar Afrodyty najsłodszy — uściski,
Najwonniejszy ów kwiat pierwszej młodości i sił
W życiu młodzieńców i dziewic. Gdy starość posępna nastąpi,
Starość, co ludziom—ach—wraz z szczęściem odbiera i wdzięk,
Duszę ogarnia ich żal, gorzki żal za straconą młodością,
I nie raduje ich nic—nawet słoneczny ten blask!
Dziatwy postrachem się stają i urągowiskiem dla niewiast...
Ciężkie udręczeń i trosk brzemię starości dał bóg!...

ELEGIA II.

My, jako roślin ów świat, co o wiośnie, kwiatami sypiącej,
Buja, gdy słońce mu żar zsyła, i życie, i wzrost,
Tym więc podobni, przez chwil ledwie parę młodości się cieszym
Kwiatem, nie dbając, czy złym, czyli też dobrym znów jest
Ród nieśmiertelnych, a już dopędzają nas Parki fatalne:
Jedna z nich w dłoni swej ma smutny zgrzybiałych lat dar,
Śmierć niesie druga, — i wnet opadają młodości owoce,
Póki na ziemski ten świat Helios złocisty śle blask.
Kiedy zaś szczęsnych tych dni bezpowrotnie oddali się pora,
Lepiej wyzionąć wnet dech, niźli przez życie się wlec.
Bo wielorakich grad klęsk już cię trapić wciąż będzie: tak, jeden
Traci dobytek, i głód w pusty zaziera mu dom;

Drugi, przez dzieci swych zgon osamotnion, z tęsknoty za niemi
Schodzi niebawem przez grób w Hades, tonący we mgle;
Toczy innemu znów pierś uporczywa choroba. Na ziemi
Nie masz, komuby Zeus wolny od nieszczęść dał los.

ELEGIA V.

Chłodny, kroplisty mi pot po młodzieńczych jagodach się toczy,
Cały ze zgrozy aż drżę, widząc, iż kwiat młodych lat,
Wonny i wdzięczny, trwa czas — ach — tak krótki, gdy wiecznym [być winien!
Mija, ach, mija, jak sen, hołdy dająca i cześć
Młodość, a za nią tuż w trop pełna trosk i ohydy się zbliża
Starość: nad głową, jak sęp, skrzydła roztoczy nam swe,
Wroga, co, niosąc nam srom, wnet szlachetny kształt męski oszpeca,
Bierze rozsądek i ćmi nieprzeniknioną mgłą wzrok.

Anacreontea.

6.

Wciąż mówią mi kobiety:
„Już staryś jest, niestety!
„Spójrz choćby raz w zwierciadło
„Na swą czuprynę zrzadłą
„I czoło łysiejące.
Ja nie dbam o niknące
Kędziory; w myśli mojej
Starcowi to przystoi
Pić wino, kraść uściski,
Gdy życia koniec blizki.

7.

Nie pragnę kosztowności
Gygesa, Lydyi pana,
Nie służę złej zazdrości,
Nie żądam praw tyrana, —
Lecz pragnę wonnościami
Namaszczać skronie w koło,

Lecz pragnę róż wieńcami
Oplatać białe czoło,
Dziś mi używać chce się,
Kto wie, co jutro niesie?
Więc, póki świeci słońce,
Graj w kości, wino skrzące
Pij, by niemocy siła
Pić dalej nie wzbroniła.

39.

Jaka rozkosz iść przez błonie,
Które całe w kwieciu tonie,
Gdy zefiru lekkie tchnienie
Mile drażni powonienie,
Widzieć w bujnych splotach wino
I utonąć w ich zieleni,
Obejmując się z dziewczyną,
Co, miłością tchnąc, się mieni!

W. Klinger.

Mechanika społeczna*).

Wnioski ogólne.

Zbierzmy w kilku słowach dotychczasowy bieg naszego rozumowania. Dobro społeczne ustanawia się automatycznie w myśl zasadniczego prawa, iż każdy agregat w ruchu dąży do *maximum* swej energii. Prosty przykład z chemii najlepiej nam tę zasadę uwidoczni i objaśni. Weźmy kilka ciał, pomiędzy któremi istnieje powinowactwo chemiczne, i wrzućmy do wspólnego naczynia. Przy pewnych warunkach rozpoczyna się reakcya, polegająca na tem, iż atomy zaczynają się przemieszczać, przebiegać większe lub mniejsze przestrzenie, poszukując takich związków z innymi, w których cała właściwa im siła przyciągania byłaby jaknajlepiej w porównaniu z innymi atomami zaspokojona czyli „nasycona". I tylko wówczas, gdy każdy atom jest w stosunku do innych jaknajlepiej zaspokojony, następuje koniec reakcyi czyli równowaga, t. j. jaknajlepsze

*) Por, poprzednie nasze prace o „Mechanice społecznej": „Ateneum", grudzień r. 1897, kwiecień r. 1898, luty r. 1899, maj r. 1899, wrzesień i październik r. 1899.

Różne części naszej pracy wychodziły też jednocześnie w języku francuskim w „Revue Philosophique" r. 1898—9; niemieckim w „Soz. Monatshefte", Berlin, r. 1897—9; włoskim w „Rivista italiana di Sociologia", Rzym, r. 1899, i rosyjskim w „Naucznoje obozrienie", Petersburg, r. 1897.

przystosowanie się wzajemne do siebie wszystkich atomów. Bo gdybyśmy przypuścili, że po końcu reakcyi w jednym punkcie ogólnej masy znajduje się atom niezupełnie zadowolony (np. mógłby z natury swej przyciągnąć 7 atomów wodoru—mówimy tu o tak zwanej „atomowości" *(atomicité)* — a faktycznie przyciągnął tylko 5) w innym zaś punkcie masy atom stosunkowo przesycony (może z natury swej przyciągnąć tylko 5 atomów wodoru, a około niego przypadkiem ugrupowało się 7), wówczas reakcya ponownieby się rozpoczęła, t. j. wodór zacząłby się przenosić od jednego z tych punktów do drugiego, aż do chwili, gdy oba punkty byłyby nareszcie w zupełności i każdy odpowiednio do swych potrzeb naturalnych, a także do możności, istniejącej po temu w całej masie, nasycony, t. j. gdy nasycenie masy jest *maximum*. Dla objaśnienia „atomowości" [1]) dodajemy, iż atom chloru może przyciągnąć i zatrzymać przy sobie dzięki swej naturze tylko jeden atom wodoru, atom tlenu—dwa wodoru, atom azotu—trzy wodoru, atom węgla—cztery wodoru i t. d. Inaczej mówiąc, przyjmujemy przyciąganie wodoru za jednostkę wymiaru i znajdujemy, iż różne pierwiastki przedstawiają pewne różnice przyrodzone w swej energii przyciągania. Różnice te pierwotne są punktem wyjścia dla chemików, którzy za pomocą nich tłómaczą budowę i właściwości ciał złożonych. Zupełnie w ten sam sposób postępuje mechanika społeczna z tą różnicą, iż ona ma wciąż do czynienia z energią biologiczną, gdy tam mamy do czynienia z energią chemiczną. Dla uzupełnienia analogii należy dodać, iż antropologia rozpatruje „rasy czyste", jako grające zupełnie tęż samą rolę, co pierwiastki chemiczne. Bardzo być może, iż chemii uda się kiedyś sprowadzić wszystkie 70 pierwiastków, znanych obecnie, do jednego wspólnego, tymczasem jednak przyjmuje je z ich właściwościami przyrodzonemi, każdy z właściwą mu „atomowością". Tak samo każda rasa czysta ma właściwą sobie „atomowość" biologiczną, zależną od ilości materyi, którą może przyciągnąć i która może być mierzona jakiemkolwiek bądź dobrem, skórami, muszlami lub kruszczem, który tu gra tylko rolę jednostki wymiaru, jak w chemii—wodór. Różnice, przedstawiane pod tym względem z jednej strony przez czynniki chemiczne, z drugiej—przez rasy czyste, są faktem pierwotnym, punktem wyjścia zarówno dla mechaniki społecznej, jak i dla chemii.

Wyobraźmy sobie mianowicie w przykładzie powyższym, iż

---

[1]) Wartz: Theories Mimiques.

atomy są ludźmi, iż ich potrzeby czyli siły przyciągania są olbrzymio wielkie i nieskończenie rozmaite i że dlatego reakcya — w danym razie biologiczno-społeczna, bo wszystko jedno, czy ona się odbywa w materyi ożywionej, czy nie—trwanie godzinę, nie dzień i nie miesiąc, lecz stulecia i tysiącolecia, to jednak nie zmienia zasady, iż reakcya dąży zawsze do *maximum* zadowolenia czyli dobra społecznego. Dobro społeczne zawsze więc się robi samo sobą, czy je mamy świadomie na celu, czy nie, czy też nawet dążymy do celów wręcz mu przeciwnych [1]). Istotnie, jak w reakcyi chemicznej każdy atom, jakiekolwiek są jego położenia i ruchy, które wykonywa,

---

[1]) Błędem jest więc wyobrażać sobie, iż tylko etyka dąży do dobra społecznego i że należy przeto podporządkować jej inne dziedziny działalności ludzkiej między innemi naukę i sztukę. Taki np. Goblot (w swej *„Classification des sciences“* r. 1899) dowodzi, że etyka jest nauką nauk. Naszem zdaniem, jest to wznowienie średniowiecznego poglądu: *„philosophia ancilla theologiae“*, który dziś brzmi *„scientia ancilla ethicae“*. Naszem zdaniem, wszystkie objawy działalności ludzkiej automatycznie dążą do dobra społecznego, i etyka gra tylko rolę jednego z czynników koniecznych, narówni z nauką i sztuką, które mogą nawet być w sprzeczności z etyką. Pomimo to są one niemniej pożyteczne i konieczne dla dobra społecznego, i to w wyższym stopniu, aniżeli te ostatnie. Weźmy dla przykładu chociażby sztukę. Częstokroć gra ona niewątpliwie rolę afrodyi, pobudzając apetyty i żądze płciowe (por. „Równowagę estetyczną“. „Ateneum“, r. 1898). Ludzie jednostronni, w rodzaju Tołstoja, nie uwzględniający nic po za moralnością, a rozumiejący tę, rolę sztuki, musieli ją potępić, ale jest to tylko dowód ich jednostronności. Zupełnie się zgadzamy z Tołstojem, iż artyści pióra, pędzla czy dłuta pobudzają pożądliwość, bądź gdy ją chwalą, bądź też gdy ją ganią, iż dzieła ich są zwykle usprawiedliwieniem instynktów pod pozorem piękna albo też rozczulenia się nad słabością ludzką. Tołstoj tylko nie wie, iż wszystko, co istnieje i rozwija się, jest użytecznem. Dlatego też społeczeństwu potrzebną jest i sztuka z jej artystami, którzy pobudzają pożądliwość, i moralność z jej kapłanami, którzy ją hamują. I tylko wspólna gra odnośnych narządów zapewnia *maximum* dobra społecznego. Tak w mózgu, istnieją i centry hamujące i centry pobudzające, oba rodzaje są jednakowo użyteczne i potrzebne: one nietylko sobie nie przeszkadzają, ale i owszem pracują wspólnie dla dobra całości. A mianowicie, w miarę tego, jak z postępem cywilizacyi umysłowość i moralność się rozwijają, brutalność i prostota zasadniczych instynktow występuje na jaw w całem swem obnażeniu. Ludzie „delikatni“ z uśmiechem i oburzeniem odwracają się od nich, jako od rzeczy złych, bydlęcych, które należy pozostawić gatunkom niższym. Byłaby to śmierć rodzaju albo przynajmniej wyższych, inteligentniejszych jego warstw. Rozwój nadmierny etyki wywołałby niechybnie ten skutek, zgubny dla całości. I dlatego—na pewnym stopniu swego rozwoju — agregat zamienia automatycznie pewną część swej energii na wytworzenie mamideł i ułud, stanowiących sztukę, która narzuca zasłonę na brutalność pierwotnych instynktów i zapewnia trwanie ras wydelikaconych. W ten sposób sztuka, gdyby nawet była niemoralna, jak tego chce Tołstoj, jest nie mniej pożyteczną, jak sama moralność.

wciąż skierowany jest ku wspólnemu dla wszystkich celowi, ku równowadze, t. j. maksymalnemu zaspokojeniu potrzeb całości, tak samo każdy człowiek, w reakcyi społecznej, jakkolwiek czyny jego z pozoru mogą się wydawać samolubne lub szkodliwe, dąży zawsze, czy chce, czy nie chce, we wszystkiem, co robi, do dobra społecznego [1]).

W przykładzie reakcyi chemicznej, powyżej przytoczonym, każdy atom kierowany jest tylko własnym swym interesem, dążeniem do jak największego zaspokojenia swego pokrewieństwa chemicznego, swej siły przyciągania. Przemieszcza się on z miejsca na miejsce, póki nie osiągnie celu tego — największego zaspokojenia swego w porównaniu z innymi. A ponieważ to się tyczy wszystkich atomów z osobna, więc wszystkie wciąż się przemieszczają, a znajdując się w przestrzeni ograniczonej, muszą uderzać jedne o drugie. Istnieje więc „walka” między atomami, ale ona jest wywołaną wzajemnem ich ciążeniem ku sobie i jest koniecznym warunkiem dopięcia równowagi tych przyciągań i maksymalnego nasycenia atomowości oddzielnych atomów i całego agregatu. Toż samo dzieje się w społeczeństwach ludzkich. Walka, współzawodnictwo między ludźmi jest tylko skutkiem wzajemnego ciążenia ich ku sobie i ku rzeczom zewnętrznym i zarazem warunkiem ustanowienia równowagi tych ciążeń, t. j. największego dobra społecznego. Ponieważ ciążenie to odbywa się pośród całych mas ludzkich, więc równowaga przyciągań nie może się obyć bez tego, by po drodze jednostki nie uderzały jedne o drugie, nie wpadały w zatargi,

---

[1]) Weźmy przykład najjaskrawszy: zabójcę, który morduje. Jeżeli bliżej wnikniemy w rzecz, okaże się, że i on pracuje dla dobra społecznego. Istotnie, w łonie ludzkości znajdują się jeszcze resztki typów podludzkich, zwierzęcych, dobrze zamaskowanych pozorami cywilizacyi, i które dlatego trudno jest rozpoznać, a należałoby je wytępić jaknajrychlej. Powiadamy: jaknajrychlej, bo, im dłużej typy te istnieją, tem trudniej będzie z czasem je wyplenić. Otóż każdy zabójca swem przestępstwem demaskuje swą naturę, daje powód i podstawę do swego wytępienia, a zarazem do wybawienia świata od wszystkich swych następców, którzy byliby szkodliwi w przyszłości. Jeżeli na tym krańcowym przykładzie prawo największego dobra społecznego się urzeczywistnia, to cóż dopiero mówić o wszelkich innych wypadkach egoizmu w jego milionowych objawach? Bo jedno z dwojga: albo jest on faktycznie szkodliwy dla społeczeństwa i wówczas wywołuje z jego strony reakcyę, która go wytępia, i w ten sposób objaw egoizmu pośrednio dąży do dobra ogólnego; albo też jest, pomimo swych pozorów szkodliwości, faktycznie użyteczny i wówczas pomimo wszelkich reakcyi istnieje, trwa i rozwija się. A możemy być pewni, że wszystko, co przez dłuższy czas istnieje, trwa, rozwija się, jest użytecznem.

wyrażające się w uczuciach nienawiści (która jest tylko przyciąganiem ujemnem i różni się od miłości, jak zimno od ciepła, jest to + i —).

Oto w jaki sposób z ciążenia biologicznego, z miłości rodzi się nienawiść. Śmiemy więc twierdzić, iż współzawodnictwo egoizmów i złe uczucia, stąd płynące, są warunkiem dopięcia równowagi przyciągań i *maximum* dobra społecznego. Ci więc, co w interesach tego dobra chcieliby znieść egoizm, nie wiedzą poprostu, co mówią. Największe dobro urzeczywistnia wciąż świat istniejący, a raczej *stający się* — i proszę zauważyć, iż urzeczywistnia się również wysiłkami egoizmu, jak i altruizmu.

Wszystkie stronnictwa społeczne — bądź egoistyczne, bądź altruistyczne w swych zasadach — mylą się, tylko rozwój rzeczywisty jest nieomylny, i on to wyłania z wysiłków sprzecznych i niezbędnych wszystkich tych stronnictw największe dobro społeczne, jakie tylko urzeczywistnić w danych warunkach się daje. Użyteczni więc i potrzebni dla społeczeństwa są i oportuniści, i konserwatyści, i demokraci, i arystokraci, i liberałowie, i radykałowie. Dla mechaniki społecznej wszelkie partye i stronnictwa, etyczne, społeczne czy polityczne, są tylko mrówkami różnego rodzaju, z których każda dąży zapamiętale do własnego swego dobra i których wspólne wysiłki zapewniają wciąż nieomylnie *maximum* dobra społecznego, jakie tylko w danej chwili urzeczywistnione być może.

Spieszę jednak omówić, iż ciążenie jednostek pomiędzy sobą nie zawsze ma charakter przyjaźni lub idylicznej miłości. Jest to ciążenie biologiczne, wyrażające się w naturalnej, pierwotnej swej postaci, jako głód, t. j. chęć pożerania rzeczy posilnych, a więc także wzajemnego pożerania się ludzi, i jako żądza płciowa, t. j. potrzeba zapładniania. Ciążenie biologiczne może więc też wyrazić się w chęci pożarcia jednych przez drugich. Wygląda to na paradoks, a bynajmniej nim nie jest. Gdy jemy jaką smaczną potrawę, dajmy na to—pieczoną kaczkę, nie czujemy do niej żadnej nienawiści, i owszem raczej uczucia przyjazne, sympatyczne. Tak samo ludożerca widzi w człowieku innego plemienia smaczną potrawę, którą chętnie spożyje i której silnie pożąda. Z czasem ten żywiołowy pociąg ludożerczy zamienił się pod ciśnieniem społecznym na cały szereg uczuć i instytucyi często chrakteru szczytnego—praca, państwo, prawo—i w nas, ludziach ucywilizowanych, już szczęściem przemawia wstręt do ciała ludzkiego, jako pokarmu. Że jednak w człowieku pierwotnym przemawiało pod tym względem przyciąganie, przyjemność—to fakt, gdyż ślady, szczątki pierwotnego ludożerstwa

odnalezione zostały u wszystkich prawie ludów globu ziemskiego [1]). Należy jednak dodać, iż głód prowadził nietylko do ludożerstwa, ale także do pożerania wszystkiego, co pożarte być mogło w świecie zwierząt i roślin. Że zaś żądza miłosna jest ciążeniem biologicznem ku sobie różnych płci — to oczywista. Dodajmy, iż ciążenie to może się wyrażać, jak to widzimy u wielu ludów pierwotnych, a często i w starożytności: między ludźmi tejże samej płci [2]). Wspominamy o tym ostatnim wypadku ciążenia biologicznego, gdyż i on w swych przekształceniach dał początek— jak w swoim czasie zobaczymy — wielu objawom społecznym. A więc pierwotne agregaty społeczne należy sobie przedstawić, jako zbiorowiska ciał, które wzajemnie się przyciągają.

Ale jak w reakcyi chemicznej atomy, dążąc do jak najlepszego rozmieszczenia się społecznego pod wpływem przyciągań, uderzają po drodze jedne o drugie, o ile uderzenia zamieniają część ich energii wzajemnego ciążenia na światło, ciepło, elektyczność, pracę mechaniczną i t. d., tak samo ludzie pod wpływem ciążenia biologicznego, t. j. głodu i miłości, dążąc do najlepszego ich zaspokojenia, wpadają po drodze w zatargi niezbędne, przyczem pewna część ich energii gatunkowej czyli ciążenia biologicznego, zamienia się na pracę mechaniczną, na przemysł, handel, państwo, prawo, moralność, piękno, umysłowość, przebiegliwość, mistycyzm—jak to w poprzednich naszych pracach pokazaliśmy. Jak w reakcyi chemicznej ciepło, światło, elektryczność wcielają się w otaczającą materyę, a poczęści zostają w atomach, tak w reakcyi społecznej moralność, piękno, przebiegliwość, prawo i t. d. poczęści zostają w jednostkach, a poczęści wcielają się w materyę, dając miejsce wytworom przemysłu, handlu, sztuki, umysłowości, kodeksom prawa, moralności i t. d.

Ale w jednym i w drugim wypadku energie, tak wydzielone, są tylko koniecznym warunkiem dla dopięcia przez agregat równowagi, t. j. największego zaspokojenia. Równowaga ta w reakcyi

---

[1]) Por. Nadaillac: „L'anthropophagie". Revue des deux mondes, 1884. Zauważymy z tego względu, iż Paweł d'Enjoy ogłosił niedawno w „Revue scientifique" (1898) pracę, według której pocałunek jest śladem ludożerstwa, gdyż analiza ruchów mięśni, dokonywanych przy całowaniu, pokazuje, iż mamy tu do czynienia z resztkami chłeptania i cmokania krwi, które człowiek niegdyś wykonywał na wielką skalę—czem wyrażała się jego żywiołowa miłość, przyciąganie ludzi, chęć jak najbliższej ich asymilacyi.

[2]) Montegazza: L'amour dans l'humanité.

chemicznej wyraża się w pewnych formacyach ostatecznych, w pewnym rozkładzie materyi, który się już samodzielnie nie zmienia, w pewnym stanie najtrwalszym materyi, np. w pewnej formie krystalizacyi, tak samo w reakcyach społecznych ich momenty względnej równowagi, stany najtrwalsze materyi wyrażają się w formach rodziny i własności. Cała produkcya, cała twórczość we wszystkich ich formach są tylko ruchami agregatu, prowadzącymi do równowagi, zapewniającej największe dobro, t. j. do tych względnie stałych, w których odbywa się reprodukcya gatunków. Reprodukcya gatunków i osobników czyli nieśmiertelność fizyologiczna jest więc największem dobrem osobniczem i gatunkowem—wszystko do niej dąży [1]): wszystko ma wartość tylko o tyle, o ile do tego celu współdziała.

Ponieważ rozwój społeczny jest równowagą ruchomą, można powiedzieć, iż ma on na celu reprodukcyę ras, reprodukcyę, która się odbywa niezmiennie, postępowo lub regresyjnie, odtwarzając bądź też same rasy, bądź ulepszone, bądź pogorszone. Każdy punkt równowagi społecznej jest więc kołem zamkniętem przyciągań pomiędzy mężczyznami a kobietami, między nimi a pokarmem, cyklem, który wraca wciąż do punktu wyjścia—przyczem przyciągania te odbywają się za pomocą różnych form energii biologicznej, pochodzących z głodu i miłości. Ta energia przebiega cykl przemian stały i niezmienny o tyle, o ile rasy i pokarmy pozostają ilościowo i jakościowo niezmienne. Inaczej mówiąc, formy i organizacya pracy, formy prawne, moralne, estetyczne, polityczne, umysłowe i t. d., które są tylko środkami, służącymi do reprodukcyi gatunków, t. j. przyciągania automatycznego pomiędzy materyą ożywioną a nieożywioną, muszą się przystosowywać do warunków normalnych tego przyciągania, t. j. rozpodziału i spożycia kobiet i pokarmów — inaczej mówiąc do form własności i rodziny.

---

[1]) Dowodem tego jest ta okoliczność, iż *keimplasma* odznacza się w ciągu tysiącoleci niezmiennością; gdy wszelka inna materya w organizmie (Plasma somatyczna) bądź w otoczeniu naturalnem, bądź sztucznem podlega zmianom bezustannym, tylko keimplasma, materya rozrodcza każdej rasy, jest względnie niezmienną. Dlatego też wszystkie inne objawy biologiczne i społeczne można uważać za chwilowe i przejściowe, i tylko transmisya życia, keimplasmy, ma charakter trwałości, a więc ona może być uważaną za zjawisko zasadnicze, od którego inne zależą i do którego się zastosowują. Inaczej mówiąc, może być uważana za ich „cel" i źródło. Istotnie, niejednokrotnie pokazywaliśmy, jak z energii gatunkowej wszelkie inne wypływają. Ona więc przedstawia największą użyteczność, czyli dobro—wszelkie zaś inne energie społeczne są tylko jej częściami.

Są to formy zasadnicze, zależne tylko od natężenia energii biologicznej ras i ilości pokarmów. Co się tyczy innych form społecznych, to one wchodzą, jako części składowe, we własność i rodzinę, t. j. społeczne formy miłości i głodu. Własność i rodzina zależą same od rasy, od środka naturalnego i sztucznego (narzędzi) i zmieniają się wraz ze zmianami, zachodzącemi w jednym z tyc hczynników, wywołując *par repercurssion* odpowiednie zmiany w swych częściach składowych, t. j. w innych formach społecznych.

Od rasy, techniki i środowiska, t. j. od natężenia energii biologicznej ras składowych agregatu, i od ilości pokarmów zależy oczywiście forma kryształów społecznych (własności i rodziny), a zatem i ilości energii, wydzielającej się w samym procesie krystalizacyi, t. j. we wszelkiej działalności ekonomicznej, moralnej, naukowej, estetycznej i t. d., które dążą tylko do reprodukcyi rasy i zasadniczych form społecznych i do nich się zastosowują.

Forma krzywej, przedstawiającej podział bogactw (między innemi niewolników, chłopów pańszczyźnianych i robotników) i kobiet między posiadaczami, zależy, jak to wiemy (por. „Teoryę rodziny i własności". „Ateneum", październik r. 1899), z jednej strony od natężenia energii osób, które między sobą bogactwa te dzielą, z drugiej zaś od ilości samej tych bogactw. Jeżeli zachodzi zmiana bądź w natężeniu względnem energii życiowej posiadaczy, np. pod wpływem krzyżowania, wytępiania jednych ras przez drugie, albo też dlatego, iż wyższe warstwy wyczerpują się w rozwoju społecznym i znikają, bądź w ilości bogactw (rzeczowych i osobowych), gdy one np. wzrastają liczebnie szybciej lub wolniej, niż ilość posiadaczy, bądź też we wpływie skombinowanym obydwu tych przyczyn, to krzywa podziału bogactw i kobiet, t. j. forma, struktura zasadnicza kryształów społecznych się zmienia, a wraz z nią i wszystkie stosunki, formy i rodzaje działalności pochodne, jak ekonomiczne, polityczne, prawne, naukowe etc., które z zasadniczej struktury społecznej, z własności i rodziny, wypływają i do niej wciąż się zastosowują.

Jeżeli dwa społeczeństwa posiadają po 100 jednostek energii, ale jedno z nich poświęca 70 jednostek na zaspokojenie głodu i 30 na zaspokojenie miłości, drugie zaś po 50 na każdą z tych potrzeb, będą one miały dwie rozmaite metody ogólne transformacyi energii i dwie różne struktury ogólne. Jeżeli pierwsze rozpodziela 70 jednostek powyższych w ten sposób, iż 40 z nich użyte zostaje na pracę ręczną, 10 na umysłową, 10 na moralność, 5 na estetykę i 5 na prawo —wszystkie te wydatki cząstkowe są oczywiście składowymi su-

my ogólnej, działającymi w aparatach szczególnych, które są zastosowane do struktury ogólnej społeczeństwa i funkcyonują pod jej kierownictwem i są w zależności od niej.

Jeżeli w tem samem społeczeństwie ogólna suma energii się zmienia (ze 100 wzrasta do 110 lub opada do 90), to może wywołać zmianę odpowiednią we wszystkich energiach specyalnych, skierowanych na zaspokojenie potrzeb odrębnych. Jeżeli natomiast jedna z pomiędzy energii specyalnych, np. estetyczna zmienia się ilościowo, energia ogólna może pozostać niezmienną, a tylko specyalne uledz odpowiedniemu przemieszczeniu, niektóre mogą zniknąć, albo też nowe się pojawić.

Jak ogólna energia społeczna rozpodziela się pomiędzy dwie potrzeby zasadnicze, które obejmują, jako części składowe, potrzeby drugorzędne, również te ostatnie mogą obejmować swoją drogą potrzeby trzeciorzędne i t. d. Istnieje więc hierarchia potrzeb i każda z nich ma swą sferę działalności, ściśle określoną przez ilość energii społecznej, naznaczoną na jej zaspokojenie. Każda z tych potrzeb i energii ma aparat specyalny, za pomocą którego funkcyonuje. Weźmy układ społeczny zamknięty, zawierający 100 jednostek energii, które na zasadzie prawa niezniszczalności energii nie mogą być ani zwiększone, ani zmniejszone, w układzie zamkniętym, wyjętym z pod wszelkich wpływów zewnętrznych. Energia ta podzielona jest pomiędzy różne aparaty specyalne, w których przybiera formy odrębne energii ekonomicznej (40 jednostek), politycznej (10), moralnej (10), estetycznej (5) i t. d. Każda z tych energii, zawartych w danym aparacie profesyonalnym, zmieszana jest naturalnie ze wszystkimi innymi jej rodzajami, gdyż niema zawodowców czystych, i może się zamieniać jakościowo na wszelkie inne rodzaje, ale ilościowo w układzie niezmiennym i zamkniętym pozostaje tąż samą.

Przypuśćmy, iż jakaś przyczyna zewnętrzna wywołuje zmianę w jednym z tych aparatów; ruch ten rozejdzie się natychmiast po wszystkich pozostałych, wywołując reakcyę, zależną od ilości energii, którą każdy z nich zawiera. Błędem więc jest wyobrażać sobie, jak to czyni De Greef [1]), społeczeństwo, jako piramidę, gdzie w podstawie znajduje się aparat ekonomiczny, nad którym wznosi się nadbudowa rodzinna, prawna, moralna, estetyczna, polityczna i t. d., przyczem akcya może wrzekomo zawsze tylko pochodzić od podsta-

---

[1]) De Greef. Introduction à la Sociologie vol. II, str. I.

wy, a z górnych warstw może przechodzić tylko reakcya, a ta ostatnia ma być słabą i nieznaczną. Nie, reakcya zawsze jest równą akcyi, społeczeństwo należy raczej wyobrażać sobie, jako zbiór aparatów, ustawionych kołem, gdzie ze wszystkich stron ciągle odbywają się akcye i reakcye, które dążą bezustannie do wzajemnego zrównoważenia się, tak, że akcya każdego aparatu wywołuje zawsze równoznaczną reakcyę wszystkich pozostałych. Istnieje tylko różnica w ilości akcyi, wychodzącej z każdego aparatu i w ilości reakcyi, wywołanej we wszystkich pozostałych.

Każda z tych potrzeb wpływa na wszelkie inne prawem reakcyi w sposób, wyżej określony, ale wszystkie razem zależą od zasadniczej struktury społecznej, od form własności i rodziny, t. j. od krzywej podziału bogactw i kobiet, które swoją drogą zależą od ras, narzędzi i natury. Zmiany, zachodzące w jednym z tych czynników zasadniczych, wywołują odpowiednie zmiany w ogólnej strukturze społecznej, a także w potrzebach podrzędnych, ale zmiany niezależne, zachodzące w tych potrzebach na strukturę ogólną wpływu nie mają w układach zamkniętych, chyba o tyle, o ile odbywają się jednocześnie z jaką gruntowną zmianą w warunkach zasadniczych. Tak np. jeżeli rozwój jakiej społecznej potrzeby, ekonomicznej lub naukowej, spotyka się z wystąpieniem jakiejś genialnej potęgi rasowej, to w rezultacie możemy otrzymać jakieś odkrycie, wynalazek, narzędzie, które w kombinacyi z innymi czynnikami zasadniczymi może wywołać lub nie wywołać zmianę w strukturze zasadniczej społeczeństwa. Zawsze w tych razach musi być wyładowanie jakiejś wyższej potencyonalnie energii rasowej. Inaczej jednak rzeczy się mają w układach społecznych otwartych [1]). Gdyby nie zachodziło zmian w warunkach naturalnych otoczenia danej grupy, w jej składzie rasowym, gdyby nie objawiały się dzięki temu żadne nowe siły biologiczne potencyonalne, w formie jej geniuszów i talentów, i gdyby tą drogą nie powstawały żadne nowe odkrycia, to dana grupa wciąż reprodukowałaby też same rasy i pokarmy i przechodziłaby wciąż też same cykle energii biologicznej kinetycznej, prowadzące ku temu celowi, dając równowagę względnie niezmienną.

---

[1]) W układach otwartych, znajdujących się z sobą w komunikacyi, wpływy wzajemne są daleko bardziej skomplikowane: dany układ może istotnie korzystać z wynalazków i odkryć, poczynionych przez układy sąsiednie. Ale tego rodzaju wpływy pomiędzy układami kierowane są przez prawa termodynamiki, do których w następnym rozdziale przechodzimy.

Równowaga zmienna czyli rozwój społeczny może się odbywać tylko dzięki zmianom w tych warunkach zasadniczych.

Wszystko, co powiedziano wyżej, możemy przedstawić w sposób jeszcze treściwszy.

Jeżeli mamy cały szereg maszyn różnej wydajności, to, chcąc otrzymać maksymalny ich rezultat pod względem energii, należy podzielić paliwo nie na równe części pomiędzy niemi, lecz tak, by maszyny bardziej wydajne otrzymywały odpowiednio do swej wydajności więcej paliwa. Otóż, ponieważ każdy układ, a więc i każdy układ społeczny dąży automatycznie do *maximum* energii, możebnego w danych warunkach, więc w każdym takim układzie dobra materyalne i kobiety rozdzielają się pomiędzy mężczyznami odpowiednio do natężenia ich energii biologicznej. Ponieważ jednak tu chodzi nie o oddzielne jednostki, lecz o całe ich szeregi o jednakowem natężeniu energii biologicznej, więc podział bogactw i kobiet odbywa się najprzód między rozmaitemi rasami i klasami, z ktorych społeczeństwo się składa, — przyczem jedna rasa może być przedmiotem podziału dla drugiej— a następnie między osobami każdej klasy i rasy odpowiednio do różnic indywidualnych, które one przedstawiają w natężeniu swej energii. Rozumie się, te rozmieszczenia, dążące do pewnych krystalizacyi, istniejących form rodziny i własności, nie mogą się odbyć bez starć i wydzieleń energii poszczególnych, stanowiących produkcyę społeczną i całość form psychicznych, które jej odpowiadają, jak ideały, myśli, wierzenia i wogóle środki „tresury". W ten sposób w rezultacie krystalizacyi społecznej otrzymuje się reprodukcya rasy, t. j. odnowienie—bądź częściowe osób, bądź całkowite (w dzieciach) gatunków, a w rezultacie poprzedzających tę krystalizacyę objektywnych przekształceń energii [1]) otrzymuje się tresura tych gatunków i składających je osób. Dodajmy wreszcie, iż źródłem pierwotnem tych krystalizacyi jest przyciąganie, istniejące między spermatozoidami a jajeczkami, a także między gatunkami a materyą otoczenia, służącą dla ich restauracyi. I to tylko, by równowaga tych przyciągań, dążąca do reprodukcyi gatunku, mogła się ustanowić, ma miejsce cały szereg niezbędnych przekształceń energii, stanowiących całość instytucyi społecznych. A widzieliśmy skąd inąd, jak z głodu i miłości powstają wszystkie inne potrzeby ludzkie. Widzimy więc, jak w na-

---

[1]) które, jak zobaczymy w dalszym ciągu, odbywają się na zasadzie praw termodynamiki.

szym systemie wszystko jest ściśle związane: prawo przekształcenia energii biologicznych podlega prawu reprodukcyi gatunków—mającemu źródło w przyciąganiach biologicznych—i z niego nawet wypływa, tak samo, jak przekształcenia energii i ruch w świecie fizycznym mają swe źródło w ciążeniu powszechnem. Co się tyczy samego przyciągania biologicznego, to ono postępuje drogą najmniejszego wysiłku, dążąc ku urzeczywistnieniu maksymalnej w danych warunkach energii. Społeczeństwo jest więc koniec końców instytucyą, mającą na celu hodowlę rasy ludzkiej w sposób najlepszy, jaki tylko przy istniejących każdorazowo warunkach urzeczywistnić się daje. Nie wypada stąd bynajmniej, by rasy miały się wciąż doskonalić. Bynajmniej. Warunki zmienne otoczenia mogą, przeciwnie, wymagać, aby one się cofały. Jak dobry hodowca niezawsze hoduje najlepsze rasy, przewidując, iż te z czasem nie będą miały paszy, że natomiast dla gorszych zawsze będzie jej miał poddostatkiem—wówczas woli hodować te ostatnie, przystosowując się do warunków, tak samo prawo maksymalnej energii powiada nam tylko, iż istnieje doskonałe przystosowanie się do warunków, doskonałe równoważenie się sił w celu otrzymania najlepszej w danych okolicznościach rasy. I jak gospodarz, planowo prowadzący hodowlę, wprowadza wszystkie warunki dogodne lub szkodliwe tylko, jako odpowiednie pozycye pieniężne, w ogólny swój budżet i w cenę ostateczną swego bydła, tak samo zupełnie ma prawo postępować mechanika społeczna, rozpatrując wszystkie energie kosmiczne tylko z punktu widzenia energii biologicznej ras, ich szkody lub korzyści, inaczej mowiąc, zajmując się tylko tą ostatnią [1]).

Zastosowanie termodynamiki.

Energia społeczna podlega w swych przekształceniach tym samym prawom, co i energia kosmiczna. Są to prawa termodyna-

[1]) A więc nawet gleba, klimat i inne warunki otoczenia mogą być objęte w ogólnej naszej rachunkowości społecznej, jako pewne pozycye pieniężne. Tak, każdy hodowca rozpatruje grunt, na którym jego zakład się znajduje tylko, jako pewną wartość, która w cenie ostatecznej jego bydła zwróconą mu być musi. Zupełnie w ten sam sposób mamy prawo rozpatrywać wszelkie bez wyjątku wpływy otoczenia, jak choroby, klęski z jednej strony, dobre urodzaje i t. p. z drugiej, t. j. tylko o tyle, o ile dodatnio lub ujemnie wpływają na cenę ostateczną rasy. Tu widzimy zupełnie jasno, iż mamy prawo, a nawet obowiązek sprowadzić w mechanice społecznej wszystkie energie kosmiczne tylko do równoznacznych im energii biologicznych i że w rezultacie przy obliczeniach ilościowych tylko temi ostatniemi powinniśmy się zajmować.

miki. Przedstawiamy sobie hordę pierwotną, jako układ materyalny w ruchu, przyczem siłami, wywołującemi ruch, są głód i miłość. I jak kula armatnia, spotykając przeszkody, zamienia całą energię ruchu masy na energię wewnętrzną ciepła, światła, elektryczności i t. d., również ruch mas społecznych, napotykając przeszkodę ze strony natury otaczającej lub innych hord ludzkich, zamienia się na potrzeby ekonomiczne, polityczne, prawne, moralne, estetyczne, religijne i umysłowe. Ma tu miejsce przekształcenie energii ruchu mas społecznych na energie wewnętrzne, psychiczne, przyczem ogólna suma energii układu zamkniętego pozostaje niezmienną.

Przekształcenie to odbywa się zresztą bezustannie w każdym układzie społecznym, każdemu ruchowi mas fizycznych towarzyszy produkcya ciepła, a każdemu ruchowi mas społecznych towarzyszy produkcya energii psychicznych. Tu więc można zastosować pierwszą zasadę termodynamiki, zasadę równoznaczności R. Mayera.

Weźmy dla przykładu obrót w wodzie koła, zaopatrzonego w łopatki. Cała praca, wydana przy obracaniu koła, zamienia się, jak wiadomo, na ciepło. W końcu doświadczenia, gdy woda powraca do swej temperatury początkowej i gdy obrót koła ustaje, cały system powraca do swego stanu początkowego. W tych warunkach tożsamości stanu początkowego i ostatecznego rzec można, iż cała praca, wydatkowana na W, zamieniła się na ilość ciepła Q, i znajdujemy wówczas stosunek $W = EQ$, przyczem $E = 425$, jest równoznacznikiem mechanicznym jednej kaloryi.

Można stąd wnioskować, iż $\frac{W}{Q} = E$, co znaczy, iż stosunek dwu energii, wzajemnie przekształcanych, jest wielkością stałą, przypuczając jednak tożsamość stanu początkowego i ostatecznego [1]). Zastosowanie tej zasady do układów społecznych może oczywiście być dokonanem tylko w sposób ogólny i filozoficzny. Nie może ona już teraz służyć za podstawę dla wymiarów energii społecznych

---

[1]) Przypuśćmy natomiast, iż stwierdzono różnicę między stanem początkowym a końcowym, w takim razie cykl będzie uważany, jako otwarty. Stanem układu w danej chwili nazywamy całośc warunków i wielkości, które określają związek procesów i zmian jego. Stan ten określony jest przez pewną ilość zmiennych niezależnych, których jest funkcyą. Np. stan gazu może być określony przez ciśnienie p i objętość v. Przypuśćmy, iż gaz pewien powraca od stanu A_1 po przejściu przez szereg zmian do stanu początkowego A. Jeżeli w przebiegu tego cyklu zamkniętego zmian praca (zastosowana z zewnątrz) zmienia się na ciepło lub odwrotnie, ciepło na pracę, mamy $EQ - W = 0$.

Rozważmy teraz gaz ten w stanie C, który znajduje się w przebiegu cyklu

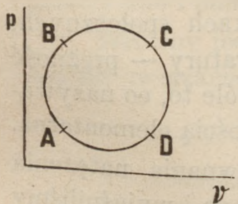
i stóp ich przekształceń. Mówiąc o tych „Przekształceniach" [1]), pokazaliśmy, jak każdy ruch mas społecznych zamienia na stany duchowe i potrzeby. Ale najważniejszą sprawą byłoby odnalezienie równoznaczników ilościowych tych przekształceń. Otóż układy społeczne przedstawiają złożoność olbrzymią i nadto powracają w fazach ostatecznych do stanów pierwotnych, a zresztą o eksperymentacyi dowolnej mowy jeszcze być nie może, niepodobna więc jeszcze zastosować metod ilościowych, wychodząc z pierwszej zasady termodynamiki i ze sposobów, używanych dla jej sprawdzenia, i będziemy musieli w tym celu szukać sposobów postępowania innych, przedstawiających jednak wielką analogię w gruncie z zasadą Mayera.

Z punktu widzenia filozoficznego zasada ta jest nader ważną, gdyż pozwala nam klasyfikować w sposób ogólny potrzeby: należy oczywiście umieścić u podstaw potrzeby najgrubsze i najbrutalniejsze, odpowiadające im działalności, ekonomiczną (wraz z pochodzącą od niej wojenną) i reprodukcyjną, które przedstawiają prawdziwe ruchy zewnętrzne mas społecznych, hord, ras, ludów, płci i t. d. Z tych ruchów pochodzą stany wewnętrzne, jednostkowe, delikatniejsze, przedstawiające potrzeby, coraz bardziej wyrafinowane.

Lecz jeżeli odbywa się przekształcenie ruchów mas społecz-

---

zamkniętego operacyi i który określony jest przez wartości p_c i p_v zmiennych niezależnych. Mamy tu oprócz przekształceń energii (np. pracy na ciepło) zmianę samegoż układu. Nie jesteśmy już w prawie pisać EQ — W = 0, ale musimy pisać EQ — W = U, gdzie U jest pewną wielkością dodatnią lub ujemną. Zamknijmy teraz cykl i wróćmy do stanu A, przechodząc D. Jeżeli wielkość U jest funkcyą zupełnie określoną stanu C, t. j. zmiennych p_c i p_v, wartość jej nie zależy bynajmniej od drogi, jaką jej dopięliśmy. Istotnie, jeżeli drogą ABC, jest ona U, to drogą CDA jest ona = — U, gdyż, wracając do A, mamy EQ — W = U — U.



Inaczej mówiąc, wielkość A nie zależy od drogi, jaką jej dopniemy, ale od wartości, jakie przybierają zmienne w stanie C. Tu wartość U nazywa się *energią wewnętrzną* układu. Tu energia układu materyalnego, t. j. jego zdolność wykonania pracy w danym stanie jest całością wszystkich czynności wymierzalnych mechanicznie, które układ dany jest w stanie wywołać na zewnątrz, przechodząc drogą dowolną od stanu danego do innego, który uważamy konwencyonalnie za stan O (W. Thomson). Ponieważ U = EQ — W, mamy także dU = EdQ — dW, albo też EdQ = dW + dU, t. j. ciepło, użyte w układzie, równe jest sumie znian, zachodzących w energii wewnętrznej i w pracy dokonanej.

[1]) „Ateneum". Kwiecień, 1898.

nych na energie psychiczne, to oczywiście ma także miejsce odwrotne przekształcenie stanów psychicznych na pracę zewnętrzną. Masy społeczne, hordy pierwotne poczynają od tego, iż rzucają się jedne na drugie w sposób brutalny, prowadzone głodem i miłością. Z pracy tych sił i z uderzeń mas pochodzą energie wewnętrzne, coraz bardziej wydelikacone. I te właśnie potrzeby charakteru coraz bardziej umysłowego zaczynają swoją drogą przekształcać się na ruch mas i ich pracę lub budzą przynajmniej, wywołują ten ruch i przez to samo—a także dla innych powodów, o których mowa w dalszym ciągu—kierują tymi ruchami. W ten sposób każda potrzeba (jakiejkolwiekbądź natury) może stać się źródłem ruchu społecznego i pracy również, jak ciepło przekształca się na pracę.

Warunki tego przekształcenia dane nam są przez drugą zasadę termodynamiki, przez zasadę Carnota. Gdy chcemy zamienić ciepło na pracę mechaniczną, zjawia się pytanie, ile jedna kategorya może dostarczyć pracy w danych warunkach. Weźmy dla przykładu gaz, zawarty w cylindrze T i zwiążmy go z dwoma zbiornikami, jednym o temperaturze T_1, wyższej od T, i drugim T_2, niższej od T. Doświadczenie pokazuje, iż ta operacya pozwala nam dokonać pracy, która się odbywa jednocześnie ze zmianą, zachodzącą w układzie gazu i 2 zbiorników i polegającą na dążeniu temperatury obu zbiorników do zrównania i do przyjęcia temperatury pośredniej między T_2 a T_1. Ta zmiana, towarzysząca wytwarzaniu się pracy przez ciepło, związana jest oczywiście z istnieniem różnicy w temperaturze.

Absolutnie to samo dzieje się w zbiorowiskach społecznych: rolę ciepła gra tu energia psychiczna, rolę temperatury — prężność czyli natężenie tej energii, natężenie potrzeb, wogóle to, co nazywamy w ekonomii politycznej rzadkością, użytecznością elementarną.

Widzieliśmy [1]), iż istnieje dążność do wyrównania natężenia energii kinetycznej różnych agregatów społecznych i wyjaśniliśmy poczęści tą dążnością walkę klas. Obecnie widzimy, iż odbywa się to w myśl zasady Carnota. Istotnie wszędzie, gdzie istnieje w społeczeństwie jakaś różnica w natężeniu potrzeb i przyjemności, dąży ona do wyrównania się, wywołując walkę, t. j. konkurencyę i pracę. Społeczeństwo jest rozpatrywane przez nas, jako mechanizm, jego różne części składowe są przyrządami, maszynami, zbiornikami i t. d.;

---

[1]) „Ateneum". Kwiecień, 1898. „Dynamika społeczna".

takiemi są właśnie różne instytucye i organizacye społeczne. Różnica w natężeniu potrzeb i przyjemności różnych klas, kast, rzemiosł, organizacyi i instytucyi społecznych jest źródłem ich walki i pracy, którą wykonywają. Wszędzie istnieje tu dążność zamiany wszystkich różnic w natężeniu potrzeb na pracę cywilizacyjną — a celem ostatecznym tego procesu jest doskonała równowaga i nieruchomość.

Widzieliśmy także [1]), iż natężenie potrzeb związane jest z rasą, a raczej, że różnice rasowe są pierwszem źródłem różnic w natężeniu potrzeb—czyli z potencyałem biologicznym, który sam podlega w procesie temu obniżeniu, wyrażającemu się zanikiem w układach społecznych zamkniętych ras wyższych. Ale powróćmy do naszego doświadczenia [2]). Udzieliliśmy najprzód gazowi ilości ciepła Q (t. j. $T_1 - T$), a następnie zabraliśmy mu ilość Q_2 (t. j. $T - T_2$). Zamieniliśmy więc na pracę mechaniczną ilość ciepła $Q_1 - Q_2$, która odpowiada obniżeniu temperatury $T_1 - T_2$. Możemy więc powiedzieć, iż praca użyteczna, która może być dostarczoną przez jedną kaloryę, jest proporcyonalną do różnicy temperatur [3]). Rolę temperatury w układach społecznych gra, jak wiemy, natężenie potrzeb, które—poucza nas o tem ekonomia matematyczna — jest mierzone za pomocą cen. Im większą jest różnica pomiędzy cenami dwu układów społecznych, tem żywszemi są między nimi wymiany, a zarazem produkcya i praca, z nich wypływające. Widzimy więc, iż zasada Carnota może znaleźć nader rozległe zastosowanie do nauki społecznej, a głównie, iż służy ona za podstawę do wymiarów ilościowych. Istotnie, mierzymy wszystkie energie społeczne i wszystkie dobra materyalne i niemateryalne jedynie za pomocą ich ceny [4]).

Wróćmy jednak do termodynamiki i pojęcia *odwrotności* (*reversibilité*) związanego z zasadą Carnota [5]). Jeżeli podczas całego cyklu

---

[1]) „Ateneum", ibidem.

[2]) Zauważmy, iż ilość ciepła, zawarta w ciele naszem o temperaturze T, równą jest Tm, jeżeli ciepło gatunkowe ciała = 1. Również ilość energii biologicznej kinetycznej, zawartej w agregacie społecznym, zależy od jego masy czującej m, od natężenia potrzeb T i od rasy.

[3]) Możemy istotnie napisać $\frac{Q_1 - Q_2}{Q_1} = \frac{T_1 - T_2}{T_1}$, albo też $\frac{Q_1}{T_1} = \frac{Q_2}{T_2} - 0$.

[4]) Por. „Energię społeczną" w „Ateneum". Maj, 1899.

[5]) Jeżeli przypuścimy, iż ilości ciepła, które się przekształcają, są nieskończenie małe, możemy napisać $\frac{dQ_1}{T_1} = \frac{dQ_2}{T_2} = 0$, lub wreszcie, sumując wszystkie

przekształceń akcye i reakcye są równe, to oczywiście zebranem zostaje *maximum* pracy użytecznej, możebnej w danych warunkach, i jesteśmy także w obecności szeregu stanów, które zbliżają się w sposób nieokreślony do równowagi obojętnej. W tym wypadku proces może być każdej chwili odwrócony za pomocą wydatku pracy, wziętego w ilości tak nieznacznej, jak tylko zechcemy. Można więc w takim cyklu zamieniać ciepło na pracę w jednym kierunku procesu albo też odwrotnie—pracę na ciepło. Można więc powiedzieć: *maximum* pracy użytecznej zdobytem zostaje, gdy opór maszyny równy jest sile poruszającej w ten sposób, iż opór ten każdej chwili stać się może, swoją drogą, siłą poruszającą.

Zasada ta objaśnia nam masę zjawisk życia społecznego. Stosunki Anglików i ludów afrykańskich przedstawiają cykl nieodwracalny. Anglik wydaje siłę nerwową, która zamienia się na ruch, na pracę ludów niższych. Otóż te ostatnie nie mogłyby wypełnić funkcyi Anglików i dać impuls konieczny, nawet w przypuszczeniu, iż ci ostatni mogliby wziąć na siebie pracę grubszą wykonania. Tymczasem w stosunkach między Anglikami a Niemcami takie odwrócenie stosunków jest każdej chwili możebne. W tym ostatnim wypadku mamy cykl prawie zupełnie odwracalny — dzieje się tak między ludami, znajdującymi się na równym szczeblu rozwoju cywilizayi — który dąży do *maximum* swej wydajności, ale zarazem do powstrzymania ruchu, do równowagi obojętnej.

Wszystkie stosunki pomiędzy ludami, nierównymi w natężeniu sił, zaczynają się cyklami nieodwracalnymi, jednostronnymi, w ekonomii, polityce, sztuce, literaturze i t. d. Jest to wpływ silniejszego na słabszego, wpływ, noszący charakter monopoliczny, niema więc tu *maximum* możebnej wydajności: ekonomia polityczna pokazuje nam, iż, gdzie istnieje monopol, tam istnieje pewne *maximum*, ale nie takie, jakie przy swobodzie odwracalności stosunków ustanowić się musi, gdyż tu wydajność dochodzi do *maximum maximorum*.

Ale każdy proces pochodzi naturalnie — w myśl zasadniczego prawa mechaniki o *maximum* energii — od cyklów nieodwracalnych do coraz bardziej odwracalnych, i zdobywamy wówczas wydajność coraz znaczniejszą, dążącą do tego *maximum maximorum* i zarazem

---

terminy odnośne do wszystkich przejść stopniowych i nieskończenie drobnych ciepła: $\Sigma \frac{dQ}{T} = 0$, suma ta lub całka roztacza się na cały cykl od stanu początkowego do ostatecznego tożsamego z pierwszym. Zwykle, też pod tą formą przedstawianą zostaje druga zasada termodynamiki.

do swego zaniku, gdy ruch wraz z nastaniem równowagi obojętnej ustaje. To objaśnia nam, czemu stosunki między starszymi a młodszymi stają się coraz obojętniejsze w miarę tego, jak pokolenia te umysłowo stają się coraz równiejsze, jak jedno od drugiego nic już korzystać nie może, a także stopniowy rozwój stosunków międzynarodowych pomiędzy ludami. Zależność jednych od drugich zamienia się stopniowo na równość, obojętność i zerwanie stosunków (Rosya i Szwecya przy Piotrze Wielkim). Widzimy taki sam rozwój w stosunkach między literaturą niemiecką a francuską klasyczną, albo też w rozwoju całej polityki kolonialnej (np. Stany Zjednoczone i Anglia), która przebiega zwykle trzy fazy następujące: zależności, zbliżania się do równości z rosnącą wciąż wydajnością obustronną i wreszcie obojętności—zmniejszania wydajności i zerwania stosunków albo też ustanowienia stosunków przyjacielskich na stopie równości.

Jeżeli przejdziemy do stosunków wewnętrznych każdego narodu, znajdziemy to samo. Praca użyteczna czyli rozwój cywilizacyi nie dochodzi do swego *maximum*, dopóki urzeczywistnione nie zostają warunki równowagi obojętnej i cyklu odwracalnego. Tak np. w społeczeństwach przeszłości, opartych na kastach i klasach, ściśle oddzielonych od siebie, na zamkniętych cechach i t. p., cykle przekształcenia energii były daleko mniej odwracalne, niż w społeczeństwach obecnych, opierających się na wolności zajęć, na wolnem współzawodnictwie i t. d. Dlatego też rozkwit cywilizacyi jest daleko znaczniejszy w demokracyach współczesnych, równościowych, niż w państwach Europy średniowiecznej i starożytnej, opartych na przywilejach. I odwrotnie, można powiedzieć, że, ponieważ w myśl najwyższej zasady mechaniki agregaty społeczne dążą automatycznie do maksymalnej swej wydajności, systemy o cyklach nieodwracalnych, jak niewolnictwo, pańszczyzna, arystokracya, cechy i t. d. zamieniają się na systemy o cyklach odwracalnych, opartych na swobodzie i wolnej konkurencyi. Takie jest objaśnienie z punktu widzenia mechaniki postępu wolności we wszystkich dziedzinach życia społecznego i zaniku wszelkich przewilejów i monopolów.

Ale dlatego też, im bardziej się zbliżamy do tego ideału urzeczywistnienia w społeczeństwie maksymalnej jego energii, tem bliżsi jesteśmy jego równowagi ostatecznej, końca cywilizacyi i nieruchomości. Carnot i Clausius sformułowali to w prawie następującem: „w przekształceniach układu zamkniętego istnieje pewna

wielkość, która wzrasta bezustannie, i, gdy ona jest możliwie największą, przekształcenia układu ustają" [1]).

Zauważmy, iż cykle zupełnie odwracalne [2]) uważane są nawet w termodynamice za czysto idealne, niemożebne do urzeczywistnienia. Jeszcze w większym daleko stopniu można to samo powiedzieć o układach społecznych: teoretycznie mówiąc, w układach, opartych na swobodzie zajęć, każdy powinien mieć możność zmieniać dowolnie swe położenie i zyskać w jednem to, co w drugiem utracił (tak np. kupujący czuje się wyzyskiwanym przez kupca i dla powetowania sobie straty sam staje się kupcem). Ale też wolność wyboru położeń jest w rzeczywistości nader ograniczoną, skąd już pochodzą wielkie straty energii, do których należą jeszcze i te, co znane są, jako „*faux frais du production*". Dodajmy wreszcie, iż wolna konkurencya idealna nigdy urzeczywistnioną nie była i że społeczeństwa, nawet najbardziej rozwinięte, opierają się na monopolach – chociażby wielkich majątków—i na prerogatywach, a zrozumiemy, jak olbrzymie są straty nieprodukcyjne energii społecznej.

Pomiędzy innemi zastosowaniami drugiej zasady termodynamiki do zjawisk społecznych godnem uwagi jest następujące: jak nie można bez wydatku pracy przeprowadzić ciepła z ciała stosunkowo zimnego na ciało stosunkowo gorące, również w układach społecznych promieniowanie energii psychicznej odbywa się w jednym też tylko kierunku: z układów, gdzie natężenie tej energii jest wyższe, na układy, gdzie ono jest niższe, a nie odwrotnie.

To przekształcenie energii społecznej, odbywające się w jednym też tylko kierunku, objaśnia nam charakter obowiązkowy kierowniczych instytucyi społecznych, jak państwo, prawo, moralność, religia i t. d. Istotnie w układach społecznych mamy zwykle conajmniej dwie klasy, różniące się wiekiem (ludzie dojrzali i młodzież), wiedzą (kapłani, uczeni i lud), siłą fizyczną (wodzowie i członkowie hordy), bogactwem (zamożni i ubodzy) i t. d.—najczęściej jednak

---

[1]) Wielkość ta jest całką, która się nazywa *entropią* (o niej w dalszym ciągu).

[2]) Ilość pierwotna ciepła dzieli się na dwie części: 1) Q_1—Q_2, która się zamienia na pracę, i 2) Q_2, która pochłoniętą zostaje przez kondensatora. Dla przekształceń odwracalnych istnieje cykl odwrotny, w którym Q_2 może się zamienić na pracę i w której praca ta, dodana do ilości poprzedniej, zachowanej Q_1—Q_2 przekształca ponownie na ilość ciepła Q_1, którą odnajdujemy wreszcie w rezerwuarze ciepła lub ogniska.

wszystkie te warstwy współistnieją. We wszystkich tych wypadkach przekształcenie energii odbywa się tylko w ten sposób, iż ona przelewa się z jednostek i warstw o natężeniu energii wyższem na te, gdzie natężenie to jest niższem, i to określone przejście energii przybiera charakter wpływu, władzy, czaru, które warstwy wyższe wywierają na niższe. Bądź przybiera ono formę rozkazów, wydawanych z jednej strony, i posłuszeństwa z drugiej a także uczuć odpowiednich, jak dumy i wspaniałomyślności z jednej i szacunku lub potulności, strachu z drugiej strony. To znowu w tem jednostronnem przejściu energii psychicznej, należy szukać podstaw właściwych Kantowskiego „*kategorycznego Imperativa*". W grupach społecznych najpierwotniejszych nawet istnieje już różnica w natężeniu energii rozmaitych pokoleń, i wówczas już automatycznie ustanawia się zatem pewien porządek społeczny, pewna władza, pewne prawo zwyczajowe i pewna moralność, wprost dlatego, iż energia przechodzi z starszych pokoleń na młodsze, nie zaś odwrotnie, i że te ostatnie muszą wykonywać wolę tamtych. Ale właśnie dlatego, iż promieniowanie energii odbywa się w tym porządku, istnieje dążność do jej rozproszenia drogą wyrównania różnicy natężeń i aż do stanu równowagi obojętnej, w której wszelkie dalsze przekształcenia ustają. Na tem właśnie polega t. zw. rozproszenie *entropii* [1]), nowa funkcya, tak nazwana w termodynamice przez Clausiusa.

Charakter nakazujący etyki, prawa i t. d. nie przedstawia więc nic specyalnego, co wyłamywałoby się z pod praw mechaniki, i ow-

---

[1]) W warunkach zupełnej odwracalności druga zasada $\int \frac{dQ}{T} = 0$ jest punktem wyjścia nowego rozumowania. Jeżeli doświadczenie doprowadza nas do ustanowienia równania $\int_{o}^{o} \frac{dQ}{T} = 0$ dla cyklu zamkniętego i odwracalnego, to musi istnieć funkcya zmiennych niezależnych, której różniczka jest różniczką ścisłą. Inaczej mówiąc, $\frac{dQ}{T} = dS$, gdzie S jest funkcyą x i y tego rodzaju, iż dS będzie jej różniczką ścisłą względem x i y. Tę to funkcyę S Clausius nazywa imieniem *entropii*. Przedstawia ona pewną analogię z inną funkcyą U, wyrażającą energię układu. Istotnie, równie jak energia entropii, jest ona własnością ciał, zupełnie określoną przez wartości chwilowe zmiennych, a zatem może ona zawsze być przedstawioną zapomocą formuły, która wyraża ją w funkcyi tych zmiennych niezależnych. Jak dla energii, również wartość jej nie zależy od drogi, którą układ przechodził, zanim doszedł do stanu obecnego, w razie gdy nie chodzi o cykle zamkniętej operacyi. Można zawsze wyrazić entropię zapomocą równania $\frac{dQ}{T} =$ dS, ale tylko, rozumie się, w wypadku cyklu odwracalnego.

szem, oznacza on tylko, iż odnośne cykle przekształcenia energii są nieodwracalne albo przynajmniej nie absolutnie odwracalne. Ale ponieważ w biegu ewolucyi wszystkie cykle dążą automatycznie do odwracalności zupełnej, która zapewnia *maximum*, — charakter obowiązkowy i nakazujący odnośnych urządzeń społecznych powoli się zatracać i w tych dziedzinach także zaczyna panować dowolność. Energia promieniuje z klas wyższych na niższe aż do ustanowienia zupełnej równości natężeń, — oznacza emancypacyę polityczną, prawną, moralną i t. d. klas niższych. Ma to miejsce nietylko w społeczeństwie, ale i w rodzinie i w szkole, nietylko w całym biegu ich ewolucyi, ale i w każdem pokoleniu. Weźmy dla przykładu szkołę: energia przechodzi, w myśl zasady rozproszenia entropii, z nauczycieli na uczniów, dlatego też ci ostatni znajdują się pod władzą i w zależności od tamtych. Jest to cykl nieodwracalny, ale dąży do odwracalności. A więc w miarę tego, jak uczniowie wznoszą się po szczeblach hierarchii szkolnej i nabywają wiadomości, które przechodzą do nich ze strony naczycieli, stają się coraz bardziej niezależni, i wreszcie, wyssawszy z nauczycieli całą ich wiedzę, emancypują się zupełnie i chcą być traktowani na stopie równości. Stosunki te kończą się zwykle na obojętności—gdy stały się dla obu stron nieprodukcyjne i wydały już całą produkcyjność, jaką tylko mogły, albo też zawieszają się—a przedtem opierały się na zależności, wypływającej z różnicy natężenia egoizmów, tym warunku niezbędnym pracy użytecznej. Jak w termodynamice jednostajnie rozproszone ciepło nie może przejść w pracę użyteczną i ginie bezpożytecznie, tak w układach społecznych jednakowe natężenie egoizmów pracy użytecznej wydać nie może—musi w tym celu istnieć różnica w natężeniu energii biologicznej różnych jednostek i klas. Dodajmy jednak, że, jeżeli klasy i rasy, doszedłszy do zrównania egoizmów, czyli natężenia energii biologicznej, stają się niezdolne do dalszej walki i dalszego współpracownictwa, a przynajmniej tętno tej walki wciąż się zwalnia, to jednostki, należące do tych ras i klas, mogą jeszcze wciąż się różnić natężeniem swych energii, proces między niemi może trwać w dalszym ciągu. Zwłaszcza, że dwie jednostki, doszedłszy do zrównania na jednym punkcie, mogą się różnić na innym. Zresztą specyalizacya wytwarza coraz nowe różnice, tak, że pośród dwu jednostek, znajdujących się w stosunkach, jedna jest wyższą na jednym punkcie, druga na innym — i proces może trwać nieskończenie długo, a jednak z zanikiem walki klas i ras dzięki wyczerpaniu różnic potencyału biologicznego proces ten zwalnia się i dąży do idealnego stanu równowagi obojętnej.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa obecne dążenia do sprawiedliwości, do większego współczucia, zwolnienia walki, dostateczniejszej wogóle organizacyi społecznej są tylko wyrazem tego, iż agregaty społeczne dobiegają do szczytu swej ewolucyi, po której rozpocznie się okres rozproszenia entropii. Czy jest to dobrem, czy złem, nie wiemy — społeczeństwa podlegają w swym rozwoju prawom ślepym, mechanicznym, którym tylko poddać się można i których zmienić nie sposób. Otóż niewątpliwie społeczeństwa ludzkie wstępują w okres pokoju, równości i solidarności. Nie znaczy to zresztą, by walka i nierówności społeczne miały szybko albo nawet zupełnie kiedykolwiek zaniknąć. Emancypując się z jednej zależności, wchodzimy zwykle tylko w drugą. Z pod władzy rodziców wchodzi się pod władzę szkoły, a następnie zwierzchników w zajęciu jakiemkolwiek i w ogóle w zależność klasową: ubogich względem zamożnych, zamożnych względem bogatych, nieuków względem uczonych i t. d. Wszystkie te stosunki są stosunkami psychicznymi (szacunku, obawy, dumy, wyniosłości i t. d.), opartymi w istocie na promieniowaniu energii duchowych najrozmaitszego natężenia. Nawet stosunki, oparte na różnicach majątkowych, są także w końcu stosunkami psychicznymi: posiadanie obudza w posiadaczu energie możebne, uśpione w duszy ubogiego. Zresztą i tu mamy różnicę zadowolenia i zadrości.

Ale wszystkie te różnice w natężeniu energii w miarę rozwoju przekształceń społecznych dążą do zaniku. Stosunki nieodwracalne dążą bowiem — jak to widzieliśmy — do stanów odwracalnych, t. j. opartych na równości i wolności, w rodzinie, szkole i wszystkich urządzeniach społecznych. Albowiem wszystko, co wyższe, więcej traci drogą promieniowania swej energii, a niżsi zyskują, wchłaniając ją. Ma to miejsce w każdem pokoleniu, w rodzinie lub szkole i w długim szeregu pokoleń w społeczeństwie.

Rasy wyższe i klasy bardziej ucywilizowane tracą powoli swą wyższość i biologiczną, i psychiczną, korzystają zaś z niej rasy i stany pozostałe, które niegdyś były niższemi. Zależności psychiczne coraz się zmniejszają z zanikiem różnic w natężeniu energii biologicznej — czyli różnic rasowych, i energii duchowej—czyli różnic klasowych, stanowych i wogóle społecznych; sama własność, która się krystalizuje obecnie koło warstw różnych pod względem energii, przybiera z konieczności charakter równościowy, demokratyczny. A jeżeli dawniej przy wielkich różnicach w natężeniu energii stosunki między ludźmi opierały się na uczuciach zależności, strachu, dumy i t. d., to obecnie, gdy przechodzimy coraz bardziej w cykle

przekształcenia odwracalne, stosunki opierają się i opierać się będą na uczuciach równości, sympatyi—i nie byłoby nic dziwnego, gdyby temu rozwojowi uczuć społecznych, opartemu na równości natężenia energii biologicznej, odpowiadało zarazem władanie społeczne bogactw i odpowiednie zmiany w rodzinie i innych urządzeniach społecznych.

Nie zapominajmy jednak, iż źródłem tych zmian, zachodzących przed naszemi oczyma, jest nie rozwój ekonomiczny, lecz zmiany, zachodzące w składzie i natężeniu energii biologicznej każdego układu społecznego, iż sam rozwój bogactw jest tylko jednym ze skutków tych zmian ostatnich, odbywających się według wszelkich praw mechaniki. Zrównanie natężeń energii biologicznej i psychicznej byłoby oczywiście zupełnem tylko w idealnym układzie społecznym, zamkniętym zupełnie — wszystkie różnice rasowe, psychiczne zamieniłyby się automatycznie na pracę, na rozwój bogactw aż do stanu zupełnej równowagi. Ale i w układach otwartych i znajdujących się pomiędzy sobą w komunikacyi zauważyć można dążność w tym samym kierunku, która przedstawia analogie uderzające z rozproszeniem entropii we wszechświecie kosmicznym.

Można jednak się zapytać, czy to powstrzymanie lub przynajmniej zwolnienie ewolucyi dzięki spadkowi potencyału biologicznego jest zjawiskiem nie do ominięcia. Odpowiadamy na to, iż teorya ściśle może być zastosowaną tylko do układów zamkniętych: w tych należy poświęcić postęp rasy, by mieć cywilizacyę, jak w lampie tylko kosztem nafty mamy światło. Ale to nie przeszkadza, by w układach otwartych potencyał biologiczny, obniżony dzięki ewolucyi wewnętrznej, nie mógł ponownie się wznieść dzięki np. najazdowi z zewnątrz, jak to było w Rzymie za barbarzyńców. Również obecnie naród, nazbyt ucywilizowany i osłabiony skutkiem tego fizycznie, może być podbity przez inny, mniej rozwinięty społecznie, ale zato pełen sił brutalnych—w tem, być może, zawiera się źródło nowych przekształceń dla przyszłości. Możnaby się także zapytać, czy potencyał biologiczny danego narodu, obniżony dzięki postępowi cywilizacyi, nie może się wznieść naturalnie drogą krzyżowań albo innych warunków przyrodzonych, któreby poprawiły rasę. Otóż to jest nader wątpliwem: badania nad doborami społecznymi okazują, iż pozostawiają one przy życiu tylko najgorsze czynniki antropologiczne [1]). Trudno zaś, by z ołowiu naraz powstało złoto

[1]) Por. Lapouge: „Dobory społeczne". Dod. do „Przegl. Tyg." 1896.

Ale co nie może się stać w sposób naturalny, tego możnaby sprobować dokonać w sposób sztuczny. Być może, iż antropotechnika, systematycznie prowadzona, pozwoliłaby podnieść potencyał biologiczny, co odkryłoby przed rozwojem społecznym horyzonty nowej a rozległej karyery. Ale to wymagałoby odbudowania sztucznego różnic społecznych, które ewolucya rzeczywista poczęści już obaliła. Otóż jest rzeczą wątpliwą, by społeczeństwa obecne zgodziły się, o ile nie będą zmuszone naciskiem konieczności, wstąpić na tę drogę.

Zbierzmy ogólne wnioski ze wszystkiego, cośmy dotychczas powiedzieli: za każdym razem, gdy zamieniamy ciepło na pracę mechaniczną, musi istnieć różnica temperamentu, i ciepło nie zamienia się na pracę inaczej, jak tylko przechodząc od ciała o wysokiej temperaturze do ciała o nizkiej. Zupełnie toż samo dzieje się w społeczeństwie względem energii biologicznej: by ruch i praca społeczna wykonane być mogły, musi istnieć uprzednio różnica w natężeniu tej energii, której źródłem pierwotnem we wszystkich jej objawach jest głód i miłość. Carnot słusznie porównywał potęgę mechaniczną ciepła z potęgą wody; jak nie sposób, by ciepło dostarczyło nam pracy inaczej, niż przy istnieniu prądu, przechodzącego od poziomu o wysokiej temperaturze do poziomu o nizkiej, tak również i woda nie może dawać pracy inaczej, jak spadając z wyższego poziomu na niższy. Tak samo i w społeczeństwie: niema pracy i cywilizacyi inaczej, jak przy współistnieniu poziomów biologicznych lub psychologicznych—czyli ras i klas—rozmaitych. Inaczej mówiąc, musi istnieć różnica w energii potencyalnej lub kinetycznej układu. Ciepło przechodzi z ciał o wysokiej temperaturze na ciała o nizkiej i, jeżeli jest pozostawione w tym ruchu sobie samemu, rozprasza się równomiernie na wszystkie ciała, tak, iż w końcu posiadają wszystkie tęż samą temperaturę. To samo ma miejsce pomiędzy różnymi układami społecznymi i różnemi warstwami tegoż układu pod względem energii społecznej Otóż ciepło staje się niezdolnem do wykonania pracy, gdy przedstawia jedną temperaturę. Ta ostatnia może nawet być bardzo wysoką, i zbiornik może zawierać olbrzymią ilość energii cieplnej, ale ani źdźbło takowej nie może się zamienić na pracę użyteczną. Toż samo powiedzieć można o energii społecznej. Jesteśmy zachwyceni postępami cywilizacyi współczesnej i uważamy je chętnie za nieograniczone. Jest to złudzenie: natężenie energii biologicznej i potrzeb może rosnąć, ale ze spadkiem różnicy tych natężeń, t.j. wraz z postępem równości, z zanikiem różnicy ras i klas,

postęp cywilizacyjny musi się zwolnić, a nawet dążyć do zatrzymania się.

Podejmując jeszcze raz porównanie Carnota, powiemy, iż cała woda (lub energia biologiczna) już spadła do poziomu (czyli potencyału) niższego i nie posiada już władzy dokonania pracy użytecznej. W maszynach parowych należy mieć dwa zbiorniki, jeden o wysokiej, drugi o nizkiej temperaturze, i praca dokonaną zostaje przejściem energii z pierwszego do drugiego. To jest sprawą główną, nie zaś obecność złożonej maszyneryi, kierującej ruchem. Również w społeczeństwie najważniejszą dla ewolucyi rzeczą jest obecność różnic rasowych lub klasowych, nie zaś obecność i rozwój instytucyi kierowniczych. Tego nie spostrzega szkoła organiczna socyologii, zaprzeczająca walki klas i kładąca główny nacisk na wrzekomą harmonię społeczną, a także na rozwój organów i instytucyi kierowniczych. Pomimo najwspanialszego rozwoju integracyi i dyferencyacyi społecznej dany układ może się chylić do upadku wraz z zanikiem różnic natężenia energii ras i klas społecznych. Na tę wewnętrzną sprężynę rozwoju—najważniejszą—Spencer w swej formule ewolucyi nie zwrócił żadnej uwagi.

Ruch, praca mechaniczna z łatwością zamieniają się na ciepło, niema jednak metody, któraby pozwalała zamienić całe ciepło danej ilości na pracę. Niema tu zupełnej zamienialności, i stąd wypływa, iż energia mechaniczna wszechświata zamienia się coraz bardziej na ciepło, powszechnie i równomiernie rozproszone i dlatego nieużyteczne. Również w społeczeństwie: ruchy brutalne hord pierwotnych, wywołane działaniem głodu i miłości, przekształciły się w biegu rozwoju społecznego na energie psychiczne, które stają się coraz bardziej równomiernie rozproszonemi i dlatego nieużytecznemi z punktu widzenia pracy mechanicznej. Ze względu na te straty niechybne ruch wiekuisty także mało jest możebny w świecie społecznym, jak i w świecie kosmicznym.

Sir W. Thompson przewiduje w tym ostatnim zrównanie wszystkich różnic temperatury i zatrzymanie wszelkiego ruchu. Wszechświat kosmiczny skończy na tem, iż stanie się masą rozpaloną, zupełnie bezużyteczną z punktu widzenia produkcyi pracy, gdyż ta ostatnia zależy od różnic temperatury. W sensie ściśle mechanicznym istnieje więc zachowanie energii, a jednak z punktu widzenia użyteczności istot żyjących energia wszechświata znajduje się w drodze zniszczenia. Ciepło, powszechnie i jednakowo rozproszone, stanowi to, co możnaby nazwać odpadkami świata: otóż masa tych odpadków coraz bardziej wzrasta. Możemy więc przedstawić sobie

początek świata fizycznego, gdy cząsteczki materyi znajdowały się w stanie chaosu, ale były zarazem obdarzone siłami ciążenia, i koniec tego świata, gdy będzie on masą bezwładną, jednakowo rozgrzaną, której zaniknie wszelki ruch i wszelkie życie.

Zupełnie toż samo w świecie społecznym: rozpoczął się stanem chaosu, gdzie istoty ludzkie były tylko pod działaniem ciążenia biologicznego, głodu i miłości, co było źródłem ruchów i uderzeń, a zarazem przekształceń energii brutalnych na psychiczne—skąd zmniejszenie stopniowe ruchu, jako skutek wielowiekowej ewolucyi. I jako rezultat, przewidzieć można rozproszenie równościowe energii psychicznych i wszelkich różnic ilościowych w ich natężeniu, a zatem—zanik pracy i ruchu społecznego. Ale rezultat ten jest oczywiście jeszcze nader od nas odległym i z punktu widzenia społecznego, i z kosmicznego. Zresztą nic też nie pozwala wnosić, iż ta ewolucya będzie bez przerwy postępowała w jednym kierunku: i owszem, jest ona raczej peryodyczna: po okresach przewagi energii psychicznych mogą wraz z pojawieniem się nowych ras młodych na scenie historyi znowu rozpocząć się okresy życia brutalnego, pracy i ruchu.

Zresztą chodzi nam tu nie o przepowiadanie przyszłości, lecz o zarys ogólny ewolucyi społecznej i o pokazanie, iż w układach zamkniętych istnieje dążność naturalna do zatrzymania ruchu przez wyczerpanie różnic potencyału biologicznego. Maszyna parowa pracuje, gdy energia przechodzi ze zbiornika o wysokiej temperaturze do zbiornika o nizkiej, nie zaś odwrotnie. Również w społeczeństwie: rasy wyższe grają też rolę sprężyny, która wprawia w ruch cały mechanizm. Gdy cała energia sprężyny się wyczerpała, mechanizm się zatrzymuje. Prawda, iż sprężyna może ponownie być natężoną dzięki przybyciu ras nowych, prawda też, iż różnice energii biologicznej, potencyalnej i kinetycznej, nie mogą nigdy w zupełności zaniknąć, ani w łonie jednego społeczeństwa, ani pośród kilku znajdujących się w kombinacyi, dzięki czemu proces społeczny nigdy w zupełności zatrzymać się nie może. Ale są to szczegóły drugorzędne. Dla nas jest rzeczą najważniejszą mieć metodę logiczną analizy faktów, znać w sposób oderwany działanie i dążność naturalną różnych sił społecznych.

Ogólna teorya rozwoju.

Ze wszystkiego, cośmy powyżej — we „Wnioskach ogólnych" — powiedzieli, wypada. że reakcya chemiczna nie może mieć

miejsca między atomami jednorodnymi tegoż samego ciała, co potwierdzonem jest przez doświadczenie. By reakcya odbyć się mogła, musi istnieć różnica przyciągań między atomami, różnica ich potencyału. Reakcya dąży do równowagi, która oczywiście zapewnia i najlepsze nasycenie względne „atomowości”, inaczej mówiąc, *maximum* zadowolenia wewnętrznego, i zarazem wydzielenie maksymalnej ilości energii (ciepła), jaka tylko wydzieloną być mogła. Dodajmy także, iż źródłem tej energii (ciepło) kinetycznej jest różnica potencyału, a im większą jest ta różnica, tem oczywiście większą jest ilość ciepła wydzielona.

Zupełnie toż samo w społeczeństwie — jego ewolucya jest procesem przemieszczenia materyi, wywołanego różnicami w przyciąganiach—rolę atomowości grają tu natężenia potrzeb. Przemieszczenia te ustają naturalnie, gdy różnice w natężeniu potrzeb są zrównane, gdy wszystkie są względnie jednakowo zaspokojone. Wówczas mamy równowagę, stan idealny, zapewniający i *maximum* wewnętrznego zadowolenia, szczęścia, i *maximum* energii, wydzielonej (czyli produkcyi społecznej) i wcielonej w bogactwa. Oczywistą także jest rzeczą, iż społeczeństwo, jednorodne pod względem rasowym, znacznym procesom społecznym miejsca dać nie może, gdyż szybko dochodzi do równowagi, i że ilość energii społecznej wydzielonej zależy od różnicy potencyału biologicznego, od różnicy w natężeniu przyciągań biologicznych, miłości i głodu. Im większą jest ta różnica, tem znaczniejszym przemieszczeniom będą podlegały jednostki i grupy jednostek w dążeniu do jaknajlepszego względnego zaspokojenia swych potrzeb, tem większe będą między niemi starcia, zatargi, walki, tem więcej w tych zatargach energii zostanie wydzielone i wcieli się w większą ilość i doskonałych wytworów, i urządzeń społecznych. Walki, istniejące między rasami, ich nienawiść wzajemna są tylko dowodem, iż istnieje lub może istnieć między niemi reakcya społeczna, iż istnieje między niemi żywiołowe przyciąganie biologiczne, iż w natężeniu tych przyciągań — ich miłości i głodu — istnieje różnica i że istnieje dążność do wyrównania tej różnicy, do ustanowienia równowagi przyciągań. Proces społeczny ma zresztą miejsce także w grupach jednorodnych rasowo, ale różniących się natężeniem swej energii między warstwami tej samej rasy, czyli między klasami, jakkolwiek te ostatnie różnice zawsze się połączą z tamtemi i od nich pochodzą. Bądź co bądź, wszystkie te różnice dążą do wyrównania, i, im bliżsi jesteśmy równowagi przyciągań, tem mniejszą jest ilość energii wydzielonej, tem bliżsi jesteśmy końca reakcyi społecznej, tem wolniejszem staje się jej

tempo. Gdy koniec procesu nastąpił, można rzec, iż cała różnica potencyału biologicznego — w danym okresie czasu, od początku reakcyi do końca — zamieniła się na energię społeczną kinetyczną. W początku reakcyi mamy więc zwykle różnice potencyału biologicznego—różnicę ras—i brak energii społecznej kinetycznej czyli brak cywilizacyi, w końcu reakcyi odwrotnie: mamy rozwiniętą cywilizacyę i brak różnicy potencyału—t. j. rasy mniej więcej jednorodne. W środku procesu społecznego — mówimy, rozumie się wciąż, w przypuszczeniu układu zamkniętego — istnieje i pewna różnica potencyału, i pewien rozwój energii kinetycznej czyli cywilizacyi. Ta ostatnia wciela się, jak widzieliśmy, i w bogactwa materyalne, i w jednostki, i w instytucye [1]).

Każdy proces przyrodzony, bądź chemiczny, bądź społeczny, dąży do najlepszego zaspokojenia przyciągań wewnętrznych i do zaspokojenia maksymalnej energii pod warunkiem, iż damy mu dobiegnąć do naturalnego swego końca. Jeżeli zaś jaka przeszkoda ostateczna przerywa proces i nie daje mu wyczerpać całej różnicy potencyału, zależnej bądź od napięcia, bądź od położenia, to oczywiście proces wcześniej się zatrzyma, nim dobiegnie do ostatecznej swej mety i nie wytworzy *maximum* możebnego energii, jakkolwiek znowu oczywiście wytworzy pewne *maximum*, zgodne z nowymi warunkami, ustanowionymi przez przeszkodę, ale mniejsze od tamtego.

Pierwszy wypadek odpowiada wolnej konkurencyi, drugi—monopolowi. Zresztą wolna konkurencya obejmuje tu wszelki swobodny, nieprzerwany proces, dobiegający do naturalnych swych granic — i tylko w takim procesie określonym, jeżeli coś staje na przeszkodzie jego naturalnemu rozwojowi, mogącemu obejmować także wszelkie objawy solidarności i państwowości—mamy monopol. Są to więc pojęcia, zupełnie względne i z absolutnego punktu widzenia nie mające żadnego znaczenia, gdyż proces, niby zakończony (przedstawiający więc wypadek wolnej konkurencyi) w stosunku do jednego układu, może w stosunku do innego znowu się rozpocząć i dążyć do wydania *maximum* jeszcze większego (a więc przedstawiać jednocześnie wypadek monopolu). A jednak ważnem jest to względne rozróżnienie procesów w granicach tegoż samego

[1]) Energia, zawarta w bogactwach społecznych, materyalnych i niemateryalnych, a także stopy jej przekształceń (ceny) zależą więc oczywiście od stanu przyciągań biologicznych, od zmian, zachodzących w potencyale, a także i od energii kinetycznej agregatu.

układu: tylko w ten sposób można objaśnić, czemu wolna konkurencya, wyczerpując naturalnie wszystkie różnice potencyału zapewnia *maximum maximorum*, gdy monopol nie pozwala go dopiąć. Ekonomiści, nawet matematyczni, nie wychodząc z tych obszernych rozważeń, nigdy nie umieli swej tezy uzasadnić. Zresztą należy zauważyć, iż każdy proces, nawet wolno-konkurencyjny, nie może czasowo obejść się bez monopolów. Tak np. reakcya chemiczna trwa godzinę lub dzień, a proces społeczny 100 lub tysiąc lat. Zanim jedna i drugi dobiegną do równowagi, t. j. do najlepszego rozkładu sił, do absolutnej sprawiedliwości, są rozmieszczenia materyi, chwilowo nie zapewniające tego *maximum*, np. koło atomu tlenu pomieści się chwilowo, na odlocie 5 atomów wodoru, a koło innego tylko jeden. Tak samo istnieją niesprawiedliwości w rozdziale bogactw nie według zasług, ale wszystko to jest chwilowe i dąży do rozkładu coraz słuszniejszego. Te jednak nierówności materyalne są nie do uniknienia i dążą same do swego zaniku.

Wolna konkurencya jest zresztą tylko skutkiem zatargów, mających miejsce dzięki przyciąganiom, a gdzie te ostatnie mogą dać *maximum* zadowolenia bez zatargów, tam oczywiście, może się ona opierać na sympatyi.

Ostatecznie powiedzieć możemy, że, gdy równowaga dopiętą zostaje—a ma ona miejsce każdej chwili, tylko przed końcem reakcyi nie jest stałą—otrzymujemy naraz trzy rezultaty: 1) *maximum* zadowolenia agregatu, 2) *maximum* energii wydzielonej i 3) wyczerpanie całej różnicy (lub różnic) potencyału, t. j. dalszej możności ruchu, jego źródła. Trzy te rezultaty są najściślej związane. Tak, istnieje związek między energią potencyalną a kinetyczną w środku procesu. Wymierzając energię jakiejś reakcyi chemicznej, czekamy oczywiście, by się zakończyła i by cała różnica potencyału, istniejąca w niej, zamieniła się na ciepło, które służy do jej wymiaru, ciepło zaś może się zamienić na pracę mechaniczną, mierzoną w kilogramo-metrach. Reakcye zaś społeczne nigdy nie są zakończone, i agregaty odnośne zawierają przeto zawsze i pewną część energii kinetycznej, biologicznej i potencyalnej. Wymierzając więc te reakcye, trzeba brać pod uwagę nietylko energię kinetyczną, która się wydzieliła i wcieliła w jakąś instytucyę lub dobra, ale i potencyalną — przyciągań wewnętrznych, jeszcze istniejących. Otóż złoto może służyć za środek mierzenia, albowiem jest nosicielem i energii potencyalnej—gdyż wciąż jest przedmiotem żądzy, wciąż jest przyciągane, i energii kinetycznej, która się wydziela przy jego wytwarzaniu i wydobywaniu. Możemy więc porównywać z niem wszelkie

inne wytwory materyalne, reprezentujące także zawsze obiedwie energie społeczne, by otrzymać ich wartość społeczną, a także wartość całego człowieka, który zawsze także reprezentuje obiedwie energie społeczne, i wreszcie wartość jego stanów duchowych, które oczywiście niezależnie nie istnieją i przedstawiają część jego ciała (mózgu), a także wartość stanów duchowych całych grup ludzkich (czyli wartość instytucyi społecznych). I wytwory materyalne, i jednostki, i grupy jednostek, i złoto wreszcie są to układy materyalne, przyciągające się wzajemnie, przedstawiające pewien potencyał społeczny—i w przemieszczeniach, mających miejsce dzięki różnicom w przyciąganiach, ledwie część energii kinetycznej wydzieloną zostaje. A więc nawet, gdy oceniamy wartość pewnego stanu duchowego jednostki lub grupy, mierzymy zawsze ciążenie pewnych ciał systemu ku sobie, a także ruchy tych ciał, wywołane przez zmiany w tem ciążeniu. Możemy otrzymać cenę „stanów duchowych" dlatego, że te ostatnie oznaczają tylko pewne ciała, znajdujące się, równie, jak i złoto, w ruchu. Oczywista rzecz, iż wszelkie zmiany, zachodzące w tym systemie, t. j. w przyciąganiach, zachodzących między ludźmi a rzeczami, odbijają się natychmiast na stopach przekształcenia energii, na cenach. Te ostatnie, obliczane na zasadach statystyki i wzięte, jako średnie, mogą służyć do wymiaru energii społecznej we wszystkich bez wyjątku jej kształtach.

W ten sposób może być ustanowiona *socyometrya*, t. j. systematyczne wymierzanie wszystkich zmian, zachodzących w społeczeństwie. Demografia jest jej cząstką, ale głównych wskazówek udzielą wymiary ekonomiczne. W ten sposób możemy wymierzać z punktu widzenia energii biologicznej—t. j. o ile one wpływają dodatnio lub ujemnie na gatunek—wszelkie objawy otoczenia, naturalnego lub sztucznego, zastosowując tęż samą rachunkowość, jaką każdy hodowca zastosowuje do swego zakładu. Energia społeczna sprowadza się więc wyłącznie do energii biologicznej, a jednak między obiedwiema istnieje różnica, ta mianowicie, iż przy badaniu energii biologicznej za pomocą sposobów chemicznych mamy do czynienia z najprostszymi jej objawami, a więc mierzymy energię muskularną osobno od nerwowej, w tej zaś ostatniej osobno moralną od umysłowej i t. d. za pomocą ich równoznaczników chemicznych; natomiast w energii społecznej mamy do czynienia już ze splotami gotowymi energii biologicznych i mierzymy te sploty za pomocą innych splotów tejże energii, reprezentowanych przez złoto. Między energią biologiczną a społeczną istnieje więc tylko różnica

komplikacyi. W gruncie jest to taż sama energia, ale ponieważ nie można robić wszystkiego naraz, biometrya mierzy energię życiową w najprostszych jej kształtach, zaś socyometrya w złożonych. Niewątpliwie zresztą obie te metody kiedyś się połączą i rzucą światło wzajemnie na siebie, ale tymczasowo powinny pozostawać rozłączone.

Po wszystkich powyższych wyjaśnieniach możemy dać krytykę ogólnej formuły rozwoju Spencera i postawić na jej miejscu naszą własną. Wzrost przystosowania, różniczkowania i całkowania, na którym według Spencera ma polegać rozwój, jest niczem innem, jak przetłómaczeniem na język nowej terminologii odwiecznej tryady aleksandryjskiej—tezy, antytezy i syntezy—którą Hegel tak doskonale żonglował, którą następnie poddał trawestacyi Spencer i której nikt pod nowemi nazwiskami nie spostrzega. Tymczasem nowsze badania biologiczne, mianowicie Weissmana, Lapouge'a i t. d. okazały, iż w przystosowaniu bynajmniej głównej sprężyny rozwoju upatrywać nie należy, iż jest ono, co najdalej, jedną z jego sprężyn. Spencer wcale prawie nie zwracał uwagi na siły wewnętrzne układów, sądząc, iż takowe zawsze zastosowują się do sił zewnętrznych otoczenia. Tymczasem okazuje się, iż siły wewnętrzne, zawarte w rasach, są czemś zupełnie niezależnem, z czem liczyć się należy, jako z faktem pierwotnym, zupełnie tak, jak w chemii liczymy się z pierwiastkami, wiedząc, iż żadne wpływy otoczenia nie są w stanie ich zmienić. Taki np. biolog, jak Yves Delages przychodzi do wniosku, iż, „trzymając się ściśle faktów, musimy przyznać, że powstawanie gatunków jednych z drugich nie było nigdy dowiedzione. Teorya o pochodzeniu opiera się na usprawiedliwionej, jedynie naukowej indukcyi. Niema jednak żadnych faktów na przekonanie o jej prawdziwości tych, którzy od niej żądają dowodów, zaczerpniętych z czystej obserwacyi" [1]).

Nie chcemy więc zapuszczać się w metafizykę tak straszną, jak Spencerowska, która wszystko to abstrahuje i sądzi, iż przystosowanie wystarcza dla objaśnienia rozwoju we wszystkich jego objawach. Tymczasem badania Weissmana pokazały, iż transformizm poza granicami zmian indywidualnych nie istnieje i że środek zewnętrzny wywołuje, co najdalej, zmiany indywidualne, ale nie dziedziczne. Inaczej mówiąc, odróżniając w zarodku *plasmę somatyczną* i *keimplasmę*, widzimy, że tylko pierwsza podlega wpływowi sił ze-

---

[1]) Prof. Yves Delages. „Zagadnienia Biologii Ogólnej", str. 322 tłóm. pols.

wnętrznych, zawartych w środowisku, drugie zaś—za nieznacznymi wyjątkami—nie. A jeżeli, być może, i Keimplasma podlega transformizmowi, to głównie pod wpływem krzyżowania i w ciągu całych okresów geologicznych, co naukowo praktycznego znaczenia mieć nie może, gdyż w granicach historycznych, potwierdzonych przez doświadczenie, można uważać gatunki za prawie niezmienne, a przynajmniej uważać, iż one daleko bardziej zastosowują środowisko do siebie, niźli same podlegają jego wpływowi: to ostatnie zastosowanie ma miejsce tylko indywidualnie, a ponieważ gatunki dziedzicznie pozostają prawie niezmienne, więc środowisko w swych zmianach raczej do nich się zastosowuje w ciągu dłuższych okresów czasu. A więc siły wewnętrzne nietylko nie zastosowują się biernie do zewnętrznych, jak tego chce Spencer, ale przeciwnie, zastosowują te ostatnie do siebie, przyciągając i asymilując sobie z nich to, co im jest potrzebne; a jeżeli same podlegają działaniu sił zewnętrznych, to tylko w granicach, określonych przez rasę, które mogą być uważane za przedstawiające pewną stałą amplitudę zmian. A więc prawem zasadniczem rozwoju jest nie zastosowanie, lecz dziedziczność, czyli odbudowywanie ciągłe potencyału biologicznego, o ile mówimy o okresach czasu niezbyt rozległych, i wzrost i spadek tego potencyału czyli postęp i cofanie się gatunków, ich natężenia życiowego, mające miejsce nie tyle pod wpływem przystosowania (który nie jest stały), co wytępienia jednych gatunków przez drugie i krzyżowania. To ostatnie, jeżeli jest dobrane—co przypadkiem tylko w długich okresach zdarzyć się może—jest istotnie źródłem postępu biologicznego. Czemu zaś pewnego rodzaju jajeczka i spermatozoidy, łącząc się, wydają gatunki o energii życiowej bardziej natężonej, niż inne, to jest dla nas takąż samą tajemnicą, jak większość związków biologicznych. Czemu zaś rasy wogóle różnią się natężeniem swej energii, wiemy równie mało, jak czemu pierwiastki chemiczne różnią się swemi własnościami. Jednem słowem to przyciąganie chemiczno-biologiczne spermatozoidów i jajeczek i przyciąganie jednych ras przez drugie za pomocą głodu—ludożerstwa, i wytępianie, płynące stąd i z władzy, z wyzysku i t. d., a nie przystosowanie jest głównym źródłem rozwoju społecznego. Widzieliśmy nawet, iż przystosowanie i towarzyszące mu przekształcenie energii jest tylko warunkiem ustanowienia równowagi przyciągań [1]). To postęp potencyału

---

[1]) Istotnych więc źródeł rozwoju społecznego szukać należy z jednej strony w krwiożerstwie, a z drugiej w żywiołowej, niczem nieograniczonej chuci płciowej. Przeszkody, jakie te przyciągania pierwotne wzajemnie sobie stawiają, są dopiero źródłem przystosowań.

biologicznego czyli natężenia życia jest źródłem nowych wynalazków, które zastosowują siły zewnętrzne otoczenia do wewnętrznych rasowych, w wypadku odwrotnym siły wewnętrzne zastosowują się do zewnętrznych, a tylko w wypadku średnim stałości gatunków siły wewnętrzne i zewnętrzne się wzajemnie do siebie zastosowują i stale się równoważą. Przystosowanie więc zawsze istnieje, we wszystkich trzech wypadkach, ale w swym kierunku zależy ono od zmian, zachodzących w dziedziczności, w potencyale biologicznym, w natężeniu życia. To ostatnie jest więc prawem pierwotnem rozwoju; równowaga zaś mniej lub więcej stała i przystosowanie sił zewnętrznych do wewnętrznych lub odwrotnie zawsze istnieje i niczego nie wyjaśnia samo przez się. A mianowicie, by proces jakikolwiek mógł mieć miejsce, musi istnieć, jak widzieliśmy, różnica potencyału, różnica w natężeniu przyciągań, bo gdzie potencyał jest ten sam, np. w ciele chemicznie jednorodnem lub w społeczeństwie jednorodnem rasowo, tam przystosowanie, nawet doskonałe, istnieje, ale procesu niema. By proces miał miejsce, musi w agregacie istnieć różnica potencyału, i ona to zamienia się na ruch, który ustaje wraz z wyczerpaniem całej tej różnicy. Zastanawiając się więc nad stroną energetyczną procesów, zupełnie opuszczoną przez Spencera, możemy powiedzieć, iż rozwój jest przejściem od stanów wewnętrznych, różnorodnych pod względem natężenia energii do stanów jednorodnych. Istotnie, w końcu rozwoju, gdy już się zbliżamy do równowagi stałej, znajdujemy jednorodność w natężeniu sił, gdy na początku rozwoju równowaga jest niestałą, proces żywszy dzięki różnorodności w natężeniu sił wewnętrznych.

Jeżeli zamiast energii potencyalnej rozpatrywać będziemy kinetyczną (ruch) i odpowiadające jej rozmieszczenia materyi, to znajdziemy na początku procesu przy wielkiej różnicy potencyału brak ruchu, i dopiero następnie w miarę wyczerpywania tej różnicy ilość ruchu się zwiększa w agregacie, przyczem podlega on dyferencyacyi i integracyi. A mianowicie, materya w ruchu z jednej strony przystosowuje się do rozmaitości otoczenia, dążąc wciąż w kierunku najmniejszego wysiłku—stąd dyferencyacya, z drugiej strony na zasadzie tegoż prawa maksymalnej energii można wyprowadzić i integracyę, a mianowicie można dowieść, iż, jeżeli pewna ilość cząsteczek materyalnych, znajdujących się w ruchu, może się zbliżać do siebie, bądź też oddalać jedne od drugich, to *maximum* energii kinetycznej otrzymane zostaje w pierwszym wypadku [1]).

---

[1]) Edgeworth. Mathematical Psychics.

A ponieważ wszelkie układy dążą automatycznie do *maximum*, więc stąd zbliżanie się cząsteczek i układów całych, znajdujących się w ruchu, rosnąca wciąż zależność i solidarność.

Określenie Spencera, iż ewolucya jest przejściem od stanów jednorodnych do różnorodnych, jest więc słuszne tylko pod względem energii kinetycznej, pod względem zaś potencyalnej, można powiedzieć, jak to powyżej pokazaliśmy, iż dzieje się wprost odwrotnie. Z biegiem każdego procesu, odbywającego się w układzie zamkniętym, mamy coraz więcej pracy wykonanej, energii kinetycznej, materyalizującej się w kształtach widocznych, coraz bardziej różnorodnych i coraz lepiej związanych z sobą, ale mamy zarazem coraz większą jednorodność w natężeniu sił wewnętrznych, zanik różnicy potencyału, oznaczający blizki koniec reakcyi. Na tę ostatnią stronę procesów Spencer żadnej uwagi nie zwrócił, i dlatego wydaje mu się, iż postęp jest nieskończonym, gdy on w rzeczywistości zmierza zawsze, o ile ma miejsce w układzie zamkniętym, do określonej granicy, której przekroczyć nie jest w stanie.

Właściwie więc formuła ewolucyi układów zamkniętych jest następująca:

1) spadek potencyału czyli natężenia różnicy sił wewnętrznych (rasowych);

2) wzrost ilości ruchu rzeczywistego, odbywającego się w formie dyferencyacyi i integracyi materyi, i

3) coraz lepsze zastosowanie różnych części agregatu w jego dążeniu do *maximum* zadowolenia wewnętrznego (do najlepszego nasycenia atomowości).

O ile zaś chodzi o różne układy w ich stosunkach wzajemnych, t. j. o układy otwarte, to potencyał, obniżający się naturalnie w układach zamkniętych, ponownie bywa podniesiony dzięki najściu jednych ras na drugie (np. najście barbarzyńców na Rzym) wyczerpany cywilizacyą, dzięki czemu potencyał społeczny odbudowany został. Te jednak różnice rasowe dane są, jako fakt pierwotny, jako źródło rozwoju społecznego. Jednem słowem, w obecnym stanie wiedzy należy przyjąć zastosowanie i dziedziczność, jako rzeczy co najmniej równoważne i objaśniać rozwój społeczny (o ile chodzi o użyteczność objektywną (*utilité sociale*) rasową agregatów), jako zależny od zmian, bardzo powolnych albo też może nieistniejących, jakie zachodzą w dziedziczności (w *keimplasma*) pod wpływem raczej krzyżowania i wytępiania ras jednych przez drugie, niż przystosowania. I tylko, o ile chodzi o użyteczność subjektywną (*ophelimité sociale*), t. j. czasową, można objaśniać rozwój społeczny, jako

zależny od zmian szybkich, ciągłych, ale mających tylko charakter indywidualny, nie zatracający dziedziczności (t. j. zmian, zachodzących nie w *keimplasma*, lecz w plasmie somatycznej), i odbywających się głównie pod wpływem przystosowań do środowiska.

Widzimy więc, że chęć wyprowadzenia całego rozwoju społecznego tylko z zasady przystosowania, jak to czyni Spencer, a za nim i uczniowie jego, jak Vaccaro, jest zupełną chimerą. Daleko większy wpływ mają wszelkie zmiany, zachodzące w rasie, w natężeniu energii biologicznej (w *keimplasma*) pod wpływem walki ras—gdyż te zmiany w natężeniu życia są źródłem nowych gruntownych odkryć i wynalazków, które same wpływają zasadniczo na losy przystosowań społecznych. Istotnie, natężenie energii biologicznej każdej rasy może być uważane za stałe, i zmiany, zachodzące w niem, objaśniają się bądź krzyżowaniem, bądź też doborami, wytępiającymi jedne rasy na korzyść drugich, t. j. selekcyą, a nie przystosowaniem, nie transformizmem.

Zastosowania transformizmu do społeczeństwa są niezbyt wielkie, nie wychodzi on w swem działaniu poza zakres *plasmy somatycznej*, t. j. indywidualnych przyzwyczajeń i zmian, zachodzących w ciele, i w tem znaczeniu gra on właściwie rolę środka tresury społecznej. I o tyle tylko wpływ jego we wszystkich swych przejawach, ekonomii, prawa, państwa może być ściśle określony i nawet pieniężnie wymierzony. Natomiast sama transmisya życia czyli *keimplasma* w swym charakterze, w natężeniu towarzyszącej mu energii od żadnych warunków otoczenia zewnętrznego, naturalnego ani sztucznego (techniki), ani od tresury nie zależy — przynajmniej dla okresów historycznych i przedhistorycznych, dla których dane posiadamy. Widzimy więc że dziedziczność gra rolę reproduktorki społecznej, a przystosowanie tylko—środka tresury. Otóż wpływy przystosowania nie przewyższają tych, jakie tresura i wychowanie w całym świecie organicznym posiadają. A wiadomo, iż wpływy te są stosunkowo nieznaczne, a przynajmniej bardzo ograniczone. A mianowicie, wpływy wychowania nie stają się dziedzicznymi i mają charakter tylko indywidualny.

Pokażemy w krótkim zarysie historycznym, czemu dotychczasowe formuły rozwoju społecznego wydają się nam niedostateczne. Właściwym ojcem teoryi przystosowania jest Lamarck. W swej „Filozofii zoologicznej” (r. 1809) pokazuje on, w jaki sposób zwierzęta zmieniają się pod wpływem środowiska, i że istnieje odpowiedniość między zmianami, zachodzącemi na globie ziemskim, a zmianami w organizmach zwierzęcych. Sądził zarazem, iż zmiany

te przechodzą dziedzicznie. Darwin następnie wskazał na jeszcze jeden czynnik rozwoju organicznego—na dobór naturalny. Zwierzęta i rośliny mają zdolność niesłychaną rozmnażania się. Muszą jednak walczyć przeciw warunkom niedogodnym otoczenia, i to eliminuje nieprzystosowane do tych warunków. Z drugiej strony, brak środków utrzymania zmusza je do zawziętej konkurencyi, a zatem tylko najsilniejsze i najzdolniejsze osobniki są w stanie w walce tej utrzymać się i rozmnażać. Inne giną. Pod wpływem walki o byt odbywa się więc dobór, prowadzący organizmy do coraz lepszego *przystosowania się* do warunków otoczenia, w którem żyją.

W ten sposób, jeżeli Lamarck zastanawiał nad się procesem bezpośredniego przystosowania między organizmami a otoczeniem, to Darwin zwrócił uwagę na proces pośredniego przystosowania: istotnie walka o byt i wypływający z niej dobór naturalny (a także płciowy) prowadzą tylko pośrednio do przystosowania. Vaccaro słusznie wykazuje, iż właściwa teorya przystosowania obejmuje więc i Lamarckowską, i Darwinowską.

Uczniowie Darwina w socyologii pozostawiali zwykle na uboczu lamarckowski proces bezpośredniego przystosowania i zajmowali się głównie walką o byt i doborem naturalnym. Z drugiej strony fałszywie pojmowali sam darwinizm, gdyż wyżycie bardziej przystosowanych może prowadzić, jak to Darwin sam przyznaje, nie tylko naprzód, ale i w tył, czyniąc organizmy bardziej skomplikowanymi albo też upraszczając takowe. Dobór zachowuje tylko zmiany *użyteczne* dla gatunku w danych warunkach, mogąc przytem być postępowym lub regresyjnym (np. kret, tracący oczy w życiu podziemnem). Darwin nie uwzględnił tych doborów regresyjnych, a bardziej jeszcze uczniowie jego, wierzący w postęp bez końca. Ani Darwin, ani też jego uczniowie nie zwrócili także uwagi na procesy zwyradniające pasorzytnictwa. Procesy te mają tem większe znaczenie w społeczeństwie, gdzie zwyciężeni w walce o byt nie są zupełnie eliminowani, lecz przeciwnie zaoszczędzani przez zwycięzców, którzy starają się ich eksploatować i żyć na ich koszt.

W odróżnieniu od darwinistów Spencer, wychodząc z zasady, iż wszelkie zmiany dążą do równowagi, pokazuje, iż między funkcyami organizmu a wpływami środowiska równowaga otrzymuje się w sposób bezpośredni i pośredni, łączy więc lamarkizm i darwinizm, ale i on nie zastanawia się ani nad doborami wstecznymi, ani nad pasorzytnictwem społecznem. Bądź co bądź, teorya przystosowania doszła u niego do zupełnego swego rozkwitu. Zdawało się, iż panowanie jej w biologii i socyologii jest zapewnione, ale niebawem rozpoczął się odwrót.

Biologowie, jak Weissman, zakwestyonowali, czy zmiany indywidualne, zdobyte przystosowaniem do środowiska lub też przypadkowo nabyte w walce o byt, stają się dziedzicznemi, jak to twierdzili Lamarck, Darwin, za nimi i Spencer. Weissman, Lapouge i inni badacze wykazali, iż rzeczy bynajmniej tak się nie mają, i, jakkolwiek walka między zwolennikami teoryi formacyi pierwotnych dziedzicznych („*préformation*") i teoryi właściwości późniejszych nabytych („*epigenesis*") jeszcze zakończoną nie jest, to jednak nie ulega wątpliwości, iż „przystosowanie" pojęte było w sposób zbyt obszerny i że nie można mu przypisywać tej roli wszechwładnej, którą mu autorowie powyżsi przypisują.

Pokazaliśmy powyżej, w jaki sposób mechanika społeczna pozwala pogodzić te sprzeczności i jak, przyznając rolę przystosowania, sprowadza ją jednak do granic należytych. Jednem słowem, mechanika społeczna daje nam formułę obszerniejszą, elastyczniejszą od wszystkich istniejących i pozwalającą objąć wszystkie fakty: te, na których się opiera Lamarck, Darwin, Spencer, i fakty pasorzytnictwa i doborów regresyjnych, i fakty Weissmana i Lapouge'a. Mechanika, godząc wszystkie odnośne teorye, pomieszcza każdą z nich w karbach właściwych i w ten sposób pokazuje, iż sprzeczności, istniejące między niemi, są tylko pozorne.

Najbliższym mechaniki społecznej jest w swych teoryach ogólnych Gumplowicz. Niestety, brak mu języka i logiki matematycznej i dlatego wpada w sprzeczności. Bardzo słusznie odróżnia on cztery procesy naturalne: kosmiczny, chemiczny, roślinny i zwierzęcy i nad nimi stawia proces naturalny społeczny. Czynniki składowe każdego procesu są dwa następujące: z jednej strony heterogenizm (to, co my nazywamy różnicą potencyału), z drugiej—czynności wzajemne, które to czynniki różnorodne wzajemnie na siebie wywierają. Te czynniki różnorodne, dające początek procesowi społecznemu, to elementy etniczne, rasy. A wpływy określone, które te czynniki wywierają jedne na drugie, mają charakter regularnej, naturalnej konieczności. Formuła tego wpływu wzajemnego ma być według autora następująca: „Każdy czynnik etniczny potężny stara się zużyć do swych celów każdy czynnik słabszy, który znajduje się w promieniu jego wpływu lub tam przenika". Skąd jednak pochodzi ta dążność naturalna, pchająca czynniki różnorodne do walki i wzajemnego zgnębienia? Gnieździ się ona w dwu potrzebach wrodzonych: sympatyi ku osobom pokrewnym i nienawiści ku obcym szczepom. Te dwa uczucia pchają hordy do walki, i tak rozpoczął się i trwa w dalszym ciągu

proces naturalny historyi, sprowadzający się w końcu do walki ras, niezmiennych w gruncie,—o panowanie. Taką jest teorya, nakreślona przez Gumplowicza w sposób czysto literacki w jego „*Rassenkampf*". Niestety, autor nie potrafił stworzyć na tej podstawie systemu naukowego i jednolitego.

Weźmy np. jego rozprawę zatytułowaną „Socyologiczne pojmowanie historyi" [1]. Jakiekolwiek mogą być różnice zapatrywań na siły, działające w dziejach—powiada autor — nie może być zakwestyonowany fakt, że wszystko dzieje się walką jednych grup społecznych przeciw drugim [2]. Takie pojmowanie dziejów autor nazywa „socyologicznem" i sądzi, iż obejmuje ono w sobie wszystkie inne punkty widzenia, nie wykluczając żadnego. „Wychodzi jednak z punktu widzenia ogólniejszego, zajmuje stanowisko ponad wszystkie dotychczasowe wznioślejsze i otwiera widnokręgi najszersze."

Bynajmniej z tem twierdzeniem się nie zgadzamy, albowiem t. zw. socyologiczne pojmowanie dziejów może być wprowadzone w związek z innemi dziedzinami wiedzy, które są ogólniejsze, a mianowicie z mechaniką, a w takim razie walka grup społecznych występuje bynajmniej nie jako najobszerniejszy punkt widzenia, lecz jako specyalny wypadek teoryi ogólniejszej. Sam zresztą autor blizki jest takiego pojmowania, gdy w dalszym ciągu powiada: „Stwierdziwszy fakt, że niema państw, a zatem i niema dziejów bez antagonizmów różnorodnych żywiołów, tak, jak niema procesu chemicznego bez zetknięcia się różnorodnych płynów czy gazów, zastanówmy się teraz, jaka to siła pcha te różnorodne żywioły etniczne do walki." W innem jeszcze miejscu rozprawy autor porównywa procesy społeczne z chemicznymi: otóż w chemii i wogóle w mechanice mógłby, zdaniem naszem, znaleźć punkt widzenia, pozwalający wypowiadać „prawdy, dające się kontrolować, prawdy, że powiem, matematyczne, bez których niema wogóle nauki" (str. 13).

Na zapytanie, powyżej postawione, „jaka to siła pcha różnorodne żywioły etniczne do walki" — autor daje np. następującą odpowiedź: „jest to żądza zaznaczenia swej istoty w świecie zewnętrznym w miarę sił swoich fizycznych i umysłowych, w miarę zdolności swoich".

Otóż to jest tylko stwierdzeniem prawdy matematycznej, stanowiącej szczyt całej mechaniki, iż każdy układ materyalny, jedno-

---

[1] „Przegląd filozoficzny". Zeszyt I r. 1899. Warszawa.
[2] Rossenkampf, str, 159.

stkowy czy społeczny, dąży wciąż do zrealizowania maksymalnej energii, jaką tylko w danych warunkach zrealizować można.

Widzimy więc, iż istnieją widnokręgi daleko obszerniejsze, niż walki grup społecznych, i musimy przyznać, iż autor jest bardzo blizkim ich poznania, szkoda tylko, iż nie używa „prawd matematycznych”, o których sam wspomina. I dlatego właśnie znajduje trudności w wyrażaniu swej myśli, które mechanika pozwoliłaby mu wyrazić z prostotą i jasnością. „Nadaremnie szukam — powiada — wyrazu, któryby oddał pojęcie to w sposób odpowiedni; może mi wolno nazwać dążność tę każdej istoty, a w daleko większym stopniu każdej grupy społecznej dążnością do zaistotnienia się, t. j. do przeprowadzenia istoty swej w czyn.” Wyraz, którego autor nadaremnie szuka, jest następujący: „dążenie każdego układu do maksymalnej energii”. Jeżeli socyologia ma być nauką, musi używać terminologii ścisłej, naukowej, nie zaś literackiej. Stąd wypływają pewne sprzeczności w pracy Gumplowicza. Bo oto np. na początku jej wysunął na pierwszy plan wbrew materyalistom walkę grup, odrzucając warunki ekonomiczne na plan drugi. Pierwszym faktem, dającym się stwierdzić w każdem zdarzeniu dziejowem, jest walka jednych przeciw drugim. *Powody tych walk to kwestya drugorzędna*” — czytamy na str. 2, i w zgodności z tem twierdzeniem autor dowodzi na następnych str. (aż do 10), iż „wszystkie furtki zjawisk politycznych i zagadek dziejowych odmykają się zasadą socyologiczną wszechstronnej dążności żywiołów społecznych do zaistotnienia się” (str. 8). A oto na str. 11 dowiadujemy się, iż można rozwój danego państwa najdostateczniej wytłómaczyć i wyjaśnić z warunków geograficznych i ekonomicznych”, dowiadujemy się, iż czynniki ekonomiczne wywołują sameż walki grup etnicznych, iż walki te „zawarunkowane są ostatecznie przez *interesy ekonomiczne* tych poszczególnych żywiołów, nie zaś przez jakieś ich usposobienia umysłowe, temperamenty lub tym podobne przymioty zbiorowe” (str. 13).

Jest to zupełna zmiana frontu. Bo na str. 5 czytamy; „Ta dążność do zaistotnienia się jest słabszą lub silniejszą w miarę sił *fizycznych lub umysłowych*, ożywiających daną grupę etniczną lub społeczną”. Rozpocząwszy więc teoryą mniej więcej oryginalną, autor przenosi się w końcu do obozu materyalistów ekonomicznych. Naszem zdaniem, stanowisko pierwotne autora było słusznem, ale dla systematycznego wytrzymania go należało wprowadzić pojęcie energii biologicznej i zastosować do niej logikę ścisłą, matematyczną, jakiej tylko mechanika udzielić może.

L. Winiarski.

POLSKIE SPÓŁKI
zarobkowe i gospodarcze
w Wielkiem Księstwie Poznańskiem i Prusach Zachodnich.

„Jest to wielką zasługą instytucyi, że nie może istnieć i rozwijać się inaczej, jak tylko siłą uczciwości, szlachetności i odwagi".

Jules Simon (*Le travail*).

Jednym z namacalnych owoców naszych prac organicznych pod panowaniem pruskiem jest bez zaprzeczenia z roku na rok wzmagający się rozwój polskich spółek zarobkowych i gospodarczych, wzorowanych na niemieckich stowarzyszeniach, powołanych do życia przez wielkiego filantropa i propagatora idei samopomocy, Schulzego z Delitzsch.

Stowarzyszenia zarobkowe i gospodarcze, uznane powszechnie za najdzielniejszą dźwignię postępu ekonomicznego i najskuteczniejszą broń stanu średniego przeciw wszechwładnej przewadze wielkich kapitałów, są w naszym kraju dość świeżym nabytkiem, bo dzieje ich datują się dopiero od r. 1861, w którym grono dbałych

o potrzeby społeczeństwa obywateli, widząc niezmierny pożytek i rozwój spółek gospodarczych w Niemczech, postanowiło ten nowy rodzaj instytucyi ekonomicznych zaprowadzić i w naszym kraju.

Mniemamy, że nie od rzeczy będzie skierować pobieżny rzut oka na ówczesny ruch ekonomiczny w Niemczech.

Zastąpienie pracy ręcznej maszynami i zastosowanie pary ułatwiły wytworzenie się wielkiego przemysłu fabrycznego, a miejsce cechów, niegdyś kwitnących, zajęła wolna konkurencya, wolność zarobkowania.

Po nieurodzajnych latach 1847 i 1848 zapanował w handlu i przemyśle powszechny zastój, a nędza robotników bez zarobku przybrała zastraszające rozmiary. Gdy po burzliwym roku 1848 gorąca zawrzała walka o losy ludu, stanęli na czele tegoż dwaj mężowie wybitni, Lassale i Schulze z Delitzsch.

Ferdynand Lassale, reprezentant skrajnego socyalizmu, zdołał zebrać około siebie wielkie masy niezadowolonego ludu roboczego w Niemczech, wpajając w niego teorye socyalistyczne i żądając od państwa i sejmu dla robotników natychmiastowej, jednorazowej pomocy [1]), a gdyby rząd lub izba poselska na to zgodzić się nie chciały, uważał za konieczne zburzenie całego ustroju państwowego i zbudowanie na jego gruzach nowego państwa robotniczo-socyalistycznego.

Na czele ruchu niemieckiego kooperacyjnego [2]) stanął prawdziwy filantrop, Schulze z Delitzsch [3]), który wśród nieprzyjaznych stosunków z całą energią zajął się losem ludu, zakładając pierwotnie kasy chorych, stowarzyszenia spożywcze, a następnie stworzył — co mu najszczytniejsze i najchlubniejsze imię wyrobiło — swe oryginalne dzieło, „Stowarzyszenia pożyczkowe, czyli banki ludowe" [4]).

---

[1]) Lassale żądał dla samych robotników pruskich sumy 250,000,000 talarów. (Józef Kirszrot. O stowarzyszeniach zaliczkowych. Warszawa, 1870; Sł. wstępne, III).

[2]) Kolebką kooperacyi jest Anglia, gdzie już na początku tego wieku powstawały stowarzyszenia robotników i rękodzielników w celu polepszenia bytu i umożliwienia „drobnemu człowiekowi" samodzielności. Studya nad urządzeniami stowarzyszeń angielskich t. zw. „Rochdale Society of equitable pioneers" popchnęły Schulzego z Delitzsch do stworzenia pokrewnych stowarzyszeń w Niemczech.

[3]) Herman Schulze urodził się 29 kwietnia 1808 r. w Delitzsch, 1841 był sędzią tamże, od r. 1848 posłem do parlamentu i sejmu, w roku 1850 był krótki czas sędzią we Wrześni w W. Ks. Pozn., † 29 kwietnia 1883 w Delitzsch.

[4]) Józef Kirszrot. O stow. zal. Warszawa, 1870, II.

Schulze z Delitzsch, przez niemieckie stowarzyszenia słusznie ojcem stowarzyszeń nazwany, poświęcił całe życie przeprowadzeniu idei stowarzyszeń zarobkowych, — opierając się na odwiecznej zasadzie, że w zespoleniu sił pojedyńczych, choć słabych, spoczywa potęga. To też on, jako twórca, naturalnym był kierownikiem ruchu — on wszędzie poruszał myśl stowarzyszenia się, dążąc zarazem do jednolitej organizacyi, jako też do uzyskania dla stowarzyszeń bezpieczeństwa pod względem prawodawczym.

Przewodnią myślą jego dzieła było, ażeby „drobny" przemysłowiec i robotnik w celu polepszenia swego losu nie oglądał się na pomoc rządu i bogatszych — jak tego twórca skrajnego socyalizmu w Niemczech, Lassale w swych teoryach żądał — lecz, żeby miał zaufanie do w ł a s n y c h s i ł, opierał się na zasadzie s a m o p o m o c y, na zasadzie stowarzyszenia [1]).

W celu wyzwolenia drobnego przemysłu z biedy i oswobodzenia od zbytniej zawisłości od wielkiego kapitału przyszedł twórca spółek do przekonania, że należy stworzyć ludowi potrzebne mu do prowadzenia przemysłu kapitały, i to kapitały jego w ł a s n e, wytworzone za pomocą własnej pracy, oszczędności oraz z kredytu, na solidarnej odpowiedzialności opartego.

W roku 1850 zakłada Schulze w swem mieście rodzinnem Delitzsch p i e r w s z ą s p ó ł k ę p o ż y c z k o w ą, a celem zachęty i wtajemniczenia innych wydaje w roku 1855 dziełko pod tytułem: „Towarzystwa zaliczkowe i kredytowe, jako banki ludowe" (*Vorschuss und Credit-Vereine als Volksbanken).*

Warto przypomnieć tu w krótkości z a s a d y s t o w a r z y s z e ń, projektowanych przez pomysłowego działacza.

W dziełku swojem, zatytułowanem „Katechizm dla robotników" [2]), wylicza pomiędzy innemi stowarzyszeniami, mającemi na celu przygotowanie do przemysłu:

„Stowarzyszenia zaliczkowe, zwane także bankami ludowymi, które ułatwiają członkom uzyskanie kredytu i pożyczek".

Główne zasady, które służą za wspólną podstawę wszystkim rodzajom stowarzyszeń, streszczają się w następujący sposób:

1) ci, o których potrzeby czy to w przemyśle, czy w gospodarstwie domowem powinno się stowarzyszenie troszczyć, powinni być członkami i filarami całego przedsiębiorstwa, ponosić jego

[1]) Tenże.

[2]) Herman Schulze Delitzsch „Arbeiter Katechismus". (Poradnik dla Spółek VII № 1—2).

korzyści i straty, bo tylko w ten sposób zorganizować można społeczną pomoc własną;

2) muszą oni wziąć osobisty udział nie tylko w korzyściach i stratach, ale i w kierownictwie i zarządzie stowarzyszenia, czyli nie tylko w materyalnej, ale i w duchowej działalności przedsiębiorstwa. Powinni zatem zajmować się wszystkiemi czynnościami administracyi lub uczestniczyć w obradach;

3) fundusz, potrzebny do prowadzenia interesów stowarzyszenia, składa się z udziałów członków, które tworzą się z drobnych wkładek, peryodycznie przez nich opłacanych, i dywidendy czyli zysków przedsiębiorstwa, które rozdzielane bywają pomiędzy uczestników, względnie dopisywane do udziałów;

4) ażeby zyskać kredyt i dostarczyć wierzycielom silnej rękojmi zwrotu, zobowiązują się wszyscy członkowie do solidarnej odpowiedzialności za długi stowarzyszenia;

5) nakoniec wykluczoną zostaje ze stowarzyszenia owa, tak zwykła w życiu przemysłowców wyłączność. Dążeniem bowiem przedsiębiorstwa nie jest zamknięcie się w małem kółku, ale przeciwnie—zapewnienie korzyści o ile można największej liczbie stowarzyszonych. W tym celu urządzają się warunki należenia do grona członków w taki sposób, ażeby mogły być wypełniane przez każdego porządnego i pracowitego robotnika, który ma szczerą chęć pomagania sobie własnemi siłami, bo właśnie przy licznym współudziale cele stowarzyszenia dadzą się najłatwiej i najlepiej osięgnąć ku ogólnemu dobru wszystkich stowarzyszonych".

Temi zasadami się kierując i na tych podstawach się opierając, powstały w Niemczech tysiące stowarzyszeń, które dziś olbrzymie przybrały rozmiary, a których patronem był do końca swego życia dzielny Schulze z Delitzsch.

Zabiegom Schulzego zawdzięczają Niemcy *ustawę o stowarzyszeniach zarobkowych* i gospodarczych, obowiązującą do 1 maja 1899 r. On pierwszy w Niemczech podjął wedle *jednolitego* planu tworzenie spółek dla rzemieślników i robotników.

Pierwsze spółki, założone przez Schulzego w Prusach, były towarzystwami prywatnemi, koncesyonowanemi przez rząd. Staraniem Schulzego, który był posłem do sejmu pruskiego, uchwalił tenże sejm dnia 27 marca 1867 r. *ustawę dla spółek*, mocą której spółki uzyskały osobną rubrykę w rejestrze handlowym i te same prawa, co spółki handlowe.

W roku 1869 zostało pruskie prawo spółkowe rozciągnięte na związek niemiecki. Ogólne prawo spółkowe niemieckie przyczyniło się głównie do szybkiego wzrostu spółek we wszystkich krajach niemieckich. Nie tylko spółki systemu Schulzego z Delitzsch, ale i spółki inne pokrewne, przedewszystkiem spółki rolniczo-pożyczkowe wedle pomysłu Raiffeisena z odmiennemi urządzeniami zamieniały się na spółki, zarejestrowane w sądzie czyli zapisane. Również za inicyatywą Schulzego z Delitzsch podległa ustawa spółkowa w parlamencie w roku 1876 i 1877 rewizyi celem uzupełnienia braków ustawy pierwszej.

Od 1 maja 1889 r. datuje się nowe prawo rzeszy niemieckiej, dotyczące spółek zarobkowych i gospodarczych, które pozwala im przyjąć formę ograniczonej poręki członków.

Wzorując się na stowarzyszeniach niemieckich, powstała w Poznaniu w r. 1861 pierwsza spółka polska: „Towarzystwo pożyczkowe przemysłowców miasta Poznania", dzisiejszy „Bank Przemysłowców" [1]), co do obrotów, majątku i poważania pierwsze miejsce dzierżący pomiędzy wszystkiemi spółkami polskiemi w Wielkiem Księstwie Poznańskiem i Prusach Zachodnich.

Za przykładem spółki poznańskiej powstają niezadługo w Prusach Zachodnich spółki w Brodnicy, Golubiu, Gniewie, Bobowie, Tucholi, Toruniu i Lubawie. W Wielkiem Księstwie Poznańskiem powstają spółki w Gniewkowie, Gostyniu, Trzemesznie, Koźminie, Szamotułach, Środzie, Borku, Kostrzynie, Wągrówcu, Kórniku, Gnieźnie, Ostrowie i inne, tak, iż w roku 1871 liczba ich wynosiła już 37.

Tworzące się coraz to liczniej spółki pożyczkowe rychło już poczuły potrzebę koncentrowania sił swoich w przekonaniu, że w odosobnieniu nie są w stanie osięgnąć w zupełności wytkniętego sobie celu.

Za inicyatywą dobrze zasłużonego dla spółek sędziego Łyskowskiego powzięto myśl połączenia wszystkich spółek polskich w jeden związek i w tym celu zwołano na dzień 30 kwietnia 1871 r. do Poznania istniejące wówczas spółki polskie na zebranie. Stawiło się spółek 26, z tych 19 przystąpiło

---

[1]) Bank Przemysłowców liczył w końcu roku 1898 członków 2,595. Udziałoczyny członków wynosiły marek 1,218,953, wkładki depozytowe (kasa oszczędności) marek 3,111,568, fundusz rezerwowy marek 183,576. Pożyczki, udzielone na weksle, wynosiły zaś marek 4,106,314,$_{60}$. Bank Przemysłowców posiada dom własny.

odrazu do Związku, który się na tem zebraniu ukonstytuował pod nazwą „Z w i ą z e k S p ó ł e k Z a r o b k o w y c h P o l s k i c h".

Prezesem komitetu Związku został sędzia Łyskowski, główny jego inicyator, sekretarzem dr. Au, a członkami sędzia Motty, dr. Zielewicz, dr. Rakowicz i dr. Roman Szymański.

Członkowie komitetu zajęli się przedewszystkiem rozwijaniem i popieraniem idei stowarzyszeń zarobkowych wogóle i pojedyńczych spółek w szczególe, zakładają nowe spółki w Wielkiem Księstwie Poznańskiem i Prusach Zachodnich, w której to dzielnicy ś. p. dr. Rakowicz wielkie położył około rozwoju spółek zasługi, dalej zajęli się ułożeniem ustaw wzorowych dla spółek oraz kwestyami prawnemi, dotyczącemi ustawodawstwa dla spółek.

Z łona Związku wyszła myśl utworzenia instytucyi finansowej, chroniącej włościan od lichwy, a przytem mającej służyć spółkom kredytem.

Na posiedzeniu Związku dnia 28 stycznia 1872 uchwalił też komitet na wniosek członka d-ra Zielewicza założenie „B a n k u W ł o ś c i a ń s k i e g o", instytucyi, do dziś prosperującej, której kierownikiem został członek komitetu Związku, dr. Rakowicz, a po jego śmierci także członek komitetu, dr. Buski.

Dnia 7 lipca 1871 uchwalono w komitecie wybrać — na wzór spółek niemieckich — p a t r o n a d l a s p ó ł e k i powołano na ten urząd ś. p. posła Kazimierza Kantaka, który czynności patronackie pełnił tylko pół roku, miejsce zaś jego objął ś. p. dr. Kazimierz Szulc, także tylko na czas krótki.

W końcu 1872 roku wybrał komitet Związku na p a t r o n a ś. p. księdza Augustyna Szamarzewskiego (od 21 stycznia 1872 r. członka komitetu), który piastował swój urząd aż do dnia śmierci (8 maja 1891 r.).

Ś. p. ksiądz Szamarzewski urodził się w Poczdamie 30 stycznia 1832 r., uczęszczał do gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu, następnie był urzędnikiem poczty, poczem poświęcił się stanowi kapłańskiemu.

Jako wikaryusz średzki, był długie lata prezesem rady nadzorczej, a później dyrektorem spółki średzkiej, która zalicza się dzięki organizacyi ś. p. księdza Szamarzewskiego do najpoważniejszych i najzasobniejszych spółek naszych. To też po dorywczych i nieudanych próbach szczęśliwy wybór uczynił komitet Związku, powołując ś. p. księdza Szamarzewskiego na patrona spółek.

Z całym zapałem objął ksiądz Szamarzewski ster spółek, od-

bywając niezmordowanie lustracye, przeprowadzając reformy i udzielając spółkom zbawiennych rad i wskazówek.

Ksiądz Szamarzewski nieocenione ma dla rozwoju naszych spółek zasługi, i imię jego na zawsze jest związane z polskiemi spółkami.

Po objęciu probostwa ostrowskiego sterane na mozolnej pracy zdrowie ś. p. księdza Szamarzewskiego zaczęło się rwać, i śmierć nieubłagana wydarła dnia 8 maja 1891 spółkom jeden z głównych filarów ich zarządu.

Po nim wybrany został kolega jego w komitecie, doświadczony i wytrawny znawca spółek, ksiądz prałat Wawrzyniak, długoletni dyrektor spółki śremskiej i wicepatron spółek. Ksiądz Wawrzyniak nie zawiódł zaufania i z prawdziwą umiejętnością przewodniczy do dziś dnia naszym spółkom.

Naczelnym patrona obowiązkiem jest zakładać nowe spółki, odbywać obok rewizyi zwyczajnych rewizye nadspodziewane i sprawdzać przez nie, czy gotówka się zgadza, czy wszystkie interesy są zapisane, czy i o ile spółki poczynione przez rewizorów monita załatwiły. Nieraz wypada patronowi zachęcać do założenia spółek, ale też i często odradzać tam, gdzie niema warunków, gwarantujących powodzenie spółki. Przepisanych prawem spółkowem rewizyi urzędowych spółek raz na dwa lata dokonywają na mocy przywileju, przez rząd udzielonego Związkowi naszemu — patron i 6 członków patronatu, wybieranego zawsze na 3 lata na sejmikach Spółek Zarobkowych.

Do środków do szerzenia zdrowych pojęć o spółkach zaliczają się zjazdy delegatów poszczególnych spółek. Na sejmikach spółek odbywa się publiczna dyskusya nad udoskonaleniem organizacyi spółek, wymiana poczynionych doświadczeń i czuwanie nad wspólnymi interesami za pomocą wspólnych sił i środków.

Sejmiki spółek odbywają się corocznie w Poznaniu lub w innem miejscu, w którem istnieje już spółka, i trwają dwa dni. Sejmik zagaja patron i zdaje delegatom Spółek sprawozdanie z czynności Związku w roku ubiegłym, ze stanu kasy Związku i rewizyi poszczególnych spółek. Porządek obrad sejmiku wypełniają wszelkie aktualne sprawy spółek, jako to: sprawa kredytu, ustaw, udziałów, depozytów, weksli i instrukcyi dla rady nadzorczej, zarządu i inne, na czasie będące kwestye.

Dla przygotowania materyału pod obrady ogólnych sesyi obiera sejmik w pierwszym dniu odnośne komisye, a zadaniem tych komisyi jest przedyskutować temat wyznaczony i rezolucyę przed-

stawić przez referenta przed forum posiedzenia ogólnego, które po przeprowadzeniu dyskusyi za pomocą głosowania uchwałę swą wypowiada.

Przy objęciu urzędowania swego przejął ksiądz patron Wawrzyniak po swym poprzedniku spółek 77; dziś liczba spółek, należących do Związku [1]), wynosi 114, z których na Wielkie Księstwo Poznańskie przypada 83.

Z powyższych 114 spółek jest 19 z ograniczoną poręką, która wynosi od 100 — 1000 marek ponad obowiązkowy udział, z nieograniczoną zaś poręką spółek 95. Oprócz 13 spółek, które są zawodowemi, jako to parcelacyjne, budowlane, melioracyjne, kupieckie i rzemieślnicze, wszystkie inne są spółkami pożyczkowemi.

W miastach ma siedzibę 88 spółek, po wsiach jest spółek 26.

Liczba członków wynosiła przy objęciu patronatu przez ks. Wawrzyniaka w 1891 roku 26,000, w końcu roku 1808 — 41,950 m.

Podług zawodu i majątku dzielą się członkowie:

na właścicieli ziemskich	682
„ gospodarzy i chałupników.	21,162
„ dzierżawców	585
„ przemysłowców z własnością nieruchomą	4,844
„ „ bez własności nieruchomej	3,397
„ inne zawody z własną nieruchomością .	1,933
„ „ „ bez własnej nieruchomości .	2,805
„ nieoznaczonych	6,542

Udziałoczyny członków [2]) wynosiły
w roku 1891 mk. 2,692,463, w roku 1898 mk. 5,881,453;

Depozyta (kasa oszczędności)
w roku 1891 mk. 10,782,295, w roku 1898 mk. 26,749,760;

---

[1]) Poza związkiem stoją spółki polskie na Szląsku: w Bytomiu, Opolu, Raciborzu, Katowicach oraz spółki wielkopolskie w Kępnie, Kruszwicy, Ludzisku, Stęszewie i Spółka Szewcka w Poznaniu, które zgłosiły już przystąpienie do Związku. Spółki w Krotoszynie, Bydgoszczy, Bank Kupiecki w Ostrowie oraz Spółka Ziemska w Toruniu i Spółki parcelacyjne w Ołoboku i Wilkowie nie uznały racyi należenia do Związku, W Prusach egzystują jeszcze spółki polskie „Skarbona“ w Berlinie, i zawiązuje się Bank ludowy we Wrocławiu.

[2]) XXVII Sprawozdanie Związku Spółek Zarobkowych za rok 1898.

Fundusz rezerwowy czynił
w roku 1891 mk. 1,128,608, w roku 1898 mk. 2,263,451;
Pożyczki na weksle wynosiły
w roku 1891 mk. 14,439,916, w roku 1898 mk. 30,866,931.

Organem Związku Spółek Zarobkowych i Gospodarczych jest wychodzący od lat siedmiu „Poradnik dla Spółek" pod umiejętną redakcyą dra Józefa Kusztelana, dyrektora Banku Związku Spółek Zarobkowych.

Koroną działalności Związku Spółek pozostanie powołanie do życia centralnej instytucyi finansowej, regulującej przypływ i odpływ kapitałów spółkowych, których to myśl sejmik spółek, który się odbył dnia 23 i 24 czerwca roku 1885 w Chełmnie, urzeczywistnił. Założenie formalne instytucyi centralnej dla Spółek „Banku Związku Spółek Zarobkowych" z kapitałem tymczasowym 40,000 marek nastąpiło 21 grudnia 1885, a dyrektorem mianowano dra Kusztelana, ówczesnego prezesa rady nadzorczej „Towarzystwa pożyczkowego przemysłowców miasta Poznania", dzisiejszego „Banku Przemysłowców". Dr. Kusztelan, od r. 1882 członek komitetu Związku, wybitne zawsze zajmował miejsce w komitecie a późniejszym patronacie, i Bank Związkowy jemu głównie zawdzięcza swe założenie. Prezesem rady nadzorczej jest poseł i szambelan, Stefan Cegielski.

W kwietniu 1896 r. podwyższono kapitał zakładowy o 460,000 marek, a w listopadzie tego roku zapadła na walnem Zebraniu akcyonaryuszów Banku uchwała podwyższenia kapitału o dalsze pół miliona marek, tak, że kapitał akcyjny wynosić będzie 1 milion marek.

Bank ten jest dziś pierwszą polską instytucyą finansową pod panowaniem pruskiem, a obroty jego sięgają rocznie do 100 milionów marek z górą.

Głównymi akcyonaryuszami Banku są Spółki, które mają 1300 akcyi na 260,000 marek. Nową emisyę mają także przeważnie rozebrać spółki, aby mieć przewagę dla swych interesów spółkowych.

Przez założenie Banku Związku spółki odnoszą znaczne korzyści już to przez pozyskanie taniego i dogodnego kredytu ,już to dzięki korzystnej lokacie zbytecznych im chwilowo kapitałów. Kredyt, udzielony spółkom przez Bank Związku Spółek Zarobkowych, wynosił w końcu roku 1898 przeszło $1\frac{1}{2}$ miliona marek i tworzył

większą część ogólnej sumy pożyczek udzielonych przez Bank na weksle [1]).

* * *

Spółki nasze powstały w skromnych warunkach i gospodarowały w pierwszych latach istnienia „miedziakami". Posłuchajmy własnych słów patrona ks. Szamarzewskiego w słowie wstępnem do II-go sprawozdania za rok 1874: „Niema złota — są tylko miedziaki, które jeszcze rdza długów upadku majątkowego i niegospodarstwa zjada. Małymi kapitalikami musimy pracować, przywrócić sobie byt, mienie, stanowisko i znaczenie. Cała trudność naszego położenia polega na tem, że małymi groszami mamy ten sam cel osięgnąć, który kapitaliści z łatwością wielkimi zasobami zdobywają. Zadanie wielkie, zadanie wiekowe — bo drobny nasz grosz, jak krople w naszych rzekach, ma się wspólnemi siłami zlać w wielki prąd, aby nigdy nie przestał nazywać się prądem. Przy takiej zbiorowej pracy muszą ustać anormalne stosunki, praca, żywiona oszczędnością, podnieść się musi w wartości, a uronione mienie i przygasły byt, nowem źródłem zasilone, muszą wyjść na korzyść duchowych i materyalnych stosunków".

Sprawdziły się słowa zasłużonego patrona, i siew, rzucony przez niego, nie padł na opokę, gdyż polskie spółki zarobkowe i gospodarcze w Wielkiem Księstwie Poznańskiem i Prusach Zachodnich obracają dziś dziesiątkami milionów tak własnych funduszy, jak powierzonych im kapitałów.

Nie łudźmy się jednak postępem wielkim na tej drodze — daleko jeszcze do celu, który spółki polskie mają przed sobą, ta społeczna praca bowiem kwitnie daleko wyżej w Niemczech [2]), Francyi, Anglii i Czechach, gdzie z pracowitością, zmysłem

---

[1]) Wedle Sprawozdania Banku Związku Spółek Zarobkowych za rok 1898 wynosiły kapitały, złożone na rach. bieżący przez osoby prywatne i spółki 5,010,710 mk. Pożyczki wekslowe 3.245,365 mk. Fundusz rezerwowy i specyalny 172,436 mk.

[2]) Wedle statyst. sprawozd. z dnia 31 marca 1899 roku, jest spółek w Niemczech wogóle 16,912, z tych kredytowych 10,850. Do Związku pod kierunkiem Schulzego z Delitzsch nadesłało sprawozdanie z 927 spółek—862. Suma wypożyczonych kapitałów wynosiła 1,907 milionów marek. Udziałoczyny 121$^{2}/_{3}$ miliona marek, fundusz rezerwowy 39½ miliona marek. Razem własnego majątku prawie 161$^{1}/_{4}$ miliona marek.

oszczędności i ideą samopomocy łączą się jeszcze przyroda i bogactwa ziemi, gdy tymczasem u nas warunki inne, a co gorsza, panuje jeszcze lekkomyślność i apatya, która, niestety, społeczeństwo nasze charakteryzuje.

Każdy zaś dalszy rezultat w rozwoju spółek zależeć będzie od tego, ażeby one trzymały się i nadal wiernie pod względem ekonomicznym i moralnym jedynie zbawczej dla nich zasady samopomocy; jeżeli pozostaną—jak tego ich twórca Schulze z Delitzsch żądał [1]) — zawsze świadomemi swego wzniosłego zadania: służenia ogólnemu dobru społecznemu pod względem ekonomicznym, moralnym i obywatelskim.

Władysław Tomaszewski.

---

[1]) F. X. Probst. Die Grundlehren d. deutsch. Genoss. München, 1872.

JAGO.

(Z szekspirowych problemów).

Nazwano *Otella* szekspirowego „tragedyą zazdrości", monografią tego „potwora zielonookiego", uczucia, które szarpie i rozdziera duszę ludzką stokroć straszniej i boleśniej, niż wszelka inna namiętność.

Określenie niezbyt ścisłe i nie zupełnie trafne.

Katastrofa ostateczna — śmierć Desdemony — jest wypadkową przeróżnych prądów, ścierających się w piersi Otella, budzących się stopniowo i rozwijających współrzędnie, aby wreszcie złączyć się w jeden olbrzymi ból, szukający ulgi w wybuchu o żywiołowej sile, pełnym zgrozy i strasznej potęgi.

Otello nie działa li tylko pod wpływem opanowującej go i oślepiającej zupełnie zazdrości; czyn jego jest wynikiem szeregu motywów psychologicznych, po części pozbawionych całkowicie erotycznego podkładu. Gra w nim i obrażona miłość własna mężczyzny, który zna swą wartość, — i obrażona duma parweniusza, potomka wzgardzonej rasy, który własnemi siłami wybił się tak wysoko, — i wygórowane poczucie honoru, tkliwe na każde, choćby najlżejsze draśnięcie, — i zranione poczucie własnej godności, nie

skalanej dotąd niczem i czystej, — i obawa pogardy ludzkiej, szyderstwa i t. d., i t. d., a wreszcie — motyw niezwykłej wagi i siły: zmiana raptowna poglądu na świat, który dotąd był mu rajem, pełnym szczęścia, kwiatów, jasności, a nagle, „zmienił się w chaos", — stał się w jego oczach otchłanią czarną, pełną potworów, stekiem brudu, przewrotności i kłamstwa. Ten radykalny przewrót, zniszczenie wiary i ufności w cnotę i szlachetność, w przysięgi i uczucia, w czystość i prawdę, złamać musi naturę tak prostą i niezłożoną, świeżą i nieskalaną, zaślepia go zupełnie i odurza, ubezwładnia wszelkie inne czynności mózgu, kierując je tylko w jedną stronę.

Budzi się w nim pragnienie zemsty jak najsroższej za doznaną obelgę, za splamienie jego honoru, za złamanie mu życia, za obrazę wszystkich najszlachetniejszych jego uczuć, za ból straszny i nadludzki, przenikający cały jego organizm psychiczny. Zdaje mu się, że tylko zemsta i to zemsta jak najsroższa dać mu może zadośćuczynienie, powrócić równowagę i spokój, zagoić wszystkie rany. Pragnienie zemsty wydaje mu się obowiązkiem moralnym, a nie zbrodnią, zaślepia go zupełnie, zatraca w nim możność refleksyi i rozwagi. On pragnie zemsty; ząb za ząb, oko za oko, życie za życie.....

> Wstań, czarna zemsto, z piekielnych czeluści!
> Miłości! ustąp twe królestwo w sercu
> Nieubłaganej, krwawej nienawiści!

Pierś jego kłują tysiące żmijich żądeł; pożąda „krwi, krwi i krwi", na klęczkach przysięga:

> Jak pontyńskie morze,
> Którego wzdęta, lodem ścięta fala,
> Nie zna odpływu wstecz, lecz ciągle dąży
> Do Propontydu i do Hellespontu:
> Tak krwawa moja myśl w niepowstrzymanym
> Stałym pochodzie nigdy wstecz nie spojrzy,
> Ani się cofnie ku brzegom miłości
> I nie wprzód spocznie, aż ją bezmiar zemsty
> Całą pochłonie..... Na ten błękit nieba!
> Z całą należną czcią dla świętych ślubów
> Przysięgam, że tak będzie!

W tej chwili cel jego pragnień i dążeń staje przed nim jasny i niewzruszony. Zemsty swej dokona, choćby to i jemu śmierć przynieść miało.

. . . .

. . . .

Otello jest tragedyą zemsty — zemsty Otella na Desdemonie, Jagona na Otellu.

Dwie równoległe akcye — jedna wcześniejsza, druga późniejsza powstała z tamtej — dążą do jednej i tej samej mety, a tą metą jest zemsta.

Jago pragnie zemsty za urojoną krzywdę, którą jednak — tak samo, jak Otello winę Desdemony — uważa za pewnik bezwzględny. I stają obok siebie dwa typy wręcz przeciwne, dwie indywidualności zupełnie inne, ale przejęte tem samem uczuciem, dążące do tego samego celu. Lecz droga, którą każdy z nich zdąża do tego celu, jest zupełnie inna, zgodnie z różnicą podstawowych cech ich charakterów.

Oto problem, godny takiego arcymistrza psychologii, jakim był Szekspir.

. . . .
. . . .

Nazwano Jagona jednym z najbardziej-skomplikowanych i złożonych typów w niezrównanej galeryi szekspirowych postaci. Zrobiono zeń łotra bez czci i wiary, geniusza intrygi, przewrotności i fałszu, wcielonego szatana, działającego li tylko dla zadowolenia swych zbrodniczych popędów, uprawiającego, jako sport, jako „sztukę dla sztuki", łamanie życia tym, co się doń zbliżą, pokrywającego sofisteryą brak zupełny rzeczywistych podstaw i przyczyn swych machinacyi, okłamującego świadomie sam siebie. *L'art pour l'art*, — zbrodnia dla zbrodni, z amatorstwa, dla przyjemności szkodzenia drugim, dla napawania się widokiem ich męczarni.

Określenie nie zbyt ścisłe, a przytem — zupełnie nietrafne, fałszywe i błędne.

Jago jest rzeczywiście typem nadzwyczaj skomplikowanym; jego charakter jest konglomeratem najrozmaitszych pierwiastków, z których każdy sam w sobie wystarcza, aby, rozwinąwszy się do wyższego stopnia, zrobić z niego moralnego potwora i strasznego zbrodniarza. Jest w nim iście szatańska złośliwość i lisia przebiegłość, jest zdolność do intrygi nadludzka i mściwość bezgraniczna, jest umiejętność niezrównana przybierania maski, jakiej mu w każdej chwili potrzeba, i obłuda, doprowadzona do artyzmu, przewrotność i brak zupełny wszelkich zasad etycznych i egoizm wygórowany, jest zmysłowość i lubieżność wyrafinowana, chęć użycia i zadowolenia swych popędów, hamowana li tylko rozwagą i ostrożnością, jest ambicya niepohamowana i pragnienie wywyższenia się w jakikolwiek sposób ponad wszystkich, którzy go otaczają, a któ-

rych niższość umysłową w porównaniu z sobą widzi doskonale i przesadza we własnem pojęciu.

A przytem wszystkiem spryt genialny i inteligencya olbrzymia, zimna krew, panowanie nad sobą absolutne, spokój nieopuszczający go w najkrytyczniejszej sytuacyi, wreszcie dyalektyka i siła argumentacyi wspaniała, znajomość najtajniejszych zakątków duszy ludzkiej zupełna. Słowem jest w nim materyał na *Uebermensch'a*, stojącego po za granicami złego i dobrego, *jenseits von Gut und Böse*, ale materyał dopiero; zresztą jest on człowiekiem, a nie demonem, nie uosobieniem złego pierwiastka.

Obok niego stoi Otello, ufający absolutnie każdemu; natura tak prosta i niezłożona, że nawet nie pojmuje i pojąć nie może, iż na świecie istnieje przewrotność i fałsz, złość i nienawiść chytra i skryta, ukrywająca się pod pozorami przyjaźni i przywiązania. W pełni męskiego rozwoju i dojrzałości Otello zachował duszę dziecinnie świeżą i nieskalaną; w swem życiu całem, pełnem przygód i niebezpieczeństw, nie zdobył ani szczypty doświadczenia i znajomości ludzi i świata. Zna zewnętrzną stronę światowego życia, o wnętrzu duszy ludzkiej nic nie wie, nie ma pojęcia o czarnych głębiach i przepaściach, kryjących się pod powłoką barwnych i pociągających pozorów. Tylko w bojowym gwarze, wśród wiru i zamętu walki jest on przenikliwy i widzi jasno wszelkie plany i fortele, wybiegi i zasadzki, zdradliwość, chytrość i przebiegłość nieprzyjaciela; w życiu powszedniem tych stron ducha ludzkiego on nie zna, nie domyśla się ich istnienia, nie przeczuwa ich wcale. Sam powiada o sobie z rycerską otwartością i porywającą prostotą:

> Szorstka moja mowa,
> Obrana z krasnych wyrażeń, właściwych
> Czasom pokoju. Zaledwie to ramię
> Uczuło w sobie siedmioletnie siły,
> Od tej już pory aż dotąd, wyjąwszy
> Dziewięć ostatnich miesiący, jedynem
> Mojem zajęciem w polu i obozie
> Było wojenne rzemiosło; w sprawach
> Tego wielkiego świata mało więcej
> Powiedzieć mogę nad to, co dotyczy
> Bitw i szczegółów żołnierskiego życia.....

Naprzeciw tego wielkiego, naiwnego dziecka, staje Jago; naprzeciw optymisty bezwzględnego, który przez rożowe okulary patrzy na wszystko, co go otacza, staje ten pesymista bezwzględny, cynik i sceptyk, wyszkolony we wszystkich kunsztach przewrotno-

ści i fałszu, psycholog znakomity, znający wybornie duszę ludzką, umiejący wydobyć z niej zawsze te tony, których mu potrzeba. Ani na chwilę wątpić nie można, pod której stronie będzie zwycięstwo w tej walce.

Lecz gdzież jest przyczyna i powód walki? — jeżeli walką nazwać można to opanowanie jednej indywidualności przez drugą, wepchnięcie słabszej w położenie bez wyjścia.

. . . .

. . . .

Jago nienawidzi Otella, pragnie go zgubić i unieszczęśliwić złamać mu życie, odebrać mu to, co dlań najdroższe.

Desdemona i Emilia, Rodrygo i Cassio, wszystkie postacie, wciągnięte przez Jagona w wir intrygi, to tylko pionki, wysunięte po to, aby złowić w matnię Otella, zgubić go i zgnieść zupełnie. Źródłem tej nienawiści może być tylko jakaś wielka, straszna krzywda, — doznana rzeczywiście lub urojona —, która pomszczona być musi. Jest ból jakiś, głęboki i potężny, nurtujący w duszy Jagona, toczący ją bez przerwy, szukający ulgi i ukojenia w zemście.

Oto wrażenie, jakie robi postać Jagona na pierwszy rzut oka.

We wstępnej scenie (pierwszego aktu) Jago odkrywa przed Rodrygiem część drobną, nieznaczną swych atutów. Takiemu głupcowi i niedołędze zwierzać się przecież nie będzie; mówi mu tylko tyle, ile sam chce i ile potrzebuje, aby go utwierdzić w zaufaniu i mieć zawsze pod ręką posłuszne narzędzie. Poznajemy tu jeden motyw: obrazę wygórowanej miłości własnej i ambicyi Jagona przez mianowanie Cassia namiestnikiem Otella.

Czyż motyw tak błahy może się stać bodźcem do tak wyrafinowanej zemsty?

Nie; — stanowczo nie.

Lecz wnet padają słowa znamienne, tajemnicze, których Rodrygo nie zrozumie i nie pojmie. Jago pozostaje nadal w służbie Otella, gdyż — sam on to mówi:

> Służąc mu, służę li samemu sobie,
> Nie z przywiązania, ani obowiązku;
> Niebo mi świadkiem! ale pod pokrywką
> Taką służę dla widoków własnych.
> *Gdyby me czyny miały kiedykolwiek*
> *Wydać na zewnątrz wewnętrzny stan i dążność*
> *Mojego serca, nie długobym potem*
> *Musiał to serce nosić u rękawa*
> *Na żer dla kruków. Nie jestem, czem jestem.*

Pierwsza wskazówka tajemnicza, niezrozumiała, ale groźna, jako zapowiedź nieuchwytnej jeszcze katastrofy.

Następują sceny pod domem Brabancia, w pałacu Dożów i t. d., a wreszcie pierwszy monolog Jagona, w którym on uchyla swą przyłbicę i okazuje swe prawdziwe oblicze. I tu przejawia się olbrzymie, oddawna tajone cierpienie, toczące, jak rak, jego duszę, dzika namiętność, rozpacz, ból ogromny, nienawiść zastraszająca:

> .... Nienawidzę
> Tego Murzyna. *Chodzą pogadanki,*
> *Że on przy mojej żonie mnie luzował...*
> Może to bajka. *Nie mam pewnych danych,*
> *Że tak jest; same jednak podejrzenie*
> *Tego rodzaju starczy mi za pewność*
> *I bodzie mnie do zemsty!.....*

Jasno i wyraźnie. Czy to być może *ein ausgeklügeltes und wissentlich unechtes Motiv*, jak twierdzi cały legion komentatorów Szekspira z Gerwinusem i Brandesem na czele? Czyż to jest, jak chce Coleridge: *the motive-hunting of a motivelless malignity ?*

Nie. To jest prawda.

Tu jest klucz do rozwiązania problematu.

Jago sam wobec siebie wyjawia tajemnicę, palacą go ogniem piekielnym nie do ugaszenia. To nie sofisterya, nie sztuczne wymyślanie przyczyn nieistniejących, w które on sam nie wierzy, nie okłamywanie samego siebie. W każdem z tych słów jego tętni szczerość i prawda, ból i rozpacz.

Jak Otello nie wiele później, w chwili, gdy mu Jago kropla za kroplą sączy w ucho jad strasznych podejrzeń, tak i Jago w tej chwili łamie ręce, wije się z bólu wobec mary własnej wyobraźni, nękającej go, jak najstraszniejsza tortura, wobec podejrzeń i domysłów, które, raz wzniecone, ugasić się już nie dadzą. Jago przeszedł już te chwile rozpaczy, na które wnet patrzeć będziemy u Otella, lecz one nie doprowadziły go do gwałtownego wybuchu, bo niema w nim wulkanicznego temperamentu Maura. On tłumił w sobie ten ból, tę rozpacz, to pragnienie zemsty, on czekał długo na sposobność oddania wet za wet domniemanemu sprawcy swego nieszczęścia, i wreszcie czuje, że chwila zemsty się zbliża. Długo tajony ból wybucha na chwilę gwałtownie, lecz wnet bierze górę żelazna siła woli, zmuszająca do spokoju i rozważenia szans i planów zemsty. Wnet Jago powiedzieć może:

Plan mój osnuty,
Rzucone ziarno. Piekło i noc czarną
Wyda potworny owoc z tego ziarna....

. . . .

Jesteśmy na wybrzeżach Cypru. Burza gwałtowna.

Rozdąsane wały
Miotają się ku chmurom; bałwany,
Rozkołysane monstrualną paszczą,
Rzucają wodę w oczy Niedźwiedzicy
I zdają się chcieć zalać wieczny świecznik
Polarnej gwiazdy...

Symbol tragicznego losu, jaki oczekuje przybywających na wyspę, w tej chwili strasznej!

Cassio wita Desdemonę, Jagona, całuje na powitanie Emilię. Na ten widok dawny ból znów się odzywa w sercu Jagona, w umyśle jego budzi się nowe podejrzenie, któremu da wyraz później. Uczucia te przejawiają się na jego twarzy, widoczne są nawet oku Cassia, skoro tenże widzi potrzebę usprawiedliwienia się i uspokojenia go i zwraca się doń natychmiast:

Niech ci ta śmiałość krwi nie psuje,
Kochany Jago, — bo zwyczaj w mym kraju
Uświęca taki objaw serdeczności.

Otrzymuje w zamian cierpką, wymuszenie dowcipną odpowiedź męża Emilii:

Gdyby jej usta były dla waszmości
Podobnie szczodre, jak jej język dla mnie,
Wnetbyś był syty.

Wychodzi tu na jaw nowy szczegół, stwierdzający podstawowy rys charakteru Jagona: nieufność, niewiarę i podejrzliwość, wzmożone tkwiącem w jego duszy posądzeniem. Jemu się zdaje, iż Cassio dla tego jest tak poufały wobec Emilii, że wie o jej stosunku z Otellem i uważa ją za łatwą zdobycz. Myśl ta jest nową dlań męczarnią, a nie mija bezpowrotnie, gdyż spotykamy ją w monologu, kończącym tę scenę, w słowach Jagona:

Cassia, jak węża, opiszę przed Otellem,
Bo się *obawiam*, że i on też
Znalazł już drogę do mojego gniazda.

Jago jest zazdrosny z gruntu swego charakteru, z natury; jest to rys wrodzony, łączący się z nieufnością i niedowierzaniem, wrodzonem również i tylko spotęgowanem z biegiem czasu doświadczeniami życiowemi. W tem właśnie leży różnica między nim a Otellem. Otello z natury swej jest ufny i łatwowierny; zazdrość jego jest wytworem sztucznym, zaszczepionym w jego umysł przez Jagona i rozwijającym się szybko właśnie wskutek naiwnej łatwowierności i ufnej dobroduszności, która stanowi tło jego charakteru.

. . . .

. . . .

Następuje rozmowa Jagona z Desdemoną i Emilią — tak częsta u Szekspira szermierka na słowa, ostra i cięta, dowcipna i rubaszna nawet, w której cięcia, riposty i parady padają zręcznie i pewnie, z werwą i śmiałością; tu Jago wypowiada bez ogródek swą opinię o kobietach—szereg gorzkich, jak piołun, sarkazmów:

Obrazki z was za progiem domu,
Dzwony w pokojach, dzikie koty w kuchni;
Święte, jeżeli same co zbroicie,
Dyablice, gdy kto wam w czem nie dogodzi:
Komedyantki koło gospodarstwa,
A gospodynie w łóżku....

Głupota pięknej kobiecie nie może zawadzić,
Bo przy piękności umie każda sobie radzić...

Niech będzie, jak gęś, głupia i brzydka, jak flądra,
Potrafi to, co każda i piękna i mądra....

Taka, co krasą nęci, a nie razi pychą;
Ma język nie dla formy a jednak jest cichą;
Choć jej złota nie braknie, nie pstrzy się, jak lala;
Mogłaby, przecież sobie nie pozwala,
Gdy ma powód do gniewu i do zemsty możność,
Zniesie urazę, odwet mając za bezbożność;
Której nigdy do głowy nie przyjdzie myśl taka,
Że lepszy jest mlecz śledzia, niż ogon szczupaka,
Co powierzone sobie szanuje sekreta,
A sama nie ma żadnych—o, taka kobieta,
Warta — jeżeli tylko jest gdzie takie dziwo...
Karmić bębny i cienkie butelkować piwo...

Dodajmy do tego choć jedną tylko refleksyę z pośród innych podobnych, licznie rozsianych:

> .... Weneckie niewiasty
> Jawią częstokroć niebu takie figle,
> Jakichby mężom pokazać nie śmiały.
> Sumienie ich nie mówi: nie czyń tego —
> Ale: nie wydaj się z tem....

Skąd Jago ma te poglądy, skąd ten pesymizm, ten sceptycyzm? Przypomnijmy sobie jeszcze jego cyniczne zapatrywania na kobiety, wypowiedziane w dyalogu z Rodrygiem w trzeciej scenie pierwszego aktu i znów zapytamy: skąd te poglądy? Przecież on patrzy na świat dopiero *„od lat siedmiu cztery razy wziętych"* — skąd więc tyle doświadczenia u *dwudziesto-ośmioletniego* mężczyzny, który cały prawie okres swej dojrzałości spędził w namiocie i na okręcie, a nie u dworu i w salonach?

L'opinion que l'on a des femmes dépend de celles que l'on a connues, powiedział jakiś myśliciel francuski. Jago opiera swój sąd o kobietach na tem, co sam z ich strony doświadczył, a przeważną i główną część tego doświadczenia zawdzięcza swej żonie. Tylko smutne i bolesne rozczarowania wytworzyć mogą taki pogląd na świat. Nie wynika stąd wcale, aby jego podejrzenia co do Emilii oparte były na jakiejkolwiek realnej podstawie, istnieją one może tylko w jego wyobraźni, ale dla takiej organizacyi psychicznej wystarcza podejrzenie, „ślad śladu, cień cienia", aby zatruć goryczą całe jego życie, złamać je i wypaczyć. Wszakże on sam powiada do Otella:

> Szczęsny, kto, wiedząc o tem, że jest zdradzon,
> Może nie kochać tych, co go zdradzili;
> Ale jak wielkie cierpi ten katusze,
> Co, wielbiąc, wątpi, mając podejrzenie,
> Namiętnie kocha.....

A gdzież mamy dowód, że Jago nie kocha Emilii namiętnie?— pomimo, że jej miłości tej nie okazuje, pomimo, że jest wobec niej brutalny i szorstki?....

A dalsze jego słowa:

> Ubogi,
> Rad z swego losu, jest arcybogaty;
> Ale sam Krezus jest, jak Job, ubogi,
> Gdy się wciąż lęka, aby nie zubożał.
> Chroń Panie Boże od zazdrości wszystkich,
> Których miłuję!

Takie refleksye powstać mogą tylko w umyśle tego, co sam przeszedł burzę zazdrości straszną, sam wątpił i rozpaczał bezgranicznie, sam odczuł całą skalę cierpień i bólów nadludzkich...

. . . .

. . . .

Otello przybywa na wyspę; oboje z Desdemoną udają się na zamek. Jago po krótkiej rozmowie z Rodrygiem — w której tak samo, jak i później, w rozmowie z Cassiem objawia cały bezmiar swej lubieżności i zmysłowości — pozostaje sam. Po chwili namysłu rozważa szanse udania się powziętego już planu zemsty:

> Że się w niej (Desdemonie) Cassio kocha, temu wierzę;
> Że ona kocha jego, to prawdopodobne.
> Murzyn ma stały, szlachetny charakter:
> Choć go niecierpię, muszę mu to przyznać —
> I ani wątpić, będzie dobrym mężem
> Dla Desdemony....

I tu następuje ustęp, niezmiernie charakterystyczny, rzucający znów jaskrawe, olśniewające światło na motywy jego działania:

> *Ja ją także kocham,*
> *Nie samą tylko zmysłową miłością* —
> Jakkolwiek, prawdę mówiąc, nie dalekim
> Od tak wielkiego grzechu — *głównie jednak*
> *W widoku zemsty. Podejrzenie bowiem,*
> *Że się ten Murzyn wkradł do mej kwatery,*
> *Jak witryolem, pali mnie wnętrzności.*
> *Póty nie zdoła nic mię zaspokoić,*
> *Póki nie oddam mu wet za wet.....*

Wet za wet, ząb za ząb, oko za oko, kobieta za kobietę.... Jago nie kocha Desdemony. On pragnie ją posiąść, aby nasycić nieugaszone pragnienie zemsty, aby zranić Otella tam, gdzie — jak mniema — sam przezeń został raniony, aby odpłacić mu pięknem za nadobne i tym tryumfem bryznąć mu w oczy. Czyż to jest także sofisteryą, tworzeniem sztucznych pokrywek dla swego działania? Wieleż razy ma Jago powtarzać jedno i to samo, aby mu wreszcie wierzyli sławni „doktorowie i biegli" w Szekspirze!

Lecz Jago czuje dobrze, że on Desdemony nie uwiedzie. Chwycić się więc trzeba innych środków, aby nie utracić tak pysznej sposobności do zemsty, jaka się już później może nie nadarzy.

Plan jest gotowy:

Opętam mu duszę
Taką zazdrością, że jej nie uleczy
Żadna rozwaga.....
Zyskam Murzyna serce, zaufanie
I wdzięczność za to, że go wykieruję
Na błazna, że go z spokoju i szczęścia
W szaleństwo wtrącę.....

Natychmiast zaczyna działać. Pogrążenie Cassia w niełaskę idzie mu gładko i łatwo. Gdyby więc tylko ten cel miał na oku, gdyby chciał usunąć Cassia i sam zająć jego miejsce, to przecież dalszą swą czynność ograniczyłby do utrzymywania Cassia w oddaleniu od Otella i do bacznego strzeżenia, aby usunięty namiestnik nie odzyskał łask hetmana. Wyprawiłby go zresztą z powrotem do Wenecyi. Ale tu pokazuje się jasno, jak na dłoni, że to był tylko pretekst dobry do zamydlenia oczu Rodryga. I tej nielogiczności w swem rozumowaniu niewidzą przeróżni komentatorowie *Otella*.

Jago działa wręcz przeciwnie. Doradza Cassiowi, aby za pośrednictwem Desdemony starał się uzyskać przebaczenie Otella, i tem zbliżeniem tych dwu niewinnych istot gotuje im śmierć i zgubę.

. . . .

Klaudyusz pozbawia życia ojca hamletowego, wlewając mu w ucho zabójczy rozczyn blekotowych kropli. Tak też i Jago sączy w ucho Otella rozczyn moralnej trucizny, kropla po kropli, z wyrafinowanem okrucieństwem pastwiąc się nad swą ofiarą, stopniując dawki z rozwagą i zwolna, pewny ich skutku, obliczając z góry wrażenia i działanie każdego słowa, każdego giestu.

Stopniowanie to jest rzeczywiście mistrzowskie; musi rozbudzić jeden po drugim wszystkich demonów, drzemiących dotąd spokojnie w piersi Otella. Trzeci akt tej tragedyi to jedno z najmisterniejszych, najsubtelniejszych, najbardziej artystycznie wykończonych arcydzieł Szekspira, to niezrównana i niedościgniona prawie doskonałość psychicznej prawdy, klejnot rzeczywiście artystycznego realizmu. Napięcie nerwów każdego, kto patrzy na tortury, przez jakie przechodzi Otello, jest doprowadzone do ostatecznych granic, lecz tych granic nie przekracza nigdy. Żadne z nowszych i najnowszych

dzieł dramatycznych, tak bogatych w szarpiące nerwy efekty, nie może się równać z szekspirowym *Otellem.*

. . . .

. . . .

Akcya przechodzi w tempo coraz szybsze. Wir porywa i unosi Otella, unosić zaczyna także i Jagona, który mu już sam oprzeć się nie jest w stanie. Temperament Otella wybucha, jak wulkan; gorąca krew jego rasy zalewa mu mózg palącą falą, odbiera wszelką przytomność, wszelką możliwość pohamowania się, rozwagi, namysłu, refleksyi, zaślepia go zupełnie i unosi. Otello — jak sam mówi o sobie — to człowiek,

> Co nie był skłonny do podejrzeń, lecz,
> Raz je powziąwszy, nie był siebie panem.

Każe Jagonowi zamordować Cassia:

> Spraw, bym za trzy dni z ust twych się dowiedział,
> Że Cassio przestał żyć!

Jago nie cofa się przed tą zbrodnią, — on wiedział z góry, że tak będzie; — przyrzeka, że spełni rozkaz Otella, lecz... po chwili milczenia, pełnego walki wewnętrznej i wahania, nieśmiała prośba: „Lecz ona niech żyje"...

— Dlaczego?... Skąd myśl ratowania życia Desdemony, ochronienia jej przed śmiercią, tej Desdemony, której zgubę przecież sam zgotował? Czy to obłuda? Czy też nowy bodziec dla podniecenia mściwości Otella?

Nie. Ta obawa to przestrach przed rozmiarami, jakie przybrał wzniecony przezeń pożar. Chwila milczenia i wahania przed nieśmiałem wypowiedzeniem prośby: „Lecz ona niech żyje" — to moment, w którym odzywa się w głębiach jego duszy resztka uczciwości i wstręt przed zgubieniem istoty niewinnej i czystej, czarującej swą niewinnością i czystością, — to wyrzut sumienia pierwszy i ostatni.

Jago nie cofnąłby się przed uwiedzeniem Desdemony, aby tylko nasycić swe pragnienie zemsty, by oddać wet za wet temu, którego podejrzywa o uwiedzenie swej żony, wreszcie aby zniżyć do swego poziomu szlachetną i nieskalaną postać Desdemony, bo „czarne duchy nienawidzą białych"—ale zabijać ją? Nie. O tem nie myślał; do tego nie dążył; tego nie pragnął....

. . . .

. . . .

Za późno. Zbyt wysoko wezbrały fale, aby módz się oprzeć ich żywiołowej sile. Jago to czuje; szatańska jego postać rośnie, olbrzymieje, aby tylko wznieść się ponad ogarniające ją fale. Jago boi się już sam siebie; staje się coraz to więcej ponury, groźny, straszny. Słowa jego przybierają ton i barwę coraz to cyniczniejszą i brutalniejszą. Przemógł wyrzuty sumienia, obawę, wstręt przed zamordowaniem Desdemony. Nie czując się na siłach, ażeby walczyć przeciw porywającemu go prądowi, płynie z nim razem, stara się tylko utrzymać ponad zwierciadłem coraz to szersze kręgi zataczających fal.

Wreszcie Otello każe mu wystarać się o truciznę, aby w ten sposób pozbawić życia Desdemonę. Co za straszna ironia! Truciciel dusz ma dostarczyć trucizny dla ciała....

Tu już cofnąć się nie można. Trucizna jednak mogłaby zdradzić rzecz całą, narazić na zgubę nie tylko Otella, ale i Jagona, a tego on nie chce, tego on się boi. Znów chwila, okamgnienie namysłu i wahania,—takie pauzy i chwile milczenia to w *Otellu* olbrzymio działające środki napięcia i spotęgowania wrażeń — a potem rada: „Daj pokój, panie, truciźnie; uduś ją w łożu, w tem samem łożu, które zbeszcześciła"…. Szatański pomysł, trafiający jednak do przekonania Otella! Jago nie wątpi ani chwilę, że Otello nie przeżyje śmierci Desdemony i sam sobie życie odbierze; na tem on buduje swoje plany. Jago tryumfuje; moment, w którym otrzyma zadośćuczynienie za tyle mąk i bólów, zbliża się. Chwilowe skrupuły już przezwyciężył, przynajmniej nie pozwala im się odezwać, zagłusza je sztucznem podniecaniem i potęgowaniem swych namiętności i pożądań. Pewny jest, że tajemnica jego współdziałania w tej zbrodni pójdzie do grobu z Otellem i Desdemoną, a więc o cóż ma się zresztą troszczyć, czem kłopotać? Gdy się wszystko skończy, wówczas on żyć będzie pomszczony i bezkarny... Ale czy zadowolony i szczęśliwy?.....

Na to pytanie sam sobie nie daje odpowiedzi; nie daje mu powstać, usuwa je siłą woli, gdy mu się nasunie.....

. . . .

. . . .

W drugiej scenie czwartego aktu Jago staje przed Desdemoną, wezwany przez nią. Ona go pyta o przyczynę zmiany w usposobieniu Otella, o źródła jego zazdrości. Tu padają z ust Emilii wiele znaczące słowa:

Taki to ptaszek pomieszał był niegdyś
Zmysły i tobie i nabił ci w głowę,
Że ja mam jakieś konszachty z Otellem.

W jak ważnej chwili Szekspir rzuca te słowa! Otwierają się przed naszem okiem widnokręgi przeszłości, stają przed nami mimowolnie obrazy takie same, jak te, któreśmy przed chwilą widzieli: — obrazy męczarni okropnych, powolnego zatruwania duszy niezawodną trucizną. Widzimy Jagona na miejscu Otella, a w miejscu Jagona innego szatana mniej może przebiegłego i z innych działającego motywów....

Po raz trzeci w toku akcyi pada ta aluzya, zawsze w momentach ważnych, rzucając jasne światło na postać Jagona. A w tej tak napiętej sytuacyi, gdy całą uwagę koncentrują na siebie losy Desdemony i oczekiwanie tego, co się zdarzy w najbliższej przyszłości, Szekspir podnosi znów ten moment z przeszłości Jagona, zaznacza go znów dobitnie. Co za znaczący rzut wstecz, ewokatyw, który nie powinien, nie może przejść bez wrażenia, jakie Szekspir chciał właśnie osięgnąć.

Jago wzdryga się na te słowa Emilii, i jemu staje przed oczami cała ta przeszłość straszna i pełna cierpień nieopisanych, istotne łoże Madeja, na którem przez szereg lat znosił piekielne męczarnie. Wyrywa mu się z głębi duszy pełen rozpaczy okrzyk: „Milcz! milcz, niemądra!"....

Pocóż wspominasz tę przeszłość w chwili, gdy serce moje przepełnia tylko radość z nasyconej wreszcie zemsty, z odniesionego już prawie tryumfu,—taka jest myśl jego, której tu wypowiedzieć nie może — pocóż to wspominasz teraz, gdy ja sam bać się zaczynam rozmiarów wznieconego pożaru...

Straszny musi być wyraz jego twarzy, jego spojrzenie, skoro Emilia ani słówkiem nie odzywa się w dalszym toku rozmowy, nie miesza się do niej wcale. I jej otwierają się oczy: może ten dramat, co się rozgrywa w tej chwili, jest dziełem jej męża? To podejrzenie, ta myśl budzi się w niej w chwili, gdy Jago zamyka jej usta mimowolnym wykrzykiem. Że tak jest, dowodem jej słowa nad trupem Desdemony:

Wiem, wiem, — domyślam się,—zgaduję wszystko,
Jużem się pierwej tego domyślała.

. . . .

. . . .

Lecz w duszy Jagona rozpoczyna się w tej chwili inny proces psychiczny. On zaczyna wątpić. Jak grom, znienacka uderza weń myśl, że jego podejrzenia względem Emilii były i są tak bezpodstawne, jak podejrzenia, które on sam wzbudził w Otellu względem Desdemony. Może Emilia rzeczywiście była niewinna? Może ten, co mu zatruł duszę owem podejrzeniem, był łotrem bez czci i wiary, podłym oszczercą, takim samym, jakim on się stał względem Otella? Straszny dylemmat, stworzony jednem odezwaniem się Emilii, która widocznie nigdy tej rany nie tykała, nie zdradzała wcale, że wie o jej istnieniu.

Tysiące myśli powstają i krzyżują się w głowie Jagona w chwili, gdy na pozór uważnie słuchać musi szczebiotu uskarżającej się przed nim Desdemony. Jest roztargniony, nie może zebrać swych sił; on, co zawsze tak umie panować nad sobą, teraz nie umie odzyskać równowagi; nie słyszy prawie, co Desdemona mówi do niego; odpowiada jej urywanemi krótkiemi zdaniami, półsłówkami nic nieznaczącemi, chce przerwać rozmowę, którą zaczął tak zadowolony sam z siebie, z taką werwą, tak swobodnie. Chce pozostać sam z sobą, ze swojemi myślami.

W sam czas odzywa się dźwięk trąby, wzywający na ucztę, daną przez Otella dla przybyłych z Wenecyi gości. Jago wyprawia tam Desdemonę i Emilię; pozostaje sam. Głębokie westchnienie ulgi dobywa się z jego piersi. Wpada w zadumę, i znów tysiące myśli budzą się w mózgu, rozsadzają mu czaszkę. Chwyta się za głowę na pół nieprzytomny, załamuje ręce, jak szalony, przebiega widownię. Dałby życie, poświęciłby swą zemstę za jakąkolwiek pewność, taką czy inną. Lecz zbyt głęboko tkwi w piersi żądło zatrute, wydobyć się ono już nie da. Jago ani słowa wydobyć nie może z gardła, myśli jego nie dają się ująć w zdania i słowa. Szekspir wie dobrze, dlaczego nie korzysta z tak stosownej do monologu chwili, — ten Szekspir, któremu zarzucają zbytnie gadulstwo, zbyt obfite szafowanie monologami...

To sam na sam, pełne walki wewnętrznej, przerywa wejście Rodryga. Jago musi się opanować, on wie, że przed Rodrygiem zdradzić się nie może, bo ten głupiec zgubiłby go bez namysłu. Uspokaja się więc, jak może, nadludzkim wysiłkiem opanowuje się stopniowo. Z początku na pytania i wyrzuty rzuca odpowiedzi lakoniczne, urwane, lecz gadatliwość Rodryga ułatwia mu sytuacyę, daje czas do powzięcia postanowienia.

A postanowienie to straszne. Jago, widząc, że położenie jego jest bez wyjścia, postanawia brnąć dalej, nie cofać się już, bo na to

za późno. Być może, iż wszystko uda się pomyślnie. Niech tam Otello ginie i Desdemona, niech ginie Rodrygo i Cassio, byle tylko on wyszedł cało wraz z Emilią! Cofnąć się nie może, bo sieć, w którą oplątał Otella, mogłaby jego samego udusić. *Vogue la galère.* Będzie, co być ma. Odtąd rola Jagona z czynnej zmienia się w bierną, o tyle o ile bierną być może. Staje on się fatalistą; oczekuje tego, co przyjdzie biernie; daje się unosić falom, których tamy sam przerwał. Odtąd już nie może się wznieść do wysokości, na której przedtem utrzymywał się nieustannie z niezrównaną zręcznością. Straciwszy wiarę w prawdziwość swych podejrzeń, w domniemaną słuszność swej sprawy, traci dawną sprężystość, nie wierzy już sam w siebie i odtąd usuwa się na plan drugi, pozostawiając na pierwszym Otella i Desdemonę.

. . . .

. . . .

Cassio i Rodrygo giną. Jago oczekuje dalszych wypadków ze spokojem fatalisty, ale spokój to pozorny tylko i sztuczny; pod tą powłoką wre i kipi w jego wnętrzu; wstrząsają nim złe przeczucia, strach przed ewentualnością, że sam może zginąć od własnej broni.

. . . .

. . . .

Ale czas nareszcie rzucić okiem na postać Emilii i jej stosunek do Jagona.

Najcharakterystyczniejszym momentem jest tu dyalog między Emilią a Desdemoną w ostatniej scenie czwartego aktu.

Desdemona śpiewa pełną wdzięku i uroku, tęskną piosnkę o dziewczynie, opuszczonej przez kochanka, płaczącej pod wierzbą, ale myśl jej krąży ustawicznie około jednego pytania: skąd pochodzi raptowna zmiana w usposobieniu jej męża, skąd te obelgi i podejrzenia, które przed chwilą słyszała? Nawiązując więc do myśli, krążącej po jej mózgu, rzuca pytanie:

> Powiedz mi szczerze, Emilio, czy myślisz,
> Że są kobiety, zdolne tak okropnie
> Zdradzić swych mężów?
>
> *Emilia:* Są takie bez kwestyi.
>
> *Desdemona:* Czyżbyś za cały świat to uczyniła?
>
> *Emilia:* Hm! Świat nie fraszka; *z małej bagatelki.*
> *Zysk byłby wielki.*

Desdemona: O nie — pewna jestem,
Że nigdy tegobyś nie uczyniła!

Emilia: Z całą pewnościąbym to uczyniła
I odczyniłabym po uczynieniu.
Ma się rozumieć, żebym takiej rzeczy
Nie uczyniła za marny pierścionek
Ani za parę batystowych szmatek...
Ale za cały świat!....

Desdemona: Niebo mi świadkiem, żebym za świat cały
Nie popełniła takiego bezprawia!

Emilia: *Bezprawie takie jest bezprawiem tylko*
W opinii świata. Skorobyś pani
W nagrodę czynu cały świat posiadła,
Własnyby świat twój sądził to bezprawie;
Łatwobyś przeto mogła je uprawnić.

Desdemona: Nie sądzę, aby istniała choć jedna taka kobieta.

Emilia: Tuzin ich się znajdzie,
Nietylko jedna, i w dodatku tyle,
Ileby trzeba, żeby w krąg zaludnić
Ten świat, o któryby się ubiegały.
Rozumiem jednak, że to wina mężów,
Ilekroć żona się potknie. Jeżeli,
Zapominając o swych obowiązkach,
Na łonie innych skarby nasze trwonią,
Jeśli kaprryśną zwiedzeni zazdrością
Ścieśniają naszą swobodę, a nawet,
Co gorsza, biją nas; jeśli nam czynią
Ujmę w tem, cośmy przedtem posiadały —
Toć nic dziwnego, że w nas żółć zakipi.
Jesteśmy korne w duchu, ale przytem
I mściwe trochę. Niech wiedzą mężowie,
Iż żony mają zmysły tak, jak oni,
Że mają oczy, węch i podniebienie,
Zdolne odróżnić słodycz od goryczy,
Tak, jak i oni. Czegóż oni pragną,
Gdy nas nad inne przenoszą? Rozkoszy?
Tak myślę. Wiedzież ich k temu namiętność?
Juści tak. *A czyż my jesteśmy wolne*
Od namiętności, od żądzy rozkoszy
I od słabości bardziej, niż mężczyźni?
Niechże statkują, a potem nie mruczą,
Żeśmy złe, gdy nas oni sami złego uczą.

Oto wyznanie wiary Emilii, jej kanon etyczny. Szekspir w tym dyalogu daje nam jej sylwetkę w kilku rysach wyrazistych i znamiennych. Dodajmy tu jeszcze pogląd, wypowiedziany przy innej sposobności:

W rok, dwa po ślubie nie poznasz mężczyzny,
Oni żołądki, a myśmy ich strawą,
Chciwie nas chłoną, a gdy już są syci,
Radziby nas się pozbyć.

Wniosek z tych pobieżnych rysów nie trudny. Widoczne jest, że podejrzeniem Jagona nie brak wszelkiej podstawy. Kobieta, która tyle ujawnia doświadczenia w kwestyach dla kobiety, nie tak łatwych do uchwycenia, kobieta, która otwarcie przyznaje, że jest „korna w duchu", ale przytem i mściwa, że nie jest wolna, „od namiętności, żądzy rozkoszy i od słabości", że cnota jej i wierność zależą tylko od tego, jak wielką byłaby korzyść z ich złamania: taka kobieta nie daje dostatecznej gwarancyi co do stałości swych uczuć i odporności przeciw swym popędom, przeciw nadarzającym się jej pokusom. Co za kontrast pomiędzy nią a Desdemoną, jak świetnie i znacząco podnosi go Szekspir, właśnie tem kontrastowaniem charakteryzując oba typy!

Skoro Jago ma dopiero lat *dwadzieścia i osiem*, więc Emilia musi być znacznie młodsza od niego; może mieć, co najwyżej, lat dwadzieścia dwa, dwadzieścia cztery, musi być ładna, bo o brzydką Jago—by nie mógł być zazdrosny, musi być zalotną, kokietką, zmysłową gdyż to przebija jasno z jej własnych słów, musi się poczuwać do jakiejś winy, bo na to wskazuje całe jej zachowanie wobec męża, uległe jakby z obawy, zdradzające jakąś bojaźń wynikłą z niezbyt czystego sumienia, — na to wreszcie wskazuje objaw, że tak gadatliwa z natury w obecności męża nie mówi nic lub bardzo mało tylko.

Czy podejrzenia Jagona są słuszne i uzasadnione? Prawdopodobnie co do Otella nie; ale czyby nie uzasadnione były wobec kogo innego, to kwestya, na którą Szekspir nie daje żadnej odpowiedzi. W każdym razie Emilia nie jest kobietą, do której możnaby mieć bezgraniczne, bezwzględne zaufanie, któraby była „pewna", jak powiada bohater Sienkiewicza „Rodziny Połanieckich". Na to chciał zwrócić uwagę Szekspir, bo inaczej nie rozszerzyłby tak rozmowy Emilii z Desdemoną, nie dałby Emilii sposobności do wypowiedzenia swych poglądów i przekonań. Chciał on tu raz jeszcze dorzucić promień światła, mogący oświecić przeszłość i motywy postępowania Jagona. Inaczej cała ta rozmowa byłaby tylko (*ein retardierendes Element*, jak mówią teoretycy dramatu) balastem, obciążającym niepotrzebnie i wstrzymującym rozwój akcyi.

Emilia jest młoda, ładna, zalotna i zmysłowa, ma w sobie mnóstwo przebiegłości i sprytu; Jago jest z natury swojej zazdrosny

i podejrzliwy: — oto momenty, decydujące o ich wspólnem pożyciu, o ich przyszłości — oto czynniki, których działanie stało się zawiązkiem strasznej tragedyi. Naturalnie, jeżeli na scenie ujrzymy czterdziestoletnią matronę, okazałą i poważną, grającą rolę Emilii, to wszystkie te premisy upadną, a myśl Szekspira zgubi się, spaczy, zatraci, zniknie, — jego kreacye staną przed nami w fałszywej, niezrozumiałej sytuacyi, przemienią się w dziwolągi.

Jago jest wobec Emilii szorstki i ponury, brutalny nawet, trzyma ją w ryzach, nauczony doświadczeniem, bojąc się nowych zawikłań. Emilia boi się męża, nie chce go drażnić, nazywa go „dziwakiem", ale bliżej objawów tego dziwactwa nie wyjaśnia. Raz tylko przypomina mu „ptaszka, co mu pomieszał zmysły" podejrzeniem, rzuconem na nią i na Otella, lecz w tej chwili rozkaz męża zamyka jej usta natychmiast. Skąd Emilia wie, iż dla zazdrosnych dowodu nie trzeba, gdyż:

> Zazdrośni o to nie pytają
> Nie zawsze oni zazdroszczą dlatego,
> Że mają powód taki lub owaki,
> Ale zazdroszczą, bo zazdroszczą. Zazdrość
> Jest to poczwara, co się sama płodzi,
> Sama wylęga....

Postawmy obok tych słów aforyzmy Jagona o „podejrzeniach, co palą, jak witryol, wnętrzności" i t. p.; i zapytajmy, skąd u Emilii ta świadomość, uzupełniająca wybornie poglądy jej męża? Skąd częste w jej ustach aluzye do potwarców, co budzą zazdrość i podejrzliwość? Czy i jej potwarz nie zatruła szczęścia i życia?

. . . .

. . . .

Otello zabija Desdemonę i — tu zachodzi moment nie przewidziany przez Jagona — pod działaniem depresyi, zrozumiałej i naturalnej w jego położeniu, u trupa Desdemony, zwierza się ze wszystkiego Emilii. Emilia z początku broni się przeciw myśli, że jej przeczucia i podejrzenia się sprawdziły, woła Jagona i pyta go:

> Jeśliś nie podlec,
> Zadaj kłam temu niecnocie; on twierdzi,
> Żeś ty oskarżył przed nim jego żonę
> O wiarołomstwo. Wiem, że tak nie było,
> Nie jesteś zdolny do takiej szkarady.
> Mów, mów, bo serce moje przepełnione.

Jago, zaskoczony tak z nienacka, nie wie, jak się bronić, co mówić; złość i wściekłość go unosi; stoi, jak dzik osaczony; gmach jego machinacyi wali mu się na głowę; widzi, że jego plany i rojenia o przyszłości szczęśliwej i znośnej są zniweczone na zawsze, bo Emilia żyć z nim już nie będzie, bo nim pogardza, jako podłym oszczercą, potwornym łotrem.

„Może już nigdy nie wrócę do domu" — odpowiada mu Emilia z niebywałą u niej odwagą i energią w chwili, gdy on jej każe precz odejść. Dwuznacznik straszny. Emilia nie wie, że tem słowem zadecydowała o swym losie; ona chciała tylko zaznaczyć, że z takim łotrem pod jednym dachem żyć już nie może. Jago rozumie tę pogróżkę i, gdy Emilia odkrywa znaną jej część jego intrygi i zdradza, że on jej kazał wykraść chustkę Desdemony, przebija ją oszalały z gniewu i rozpaczy, wybiega, lecz zostaje schwytany.

Pojawia się znów na widowni, ale zmieniony zupełnie, złamany, ponury, apatyczny, zamknięty w sobie. Otello rzuca się nań z dobytym mieczem, Jago nie umyka, nie cofa się i nie zasłania, wyczekuje spokojnie śmiertelnego pchnięcia, czeka go, jak zbawienia. Daremnie. Lecz Otello nie zabija go. „Rannym, ale nie na śmierć" — woła Jago z żalem i wyrzutem, tonem skargi rozpacznej:

> Tem lepiej; wolę, że jeszcze żyć będziesz,
> Bo umrzeć — czuję to — jest szczęśliwością

opowiada mu Otello i woła:

> Spytajcie tego szatana, dlaczego
> Tak mi opętał i duszę i ciało?

Jago milczy, wpatruje się błędnem, szeroko otwartem okiem w leżącą przed nim, sztywną już Emilię; wreszcie wybucha spazmatycznem łkaniem, pada na trupa swej żony, rzucając przerywane jękami dzikiego bezgranicznego bólu, słowa:

> Próżno pytacie! Co wiecie, to wiecie!
> Od tej już chwili nieme usta moje!

Odtąd milczy już, jak zaklęty, nie daje się oderwać od zwłok tej, którą zamordował, a która mu była wszystkiem....

I milczeć będzie, choćby najsroższą go męczono torturą. Usta jego nie wyrzekną już słowa....

Żyć będzie na świecie, ale nie dla świata. Może położy głowę pod miecz katowski na placu św. Marka i, to byłoby dlań rozkoszą,

upragnionym kresem jego męczarni, a może.... może gnić będzie lata w podziemnej kaźni lub pod rozpalonemi południowem słońcem płytami ołowiu, kryjącemi dach weneckiego więzienia, rozpamiętując swe krótkie życie, pełne bólów i cierpień, zbrodni i podłości, krótkich chwil rozkoszy, zatrutych wnet raz na zawsze podejrzeniem strasznem....

Tajemnicy swej jednak nie zdradzi; motywów swego czynu nie wypowie; nie wymuszą tego na nim najokrutniejsze tortury. Lecz samotny, sam z sobą, dopóki tchu stanie w jego piersi, rozmyślać będzie ustawicznie nad pytaniem: winna czy niewinna? Jeżeli tylko ślęczenie nad tym dylematem nie pozbawi go świadomości, nie przywiedzie do szaleństwa, nie pogrąży umysłu jego w noc czarną?

Cierpienia moralne, jakie przeszedł, są niczem wobec tych, jakie go czekają.

. . . .

. . . .

To pojęcie postaci Jagona jest odmienne zupełnie i przeciwne wszystkim, jakie rozwijają najrozmaitsi komentatorowie Szekspira wogóle, a *Otella* szekspirowego w szczególności.

Wszyscy oni widzą w Jagonie demona, a nie człowieka; wcielenie złego pierwiastku, a nie istotę ludzką, działającą z czysto ludzkich pobudek i motywów!

Takie pojęcie jest wręcz sprzeczne z umysłowym kierunkiem Szekspira, z duchem ożywiającym całą jego twórczość, nadającym jej charakterystyczne piętno i wieczystą wartość.

Szekspir był realistą i werystą w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu. Jego kreacye są ludźmi z krwi i kości, ich myśli i słowa, ich czyny i postępki, ich namiętności i porywy wychodzą z motywów uchwytnych i jasno określonych, z pobudek, które od wieków były i po wszystkie czasy będą powstawać i tworzyć się w duszach ludzkich.

Wzorem, według którego Szekspir odtwarza swe kreacye, są — jak to w innem miejscu i przy innej sposobności powiedziałem — wspaniali i pełni sił żywotnych ludzie Odrodzenia; obserwował on ich zblizka, patrząc na życie najwyższych warstw towarzyskich swego kraju. Sporo tam było postaci o wielkich namiętnościach, wielkich porywach, silnych duchem i ciałem, ludzi „na miarę Fidyasza" [1]).

[1]) Adolf Strzelecki: „Szekspir i Bakon". Studyum. Wyd. drugie. Lwów, 1900.

Takiemi kreacyami „na miarę Fidyasza" są Otello i Desdemona, Jago i Emilia, ludzie o namiętnościach potężnych renesansowej epoki. Dla nich zaciasnyby był kostyum przykrojonej „na urząd" abstrakcyi, nie pomieściliby się w nim, rozsadziliby go i roznieśli w kawały. Bije od nich potężna żywotność, w ich żyłach płynie krew gorąca, a nie sok malinowy, ich mózg tworzy myśli, plany, wielkie często i olbrzymie, lecz zawsze ludzkie, zawsze oparte na gruncie czysto ludzkich namiętności i pożądań.

Żadna z postaci szekspirowych nie jest uosobieniem obstrukcyi; żadna, nawet Hamlet, który zawsze i wszędzie jest człowiekiem, zawsze i wszędzie myśli i działa, jak człowiek, zawsze z ludzkich przyczyn i powodów.

Wybornie scharakteryzował twórczość Szekspira znakomity krytyk francuski w jednem z najnowszych dzieł swoich (Emile Faguet: *Drame ancien — drame moderne*. Paris 1898), kilku tylko słowami:

„W dramatach i komedyach szekspirowskich — powiada on — *tout est peinture abondante et variée de la vie. L'impression générale d'une tragédie shakespearienne est celle d'un riche tableau de la vie humaine*".

Szekspir jest realistą, ale realistą genialnym, tak, jak wszyscy prawie najwięksi na Parnasie poeci dramatyczni. On wie, że sztuka dramatyczna ma być „zwierciadłem natury"; — „światu ma pokazywać jego postać" — jak sam w *Hamlecie* powiada.

Tak też i *Otetlo* jest „zwierciadłem natury", obrazem starcia się ludzi, przepełnionych namiętnościami wielkiemi, działających z pobudek ogólno-ludzkich.

Tak też i Jago jest człowiekiem, a nie demonem, nie ucieleśniem abstrakcyi. Postać jego w tem oświetleniu staje nam przed oczami w ostro zarysowanych konturach, jasna i wyrazista, ale rozmiary jej się zmniejszają. Pokazuje się, że w głębiach jego duszy istnieją jakieś szlachetniejsze pierwiastki, lecz przygłuszane, skarłowaciałe rozrośnięciem się i wybujaniem pierwiastków złych. Potworna zbrodniczość jego charakteru łagodnieje nieco, ale tylko na pozór; w gruncie rzeczy czyny jego są tak samo szkaradne i wstrętne, tylko motywy tych czynów uwydatniają się jasno, i to czyni nam Jagona bliższym i zrozumialszym.

...... Jedna drachma złego
Niweczy wszelkie szlachetne pierwiastki,

powiada Hamlet — a dowodem najlepszym prawdziwości tych słów jest Jago i Otello.

„Jedna drachma złego" zatruwa duszę obudwu, „niweczy w nich wszelkie szlachetne pierwiastki, a na „drachmę złego" składa się zazdrość i pragnienie zemsty, puszczenie folgi namiętnościom i dzikim popędom.

. . . .

. . . .

Otello jest tragedyą zazdrości; — jest jednak głównie tragedyą zemsty.

Obie te namiętności to *Leitmotiv* obu bohaterów tego arcydzieła, jednego z najwspanialszych w rzędzie koncepcyi Szekspira, — tragedyi, która po wszystkie czasy wzruszać będzie do głębi i porywać wszystkich patrzących na losy czterech istot, skutych z sobą łańcuchem strasznego przeznaczenia, popychającego je nieubłaganie do ostatecznej mety....

Te same namiętności w piersi dwu przeciwnych dyametralnie typów psychicznych — oto problem szekspirowego *Otella*....

Lwów. *Adolf Strzelecki.*

MIŁOŚĆ.

I.

Wśród życia mojego bez nocy i słońca,
Stargawszy wędzidła radosnych mamideł,
Samotny, jak limba, nad bezdnią łkająca,
Leżałem bez wiary w moc własnych swych skrzydeł.

A łódź ma płynęła bez steru i żagli:
Pchał wichr ją i fala, półsennie mdlejąca.
Wiedziałem, że nic mnie do brzegów nie nagli:
Płynąłem w dal ciemną, sierocą... bez... końca...

II.

Zaduma błękitów objęła świat cały,
Mdlejące opary zawisły, jak cienie,
Zielone korony drzew szumieć przestały,
I jedna melodya rozbrzmiała: milczenie.

Z zadumy błękitów, z mgieł lekkich opali
I z tego bez dźwięków boskiego śpiewania,

Którego anieli w zachwycie słuchali,
Przecudna, czarowna się postać wyłania...

Olśniewa mię twarzą tęczowo-powiewną
I płynie,.. i miała już pomknąć w dal ciemną,
Gdym rzekł jej: „Kto jesteś, czarowna królewno?“...
A widmo odparło: „Jam miłość, pójdź ze mną!“

III.

Jak pielgrzym, włosienic odziany łachmany,
Co idzie do świętych Chrystusa ołtarzy
I, wznosząc ku niebu wzrok tęskny, znękany,
O szczęściu niebiańskiem i duma, i marzy,

Tak jam szedł za widmem, zapatrzon, jak w Boga...
A duch mój w edeńskie spowity był szaty;
Piosenna, promienna wciąż wiodła nas droga
Hen... hen... do szczęśliwej, wyśnionej w snach chaty...

IV.

Milionem odcieni mój zadrgał dyadem:
Mam wiarę, moc skrzydeł i wielką moc ducha!
Nie idę już dawnych topielisk mych śladem:
Me myśli są silne, jak koła łańcucha!...

I wiem, że nie zajdzie mi gwiazda szczęśliwa:
Za jasny, za wielki, za silny jej promień!
Zanadto stalowe mych marzeń ogniwa!
— Więc ujrzę szczęśliwy ów świat oszołomień!...

V.

Gdy marzę półsennie, dolata mię zdala
Pieśń cicha i rzewna, jak gdyby zza świata...
I płynie... i drży metaliczna jej fala,
A potem znów cichnie... i... w wieczność ulata...

VI.

Czy splotę swe myśli w promienny akrostych,
Czy z rond niebotyczny wykuję obelisk,

Westchnienia do ciebie z tych pieśni mych prostych
Wciąż płyną, jak dymy z niezgasłych popielisk...

Bo jesteś, jak marmur, we snach wymarzony,
W którego kształt wszystko chce zakląć artysta —
Twe słowa mię pieszczą, jak miękkie harf tony,
Twa dusza jest dla mnie tak święta, tak czysta! —

VII.

Noc zimne swe mroki po świecie rozlała,
A pustka tak wielka w pól śnieżnych bezmiarze.
I ziemia tak trupio wydaje się biała,
Jak gdyby runęły bóstw wszystkich ołtarze.

Hen — wrota cmentarne na śniegu widnieją,
Wichr świszcze żałośnie i drzewa ugina...
I zda się, że wespół ze śnieżną zawieją
Łka rozpacz półnaga, skostniała i sina...

Wysuwa się szereg szkieletów z cmentarza
I sunie po śniegu, spuszczając w dół głowy...
Stanęły... i znikły, jak dymy z ołtarza,
A w dali się rozległ śmiech dziki, gardłowy...

VIII.

Mą duszę roztargał ból wściekły, szalony!...
Piekielna, szatańska zwycięża mię siła!...
Och!... zginął mój eden czarowny, wyśniony!
Milcz, pieśni!... Milcz, pieśni przeklęta!...
Zdradziła...

IX.

Och! byłem ci cały w łańcuchy skowany,
W łańcuchy ze złota szczerego i srebra.
Kazałaś je wyrwać—więc rwijcie, szatany,
Me ciało, me żyły, piszczele i żebra!...

Lecz gdybyście nawet mi serce wyrwali
I martwe do ziemi rzucili me ciało,
Ból wielkiby został, wykuty ze stali,
I podłe jej serce w mej krwiby zostało!...

X.

Widziałem, jak róże skrapiano w wazonie,
Ażeby przedłużyć im chwile konania...
A we mnie świetlane wspomnienie wciąż płonie,
I jad tej morfiny ma dusza pochłania!...

Wciąż wlecze się za mną zła wiedźma — tęsknota,
I myśli mi huczą i huczą, jak gongi;
Duch błąka się, niby wśród ludzi sierota,
A w dali widnieją przeszłości posągi...

Śnię długie i czarne bolesne sny moje
I wlokę swą duszę w dal ciemną, sierocą,
Bo tyś mi wypiła rozkoszy mych zdroje
I światłość dni życia zrobiłaś mi nocą!...

XI.

Wśród życia mojego bez wrażeń, bez treści,
Wśród róż, co powiędły w przeszłości szpalerze,
Wśród ciszy bezmiernej, co duszę mą pieści,
Bezduszny, bezmyślny, samotnie znów leżę...

A łódź moja płynie bez steru i żagli,
Pcha wichr ją i fala, półsennie mdlejąca,
Wiem znowu, że nic mię do brzegów nie nagli,
Płyń, łodzi... bezmyślnie... w dal ciemną... bez końca!...

Stanisław Wretowski.

KOBIETY w DRAMATACH
IBSENA.

Nowoczesne emancypacyjne dążności kobiet znalazły swój oddźwięk w piśmiennictwie dni naszych, powstała osobna literatura, poświęcona „kwestyi kobiecej". Socyologowie usiłują określić stanowisko, jakie w różnych epokach historycznych zajmowała kobieta w rodzinie i społeczeństwie; prawnicy rozstrząsają zakres praw, przyznanych jej przez państwo; badacze przyrody wyjaśnić usiłują różnice społeczne między mężczyzną a kobietą na zasadzie różnic fizyologicznych; ekonomiści wyprowadzają cały ruch ze zmienionych w naszem stuleciu warunków bytu materyalnego, odrywających całe zastępy kobiet od domowego ogniska, zmuszających je do szukania w pracy ochrony przed upokorzeniem i nędzą. W literaturze pięknej, w powieściach i dramatach, coraz częściej pojawiają się typy kobiet nowoczesnych; poeci zaznaczają ich dążenia do wiedzy, pracy, niezależności, ich walki przeciw wiekowym tradycyom, utartym formułom, przeciw pętom, jakie na umysł ich i wolę nałożyło społeczeństwo. Bolesne to nieraz, twarde starcia młodych, do życia i czynu rwących się jednostek ze starymi przesądami, odmawiającymi kobiecie prawa zdobywania wiedzy i niezależności.

W naszej literaturze pięknej, o ile ją znam, rzadko spotkać się można z postaciami, któreby wcielały dążenia i ideały nowoczesnej kobiety. Sienkiewicz nie stworzył ani jednego takiego typu. Jego kobiety to postacie nieco bierne; umieją one kochać gorąco i cierpieć w milczeniu, umieją poświęcać się, ale nie zdobywają się na żaden czyn, nie zaznaczają silniej woli swej, charakteru ani indywidualności.

Z pomiędzy licznych postaci niewieścich, występujących w literaturze współczesnej, potężną charakterystyką odznaczają się kobiety w dramatach Ibsena. Prawdziwa to galerya ciekawych typów, różnorodnych indywidualności, w które wcieliły się pragnienia, bóle, walki i bunty kobiety XIX-go stulecia. Taki indywidualista, jak Ibsen, odczuć musiał głęboko, że prawa istoty ludzkiej nieraz deptane są w kobiecie, i wystąpił w ich obronie. Ibsen nie wyprowadza niewiasty poza obręb rodziny, poza sferę stosunków domowych, stawia ją po większej części na tle codziennego, powszedniego życia średniej klasy mieszczańskiej, ukazuje szereg cichych, bolesnych, dramatów, odbywających się w jej duszy. Postacie jego żyją, czują, myślą, — to indywidualności wybitne, o charakterach, zarysowanych jasno i wyraziście, żyjące swojem własnem życiem. Kobiety Ibsena tworzą całą galeryę różnorodnych postaci: to żony, jak Nora i Ellida, dopominające się o wolność, o swe prawa, lekceważone tak długo; to matki, jak pani Alving w „Widmach", zmuszone uznać marność i bezowocność bohaterskich wysiłków całego życia, opartego na kłamstwie, fałszu, obłudzie, narzuconych im przez mniemany obowiązek, przeciwko któremu buntuje się ich szlachetna natura. Są w tej galeryi takie postacie, jak Hilda i Thea, będące natchnieniem artysty i myśliciela; jest szereg kobiet cichych, kochających, pełnych poświęcenia i zaparcia się siebie; żyją one tylko sercem, tylko uczuciem, pracują zawsze dla kogoś drogiego. Jako przykład, służy tutaj pani Linden w „Norze". Są bierne zupełnie postacie, jak pani Solness, demoniczne i silne, jak Hedda Gabler, jest wreszcie cały szereg starych panien, ciotek, sióstr i opiekunek, scharakteryzowanych po mistrzowsku. Te stary panny, przedmiot tylu szyderstw i przycinków, tak nieraz lekceważone i wyśmiewane w belletrystyce, występują u Ibsena w zupełnie innem świetle. Ileż cichego bohaterstwa, ileż bólu i walki kryje się często w ich życiu! Jak one umieją poświęcać się, jak umieją całą swą istotę innym składać w ofierze, nic wzamian nie wymagając dla siebie! To ciotka Julia w „Heddzie",

żyjąca wyłącznie dla chorych i nieszczęśliwych, to Lona i Marta w „Podporach społeczeństwa" i t. p.

W krótkim tym szkicu nie mogę kusić się nawet o wyczerpujące opracowanie przedmiotu: galerya kobiet Ibsena jest tak liczną, ciekawą, różnorodną, że wymagałaby obszerniejszego studyum, chcę tylko przedstawić typy, najbardziej charakterystyczne, najpotężniejsze indywidualności — w starciu z własnem swem sercem, społeczeństwem i otoczeniem. Jedno uczucie góruje nad innemi w utworach Ibsena; jest niem miłość prawdy, wiara, że prawda musi zatryumfować, musi ostatecznie zwyciężyć, że ona jedna prowadzi do szczęścia, daje spokój i zadowolenie. To też zwraca autor ostrze swej krytyki przeciw kłamstwu, obłudzie, przeciw krętym ścieżkom i fałszywym pozorom, chłoszcze bezwzględnie zło, gdziekolwiek się ono pojawia. Tylko przez uszlachetnienie i udoskonalenie jednostki, przez podniesienie moralnego poziomu tłumów lepszej spodziewać się możemy przyszłości. Nie pomogą reformy społeczne, prawa ani systemy, dopóki człowiek tonąć będzie w samolubstwie i ciemnocie.

Przegląd niewieścich postaci, stworzonych przez Ibsena, rozpoczynamy od „Nory", w której autor stawia nam przed oczami ów szereg błędów, popełnianych we współczesnem wychowaniu dziewcząt. Dla iluż to ojców, nawet bardzo kochających, córki są niczem innem, jak ozdobą domu! Dlatego to rozwijają w nich często ojcowie jedynie powierzchowne zalety, chcą podnieść ich powaby i wdzięki, są dumni z ich piękności, z ich „talentów". Głębiej nie sięgają, nie chcą uznać w dziewczynie człowieka, nie umieją uszanować jej indywidualności, nie uwzględniają jej pragnień ani skłonności wrodzonych. I mężowie często postępują podobnie, stawiają piękno i wdzięk niewieści ponad wykształcenie umysłu i podniosłość charakteru, — oni chcą być wolą żony i jej sumieniem, lubią częstokroć bierność, nieświadomość, słabość kobiety, by tem potężniej uwydatniła się ich siła, by nad nią mogli bezwzględnie zapanować. Tysiące kobiet poddaje się losowi i dolę swą nawet uważa za szczęśliwą. Świat dla nich to sala balowa, a w niej tyle błyskotek, uciech, przyjemności! Niech ojcowie i mężowie biorą na się ciężar wielkich obowiązków życiowych, niech pracują dla zapewnienia im strojów, zabaw, świecideł, niech biedzą się, niech walczą o rozwiązanie zagadnień naukowych, politycznych i społecznych: one od tego wszystkiego usuwają się chętnie, bo przecie ich zadaniem jest być tego twardego życia ozdobą i wdziękiem, weselem i zabawką — jest ślepo wykonywać wolę swych ojców i mężów,

być echem ich, cieniem, przyjmować za prawdę niezbitą ich życiowe dogmaty. I płynie życie ciasnem, wązkiem korytem, bez burz i niepokojów wewnętrznych, bez walk i wysiłków; brak mu głębszych wrażeń, ale zarazem brak dotkliwych cierpień myśli. To sen cichy, błoga nieświadomość. Ale przyjść może nagłe przebudzenie się ducha; kobieta, długo bierna i bezmyślna, poczuć się może człowiekiem. I zrzucić zapragnie krępujące ją pęta, zdać sobie jasno sprawę z zagadnień życiowych; zapragnie sama znaczyć coś przez siebie, myśleć i działać swobodnie, uczuje się indywidualnością odrębną, niezawisłą, za czyny swe odpowiedzialną jednostką, upomni się o swoje prawa, a zarazem cząstkę obowiązków społecznych wziąć zechce na swe ramiona. Tę właśnie chwilę przebudzenia się ducha w kobiecie, jej starcie bolesne z dotychczasowem otoczeniem wybrał Ibsen. Treść dramatu jest następująca. Piękna Nora, pełna wdzięku i uroku, jedynaczka, wypieszczona przez ojca, wychowana na salonową lalkę, na kobietę próżną, lekkomyślną i kapryśną, wychodzi za mąż za młodego adwokata, Roberta Helmera. Są przez szereg lat bezmiernie szczęśliwi, ubóstwiają się nawzajem, cieszą się trojgiem zdrowych, ładnych dzieci, życie płynie im wesoło wśród szeregu zabaw, rozrywek i przyjemności. Helmer wielbi swą żonę, odsuwa od niej wszystko, cokolwiekby mogło zakłócić pogodę jej umysłu, obchodzi się z nią, jak z rozpieszczonem, kapryśnem dzieckiem, zachwyca się wdziękiem jej i urodą. Aż nagle pogodny dotąd widnokrąg ich życia zaciemnia się; nadmierna praca nadwątliła siły Helmera, zdrowie jego jest zagrożonem, lekarze zalecają bezzwłoczny wyjazd i dłuższy pobyt na południu. On sam nie domyśla się nawet, jak poważne grozi mu niebezpieczeństwo, ale wie o tem kochająca żona, wie — i ratować go pragnie choćby kosztem największych ofiar i poświęceń. Na wyjazd zagranicę potrzeba pieniędzy, — Nora pożycza je od niejakiego Günthera na lichwiarski procent. Günther żąda, aby ojciec Nory poręczył jej weksel. Położenie jest rozpaczliwe. Nora wie, że ojciec jest złożony śmiertelną, ciężką niemocą, nie chce więc nową troską zatruwać chwil jego ostatnich, nie może doń nawet pośpieszyć, bo groźny stan zdrowia męża wymaga jej obecności. Nora nie waha się ani chwili, ona mieć musi za jakąbądź cenę środki, niezbędne do ocalenia Helmera; sama podpisuje na wekslu nazwisko ojca, zmarłego przed kilku dniami. Pobudki, skłaniające ją do tego czynu, tak są czyste i uczciwe, iż nie zdaje sobie nawet sprawy, że popełniła przestępstwo, nie zna zresztą przepisów prawnych, idzie tylko za głosem uczucia. A Helmer wierzy, że owe pieniądze Nora otrzymała od

ojca; całoroczny pobyt we Włoszech przywraca mu siły i zdrowie, życie małżonków nadal płynie szczęśliwie, tylko Norę dręczy ów dług tajemny, owe procenty lichwiarskie, które uiszczać musi w miesięcznych ratach. I ta dotąd tak lekkomyślna, próżna, rozrzutna kobieta dokonywa cudów, byleby tylko spłacić dług; niech Helmer nie dowie się nigdy, że to ona ocaliła mu życie, bo mogłoby obrazić męską jego dumę przekonanie, że żonie swej cośkolwiek zawdzięcza. Nora więc zaprowadza w wydatkach ścisłą oszczędność, odmawia sobie ulubionych strojów i łakoci, po nocach pracuje tajemnie, i blizką już zdaje się być chwila uiszczenia długu. I dumną się czuje, że pracą swą, oszczędnością, poświęceniem ocaliła życie ukochanemu Robertowi. Aż nadchodzi chwila, w której jej tajemnica ma wyjść na jaw, co druzgocze szczęście rodziny Helmerów. Robert, zostawszy dyrektorem banku, wydala Günthera, zajmującego stanowisko porzędnego urzędnika; ten, mszcząc się, listownie uwiadamia go o fałszerstwie, popełnionem przez Norę, grożąc, że, jeśli nie cofnie dymisyi, poda do sądu weksel ze sfałszowanym podpisem. Helmer wybucha oburzeniem, obwinia Norę o kłamstwo, lekkomyślność, obłudę, nie pozwala jej przyjść do słowa, gdy ona chce się usprawiedliwić. Wyrzuca sobie, że podobną kobietę darzył zaufaniem i miłością, chce ją odsunąć od wychowania dzieci, oskarża ją, że splamiła jego czyste i uczciwe nazwisko. Namyśla się, w jakiby sposób ułagodzić Günthera, aby ukryć przed światem hańbiący postępek żony. List Günthera, w którym wyraża on żal nad swoim niecnym czynem i odsyła nieszczęsny weksel, uspakaja Roberta; teraz wie, że honor jego i spokój są ocalone, raduje się z tego i chce, aby i Nora podzielała jego radość. Ale Nora jest już teraz inną kobietą: ona nie poznaje tego człowieka, którego uratowała kosztem tyloletnich ofiar i poświęceń; chciała oszczędzić mu bolesnej wiadomości za cenę własnego życia, bo pewną była, że on winę na siebie wziąć zechce i przed światem całym bronić będzie jej honoru, osłaniać przed pociskami złych i przewrotnych ludzi. Cała jej natura buntuje się przeciwko niesłusznym wyrzutom, budzi się w niej poczucie osobistej godności, tak okrutnie sponiewieranej, budzi się myśl, dusza, wola w tej dotąd pogodnej, nieświadomej, a jednak tak bezgranicznie kochającej kobiecie; budzi się żal do ojca i męża, którzy nigdy poważniejszem do niej nie odezwali się słowem, poczucie własnej nieudolności do wypełnienia trudnych obowiązków matki.

„My obliczyć i porozumieć się musimy, Robercie, mówi Nora, 8 lat żyjemy z sobą, a pierwszy to raz dopiero rozmawiamy poważnie. Ty zarówno, jak ojciec,

skrzywdziliście mnie ciężko, obchodząc się ze mną, jak z lalką, jak z zabawką; wy to winni jesteście, że ze mnie wyszło takie bierne zero, takie nic; wyście *mnie* nie kochali prawdziwie, wyście *siebie we mnie* kochali. Ja dotąd własnem nie żyłam życiem; wyście mi narzucali swe poglądy, swe pojęcia i przekonania, nigdy o moje nie pytając zdanie. Ja dzisiaj niezdolną jestem wychowywać własne dzieci, ja nawet z siebie samej, ze swojego otoczenia, ze swych obowiązków najprostszych jasno sobie zdać nie umiem sprawy. A przecież i ja jestem człowiekiem — takim, jak ty, Robercie. Ja tę moją ludzką istotę chcę odnaleźć, bo przecież ja nią byłam, zanim zostałam żoną i matką. Wyście ją we mnie sponiewierali. Dlatego opuścić chcę ciebie, dom, dzieci, sama dopiero kształcić się i uświadamiać muszę, zdobywać sobie własne przekonania, pojęcia, zasady. Chcesz mnie od tego kroku powstrzymać, powołując się na religię, na obowiązki względem dzieci, na miłość do ciebie? Czyż ja istotnie jestem religijną? ja, która nigdy nad owemi najwyższemi zagadnieniami nie pomyślałam poważniej, wiem tylko to, czego niegdyś nauczył mnie pastor, lecz czy to, co on mówił, jest prawdą, nad tem głęboko dopiero zastanowić się muszę. Co się tyczy dzieci, czyżbym ja je wychować umiała? Miłość moja do ciebie wygasła z chwilą, gdy poznałam, że nie jesteś człowiekiem, za jakiego cię miałam. Tyś dla mnie poświęcić nie chciał swojego honoru, a jednak poświęcają go miliony kobiet dla tych, których kochają prawdziwie. Stałeś się obcym dla mnie człowiekiem i musisz zwrócić mi moją wolność, swobodę rozporządzania sobą bez zastrzeżeń ani ograniczeń". —

I opuszcza Nora dom rodzinny w mroźną noc grudniową, idzie sama w świat kształcić się, uświadamiać, pracować, chce z bezmyślnej lalki przeobrazić się w samodzielnego człowieka, odnaleźć swą ludzką istotę, którą w niej zabiły i sponiewierały warunki dotychczasowego istnienia. Czy zburzone ognisko rodzinne da się kiedykolwiek rozpalić, czy połączą się w życiu dwie te dotąd tak ściśle związane z sobą istoty? „Na to chyba trzeba cudu, mówi Nora, bo oboje musielibyśmy tak bardzo zmienić się, rozwinąć, przeobrazić, aby związek nasz stał się prawdziwym związkiem małżeńskim. A w cuda ja wierzyć już przestałam".

Tem zagadnieniem kończy się dramat. Widzimy, jak podniośle Ibsen pojmuje małżeństwo, ów węzeł, łączący dwoje równych sobie istot, związek dwu samoistnych jednostek, co znają doniosłość życiowych obowiązków i łączą siły swe, by im łatwiej podołać; ów związek, w którym prawa obydwu stron zarówno są uszanowane, gdzie obiedwie indywidualności równie silnie się zaznaczają, współdziałając w trudnem zadaniu wychowania przyszłych pokoleń. W podobnie pojętej rodzinie kobieta—żona, czy córka — jest nie lalką ani bawidełkiem, ale towarzyszką życia, członkiem wielkiej rodziny ludzkiej, korzystającym ze wszystkich praw, zdobytych wiekową walką całych pokoleń, przyjmującym na siebie świadomie i dobrowolnie część obowiązków rodzinnych i obywatelskich.

W „Pani Morza” porusza Ibsen podobne, jak w „Norze”, zagadnienia. Kobieta jest tu postacią główną, osią, około której obraca się akcja dramatu. Symbolizm, właściwy wielu dziełom Ibsena, zaznacza się tutaj wyraźnie. To krytyka związków małżeńskich, opartych na wyrachowaniu, łączących ludzi, nieraz obcych sobie duchem, nie rozumiejących się wzajemnie; to bunt kobiety przeciwko egoizmowi mężczyzny, nie chcącego uznać w niej równego sobie człowieka; to wyraz pragnień swobody i niezależności, budzących się w jej piersi. Właściwie w „Pani Morza” występują trzy postaci niewieście, dwie z nich, Ellida i Boleta, odgrywają pierwszorzędną rolę, trzecia, Hilda, naszkicowana jest zaledwie kilkoma rysami; będzie ona bohaterką późniejszego dramatu Ibsena p. t. „Mistrz Solness”.

„Pani Morza” da się streścić w słowach następujących. Dr. Wangel, człowiek powszechnie szanowany, cieszący się dostatkiem i rozległą praktyką, ojciec dwu dorastających córek, nie mogąc dłużej znieść pustki i samotności w domu po śmierci żony, zawiera powtórny związek małżeński ze znacznie od siebie młodszą Ellidą, sierotą bez mienia i opieki. Dr. Wangel przywiązuje się głęboko do swej młodej żony; ale stosunek jej do córek jest obojętny, chłodny. Ellida nie czyni żadnych kroków, by pozyskać sobie ich serce i zaufanie, one znowu czują pewien żal do ojca za to, że inna zajęła miejsce ich matki, że oddany żonie mało się o nie troszczy. Dr. Wangel ani żona jego nie czują się jednak szczęśliwi: jedyny ich synek umiera, Ellidę dręczą nieokreślone tęsknoty, pragnienia, niepokój. Dnie całe spędza nad morzem, wpatrując się w nieskończoną dal; szare, powszednie życie już jej nie wystarcza, wracają ideały i rojenia jej wiośnianych lat, wcielają się w postać młodzieńca — marynarza, któremu niegdyś przysięgła miłość dozgonną. Tajemniczy marynarz, na którym cięży zbrodnia zabójstwa, błądzący lata całe po rozległych morzach i oceanach, pędzący życie awanturnicze — to postać symboliczna, streszczająca w sobie marzenia Ellidy o niezależnem, pełnem istnieniu, wolnem od wszelkiego przymusu i kłamstwa. Dawne te marzenia, dawne ideały wracają i nęcą ją ku sobie z nieprzepartą siłą, czyniąc ciężkimi węzły, skuwające ją z mężem, który nie rozumie jej cierpień i niepokojów, który nie przeczuwa nawet tych walk, co toczą się w jej duszy. Ellida pragnie zerwać owe pęta, które niegdyś nałożyła na siebie nieświadomie, bez głębszej rozwagi; chce być wolną, chce sama stanowić o swojej przyszłości, iść ku nieznanym, nęcącym ją widzia-

dłom, czuć pełnię życia, być panią swojego losu. I żąda, by mąż zwrócił jej swobodę.... Bolesna walka rozgrywa się między doktorem Wanglem a Ellidą. Widzi on jasno, że rzeczywiście obcą mu jest ta kobieta, którą przecież kocha nad życie, że nie zna jej duchowych głębin, nie rozumie jej pragnień, że nigdy przez czas kilkoletniego pożycia nie starał się zbliżyć prawdziwie do niej, porozumieć się z nią dokładnie. Czuje się w obowiązku bronić ją przed wabiącem mamidłem, przed pokusą, przed marą, zatrzymać ją przy sobie choćby wbrew jej woli, ustrzedz od burz i niebezpieczeństw, grożących jej na nowej drodze, którą obrać pragnie. To prawo swoje, ten swój mniemany obowiązek przeciwstawia Wangel gorącym dążeniom Ellidy do swobody.

„Ja twój mąż, twój lekarz, opiekun, ja działać za ciebie będę, uspokój się,— ty nie masz prawa wyboru, ja ci tego prawa odmawiam".

„Możesz mnie tutaj zatrzymać siłą, możesz użyć przemocy, ubezwładnić mnie, zniweczyć plany moje i zamiary, — to wszystko możesz przeciwko mojej woli; ale nad tem, co we mnie samej się dzieje, nie masz władzy, — ja mogę wybrać w głębi mojej istoty, wybrać ciebie, pozostać przy tobie lub iść inną drogą ku temu, co mnie wabi, nęci, pociąga. Mogę tęsknić do swoich ideałów, boleć nad zmarnowanem i zwichniętem życiem, śnić o niezmierzonych, swobodnych przestrzeniach bez granic, o szerokich widnokręgach, które zamknąłeś przedemną"

I Wangel z boleścią uznaje prawdę jej słów: on kocha przecież tę kobietę, nie chce, aby cierpiała przez niego, on już nie chce dłużej przemocą przykuwać jej do siebie i swoich, zwraca jej wolność, pozwala rozporządzać swobodnie dalszym losem, żyć innem, szerszem istnieniem. W tej to chwili dopiero poznaje Ellida, że mąż kocha ją prawdziwie — dla niej samej; poczyna cenić tę miłość, — ona dotąd tęskniła za czemś nieznanem, nieuchwytnem, za wyśnionym ideałem, którego urok znika w chwili, gdy mara przyoblec może kształty rzeczywiste; jej ciężyły dozgonne pęta, marzyła o wolności, ale skoro ujrzała się swobodną, dobrowolnie i świadomie powraca do męża, którego miłość odczuła i zrozumiała!

„To, co nieznane, to, co nęciło mnie i wabiło ku sobie, dokąd było niedościgłym ideałem, — teraz przestrasza mnie, przejmuje bojaźnią. Ja to od siebie odpycham z chwilą, gdy stało się dla mnie dostępnem, łatwem do zdobycia. Ja wracam do ciebie, mężu mój, ja powrócić mogę świadomie, swobodnie, z własnej woli los mój składam w twoje ręce" —

Drugą postacią kobiecą dramatu jest Boleta, starsza córka doktora Wangla, pasierbica Ellidy. Umysł to bystry, chciwy wie-

dzy, natura, rwąca się do życia, żądna wrażeń. Ojciec mało dba o jej wykształcenie, nie przypuszcza nawet, aby sięgnąć kiedykolwiek mogła poza ciasne koło domowych trosk i zatrudnień. Boleta po śmierci matki obejmuje zarząd całego gospodarstwa i prowadzi je mimo powtórnego ożenienia się doktora; męczy się jednak i szarpie, ciążą jej domowe stosunki i obowiązki, czuje się zbyteczną, nikomu niepotrzebną istotą, boli ją obojętność ojca, zajętego wyłącznie żoną, dusza jej rwie się do wiedzy, do światła, pragnie wyrwać się z duszącej ją atmosfery ojcowskiego domu, a nie widząc innego punktu wyjścia, zgadza się zostać żoną Arnholma, swego dawnego nauczyciela. Ten ostatni, starszy już człowiek, kocha Boletę i umie korzystać zręcznie z okoliczności, by pozyskać jej rękę. Boleta małżeństwo to uważa za środek wyzwolenia, ufa, że świat wiedzy i prawdy stanie przed nią otworem, nie zdaje sobie sprawy z czekających ją obowiązków, nie rozumie, że wkłada na siebie nowe, ciężkie pęta, że skuwa los swój z losem człowieka, którego nie kocha.

Rozejrzyjmy się dokładniej wśród naszych stosunków, przypatrzmy się wychowaniu i kształceniu dziewcząt, ich stanowisku w rodzinie, ich życiu, nie wypełnionemu często żadną poważną myślą, a przekonamy się, że Boleta nie jest wyjątkiem. Okoliczności zmuszają często dziewczęta do wyboru między bezbarwnem, biernem istnieniem a nałożeniem na się zrazu obojętnych, a potem częstokroć nienawistnych więzów. Rzadko ojcowie uznają prawa córek do indywidualnego rozwoju, stawiają im przeszkody, skoro te zająć chcą niezawisłe stanowiska, uczyć się i pracować. Nuda, poczucie życiowej pustki i bezcelowości istnienia pchają je do związków małżeńskich bez miłości. Ile stąd dramatów rodzinnych, ile cierpień, walk, bólu, ile zmarnowanych istnień, zawiedzionych nadziei! Ibsen odczuł tu krzywdę, jaką nieraz ojcowie nieświadomie wyrządzają swoim córkom, odmawiając im prawa do zdobywania wiedzy, odczuł zło, tkwiące w podobnie zawieranych małżeństwach; dlatego to postać Bolety zasługuje na uwagę, choć jest ona tylko zlekka naszkicowaną i drugorzędną odegrywa rolę.

W dramacie p. t. „Rosmersholm" bohaterką jest kobieta, Rebeka West. Trudno narazie zrozumieć tę postać, odgadnąć pobudki, kierujące jej czynami. Dopiero rozmowa w ostatnim akcie rzuca światło na bolesny dramat, jaki odegrał się przed rokiem, na sieć intryg, zręcznie przeprowadzonych przez Rebekę, na jej stosunek do Rosmera i cały proces wzajemnego na siebie oddziaływania tych dwu istot, tyle różnych, a jednak kochających się prawdziwie.

Rebeka, wezwana do Rosmersholmu, starej, szlacheckiej siedziby w Norwegii zachodniej, przez Beatę, chorą, zdenerwowaną żonę miejscowego pastora, zajmuje tam stanowisko jej towarzyszki, zyskuje jej serce i zaufanie. Biedna Beata wielbi ją bezgranicznie, obejść się nie może bez jej rady i opieki. Rebeka to osobistość niepospolita, obdarzona silną wolą, wielkim zapasem energii, ambitna, inteligentna, ale pozbawiona głębszych moralnych zasad, nie przebierająca w środkach, prowadzących do celu. Umie ona zjednywać sobie sympatyę i szacunek ogólny; urokowi jej ulega sam pastor Rosmer, który podziwia jej umysłową wyższość i śmiały sąd o rzeczach. Pod wpływem Rebeki, pod działaniem książek, które zręcznie mu umiała podsunąć, Rosmer poczyna wątpić. A chwila to właśnie, gdy w miejscowem społeczeństwie walczą dwa stronnictwa: starych i młodych, konserwatystów i radykałów. Pierwsi utrzymać usiłują powagę dawnych tradycyi, drudzy zwalczają przyszłość w imię postępu. Tak jedni, jak i drudzy, nie przebierają w środkach, dążąc do zwalczenia przeciwników. Walka wre również w duszy Rosmera; on, potomek starego rodu, który przez tyle wieków stał na straży uświęconych tradycyi, przechodzi na stronę partyi przeciwnej, wiąże się z młodym obozem, ale podniosła jego dusza potępia kłamstwa i intrygi, któremi nawzajem zwalczają się przeciwnicy. On marzy o szczęściu ludzkości, sam czysty i prawy, podjąć chce pracę około uszlachetnienia społeczeństwa; to Reheka pchnęła go na tę drogę, cichego myśliciela oderwała od książek i dumań, wskazując mu szerokie pole działalności. Najściślejszy związek łączy dwoje tych ludzi, Rosmer obejść się już nie może bez towarzystwa Rebeki, budzi się w nich miłość, ale Rosmer nie zdaje sobie sprawy z tego uczucia; rozumie je natomiast Rebeka: ona czuje, jak razem mogliby oboje być szcześliwi, jak umysł jego rozwinąłby się pod jej wpływem, jak szeroką wtedy i dobroczynną byłaby jego działalność społeczna. Ale na przeszkodzie do urzeczywistnienia tych marzeń stoi Beata, zaniedbywana coraz bardziej przez męża, a niezdolna do wzniesienia się na owe wyżyny myśli, które się przed nim otwierają. Istota to cicha, mieszcząca jednak w swem sercu nieprzebrane skarby uczucia i poświęcenia, nie wahająca się dla szczęścia ukochanego życie swe złożyć w ofierze. Czuje ona wyższość Rebeki, ulega jej wpływom, ta zaś umie korzystać z okoliczności, poświęca Beatę dla swoich rzekomo wyższych celów, dla swego osobistego szczęścia, jak i dla szczęścia Rosmera. Umie podsuwać Beacie myśli, jakoby związek z nią był dla jej męża nie-

znośnym ciężarem, wykazuje dzielące ich różnice pojęć i przekonań. Wierzy jej nieszczęśliwa Beata, boli ją obojętność Rosmera, widzi, jaki wpływ wywiera nań Rebeka, — jej rozdrażnienie nerwowe wzrasta. Wszyscy otaczający biorą to za nieuleczalną chorobę umysłową, jedna Rebeka zna jej głębokie przyczyny. Aż wreszcie, nie chcąc stać dłużej na drodze do szczęścia Rosmera, biedna chora topi się w młyńskim potoku. Pozornie więc Rebeka dopięła celu. Zdaje się, że nic nie stanie teraz na drodze do szczęścia, a jednak, kiedy Rosmer zapytuje ją, czy zechce stać się jego żoną, podporą w życiu, natchnieniem w pracy, błysk radości, ktory w jej oczach zaświecił, mija szybko, i z rozpaczą odrzuca jego żądanie; ona żoną jego być nie może, bo między nimi stoi cień nieszczęśliwej Beaty, stoją podeptane prawa moralne.

„Tak, to rzecz straszna, że teraz, kiedy mogę pić z pełnej czary szczęścia, własna moja przeszłość staje mi na przeszkodzie. Straciłam poczucie własnej niewinności, a przecież tylko w niem tkwi spokój i zadowolenie prawdziwe“.—

Nastrój całego dramatu jest nawskroś pesymistyczny; tragiczny węzeł wiąże losy trojga tych ludzi, i rozplątać go nie można bez bólu, jęku lub winy. Rebeka i Rosmer są jakby dla siebie stworzeni, a przecie nie mogą być szczęśliwi, bo nie mogą bezkarnie podeptać praw tej trzeciej, słabej i kochającej bez granic istoty. Pcha ich ku sobie siła, której nie umieją pokonać, ale jednocześnie budzi się sumienie w Rebece, cała jej natura wzdryga się i zbierać nie chce owoców z występnego czynu. Rosmer przestaje wierzyć w swe ideały życiowe, bo nigdy odnieść nie może zwycięstwa w sprawie, której zarodek leży w występku. Walczyć i pokonywać zło może tylko człowiek szczęśliwy a niewinny. I pod wpływem straszliwych wyrzutów sumienia oboje kończą życie samobójstwem — w tym samym potoku młyńskim, w krórym utopiła się Beata...

W dramacie p. t. „Mistrz Solness" występują dwie postacie niewieście, dwa wręcz odrębne typy: pani Solness, żona głównego bohatera, natura pospolita, umysł ciasny, i Hilda Wangel, uosobienie młodzieńczej siły, zapału do wszystkiego, co piękne i podniosłe. Dwie te kobiety oddziaływają na bohatera dramatu, na budowniczego Solnessa: pierwsza pragnie przykuć go do ziemi, druga pcha go ku szczytom, na wyżyny ducha.

W postaci pani Solmess chciał Ibsen stworzyć powszedni typ kobiety ograniczonej, niezdolnej wznieść się ponad zabiegi codziennego życia, kobiety, w którą jednak wpojono głębokie poczu-

cie obowiązku. Ona obowiązek swój spełnić pragnie z całą sumiennością, ale jakże ciasno go pojmuje! Poświęca własne dzieci, naraża je na śmierć pewną, opuszcza męża w stanowczej chwili, byle wypełnić zwyczajem określone przepisy i formułki, które poczytuje za swój obowiązek. W postaci Hildy uosobił Ibsen zapał młodzieńczy, co pcha ku ideałom, ku szczytnym myślom i wielkim czynom; upostaciował natchnienie, podtrzymujące mistrza, siłę do podjęcia trudnej walki z własną niemocą, do urzeczywistnienia harmonii między zamiarem a czynem, teoryą a praktyką.

Mistrz Solness jest budowniczym, ale zawód ten Ibsen pojął symbolicznie; on buduje nie gmachy pospolite, lecz systemy, teorye, kreśli drogi, po których iść ma społeczeństwo ku wyżynom dobra, piękna i prawdy. W swym duchowym rozwoju różne już przechodził koleje: w młodości przyświecały mu ideały religijne; wielbiąc Stwórcę, zachwycał się piękną i mądrą budową wszechświata, głosił chwałę Przedwiecznego, ku czci Jego stawiał świątynie i niebotyczne wieże, jako symbol pobożnej myśli, wzlatującej ku Panu. — Tej idei Solness poświęcił wszystko. Lecz niebawem nowe uczucia i poglądy w duszy jego budzić się poczęły. Odwrócił się od nieba, by zstąpić ku ziemi, od Boga ku ludziom, od dawnych ideałów religijnych ku nowym ideałom — społecznym. Dla dobra ludzi pracować począł, dla nich budować domy, tworzyć warunki szczęśliwego życia w rodzinie, słać gniazdka jasne, ciepłe, rozkoszne, gdzie ojcowie, matki i roje dziatek mogłyby pędzić życie pogodne, z tą myślą, że istnienie jest najwyższem dobrem człowieka. I pracy tej mistrz Solness poświęcił wiele lat, wiele trudów; puste place zabudował pięknymi domami, rosły jego sława, znaczenie, majątek, ale jednocześnie rosła w duszy ambicya, bo powodzenie psuło go, czyniło twardym i niesprawiedliwym względem współzawodników. Bał się Solness sił młodych, nowych prądów i dążności, co zniszczyćby mogły jego dzieła, by nowe, lepsze na ich miejsce budować. Tak więc poziom jego moralny obniżył się, nie stał on już na wysokości swoich budowli, nie dorastał do głoszonych przez się haseł. I widzi z boleścią, że szczytne marzenia o szczęściu społecznem nigdy nie dadzą się urzeczywistnić, że jego plany i reformy nie usuwają bólu, nie niszczą nędzy, że właściwie w życiu nie wybudował nic trwałego ani dobrego. Wtedy to właśnie zjawia się przed nim Hilda, przypomina mu tę wielką, jedyną chwilę z przed dziesięciu laty, gdy z wiarą wspiął się aż na szczyt niebotycznej wieży, — i w zwątpiałą duszę mistrza wlewa ufność, że owe szczyty nie są dlań niedostępne, że iść ku nim powinien, by stwierdzić czy-

nem głoszone zasady; a ona pragnie mu w tem pomódz, iść z nim ku wyżynom bez trwogi, a jeżeli sumy szczęścia ludzkiego pomnożyć nie można na ziemi, to jeszcze nie powód, by bezzwłocznie opuścić ręce: on powinien stawiać przed swem społeczeństwem zamki powietrzne na podniosłych wyżynach; ukazywać nadziemskie ideały, ku którym piąć nam się wolno, choć dosięgnąć ich nigdy nie będziemy w możności. Ale, aby zadanie to spełnić należycie, budowniczy stać musi sam na wysokości swoich własnych budowli, czynem i życiem stwierdzać głoszone prawdy, a w razie potrzeby zginąć nawet w ich obronie. Pod natchnieniem Hildy budzi się dawna siła Solnessa; on raz jeszcze chce stanąć na szczytach, budować dalej gmachy najwznioślejszej struktury, chce wierzyć w zwycięstwo swych ideałów młodzieńczych, chce się oderwać od ziemi. Ale najpotężniejszym nawet duchom zakreślone są granice. Solness wzlatuje ku niebotycznym wyżynom, ale utrzymać się na nich nie umie, — spada i roztrzaskuje sobie głowę. „A jednak doszedł do szczytu, i dźwięk harf ozwał się w górze. „O mistrzu mój!" woła z tryumfem Hilda. To krzyk potężny, pchający ludzkość coraz wyżej ku ideałom, choćby nawet pogoń za nimi miała być okupiona śmiercią.

„Hedda Gabler" to istota zagadkowa. Nikt może nie wie, kim ona jest w istocie, nie rozumie jej mąż ani stara jego ciotka, która wszystko uczynićby gotowa, byle jej dogodzić. Lecz Hedda nie tego pragnie, jej nie chodzi o miłość tych ludzi, ona sama może nie pojmuje, coby ją zaspokoić mogło, lecz w głębi duszy czuje, że drzemią tam siły jakieś, które, gdyby się zbudziły, stałyby się niezrozumiałe dla jej otoczenia. Cóż jej po miłości męża, tego człowieka, który chwilami śmiesznym jej się wydaje, a zwykle jest pospolitym mólem książkowym, bez wyższych polotów ducha! Co jej po staraniach zacnej, dobrej staruszki ciotki, która, chociaż zdolna jest do poświęceń, lecz w oczach Heddy nie posiada skrzydeł do lotu! Hedda czuje, że ma w sobie potęgę, że mogłaby nią wzbudzić wielką miłość, stać się natchnieniem geniusza. A tymczasem cóż w życiu widzi? Powszedniość, pustkę, nudę; mąż ją kocha, lecz ani on do genialnych prac nie jest uzdolniony, ani ona pomocą być mu nie może; praca jego idzie dawnym trybem, a skromne marzenia objęcia katedry profesorskiej ziścić się mają wkrótce.

Tea, dawna koleżanka Heddy, opowiada jej, że stała się natchnieniem twórczości Löwborga, że pod jej wpływem powstało nieśmiertelne dzieło z zakresu historyi cywilizacyi. Straszna zazdrość budzi się w duszy Heddy. Jakto, więc są inni, co stają się tem, do

czego Hedda uzdolnioną się czuje, gdy ona tu pędzi życie mdłe, nudne, jałowe, powszednie? Jakto, taka Tea, którą ona niegdyś za włosy targała i prześladowała za pensyonarskich czasów, ta Tea stanęła na poziemie, o którym tylko Heddzie marzyć było wolno? Jakto, Tea stała się natchnieniem Löwborga, tego samego, którego siłę Hedda odczuwała już kiedyś, o którym wie, że zdolny jest, potężny, genialny, choć siły swoje marnował wśród hulaszczego życia? Tea natchnęła go, niepozorna, słaba Tea, on przez nią uszlachetnił się, wzniósł na wyżyny, na których Hedda panowaćby chciała. Zazdrość rośnie, ogarnia jej całą istotę; pod jej wpływem niszczy genialne dzieło Löwborga, drogocenny rękopis, pod natchnieniem Tei stworzony, a Löwborgowi swoją chce narzucić wolę w wyborze śmierci,—niech choć umrze pięknie. Ale plany te zawodzą; duch jej targa się z bólu, zdać sobie sprawy nie może, czy rzeczywiście jest ona takiem niczem, czyż nie waży nic w losach tych wszystkich ludzi, którzy ją otaczają. Löwborg zginął marnie, Tea z Tesmanem, jej mężem, zabrali się do pracy, mającej unieśmiertelnić pamięć samobójcy, — a jej, Heddzie, pozostaje tylko Brack, nędzny, podły, ograniczony, co jeden zna jej tajemnicę. I czyż żyć jej dalej, czyż dalej nosić na sobie piętno nicości, powszedniości wśród nienawistnego otoczenia? Ona tak żyć nie chce i wystrzałem z rewolweru kładzie kres swemu istnieniu.

W „Heddzie Gabler" oprócz głównej bohaterki występuje nader sympatyczna postać Tei Elvsted. Cicha ta, łagodna kobieta, wcześnie osierocona przez rodziców, zmuszona pracować na siebie, jest nauczycielką w domu sędziego Elvsted, zajmuje się nadto gospodarstwem i pielęgnowaniem zawsze chorej jego żony. Po jej śmierci sędzia żeni się z Teą, chcąc tanim kosztem zyskać skrzętną gospodynią i opiekunkę dla swych dzieci. Nie rozumieją się oni wzajemnie, niema między nimi ani jednej wspólnej myśli. Tea całą siłę uczucia swojego przelewa na nauczyciela Löwborga, człowieka genialnego, który jednak dotąd marnował życie swe i zdolności wśród hulaszczych rozrywek. Tea staje się jego natchnieniem, wydobywa go z błota i uszlachetnia; pod jej wpływem Löwborg odradza się, i wspólnie pracują nad stworzeniem wielkiego dzieła o kulturze przyszłości. Ale cień innej kobiety, demonicznej i przewrotnej Heddy, staje pomiędzy nimi, niweczy genialne dzieło. Löwborg ginie; zdaje się, jakoby siły Tei wyczerpane były zupełnie, ale ona żyć będzie, żyć chce, by z bezładnych notatek odtworzyć zniszczony rękopis. Stąd czerpać będzie siłę do mozolnej pracy, do dalszego istnienia.

W dramacie p. t. „Podpory społeczeństwa" Ibsen wykazuje zepsucie i zgniliznę moralną tych wszystkich, co, mieniąc się przewodnikami innych, świecą fałszywym blaskiem pożyczonej cnoty, co swe znaczenie i stanowisko oparli na kłamstwie i występku. Przedstawia autor ciasne, obłudne stosunki małomiasteczkowe, na których tle ukazują się postaci niewieście. Kobiety występują tutaj, jako czynnik dodatni; one miłością swą, pracą i poświęceniem chcą oczyścić zepsutą atmosferę stosunków społecznych, uszlachetnić ukochane przez się istoty. Piękną jest postać Lony Hessel: bolesne rozczarowania i zawody w młodości, całe życie pełne poświęceń dla innych, bez promyka nadziei nie złamały jej duchowego hartu, nie napełniły goryczą ani zniechęceniem. Jej samodzielna natura buntowała się przeciw ciasnocie pojęć i poglądów społeczeństwa, wśród którego żyła, przeciw formułkom i blichtrom, pokrywającym ubóstwo myśli i niedołęstwo czynu. Już wcześnie z pod ogólnie obowiązujących zwyczajów i przepisów wyłamywać się śmiała, ściągając na się szyderstwo i prześladowania. Lona kochała młodego Ryszarda Bernicka, idealizowała go, czuła się nawzajem kochaną i szczęśliwą. Krótko jednak trwały chwile upojenia. Ryszard dla pieniędzy poświęcił serce szlachetnej, kochającej kobiety, poślubił jej przyrodnią siostrę, dziedziczkę znacznego majątku. Ryszard własne swe winy podstępnie zwalił na barki Jana, młodszego brata swojej żony, zbeszcześcił czyste jego nazwisko, rzucił się w wir interesów i spekulacyi finansowych, stanął na czele przedsięwzięć filantropijnych, zyskał stanowisko pierwszego w mieście obywatela. Lona wraz ze swym bratem przyrodnim Janem opuściła Europę, by na drugiej półkuli koić ból i tęsknotę. Stała się ona opiekunką młodzieńca, kształciła go, pracowała ciężko dla zaspokojenia najpierwszych potrzeb życia. Ale wspomnienie dawnej miłości mimo bolesnych zawodów nie wygasło w jej sercu; boleje ona nad moralnym upadkiem ideału swych snów młodocianych, wpływem swym pragnie uszlachetnić Bernicka, natchnąć go miłością prawdy. Lona wraca do Europy, dokonywa moralnego odrodzenia, skłania Ryszarda, by publicznem wyznaniem win swych odpokutował dawne błędy, skłania serce jego ku żonie, którą do tej pory lekceważył, wskazuje na bezgraniczną miłość Betty, której on ocenić dotąd nie próbował nawet. Lona uszczęśliwia i Jana, któremu pomaga do znalezienia godnej go towarzyszki życia, a po jego odjeździe pozostaje samotna. Dawszy szczęście tym, których kochała, usuwa się na bok, nic wzajem nie wymagając dla siebie.

Podobną postacią w „Podporach społeczeństwa" jest Marta, siostra Bernicka. Kiedyś kochała ona Jana, swego rówieśnika, przecierpiała wiele nad jego mniemaną winą, żyła nadzieją, że powróci on kiedyś z drugiej półkuli, zmyje swe błędy, że jeszcze może będą szczęśliwi. W nieobecności Jana ona spełnia obowiązek, który, jak mniema, jemu przypadł w udziale, wychowuje i kształci Dinę, biedną sierotę, której matkę, wedle jej mniemania, Jan zostawił w nędzy i opuszczeniu. Nadchodzi wreszcie po wielu latach upragniona chwila powrotu, ale lata te głęboką przepaść wykopały między nią a ukochanym. Jan to młody jeszcze człowiek, w pełni sił i zdrowia, Marta, niegdyś jego rówieśnica, czuje się teraz starszą o lat wiele. Ona już nie może być szczęśliwą, pragnie tylko dobra ukochanego, sama przykłada rękę do małżeństwa Jana z Diną, swoją wychowanką. Jej nadal wystarczyć muszą obowiązki, jakie na siebie przyjęła, szkółka ludowa, której jest opiekuńczym aniołem, biedni i chorzy, garnący się do niej po radę, wsparcie i pomoc.

„Otóż jesteśmy samotne i opuszczone — mówi Lona Hessel do Marty — my, opiekunki i wychowawczynie, obiedwie straciłyśmy dzieci nasze. Jan o mnie zapomni, cóż mu po starej przyrodniej siostrze, — mężczyźni tak łatwo rwą wszelkie węzły, stojące na drodze do ich szczęścia". —

„Byłyśmy obiedwie dla niego dobremi siostrami — odpowiada jej Marta — gdy on tam rozwijał się i kształcił pod twoim kierunkiem, wśród szerokich, swobodnych widnokręgów, ja tutaj mozolnie przędłam nitkę jego szczęścia, wychowałam mu Dinę na dobrą, dzielną towarzyszkę życia".—

Oprócz dwu tych pokrewnych sobie postaci niewieścich widzimy w „Podporach społeczeństwa" dwie inne: młodą, rwącą się do szerszego życia Dinę, którą niewinnie za błędy matki społeczeństwo na każdym kroku upokarza i depcze, oraz żonę Bernicka, cichą, bierną Betty, kochającą go bez granic, lekceważoną i usuwaną od wszystkiego — ofiarę wielkiego posagu, na który złakomił się Bernick.

Kobieta, wedle słów Ibsena, odrodziła zbutwiałe i zepsute społeczeństwo mimo podrzędnego stanowiska, jakie w niem zajmowała, odrodziła je miłością prawdy i wolności.

Najtragiczniejszą postacią kobiecą, stworzoną przez Ibsena, jest pani Helena Alving w „Widmach". Charakter to niepospolity,— szeroka inteligencya, połączona z hartem ducha i niezłomną wolą, wystawione na najboleśniejsze próby, przez jakie przejść może serce człowieka; natura prawa i szlachetna, zmuszona przez życie całe obracać się w duszącej atmosferze kłamstwa, zmuszona sama kła-

mać i udawać w imię mniemanych obowiązków, przeciwko którym wzdryga się i buntuje jej istota. Młoda i niedoświadczona, ulegając namowom matki, rękę swą oddała kapitanowi Alving, który powszechnie uchodził za najlepszą partyę w okolicy, miał bowiem majątek znaczny i stanowisko. O serce córki, o charakter człowieka, któremu oddawała swe dziecko, nie pytała matka Heleny, na szczęście dla niej śmierć wkrótce przerwała wątek jej dni, najcięższych jej oszczędzając boleści. Kapitan Alving był nędznikiem bez charakteru, pozbawionym wszelkiego moralnego zmysłu; czas trawił na pijaństwie i rozpuście. Strasznie cierpiała Helena, mąż budził w niej tylko uczucie wstrętu i pogardy, żadnego wpływu wywierać nie mogła na tego z gruntu zepsutego człowieka. Rwała się dusza jej do ideałów, odczuwała swe prawa do szczęścia i miłości, chciała wydobyć się z przygniatającej ją atmosfery domowego ogniska. W sercu jej budziło się uczucie do przyjaciela ich, codziennego gościa, pastora Mandersa. W ciemną noc zimową, gdy przepełniła się miara szaleństw kapitana Alvinga, gdy zdeptał on wszelkie względy, należne żonie i kobiecie, Helena, miotana bólem, upokorzeniem, rozpaczą, opuściła dom, szukając schronienia pod dachem pastora. W sercu Mandersa rozegrała się walka między uczuciem do tej kobiety a obowiązkiem zwrócenia jej mężowi, wprowadzenia na drogę cnoty i powinności.

„Ciężki to błąd — mówi pastor — że wy. ludzie, tylko szczęścia szukacie, a w pogoni za jego ułudnym blaskiem schodzicie z drogi obowiązku, zrzucić z siebie chcecie ciężkie krzyże, przez wyższą na was nałożone potęgę. Żona powinna bezwzględnie ulegać mężowi swojemu i panu, słuchać go, skrywać przed światem błędy jego i ułomności“.

I zwraca pastor Manders Helenę na drogę jej mniemanych obowiązków, przestaje bywać w jej domu, spokojny w sumieniu, że zwalczył niebezpieczną pokusę.

Mija lat wiele, lat, dla Heleny ciężkich, twardych, wypełnionych pracą i szeregiem bohaterskich wysiłków, by przed światem ukryć nędzę życia męża. Helena obejmuje kierunek gospodarstwa wiejskiego, zaprowadza reformy i ulepszenia, które opinia publiczna przypisuje Alvingowi. Całą jej pociechą jest syn jedyny, Oswald, okazujący od dzieciństwa niepospolity talent malarski. Matka drży o ukochane dziecko, boi się, aby zspsuta atmosfera domu nie skaziła czystej duszyczki, wysyła więc dziecko zagranicę. Kapitan Alving umiera, wyczerpany przedwcześnie życiem hulaszczem, żona pragnie i nadal, dla syna, ratować dobre jego imię, ukrywa prawdę

zarówno przed ludźmi, jak i przed Oswaldem, cały majątek męża przeznacza na budowę schroniska dla sierot. Ona nie chce tych pieniędzy, za których cenę niegdyś sprzedano jej życie, ona pragnie, aby syn nic po ojcu swym nie otrzymał w spuściźnie, aby wszystko jej tylko zawdzięczał. I łamie się dzielna ta dusza wśród strasznych zwątpień, ażali nie daremnymi będą wysiłki jej męczeńskiego żywota, wyrzuca sobie tchórzostwo, — czy nie lepiej było zerwać odważnie z tem życiem obłudy, rozstać się z mężem i oddać całkowicie wychowaniu Oswalda? czyliż kłamstwo, nawet w najlepszej popełnione myśli, może kiedykolwiek dobre wydać owoce? Darmo pani Alving poświęciła majątek kapitana na cele dobroczynne, darmo jego błędy ukrywała przed synem, ustrzedz go nie zdołała od ojcowskiego dziedzictwa. Nieuleczalna choroba mózgu — oto, co syn w spuściźnie otrzymał po ojcu. Widma przeszłości, które Helena zniszczyć usiłowała pracą swą, zaparciem i poświęceniem, wróciły po latach wielu, raniąc beznadziejnie jej uczucia macierzyńskie.

„Matko! czy ty masz serce patrzeć na moje męczarnie — mówi Oswald, czując zbliżanie się ataku, co na zawsze miał go pozbawić świadomości — widzisz, jak nędznem, bolesnem jest to życie, któreś ty mi dała, ja tak żyć nie chcę, mnie przed okropną przyszłością ogarnia lęk niewypowiedzialny... Ty jedna pomódz mi możesz, pomódz powinnaś, uwalniając mię od ciężaru istnienia. Masz tu proszki morfiny, w nich me wybawienie".

Co za groza sytuacyi! z nielicznych wyrazów zaledwie domyśleć się można, jakie uczucia wstrząsają sercem matki. Pani Alving czuje, że spełnić to musi, że spełnić powinna, jako ostatni, najcięższy obowiązek.

Czy jednak będzie miała siłę, czy biedne jej, złamane serce nie cofnie się w ostatniej chwili, na to w zakończeniu dramatu nie znajdujemy odpowiedzi...

Najpotężniejszym może z pomiędzy dramatów Ibsena jest „Wróg ludu", w którym dzielna, szlachetna osobistość staje do walki z bezmyślnym tłumem, prowadzonym na pasku przez kilku agitatorów politycznych, wyzyskujących olbrzymią tę potęgę gwoli własnym interesom i namiętnościom. Walka jednostki, poza którą jest prawo, z tłumem, mającym w sobie siłę, — oto treść dramatu. Kobiety stosunkowo małą w nim odgrywają rolę. Wybitniejszą postacią jest Petra, nauczycielka, córka bohatera, walczącego za prawdę, typ samodzielnej, szlachetnej dziewczyny, podtrzymującej ojca w chwilach, gdy wszyscy od niego odwrócili się z pogardą.

Z pomiędzy pozostałych postaci kobiecych, stworzonych przez Ibsena, na uwagę zasługuje Ryta Allmers w „Małym Eyolfie". Natura to gwałtowna, namiętna, żyjąca tylko sercem, w najwyższym stopniu zazdrosna o uczucia męża. Ona chce go mieć tylko dla siebie, strzeże tego skarbu, jak swej najdroższej własności, nienawidzi wszystkiego, cokolwiekby mogło stanąć między nimi, zająć myśl i serce Alfreda. Ryta nienawidzi dzieła, nad którem on pracuje z zapałem, patrzy z niechęcią na ukochaną przezeń siostrę, towarzyszkę jego lat młodocianych, powiernicę myśli, czuje żal nawet do własnego dziecka, małego kaleki, Eyolfa, którego wychowaniu Alfred oddaje się gorliwie. Tą namiętną miłością do męża Ryta żyje wyłącznie, poza nią nic dla niej nie istnieje na świecie; dla niej zapomina o swoich obowiązkach matki, złorzeczy własnemu dziecku; jej niedbalstwo jest przyczyną kalectwa i niedoli Eyolfa. Podobna miłość Alfredowi nie może wystarczyć, jego dusza rwie się wyżej, spełnić on pragnie poważne swe zadanie życiowe, swe obowiązki ojca, chce pracować nad dziełem o wysoce etycznej treści—o moralnej odpowiedzialności człowieka. Oni na tych wszystkich punktach porozumieć się nie mogą; Ryta być mu nie umie przyjaciółką ani towarzyszką życia. Wtem cios ciężki dotyka Allmersów: mały Eyolf tonie, a wraz z jego śmiercią zrywają się na pozór ostatnie nici, wiążące małżonków. Gorzkie wyrzuty sumienia rożdzierają im duszę, niepokoją i dręczą. Oni czują się winni śmierci dziecka, — oni, zajęci tak długo wyłącznie sobą, nie spełniali względem niego najprostszych, rodzicielskich obowiązków. Ale pod wpływem cierpienia uszlachetnia się dusza Ryty.

„Zostawiłeś, Alfredzie, w życiu mojem ogromną pustkę, którą muszę wypełnić czemś, coby zrównoważyło miłość mą dawną dla ciebie. Och! ja te straszne wyrzuty sumienia uspokoić pragnę, ja chcę się usprawiedliwić, przebłagać cienie mego biednego Eyolfa. Ja zamiast niego zająć się pragnę wszystkiemi opuszczonemi dziećmi w okolicy, dążyć chcę do polepszenia ich losu, uszlachetnienia ich duszy, oświecenia umysłu, Przez tyle lat szczęścia ja, rozporządzając dużym majątkiem, nigdy o ich nędznej nie pomyślałam doli, nigdy nic dla nich nie uczyniłam dobrego. Teraz uczynić to chcę dla pamięci mego dziecka, by powiedzieć nie było można, że jego biedne istnienie przeminęło bez śladu tu na ziemi".

Cierpienie uszlachetnia Rytę, odrywa jej myśl od czysto osobistych uczuć; na polu obowiązków społecznych spotykają się znowu małżonkowie i podają sobie dłoń do wspólnej pracy. Ryta staje się teraz prawdziwą towarzyszką życia Alfreda, pragnąc dążyć wraz z nim ku ideałom, przewodniczącym ludzkości w spełnieniu jej najpoważniejszych zadań.

Ibsen kocha prawdę, zdaje się wierzyć w jej rychłe zwycięstwo, w jej panowanie nad światem, ale tę jego wiarę gorzkie nieraz szarpią wątpliwości. Czyż rzeczywiście ta prawda jest dla wszystkich dostępną? czyż człowiek nie żyje prawie wyłącznie marami swojej wyobraźni? czyż wszystkie wierzenia i ideały, przyświecające ludzkości, nie są prostem złudzeniem? czy zdarcie złudzeń nie pogrążyłoby nas w otchłań rozpaczy i niedoli? Czy mamy dość siły, by oko w oko spotkać się z twardą rzeczywistością? czy, odsłaniając prawdę, nie zabijamy szczęścia? Owocem zwątpień tych jest „Dzika kaczka". — Ibsen to głęboki psycholog: w dramatach swoich porusza najtrudniejsze, najbardziej zawiłe i subtelne zagadnienia duszy ludzkiej, choć rzadko daje nam ich rozwiązanie. Najsilniejsze uczucie, jakiego doznajemy po zamknięciu dzieł jego, jest wysoki nastrój etyczny, owiewający całą twórczość dramaturga norweskiego.

Helena Witkowska.



Z prasy rosyjskiej.

Zadaniem zaznaczonej w nagłówku rubryki kwartalnej, którą wprowadza redakcya, jest obznajmiać czytelników z głosami prasy rosyjskiej, odzywającymi się w sprawach ekonomiczno-społecznych Cesarstwa, z opinią publiczną, rozstrząsającą zagadnienia chwili. Często bardzo zagadnienia te dotyczą bezpośrednio Królestwa Polskiego i mają ścisły związek z jego życiem ekonomicznem.

Z działu niniejszego z góry wykluczamy wszelkie kwestye natury politycznej. I bez tego jednak zabarwienia niejednego zapewne rubryka ta może zainteresować, jeżeli zważymy, że pisma rosyjskie poświęcają bardzo wiele miejsca sprawom ekonomicznym i zamieszczają często wyczerpujące w tym przedmiocie artykuły.

Oprócz działów specyalnych i szczegółowych w dziedzinie gospodarstwa społecznego dzienniki rosyjskie drukują artykuły wstępne, w których oświetlane bywają pewne objawy ogólne z uwydatnieniem pojedyńczych prądów, w danej chwili widocznych.

Dokładny obraz ujawniającej się opinii w dziennikach rosyjskich nie da się uchwycić za jednym rzutem oka. Pierwsza relacya będzie niezupełnie jeszcze wyczerpującą; w przyszłości wizerunek stanie się dokładniejszy i wszechstronniejszy.

I.

Początek 1900 r. przyniósł z sobą w różnych pismach rosyjskich szereg artykułów o stanie ekonomicznym Rosyi. Artykuły te ukazywały się bądź w dziennikach petersburskich, bądź w moskiewskich. Posłuchajmy, co w tej sprawie pisze organ zachowawców rosyjskich „Moskowskija Wiedomosti”.

Obecny świetny stan przemysłowy Rosyi wobec upadku rolnictwa i gospodarstwa wiejskiego jest zjawiskiem anormalnem, świadczącem o zmniejszeniu się stopnia zamożności wpośród znacznej części ludności rosyjskiej. Przemysł fabryczny Rosyi tymczasowo podtrzymuje swe siły, wycieńczając produkcyę wytwórczą. Cóż jednak stanie się z fabrykami i zakładami przemysłowymi, gdy środki nabywców ich produktów ostatecznie się wyczerpią? skąd otrzymywać będą materyały surowe i gdzie będą sprzedawały swoje wyroby? Zasadą kierującą w dzisiejszej polityce ekonomicznej państw cywilizowanych jest dążność do dostarczenia środków zarobkowania jaknajliczniejszej ludności. W tym celu kraje przemysłowe prowadzą upartą, coraz bardziej zaostrzającą się walkę o rynki zbytu dla swych towarów. Jednocześnie wszakże państwa te stosują energiczne środki, mające na celu podtrzymywanie gospodarstwa rolnego. Gdy zwrócimy uwagę na Niemcy i Francyę, które w sprawach przemysłu wyprzedzają znacznie Rosyę, zobaczymy, iż państwa te bez względu na to, że ludność ich dotkliwie czuje brak artykułów spożywczych, naznaczają wysoki podatek na zboże zagraniczne, aby utrzymać w kraju produkcyę rolną. Otrzymując główny dochód z przemysłu fabrycznego — państwa te usilnie starają się o podtrzymanie rolnictwa nawet ze szkodą dla swego przemysłu. Rosya w tym wypadku powinna w swej polityce ekonomicznej rządzić się tą samą zasadą.

Rozejrzawszy się w urzędowych danych statystycznych, dotyczących ekonomicznego położenia Rosyi, przychodzimy do wniosku, iż dające się słyszeć dosyć często głosy o olbrzymim rozwoju wytwórczej siły i o wybornym stanie ekonomicznym Rosyi są conajmniej przesadzone. Aby się zaznajomić z istotnym stanem rzeczy, przejdźmy kolejno rozmaite gałęzie produkcyi, opierając się na materyale, czerpanym ze statystyki urzędowej. Najpierw więc rolnictwo. Jakkolwiek trzeba przyznać, iż w oddzielnych wypadkach daje się zauważyć w rolnictwie postęp ogromny, to jednak, jeśli zbadamy ogólny stan produkcyi rolnej w Rosyi, otrzymamy rezultaty dość nawet opłakane. Najwyraźniej świadczy o tem fakt zmniej-

szenia stopnia urodzajności. Gdy porównamy cyfry, wykazujące średni urodzaj w latach ostatnich, z faktami, cytowanymi przez doświadczonych starych rolników, musimy przyjść do wniosku, że corocznie urodzaj zboża w Cesarstwie się zmniejsza. Gdy weźmiemy np. dane statystyczne, notowane przez centralny komitet statystyczny z lat 1883—1892, to okaże się, że niedobór w zbiorach za te lat dziesięć wynosi 473,7 milionów pudów, co po obliczeniu na pieniądze wyniesie więcej, niż dwieście milionów rubli.

Wprawdzie starano się o pokrycie zmniejszenia się stopnia urodzajności ilością zasiewanych obszarów, lecz ten sposób pokrywania niedoborów przy ograniczonej ilości wolnej i zdatnej pod zasiew roli nie może dać rezultatów zadawalniających O stopniowym upadku rolnictwa najlepiej świadczą sporadycznie powtarzające się lata nieurodzajne. Już w roku 1891 okazała się potrzeba zastosowania wyjątkowych środków, aby przyjść z pomocą ludności 22 gubernii. W ostatnich latach, w roku 1897 i 1898 zostały dotknięte nieurodzajem głównie gubernie środkowe, położone nad obu brzegami Wołgi. W r. zeszłym nieurodzaj ujawnił się w guberniach południowych, w najlepszych niemal będących warunkach Ledwo zaś żniwa zostały ukończone, zaczynały funkcyonować kuchnie, dostarczające pożywienia niezamożnej ludności. O upadku rolnictwa świadczy też ograniczenie ilości zboża do wysłania za granicę. Gdy w r. 1894 wysłano na zagraniczne rynki 638,939,000 pudów zboża, w roku 1898 ilość wysłanego zboża wynosi tylko 458,792,000 pudów. Tymczasem zaś, poczynając od 1896 r., ceny zboża na zagranicznych rynkach podniosły się znacznie, więc ograniczenie wywozu z Rosyi można wytłómaczyć jedynie brakiem zboża. Dane powyższe znajdujemy w ogłoszonym przez ministeryum finansów „Materyałach do statystyki handlu zbożowego".

Zobaczmy teraz, jak przedstawia się w świetle statystyki stan hodowli bydła, mającej tak ważne znaczenie w kwestyi produkcyi rolnej. Hodowla bydła powinna stopniowo się rozwijać ze względu na coraz to większe zapotrzebowania miast. Zbadajmy, w jakim stanie znajduje się hodowla bydła w Rosyi: czy się rozwija, czy dąży ku upadkowi? Do niedawna dane statystyczne o hodowli bydła w Rosyi były bardzo skąpe i niedokładne. Nawet wydawane przez ministeryum finansów studyum o „Wytwórczej sile Rosyi", obejmujące wszystkie gałęzie działalności ekonomicznej, nie podaje zupełnie szczegółów w kwestyi hodowli bydła. Dopiero w „Roczniku Ministeryum Finansów" z roku zeszłego znajdują się dokładne dosyć dane o ilości bydła w Rosyi. Z oficyalnego tego źródła czerpiemy

następujące dane do statystyki rozwoju hodowli bydła. W Rosyi Europejskiej: w 1890 roku było koni —21 milionów, bydła rogatego 28½ miliona, owiec 50 milionów, nierogacizny 11 milionów z górą. Gdy zaś zwrócimy się do danych statystycznych za rok 1898, znajdujemy koni — 18,190,000; bydła rogatego 27,263,600; owiec 41,367,400, nierogacizny 10,378,300.

Wynika stąd, iż w ciągu ośmiu lat ilość koni w Rosyi Europejskiej zmniejszyła się o 13%, bydła rogatego o 4%, owiec o 17% i nierogacizny o 6% z górą. Dodać trzeba, iż, gdy dawniej w przeciągu wielu lat Rosya była głównym dostawcą sadła na rynki europejskie, w ostatnich latach sama kupuje coraz większe transporty sadła, importowanego z zagranicy, o czem świadczą wymownie wykazy komory celnej.

Przekonawszy się niezbicie o upadku rolnictwa i hodowli, zobaczmy, jak się przedstawia kwestya przemysłu. Tutaj można się oprzeć na bardzo obfitych danych statystycznych, gdyż przemysł fabryczny stanowi przedmiot szczególnej troskliwości rosyjskiej polityki ekonomicznej. Niestety, dane te nie zalecają się nawet przypuszczalną dokładnością, konieczną przy wyprowadzeniu jakichkolwiek wniosków. Najbardziej przemawiającem do przekonania świadectwem o rozwoju ekonomicznym Rosyi ma być niezwykle szybki rozwój towarzystw akcyjnych. Według urzędowych danych kapitał zakładowy towarzystw akcyjnych, powstałych w przeciągu ostatnich czterech lat wynosi około 900 milionów rubli. Gdyby nawet powyższe dane były najdokładniejszemi, jeszcze ta imponująca cyfra 900 milionów nie mogłaby świadczyć o świetnym rozwoju przemysłu rosyjskiego. W istocie rzeczy sprawa przedstawia się w innem całkiem świetle, gdyż większość powstających nanowo jakoby towarzystw akcyjnych stanowi tylko reorganizacyę przedsiębiorstw prywatnych w akcyjne. Z tego powodu chociaż *de nomine* rozwój przemysłu zdaje się być zadziwiającym, *de facto* ogranicza się on do rozmiarów znacznie skromniejszych. Jakkolwiek dane statystyczne co do tej kwestyi nie dają należytej gwarancyi, jak to zaznaczyliśmy wyżej, jednak, opierając się na licznych z tej dziedziny pracach, możemy wyrobić sobie dosyć jasny pogląd na kwestyę rozwoju przemysłowego Rosyi. Dane te mówią zaś, co następuje.

W dniu 1 stycznia 1893 roku funkcyonowało w Rosyi 1.035 przedsiębiorstw akcyjnych, w tej liczbie 976 rosyjskich i 59 zagranicznych. Następnie w ciągu lat 5 zatwierdzono ustawy 434 nowych towarzystw. Opierając się na powyższych danych, za pomocą pro-

stego dodawania dochodzimy do wniosku, iż liczba rosyjskich towarzystw akcyjnych w roku 1898 powinna wynosić 976+434=1.410. Tymczasem z oficyalnego wydawnictwa p. t. „Handlowo-przemysłowa Rosya" dowiadujemy się że w r. 1898 liczyła Rosya 1,031 rosyjskich i 115 zagranicznych towarzystw akcyjnych, a więc razem 1,146. Jeśli więc w ciągu lat pięciu powstały w Rosyi 434 nowe towarzystwa akcyjne, to natomiast 379 dawnych zamknęło swą działalność. A ponieważ większą część nowych przedsiębiorstw akcyjnych stanowią dawne przedsiębiorstwa prywatne—zatem rozwój życia przemysłowego w Rosyi przedstawia się conajmniej dosyć wątpliwym. Wprawdzie w ciągu tych lat pięciu powstało rzeczywiście 56 nowych towarzystw akcyjnych zagranicznych, ale takowe bądźcobądź działają zawsze z uszczerbkiem dla gospodarstwa krajowego, i powstanie ich na rozwój przemysłu w Rosyi wybitnego wpływu dodatniego mieć nie może.

Tak więc w świetle statystyki urzędowej położenie ekonomiczne Rosyi, rozpatrywane w poszczególnych działach, przedstawia się w dosyć ciemnych barwach. Rolnictwo upada, hodowla bydła stale się zmniejsza, a przemysł stanowi źródło dochodów dla cudzoziemców.

Każdemu wiadomo, iż w Rosyi przemysł fabryczny cieszy się specyalnem i wyłącznem prawie poparciem, interesy wsi zaś są całkowicie ignorowane. Tym faktem tłómaczy się upadek rolnictwa i zmniejszenie się hodowli, o czem świadczy statystyka urzędowa. Ponieważ wszelka produkcya opiera się na przemyśle fabrycznym i nie mówiąc już o takich przedmiotach, jak len, wełna, konopie i tym podobnych, które muszą być zamienione na gotowe wyroby, aby stały się dopiero używalnymi, nawet zboże bez przemiany w mąkę lub kaszę nie może być przydatnem dla podtrzymania ludzkiego życia. Im więcej dany kraj się rozwija, tem większe są potrzeby jego mieszkańców, i głównem zadaniem współczesnej ekonomii politycznej jest zrównoważenie produkcyi towarów z ich zapotrzebowaniem. Dzięki dogodnym warunkom miejscowym, w których rzędzie pierwsze miejsca zajmują duża ilość ziemi i jej nizka cena, w Rosyi rozwinęła się na wielką skalę produkcya i drobny przemysł włościański. Resztki materyałów surowych Rosya wysyłała na rynki zagraniczne, otrzymując wzamian wyroby zagranicznego przemysłu fabrycznego, a zarazem takie materyały surowe, jakich sama nie produkuje np. bawełnę. W miarę powiększania się kapitałów powstawały nowe przedsięwzięcia przemysłowe stosownie do wzrastających potrzeb ludności.

To też wątpliwem się wydaje, czy należało starać się o nada-

nie innego kierunku temu naturalnemu porządkowi ekonomicznego rozwoju Rosyi. A tymczasem w polityce ekonomicznej prawie nagle zjawił się asumpt do jednostronnego popierania przemysłu i przemiany rolniczej przeważnie Rosyi w kraj fabryczny. Prąd ten ma w swym rozwoju dwa okresy. W okresie pierwszym rosyjska polityka ekonomiczna kierowała się chęcią ściągnięcia i zgromadzenia możliwie wielkich zapasów złota w Rosyi. W tym celu usilnie popierano eksport produktów rosyjskich i krępowano import zagranicznych towarów. Dbając o najbardziej dogodny dla kraju bilans handlowy, rosyjski zarząd finansowy zazdrośnie strzegł zapasów skarbu Państwa, obracając je na skupywanie złota. Zaprowadzone w tym celu możliwe oszczędności odbiły się ujemnie na produkcyi rolnej, a popieranie przemysłu fabrycznego wyraziło się wysoką taryfą celną, podnoszącą znacznie ceny najpotrzebniejszych produktów. Nie będzie zbyteczną tu uwaga, iż wzmocniona protekcya nad przemysłem fabrycznym przypada na czas najznaczniejszego spadku cen zboża na zachodnio-europejskich rynkach. Wszystkie te przyczyny dotkliwie zachwiały przemysł rolniczy, jak się to okazało w czasie głodnego roku 1891, gdy ludność gubernii, dotkniętych nieurodzajem, nie posiadała ani zapasu zboża, ani pieniędzy na zakup takowego; jednakże błąd przeszłości, niestety, nie był dostatecznem ostrzeżeniem na przyszłość.

Następny, drugi okres gorączki przemysłowej charakteryzuje rozszerzenie widnokręgów rosyjskiej polityki ekonomicznej. Tu już niema ograniczenia do skromnych stosunkowo zadań otrzymania najdogodnieszego bilansu handlowego w wewnętrznej zamianie towarów. Kwestya zwiększenia dochodów produkcyi rolnej schodzi na plan ostatni, i pojawiają się specyalne traktaty o korzyściach, płynących dla producentów z nizkich cen zboża Inni badacze starają się przekonać ogół o niezależności gospodarki rolnej od nieurodzaju. Wogólu gospodarstwo rolne w Rosyi uważa się za rzecz, która utraciła swoje pierwotne znaczenie, i na plan pierwszy wysuwa się przemysł fabryczny. Rosya zalicza się do krajów o wybitnie kapitalistycznym przemyśle fabrycznym, i zgodnie z tym poglądem określa się zadanie polityki ekonomicznej.

Od przemysłu fabrycznego oczekuje się nie tylko całkowitego zadosyćuczynienia potrzebom ludności miejscowej, lecz nawet możności eksportu jego wyrobów na rynki zagraniczne. Dążenie do konkurencyi z krajami przemysłowymi w handlu wszechświatowym wyraziło się dobitnie w zawartych w ostatnich latach przez Rosyę traktatach handlowych, gdzie starano się o ulgi dla zbytu towarów

przemysłu--fabrycznego. Tak, naprzykład, traktat handlowy, zawarty z Francyą, ani na jotę nie ułatwił wywozu rosyjskiego zboża, lecz ograniczono się jedynie ulgami dla wywozu nafty, chociaż zboża wywozi się co rok za 350 milionów rubli, a nafty tylko za 20 milionów. Taryfa rządowej drogi żelaznej Zakaukaskiej opłat za przewóz nafty, wysyłanej na rynki zagraniczne zniżoną została do normy, nie pokrywającej nawet kosztów eksploatacyi, i pomimo to wywóz nafty rozwija się nader słabo, bo, gdy w roku 1895 wywóz nafty z Rosyi wynosił 51,399,000 pudów na ogólną sumę 20,030,000 rubli, w roku 1898 odnośne cyfry przedstawiają się tak: pudów 53,779,000 na sumę 18,157,000 rubli. Dbałość o rozwój przemysłu spowodowała konieczność budowy nowych dróg żelaznych. Niezwykle szybkie pomnożenie sieci dróg żelaznych skierowane było do osiągnięcia podwójnego celu: przyciągnąć do gospodarstwa pieniężnego najliczniejszych kół ludności wiejskiej i tem zwiększyć zbyt wytworów przemysłu, a następnie dzięki olbrzymim zamówieniom na konieczne do budowy dróg żelaznych przedmioty sztucznie rozszerzyć granice produkcyi fabrycznej w Rosyi.

Przy pewnych okolicznościach specyalnych osiągnięeie tego celu nie spotkało przeszkód i uwieńczone zostało pomyślnym skutkiem.

Apologeci polityki ekonomicznej Rosyi lubią opierać się na następujących danych, określających rozmiary produkcyi fabrycznej:

Rok 1886 — 1.044 miliony rubli
„ 1893 — 1.759 „ „
„ 1896 — 2.745 „ „

Nie dotykając sprawy wiarogodności cyfr powyższych, nie dają one świadectwa o specyalnie pomyślnym stanie ekonomicznym w Rosyi. Całych stuleci trzeba było, aby uporczywą pracą doprowadzić przemysł fabryczny do miliarda rubli, a następnie w ciągu lat trzech przemysł ten odrazu wzrasta o cały miliard. Trzy lata dają ten sam rezultat, na którego osiągnięcie trzeba było całych stuleci! Przyznać należy, iż taka szybkość wzrostu przestrasza, świadcząc o sztucznych środkach, nie mających podstawy oparcia w gospodarstwie krajowem. Podobnie szybki rozwój przemysłu daje się zauważyć w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, ale tam rozwój przemysłu krok za krokiem postępuje obok rozwoju rolnictwa. O nienaturalności rozwoju przemysłu rosyjskiego świadczy i ta okoliczność, iż podczas gdy wszędzie z rozwojem przemy-

słu zjawa się obniżenie cen towarów, w Rosyi rozwój przemysłu nie daje wcale w rezultacie taniości. Następnie rozwój prawidłowy przemysłu podnosi zawsze stopień zamożności mieszkańców, w Rosyi wraz z upadkiem rolnictwa i wysokich cen produktów przemysłu zamożność ludności zmniejsza się.

Energiczny postęp w dziedzinie przemysłu powinien prowadzić do ustanowienia korzystnego dla kraju bilansu. Niestety, eksport rosyjski zmniejsza się, dowóz towarów zagranicznych do Rosyi zwiększa, i tym sposobem bilans handlowy przedstawia się coraz gorzej. Co się tyczy obdłużenia Państwa na korzyść zagranicy, to ono zamiast zmniejszania się, jakie zauważyć się daje w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, z każdym rokiem wzrasta. Według danych ministeryum skarbu suma państwowych papierów procentowych w ciągu jednego roku od 1 stycznia 1897 do 1 stycznia 1898 zwiększyła się o 154,839,097 rs.).

Jeżeli zaś przemysł fabryczny w Rosyi nie wytrzymuje konkurencyi z zagranicą na rynkach miejscowych pomimo wysokich ceł ochronnych, to czyż można liczyć na powodzenie jego w handlu międzynarodowym? Ludność miejscową można zmusić do płacenia cen wyższych, ale na rynkach wszechświatowych ceny ustanawiają się przez swobodną konkurencyę producentów, i nikt nie będzie płacił za towary rosyjskie drożej, niż za angielskie, niemieckie i francuskie. A rosyjski przemysł, pośpiesznie stworzony za zagraniczne kapitały, nie jest w stanie produkować tanich towarów. Nie może też on podtrzymywać dobrobytu w kraju, gdyż sam ciągle potrzebuje pomocy.

Ignorując produkcyę rolniczą i ześrodkowując całą swą uwagę na przemyśle fabrycznym, rosyjska polityka ekonomiczna pragnie ten ostatni uczynić podstawą całej działalności ekonomicznej kraju. Jednakże takie zmiany gruntowne w ustroju państwa, mającym swą historyczną przeszłość, nie dają się uskutecznić tak łatwo, jak się to na pierwszy rzut oka może wydawać. Szczodre subsydya i ulgi mogą rozwinąć tylko gründerstwo i wzbogacić pewnych przedsiębiorców, ale dobro społeczne nic na tem nie zyska. Rosya szczyci się rozwojem swego przemysłu nawet przy miernym stanie rolnictwa, ale jest to tylko rezultat smutnego nieporozumienia, które może doprowadzić do przykrych ostateczności.

W dalszym ciągu artykuł, który tu streszczamy za „Moskiewskiemi Wiedomostiami", przytacza dane statystyczne, czerpane z Dziennika Ministeryum Finansów, dotyczące wartości produkcyi przemysłu fabrycznego Rosyi i poddaje takowe ocenie krytycznej

wskazując niedokładne pozycye cyfrowe pewnych grup wytworów. Nie będziemy mówili—pisze autor artykułu—o tem, że do produkcyi rosyjskiego przemysłu bawełnianego zaliczono nietylko rosyjską, ale i zagraniczną bawełnę, co niezgodnie z prawdą powiększa obrót przemysłowy; okoliczność ta stanowi stały system rosyjskiej statystyki przemysłowej, która zwykle liczy jeden za dwa, a niekiedy i za więcej znacznie, jak świadczą o tem dane statystyczne o przemyśle cukrownianym.

Zatrzymajmy się jednak—ciągnie autor dalej—na innym wcale ciekawym objawie. Gdy porównamy dane statystyczne z lat różnych, dotyczące produkcyi bawełnianej, przekonamy się, iż w roku 1896 niewiadomo skąd otrzymujemy 142 miliony rubli remanentu, i chyba dodane w celu podniesienia sławy przemysłowego rozwoju Rosyi, bo, gdy przeprowadzimy obrachunek na podstawie danych, zebranych przez ministeryum finansów, dowiemy się, że w 1896 roku, tak samo, jak i r. 1890—wyprodukowano ogółem towarów bawełnianych 11,934,000 pudów wartości 388,810 tysięcy rubli, a tymczasem statystyka przemysłowa wskazuje sumę 531,345,000 rubli, a więc, jak się rzekło wyżej, o 142 miliony wyższą.

Wytknąwszy główniejsze braki rosyjskiej statystyki urzędowej, autor artykułu zastanawia się nad kwestyą, czy można przeciwstawić przemysł fabryczny Rosyi jej gospodarstwu rolnemu, jak to czyni p. M. Fedorow. Braki statystyki urzędowej znacznie wyrównał L. A. Tichomirow, wykazując, że w ogólnym rezultacie przemysł daje dochodu 40%, a 60% zaliczyć należy na materyały surowe. Przeciw temu twierdzeniu zaoponowali p. M. Fedorow, redaktor „Gazety Handlowo-Przemysłowej" i p. E. Jamioł. Autor artykułu „Mosk. Wied." na podstawie danych statystycznych, zebranych w Ameryce północnej, wykazuje zupełną prawidłowość obliczeń p. Tichomirowa, pomieszczonych w jego broszurze „Ziemia i fabryka". Dalej „Mosk. Wied." piszą:

„Istnienie rosyjskiego przemysłu fabrycznego jest w pełnej zależności od produkcyi wytwórczej. Cóżby bowiem robiły cukrownie, gdyby sadzenie buraków zostało nagle w Rosyi przerwanem?"

Niektórzy głoszą, iż w ostatecznym razie Rosya może otrzymywać materyały surowe z zagranicy. Czyż taki stan rzeczy jest możliwy? Obecnie przemysł fabryczny rosyjski korzysta z materyałów surowych po cenie tańszej, niż ta, po jakiej nabywać je można na rynkach zewnętrznych, i bez względu na tyle pomyślną okoliczność przemysł ten nie jest w stanie rozwijać się bez ochronnych opłat celnych. Gdy Rosya będzie zmuszoną

nabywać materyały na rynkach zagranicznych, przemysł jej fabryczny pozostanie na zawsze w kolebce i nie będzie mógł istnieć bez pomocy ze strony rządu. Jeszcze jest jedna okoliczność, z którą liczyć się należy. Wogóle cały przemysł fabryczny rosyjski produkuje wyłącznie dla rynku wewnętrznego, i główni nabywcy towarów rekrutują się z producentów materyałów surowych; tym sposobem przemysł rolny rosyjski dostarcza przemysłowi fabrycznemu nietylko potrzebne materyały surowe, ale i rynek zbytu dla jego wyrobów.

Dzięki takiej podwójnej zależności przemysłu fabrycznego od gospodarstwa rolnego—kończą „Mosk. Wied."—ignorując potrzeby tego ostatniego, podkopuje się fundament, na którym się opiera cały rosyjski przemysł fabryczny.

* *
*

Kiedy się mówi o stanie ekonomicznym Rosyi, wspomina się zaraz i o „wielkiej kolei Syberyjskiej", która zamyka stulecie w państwie akordem potężnym.

Budowa drogi syberyjskiej — mówi „Syn Otieczestwa" — stanowić będzie wybitną kartę nietylko w historyi rosyjskiego rozwoju ekonomicznego, lecz i w historyi kultury. Znaczenie tego wielkiego dzieła dla współczesnych nie przedstawia się tak jasno dlatego, iż dokonywa się ono częściowo, w ciągu lat kilku i nie pociąga za sobą żadnych zmian wyraźniejszych. Wobec tego nie od rzeczy będzie może zatrzymać się na paru szczegółach, zawartych w obszernem wydawnictwie ministeryum komunikacyi, a dotyczącem właśnie omawianego tu przedmiotu.

Myśl o konieczności połączenia drogą żelazną oddzielnych zaludnionych miejscowości Syberyi, a także połączenia Wołgi z Oceanem Wielkim powstała w sferach rządzących i w społeczeństwie jeszcze w początku szóstego dziesiątka XIX wieku. W końcu tego okresu czasu powstaje nawet na Uralu komisya państwowa w celu wyznaczenia najodpowiedniejszego kierunku dla drogi żelaznej; po przeprowadzeniu w r. 1872—1874 badań opracowano trzy główne kierunki, z których komitet ministrów wybrał najbardziej południowy kierunek na Alatyr, Ufę i Czelabińsk. Projekt uzyskał zatwierdzenie Najwyższe w r. 1875. Wykonaniu jednak tego planu przeszkodziła wojna r. 1876—1878.

Tymczasem wewnątrz Rosyi europejskiej sieć dróg żelaznych rozrastać się poczęła; przeprowadzono kolej do Orenburga, do Eka-

terynburga, wydano rozkaz budowy drogi żelaznej do Tiumenia. Tak stopniowo przygotowano się do budowy drogi żelaznej przez Syberyę. W r. 1882 komitet ministrów powtórnie rozpatrzył projekt z r. 1875. W ciągu trzech lat sprawdzano dane i zbierano nowe, aż w r. 1885 komitet ministrów orzekł, iż możliwą jest tylko budowa dr. żel. Samarsko-Uralskiej i Złatoustowskiej, a wskazanie magistralnej linii wewnątrz Syberyi jest niemożliwem z powodu braku danych faktycznych. W r. 1886 generał-gubernatorzy Syberyi hr. Ignatiew i baron Korf wystąpili z podaniem o budowę linii kolejowej od Tomska do Irkucka i od Bajkału do Sreteńska. W odpowiedzi na to wydelegowano w r. 1887 z Rozkazu Najwyższego ekspedycyę w celu dokonania odpowiednich badań. Oddzielnie zajęto się budową drogi, mającej połączyć Władywostok z rzeką Amurem w celu podniesienia znaczenia tego portu.

Nareszcie Reskrypt Najwyższy z dnia 29 marca r. 1891 rozkazał rozpocząć budowę Wielkiej Syberyjskiej drogi żelaznej. Dotąd droga żelazna Syberyjska ciągnie się na przestrzeni 6445½ wiorst, a budowa jej kosztowała 355,377,911 rs. Jakie znaczenie ma ta droga, można wykazać na jednym przykładzie. Weźmy dwa tak krańcowe punkty, jak Londyn i Szanghaj. Drogą morską podróż z Londynu do Szanghaju kosztuje od 650 do 900 rb. i zajmuje czasu od 34 do 36 dni. Lądem zaś tę samą przestrzeń przebyć można w 16 dni, a koszt wyniesie 319 rb. w pierwszej klasie, 200—w drugiej i 130 w trzeciej. Gdy zaś z czasem szybkość kursowania pociągów na drodze Syberyjskiej się zwiększy, z Londynu do Szanghaju można będzie przybyć w ciągu dni dziesięciu. Oprócz bezpośrednich korzyści, jakie daje kolej, przeprowadzenie drogi żelaznej przez Syberyę wywrze wpływ dobroczynny na ten kraj pod względem jego zaludnienia, kultury i t. p. Obecnie już przy torze kolejowym oddzielono 5,744,000 dziesiatyn ziemi, z których już 4½ miliona zajęli przesiedleńcy.

Tym sposobem Wielka Syberyjska droga żelazna z czasem zmieni do niepoznania fizyonomię całego kraju, a w jego ekonomicznem i kulturalnem życiu dokona olbrzymiego przewrotu.

* * *

Omawiając kwestyę przekształcenia departamentu handlu i rękodzieł na główny zarząd do spraw handlu i przemysłu „Siew. Kur.” pisze: „Nie należymy do rzędu tych, którzy widzą w utworzeniu nowych organów administracyjnych gwarancyę spełnienia

się wielkich nadziei, ale nie podzielamy również zdania tych, którzy w reformach tego rodzaju widzą jedynie wzrost kontroli nad samodzielnością narodu, wzmocnienie opieki nad jednemi ze szkodą dla spraw innych. Zwłaszcza reformy w dziedzinie wyższych instytucyi państwowych wywołane są zwykle przez istotne potrzeby życia i dlatego są zawsze niemal postępowe. W ten sposób rozwijał się departament handlu i rękodzieł. Z roku na rok wzrastały jego funkcye, powiększał się personel służbowy, a życie wymagało wciąż dalszego rozwoju, i pojawiały się nowe kwestye, nowe zjawiska ekonomiczne, powstawały nowe sprawy. Prośby, skargi, podania, fakty, komisye i narady—wszystko to parło tę instytucyę do dalszego rozwoju wewnętrznego. Jak wiadomo, ministerya rosyjskie pełnią nietylko rządząco-wykonawcze funkcye, lecz jednocześnie spoczywa na nich ciężar przygotowawczych robót prawnych."

Większość projektów przechodzi przez radę państwa i komitet ministrów z nieznacznemi zaledwie zmianami, w tej samej redakcyi, jak je przedstawiano z departamentów. Nawet niektóre z oddziałów tych ostatnich noszą wprost nazwę prawodawczych. Stąd zrozumiałem jest, jak wielką wagę należy przywiązywać do prawidłowej organizacyi tych instytucyi, jeśli tylko praca ich skierowaną jest ku ulżeniu warunków swobodnego rozwoju stosunków życiowych. Oprócz tego projektowana reforma wydaje się nam postępową jeszcze z tego powodu. Zarząd państwowy we współczesnych krajach cywilizowanych, a w tej liczbie i w Rosyi, nie ogranicza się jedynie funkcyą ochronną, funkcyą porządku, lecz rozwija coraz bardziej—wbrew szkole manchesterskiej—funkcye, mające na celu pomoc produkcyjną siłom narodowym i samodzielności społecznej. Na tę drogę kieruje państwa współczesne nietylko nauka, lecz i względy czysto praktyczne, wymagania polityki międzynarodowej, kwestye finansowe i t. p. Tym sposobem spotykają się z sobą i wzajemnie dopełniają kwestye porządku z kwestyami swobodnego rozwoju sił produkcyjnych. Tak np. sprawa ściągania podatków wymaga ograniczenia swobody przenoszenia się z miejsca na miejsce głównych mas pracujących, zaś interesy swobodnego rozwoju sił wytwórczych—wymagają jaknajśpieszniejszego cofnięcia tego ograniczenia. Zwycięstwo na tę lub na inną stronę zależnem jest w znacznej mierze od wpływu, jaki w całym organizmie posiada ta lub inna instytucya. Dlatego też w przekształceniu departamentu handlu i przemysłu, od którego zależy rozwój sił wytwórczych, należy upatrywać duży krok naprzód. Co się tyczy samej nowej formy przyszłej instytucyi, to, niestety, o tem prasa nie posiada ża-

dnych informacyi. Wiadomo tylko, że do jej składu wejdą: kancelarya, oddziały: handlu, przemysłu, naukowy, rada do spraw żeglugi handlowej i komisye do spraw podatku przemysłowego i spraw fabryczno-górniczych. Te informacye naturalnie nie są wystarczające, aby na ich podstawie można było wnioskować coś określonego. Obecnie zwraca jedynie uwagę brak specyalnego oddziału statystycznego, którego urządzenie byłoby bardzo pożądanem. Działalność niektórych postępowych ziemstw i zarządów miejskich dowiodła wyraźnie, jak ważne znaczenie posiadają pierwiastkowe dane statystyczne. Jeśli ważnemi są one dla instytucyi miejscowych—to tembardziej koniecznemi są dla instytucyi państwowej, i zapewne przy ostatecznem rozpatrywaniu projektu reformy znajdzie się w nim miejsce i na specyalny oddział statystyczny. W każdym razie reforma departamentu handlu i rękodzieł jest aktem, posiadającym doniosłe znaczenie dla wewnętrznego życia kraju, należy więc jej poświęcić jaknajpilniejszą uwagę i wszystkie łączące się z nią warunki i okoliczności zbadać gruntownie.

* *
*

„Pomoc lekarska w fabrykach”. Pod powyższym tytułem wydaną została praca rewizora fabrycznego p. Dementjewa, zapełniając lukę, jaka w dziale sanitarno-społecznej literatury rosyjskiej oddawna uczuwać się dawała. Praca p. D. zawiera dane statystyczne, tyczące się współczesnego stanu pomocy lekarskiej w fabrykach całej Rosyi europejskiej.

Oprócz jednak wartości czysto statystycznej wydawnictwo to departamentu handlu i rękodzieł posiada jeszcze duże znaczenie, jako księga informacyjna: znajdują się tam zebrane i odpowiednio zgrupowane wszystkie rozporządzenia, dotyczące w ten lub inny sposób kwestyi pomocy lekarskiej w fabrykach, oraz przytoczono warunki umowy między fabrykami a ziemstwami, miejskiemi dumami i t. p. w tejże kwestyi. Podstawą organizacyi pomocy lekarskiej dla robotników fabrycznych była decyzya komitetu ministrów z d. 7 września r. 1860, obowiązująca fabrykantów do utrzymywania dla swych robotników szpitali z łóżkami, których liczba wynosić miała jedno na stu robotników. Postanowienie to chwilowe, które jednak przetrwało do dnia dzisiejszego, wywołane zostało obawą cholery. Obawa epidemii dała impuls sprawie, która później rozwinęła się niezależnie od tej pierwszej przyczyny w imię uczuć humanitarnych.

Jako motyw tego postanowienia, czytamy w raporcie do ministra spraw wewnętrznych: „środek ten nie może być uważany za uciążliwy dla fabrykantów, owszem, jest zupełnie usprawiedliwiony, gdyż większa część zysków z pracy robotników, mieszczących się często w ciasnocie i wilgoci i żywionych niezawsze świeżymi produktami, płynie do kasy ich gospodarza." Ale—inna sprawa wydanie przepisu, a inna—zastosowanie go w praktyce. W wiele lat po wydaniu tego rozporządzenia z r. 1866 w różnych fabrykach ani mowy nie było o jakiejkolwiek pomocy lekarskiej. Jeszcze w r. 1889 będący wtedy inspektorem fabrycznym doktór W. W. Światłowskij nazwał w swej dysertacyi istnienie w Rosyi medycyny fabrycznej—fikcyą. Ciekawem tedy jest, w jakim stanie kwestya pomocy lekarskiej w fabrykach znajduje się obecnie.

Z opracowanych przez p. Dementjewa danych, zebranych w końcu r. 1898 przez inspekcyę fabryczną i dotyczących tylko tych zakładów przemysłowych, które znajdują się pod jej zarządem (a więc za wyłączeniem zakładów górniczych), okazuje się, iż na 19292 zakłady przemysłowe—zorganizowaną pomoc lekarską posiada tylko 3488 zakładów, t. j. zaledwie 18%. Naturalnie, im mniej robotników zatrudnia fabryka—tem rzadziej można się tam spotkać z pomocą lekarską. Ogólna suma wydatków na pomoc lekarską we wszystkich fabrykach, podlegających kontroli inspekcyi, dochodzi do 4 milionów rubli, co stanowi na jednego robotnika w miastach, gdzie pobierany jest podatek szpitalny, 2 rb. 94 kop., a w innych miejscowościach 4 rb. 17 kop. We wszystkich istniejących szpitalach fabrycznych znajduje się 7,140 stałych łóżek czyli, że jedno wypada na 72 robotników. Roczny wydatek na utrzymanie jednego łóżka wynosi 330 rb.

Reasumując powyższe dane, dochodzimy do wniosku, iż trzecia część wszystkich robotników dotąd pozbawioną jest wszelkiej pomocy lekarskiej, a istniejące szpitale pod wielu względami nie odpowiadają wymaganiom. Tak się przedstawia w rezultacie już od ćwierć wieku istniejący rozkaz Najwyższy o obowiązkowej pomocy lekarskiej. Dopiero w ostatnich czasach praktyka życiowa wskazała drogę ku polepszeniu sprawy. Inicyatywa oddzielnych fabrykantów musi być zastąpiona przez organizacyę społeczną, podjętą na wielką skalę. W tym celu jeszcze w r. 1887 ziemstwa gub. moskiewskiej wystąpiły z podaniem, aby mogły wchodzić w umowy dobrowolne z fabrykantami odnośnie do organizacyi pomocy lekarskiej. Jednakże prywatne takie umowy nie mogą posunąć sprawy naprzód, i musi być ona postawiona na gruncie prawnym, przyczem

organizacya pomocy lekarskiej winna spocząć w rękach miejscowych instytucyi samorządu, a fabrykanci winni przyczyniać się do dzieła ofiarami pieniężnemi.

* * *

Pomiędzy wielu przedmiotami, jakimi się prasa rosyjska zajmowała w ostatnich czasach, jest sprawa emigracyi z Finlandyi. W celu najdokładniejszego wyświetlenia kwestyi emigracyjnej w Finlandyi niektóre towarzystwa rolnicze zwróciły się z cyrkularzami do gmin z żądaniem dostarczenia informacyi o przyczynach ruchu emigracyjnego i pożądanych środkach w celu przeciwdziałania takowemu. W obecnej chwili otrzymano już odpowiedzi, które do pewnego stopnia wyjaśniają kwestyę. Zanim przejdziemy do nich, skreślimy tu krótką historyę ruchu emigracyjnego na podstawie danych, zawartych w artykule gazety „Hufvudstadsblader". Emigracya w Finlandyi nie jest objawem nowym, lecz powtarza się stale corocznie od lat przynajmniej trzydziestu. Liczba emigrantów waha się zależnie od warunków ekonomicznych. W r. 1892 i 1893, które uważane były w Finlandyi za nieurodzajne, liczba emigrantów dochodziła do 4900 i 5300. Cyfry te zmniejszyły się znacznie wraz z polepszeniem się ekonomicznego położenia kraju, i w r. 1898 liczba emigrujących nie przekroczyła 400. Większość emigrantów opuszczała kraj czasowo, w celu znalezienia odpowiedniego zarobku zagranicą, gdzie płaca była znacznie wyższą, niż w kraju. Zdobywszy pewną sumę, emigranci powracali do kraju, wnosząc tym sposobem kapitał i doświadczenie życiowe, co wyrównywało niejako szkody, jakie kraj ponosił przez emigracyę. Liczba powracających do ojczyzny również jest bardzo nierówną, i zdarzało się, że liczba powracających przewyższała liczbę emigrantów. Dane z roku zeszłego wskazują, że wśród emigrantów znajdowało się co najmniej 3% mężczyzn-rolników, a w roku bieżącym cyfra ta jeszcze się podniosła. Tym sposobem w roku bieżącym liczba emigrujących więcej, niż dwa razy, jest większą od przybywających. Powracając teraz do wskazania przyczyn emigracyi, zaznaczyć należy, iż na okólnik Towarzystwa rolniczego nadesłano 11 odpowiedzi, i że kwestya wciąż wzrastającej emigracyi rozpatrywaną była na zjeździe ziemian w Charstremie. W Finlandyi panuje ogólne przekonanie, iż, jeśli emigracya w dalszym ciągu rozwijać się będzie w podobny sposób, jak dotąd, to wkrótce cały kraj zamieni się w pustynię. Określić ściśle powody tego objawu trudno. Należy tylko zsumo-

wać wszystkie, dając ogólny obraz panujących w Finlandyi stosunków. Do bezpośrednich przyczyn emigacyi zaliczyć należy naprzód nieurodzaje, które w latach ostatnich panowały w Finlandyi północnej. Następnie brak pracy daje się również silnie we znaki. Zdolni do pracy mężczyźni napróżno poszukują jakiegokolwiek zajęcia, pomimo to, że wymagania ich są nader skromne, gdyż nie żądają oni więcej nad 8—16 k. płacy za dzień roboczy z życiem i 32 k. bez życia. Kobiety jeszcze trudniej znajdują jakieś zajęcie. Taką ciężką pracę, jak kopanie kanałów w zimie, opłacano zaledwie 1 marką (32 kop.) dziennie. Duże znaczenie dla rozwoju emigracyi ma położenie bezrolnej ludności, która z trudnością może nabywać grunta w kraju i emigruje do Ameryki. Oprócz przyczyn natury ekonomicznej opinia publiczna uważa za bardzo ważny czynnik emigracyjny nową ustawę w służbie wojskowej. Nieznane jeszcze dobrze warunki służby w wojsku straszą Finlandczyka tak samo, jak przerażały włościanina rosyjskiego, dopóki kilkoletnia praktyka nie dowiodła bezzasadności wszystkich jego obaw. Przyjmując pod uwagę wszystkie przyczyny wzrastającej wciąż emigracyi z Finlandyi — konkluduje „Siew. Kurjer" — przychodzi się do wniosku, iż są one natury barazo różnorodnej, i dlatego trzeba znacznego nakładu pracy, aby objaw ten, grożący poważnemi zaburzeniami w życiu ekonomicznem i socyalnem, wprowadzić na drogę właściwą, zgodną z biegiem ogólno-państwowego życia.

Ten sam „Siew. Kur." stoczył polemikę z „Woschodem" o rzemieślników-Żydów w kraju zachodnim. Pismo „Woschod" z wątpliwością wyraża się o słuszności uwag, czynionych przez „Siew. Kur." z powodu odbytego zjazdu rzemieślniczego, jakoby w guberniach zachodnich drobny rzemieślnik samodzielny stracił już niemal całkowicie grunt pod nogami, a produkcya rzemieślnicza zorganizowała się w przedsiębiorstwa z podkładem kapitalistycznym. Dla potwierdzenia swych wątpliwości „Woschod" przytacza dane statystyczne z ostatnich lat ósmego dziesiątka bieżącego stulecia, które świadczą o tem, że w kraju zachodnim daleko więcej jest majstrów, niż czeladników. Jednocześnie wspomniana gazeta zaznacza, że stosunkowo cyfry te do chwili bieżącej nie uległy dużym przeobrażeniom. „Siew. Kur." zaś dowodzi, że dane, któremi się posługuje „Woschod", są zbyt stare, a przytem cyfry zawsze charakteryzują ilościowe i formalne kategorye, gdy tymczasem „Siew. Kur." chodzi o jakościowe i ekonomiczne. Liczba majstrów nie mówi jeszcze o tem, jak im się powodzi. Wiadomo, iż Żydzi są nie-

zwykle czynni, i zdarza się, że tam, gdzie cała rodzina utrzymuje się z jakiegoś sklepiku, starzec-dziadek obejmuje w posiadanie okno lub inny kąt jakiś i tam przyjmuje obstalunki i wykonywa je: łata, zeluje i t. p., zarabiając od 5 do 10 kop. dziennie. Takich rzemieślków liczy kraj zachodni olbrzymią liczbę, zwłaszcza w małych miasteczkach, ale to nie świadczy o tem, że samodzielny rzemieślnik nie „stracił gruntu pod nogami". Następnie „Woschod" wbrew twierdzeniu „Siew. Kur." dowodzi, iż rzemieślnicy-Żydzi, zamieszkali w kraju zachodnim, nie posiadają żadnych związków, religijno-profesyonalnych, któreby stawały w obronie ich interesów, i rzemieślnicy przeważnie pojedyńczo walczą o chleb powszedni. „Siew. Kur." odpowiada, iż, nie przypisując tym związkom znaczenia specyalnego, wskazywał na nie, jako na grunt, na którym powstały wśród rzemieślników kraju zachodniego kasy wzajemnej pomocy i t. p. instytucye.

* * *

Słowiańskie towarzystwo dobroczynności opracowało nową ustawę, która niedawno została zatwierdzoną. Odtąd Towarzystwo będzie się nietylko troszczyło o materyalne i moralne zadosyćuczynienie potrzebom Słowian, ale będzie też mieć na celu zadanie daleko rozleglejsze. Na mocy nowej ustawy petersburskie towarzystwo dobroczynności ma współdziałać rozwojowi wzajemności słowiańskiej i jedności duchowej Słowian z Rosyą. Do celu tego towarzystwo rzeczone dążyć będzie różnemi drogami: okazywaniem pomocy cerkwiom, szkołom, organizacyą instytucyi narodowo-oświecających w ziemiach słowiańskich, współdziałaniem w sprawie kształcenia słowiańskiej młodzieży w Rosyi, wspomaganiem Słowian w razie potrzeby chwilowej (głód, powódź i t. p.), utrzymywaniem stosunków z towarzystwami naukowo-literackiemi i oddzielnymi ich przedstawicielami, wydawaniem dzieł naukowych, podręczników, czasopism, urządzaniem zjazdów, odczytów i t. p. W ten sposób — pisze „Siew. Kur."—program towarzystwa jest wielce urozmaicony. W zasadzie, naturalnie, nie można nie sprzyjać powstawaniu towarzystw, mających takie lub inne cele społeczne. Ukazanie się ich świadczy o wzrastającej potrzebie w społeczeństwie samodzielności oraz o ożywieniu się zainteresowania sprawami społecznemi. Nowa ustawa Towarzystwa słowiańskiego jest niejako odpowiedzią na nieporozumienia, jakie zaszły w łonie Towarzystwa przed pół rokiem. Zadania o charakterze politycznym, o jakie wtedy chodziło „niezadowolonym", nowa ustawa wyświetla w całej rozciągłości.

Cóż jednak można powiedzieć o projektowanej działalności towarzystwa, traktując kwestyę zasadniczo? Nasamprzód, należy zaznaczyć, że nieoficyalnie ono i dotąd miało te same cele, które obecnie otrzymały sankcyę prawną. Jednakże przyznać trzeba, że cele te osiągało ono zaledwie w części, i wątpliwem jest, aby współdziałało cośkolwiek pojednaniu i wzajemności słowiańskiej. Wsród Słowian austryackich działalność słowiańskiego Towarzystwa dobroczynności wywoływała często nieporozumienia i wątpliwości, a niekiedy spotykała się wprost z protestem policyi austryackiej.

Pomoc okazywana była głównie tym Słowianom, którzy, ostatecznie zwątpiwszy w swe siły własne, szukali ratunku w całkowitem poddaniu się swojemu „starszemu" bratu. Często też pomoc ta wywoływała żebraninę i prowadziła do podtrzymywania wcale nie najlepszych elementów Słowiańszczyzny. Cóż wreszcie jest ta wzajemność słowiańska? Pojmowanie się wzajemne, oparte na szacunku wzajemnym, poznaniu wzajemnem i uznaniu praw wzajemnych do istnienia niezależnego i rozwoju. Oto podstawy do wzajemności, gdy ta już tak niezbędną jest i pożądaną. My osobiście—mówi „Siew. Kur." — odnosimy się dosyć obojętnie do tej idei wzajemności słowiańskiej, gdyż przekonani jesteśmy, że takowa powstaje nie na gruncie jedności krwi i nacyi, lecz ma całkiem inne ekonomiczne podstawy. O wzajemności słowiańskiej jedynie, jako o opartej na zaufaniu wzajemnem, mówić można. Popracować nad wytworzeniem tego zaufania—to istotnie cel sympatyczny i szlachetny. Czy się to uda słowiańskiemu Towarzystwu dobroczynności — przesądzać obecnie nie można. Obecnie można tylko — kończy „Siew. Kur." — wskazać Towarzystwu jedno piękne zadanie przy jego nowej organizacyi, a jest niem — zapewnienie każdej narodowości słowiańskiej możności rozwoju narodowego. W tym celu Towarzystwo musiałoby najpierw zająć się losami języka polskiego i małoruskiego. Oto zadanie poważne, godne poważnego towarzystwa. Czy się do niego zabierze słowiańskie Towarzystwo dobroczynności—przyszłość pokaże.

* * *

Pod tytułem „Inteligencya rosyjska" znajdujemy w „Siew. Kur." artykuł następującej treści. Inteligencya rosyjska stanowi obecnie siłę poważną. Obejmuje ona szerokie koła ludności. Wzrost jej wszerz, a nawet wgłąb idzie niezaprzeczenie. „Inteligent" rosyjski często czuje się niezadowolonym, a niekiedy nawet nieszczęśliwym. Czy ma on do tego jakie słuszne racye? Rozumie się.

To znaczenie inteligencyi, o którem wspomniano powyżej, pozostaje bez wpływu na samego jej przedstawiciela. Przejawia się ono zwykle w codziennem, zwykłem wypełnianiu spraw drobnych, stanowiących działalność przedstawiciela tej lub innej profesyi inteligentnej. Ale każda taka profesya wtedy tylko może zadawalniać człowieka, który się jej poświęci, gdy istnieją specyalne warunki pomyślne, dotyczące zarówno wewnętrznej, jako i zewnętrznej strony profesyi. A jakie są zwykłe warunki, w których pracuje inteligentny robotnik? Brak niezbędnej swobody prawnej przy pełnieniu obowiązków, swobody, któraby pozwoliła z jednej strony wykazać stopień inicyatywy osobistej, z drugiej— połączyła ściślejszym węzłem pracowników jednej i tej samej profesyi. Jednakże, jak dotąd, bardzo jest mało form zjednoczenia różnych grup pracowników inteligentnych. Wspólna akcya całej inteligencyi rzadko kiedy znajduje praktyczne zastosowanie. Ściśle biorąc, można wskazać tylko trzy rodzaje takiej dzialalności: towarzystwa oświaty, instytucye dobroczynne i prasa. Pierwsze jednak dwa rodzaje działalności z samej swej natury i przy istniejących warunkach postronnych mogą się rozwijać w bardzo szczupłym zakresie.

Pozostaje prasa.

Czy nie tutaj winna się skoncentrować służba społeczeństwu? Czy nie w wielkiego znaczenia słowie drukowanem ma szukać inteligent swego zadowolenia i szczęścia? Nic nie może się równać z tem uczuciem spełnionego obowiązku, jakiego doznaje człowiek, który poświęcił wszystkie swe siły działalności publicystycznej. Od tego jednak daleko jeszcze do zadowolenia, a tembardziej— szczęścia! Dlatego niezdędnem jest przekonanie, że praca nasza jest produkcyjną, że oglądać będziemy owoce naszej działalności. Tego niema, i prasa rosyjska pomimo wciąż wzrastającego jej znaczenia społecznego nie zdołała jeszcze stać się tem środowiskiem, w którem mogłyby się zjednoczyć klasy inteligentne, gdzie „inteligent" poznałby własne siły. Przyczyną tego są warunki niepomyślne, w jakich znajduje się prasa, zamknięta w ramach codziennych kwestyi bieżących, wciąż powtarzających się, a traktowanych ogólnie, pobieżnie. Nigdzie nie uwydatnia się tak olbrzymia różnica między zapotrzebowaniem a podażą, jak w działalności publicysty. Są jeszcze zewnętrzne warunki innego rodzaju, które przeszkadzają w pracy inteligentowi. Główny szkopuł stanowi tutaj brak łączności pomiędzy masami ludowemi a inteligencyą. Słaby rozwój mas ludowych, brak oświaty i zorganizowanej działalności inteligencyi śród ludu i dla ludu — oto przyczyny tej osławionej nieprzy-

jaźni, jaka cechuje stosunek między inteligencyą a ludem. Mogą nam wprawdzie zarzucić, iż istnieje teren do wspólnej pracy: w sądach, ziemstwie i zarządach miejskich. Ależ w rosyjskim zarządzie miejscowym ludzie inteligentnych profesyi nie grają żadnej roli i nie mają do tego prawa, a mogą tylko tam się dostać, jako posiadający wymagany cenzus majątkowy. W sądzie zaś, pośród sędziów przysięgłych, przy ograniczonym bardzo udziale włościan także mało jest sposobności do wzajemnego obcowania i poznania się. Przytem sfery, wiodące rej w danym zakresie działalności, również nieprzychylnie zapatrują się na współudział inteligencyi, obawiając się o swe przywileje. Wreszcie, jakkolwiek to wydać się może dziwnem, trzeba zaznaczyć jeszcze niechęć, jaką żywią do siebie wzajemnie przedstawiciele różnych profesyi inteligentnych. Objaw ten zresztą będzie bardziej zrozumiałym, gdy się weźmie pod uwagę, że stopniowo profesye inteligentne stają się rzemiosłami, gdzie głównym czynnikiem jest zdobycie kawałka chleba. Bywa to zawsze wtedy, gdy człowiek zmuszony jest oddawać się całkowicie swojej profesyi, nie biorąc udziału w życiu społecznem narówni z innemi osobami i klasami ludności. Bywa to i wtedy, gdy inteligencya dłuższy przeciąg czasu żyje wierna hasłu: teraz nie czas na wielkie czyny, żyjemy w porze drobnych spraw codziennych.

Z rozwojem inteligencyi w Rosyi wiąże się sprawa żeńskiego instytutu lekarskiego, o którym często spotyka się różne uwagi w pismach rosyjskich. „Now. Wremia” mówi:

Nominacya prof. Bechterowa, profesora zwyczajnego akademii wojenno-medycznej, na profesora petersburskiego żeńskiego instytutu medycznego na katedrze chorób umysłowo-nerwowych jest faktem niezwykle doniosłego znaczenia. W ostatnich czasach instytut otrzymał kilku wybitnych profesorów, co świadczy o tem, iż zajęcie się tym zakładem naukowym nie minęło. Powstaje jednak kwestya poważna: jak będą mogli pracować oni w dzisiejszych warunkach? Wkrótce powstanie IV kurs, a do zajęć praktycznych niezbędne będą kliniki chorób dziecinnych i kobiecych, które dla przyszłych lekarzy-kobiet są nieledwie najważniejszemi. Tymczasem czas szybko upływa, a o powstawaniu podobnych urządzeń nic nie słychać. W obecnej chwili na usługi instytutu oddano szpital Petropawłowski, który też jest pozbawiony bardzo wielu niezbędnych urządzeń. Instytut medyczny powstał, jak wiadomo, z ofiar prywatnych i z tych środków głównie egzystuje. Zawiązanem zostało nawet oficyalnie „towarzy-

stwo pomocy SP. instytutu medycznego, które od r. 1896 rozwija nader energiczną działalność. W ostatnich jednak czasach zajęcie się ogółu tym instytutem znacznie osłabło, i członkowie wspomnianego towarzystwa pozostali niemal jedynymi opiekunami instytutu. Gazety rosyjskie wzywają ogół do ofiarności na rzecz pierwszego instytutu żeńskiego medycznego w Rosyi i przypominają zdanie, że „ręka dającego nie zbiednieje". Potrzeba takiego zakładu jest zdawna uznaną, a wychowanki jego swą owocną działalnością stokrotnie opłacą dług, zaciągnięty u społeczeństwa.

Ad. D.

Rozbiory i Sprawozdania.

Ks. Szczerbatow. Rządy ks. Paskiewicza w Królestwie Polskiem (1832—1846). Warszawa, 1900.

Dzieło księcia Szczerbatowa, życiu i działalności księcia Paskiewicza poświęcone, nie po raz pierwszy ukazuje się w polskiem tłómaczeniu. W przeszłym bowiem roku wydano znaczniejszy ustęp p. t. Kampania polska w 1831 r. księcia Paskiewicza; obecnie przetłómaczono piąty tom, który opisuje epokę daleko ciemniejszą dla historyków, niż r. 1831, i tem samem budzi w czytelniku polskim tem więcej zainteresowania. Autorowi stało otworem bogate archiwum domowe ks. Paskiewiczów, przechowujące niezmiernie ważne i ciekawe korespondencye Cesarza z ks. Paskiewiczem. Obok materyału pierwszej wody znajdowały się jednakże w archiwum domowem i raporta tajnej policyi, których wiarogodność nie może być brana w rachubę bez żadnych zastrzeżeń, a przedewszystkiem których opinii nie można utożsamiać z wyrokami historyozofa. Autor nie był jednak tyle ostrożnym, aby w materyale źródłowym dopatrzeć się stopnia wiarogodności i poddać go krytyce przedmiotowej i bezstronnej. Wszystko, co miał pod ręką, służyło autorowi za materyał do wystawienia wspaniałego posągu ks. Paskiewiczowi. Wszystkie raporta, memoryały unosiły się monotonnie z podziwem i pochwałami nad księciem namiestnikiem, autor miał więc podatny i wygodny materyał, z którym nie zaznał dużo kłopotu.

W rozdziale I autor opowiada kłopoty rządu rosyjskiego po r. 1831 z powodu protestacyi państw europejskich przeciwko wszelkim zachceniom wcielenia Królestwa do Rosyi. Statut organiczny ułożony był naprędce w Petersburgu.

Paskiewicz brał w nim udział niewątpliwie; tymczasowo jednak utworzono rząd przejściowy pod osobistem przewodnictwem ks. Paskiewicza, który z początkiem r. 1832 rozkazał wprowadzić do instytucyi rządowych w Królestwie język rosyjski jednocześnie z polskim, co wywołało pewną zwłokę w interesach administracyjnych. W tymże roku (1832) Paskiewicz proponował, aby majątki skonfiskowane nadać Rosyanom pod warunkiem, że będą je mogli odprzedawać tylko Rosyanom wyznania prawosławnego. W r. 1832 utworzono także specyalny sąd kryminalny na przestępców stanu, a Cesarz pisał do Paskiewicza: im mniej uznanych będzie przez sąd za winnych, tem lepiej, ale przykład jest konieczny, i, im prędzej będzie dany, tem lepiej.

Wkrótce po ukazie, stanowiącym sąd kryminalny, podpisaną została ustawa zasadnicza, czyli t. z. statut organiczny. Zapewniał on w wielu wypadkach swobodę osobistą mieszkańcom. Wolność wyznań była również zagwarantowaną, przyczem dodano, że wiara rzymsko-katolicka, wyznawana przez większość mieszkańców Królestwa, będzie zawsze przedmiotem szczególnej opieki rządu. Podług statutu, skarb Królestwa i inne gałęzie administracyi miały mieć osobny zarząd od Cesarstwa, a bank polski oraz instytucye kredytowe ziemskie przyrzeczone miały opiekę rządową. Te ostatnie rozporządzenia statutu miały w owych czasach doniosłe znaczenie; uspakajały bowiem właścicieli ziemskich. Po r. 1831 rozpowszechniane pogłoski, że bank i Towarzystwo Kredytowe Ziemskie połączone zostaną z odpowiedniemi instytucyami w Cesarstwie, podtrzymywały ogólny niepokój. Zdaniem autora, gdyby statut organiczny mógł się był rozwinąć zupełnie, Królestwo korzystałoby z instytucyi reprezentacyjnych, o których w owych czasach Niemcy i Austrya zaledwie marzyć mogły. Ale rozwój tych instytucyi zależnym był od politycznego położenia kraju. Rząd rosyjski wobec nieustannej obawy ruchu rewolucyjnego nie mógł zezwolić na wprowadzenie rządu reprezentacyjnego w Królestwie. Nawet hr. Grabowski przewidywał, że ścisłe wykonanie statutu, a zwłaszcza art. 9, nie zgadzałoby się z bezpieczeństwem publicznem; również i art. 5, dotyczący wolności odprawiania nabożeństw, budzi poważne w Grabowskim wątpliwości. Mimo to nie zrobiły one na ks. Paskiewiczu żadnego wrażenia, i statut organiczny został ogłoszony w Warszawie z pewną uroczystością w marcu 1832 r.; jednocześnie mianowany został ks. Paskiewicz namiestnikiem Królestwa.

Wkrótce po opublikowaniu statutu wysłał Paskiewicz deputacyę do Petersburga w celu podziękowania monarsze za tak łaskawy akt prawodawczy. Monarcha pisał do namiestnika: Ciebie tylko brakowało, jako świadka tryumfu wspaniałomyślnej Rosyi, przez ciebie znowu sławą pokrytej. Polacy drżeli w całem znaczeniu tego słowa, ale uspokoili się po odpowiedzi. Cesarz zaś odpowiedział deputacyi mniej więcej w następujące słowa: Rosya złego nie pamięta, i jednakowo drodzy są memu sercu wszyscy wierni poddani, bez różnicy narodowości i wyznania. Z powodu poboru w r. 1832 miał Cesarz ciekawą rozmowę przy pożegnaniu z deputatem Niemojewskim (Edward). Powiedział on mianowicie, że branka jest dobrodziejstwem dla kraju, ale że rząd powinien się strzedz pilnie, ażeby nowi rekruci nie przenieśli zarazy do armii ruskiej. Mówiąc o Krakowie, pisze Cesarz, o tem wstrętnem gnieździe, prosił mnie usilnie, żebym go oddał Austryi w celu zniszczenia niezależności tego źródła wszystkiego złego.

Co do wyższych zakładów naukowych w Królestwie, to, zamykając uniwersytet w Warszawie, postanowiono z początku wysyłać młodzież odpowiednio przy-

gotowaną do uniwersytetów rosyjskich. Średnie zakłady naukowe w Królestwie organizowano na wzór takichże zakładów w Cesarstwie, i program naukowy szkół obwodowych ułożony został według programu czterech pierwszych klas w gimnazyach rosyjskich ośmioklasowych. Wykład języka rosyjskiego w gimnazyach stał się obowiązkowym, stał na równi z polskim. W ogólnym systemie wychowania duchowieństwo otrzymało znaczny udział. Pozwolono duchownym zakładać prywatne szkoły i poddano je nadzorowi specyalnych inspektorów i dyrektorów gimnazyum. Pozwolono także w miastach fabrycznych otwierać szkoły rzemieślnicze. Zwierzchnicy zakładów naukowych i dyrektorowie gimnazyów byli odpowiedzialni za postępowanie i kierunek umysłów wychowywanej przez nich młodzieży. Dziecięca milcząca pokora miała być przeprowadzona przy pomocy całego systemu surowych kar, zwłaszcza kar cielesnych. Prawo zabraniało jednak wydalania ze szkół uczniów, i ten ostateczny środek dozwolony był tylko w wyjątkowych wypadkach. Paskiewicz polecał takich nicponiów oddawać jako szeregowców do wojska, bez utraty jednak prawa szlachectwa.

Sympatya, jaką okazywali obywatele ziemscy i drobna szlachta dla spisku Zaliwskiego, zmusiła namiestnika do powstrzymania ogłoszenia ukazu o przyłączeniu szlachty królestwa do szlachty cesarstwa rosyjskiego, jak to zamierzano uczynić w końcu roku 1832. Namiestnik pisał do cesarza, że teraz nie na czasie podobne ogłoszenie, gdyż szlachta nie zasługuje na to. W tej chwili tylko surowość może ich powstrzymać. Zamiast owego ukazu Paskiewicz obiecał włościanom 500 zł. za każdego schwytanego powstańca, i środek ten powiódł się, przekonywając, że szlachta potajemnie pomagała powstańcom. Wobec zaś takiego usposobienia rewolucyjnego, nurtującego w szlachcie polskiej, nie mogły być wprowadzone w wykonanie instytucye wybieralne, przepisane przez statut organiczny; główna baczność i uwaga namiestnika skupiła się w obmyśleniu środków, zapobiegających nowym rokoszom.

W r. 1834 zaprowadzono stan wojenny w Królestwie. Był to środek, zdaniem autora, konieczny, jakkolwiek Paskiewicz pojmował doskonale, jak on jest ciężkim dla kraju. Miał on jednak charakter ochronny, dający policyi politycznej możność zapobieżenia wszelkim spiskom. W r. 1835 wyszedł ukaz, ustanawiający w Warszawie Akademię Rzymsko-Katolicką. Akademia uzyskała do pewnego stopnia zarząd autonomiczny. Nie zgadzało się to z ogólnym systemem polityki ks. Paskiewicza, ale tym razem uważał za rzecz potrzebną okazywać zupełną ufność i szacunek dla wyższej instytucyi kościoła katolickiego w Królestwie. W listopadzie 1835 r. odbyło się w Warszawie odsłonięcie pomnika cesarza Aleksandra I. Paskiewicz donosił monarsze, że ceremonia była wzruszająca, Polacy zachowali wzorowy porządek, ale nie podobał się im napis na pomniku „zdobywca“, albowiem pierwotny napis, o którym wiedzieli, brzmiał „wskrzesiciel“.

W 1835 r., po słynnym zjeździe w Kaliszu Cesarz przybył do Warszawy i wygłosił znaną mowę. Ks. Szczerbatow utrzymuje, że, jakkolwiek stronnictwa liberalne wszystkich mocarstw przyjęły tę mowę nieprzyjaźnie, na Królestwo oddziałała ona dobroczynnie. Otrzeźwiła bowiem wielu ze zwodniczych złudzeń. W październiku tegoż roku wyszedł ukaz o urządzeniu majątków, które stają się własnością prywatną z łaski monarszej. W majoratach owych pierwszorzędne znaczenie miało urządzenie włościan. Wyznaczono bowiem każdej chacie włościańskiej nie tylko włókę ziemi miary nowo polskiej, ale otrzymywały wsie, w ten sposób urządzone, jeszcze pastwiska i działki lasów w takiej proporcyi, ażeby wy-

starczyły na budowle i opał, a te same zasady przeprowadzono we wszystkich majątkach skonfiskowanych. W r. 1836 wyszedł ukaz o małżeństwach mieszanych, które mogły być nadal zawierane tylko podług praw Cesarstwa, a nie Królestwa. Kościół prawosławny zachowywał od tej pory uprzywilejowane stanowisko, a główny cel tych przepisów, jak utrzymuje autor, zmierzał do zrusyfikowania wszystkich innowierczych żywiołów w państwie rosyjskiem. W grudniu 1837 r. Cesarz pisał do namiestnika: Wczoraj poznałem ks. Golicynową z domu hr. Jezierską, ładną i, jak się zdaje, dość rozumną. Obszedłem się z nią bardzo łaskawie, jako z pierwszą Polką, która wyszła za Rosyanina.

Między Zakroczymiem a wsią Kossowo po obu brzegach Wisły, na gruntach skarbowych, urządził ks. Paskiewicz próby kolonizacyi rosyjskiej: osadzono tam 95 rodzin, sprowadzonych z gubernii Pskowskiej, na działkach skarbowych, na których zbudowano domki i dano im prócz tego sprzęty domowe, narzędzia rolnicze i żywność, wystarczającą aż do nowych zbiorów. Pierwsza ta próba kolonizacyi rosyjskiej okazała się bardzo drogą. Urządzenie chaty rolniczej kosztowało około 2,000 rub., nie licząc wartości ziemi. Prócz tego, koloniści rosyjscy nie wywarli żadnego wpływu na sąsiadującą z nimi ludność Polską, czyli, mówiąc wyraźniej, Rosyanie spolonizowali się, a Polacy wcale nie zruszczeli.

Rząd rosyjski zgodnie z wolą Cesarza, począwszy od roku 1837, nieustannie starał się u Papieża, ażeby na całe państwo rosyjskie był jeden arcybiskup — metropolita katolicki. Podeszły wiek papieży budził nadzieję, że prędzej czy później któryś z papieży zgodzi się na żądanie Cesarza Mikołaja. Paskiewicz w tej sprawie odmiennego był zdania i jeszcze w 1837 r. pisał do Cesarza: Co się tyczy połączenia obu arcybiskupstw, to byłoby ono bardzo dobre, lecz sądzę, że kurya rzymska nigdy się na to nie zgodzi, gdyż w takim kroku widzi ona zmniejszenie swej władzy. Jakoż, dodaje ks. Szczerbatow, aż po dziś dzień rządowi rosyjskiemu nie udało się nakłonić papieży do wykonania tradycyjnej myśli Cesarza Mikołaja I, niewątpliwie pożytecznej dla państwa rosyjskiego.

W r. 1837 namiestnik zredagował projekt dekretu o przemianowaniu województw na gubernie, prezesów wojewódzkich na gubernatorów cywilnych, a komisyi wojewódzkich na rządy gubernialne. Przemiana powyższa miała ułatwić zlanie rządu Księstwa z Cesarstwem, i Cesarz z zadowoleniem dekret podpisał. W roku 1839 utworzono okrąg naukowy warszawski, zależny od ministeryum oświecenia publicznego w Petersburgu. Było to pierwsze i najdonioślejsze zjednoczenie z Cesarstwem jednego z najważniejszych wydziałów rządu Królestwa. Prócz tego Cesarz nalegał, aby przy gimnazyach potworzono internaty, ale ks. Paskiewicz utrzymywał, że one uwolniłyby rodziców od odpowiedzialności za postępowanie uczniów i że wprzódy należałoby zmienić skład osobisty nauczycieli.

W r. 1841 ks. Paskiewicz uroczyście odsłonił pomnik na placu Saskim. Prałat Kotowski pod pomnikiem wygłosił kazanie, w którem potępiał Polaków za bunt i zachęcał wszystkich, aby byli szczerze i nieobłudnie wierni swemu monarsze. W tymże roku dokonano znowu ważnego zjednoczenia Królestwa z Cesarstwem, znosząc komory celne wewnętrzne. W r. 1841 w miejsce sądu najwyższej instancyi zaprowadzono dwa departamenty senatu rządzącego. Nowa instytucya nadawała namiestnikowi Królestwa taką władzę w zakresie sądownictwa, jakiej nikt w Cesarstwie, nawet minister sprawiedliwości nie posiadał. Władza ta polegała na tem mianowicie, że na ogólnem zebraniu zamiast Cesarza prezydował jego namiestnik w Królestwie. W r. 1842 namiestnik oświadczył radzie administracyjnej, że monarcha w celu usunięcia kłopotów, z jakimi połączone jest utrzymanie

w więzieniu przestępców zwyczajnych rozkazał zesłać ich na Syberyę do ciężkich robót w kopalniach. W r. 1842 zapadło jeszcze postanowienie, znoszące opłatę pieniężną od Żydów, zastępującą rekrutów.

W r. 1843 namiestnik podał monarsze projekt podziału Królestwa na 5 lub 4 gubernie. Cesarz zgodził się na 5 gubernii, ale ks. Paskiewicz zamyślał z czasem oddzielić od Królestwa gubernię Augustowską i przyłączyć ją w części do gubernii Kowieńskiej, a w części do Wileńskiej, a wtedy zaokrąglone Królestwo składać się będzie z 4-ch gubernii. Cesarz, dążąc wytrwale do zlania Królestwa z Cesarstwem, powziął w r. 1844 myśl zastąpienia abecadła polskiego ruskiem. Minister oświecenia publicznego hr. Uwarow utworzył specyalny komitet, złożony z uczonych, który miał wprowadzić w czyn myśl cesarską. Minister, przejrzawszy jednak prace komitetu, przyszedł łącznie z namiestnikiem do przekonania, że: chcąc wyrazić dźwięki polskie literami rosyjskiemi, należy wytworzyć nowe, nieużywane dotąd głoski i zapożyczyć się u innych alfabetów np. łacińskiego. Takie nowe abecadło byłoby niezrozumiałe i dla Polaków, i dla Rosyan, a więc cel główny byłby zupełnie chybiony.

Dnia 7 czerwca 1846 r., wyszedł ukaz o polepszeniu losu klasy rolniczej. Ukaz ten miał ogromną doniosłość ekonomiczną dla kraju. Przed nim bowiem obowiązki włościanina względem dziedzica nie były ściśle określone. Ukaz z 1846 roku zniósł darmochy i przymusowy najem do roboty oraz odebrał dziedzicom prawo wypędzania chłopów i wcielania gruntów włościańskich do chłopskich. Przewrót ekonomiczny, spowodowany ukazem, wywołać musiał z natury rzeczy mnóstwo zatargów. W niektórych wsiach włościanie nie chcieli wychodzić na pańszczyznę i odmawiali posłuszeństwa dworowi. W ogólności jednak wypadki takie były rzadkie, zaszły tylko w 27 majątkach, i natychmiast położono im koniec drogą egzekucyi wojskowej, a 23 włościan oddano pod sąd. W związku z rozwinięciem ukazu z 1846 r. wyszedł ważny reskrypt komisyi spraw wewnętrznych, zabraniający dziedzicom odkładania pańszczyzny na inny czas. Podług reskryptu winna ona być wykonaną w terminie, oznaczonym przez tabele prestacyjne. Prócz tego namiestnik wydał rozporządzenie do władz miejscowych, polecające objaśnienie włościan, że oczynszowanie dokonane może być jedynie za zobopólną zgodą gromady i dworu.

Cesarz, oddając ks. Paskiewiczowi prawie dyktatorską władzę w Królestwie, wielokrotnie w rozmowach z nim wypowiadał zdanie, że za życia namiestnika system osobistych rządów wystarcza, ale „obaj nie jesteśmy wieczni, trzeba myśleć, co będzie po nas“...

Ks. Paskiewicz był jednak zdania, że zwykły sposób centralnego rządzenia przez ministrów jest w wysokim stopniu szkodliwy na kresach Rosyi, gdyż nadaje bieg biurokratyczny całemu zarządowi i zarazem traci z oczów warunki miejscowe. Przebieg biurokratyczny interesów, zdaniem ks. Paskiewicza, zagłusza istotę rzeczy, a nieporozumienie ministrów z miejscową władzą zwierzchnią zawsze odbija się szkodliwie na sprawach i wstrzymuje ich rozstrzygnięcie. Wreszcie w działaniach ministrów niema jednomyślności, każdy z nich ma swój kierunek, co źle wpływa na sprawy kresów.

Podałem tylko najważniejsze fakta i twierdzenia z pracy ks. Szczerbatowa, nadmieniając, iż jest ona dla naszego społeczeństwa pełna wielkiego interesu. Źródła, z których autor czerpał treść do swego biograficzno-historycznego dzieła, są dwojakiej miary i wartości. Korespondencye namiestnika z monarchą i ministrami Imperyum są nieocenionemi wskazówkami i objaśnieniami prawodawstwa

i ówczesnej polityki administracyjnej. Ks. Szczerbatow daleko lepiej byłby się zasłużył historyi, gdyby ową korespondencyę, znajdującą się w archiwum ks. Paskiewiczów, był ogłosił drukiem w całej rozciągłości, uwalniając nas od swej powierzchownej i czasami sprzecznej historyozofii. Drugiem źródłem dla autora były tajne raporta policyi, żandarmeryi etc., noszące wybitne znamię jednostronności, wymagające przedewszystkiem sprawdzenia. Ks. Szczerbatow nie zadawał sobie, jako historyk, zbytniego kłopotu. Sprawdzanie wogóle i zapoznanie się z obszerniejszym materyałem, którego strona oskarżona dostarczyć mogła, uważał ks. Szczerbatow za zbyteczne. Sąd historyozoficzny czerpał on wprost z raportów tajnej policyi i duchem nie potrafił się wznieść ponad nimi ani na chwilę.

A. R.

Seidel. „Transvaal die südafrikanische Republik. Historisch, geographisch, wirthschaftlich dargestellt, Berlin 1898. (Zweite Auflage).

Powyższa praca została w roku zeszłym naszej literaturze przyswojoną i zaspakaja w zupełności ciekawość, jaką Transwaal obudził na kontynencie europejskim swem bohaterskiem zachowaniem się w boju z Anglikami. Autor rozpoczyna swą interesującą książkę od szczegółowego opisania założenia i ugruntowania rzeczypospolitej transwaalskiej, której historya nie jest tak odległą, gdyż sięga zaledwie roku 1852. I wtedy jeszcze istniały trzy niepodległe rzeczypospolite: Potsckesstroom, Lontpansberg i Lydenburg, zjednoczone przez Pretoriusa w r. 1869 w jedno państwo. Kolonizacya, która właściwie zdobyła dla kultury obszary transwaalskie, była holenderską. Seydel opisał w malowniczy sposób chłopów holenderskich, jak za przykładem starożytnych Germanów w ciężkich, często w dwanaście par wołów zaprzężonych wozach przenosili się z pastwiska na pastwisko z całą chudobą, walcząc po drodze w obronie swego życia i mienia. Boerzy przytem nie posunęli się nigdy, jak koloniści północno-amerykańscy, do tępienia autochtonów. Zawierali oni z nimi układy, odkupywali od nich terytorya i byli w pełnem znaczeniu tego słowa zwiastunami kultury.

Między 1685 a 1688 rokiem gromada francuskich Hugonotów, złożona z mężczyzn, kobiet i dzieci, a około 300 głów wynosząca, osiedliła się niedaleko Kapu i w krótkim czasie złożyła niezaprzeczone dowody swej wytrwałej i umiejętnej pracy. Anglicy nie spuszczali z oka rozwijającej się rolniczo krainy i już w r. 1780 i 1782 próbowali rozszerzyć na owe kolonie swoje zwierzchnictwo, ale zamiar udaremnionym został przez flotę francuską pod dowództwem admirała Duffien. W kolonii Kap utrzymał się tymczasem rząd holenderski, który wywołał w 1798 r. między kolonistami Graaf-Reinet i Swellendam wielkie niezadowolenie. Okręgi powyższe ogłosiły się niezależną rzeczypospolitą, a chwilę ową wyzyskała Anglia, wysyłając flotę w celu zajęcia rzeczonej kolonii w imieniu księcia Oranii. Wysoka odwaga Boerów nie ochroniła ich od stanowczych klęsk na lądzie i morzu, i wkrótce generał Craings po zdobyciu fortyfikacyi Kapu został pierwszym angielskim gubernatorem. Kolonia przeszła pod protektorat Anglii, i wpływ Holandyi stanowczo przerwanym został.

Mimo że Anglia rozpostarła swe zwierzchnictwo w krainie Kapu z siłą i energią, pokój w Arrviens (1880) przywrócił znowu wpływ i pierwotne znaczenie Holandyi. Nie przeszkodziło to jednak Anglii w dwa lata później rozpocząć kroki nieprzyjacielskie, a 4 stycznia 1806 roku zjawiła się przed Kapstadem silna angielska flota i zmusiła miasto do kapitulacyi. Generał holenderski Janssens zo-

stał wypędzonym, i odtąd stale flaga wielko-brytańska powiewała na kastellu miasta Kap. Od początku zwierzchnictwu angielskiemu okazali się Boerzy nieprzychylni. Brytańska polityka, popierająca autochtonów, t. j. Kafrów i Hotentotów, przeciwko Boerom, a przedewszystkiem dająca im w rękę broń ognistą, za pomocą której stawali się niebezpiecznymi europejskiej kolonizacyi, coraz bardziej zniechęcała do siebie pierwiastki kolonizacyjne holenderskie. Jeszcze bardziej gniewało Boerów dążenie Anglii do zupełnego równouprawnienia autochtonów z białymi, przy czem, aby zapobiedz wytworzeniu się niezależnych osad boerskich, rząd angielski nie zaniedbywał podburzać przeciw Boerom Kafrów i Hotentotów, dostarczając im broni i amunicyi.

Gdy wszelkie pokuszenia się o uzyskanie niezależności zostały przez angielskie wojska zduszonemi i gdy niezbyt sprawiedliwie przeprowadzona emancypacya niewolników podkopała byt materyalny Boerów, poczęli ciąg swój (trekken) ku nowym siedliskom około roku 1835—1836. Przeszło ośm tysięcy Boerów postanowiło opuścić dawną ojczyznę. Około 5,000 ruszyło do Natalu, a mniejsza część do Oranii, rzeki Vaal i gór Smoczych. Manifest, jaki przy tej sposobności ogłosił Pieter Rerief, wypowiedział wszystkie skargi Boerów i wszystkie powody, które ich skłoniły do opuszczenia ojczystych siedzib. Jest to dokument niezmiernie ciekawy, który Seidel zamieścił w swej książce, i z niego przekonać się możemy, jak rozpaczliwem było położenie owych pierwszych pionierów cywilizacyi i kultury w krainie Kapu. Angielski rząd czynił energiczne usiłowania, aby powstrzymać Boerów, ale okazały się one daremnemi, pomimo, że w Natalu oczekiwały ich krwawe niespodzianki, skutkiem których 600 Boerów zostało podstępnie przez Zulusów wymordowanych. Boerowie jednak pomścili swych towarzyszy i zagarnęli Natal w swe posiadanie.

Kiedy nareszcie zdawało się Boerom, że zdobyli sobie trwałe i niezależne siedziby, Anglicy pod pozorem pośredniczenia między nimi a Zulusami zjawili się w Natalu, dążąc do rozpostarcia i tam swojego zwierzchnictwa. Boerzy jednak pozbyli się na razie Anglików, zwyciężyli Zulusów i oddali się pod opiekę króla Holandyi w tem przekonaniu, że krok powyższy ochroni ich od pożądliwości angielskiej. Wkrótce jednak gubernator Kapu, Napier, obwieścił im kategorycznie, że emigranci, jako angielscy poddani, nie mają prawa z zagarniętych terytoryów urządzać niezależne państwo, w następstwie czego nie omieszka w swoim czasie obsadzić je militarnie. Napier przez półtora roku pozostawił Boerów w spokoju, pozwalając im się należycie wzmocnić. W roku jednak 1842 rozpoczęły się kroki wojenne, i Anglicy, zdobywając pozycye górzyste, narażeni byli na dotkliwe straty. Ostatecznie jednak zbyt słabi, aby wytrzymać nierówną walkę i podburzania Zulusów, zdecydowali się znowu na opuszczenie zdobytych niedawno siedzib i na szukanie kolonii nowych między rzekami Vaal i Oranje.

W r. 1848 nie omieszkali jednak Anglicy ogłosić swego zwierzchnictwa nad rzeczpospolitą Oranje, a gdy szczęście wojenne zawiodło Boerów, postanowili pod przewodnictwem Pretoriusa przejść rzekę Vaal i tam, na zachodnim skłonie gór Smoczych, między rzekami Vaal i Limpopo, założyli sobie nowe siedliska. Zaledwie się rozgościli w nowej krainie Transwaalu, gdy gubernator Kapu Napier obwieścił zajęcie powyższych ziem pod zwierzchnictwo Anglii, tak, że Boerowie niezwłocznie je opuścili, posuwając się na północ, gdzie zrazu żyli bez żadnej organizacyi. Dopiero w 1844 r., gdy się żywioł kolonizacyjny wzmocnił, Pretorius zajął znowu opuszczone siedziby. Nauczony doświadczeniem dążył on obecnie do po-

rozumienia z Anglikami, i nareszcie udało mu się z nimi zawrzeć ugodę w roku 1852, która pozostawiała Boerom upragnioną niezależność.

Podawszy w sposób interesujący i wyczerpujący historyę kolonizacyjnych usiłowań Boerów, jako ważny przyczynek do dziejów zarządu Transwaalem, Seidel podał biografie prezydentów Transwaalu, jak Pretoriusa, Burgersa, w których mieści się właśnie dalsza historya Transwaalu, którą bardzo starannie i szczegółowo doprowadził aż po za rok 1880. Prócz tego w książce Seidla spotykamy się z geologicznymi, geograficznymi, społecznymi, ekonomicznymi warunkami, w jakich się Transwaal znajduje. Konstytucya, administracya wszystkich gałęzi zadań publicznych, a przedewszystkiem samorząd miejscowy i wojskowość, przedstawił Seidel w wyczerpujący sposób, nie ulegając bynajmniej jednostronności w poglądach. Przyznaje on Anglikom dużo cywilizacyjnego wpływu i wykazuje, że przemysł Transwaalu zawdzięcza prawie w całości swe istnienie kapitałom angielskim, ale z drugiej strony nie przywiązuje do ich humanitarnych zasad wielkiej wagi, dowodząc, że nawet w sprawie emancypacyi niewolników rządzili się skrajnym egoizmem, dążąc nie tyle do sprawiedliwości, ile do pokrzywdzenia i zrujnowania materyalnego Boerów. Za to typ Boera-rolnika skreślił Seidel żywo i sympatycznie. Pokazuje się z jego pracy, że holenderski pierwiastek kolonizacyjny mógł się okazać mniej przedsiębiorczym i energicznym, niż angielski, ale przewyższa go wytrwałością w pracy, skromnością potrzeb i siłą rycerza, która tkwi w jego piersiach. Trudno też odmówić wysokiego uznania Boerowi, gdy na swojej skibie w znoju i braku środków melioracyjnych walczy niestrudzenie z naturą racząc się kawą, jako największym zbytkiem, i znajdując najprzyjemniejsze wytchnienie w czytaniu biblii, z którą się prawie nie rozstaje. Nic więc dziwnego, że w piersiach takiego duchowo zdrowego ludu kryła się taka gorąca miłość kraju i takie wysokie bojowe przymioty. To, co nam Seidel pisze o wykształceniu i wychowaniu Boerów, zupełnie usprawiedliwia dodatni rezultat, z jakim wystąpili przed zdumioną, starą Europą. *A. R.*

Dr. Józef Siemiradzki: „Polacy za morzem". (Lwów, 1900, str. 29).

Drobna broszura, zaprzątnięta myślą rozwinięcia na szerszą skalę wychodźtwa ludu polskiego — przeważnie z Galicyi i do Brazylii, opiera się w wywodach swych naczelnych na twierdzeniu, wymagającem rękojmi, że „emigracya ludności wiejskiej" jest u nas objawem normalnym i stałym. Autor zwalcza mniemanie tych, co utrzymują, że właściwego przeludnienia w ziemiach polskich niema. Zapewne, — powiada — w krajach o wysokiej kulturze i silnie rozwiniętym przemyśle, przeciętna cyfra 90 ludzi na jedną wiorstę kwadratową nie jest bynajmniej za wielką; ale Galicya jest krajem „ekonomicznie słabym", wyłącznie niemal rolniczym, pomnażającym swą ludność o tyle szybko, że część jej z braku zajęć zarobkowych skazaną jest na śmierć głodową, „jak tego dowodzi bajecznie wysoka cyfra śmiertelności: 32 na tysiąc rocznie, gdy w Niemczech umiera tylko 22, w Norwegii zaś 16 na tysiąc." Jakkolwiek w Królestwie polskiem średnie zaludnienie wynosi zaledwie 74 ludzi na wiorstę kwadratową, a rosnący silnie przemysł fabryczny daje zatrudnienie nadmiarowi ludności rolniczej, — pomimo to wszakże „dużo jeszcze ludzi wychodzi z Królestwa za chlebem do sąsiednich Prus, a nawet za morze."

Statystyka powyższa, bardzo skąpa i pobieżna, zachęcałaby ludzi myślących raczej może do wytężenia usiłowań w stronę polepszenia ogólnych warunków by-

tu ekonomicznego ludu polskiego (sanitarnych, wytwórczych, wychowawczych), niżli do tworzenia towarzystw i banków, zachęcających ciemną i zbiedzoną masę chłopską do szukania lepszej doli na obcej ziemi, daleko od metropolii, wśród morderczych warunków klimatycznych i etnograficznych, — gdyż, bądź co bądź, zachwalana ta niegdyś Brazylia, jej dyamentami płynąca Parana, jest dziś, jak sam dr. Siemiradzki wyznaje, ekonomicznie podbitą kolonią Niemców i Włochów (stron. 8).

Myśl ujęcia wychodźtwa włościańskiego w pewne karby i skierowania rozpraszających się w obcych morzach strumyków w jedno łożysko, „gdzieby w potężny strumień urosnąć mogły", wydałaby się u nas przed laty jeszcze dziesięciu szaloną, a tego—pisze dr. Siemiradzki—ktoby się ją ośmielił wypowiedzieć głośno, okrzyczanoby za zdrajcę kraju lub za płatnego agenta towarzystw przewozowych... Dziś zaszło wręcz coś przeciwnego: agentem przewozowym, służką Niemców-hakatystów, zdrajcą — jeżeli nie kraju, to przynajmniej kogoś, co w imieniu kraju popiera onego wyludnienie na rzecz republik południowo-amerykańskich, — stał się p. Artur Gruszecki—za to, że, zwiedziwszy w początkach roku bieżącego Paranę, rozpoczął w „Tygodniku illustrowanym" formalną kampanię przeciwko frymarczeniu krwią i potem wieśniaka polskiego. Wywiązała się stąd w pismach warszawskich i galicyjskich zła, namiętna, z wielu względów prawdziwie korsarska polemika, w której dr. Siemiradzki, powoławszy się na swe rozmowy, nikomu nieznane, z hr. Gołuchowskim, z hr. Badenim i innymi dygnitarzami galicyjskimi lub rakuskimi, zasypał całkiem przedmiotowe, a zaledwie dopiero rozpoczęte sprawozdania Gruszeckiego gradem epitetów niezmiernie wątpliwej estetycznej wartości.

Czujne, spokojne, w akademickim tonie trzymane i wytrzymane repliki Gruszeckiego zażegnały chwilowo wylew namiętności gwałtownych, ale spór po dziś dzień nie jest skończony. Zjawiająca się w toku rozpraw broszura d-ra Siemiradzkiego przesądza rezultat procesu, wytoczonego przed kratkami opinii publicznej: o r g a n i z u j e już ona emigracyę chłopską—bez względu, że sama p o d s t a w a przedsięwzięcia uległa zakwestyonowaniu, a w łonie władz autonomicznych Galicyi (np. w Radzie miejskiej krakowskiej) obudziła dające do myślenia refleksye i drażliwości. Nie możemy tu naturalnie wdawać się w rozbiór zagadnień lub zarzutów państwowych. Stwierdzamy tylko przykre i uciążliwe wrażenie, jakie w takich warunkach wywierają w rozprawce d-ra Siemiradzkiego szematy rozmaitych obliczeń pieniężnych, okazać mających, ile to spółka, wspierająca wychodźtwo, zarobiłaby na drobnej i cząstkowej odprzedaży chłopom polskim ziem, zakupionych hurtem od rządu brazylijskiego lub od prywatnych krezusów parańskich. Obliczenia te wydają się przytem najzupełniej fikcyjnemi i jakby nieświadomie ukrywającemi prawdę.

Na str. 28 powiada dr. Siemiradzki: „Na podstawie licznych ofert realnych, wpływających z Parany na ręce lwowskiego towarzystwa kolonizacyjno-handlowego, przyjmujemy cenę kupna ziemi, stosownie do położenia i środków komunikacyjnych, na 8 do 15 milrejsów (czyli franków brazylijskich) za hektar, zaś cenę sprzedażną o d m i e r z o n y c h parcel—na 40 milrejsów za hektar gruntów wiejskich i co najmniej 200 milrejsów za hektar gruntów podmiejskich..." Dalsze cyfry wskazują, że kolonista polski otrzyma istotnie za 40 lub za 200 milrejsów hektar ziemi „odmierzonej", opatrzonej drogami i administracyą... Ale nic więcej. Z jakich że sum i zapomóg nieszczęsny ów murzyn nadkarpacki chałupę sobie w Brazylii zbuduje, pole zasieje, narzędzia nabędzie i inwentarz żywy wyhoduje?—Nie-

ma o tem najmniejszej wzmianki w bilansach „Polaków za morzem“. Widocznie chodzi o to tylko, aby grunta, zakupione w Paranie przez lwowskie towarzystwo kolonizacyjno-handlowe po 8 i 15 milrejsów. czem rychlej odprzedać chłopom polskim po 40 i 200 milrejsów... Wyznajmy, że na gospodarce pierwszych zdobywców Ameryki jest to rachunkowość zanadto uproszczona...

W ogólności, coś nad wyraz zagadkowego i mętnego przeziera z pobieżnej pracy d-ra Siemiradzkiego. W jednem miejscu (str. 19) autor zasłania swe kombinacye doraźne, podjęte w obronie i na chwałę założonej już we Lwowie spółki eksportacyjnej, wyjątkiem z jakiegoś dzieła p. Leroy-Beaulieu, głoszącym: „Narody, które nie kolonizują, przeznaczone są na wymarcie, a przynajmniej na wstąpienie do grona mniej licznych i najmierniejszych na kuli ziemskiej...“ Autor, powołując się przy tej sposobności na fakt, że wychodźtwo austro-węgierskie składa się obecnie w $^3/_4$ z włościan galicyjskich i Słowaków węgierskich,—dodaje od siebie do słów p. Leroy-Beaulieu: „jest p r z e t o nadzieja, że wybrniemy s z c z ę ś l i w i e z pocztu tych społeczeństw, które nie rozrastają się i zanikają...“ Oryginalne, zaprawdę, spostrzeżenie! Naród „ekonomicznie słaby“, to jest siedzący wśród nieprzejrzanych, podziśdzień jeszcze, nieużytków i pustkowi, wzmagaćby się miał na siłach akurat w stosunku prostym do ilości opuszczających te pustkowia i nieużytki rąk zdrowych, zdolnych do pracy! Ależ, rozumując w ten sposób, dojść możemy do pewnika, że się staniemy wszechmocnymi, gdy wszyscy razem z żonami, dziećmi i długami hypotecznymi wyniesiemy się z tej nieszczęsnej ziemi, zostawiając ją na pastwę wierzycieli Szczepanowskiego w Galicyi i komorników komisyi ekspropryacyjnej w Poznańskiem... I wydaje się nam, że widzimy, jak w tej chwili olbrzymi szkielet ks. Bismarka prostuje się w swym sarkofagu i, wyszczerzając mamutowe swe zęby, powiada do nas z uśmiechem wdzięcznym: tak jest, tak jest!—jedni do Monaco, drudzy do Parany!...

Ale u d-ra Siemiradzkiego uczciwy żart nie popłaca; należałoby te rzeczy obejrzeć z całkiem innej strony. Był on w Brazylii dwukrotnie. Po pierwszej podróży wydał tłómaczony z angielskiego „Opis stanu Parana“, który w edycyi drugiej, z r. 1896, uległ bez jego, podobno, woli i wiedzy, przeróbce fałszywej i niesumiennej, przeciwko czemu autor-tłómacz zaprotestował dopiero w r. 1900, dowiedziawszy się o całej machinacyi od swego przeciwnika. Podróż druga, odbyta w r. 1896, doczekała się druku również dopiero w r. 1900, akurat wtedy, kiedy temuż przeciwnikowi wypadło rzucić krzyczącą, nieużywaną dotąd w piśmiennictwie polskiem i na bezwzględne potępienie zasługującą formułkę prowokacyjną: „że swe informacye zbierał p r z y b u t e l c e...“ Trudna rada; wejść musimy do wnętrza owego cyrku, — nie w celu amatorskiego, chroń Boże, przyglądania się sztukom łamanym, lecz tylko dla dowiedzenia się o co, o j a k ą n a g r o d ę zapaśnicy tak niemiłosiernie wyłamują sobie żebra... Mamy nadzieję uczynić to w najbliższym zeszycie „Ateneum“, rozstrząsając nową pracę d-ra Siemiradzkiego p. t. „Szlakiem wychodźców“ (Warszawa, 1900, tomów dwa). *Rajczyc.*

A n t o n i L a n g e: „Studya i wrażenia“. Warszawa, nakład Jana Fiszera, 1900, str. 297.

Lange należy do „dzisiejszego“ – najmłodszego pokolenia naszych pisarzy, do nieokreślonego i niewykwalifikowanego grona owych „modernistów“, którzy publicystykę, poezyę, belletrystykę, filozofię stłoczyli i zmieszali w zamętny jakiś wielokształt widzeń, rozumowań, snów, przeczuć, zagadek i gadanin bezcelowo jakoby estetycznych. Urodzony w r. 1863 w Warszawie w niej wyrósł, kończył

szkoły i odbywał studya uniwersyteckie; w bardzo młodym wieku oddał się zawodowi literackiemu, którego stronę fachową rozwinął następnie na wzorach przeważnie francuzkich—przez dłuższy pobyt i naukę w Paryżu (1886—189·).

Amatorstwo impresyonistyczne—puszczenie wrażliwości umysłowej na cztery wiatry dowolnego zachwycania się nad tem wszystkiem, co na brzeg życia wyrzuci fala powszedniego trafu — wcześnie się go uczepiło w stolicy Francyi, pociągając ku sobie tę duszę szczerą i miękką, ale też i do słabości chwiejną, przedewszystkiem mgłami pesymizmu mistycznego, błąkającego się po wszechkrańcach deologii światoburczej. Dowodzą tego między innymi pierwsze ogłoszone jego utwory: poemacik p. t. „Pogrzeb Shelley'a“ (1890) i tłómaczenie bezdennie rozgoryczonych „Kwiatów grzechu“ Baudelaire'a (1894). W drobiazgach lirycznych, poczętych mniej więcej w przystępie własnego natchnienia, a odznaczających się wielkiem urozmaiceniem form wyszukanych, Lange wahał się czas jakiś niespokojnie pomiędzy rozmaitemi prądami neo-romantyki humanistyczno-panteistycznej i realistyczno-artystycznej, nie zdając sobie wyraźnej sprawy ani z tego, dokąd z tem zapłynie, ani, co mu to obiecać może wśród społeczności polskiej, zupełnie jeszcze z zamorskimi tymi płodami nie oswojonej. W dwutomowym zbiorze utworów rymowanych, wydanych w Krakowie (1895 i 1898), równie jak i w dwu tomach „Przekładów z poetów obcych“ (1899), dążność ogólna uwydatnia się o wiele już dokładniej,—ujednostajniona post festum. „Poszukiwałem tu — powiada Lange w przedmowie do „Przekładów“ — geniuszu nowożytnego i nowożytnego ideału...“

Nie każde naturalnie poszukiwanie — choćby najgorliwsze—odrazu do odkrycia i wynalazku prowadzi. Droga często jest długa, męcząca, pełna udręczeń, zawodów i niebezpiecznych zasadzek. Sam Lange nader skutecznie wykazać to usiłował w swych pracach dziennikarskich, dotychczas uksiążkowionych, mianowicie w „Studyach z literatury francuskiej“ (Lwów, 1897) oraz w świeżo wydanych „Studyach i wrażeniach“, których przedmowa raz jeszcze zaznacza, że chodzi w nich o „poszukiwanie ideału współczesnego“ w związku z rozważaniem „tajemnic twórczości“ i z ewolucyą powszechną.

Tajemnice twórczości! geneza geniusza! rozwój wszechświata!—wielkie słowa, wielkie hasła, szeroko rozbrzmiewające tematy, — a w gruncie, wskutek nieustającego obcowania z tylu naraz różnorodnymi ogromami pojęć—zupełny zanik lub zubożenie wszelkiej myśli żywotnej. Lange oznajmia np., że jego studya i wrażenia obracają się głównie dokoła zagadnienia o twórczości genialnej i że przedmiotowi temu zamierzał był pierwotnie poświęcić „obszerną pracę.“ Rzecz tę przeto zbadał specyalniej, głębiej. W jednem miejscu utrzymuje nawet, że „wiemy już dzisiaj, co znaczą te tajemnicze (według Schillera) siły twórcze“ (str. 183). W osobnej jednakże rozprawce, najciekawszej z całego zbiorku p. t. „Poeci o geniuszu“, widzimy tylko czcze i błędne kręcenie się na jednem miejscu, bez rezultatu, bez rozwiązania, bez możliwego nawet wyjścia. „Któż lepiej mógłby wytłómaczyć tajemnicę natchnienia od samego natchnionego? komu bliżej i dokładniej mogła być znaną studnia twórczości genialnej, jeżeli nie temu, co pod nieznanym wpływem genialne dzieła wydaje?“ Od tych pytań, przepełnionych napozór otuchą i obietnicą, zaczyna się u Langego dochodzenie. Pośrodku ciągnie się tabor cytat niezliczonych. Owidyusz utrzymuje, że jest w poetach jakiś bóg, który ich rozgrzewa. To samo powtarza Syrokomla: „nie ja śpiewam, lecz duch boży, nie ja śpiewam, lecz świat boży, nie ja śpiewam, lecz lud boży...“ To samo jeszcze parafrazuje Słowacki w „Królu-Duchu“: „wtenczas to walkę we mnie Bóg wnaturzył,

we mnie jęk, we mnie płacz i mieczów rżnięcie, we mnie się obłok zakrwawiony kurzył...“ Wiktor Hugo wyraża się o geniuszu, że jest to „nadludzkość, wychodząca z ludzkości,“ a według Shelley'a znaczy to, że poeci są „cieniem i zapowiedzią tego, czem będzie człowiek w przyszłości.“ Narodziny owej przyszłości odbywają się w boleściach. Dlatego to Krasiński utrzymuje, że cierpienie jest wielkością człowieka na ziemi, zgadzając się w tym punkcie z Baudelairem, który powiada: „Cierpienie—to jedyne szlachectwo, którego nie poruszy niebo, ani piekło“. Stwierdza to i Leopardi w słowach: „prawdą jest tylko, że wszystko jest próżnią, oprócz cierpienia“. Jedynie cierpienie jest rzeczywistem — zapewnia Schopenhauer... Tęsknota do przyszłego, powstać dopiero mającego świata wywołuje melancholię, która, zdaniem Edgara Poe, jest zasadniczym pierwiastkiem sztuki. Wprawdzie Karol Morice mniema, że, przeciwnie, nie smutek, lecz radość jest podstawą sztuki, „ale—dodaje Lange—jest to zwykłe odwrócenie terminów, gdyż istotnem źródłem sztuki nie jest radość, lecz pragnienie radości—czyli właśnie melancholia.“ Nie tyle wszakże pragnienie szczęścia, ile raczej ucieczka od nieszczęścia otwiera krynicę twórczości. „Moje natchnienie poetyckie — powiadał Goethe — było bardzo słabe, gdy przedemną promieniała rozkosz; ale złotym gorzało ogniem, gdym uchodził od klęski...“ Ostatecznie cały ów korowód przypowieści i orzeczeń kończy się na wyznaniu, że twórczość i geniusz „jest to c o ś: coś nieznanego, coś nieokreślonego...“ I wywód swój zamyka Lange wnioskiem, który wszystkie przesłanki w niwecz obraca, niepotrzebnemi je czyni. Przytacza bowiem wierszyk Deotymy, głoszący, że, ponieważ natchnienie—w Mojżeszu, Koperniku, Szekspirze—jest rodzicielką wszelkich na świecie odkryć i wynalazków, więc geneza genialności wymyka się z karbów dochodzenia. „To natchnienie, co śród chmur i ciemnic, piorunem przeczuć rozdziera, docieka skrytości bóstwa, świata i człowieka, czemże jest samo?—najgłębszą z tajemnic! Najcięższa z zasłon kryje tę prawicę, co wszystkie inne odsuwa zasłony... Ach, ten więc byłby n a j w y ż e j natchniony, ktoby natchnienia poznał tajemnicę...“ Furtka wyjścia jest tu najcięższą zaporą do wejścia, gdyż nawet najwyższe natchnienie, raz zdobyte, okazałoby się natychmiast nie dość wysokiem i wymagałoby sankcyi nowej, jeszcze wyższej, aż do nieskończoności, w której wszelka rachuba się zatraca.

Właściwością nie tyle może umysłu Langego, ile jego maniery stylowej jest piętrzenie formuł bez względu na to, czy do siebie przystają, czy nie. Jest jedno, jest później drugie, jest dalej trzecie—i na tem koniec. Dlaczego? — to nie jego sprawa. Natura i duch — pisze — to j e d n o ś ć, nie tylko pierwotna, lecz i ostateczna. W istocie swojej duch (czyli uczucie, wiedza, wyobraźnia, wola) nie jest czem innem, tylko przejawem natury, jej kształtem. Nadchodzi chwila, kiedy się one różnią pomiędzy sobą, kiedy walczą, jako potęgi wrogie,—lecz po to tylko, aby się na nowo połączyć i do pierwotnej jedności powrócić... Skądże jednak pochodzi, skąd jest rodem owo czasowe nieporozumienie przyrody z duchem?... Oto stąd, że „duch ludzki, p r z e z p r z y r o d ę p o d r a ż n i o n y, wyodrębnia się z łona macierzystego i walczy z naturą...“ Mamy oto tym sposobem zarodkową pestkę najrozmaitszych filozoficznych i neo-religijnych przeobrażeń i przelewań z jedności, niewyróżnicowanej duchowo, w jedność, która owe różniczki ku sobie garnie i w swem łonie grzebie,—a ten dziwaczny, bezpodstawny, bezdarnie pomyślany proces wysuwa się z jakiejś zagadkowej wielce podejrzanej zasady „podrażnienia“ ducha przez naturę—podrażnienia tem mniej oczekiwanego, że a b o v o, od początku początków, duch i natura najspokojniej przy sobie zażywały wczasu na wiekuiście osamotnionem łożu jedności niezmąconej. Do czego to podobne,

choćby tylko symbolicznie, jeżeli nie logicznie? Dualiści kartezyańscy, uznający ducha i materyę za dwa pierwiastki odrębne i niezależne, mogliby się jeszcze zgodzić na koncepcyę, w której duch, pierwiastek czynny, „drażni“ materyę, pierwiastek bierny, ale hypoteza odwrotna na żaden sposób nie może być dopuszczoną, gdyż materya, drażniąca ducha, e o i p s o przestaje być materyą, biernością, a temu najformalniej się sprzeciwia założenie, z góry przyjęte.

Lange usuwa przeszkodę filologicznie, dyalektycznie, z widoczną ujmą dla geometryi euklidesowej. Materyę zastępuje u niego „natura“, naturze zaś autor nadaje określenie, że jest ona względem siebie: i całością, i częścią. Przed podrażnieniem—to całość; po podrażnieniu—część tylko. Wszystko razem tworzy rodzaj panoramy, o jakiej świat dotąd nie słyszał. Wyobraźmy sobie beczkę wszechobejmującą, a przecież zarazem taką, że podmiot, siedząc w jej wnętrzu, oglądać ją może p r z e d m i o t o w o, to jest zzewnątrz, po za nią. W takim stanie rzeczy staje się prawdopodobnem, że owo oglądanie zaczyna „drażnić“ podmiot, zachęca go do wydostania się z beczki — albo też do czegoś równowartego w tym guście. Wydostanie się wszakże jest tylko pozornem i tymczasowem, podmiot bowiem złączy się kiedyś z przedmiotem — a natura, jak była, tak też i pozostanie jednością, zawierającą w sobie cały szereg przemian i ruchów, starć i harmonii — dokonanych, aktualnych i możliwych na przyszłość, — „które są bezustannem przelewaniem się zjednoczeń w odrębności i odrębności w zjednoczenia, skupień w rozprzężenia i rozprzężeń w skupienia...“

Z ostatnich wyrazów cytaty, ujętych w cudzysłów, czytelnik spostrzega niezawodnie, że do kwestyi zbratania czy też utożsamienia ducha z naturą wkracza ogólnikowo streszczona, ewolucyjna doktryna Spencera. Pożyczka jest godziwa, dobra. W ogólności Lange, posługujący się chętnie poparciem rozmaitych tegoczesnych powag naukowych i literackich, umie z nich wydobyć materyał wartościowy, cenny. Ale zestawienie, sposzycie tych notat bywa najczęściej takie, że każe wątpić, czy mamy do czynienia z referentem średniej nawet ręki, przeciętnej zdolności konstrukcyjnej. Oto np. John Ruskin — ten sam, którego niektóre traktaty ukazywać się zaczynają w spolszczeniu na pierwszem miejscu naszych wystaw księgarskich. Gdyby ktokolwiek z nas, zwyczajnych reporterów, mniej pochopnych i uzdolnionych do ubiegania się o jaskrawe, kolorystyczne znaczki i łatki, zdobył się na tyle, co Lange, gruntownych i zasadniczych, a wzajem sobie uwłaczających i — wzajem się wyłączających charakterystyk działalności angielskiego krytyka i estetyka, byłby je niechybnie uwieńczył też i konkluzyą właściwą, karcąc surowo, stanowczo nawet potępiając swawolne, kapryśne wybryki amatorstwa pańskiego, rozłamujące istotę myśliciela w kierunkach, biegunowo od siebie odskakujących. „Sztuka powinna być jakby fotografią, cel jej jedyny polega na przedstawieniu rzeczywistości,—artysta nie ma prawa zajmować ogółu marnymi pomysłami swego mózgu“: to dla realistów i naturalistów; „sztuka polega przedewszystkiem na oddaniu stałych i istotnych cech przedmiotu, tak, aby obraz mógł nam o d r a z u w e w n ę t r z n ą n a t u r ę r z e c z y przedstawić“: to dla idealistów i mistyków; i znowu zaraz: „obraz powinien być tak ś c i s ł e malowany, ażeby w odwzorze gruntu lub wału uczony rozpoznać mógł warstwy geologiczne“,—a przecież, pomimo to, „plastyka ma zniknąć z malarstwa, malarz powinien złamać pędzel i wziąć się do malowania pojęć...“ A przy tem, tuż obok — całe roje figlików językowych, od których mdło się robi: chrystyanizm usamowolnił ducha, katolicyzm go przytłoczył i zdusił; styl bizantyjski uwydatnia swobodę każdego robotnika-artysty renesans jest powrotem do formalizmu pogańskiego, wiekiem upadku sztuki;

Rafael i Corregio należą do najszkodliwszych malarzy i t. d. Lange widzi, pojmuje, wytyka te zawadyackie wyskoki, te prawdziwie histeryczne konwulsye myśli i słowa, ale je wnet układa i rytmuje antynomicznie, niby jakieś drogocenne wybujałości organizacyi mastodontowo utalentowanej, dla której nawet potworność— regułą, według tej oto np. recepty: „Ruskin, wychodząc z punktu, że sztuka powinna być prawdą, podaje określenie tejże (t. j. sztuki) sprzeczne z jego własnemi twierdzeniami, ale... genialne“ (str. 161). W moc takich śmiertelnych skoków i antytez następuje apologia... „Niech nikt Ruskina nie posądza o brak logiki i konsekwencyi: jest on zapewne (?) filozofem, ale więcej entuzyastą, poetą, dzieckiem uczucia i instynktu. Estetyka jego tak samo genialna i tak samo chaotyczna, jak tragedye Szekspira lub filozofia Bakona...“ Fantasmagoryczna architektonika oryginalnej tej oceny odsłoni się należycie, gdy zauważymy: 1-o że estetyka jest wiedzą, nauką, umiejętnością, nie zaś dyalogiem z pierwszej sceny „Poskromienia złośnicy“, 2-o że Ruskin żył i pisał w wieku XIX, nie zaś w wieku Bakona.

Szczerze żałować należy, że prawdziwemu poecie tak trudno być dobrym prozaikiem. Świetne, kwieciste wysłowienie, pojedyńcze zdania i poglądy bystre, trafne, często wzniosłe lub głębokie — idą u Langego na marne dla tego, że inne są tryby uwydatnienia artystycznego, a całkiem inną jest metodologia dowodzeń rozpoznawczych i badawczych. „Studya i wrażenia“ są z tego względu nader zajmującą książką do przeczytania — i prawie szkodliwą — do czytania. Prawie szkodliwą jest ona u nas — wyłącznie zapewne nas, a to z powodu, że obecne piśmiennictwo polskie popularyzacyjno-naukowe jest nader ubogie, że poziom poważniejszego czytelnictwa obniża się stale, jak to pokazuje statystyka wydawnictw, a co do gęstszych mas oświeconego ogółu, nie przyzwyczaiły się one jeszcze regulować płytkich wód swojego znawstwa według żywiej odczutej i uświadomionej głębi swych pożądań i interesów zbiorowych, lecz zawsze po dawnemu marszczy i karbuje wód tych powierzchnię według doraźnego powiewu przemagających na Zachodzie upodobań — dziś arystokratyczno-ulotnych upodobań, nazajutrz demokratyczno-obwisłych, wczoraj salonów wykwintnych, onegdaj praktyczno-naukowych.

I. T. Hoді.

„Argonauci“ Orzeszkowej (1900).

Podziwiać należy świeżość i współczesność umysłu sędziwej pisarki, którą każdy nowy proces w życiu zajmuje tak gorąco, że wnet staje się pobudką do twórczości. Otóż do skarbca jej studyów powieściowo-społecznych obecnie przybyło studyum dekadentyzmu dyletanckiego artystyczno-etycznego w życiu— tymczasem tylko sfer milionerskich. Tak więc, jak wogóle powieści Orzeszkowej, Argonauci — to powieść z tezą, nawet z dwiema tezami, które krytykowi też będą musiały służyć za nici przewodnie. Zapewne, Aryadna dała swemu kochankowi jedną tylko, ale krytyk nie jest przecie ulubieńcem powieściopisarza. Tezą pierwsza jest myśl, iż człowiek, który całe życie dobijał się zwycięsko bogactwa, rozgłosu, znaczenia i siły, może zginąć z głodu serca, skoro mu zabraknie tego, na co w zapale walki całego życia najmniej zwracał uwagi: wzajemnej wiary i miłości rodzinnej. Nie jest to myśl nowa, a przeprowadza ją tu autorka w sposób łatwy do odgadnięcia. Finansista i przemysłowiec „żelaznej pracy“ zaniedbuje — oczywiście nie pod względem pieniężnym — swoją rodzinę. Darmo piękna i dobra żona błagała go na klęczkach, żeby przestał gonić wciąż nowe miliony po wszystkich krańcach świata. Sentymentalne mrzonki nie mają przystępu do jego duszy. Po

powrocie z pewnej „trzyletniej” wycieczki Darwid przekonywa się, że starsze dzieci są mu obce duchowo, a żona od lat wielu jest kochanką podupadłego arystokraty, którego sam on uczynił przyjacielem domu, opiekunem rodziny, chcąc zeń uczynić pomost do „sfer wyższych”. Jedyną jego pociechą poza „pracą żelazną” jest młodsza córka, naiwny, wierzący, pełny entuzyazmu podlotek, Kara. Nadwrażliwa jej natura czuje grozę jakiejś chmury niewidzialnej, co przytłacza atmosferę rodzinną, ala Kara pewna jest, że wszystko obróci się na pogodę, nie wątpi bowiem, że wszyscy kochani są najlepsi, najrozumniejsi i bardzo się kochają nawzajem. Podsłuchawszy tajemnicę okropną rodziny, przeziębia się ona samobójczo i umiera. Darmo wówczas ojciec ze zdwojoną gorączką rzuca się w wir interesów i pracy około nowego i najświetniejszego przedsiębiorstwa; opuszczony przez resztę rodziny kończy wreszcie sam też samobójstwem.

Teraz kolej na szkielet tezy drugiej, splecionej nierozerwalnie z losami głównego bohatera, za jakiego trzeba tu uważać Darwida. Baron Blauendorf jest pionerem na drodze szerzenia wzgardy dla wszelkich złudzeń „pasterskich”, czyli zasad zarówno towarzyskich i artystycznych, jak społecznych i etycznych. On to wpaja w starsze rodzeństwo Darwidów przekonanie, iż „garnkami malowanymi” są nie tylko harmonia w sztuce, lecz w życiu—sprawiedliwość, miłość, miłosierdzie, przyjaźń, wdzięczność, poświęcenie, bohaterstwo — wogóle wszelka bezinteresowność. Żadnych skrępowań w drodze ku rozwojowi własnej indywidualności i osobistemu zadowoleniu — to hasło. To też Irena i Maryan D. są tak... „bez przesądów”, że panna nic sobie nie robi zarówno z tego, że b. Bl., jej prawie narzeczony, w teatrze naprzeciw siaduje w loży z utrzymanką-szansonistką, jak i z tego, że matka jej ma kochanka: syn nawet pociesza tego kochanka po zerwaniu z matką. Przerażony próżniactwem i utracyuszostwem syna D. stawia mu ultimatum: jeżeli nie weźmiesz się do pracy w jednej z odległych fabryk moich, cofam ci pensyę i pozbawiam możności robienia długów. Cóż ma uczynić M. wobec takiego zamachu na swoją indywidualność? Porzuca on bez wahania „cerowaną skarpetkę, zwaną ojczyzną”, i wraz z b. Bl. przystępuje do przedsiębiorstwa, polegającego na skupowywaniu za bezcen zabytków sztuki i starożytności po dworach szlacheckich podupadłych i sprzedawania na wagę złota do Ameryki. Ale cały wpływ mistrza - barona, aczkolwiek obudził w Irenie D. zamiłowanie do „zgrzytów”, wstręt do „harmonii“ i niewiarę w „idylle“, nie zdołał zabić w niej doszczętnie „pastuszka“ ostał się pewien „garnek, malowany“ w desenie miłości dla matki. Dla matki wyrzeka się Irena nie tylko barona, lecz świata nawet i ucieka z nią do zapadłego kąta od gwaru wielkomiejskiego i przedewszystkiem od nieubłaganej, choć ukrywanej przed światem wzgardy ojca, która jest dla niewiernej żony trującą zaprawą świetności bytu w domu mężowskim.

Myśl, że przesyt próżności nie zaspokoi głodu serca, jest słuszna: kwestya dekadentyzmu artystycznego w życiu jest nawet na czasie; wreszcie nie brak „Argonautom“ doskonałych rozumowań, opisów i scen charakterystycznych. Pod tym względem powieść ta jest przeciętną powieścią Orzeszkowej, to też przy zaletach powyższych nie brak jej wad.

Przedewszystkiem zaznaczę, że na całości znać szwy rozumowania tendencyjnego, a więc nie znać tej siły suggestyjnej, która każe czytelnikowi wierzyć, że wszystko *musiało* być tak, a nie inaczej. Niekiedy zaś trzeba nie tylko powątpiewać, lecz zgoła czuć, że tak wcale być nie mogło. „Argonauci“ są jednym więcej dowodem, że tylko ów „garnek malowany“, zwany zwykle natchnieniem —namię-

tność twórcza — ma moc mistyczną stapiania myśli i obrazów w harmonijną logicznie i artystycznie całość. Największe doświadczenie techniczne przy największym wysiłku rozumu nie ustrzeże w dziele sztuki od niekonsekwencyi, od nieprawdopodobieństw psychologicznych i do tego najczęściej w punktach zwrotnych, w momentach przełomowych. Dzięki temu np. w „Arg.“ bohaterowie zdają się niekiedy tak przejętymi tezą autorki, że nie przychodzą im do głowy najprostsze argumenty lub sposoby wyjścia z sytuacyi, chociaż znowu gdzieindziej wpadają oni na pomysły nadzwyczajne. Weźmy np. rozmowę wielkiego finansisty z córeczką—podlotkiem, rozmowę takiej doniosłości, że staje mu ona w pamięci w chwili ostatniej, wyrywając z duszy krzyk rozpaczy, iż życie jego było „omyłką“. Tymczasem rozmowa ta wygląda tak, jak gdyby rozmawiający umówili się, że stary da się dziecku w kozi róg zapędzić: to niby pojedynek w teatrze: „Dlaczego ty pracujesz, ojcze?“ pyta Kara, i D., przypierany coraz bardziej do muru pomimo widocznie szczerej chęci nie może znaleźć żadnej innej racyi prócz... zysku pieniężnego: nie przychodzi im na myśl żaden ze zdawkowych frazesów o cywilizacyjnej doniosłości określonego z przedsiębierczością kapitału, o społecznej wartości pracy indywiduów, o zwrocie siły społeczeństwa przez zwrot siły osobników i t. d. Żeby zdmuchnąć te ogólniki oklepane, biedny podlotek musiałby się zdobyć na myśli, sięgające głębi duszy ludzkiej oraz treści losów i celów świata.

To samo dzieje się mniej więcej ze wszystkiemi rozmowami stanowczemi D. ze starszemi dziećmi: składa on karty, mając chociażby pełne ręce atutów. Synowi - utracyuszowi nie jest w możności wytłómaczyć, dlaczego żąda odeń powściągliwości i pracy; ani słowa chociażby o nieuniknionej ruinie fizycznej i majątkowej. Najmniej jednak prawdopodobną zdaje się rozmowa D. z Ireną, która oświadcza na wstępie, że przychodzi mu oznajmić „wolę mamy i swoją“, i mówi z nim następnie o uregulowaniu moralnej pozycyi matki w domu, tłómaczy zdradę jej, nie pomijając przypuszczalnych sprzeniewierzeń się małżeńskich ojca i t. d. Świetna analiza ducho - i życioznawcza w ustach zaledwo pełnoletniej panny poprostu w osłupienie wprawia, zarówno jak jej panowanie bezwzględne nie tylko nad sobą, lecz nad interlokutorem i rozmową całą. To też wobec przebiegu jej zaledwo uwagę zwrócić warto na to, że żadna z osób tych, rozmawiających głośno o sprawach, dotyczących honoru i istnienia rodziny nie myśli ani na chwilę o tem, że nietylko służba może to słyszeć, lecz nawet ów biedny podlotek, tak często wślizgujący się niepostrzeżenie do gabinetu ojcowskiego: chodzi właśnie o to, żeby „maleńka“ życiem przypłaciła podsłuchaną tajemnicę. Sentymentalnie szlachetny kochanek żony w innej scenie przyjmuje z zapałem wdzięczności od męża czek na znaczną sumę. D. daje ją, żeby wnet wytłómaczyć, że to cena oddanych przysług towarzyskich; wie on *o wszystkiem* i, nie chcąc słyszeć o satysfakcyi honorowej, czyli zwróceniu uwagi świata, żąda od Kranickiego zupełnego zerwania wszelkiej nawet znajomości z domem swoim, aczkolwiek rozumie, iż świat ów przywykł od lat kilkunastu widzieć w nim członka rodziny D. Oburzony wyrzutami obelżywymi kochanek ciska w twarz męża gałkę z owego czeku, ale w analizie wrażeń D. po jego wyjściu niema ani śladu tego policzka. Pomimo to spotykamy jeszcze później parokrotnie Kr. w domu D.; bywa on u swego pupila Maryana, pożegnany nawet ostatecznie przez jego matkę. O tem pożegnaniu też parę słów powiedzieć warto. Wielkoświatowiec Kr. wychodzi zapłakany z gabinetu pani i z córką jej żegna się tak, jak gdyby pomiędzy nimi nie było żadnych tajemnic co do jego roli w domu. Z synem swej kochanki mówi on już całkiem otwarcie. Maryan pocie

sza go nawet po zerwaniu z matką, w jaki jednak sposób dzieci doszły do takiego rozumienia życia swej matki, w gruncie rzeczy pełnej wstydu i skromności, — nie wiemy.

Sztuczność pewna kompozycyi znajduje też oddźwięk harmonijny w stylu. Lokaje „rozniecają światła lamp“; pan domu przemawia do nich tak: „powiedz woźnicy, aby czekał. Zawiezie mnie...“ Baron Bl. z Iz. D. w teatrze jednocześnie zapomocą lornetek zbliżają ku sobie twarze, *„patrzą sobie prosto w oczy“*. Lekarz na użytek ojca konającej córki przy jej łożu filozofuje, że „śmierć to olbrzymka, której góry złota nie powstrzymają“,

Zapewne, powieść ta ma na względzie przedewszystkiem szerokie koła czytelników, ktorzy wcale może nie dostrzegą drobnych sprzeczności i niedokładności, każdy zaś oceni tu wyborne sceny rodzajowe, jak np. obiad familijny D. Sceną najbardziej wzruszającą jest powrót Kary do pokoju po pochwyceniu owej tajemnicy zabójczej; potem — jej przeziębienie, wreszcie choroba i śmierć tego dziecka, któremu zbyt gwałtownie stłuczono jego „malowane garnki“. Doniosłość społeczną powieści zmniejsza, niestety, jeszcze i to, że wszystko to dzieje się w sferze bardzo ciasnej, a pozbawionej jakiegokolwiek rodzaju dyfuzyi z innemi warstwami społeczeństwa, reprezentującemi naprawdę jego życie i rozwój.

Józefat Nowiński.

Ignacy Matuszewski. „Dyabeł w poezyi“, historya i psychologia postaci, uosabiających zło w literaturze pięknej wszystkich narodów i wieków, studyum literacko-porównawcze przez—, wydanie drugie, znacznie powiększone i przerobione, Warszawa, Bronisław Natanson, skład główny w księgarni J. Fischera, 1900, 8-o, str. 280+IV.

Znaczną część tego studyum czytelnicy „Ateneum“ znajdą w pierwotnej jego redakcyi, drukowaną w naszem piśmie w roku 1893. Obecnie ukazało się ono w drugiem książkowem wydaniu. Wobec tego nie będziemy tu powtarzali wszystkich szczegółów, lecz podamy najogólniejsze kontury, w których zamyka się cenne, a pracowite dzieło p. Matuszewskiego.

Ostatnim wyrazem syntezy, wysnutej przez autora z rozbioru typów demonicznych w literaturach ludów Azyi i Europy, jest myśl, wyrażona następującemi słowy: „gdziekolwiek i kiedykolwiek ludzie widzieli w świecie dwie wrogie sobie potęgi czy substancye (dualizm), tam mógł się rozwinąć w poezyi dyabeł potężny a względnie dodatni; gdzie zaś panowała wiara w wewnętrzną jednolitość istoty wszechświata (monizm),—tam dyabeł karlał i malał“ (str. 277).

Do tego wywodu dodalibyśmy ze swej strony jedną jeszcze uwagę. Politeizm nie sprzyjał wogóle rozwojowi typów dyabelskich: gdzie było wielu bogów, względnie ułomnych i względnie ograniczonych w swoich atrybucyach, tam i wcielenia pierwiastku zła mogły uosabiać tylko pewne wrogie, a szkodliwe człowiekowi siły natury; wszechpotęga szatana mogła tam tylko utrwalić się w wyobraźni ludów, gdzie istniał on, jako przeciwstawienie wszechpotędze jednego, wszechobejmującego bóstwa. Dualizm więc i monoteizm z jednej strony, monizm zaś i politeizm z drugiej wywołują rozliczne postacie szatańskie w literaturze wszechświata, o rozlicznych obliczach, względnie do tego, gdzie który z tych kierunków zapanował.

Tak więc wśród narodów politeistycznych jedni tylko Persowie, dzięki bezwzględnemu dualizmowi, uosobionemu w postaciach Ormuzda i Arymana,

pozostawili w swoich księgach potężne i scalone wcielenia pierwiastku zła (Iblis, Sefid); ani moniści Indowie, ani politeiści Hellenowie pomimo całej piękności i różnorodności swej mitologii, ani naśladowcy ich, Rzymianie, spadkobiercy ich pojęć, skrzywionych ciężką ręką żołdaka-legionisty, ani wreszcie starożytni Germanowie nic wybitnego pod tym względem światu dać nie mogli. Nie wznieśli się też na wyższe poziomy monoteiści Hebreowie i Mahometanie dlatego właśnie, że brak było u nich tego dualizmu, który jeden mocen jest wytworzyć postacie demoniczne, obdarzone nieskończoną potęgą fizyczną lub duchową.

Dopiero chrystyanizm wieków średnich, zapłodniony dualizmem Persa Maniego (manicheizm), zaznaczył się w tym kierunku wielkim postępem. Tu znowu widzimy nowe zróżniczkowanie już w samym progu omawianego okresu: względny panteizm, reprezentowany przez sekty *gnostyków*, dał Europie cały szereg postaci dyabelskich bezsilnych, nędznych, karykaturalnych, ośmieszanych i oszukiwanych w jasełkach, nowellach, podaniach i t. d., dualistyczny zaś manicheizm zrodził pojęcie o szatanie, jako o przeciwstawieniu Stwórcy, o równej Mu potędze, nie bez pewnego odcienia bohaterstwa. To różniczkowanie przechodzi przez całą literaturę Europy, dając postacie coraz bardziej podniosłe i estetyczne; pierwszy z typów znajduje najdoskonalszy wyraz w Mefistofelesie Goethego, drugi — od Caedmona, mnicha anglo-saskiego VII w., autora parafrazy Genezy, poprzez Sabbat i Czarną mszę dochodzi do Miltona, a wreszcie wciela się w najcudniejszą swoją kreacyę — Lucyfera w „Kainie“ Byrona.

Tutaj dodać należy spostrzeżenie autora, iż typy dyabelskie rozwinęły się przeważnie na gruncie germańsko - protestanckim (Milton, Goethe, Byron); w krajach zaś latyńsko - katolickich widzimy tylko bądź postacie bezsilne i nędzne, bądź karykatury fizycznie wstrętne lub śmieszne (Calderon, Dante, Torquato Tasso, Camoëns, literatura pseudoklasyczna we Francyi). Sądzimy, tłómaczy się to tem, iż w tych ostatuich krajach dawał się odczuwać silniejszy wpływ humanizmu, który zamiast silnych i żywych postaci podstawił bezbarwne symbole mitologiczne,

Po Goethem i Byronie następuje nowa ewolucya. Dawniejszy dualizm pod wpływem monizmu materyalistycznego zaciera się stopniowo, zło przestaje być absolutną negacyą dobra; zjawiają się nowe tendencye ***kompromisu*** pomiędzy niebem a piekłem i *powrotu* na łono Stwórcy, źródło, skąd wyszli szatani, jako wcielenia pierwiastka przejściowego w naturze — zła. Tak więc dotychczasowa ewolucya typów demonicznych w literaturach ludów cywilizowanych przedstawia zamknięte koło: wychodzi z monizmu indyjskiego i do tegoż monizmu powraca.

W literaturze polskiej, której autor poświęca ostatni rozdział swego dzieła, typy szatańskie występują bądź jako allegorye (Rey, autorowie „Messyad“ XVII w. i t. d.), bądź też, jako blade odbitki podobnych postaci w literaturach średniowiecznych narodów zachodniej Europy. Tylko dyalogi duchowne, intermedya, a także podania ludowe, dając postacie jędrne, pełne życia i humoru, a przedewszystkiem *swojskie*, mogły przedstawiać dla późniejszyyh poetów doskonały materyał do stworzenia postaci odrębnych od świata zachodnio-europejskiego, opartych na pierwiastkach rodzinnych. Niestety, nie uczyniono tego. Romantyzm nasz poszedł wzorem obcych i zaludnił naszą poezyę postaciami demonicznemi o rysach Mefistofelesa, rzadziej Lucyfera. Tylko Mickiewicz w *Pani Twardowskiej* i w III części *Dziadów* stanowi pod tym względem szczęśliwy, a jedyny wyjątek. Oddzielne usiłowanie Krasińskiego (Masinissa, Szatan—Rozum w „Dniu dzisiej-

szym“), Słowackiego (Pamfilus i Lucyper w pośmiertnych fragmentach dramatycznych) i Czajkowskiego nie dały w tym kierunku dodatnich rezultatów.

H. Galle.

Dr. Wojciech Kętrzyński. „O Słowianach, mieszkających niegdyś między Renem a Łabą, Salą i czeską granicą“. Kraków, 1899 r.

Dr. Kętrzyński należy do nielicznych historyków polskich, badających dzieje Słowiańszczyzny zachodniej. Kwestyą, stanowiącą przedmiot ostatniego studyum, zajmował się autor przed trzydziestu paru laty i wyniki tych badań wyłożył w dziele p. t, „Die Lygier“ (1868 r.) W obu dziełach chodziło autorowi o rozstrzygnięcie kwestyi autochtonizmu Słowian w Europie środkowej. Według zdania większości współczesnych uczonych przybyli Słowianie do Europy środkowej dopiero po N. Chr. w w. VI i VII, inni historycy słowiańscy uważają ich za ludność autochtoniczną, której osady już przed przybyciem Germanów do Europy środkowej sięgały Alp i brzegów Renu. Pracę swą rozpoczyna p. K. od zbadania śladów osad słowiańskich, jakie się dotąd utrzymały w nazwach geograficznych w Niemczech zachodnich. Podstawą badań są głównie te nazwy, co do których uczeni niemieccy i słowiańscy zgodzili się, iż są pochodzenia słowiańskiego. Nazwy te kończą się na — *itz*, zastępujące słowiańskie patronymiczne na — *ice* lub zdrobniałe formy na — *ica*, i na — *gast*, odpowiadające zakończeniu — *goszcz*. W Niemczech południowo-zachodnich najwięcej spotykamy nazw o brzmieniu słowiańskiem w dolnej i górnej Frankonii i w dolnej Bawaryi po obu brzegach Dunaju; oprócz tego są one rozsypane w Bawaryi górnej, w granicach teraźniejszych królestwa Wirtemberskiego i wielkiego księstwa Badeńskiego i w okolicach jeziora Bodeńskiego; rzadko spotykamy ślady Słowian w Szwajcaryi i w palatynacie zareńskim. W Niemczech północno-zachodnich i w środkowych najliczniej utrzymały się nazwy słowiańskie w pobliżu Łaby i Sali; w kierunku zachodnim liczba ich stale się zmniejsza, lecz w Turyngii i Hesyi znowu wzrasta. Najdalej na zachód wysuwają się nazwy słowiańskie w Szwajcaryi i nad górnym Renem. Na podstawie jednej ze swych poprzednich prac—„O ludności polskiej w Prusiech niegdyś krzyżackich“ (Lwów 1882) i dokumentów z w. VII do XI autor wykazuje, że Niemcy w zajętych przez się ziemiach słowiańskich zawsze dążyli do zastąpienia nazw miejscowych przez niemieckie i narzucali je wsiom słowiańskim. Autor polemizuje z uczonymi niemieckimi, twierdzącymi, że Niemcy przechowywali ze szczególnem upodobaniem nazwy cudzoziemskie, lub usiłującymi dowieść, że teraźniejsze osady niemieckie z nazwami słowiańskiemi były w wiekach średnich miejscami osiedlenia jeńców słowiańskich, od których otrzymały nazwy. We wsiach, mających nazwy niemieckie, już w wiekach średnich mieszkała często ludność słowiańska. Dowody tego mamy w klasztornych spisach Durewicza z w. VIII—XIV i w kształcie okrągłych wsi zachodnio-słowiańskich, wybitnie różniących się rozkładem domostw od wsi, założonych przez Niemców.

Druga część pracy p. K. ma charakter polemiczny. Zadaniem jej jest odeprzeć zarzuty, stawiane teoryi autochtonizmu. Liczne nazwy słowiańskie mogą według autora pochodzić tylko od autochtonów, gdyż zajmujący kolejno zachodnią Germanię Celtowie, Niemcy i Rzymianie byli zdobywcami. Germania historyków rzymskich była pojęciem geograficznem, nie zaś etnograficznem. Rzymianie znali Słowian już za czasów Cezara pod nazwą Swewów (Suebi) — przekręconą nazwą Słowian, przyczem *l* zamieniło się w *u*. W I w. po Chr. byli słowiańscy Swewowie potężnym związkiem plemion na południu teraźniejszych Niemiec za-

chodnich. Za czasów Tacyta (koniec I w. po Chr.) nie spotykamy już Słowian między Renem a Wizerą; przybywający ze Skandynawii Germanie posuwają się aż do Menu, podbijając ludy słowiańskie. Słowiańscy Swewowie i Hermundurowie trzymają się jeszcze nad Salą i Łabą. W w. III przybywają nowe ludy germańskie — Winilowie i Saksowie, które wypierają Słowian po za linię Sali i Łaby, gdzie zastajemy ich w początkach wieku VII.

Na poparcie swej hypotezy przytacza autor szereg nazw rzek niemieckich, odpowiadających według jego zdania nazwom, spotykanym w krajach słowiańskich; z dokumentów historycznych, mających służyć za dowód autochtonizmu Słowian w Niemczech zachodnich, wszystkie pochodzą z w. VI do XIV; na podstawie ich można tylko stwierdzić istnienie osad słowiańskich w danym okresie. Najwcześniejszą wiadomość o Słowianach, jako takich, znajduje autor w wierszu jednego z biskupów galskich Marcina z w. VI; nie można wszakże odnieść tego do Słowian niemieckich, o których bytności za zachód Sali dowiadujemy się dopiero ze źródeł z w. VII. Biskup Marcin, zmarły w 560 r., znał Słowian, gdyż, podróżując do Palestyny, musiał przebywać cesarstwo wschodnio-rzymskie, do którego granic dotarli Słowianie już w połowie VI wieku, więc, wyliczając w wierszu swym zachodnie i wschodnie narody europejskie, wspomniał i o Słowianach. Nie rzuca to jednak światła na kwestye autochtonizmu Słowian w Niemczech zachodnich. Twierdzenie podróżnika arabskiego z X wieku, Tartušiego (nie Oazwiniego, gdyż ten przechował tylko w swem dziele opowieść Tartušiego), według którego miasta Soest i Paderborn były położone w kraju Słowian, traci na wartości, skoro zwrócimy uwagę na objaśnienie komentatora danego pisarza arabskiego (G. Jacob. Ein arabischer Berichterstatter... Berlin, 1896), że Arabowie rozciągali często nazwę, dawaną Słowianom, na Germanów.

Ostatnią część pracy poświęca p. K. dziejom historycznym Słowian zachodnich, przyczem państwo Samona przenosi z Czech, gdzie je umieszczają inni uczeni, do krajów, położonych między Ratanicą a granicą czeską. Kościół zachowywał się względem Słowian nieprzychylnie: o szerzenie chrześcijaństwa wśród nich mało się troszczył, a z posiadłości swych często usuwał Słowian, aby je oddać kolonistom niemieckim. Od XIII i XIV w. są ślady tępienia języka słowiańskiego— wypierania go z sądów, a nawet zakazy mówienia po słowiańsku pod karą cielesną

Teoryi autochnizmu Słowian w Niemczech zachodnich nie można wprawdzie uważać za ustaloną na podstawie badań p. K., lecz dzieło jego nie przeminie bez śladu w historyografii zachodniej Słowiańszczyzny, jako ciekawy i ważny przyczynek do badań nad dziejami Słowian. osiadłych w wiekach średnich w Niemczech zachodnich.

K. W.

Wł. M. Kozłowski, „Co i jak czytać?“ Wykształcenie samego siebie i czytelnictwo metodyczne. Warszawa. Bronisław Natanson. 1900. Str. 296 in 8-o.

Książka Kozłowskiego składa się z trzech części. Pierwsza, zdaniem mojem, najlepsza, mówi o potrzebie samowykształcenia, którego celem byłoby wyrobienie sobie światopoglądu stałego, opartego na danych pozytywnych wiedzy, na rozumieniu i odczuwanin potrzeb społeczeństwa, tudzież o środkach, za których pomocą do wyrobienia tego światopoglądu dojść można. Tutaj mówi autor o technice umiejętnego czytania, o porządku, w jakim powinny iść po sobie poszczególne działy nauki, poto, żeby się w całość organiczną związały. Porządek ten jest taki: 1) *przyrodoznawstwo*—dziedzina konieczności i przyczynowości; 2) *nauki*

o duchu (psychologia i dzieje)—dziedzina wolności i celowości; 3) *filozofia teoretyczna*—jedność i harmonijne połączenie wiedzy dla celów pojmowania świata: 4) *filozofia praktyczna* — poznanie i harmonijne pojednanie wyników wiedzy dla celów czynu. Najważniejszą oczywiście częścią w tym szeregu jest — czwarta, cel całego wykształcenia i ostatnie jego słowo — filozofia praktyczna, czyn.

Rezultatem tej pracy nad sobą, według przytoczonego programu, ma być stworzenie z człowieka działacza praktycznego, zrównoważonego wewnętrznie i promieniującego swoją równowagą na zewnątrz. To też długo zatrzymuje się autor nad potrzebą równomiernego uprawiania teoryi i praktyki, poezyi i rzeczywistości, na godzeniu idealizmu z realizmem w sposób, któryby żadnej z tych stron nie dawał przewagi, na zlewaniu w całość harmonijną optymizmu i pesymizmu w wysoce piękny i prawdziwy pogląd na świat, mądrość życiową. Ta jednak ostatnia nie ma na celu wyzyskania z życia największej ilości pierwiastków rozkoszy, ale, przeciwnie, w wydawaniu z siebie możliwie większego zasobu energii, gdyż to jedynie jest źródłem trwałego i prawdziwego szczęścia.

Wszystko to jest bardzo prawdziwe, tylko nosi na sobie jedną cechę: dążenia do niwelacyi społecznej. Kozłowski stwarza przeciętny typ człowieka inteligentnego, stawia swoje wymagania od takiego typu i pragnie, aby wszyscy ludzie zbliżyli się możliwie najwięcej do tego przeciętnego typu. Taka niwelacya jest rzeczą naturalną, wszak przeciętność i wzajemne do siebie podobieństwo to najpospolitsze zjawisko śród ludzi. Zachodzi jednak pewna trudność. Typ, stworzony przez Kozłowskiego, jest zanadto dodatnim, ażeby zdołał znaleźć wielu przedstawicieli w społeczeństwie, więc też obręb oddziaływania książki musi się ograniczyć do pewnej tylko sfery jednostek, która to znowuż kategorya posiada w sobie za wiele dążności odśrodkowych, aby się dać zniwelować, nagiąć do przeciętnego typu.

Część druga książki poświęcona jest filozofii praktycznej. Część ta jest nieco bezbarwną z powodu chęci zachowania bezstronności, co oczywiście jest rzeczą niezmiernie trudną. A więc nie mówi autor wręcz, czego pragnie od człowieka, a tylko zaleca mu, aby, poznawszy życie, wziął w niem czynny udział, wytworzywszy sobie pewne zasady moralności, ślepo się im poddawał i oddał siły swe pracy dla społeczeństwa, pojętego jako całość nierozłączna, której części walki z sobą nie toczą, których interesy wrogimi sobie nie są i t. d. A czy tak jest w rzeczywistości? I tuby się można posprzeczać nieco z autorem, jak wyżej, gdzie powstaje przeciwko determinizmowi dziejowemu i psychologicznemu, utożsamia go z fatalizmem i t. p.

Część trzecia jest spisem dzieł, zaleconych przez Kozłowskiego w programie, wyżej wyszczególnionym, prócz tego zawiera wyciągi ze spisów dzieł, ułożonych przez Aime Martin'a, Comte'a, Lubbocka, Schönbacha; dział literatury polskiej, opracowany przez P. Chmielowskiego, i historyi polskiej — przez T. Korzona.

Wogóle wartość książki nie jest jednakową, a sama książka niejednolitą. Tam, gdzie autor mówi o technicznej stronie kształcenia się, o jego potrzebach, o sposobach i środkach dojścia do celu; tam, gdzie wskazuje porządek nauk, gdzie mówi o filozofii życia, jako ostatecznym wyniku wykształcenia, niezbędności tej filozofii czynu i samego czynu, tam bezwarunkowo ze wszystkiem zgodzić się można. Ale chwilami autor staje się doktrynerem, stawia i uznaje za pewniki tezy, które bynajmniej pewnikami nie są, których trwałość mocno została zachwianą. Niektóre ustępy sprawiają wrażenie, jakgdyby autor nietylko chciał zachęcić i pomódz ludziom w kształceniu, ale i z góry narzucić im sposób zapa-

trywania się na niektóre objawy życiowe. Co prawda, ustępów takich jest niewiele. Z książki wiele można skorzystać. To też gorąco polecamy ją młodzieży. Często młodzież, rwąca się do czynu, do życia, szamoce się, jak ryba w sieci, w tę lub w ową stronę, z łatwo zrozumiałych względów nie umiejąc obrać sobie dobrej drogi do zdobycia upragnionego celu, do zaspokojenia ciekawości wobec zagadnień życiowych. Chwyta ona pierwszą lepszą książkę, podlega najrozmaitszym wpływom, zbacza z drogi i zamiast wyjść z lasu błąka się w nim bezustanku lub trafia na drogę, nie wiodącą do celu. Zapobiedz temu błąkaniu się może czytelnictwo metodyczne, ale w niem niezbędnemi są umiejętne wskazówki. Wskazówki te daje Kozłowski w swojej książce. A więc raz jeszcze gorąco polecamy ją młodzieży.

Różnica pomiędzy pracą Kozłowskiego a „Poradnikiem dla samouków“ polega na sposobie traktowania rzeczy. „Poradnik“ patrzy na sprawę kształcenia ze strony teoretycznej, naukowej, Kozłowski—jest w danym razie więcej praktykiem, człowiekiem czynu, dąży do wyrobienia światopoglądu i filozofii życiowej czynnej.

Wobec tego dwa te dzieła dopełniają się nawzajem. *W. M.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

Andrzej Niemojewski. „Bajka“, poemat w 1-ej odsłonie. Warszawa, nakładem autora, 1900, in 8-o. str. 40.

Nie bajka to, ale smutna rzeczywistość, przesłonięta lekką, przezroczą, jak tkanina pajęcza, szatą alegoryi. *Licencyat*, młodzieniec o twarzy „bladej, zmęczonej“, pełnej filozoficznej zadumy, jak Faust drugi, „wrył się w księgi“, rozmyślając nad pra-przyczyną rzeczy. „Czy to wszystko jest wistocie, czy też nam się tylko zdawa“ — oto pierwsze wyrazy, jakie z ust jego wychodzą, oto zagadki, na których rozwiązanie mózg jego, biedny mózg człowieka, wysila się nadaremnie. Schodzi więc w głąb studni, by z tego nowego punktu widzenia spojrzeć w zakryte oblicze bóstwa prawdy, by tam znaleźć klucz do tajników bytu. Nie znalazł! „...Daremnie umysłem szał miota. Wszędzie, wszędzie dokoła niewidzialne wrota I ani kroku dalej!... *Syntezy!...*“ — woła w bezmiernem pożądaniu wiedzy, ale syntezy nie znajdzie, natomiast odkryje w duszy swej otchłań zwątpienia. Lekkiemi, powietrznemi stopy zbliżają się doń dwie przecudne mary — to *Młodość* i *Szczęście*. wabiąc go ku sobie swymi czarami. Na ich widok Licencyat zapomina o księgach strupieszałych, tezach, argumentach i zwątpieniach, czuje żywszy obieg krwi w żyłach, czuje niewysłowioną błogość w duszy, kochać pragnie, żyć pragnie, bo teraz dlań dopiero naprawdę rozpocznie się życie... Życie? To groźne słowo! Lepiej nie wywoływać straszliwego a potężnego widziadła. Oto zjawia się ono przed młodzieńcem wśród łysku i gromu pod postacią ogromnych rozmiarów kowala z młotem na ramieniu. Jego tubalny głos, jak pomruk burzy, płoszy tęczowe mary Młodości i Szczęścia, bo tam, gdzie Życie położy swą druzgocącą prawicę, tam ulatują marzenia, tam „czyn i ból włada“. Żywiołowa potęga Życia działa, jak czar, na młodzieńca: pada w proch i korzy się przed olbrzymem, a ten depce go z pogardą i każe mu wyrzec się na zawsze: Szczęścia... Prawdy... Młodości... Miłości. Wszystko to uczyni Licencyat, będzie się włókł za Życiem, „jak pies w hańbie, w mękach“, byleby otrzymać od niego „czarę ukojenia“. Tymcza-

sem Młodość i Szczęście, którym w tak brutalny sposób wydarto młodzieńca, zasmucone, radzą, jakby go ocalić, kogo wezwać do pomocy. Pomoc ofiarowuje im chętnie widmo w białej szacie, z kosą w ręku — to Śmierć. I gdy zjawia się Licencyat, stargany i złamany w tej wędrówce po manowcach, po jakich wiodło go Życie, zawiedziony w swoich nadziejach, wyczerpany i opadający z sił, z ranami na rękach i nogach, ona otwiera swe łono, by go utulić i ukoić. Tak! bo Śmierć występuje tu, niejako straszliwy kres wszech rzeczy ludzkich, lecz jak matka-pocieszycielka, dająca w swych objęciach wytchnienie i spoczynek po znojach i walkach życia „uścisk jej tak lodowaty, lecz tak kojący"—mówi młodzieniec, zasypiając na jej łonie. Młodość i Szczęście zasypują go kwiatami, a Śmierć cichym głosem nuci mu do snu kołysankę: Aaa-cii... cii-cii. ...Aaa-aaa.. Aaa-aaa... Jakże pięknym jest ten ostatni, rozwiewający się w nicość akord burzliwej symfonii życia! Jakby zapach pogrzebnych kadzideł, cichy śpiew namogilny, którym żywi żegnają martwych, woń kwiatów cmentarnych i niezmącony spokój grobowy zlały się w jeden dźwięk, w jedno tchnienie... Prawdziwie subtelną jest ta alegorya życia i śmierci. Myśl tak głęboka i tyle zawierająca w sobie prawdy życiowej, ta pełnia smutku, który brutalna ręka życia wtłacza w duszę czującej jednostki, a wreszcie piękna szata poetycka sprawiają, iż „Bajka" nie zapomina się wraz z zamknięciem książki, lecz na długo utrwala się w umyśle i sercu czytelnika.

H. G.

Wojciech Baranowski. „Poezye". Serya pierwsza. Kraków, 1900. — Występujący po raz pierwszy na widownię literacką poeta nie zdołał jeszcze w niniejszym zbiorku wyraźnie zaznaczyć swojej indywidualności. Z takiem samem przejęciem opiewa on radość życia, „nadzieje", „odrodzenia", jak i tak powszechne na Parnasie naszym zniechęcenie, gorycz lub zwątpienie. Dla ścisłości jedynie zauważyć należy, iż autor znacznie częściej bierze za temat te ostatnie uczucia, jakkolwiek nie pogłębia ich w stopniu dość silnym, aby mogły znaleźć oddźwięk w sercu czytelnika. Objętych zbiorkiem dwu większych próbek poetyckich p. t.: „Prawda" i „Dwie dusze", również nie można nazwać udatnemi. W pierwszej z nich dowiadujemy się, że istnieje „het w górach, w zaklętym, niedostępnym borze" „czysta Prawda", którą zgładzić chcieli ludzie „rozważni". Nie udało im się to jednak, i chociaż stawiali stosy prorokom, „co w czyn zakląć pragnęli ukryte nadzieje", wiara w Prawdę ożyła, „jak zeschły kwiat wiosną" i „znów słychać silniejsze serc bicie". Na ostatku mamy nieproporcyonalnie do treści długą apoteozę „pieśniarzy", z których lutni „bije głos wielki i rzewny". „Zbudzą oni prawdę, i zgaśnie fałsz stary" — zapewnia autor. W drugim utworze widzimy, jak „geniusz zwątpień dokoła zastawił matnie", aby uwieść „Dwie dusze", dwie „bólem stargane dusze młodzieńcze". Na szczęście zdążył na czas archanioł, który rzekł „duszom konającym": „Kochajcie się wzajem!"—i wszystko skończyło się jak najlepiej. Nad formą autor jeszcze nie panuje: rytmika w „Poezyach" zaniedbana, rymy słabe. Są nadto usterki językowe.

M.

Antoni Potocki (Jerzy Grot). „Martosia i my". Nowele. Lwów, 1900. „Od godziny już wóz toczył się wśród gęstwiny leśnej, przelatując po groblach i spadając na wypełzające aż na drogę korzenie. Za wozem sunęła z brzękiem zbita kolumna komarów, po lesie monotonnie i donośnie rozlegało się pukanie dzięcioła... taka droga mogła prowadzić tylko od ludzi, za świat." Ten krótki ustęp, rozpoczynający pierwszy szkic w zbiorku, wyprowadza nas rzeczywiście odrazu „za świat." Jesteśmy wśród głuchych borów Polesia, nad brzegami Ptyczy, razem

z trzema młodymi Warszawiakami, wypoczywającymi na łonie natury. Jeden z nich, „potężny“ Marcin z zamiłowaniem uprawiał pracę ręczną, sporty bowiem uważał za rzecz hańbiącą. Co do przekonań... ale pozwólmy mówić autorowi... „Mniejsza, że był demokratą, bo któż z nas, t. j. „porządnej paczki“ nim nie był? Ale on sam, a potrosze i my wierzyliśmy, że ma zdrowe instynkty i racyonalne poglądy, że nic a nic nie jest „wynaturzony“. To właśnie stanowiło dumę dobrodusznej powności siebie Marcina.“ Ów Marcin przebywał w chacie leśnika wraz z „wynaturzonym“ Bronkiem i z opowiadającym, t. j. „z osobnikiem o instynktach literackich czy papierowych, jak mówiono. Młodzieńcy, nie chcąc żyć samem mlekiem zsiadłem, decydują się wziąć gospodynię. Leśnik sprowadza ze wsi do wyboru dwie dziewczyny: zalotną Zinię i skromną Martosię. Zostaje ostatnia — i tu rozpoczyna się sielanka, wycieniowana subtelnie. Jak wszystkie niemal tegoczesne sielanki, i ta kończy się przykrym zgrzytem. Nadeszła przepiękna, letnia noc. „Takiej nocy, jak ta, w życiu nie pamiętam. Księżyc płynął w niebie bezchmurnem: dokoła falowało mdlejące i silnie srebrzyste światło. Nie było zmarszczki na wodzie—biegły po niej srebrne drogi aż pod nieruchome brzegi, gdzie z lekkiego półcienia zdawało się, że lada chwila wypłynie topielica. Światło było jakieś upajające, drgało wszędzie napięte, prawie dźwięcząc srebrną zaczarowaną melodyą... Coś się dziwnego wiło w duszy, coś w niej przypominało od niepamiętnych czasów, coś wzdychało, grając w głębi serca, aż do zwilgotnienia powiek...“ I w taką noc pierwotne instynkty zwyciężyły. Należy przytoczyć z omawianego szkicu jeszcze jeden ustęp, doskonale charakteryzujący twórczość autora. Stanęliśmy nad brzegiem Ptyczy. Nurt rzeki biegł gdzieś środkiem wodnej przestrzeni, a dokoła aż pod las roztaczały się lustrzane głębie. Małe a liczne zatoki wrzynały się w ściany starodrzewia lub rozlewały szeroko od strony łąk. Czerwony krąg słońca zapadał już za bór, zlewając na wody cichą, nadwieczorną jasność. *I wszystko to chwytałem jakiemś czuciem wewnętrznem, rozumiejąc kołysanie się każdej łodygi snad wodą i odpowiadając jej w głębi piersi drżeniem drgających pełnią życia strun.*“ Z pozostałych nowel, objętych niniejszym zbiorkiem, wyróżniają się: *W rozsypkę*, *Berta* i *Dzień powszedni*. Autor charakteryzuje postaci i sceny rysami krótkimi i subtelnymi—z prawdziwym talentem. *E. Mal.*

Rudyard Kipling. „Księga Puszczy“, przełożył Józef Czekalski z przedmową Ignacego Matuszewskiego.—Olbrzymie skarby literatury angielskiej były dla czytelnika polskiego przez czas dłuższy nieznane, bo z powodu nieznajomości języka niedostępne. W ostatnich dopiero latach rozpowszechnia się u nas nauka angielszczyzny, a równocześnie mnożą się przekłady, nie zawsze szczęśliwie dobrane i poprawnie dokonane, Rzadkie te zalety posiada właśnie książka, dana nam przez Czekalskiego, bo i rzecz sama jest bardzo zajmująca, i język tłómaczenia zupełnie poprawny. Barwne i pełne żywej fantazyi opisy z życia puszczy, oparte na wybornej obserwacyi życia zwierzęcego i głębszych spostrzeżeniach psychologicznych, wprowadzają nas w nieznany nam świat, nęcący wielu czarami i nieprzeniknionemi tajemnicami. Autor widocznie zbadał puszcz indyjskich przepastne krainy, poznał życie, którem te krainy tętnią, rozmiłował się w niem i dał nam szereg obrazków, które się czyta z prawdziwem zajęciem, a może nawet i korzyścią. Tu i owdzie bowiem spotykamy tendencye satyryczne lub krytyczne, bo wszystko, co autor mówi o narodzie Bandar-Logu (małpy), lub o losach białej suki może być w zupełności przeniesione na stosunki ludzkie. „Rikki-tikki-tavi“ naprzykład, toż to typ pożytecznego i cnotliwego członka społeczności ludzkiej, który czyni innym dobrze bez świadomości tego faktu, ponieważ inaczej postępo-

waćby nie mógł. Słowem z różnych powodów przekład „Księgi Puszczy“ jest dobrym dla naszej literatury nabytkiem, za co się panu Czekalskiemu uznanie należy. *W. S.*

Walczak Franciszek. „Lucyan Siemieński i jego stanowisko w literaturze polskiej“ opracował... (Sprawozdanie dyrekcyi c. k. gimnazyum w Bochni za rok szkolny 1899. Kraków, 1899, 8⁰ str. 1—21).—Rozprawa ta nie jest niczem innem, jak bardzo pobieżnym szkicem biograficznym, opracowanym na podstawie znanych powszechnie prac o Siemieńskim, a więc Tarnowskiego, Bełcikowskiego, Zatheya i t. d. Nic nie zyskała historya literatury przez to, że p. Walczak zadał sobie trochę mozołu i powtórzył to samo, co już było oddawna wiadomem: nikomu na nic nie przyda się to zestawienie wiadomych skąd inąd dat i strawestowanie zdań obcych przy ocenie działalności Siemieńskiego. Ponieważ o rzeczach poronionych mówi się bardzo niewiele — przeto jeszcze tylko słów parę. Mogłoby się komu zdawać, że zadaniem takiej pracy może być popularyzowanie wiedzy. Otóż, tak nie jest, bo zadanie to wcale nie stosuje się ani do pracy p, W., ani do ogromnej większości prac, drukowanych w „Sprawozdaniach“ szkół galicyjskich; gdyby zaś (przypuśćmy) tak było nawet—to napis nad rozprawą musiałby brzmieć w ten sposób, że przeznaczona jest dla takich, którzy o istnieniu Siemieńskiego nie mieli jeszcze sposobności dowiedzieć się. Nakoniec jedna uwaga: czy nie byłoby rzeczą potrzebną, ażeby rozprawy, przeznaczone dla sprawozdań, przechodziły najprzód w rękopisie przez krytykę fachowych ludzi i dopiero, gdy pozyskają ich *placet*, były ogłaszane? *Stanisław Zdziarski.*

Stanisław Schnür-Pepłowski. „Z papierów po Fredrze“. Przyczynek do biografii poety. Kraków—Warszawa. Gebethner i Wolff. 1899. 8⁰, str. 4 nl. + 123. Z portretem Al. hr. Fredry i widokiem pomnika we Lwowie. — O Fredrze - komedyopisarzu pisano u nas stosunkowo wiele, Fredrze - człowieku bardzo mało. To też dobrze uczynił p. Schnür-Pepłowski, wydobywając z archiwum domowego Fredrów listy, dokumenty i wspomnienia, dotyczące ojca komedyi polskiej, one bowiem przynoszą sporo materyałów do biografii znakomitego pisarza. Na czele przedrukował p. Pepłowski autobiografię Fredry z „Kroniki Rodzinnej“ (z r. 1876) i postarał się o wyczerpujące wyjaśnienie szczegółów, w niej zawartych: słyszymy więc sporo i ojcu Fredry, o jego zapobiegliwości w gospodarstwie, o nauczycielach chłopca, którzy snać sami nie bardzo wiele umieli, jak o tem świadczy list dziesięcioletniego Aleksandra, pisany do matki, a nastroszony błędami ortograficznymi i językowymi. W dalszym ciągu opowiada nam autor o zaciągnięciu się Fredry w szeregi wojsk Napoleońskich, o jego udziale w bitwach i o powrocie do domu na podstawie uwolnienia od służby wojskowej, wydanego z rozkazu cesarza Aleksandra I. Z kolei widzimy młodego Fredrę we Lwowie, spędzającego czas na zabawach u ks. Ponińskich lub hr. Potockich i in., na których zapewne poznał Zofię hr. Skarbkową, późniejszą swoją małżonkę; widzimy go wreszcie, rozpoczynającego zawód komedyopisarski. Nader cenne szczegóły o przedstawieniach komedyi Fredry w Warszawie zawierają listy przyjaciela poety — Kisielińskiego, listy zaś Kamińskiego mówią sporo o zamierzonem wydaniu książkowem komedyi, jakoteż o przedstawieniach komedyi Fredry na scenie warszawskiej w latach 1833—1835. Tymczasem pojawiła się recenzya Goszczyńskiego, którą Fredro uważał, jako pocisk, wymierzony przeciwko całej warstwie społecznej, do której należał, postanowił więc usunąć tę tarczę, która służyła za cel pocisków i przestał dawać komedye swoje na deski teatralne, skoro ośmieleni wystąpieniem Goszczyńskiego ludzie tej miary, co Łukaszewicz lub Dembowski, lekceważąco wyrazili się o komedyach

Fredry. W dalszym ciągu występuje przed nami Fredro, jako obywatel, którego czynność rozpoczęła się w r. 1833, kiedy obrano go deputatem Stanów. Słyszymy więc wiele o projekcie budowy drogi żelaznej w Galicyi w r. 1839, o projekcie, który nie przyszedł do skutku, gdyż rząd na własną rękę postanowił go urzeczywistnić, opublikowany mamy tutaj także memoryał Fredry do rządu austryackiego p. t. „Uwagi nad stanem socyalnym Galicyi“ z r. 1846, który zawiera niejako oskarżenie biurokracyi galicyjskiej, jako sprawczyni społecznego rozprzężenia, jakiego widownią stał się kraj po wypadkach lutowych. Po wypadkach r. 1848 urywają się materyały archiwalne i nie występują w tak wielkiej ilości, jak dotąd; są jednak nie mniej cenne, a tyczą się przeważnie hołdów, składanych wielkiemu komedyopisarzowi po roku 1860. Jak widzimy tedy, bogatą jest w fakta książka p. Pepłowskiego, a gdyby też tak ci wszyscy, którzy posiadają kolekcye autografów i listów naszych poetów, zechcieli je coprędzej ogłosić, ileby zyskała na tem historya literatury! *St. Zdziarski.*

Dr. Jan Stella-Sawicki. „Poznaj sam siebie“. Szkice fizyologiczne. Z 16 rys. („Wydawnictwo popularne“). Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1900. (16-ka str. 152). Cena kop. 50.—W szeregu wydawnictw popularnych, wydawanych przez firmę Gebethnera i Wolffa w postaci książeczek, obejmujących około 10 arkuszy druku, wyszło, jako 18-te zrzędu, dziełko znanego popularyzatora zasad hygieny pod podanym powyżej tytułem. Stanowi ono treściwy, a bardzo przystępnie opracowany wykład anatomii i fizyologii człowieka ze szczególnem uwzględnieniem podstawowych zasad hygieny. Dziełko ozdobione zostało 16-ma, przeważnie bardzo dobrymi rysunkami, ułatwiającymi zrozumienie wykładu. Język czysty, wykład ożywiony, mogący zainteresować i podtrzymać uwagę czytelnika.
M. Hn.

Kazimiera Skrzyńska. „Świat niewidzialny czyli świat, widziany przez mikroskop. Z 80-ma rycinami. („Wydawnictwo popularne“). Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. 1900. (16-ka 252). Cena kop. 60. — Wymienienie tytułów oddzielnych rozdziałów tej książeczki zastąpi wyszczególnienie jej treści. Oto one: 1) Mikroskop i lupa (historya odkrycia mikroskopu, jogo budowa, przyrządy dodatkowe, zasada teoryi mikroskopu, obchodzenie się z mikroskopem i sposoby badania pod nim przedmiotów); 2) Ziemia (hypotezy, dotyczące powstania słońca i ziemi, jej skład, budowa, wymiary, podział powierzchni na lądy i wodę, wygląd powierzchni lądów, skały, ich badanie, minerały bezkształtne i krystaliczne, badanie skał pod mikroskopem, ślady tworów organicznych w skałach, tworzenie się węgla kamiennego, torfu, badanie tych ciał pod mikroskopem, rola bakteryi w tworzeniu skał i t. p.); 3) Powietrze pod mikroskopem; 4) Woda; 5) Bakterye; 6) Grzyby; 7) Komórki; 8) Rośliny; 9) Łodyga roślin dwuliściennych; 10) Liście; 11) Kwiat; 12) Świat zwierzęcy; 13) Pasożyty; 14) Owady; 15) Tkanki w ciele człowieka; 16) Odzież i żywność. Przy tytułach 2 pierwszych rozdziałów podaliśmy umyślnie w nawiasie bliższą ich treść dla lepszego uwydatnienia ogromu tematu, niepotrzebnie jeszcze sztucznie rozszerzonego, jaki autorka chciała obrobić w tej małej książeczce. To też trudność ta utworzyła szkopuł, przechodzący siły autorki. Sposób prowadzenia wykładu, jak i dość zawiły język, sprawiają, iż dziełko to znacznie odstępuje od wzorów książek popularnych, mogąc być czytane tylko przez osoby, mające już pewne przygotowanie przyrodnicze.
M. Hn.

BIBLIOGRAFIA.

I. A. Czasopisma. **Biblioteka Warszawska** (maj — lipiec): St. Tarnowski „Szujski, jako poeta", Piotrowski „O monistycznej filozofii Haeckela", A. W. „Ludność wytwórcza i źródła dochodu w W. Ks. Poznańskiem", M. Gawalewicz „Autor Kłopotów Starego Komendanta, ś. p. Wilczyński", St. Zdziarski „Klonowicz i pamflet przeciw Jezuitom", Askenazy „Koniec Augusta II", Rydel „Jubileusz uniwersytetu jagiellońskiego", Grabski „Badanie gleboznawcze", Kutrzeba „Polacy na studyach w Paryżu w wiekach średnich", A. Brückner „Z literatury zapomnianej. Szkic z dziejów dawnej literatury" (o naszych apokryfach średniowiecznych)". Sz. Askenazy „Stosław Łaguna", J. Flach „Zwrot w modernizmie niemieckim", F. Hösick „Józef Elsner i pierwsze konserwatoryum w Warszawie".

= **Eos**, rocznik VI (1900), zawiera między innemi: W. Bruchnalskiego „Pojęcie i znaczenie poezyi u poetów polskich XVI wieku", Ign. Chrzanowskiego „Przyczynki do krytyki tekstu autorów nowołacińskich", K. Wojciechowskiego „Wpływ Psałterza Dawidowego na Treny Jana Kochanowskiego" i w. inn.

= **Goniec handlowy**, tygodnik, poświęcony umiejętnościom handlowym i sprawom pracowników handlowych, zaczął wychodzić w Warszawie z dn. 1 lipca pod redakcyą p. Konstantego Sękowskiego.

= **Lud**, t. VI zeszyt 3 (1990): J. Witorta „Filozofia pierwotna (animizm)", B. Gustawicza „O ludzie Podduklańskim w ogólności, a Iwoniczanach w szczególności", J. Schnaidra „Z kraju Huculów", Z Pazdry „Proces o „Perepiczkę", M. Gumplowicza „Polacy na Węgrzech", J. Magiery „Początek kowalstwa w Sułkowicach".

= **Przegląd Polski** (maj—lipiec): J. T. L. „Listy Rozalii i Aleksandra Lubomirskich, 1781—1794", L. Kulczyński „45 te zgromadzenie filologów i pedagogów niemieckich w Bremie", K. Górski „W lat półtysiąca, Dyalog napisany na uroczyste przedstawienie w dniu pięciowiekowej rocznicy odnowienia Uniwersytetu Jagiellońskiego", S. Krzyżanowski „Najstarsze karty metryki uniwersyteckiej", J. Fijałek „Nasza nauka krakowska o Niepokalanem Poczęciu Najśw. Panny Maryi w wiekach średnich, W. Czermak „Uniwersytet Jagielloński w czterech ostatnich wiekach", E. Porębowicz „Pięćsetletni jubileusz odnowienia Uniwersytetu Jagiellońskiego". K. Rakowski „Pogląd na ekonomiczne i społeczne stosunki w W. Księstwie Poznańskiem".

= **Przegląd Powszechny** (lipiec): J. Siemiradzki „Szkice z Brazylii", W. Chotkowski „Ostatnie lata Benedyktynów w Tyńcu".

= **Słownika geograficznego** wyszedł z druku zeszyt 169-ty, rozpoczynający tom XV-ty, poświęcony dopełnieniom do ukończonego już dzieła. Zeszyt ten mieści opracowania na literę A i początek B. Całość suplementu nie przekroczy rozmiarów jednego tomu (12 do 15 zeszytów), ukończoną zaś będzie w przeciągu dwuletnim. Redakcya uprasza współpracowników i czytelników dzieła o nadsyłanie sprostowań i dopełnień pod adresem księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie, z dopiskiem „Dla redakcyi „Słownika geograficznego".

= **Wisła**, tom XIV zeszyt 2 (marzec—kwiecień 1900).

= Na posiedzeniu **Komisyi historyi sztuki** Akademii Umiejętności w Krakowie, odbytem dn. 26 kwietnia r. b. pod przewodnictwem M. Sokołowskiego przewodniczący przedłożył pracę W. Łozińskiego o ormiańskim epilogu lwowskiej sztuki złotniczej, następnie zaś przedstawił nadesłane przez G. Worobjewa opis, plan i fotografie gotyckie kościoła we wsi Rozsochate Kościelne w gubernii łomżyńskiej i kościele w Andrzejowie, erygowanym przez Krzyckiego: St. Tomkowicz przedłożył referat o odkrytej w katedrze na Wawelu podczas restauracyi kamiennej grobowcowej płycie, użytej do budowy grobowca Kazimierza Wielkiego, F. Kopera podał wiadomość o portretach Batorego w Galleria Pitti i kardynała Jerzego Radziwiłła w Galleria Corsini we Florencyi oraz fotografie z portretów Zygmunta III i królowej Konstancyi Austryaczki, A. Borawski — fotografie z marmurowego biustu królowej Marysieńki, a p. J. Zieliński fotografie i kopie napisów chrzcielnicy w kościele św. Jana w Toruniu.

= **Revue des deux mondes** w ostatnim zeszycie (z 15 Lipca) zamieściło rozbiór „Krzyżaków" Sienkiewicza: T. de Wyzewa, Le Dernier roman de Sienkiewicz.

B. Filozofia. **Adamski J. St. ks.** O charakterze, Lwów, 1900.

= **Ruch Etyczny**, I, Warszawa, 1900

C. Socyologia. **Balasitz et Flerich.** Nauka o sądach cywilnych i procedura cywilna, Kraków, 1900.

= **Daszyńska-Golińska Zofia.** Własność rolna w Galicyi, Warszawa 1900.

= **Górski Antoni.** Warunki gospodarcze dzierżaw angielskich. Kraków, 1899.

= **Kempner St. A.** Nowe prądy w organizacyi przedsiębiorczej (syndykaty przemysłowe). Warszawa, 1900.

= **Koszutski Stanisław.** O czem pisać korespondencye z prowincyi (kwestyonaryusz dla korespondentów prowincyonalnych), Warszawa, 1900.

= **Krzyżanowski Adam.** Studya agrarne, tom I, Kraków, 1900.

= **Strzelecki Adolf.** Materyały do bibliografii etnograficznej polskiej 1878—1894, Lwów, 1901.

D. Historya. **Bobrowski Tadeusz.** Pamiętniki, z przedmową Włodzimierza Spasowicza, tom I i II, Lwów, 1900.

= **Chociszewski J.** Krótka historya Polski, Warszawa, 1900.

= **Dunajewski Julian.** Mowy, tom II: Mowy ministeryalne, Kraków, 1899.

= **Komorowski Ign. Aug.** Wspomnienie Podchorążego z czasów W. Ks. Konstantego, Warszawa, 1900.

= **Materyały antropologiczno-archeologiczne,** wydawane staraniem Komisyi antropologicznej Akademii Umiejętności w Krakowie, tom IV, Kraków, 1900.

= **Morawski Kazimierz.** Historya Uniwersytetu Jagiellońskiego, średnie wieki i odrodzenie, z wstępem o Uniwersytecie Kazimierza Wielkiego, tom I i II, Kraków, 1900.

= **Nowodworski Witold.** Lata szkolne Jana Zamoyskiego, Kraków, 1900.

= **Piekosiński Franciszek.** Codex diplomaticus Universalitatis studii generalis cracoviensis pars V, ab anno 1549 usque ad annum 1605, Cracoviae, 1900.

= **Piekosiński Franciszek.** Heraldyka polska wieków średnich, Kraków, 1899.

= „ „ Pieczęcie polskie wieków średnich, część I: Doba Piastowska, Kraków, 1899.

= **Sokołowski Maryan.** Studya i szkice z dziejów cywilizacyi, tom I, Kraków, 1899.

= **Winiarski Leon.** William Morris, Warszawa, 1900.

E. Literatura. **Bersohn Mathias.** O iluminowanych rękopisach polskich, Warszawa, 1900.

= **Birkenmajer L. A.,** Mik. Kopernik. Część I. Studya nad pracami oraz materyały biograficzne. Kraków, 1900.

= **Callimachus Philippus Buonacorsi.** Vita et mores Gregorii sanocei recens. A. S. Miodoński, Cracoviae, 1900.

= **Chmielowski P.** Metodyka historyi literatury polskiej (zeszyt ostatni).

= **Ćwikliński Ludwik.** Żywot i pisma Stanisława Nigra Chróścińskiego, humanisty i lekarza poznańskiego, wieku XVI, Lwów, 1900.

= **Jabłonowski Wład.** Dusza poety, rzecz o Juliuszu Słowackim, Warszawa, 1900.

= **Lepszy Leonard.** Lud wesołków w dawnej Polsce, Kraków, 1899.

= **Markiewicz Bronisław ks.** O wymowie kaznodziejskiej, Kraków, 1898.

= **Skarga Piotr.** Kazania sejmowe, Warszawa, wydawnictwo „Niwy", 1900.

= **Tarnowski St.,** Historya literatury polskiej, tomów 5 (aż do r. 1850), Kraków, 1900.

= **Trapszo Anastazy.** Podręcznik sztuki dramatycznej, Kraków, 1899.

= **Zaleski D.** Korespondencya J. B. Zaleskiego. Tom I, Lwów, 1900.

F. Beletrystyka. **Bąkowski Klemens.** Posażna panna, Kraków, 1899.

= **Belmont Leo.** Rymy i rytmy, wybór poezyi, tom I i II, Warszawa, 1900.

= **Emde.** Symfonia: Do niej, poemat, Warszawa, 1900,

= **Gliński Kazimierz.** Dwie moce, tragedya piastowska, 1079 rok, Warszawa—Kraków, 1900.

= **Gomulicki Wiktor.** Pieśń o Gdańsku, Warszawa, 1900.

= „ Warszawianka, studyum nie-filozoficzne, Warszawa, 1900.

= „ Wybór wierszy, Warszawa, 1900.

= **Grot-Bęczkowska Wanda.** Marzycielka, Warszawa, 1900.
= **Ibsen Henryk.** Gdy się zbudzimy z pośród zmarłych, Warszawa, 1900.
= **Janowski Al.** Wycieczki po kraju, II, Warszawa, 1900.
= **Korolenko Włodzimierz.** Niewidomy muzyk, przekład z rosyjsk. St. M. Kraków, 1900.
= **Kostomarow N. J.** Kudejar, powieść historyczna z czasów Iwana Groźnego, tłómaczył ***, Kraków, 1900.
= **Kowerska Zofia.** Powieści, Kraków, 1899.
= **Krasiński Zygmunt.** Pisma, tom II, Warszawa, 1900.
= **Lumir.** Poema. Prolog. Kraków, 1900.
= „ Walka idei. Gwiazda wschodu, poema dramatyczne słowiano-polskie, Kraków, 1900.
= **Łętowski Julian.** Nowocześni bohaterowie, nowele i opowiadania, wyd. 2 Warszawa, 1901.
= **Neumanowa Anna.** Legendy i baśnie Wschodu, Kraków, 1899.
= **Orzeszkowa Eliza.** List do kobiet niemieckich i o Polce Francuzom, Warszawa, 1900.
= **Rzepiński Stanisław.** Grecya, wspomnienia z podróży, Kraków, 1900.
= **Siemiradzki Józef dr.** Szlakiem wychodźców, wspomnienia z podróży po Brazylii, Warszawa, 1900.
= **Słoński Edward.** Ból i inne poezye, Warszawa, MCM.
= **Stellina.** Garść poezyi, Warszawa, 1900.
= **Strumpf Edward.** Obrazy Kaukazu, Warszawa, 1900.
= **Tetmajer Kazimierz.** Przerwa. Poezye, tom III, wyd. 2-gie, Warszawa—Kraków, 1900.
= **Tolstoj Leon.** Anna Karenina, przekład z 7-go wydania oryginału, tom 1—3, Kraków, 1900.
= **Żeromski Stefan.** Ludzie bezdomni, powieść, wyd. 2-gie, tom I i II, Warszawa, 1900.
G. Przyrodoznawstwo. **Dyakowski B.** Wędrówki zwierząt i roślin, Warszawa—Kraków, 1900.
= **Martin Edward A.** Historya kawałka węgla, Warszawa, 1900.
= **Materyały** do fizyografii Galicyi, (odb. z t. XXXIV Sprawozdań komisyi fizyograficznej, Kraków, 1899.
= **Materyały** do rolniczej fizyografii Galicyi, (odbitka z t. XXXIV Sprawozdań komisyi fizyograficznej), Kraków, 1899.
= **Srokowski Stanisław.** Fridtjof Nansen i jego wyprawa do bieguna północnego, Kraków, 1899.
= **Warming Eugeniusz dr.** Zbiorowiska roślinne, zarys geografii roślin, Warszawa, 1900.
= **Wyczółkowska A.** O iluzyach optycznych, z 14 rycinami, Kraków, 1900.
H. Sztuki piękne. **Cerchowie-Kopera.** Pomniki Krakowa Maksymiliana i Stanisława Cerchów, zeszyt II—III, Kraków—Warszawa, 1900.
= **Ruskin John.** Szkice z podróży, widoki natury, Warszawa, 1900.
I. Różne. **Borowski W. W.** Notatki z praktyki agenta Towarzystwa ubezpieczeń na życie, Warszawa, 1900.
= **Herzel Teodor dr.** Mowa inauguracyjna na drugim kongresie syonistów w Bazylei, tłóm. H. J., Warszawa, 1900.
= **Moszyński Jerzy.** W obronie prawdy, Kraków, 1900.
= **Przewodnik** po zdrojowiskach, miejscach kąpielowych i stacyach klimatycznych, Warszawa, 1900.
2. A. Filozofia. **Gutberlet C.** Lehrbuch der Philosophie, 6 Bd. Naturphilosophie, 3 Aufl., Münster, 1900.
= **Paulsen F.** Einleitung in die Philosophie. 6 Aufl., Berlin, 1900.
= „ System der Ethik m. e. Umriss der Staats- u. Gesellschaftslehre. 2 Bde, 3 Aufl., Berlin, 1900.
= **Wartenberg Mścisław dr.** Das Problem des Wirkens und die monistische Weltanschauung, mit besonderer Beziehung auf Lotze, eine historisch-kritische Untersuchung zur Metaphysik, Leipzig, 1900.
= **Wundt W.** Völkerpsychologie. Eine Untersuchung der Entwicklungsgesetze v. Sprache, Mythus u. Sitte. 1 Bd. Die Sprache 1 Thl., Leipzig, 1900.

B. Socyologia. **Briault E.** Les problèmes politiques et sociaux à la fin du XIX-e siècle, Paris, 1900.

= **Conrad J.** Grundriss zum Studium der politischen Oekonomie 3 Tl: Finanzwissenschaft, 2, Aufl. Jena, 1900.

= **Féolde G.** Accidents du travail et assurances contre les accidents, Paris, 1900.

= **Kautsky K.** Le Marxisme et son critique Bernstein, Paris, 1900.

= **Kawelin K. D.** Sobranje soczinienij, t. IV, etnografia i prawowiedienje, Petersburg, 1900.

= **Markow E.** Grechi i nuždy naszej sredniej szkoły, Petersburg, 1900.

C. Historya. **Mariano R.** Cristo e Budda e altri iddii dell'oriente Studi di religione comparata, Firenze, 1900.

= **Waliszewski K.** L'héritage de Pierre le grand, gouvernement de favoris, regne des femmes, 1725—1741, Paris, 1900.

= **Woronow P.** Opyt srawnitjelnoj istorji Jewropy, Moskwa, 1900.

D. Literatura. **Boborykin P. D.** Jewropejskij roman w XIX stoletji, roman na zapadje za dwie treti wieka, Petersburg, 1900.

= **Czerniajew P.** Kriticzeskija statji i zamjetki o Puszkinie, Charków, 1900.

= **Paulsen F.** Schopenhauer — Hamlet — Mephistopheles. Drei Aufsätze zur Naturgeschichte des Pessimismus, Berlin, 1900.

= **Smirnowskij P.** Istorja ruskoj literatury XIX wieka, wyp. III, Petersburg, 1900.

E. Sztuki piękne. **Collingwood W. G.** The life of John Ruskin, London, 1900.

= **Huneker J.** Chopin, the man and his musik, New-York, 1900.

F. Beletrystyka. **Bielinskij W.** Połnoje sobranje soczinienij w 12 tom., pod red. i s primjeczanj. S. Wengerowa, t. I, Petersburg, 1900.

= **Sałtykow N. (Szczedrin).** Połnoje sobranje soczinjenij, t. IV, izd. 4-e, Petersburg, 1900.

—h.—

---

3. Przekłady z polskiego. Portugalski przekład „Quo vadis“ w dzienniku brazylijskim „O ceunnercio de Sas Paolo“.

Przekład **Słowackiego** „W Szwajcaryi“ znajdujemy w dodatku literackim „Torg. prom. gazety“ za kwiecień. „Syn Otieczestwa“ przyniósł w n-rach kwietniowych tłóm. noweli **Andrzeja Niemojewskiego** p, t. „Prometeusz“.

M. Tropowska wydała w Moskwie tłómaczenie **Elizy Orzeszkowej** „W zimnyj wieczer“.

„Szkice“ **Adama Szymańskiego** wyszły w szwedzkim przekładzie p. Ludwiki Nyströem p. t. „Sibirien“.

„Pietierburskija Wiedomosti“: „Pójdźmy za nim“ **H. Sienkiewicza,** dziennik „Rossija“, przekład białym wierszem noweli „Na Olimpie“.

W Nowym Jorku wyszło tłóm. angielskie powieści **M. Rodziewiczówny** „Anima vilis“.

„Posażna jedynaczka“ **Fredry** ukazała się w rosyjskim przekładzie w „Kijewskiej gazecie“.

W Medyolanie wyszło tłóm. **Sienkiewicza** „Pójdźmy za nim“, a nowela „Za chlebem“ w angielskim przekładzie w piśmie „Litterary World“; „Quo vadis“ w tłóm. francuskiem p. p. B. Kozakiewicza i J. W. Janasza w Paryżu.

4. Udział Polaków w innych literaturach. **Dr. Jan Baudouin de Courtenay** ogłosił w marcowym zeszycie „Wiestnika Jewropy“ rzecz p. t. „Pobieditiel, driewnie grieczeskoje priedanije“.

W Petersburgu ukazała się obszerna praca p. **Leona Wasilewskiego** p. n. „Sowriemiennaja Galicia“.

W lipskiej „Zeitschrift für Geschichte der mathematischen Wissenschaften“ napotykamy notatę historyczną p. **Feliksa Kucharzewskiego** o polskich uczonych technikach XVI wieku.

5. W czasopiśmie francuskiem **Mercure de France** znajdujemy w zeszycie kwietniowym artykuł, poświęcony charakterystyce dzisiejszej poezyi polskiej.

Znajdujemy tutaj między innemi charakterystykę K. Glińskiego, Or-ota, Miriama, Tetmajera, Langego, Kasprowicza, z młodszych Rydla, Żuławskiego i in.

W zeszycie 4-tym **Kijewskiej Stariny** napotykamy początek obszerniejszej pracy P. Gawryłowicza p. n. „Charakterystyka polskich i ukraińskich literackich prądów w ostatniem 25-leciu XVII wieku, w związku z ogólnym kierunkiem ówczesnej francuskiej literatury“*), a w drugim i nast. n-rach **Woschodu** pracę S. Dubnowa p. t. „Życie Żydów w Polsce i Litwie w XVI wieku“; w marcowym zeszycie **Żurnała minist. narodn. proswieszcz.** obszerne sprawozdanie z pracy p. F. Hoesicka o Słowackim.

O jednym z rękopisów biblioteki jagiellońskiej napisał Edward Gollob w lipskiej **Zeitschrift für Mathematik und Physik** p. t. „Ein wiedergefundener Diophantuscodex“ i wydał w osobnej odbitce.

W **Gazetta provinciale de Bergamo** zamieścił M. E. Teneajdi artykuł o Sienkiewiczu (w n-rze z 7—8 maja), medyolańska zaś **Rivista litteraria artistica** przyniosła artykuł Cezara Marangini p. t. „Pour l'indépendance de l'art: Perosi et Sienkiewicz“, a **Alba** w n-rze z 22 maja rzecz Hugona Fleresa o „Bez dogmatu“.

St. Zdziarski.

---

*) Praca ta jest słabą kompilacyą ze znanych już źródeł (*Przyp. Red.*)

Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Іюля 1900.

Wydawca: *Wł. Spasowicz.*
Redaktor: *Ignacy Chrzanowski.*